

AUTORKA ŚWIATOWYCH BESTSELLERÓW

NORA ROBERTS



Przebudzenie

DZIEDZICTWO SMOCZEGO SERCA

Świat Książki

NORA
ROBERTS

Przebudzenie

DZIEDZICTWO SMOCZEGO SERCA

Z angielskiego przełożyła
Anna Zielińska


Świat Książki
wydawnictwo

Spis treści

Część pierwsza

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Część druga

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Część trzecia

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Tytuł oryginału: *The Awakening. The Dragon Heart Legacy*

Wydawca: *Urszula Ruzik-Kulińska*

Redaktor prowadzący: *Iwona Denkwicz*

Redakcja: *Elżbieta Kobusińska*

Korekta: *Jolanta Spodar*

Copyright © 2020 by Nora Roberts

All rights reserved. Copyright © for the Polish translation by Anna Zielińska, 2021

ISBN 978-83-828-9406-6

Warszawa 2021

Wydawnictwo Świat Książki

02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Księgarnia internetowa: swiatksiazki.pl

Dystrybucja:

Dressler Dublin Sp. z o.o.

05-850 Ożarów Mazowiecki ul. Poznańska 91

e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl

tel. +48 22 733 50 31/32

www.dressler.com.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie Zecer

Dla Colta, mojego słonecznego chłopca,
który wnosi radość i miłość w nasze życie

CZĘŚĆ PIERWSZA

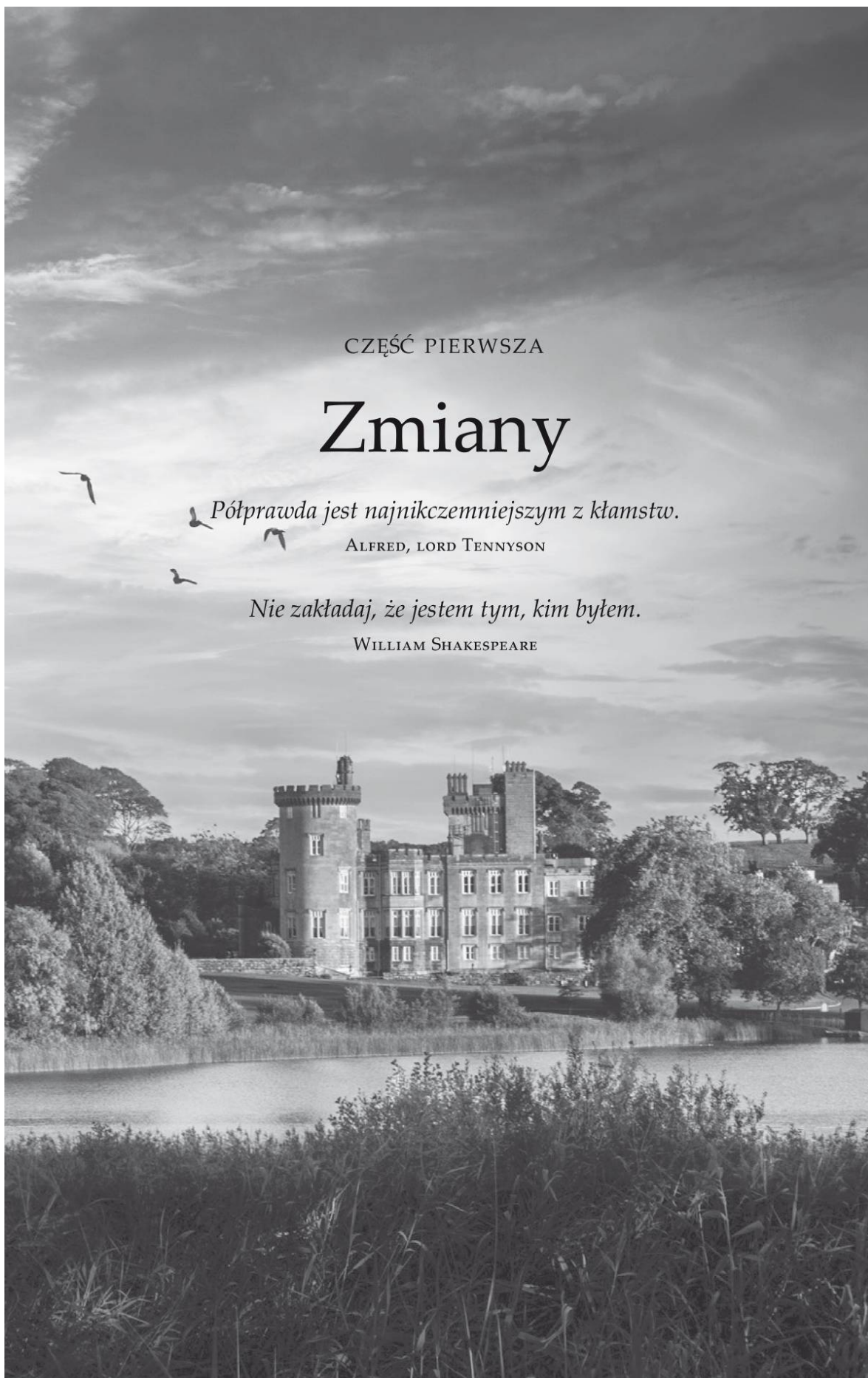
Zmiany

Półprawda jest najnikczemniejszym z kłamstw.

ALFRED, LORD TENNYSON

Nie zakładaj, że jestem tym, kim byłem.

WILLIAM SHAKESPEARE





*Dokument chroniony elektronicznym znakiem
wodnym*

Prolog

DOLINA FEY

Migotliwe pasma srebrzystej mgły wisały nad bladozieloną taflą jeziora. Snuły się i unosiły coraz wyżej ku zaciągniętemu szarości niebu, podczas gdy na wschodzie ponad wzgórzami różowy brzask czekał na przebudzenie niczym wstrzymany oddech.

W chłodzie poranka Keegan O'Broin stał nad jeziorem i wypatrywał nadchodzącego dnia. Dnia zmiany, wyboru, nadziei i mocy.

Czekał, jak tamten wstrzymany oddech jutrzeńki, żeby spełnić swoją powinność, i liczył, że do południa zdąży wrócić na farmę. Myślał o czekających go obowiązkach i, oczywiście, o ćwiczeniach.

Ale to w domu.

Na dany sygnał zdjął buty i zrzucił tunikę. Jego brat Harken zrobił to samo, tak jak prawie sześciuset pozostałych. Młodzi i nie najmłodszy ścignęli tutaj nie tylko z samej doliny, ale ze wszystkich krańców Talamh.

Przybyli z południa, gdzie Świętobliwi odprawiali tajemne modły, z północy, gdzie najgroźniejsi wojownicy strzegli

Morza Sztormów, ze Stolicy na wschodzie i z pobliskich zachodnich okolic.

Ich przywódca, ich *taoiseach*, zginął, oddał życie, żeby uratować świat. I tak, jak zostało zapisane, jak głoszą, jak śpiewano, nowy wódz podniesie się jak te mgły tego dnia, w tym miejscu, w określony sposób.

Keegan, podobnie jak Harken, wcale nie chciał zostać *taoiseachem*. Ten wesoły dwunastolatek, najmłodszy spośród dopuszczonych do rytuału, był urodzonym farmerem. Keegan wiedział, że młodszemu bratu ta uroczystość, tłumy zgromadzone nad wodą i skok do jeziora kojarzyły się z dobrą zabawą.

Natomiast dla Keegana ten dzień oznaczał wypełnienie przysięgi danej umierającemu mężczyźnie, człowiekowi, który zastępował mu ojca, odkąd jego rodziciel przeniósł się do bogów. Człowiekowi, który powiódł Talamh do zwycięstwa nad tymi, co chcieli ich zniewolić, i zapłacił za to życiem.

Keegan nie marzył o buławie *taoiseacha*, nie pragnął podjąć miecza wodza klanu. Ale dał słowo i dlatego zanurkuje w jeziorze wraz z innymi młodzieńcami i dziewczętami, z mężczyznami i kobietami.

– No chodź, Keeganie! – Harken uśmiechał się szeroko. Jego kruczoczarną czuprynę burzył wiosenny wiatr. – Pomyśl, ile będzie uciechy. Jeżeli ja znajdę miecz, zarządzę cały tydzień biesiad i tańców.

– Jeżeli znajdziesz miecz, kto będzie pasł owce i dołk krowy?

– Jeżeli zostanę *taoiseachem*, będę robił to wszystko i jeszcze więcej. Bitwa zakończona i wygrana, bracie. Ja też go opłakuję. – Harken z wrodzoną serdecznością otoczył Keegana ramieniem. – On był bohaterem i zawsze będziemy o nim pamiętać. A dzisiaj musimy zgodnie ze zwyczajem wybrać nowego wodza, bo taka byłaby jego wola. – Niebieskimi oczyma, pogodnymi jak ten dzień, powiódł po tłumie zgromadzonym na brzegu jeziora. – Otaczamy go czcig jak wszystkich, którzy byli przed nim, i tych, którzy po nim nastąpią. – Kuksnął Keegana łokciem w bok. – Nie przejmuj się, bracie, mało prawdopodobne, aby któryś z nas wyłonił się z wody z Defensorem w dłoni. Zapewne podejmie go Cara, bo pływa jak syrena, albo Cullen, który od dwóch tygodni ćwiczy wstrzymywanie oddechu pod wodą.

– Możliwe – mruknął Keegan. Cullen, urodzony wojownik, nie byłby dobrym wodzem. Krewki z natury, wolał walczyć niż myśleć.

Keegan, również wojownik od czternastego roku życia, widział krew, przelewał ją, wiedział, na czym opiera się władza, i rozumiał, że myślenie jest ważniejsze od miecza, włóczni i siły.

I co najważniejsze.

Uczył go tego własny ojciec i ten, który traktował go jak syna.

Kiedy stał z Harkenem pośród wielu innych rozpaplanych niczym przekupki, przez tłum przeszła jego matka.

Żałował, że ona dziś nie zanurkuje. Wiedział, że nikt lepiej od niej nie potrafił rozwiązywać konfliktów i zajmować się z dziesięcioma sprawami naraz. Harken odziedziczył po niej

łagodną naturę, Aisling, ich siostra, urodę, a o sobie lubił myśleć, że przypadła mu w udziale choćby część jej sprytu.

Tarryn na moment przystanęła przy Aisling – dziewczyna wolą trzymać się z przyjaciółkami, a nie z braćmi, których teraz traktowała protekcjonalnie. Keegan patrzył, jak matka unosi podbródek Aisling, całuje ją w oba policzki, mówi coś, co sprowadza uśmiech na twarz córki.

– A tu mam gniewny grymas i uśmiech – odezwała się Tarryn, podchodząc do synów. Poczochrała czuprynę Harkena, a Keegana lekko pociągnęła za warkocz wojownika zwisający po lewej stronie głowy. – Pamiętajcie o celu tego dnia, on nas jednoczy oraz mówi, kim i czym jesteśmy. Robicie to samo, co wszyscy przed wami od ponad tysiąca lat. A imiona tych, co wydobyli miecz z jeziora, zostały zapisane jeszcze przed ich narodzeniem.

– Jeżeli decyduje o tym przeznaczenie, dlaczego tego nie wiemy? Czemu ty, która widzisz przeszłość i to, co nadejdzie, nie możesz tego zobaczyć? – argumentował Keegan.

– Gdybym ja mogła to ujrzeć albo ty czy ktokolwiek inny, zniknąłby wybór. – Matczynym gestem objęła go ramieniem, ale jej oczy bystre, niebieskie jak Harkena, pozostały wpatrzone w mgłę nad jeziorem. – Wejdiesz do jeziora, prawda? Kto podejmie miecz, musi wnieść się wraz z nim.

– Kto by tego nie chciał? – zdziwił się Harken. – Przecież ten ktoś zostanie *taoiseachem*.

– Zaiste, *taoiseach* pełni zaszczytną rolę, ale to na nim spoczywa ciężar odpowiedzialności. Dlatego musi być pewien, że jest gotów go unieść wraz z mieczem. A teraz uczymy się. – Pocałowała obu synów. – Nadchodzi Mairghread.

Mairghread O'Ceallaigh, w przeszłości *taoiseach* i matka tego, który został pogrzebany, zrzuciła żałobną czerń. Dziś nałożyła białą, prostą szatę bez ozdób, poza wisiosem z kamieniem tak czerwonym jak jej włosy.

Kamień i włosy zdawały się płonąć i wypalać mgłę wokół niej. Nosila je krótko obcięte, podobnie jak sunące za nią wróżki.

Tłum rozsuwał się przed nią, rozmowy zastępowała cisza świadcząca o szacunku i podziwie.

Keegan znał ją jako Marg, kobietę z chaty w lesie w pobliżu jego farmy. Kobietę, która częstowała głodnego chłopca miodownikami i legendami. Kobietę o wielkiej sile i odwadze, która walczyła za Talamh i zaprowadziła pokój, co opłacała ogromnym osobistym kosztem.

Trzymał ją w objęciach, kiedy płakała po śmierci syna. Keegan wypełnił przyrzeczenie i osobiście przyniósł jej tę wieść. Ale ona już o tym wiedziała.

Ścisnął ją w ramionach, dopóki nie zabrakło jej tchu.

A potem on, żołnierz, mężczyzna, wszedł w głąb lasu i tam dał upust łzom.

Dziś Marg wyglądała bardzo godnie i Keegan poczuł dreszcz wzruszenia w okolicy żołądka.

Niosła buławę, odwieczny symbol przywództwa. Czarne jak smoła drewno połyskiwało w słońcu rozpraszającym mgłę. Rzeźby na stylisku zdawały się pulsować. Z wnętrza kryształu Smocze Serce na głowicy biła moc.

Kiedy się odezwała, ucichł nawet wiatr.

– Poświęcenie i przelana krew po raz kolejny pozwoliły zaprowadzić pokój w naszym świecie. Od wieków bronimy naszego świata i poprzez niego wszystkich pozostałych. Zdecydowaliśmy się żyć tak, jak żyjemy, z poszanowaniem dla wszystkich istot na ziemi, w morzu i dolinie Fey.

– Nastął pokój, znowu będziemy cieszyć się dostatkiem, dopóki ponownie nie nadejdzie czas przelewu krwi i ofiarności. Dzisiaj, jak zostało zapisane, jak głoszone, jak śpiewano, nowy wódz zostanie wyniesiony i wszyscy tutaj przysięgną wierność i lojalność wobec Talamh oraz *taoiseacha*, który podejmie miecz z Jeziora Prawdy i przyjmie Buławę Sprawiedliwości.

Uniosła twarz ku niebu, a Keegan pomyślał, że jej głos, silny i czysty, na pewno dotarł aż do Morza Sztormów i jeszcze dalej.

– W tym miejscu, o tej godzinie odwołujemy się do naszego źródła mocy. Niech ten wybrany od tego dnia traktuje z szacunkiem i chroni lud Fey. Niech ten, którego dłoń podejmie miecz, będzie silny, mądry i sprawiedliwy. Tego i tylko tego żądają nasi ludzie.

Bladozielone jezioro aż zawirowało. Zakotłowały się mgły nad lustrem wody.

– Czas zacząć. – Uniosła wysoko buławę.

Ochotnicy puścili się biegiem do jeziora. Niektórzy z młodzików ze śmiechem i pohukiwaniem wskakiwali do wody i znikali pod powierzchnią. Ci, którzy zostali na brzegu, wiwatowali.

Keegan, wsłuchany w hałas, jeszcze się wahał, gdy jego brat rzucił się do jeziora, przy wesołym plusku wody. Chwilę

myślał o złożonej przysiędze, o dłoni, którą ścisnął w ostatnich momentach życia tamtego człowieka na tej równinie.

Wreszcie zanurkował.

Może zakląłby w pierwszej chwili, gdy plasnął o zimną wodę, ale to nie miałoby sensu. Słyszał, jak inni pomstowali albo się śmiali. Niektórzy młócili nogami i nawet wypltywali z powrotem na powierzchnię.

Wstuchany we własne myśli, odciął się od hałasu kłębiących się wokół pływaków.

Przysięgnął, że tego dnia wejdzie do wody i głęboko zanurkuje. I podejmie miecz, jeżeli ten trafi do jego dłoni.

Schodził pod wodę coraz niżej, pamiętając tamte czasy, kiedy jako chłopiec robił to samo z siostrą i bratem. Dzieciaki szukały gładkich kamieni na miękkim dnie jeziora w słoneczny dzień.

Widział innych przez warstwy wody. Pływali w koło do góry i w dół. Gdy nurkującym brakowało powietrza w płucach, jezioro wypychało ich na powierzchnię, jakby obiecując, że tego dnia nikomu, kto w nie wskoczył, nie stanie się krzywda.

Woda owijała go, zataczała kręgi, chwilami wirowała. Teraz już widział dno i tamte kamienie, które zbierał jako chłopiec.

Naraz zobaczył kobietę. Unosiła się w wodzie, więc z początku wziął ją za syrenę. Syreny tradycyjnie nie mieszały się do tego rytuału. Rządziły morzami i to im wystarczało.

Po chwili dotarło do niego, że widzi jedynie jej twarz i włosy – rude jak u Marg, ale dłuższe, rozłożone jak wachlarz

w wodzie. Widok jej szarych jak dym oczu poruszył w nim jakąś czułą strunę, bo kobieta wydała mu się znajoma. Znał każdą twarz w dolinie, ta do nich nie należała.

A jednak była tu, w wodzie.

I wtedy ją usłyszał, tak wyraźnie jak wcześniej Marg na brzegu.

– On też był mój. Ale miecz należy do ciebie. On to wiedział i ty też to wiesz.

Miecz sam wsunął mu się w dłoń. Czuł jego ciężar, jego moc, jego splendor. Mógł go upuścić, popłynąć przed siebie, odpłynąć. Wybór należał do niego, tak głosili bogowie, tak mówiły podania.

Zaczął prostować palce, pozwalał, aby ciężar, władza i splendor wysliznęły się z ręki. Nie umiał przewodzić. Potrafił walczyć, ćwiczyć, jeździć konno, fruwać. Ale nie wiedział nic o przewodzeniu innym czy to na wojnie, czy w czasie pokoju.

Miecz jaśniał w jego ręce, srebro połyskiwało, grawerunek na głowni pulsował, czerwony kamień płonął. Gdy zwolnił uścisk, połysk zmatowieł, płomień zbladł.

A ta kobieta go obserwowała.

– Wierzył w ciebie.

Wybór? – pomyślał. – Jaka bzdura! Honor nie pozostawia wyboru.

Skierował więc sztych ku powierzchni, gdzie słońce rozsypywało diamenty na wodzie i nie odrywał oczu od wizji, bo przecież ona nie była niczym innym jak tylko wizją.

– Kim jesteś? – zapytał.

– Oboje musimy się tego dowiedzieć – usłyszał.

Miecz poniósł go prosto w górę jak strzałę wypuszczoną z łuku.

Klinga przecięła wodę, a potem powietrze. Gruchnęły wiwały, kiedy słońce odbite od ostrza roziskrzyło taflę jeziora.

Wyszedł z mieczem na wilgotną, gęstą trawę i postąpił tak, jak nakazywał obyczaj. Ukląkł u stóp Mairghread.

– Składam ci go w ofierze i wszystko, co on dla ciebie znaczy, bo nikt nie jest bardziej tego godzien – wypowiedział te same słowa, co kiedyś jej syn.

– Mój czas minął. – Położyła dłoń na głowie Keegana. – A twój się zaczyna. – Podała mu rękę i podniosła go z kłęczek.

Nie widział, nie słyszał nikogo poza nią.

– Takie jest moje życzenie – wyszeptała, kierując te słowa wyłącznie do niego.

– Dlaczego? Nie wiem, jak...

Przerwała mu pocałunkiem w policzek.

– Wiesz więcej, niż sądzisz. – Podała mu buławę. – Należy do ciebie, Keeganie O'Broin.

Kiedy odebrał ją z rąk Marg, ona sama się cofnęła.

– A teraz uczyn to, co należy.

Odwrócił się. Obserwowało go tyle twarzy zwróconych ku niemu, tak wiele wpatrzonych w niego oczu. Pojął, że to lęk wywołał kłębiące się w nim emocje, i poczuł wstyd.

Miecz go wybrał – pomyślał – a on musiał wznieść się z nim. Koniec ze strachem.

Uniósł wysoko buławę i Smocze Serce ożyło.

– Z nią dla wszystkich w Talamh będzie sprawiedliwość. –
Podniósł miecz. – Z nim wszyscy będziemy bezpieczni.
Jestem Keegan O’Broin. Ślubuję poświęcić życie tej dolinie,
tym wzgórzom, lasom i ludowi Fey. Będę stał po stronie
jasności. Będę żył dla Talamh i jeżeli taka będzie wola
bogów, oddam za nie życie.

Rozległy się wiwaty. Pośród gromkich okrzyków doszły go
słowa Marg.

– Dobrze się spisałeś, chłopcze. Naprawdę dobrze.

A więc uznali młodego *taoiseacha*. I w tym miejscu
zaczęła się nowa opowieść.

Rozdział 1

FILADELFIA

Breen Kelly jechała autobusem, cierpiącym chyba na chroniczną czkawkę, i co rusz pocierała pulsującą z bólu skroń.

Ciężki dzień miał się (dzięki Bogu) ku końcowi, jeden z wielu w ciężkim tygodniu, w ostatnim ciężkim miesiącu.

A może dwóch.

Powinna odetchnąć z ulgą. Był piątek, a więc dopiero za dwa dni wróci do orki, jaką okazało się uczenie literatury i umiejętności językowych w gimnazjum.

Oczywiście część weekendu zajmie jej sprawdzanie wypracowań i układanie planów lekcji, ale przynajmniej nie będzie siedzieć w klasie, naprzeciw tych wszystkich par zawieszonych na niej oczu. Niektórych znudzonych, innych nieobecnych i kilku budzących nadzieję.

Nie, nie uważała, że brakuje jej umiejętności i się nie nadaje do tej pracy, ale wiedziała, że po prostu każdy z tych dojrzewających płciowo gimnazjalistów woląłby być wszędzie, byle nie w klasie.

Podobno nauczyciel to najbardziej prestiżowy zawód. Satysfakcja, poczucie misji, uznanie.

Szkoda, że dała się na to nabrać.

Autobus, czkając, dotoczył się do następnego przystanku. Parę osób wysiadło, kilka wsiadło.

Obserwowała otoczenie. Była w tym dobra; w końcu łatwiej coś obserwować niż aktywnie w czymś uczestniczyć.

Kobieta z podkrążonymi oczami, w popielatym spodniemie, z komórką w dłoni. Samotna matka – zdecydowała Breen. Wraca z pracy i sprawdza, co dzieci robią w domu. Zapewne nigdy nie przypuszczała, że życie okaże się takie trudne.

Dwóch nastolatków – tenisówki, firmowe szorty Adidasa do kolan, słuchawki w uszach. Jadą spotkać się z kumplami, pograją w kosza, zjedzą pizzę, obejrzą film. Pozazdrościć wieku, w którym weekend kojarzy się wyłącznie z przyjemnościami – pomyślała.

Mężczyzna w czerni, on... patrzył prosto na nią, przyglądał się jej. Czym prędzej więc odwróciła wzrok. Wyglądał znajomo. Ale gdzie mogła się z nim zetknąć? Srebrne, gęste włosy; chyba jakiś profesor z college'u.

Nie, niemożliwe. Na widok profesora wsiadającego do autobusu nie zaszcłoby jej w ustach, serce nie wpadłoby w galop. Potwornie się bała, że on przejdzie do tyłu i usiądzie obok niej.

Gdyby to zrobił, za żadne skarby by nie wysiadła. Jeździłaby w kółko, bez celu, bez sensu.

Chociaż wiedziała, że jej zachowanie zakrawa na wariactwo, zerwała się z miejsca jak oparzona i obijając torbą biodro, ruszyła na przód autobusu. Nie miała odwagi spojrzeć na srebrnowłosego. Niestety, żeby dotrzeć do wyjścia,

musiała go wyminąć. Mimo że mężczyzna usunął się w bok, otarła się o niego ramieniem.

Zatkało ją, nogi zmiękły jej w kolanach. Ktoś zapytał, czy dobrze się czuje, kiedy chwiejnie przesuwiała się do drzwi. Słyszała słowa mężczyzny w głowie: „Wracaj do domu, Breen Siobhan. Czas, żebyś wróciła do domu”.

Dla równowagi przytrzymała się drążka, a schodząc ze stopnia, o mało się nie potknęła o krawężnik. Na chodniku puściła się biegiem.

Czuła na sobie zdziwione spojrzenia, ludzie oglądali się, odprowadzali ją wzrokiem. Nie znosiła przyciągać uwagi, zawsze starała się nie wyróżniać i wtapiać w tłum.

Autobus odjechał, czkając.

Nadal oddychała z poświstem, ale zelżał już ucisk w piersi. Starała się zwolnić kroku, zdecydowanie zwolnić i iść normalnie jak człowiek.

Zmaganie ze sobą zajęło jej minutę, a kolejną zorientowanie się, gdzie jest.

Ostatni raz podobny atak paniki przeżyła wieczorem w dniu poprzedzającym rozpoczęcie pracy w gimnazjum Grady. Wtedy pomógł jej Marco, serdeczny przyjaciel od przedszkola. Podobna historia, ale już zdecydowanie słabsza, przydarzyła się Breen przed pierwszą wywiadówką i wtedy też Marco okazał się nieoceniony.

Po prostu gość wszedł do autobusu – tłumaczyła sobie. Na Boga, nie było żadnego zagrożenia. I nie słyszała żadnego głosu. Wiara, że słyszy się głosy, świadczy o obłądztwie.

Czy matka nie wbijała jej tego do głowy od... wieków?

A teraz przez ten napad lęku czekał ją kilometrowy spacer. Trudno, nie szkodzi. Był przyjemny, wiosenny wieczór, a ona – oczywiście – odpowiednio się ubrała. Lekki deszczowiec (trzydziestoprocentowe prawdopodobieństwo opadów), cienki sweter, wygodne buty.

Lubiła chodzić. No i Fitbit wyświetli jej dodatkowe kroki.

A że w ten sposób nieco zburzy swój rozkład dnia, to co z tego? Była dwudziestosześcioletnią singielką bez żadnych planów na majowy piątkowy wieczór.

Jakby miała mało powodów do przygnębienia, po ataku paniki poczuła nasilający się ból głowy.

Otworzyła zamek przegródki w torbie i wyjęła z kosmetyczki dwa tylenole. Popiła tabletki wodą z butelki, którą akurat wzięła ze sobą.

Pójdzie do domu matki, wyjmie i uporządkuje korespondencję – matka nie chciała, żeby listy były przechowywane na poczcie w czasie jej wyjazdów – poszatkuje ulotki reklamowe w niszczarce, ułoży rachunki, listy i całą resztę na odpowiednich tackach w gabinecie.

Pootwiera okna na parterze i na piętrze, przewietrzy mieszkanie, podleje kwiaty w domu i na tarasie, bo jakoś nie spadł zapowiadany deszcz.

Po godzinie pozamyka okna, włączy alarm, zamknie drzwi na klucz. Złapie autobus i wróci do siebie.

Zrobi kolację: na piątki przypadała sałatka z grillowanym filetem z kurczaka i – tak, koniecznie! – kieliszek wina. Sprawdzi wypracowania i wpisze oceny do elektronicznego dziennika.

Czasami technologia budziła w niej złość, bo szkoła wymagała przesyłania stopni, a potem Breen musiała się użerać z uczniami i z rodzicami, którzy mieli pretensje o oceny.

Szła, odhaczając punkty na mentalnej liście spraw do załatwienia, a tymczasem ludzie wokół niej spieszyli do barów na happy hour, na wczesną kolację, albo w jakieś inne bardziej atrakcyjne miejsce od tego, w które ona się kierowała.

Nie zazdrościła im... no może trochę. Swego czasu miała chłopaka. W jej kalendarzu też było miejsce na kolacje, wyjścia do teatru czy kina. I na seks. Sądziła, że wszystko szło gładko w ustalonym porządku.

Do tamtego dnia, kiedy ją rzucił.

No i trudno – pomyślała. Nie ma sprawy. Nie byli w sobie szaleńczo zakochani. Ale go lubiła, dobrze się przy nim czuła. A co do seksu, był w porządku.

Oczywiście, kiedy musiała uprzedzić matkę, że Grant nie pojawi się na przyjęciu z okazji jej czterdziestych szóstych urodzin, i wytłumaczyć, dlaczego go nie przyprowadzi, Jennifer Wilcox, sztywna kobieta sukcesu, dyrektorka medialnej agencji reklamowej Philly Brand, przewróciła oczami.

– A uprzedzałam cię – usłyszała, tak jak się spodziewała.

Cóż, miała rację, niemniej... korciło ją, żeby się zrewanżować.

Miałaś dziewiętnaście lat, kiedy wyszłaś za mąż! Dwadzieścia, jak mnie urodziłaś. A niecałe dwanaście lat później zaczęłaś wypychać go z naszego życia. Czyja wina, że mnie zostawił – twoja czy moja? – myślała.

A może jednak jej? – zastanowiła się. Ot, taka zbieżność; matka, która ją lekceważyła, i ojciec, którego tak mało obchodziła, że ją zostawił.

A obiecał, że nigdy tego nie zrobi.

Stare dzieje – powiedziała sobie. – Opuść.

Za dużo czasu spędzam w swoim umyśle – skarciła się i z ulgą stwierdziła, że od domu matki dzieli ją już tylko jedna przecznica.

Ładny, zadrzewiony teren. Dzielnica dobrze sytuowanych przedsiębiorczych ludzi i par, którym odpowiadało miejskie życie, bliskość barów, restauracji i ciekawych sklepów.

Kamienice z czerwonej cegły, perfekcyjnie odmalowane detale, lśniące szyby w oknach. Tutejsi mieszkańcy przed pracą uprawiali joggin albo wpadali na siłownię, wieczorami spacerowali nad rzeką, urządzali eleganckie przyjęcia, chodzili na degustację win, czytali ambitne książki.

A może tylko tak jej się zdawało.

*

Jej najlepsze wspomnienia łączyły się z małym domem, gdzie miała sypialnię ze skośnym sufitem. W salonie był ceglany kominek, nie jakiś tam na gaz czy elektryczny, ale taki prawdziwy, opalany drewnem. Na podwórku czekało mnóstwo przygód, zupełnie jak z tamtych historii, które tata opowiadał córce na dobranoc.

Magicznych historii o magicznych miejscach.

To wszystko zniszczyły kłótnie dochodzące zza ściany, słowa, które odbijały się echem w jej głowie.

A potem tata zaczął znikać. Z początku nie było go tydzień lub dwa, a podczas niedzielnych wizyt prowadził ją do zoo, bo w dzieciństwie bardzo chciała zostać weterynarzem, albo urządzał dla niej piknik.

Aż w końcu zniknął na dobre.

Nie widziała go ponad piętnaście lat i ciągle liczyła, że wróci.

Wyjęła klucz z portmonetki oraz listę szczegółowych instrukcji, którą matka wręczyła jej trzy tygodnie temu, przed wyjazdem na delegację i regeneracyjny pobyt w ustronnym spa połączonym z ośrodkiem medytacyjnym.

Matka wracała w przyszły czwartek rano, kiedy więc Breen w środę przyjdzie po pocztę, zostawi klucz wraz z ćwiartką mleka i resztą zakupów z listy.

Wyjęła ze skrzynki plik korespondencji, wsunęła go pod pachę, otworzyła kluczem drzwi i weszła do holu, żeby wyłączyć alarm. Potem zamknęła za sobą drzwi i schowała klucz do portmonetki.

Skierowała się do kuchni, jakby żywcem wyjętej ze stacji telewizyjnej Home and Garden. Mnóstwo stali nierdzewnej, białe szafki, kafelki typu „metro”, duży, nakładany zlew i ściany w odcieniu ciepłego beżu.

Rzuciła torbę i listy na wyspę, przewiesiła deszczowiec przez barowy stół. Ustawiła minutnik na godzinę i zabrała się do otwierania okien. Najpierw kuchnia, przestrzeń dzienna i salon; całość w otwartym planie z luksusowymi podłogami z szerokich desek. I oczywiście nie zapomniała o łazience, bo tam też było okno.

Wprawdzie powietrze ledwo się poruszało, ale takie polecenie znalazło się na liście, a Breen przestrzegała zasad. Zgarnęła pocztę i poszła na górę. W trzeciej sypialni matka urządziła gabinet. Położyła listy na biurku w kształcie litery L.

Tutaj ściany były w odcieniu kawy z mlekiem, przy biurku stał skórzany fotel w kolorze czekolady. Na półkach w idealnym porządku stały nagrody (matka sporo ich zgarnęła) oraz książki, wyłącznie o tematyce branżowej, i kilka fotografii, również związanych z pracą.

Breen otworzyła trzy okna za biurkiem i kolejny raz usiłowała zrozumieć, dlaczego ktoś woli siedzieć plecami do drzew, ceglanych domów, nieba, świata.

To rozprasza – rzuciła Jennifer, kiedy córka ją spytała. Praca to nie zabawa.

Otworzyła też dwa okna na bocznej ścianie, przedzielone drewnianą szafą na dokumenty zamkniętą na klucz.

Na szerokich parapetach stały rośliny w miedzianych donicach. Podleje te i wszystkie pozostałe, kiedy skończy z oknami. Potem uporządkuje pocztę i poczeka na dzwonek minutnika. Pozamyka okna, zamknie mieszkanie na klucz i po robocie.

Otworzyła okna w urządzonym gustownie, przytulnym pokoju gościnnym (nigdy tutaj nie spała) i w łazience dla gości oraz w głównej sypialni utrzymanej w prostym, eleganckim stylu, z przylegającą do niej równie elegancką łazienką.

Ciekawe, czy w tym uroczym łóżku z lazurową pościelą i pulchnymi poduszkami kiedykolwiek spał z matką jakiś mężczyzna.

I natychmiast pożatowała tej myśli, bo to w ogóle nie powinno jej interesować.

Zeszła na dół i skręciła do drzwi na taras, ale musiała się cofnąć, bo akurat zaterkotał telefon w torbie.

Zerknęła na ekran (nigdy nie odbieraj, zanim nie sprawdzisz, kto dzwoni) i uśmiechnęła się. Jeżeli ktokolwiek mógł poprawić jej nastrój w tym sraleckim dniu, to takim kimś był właśnie Marco Olsen.

– Cześć, samotnico. Jest piątek, dziewczyno.

– Podobno. – Wyszła z telefonem na taras i objęła spojrzeniem stół i krzesła z nierdzewnej stali oraz stojące w narożnikach wysokie donice.

– Więc przenieś swój zgrabny tyłeczek do Sally. Jest happy hour, skarbie, i pierwsza kolejka idzie na koszt firmy.

– Nie mogę. – Włączyła wąż i skierowała strumień wody do pierwszej donicy. – Jestem u matki, ogarniam jej dom, a potem muszę sprawdzić wypracowania.

– Jest piątek – powtórzył z naciskiem. – Wyluzuj. Siedzę w barze do drugiej. Dzisiaj śpiewany wieczór.

Jedynie podczas śpiewania nie peszyła jej obecność ludzi, szczególnie z Marco u boku i najlepiej po drinku.

– Będę tu tkwić – spojrzała na zegarek – jeszcze czterdzieści pięć minut, a wypracowania same się nie ocenią.

– Sprawdzisz je w niedzielę. Breen, skończ z tym rozpamiętywaniem. Ten Grant „Dupek” Webber nie jest tego wart.

– Och, nie chodzi tylko o niego. Wiesz, ja po prostu tak ogólnie mam doła.

- Wszystkim przytrafiają się zerwania.
- Tobie nie.
- Też. A Smoking Harry?
- Obaj stwierdziliście, że wasz związek się wypalił, ale nadal jesteście przyjaciółmi. Nie ma mowy o porzuceniu.

Przeszła do następnej donicy.

– Przyda ci się trochę rozrywki. Daję ci trzy godziny na powrót do domu, przebranie się i sexy makijaż. Jeżeli się nie pojawisz, przyjdę po ciebie.

– Stoisz za barem.

– Sally cię ubóstwia, dziewczyno. Przyjdzie ze mną.

Ona też uwielbiała Sally, niezwykłego drag queena. Kochała klub, bo tam czuła się szczęśliwa, i lubiła gejowską dzielnicę. Dlatego mieszkała w samym jej sercu, dzieląc mieszkanie z Marco.

– Daj mi tu skończyć, a potem zobaczę, jak będę się czuła. Od kilku godzin boli mnie głowa – wcale nie zmyślam – w autobusie znowu miałam ten głupi atak paniki i ból się jeszcze nasilił.

– Przyjadę po ciebie i odwiozę cię do domu.

– Nie ma mowy. – Przeszła do trzeciej donicy. – Łyknęłam dwa tylenole, muszę podzielać.

– Co się zdarzyło w autobusie?

– Później ci opowiem, to głupie. I może masz rację, przyda mi się drink, towarzystwo Marco i pobyt u Sally. Zobaczymy, jak się będę czuć po powrocie do domu.

– Wyślij mi wtedy esemes.

– Dobra, muszę wracać do roboty. Została mi do podlania jeszcze jedna doniczka na tarasie, rośliny w domu, zabawa z głupią pocztą i pieprzonymi oknami.

– Czasem powinnaś powiedzieć „nie”.

– To nie jest jakiś wielki problem. Skończę za niecałą godzinę, złapię autobus. I puszczę ci wiadomość z domu. Idź robić drinki. Pa!

Weszła do środka, dokładnie zamknęła blokadę przy drzwiach tarasowych i nalała wody do konewki dla roślin w domu.

Akurat stała przy oknie, gdy lekki wiatr wpadł do środka. Z zamkniętymi oczami wystawiła twarz na chłodny powiew.

Może jednak spadnie taki przyjemny wiosenny deszcz. Zaskoczył ją kolejny, mocniejszy podmuch, a słońce nadal świeciło przez szyby.

Pewnie nadciąga burza – pomyślała.

Nie miałyby nic przeciwko. Może odpuściłby wtedy ten cholerny ból głowy. A skoro Marco dał jej trzy godziny, kiedy tak naprawdę potrzebowała dwóch, mogłaby zapasową godzinę poświęcić na sprawdziany.

Tak dla czystego sumienia.

Kiedy weszła z konewką na górę, przeciąg szarpnął zasłonomi i nadął firany.

– No mamuś, będziesz miała przewietrzony dom – rzuciła cicho.

W gabinecie trafiła w środek chaosu.

Dolna szuflada szafki na dokumenty wisiąta wysunięta – chociaż Breen mogłaby przysiąc, że była zamknięta na klucz. Papiery wirowały jak ptaki.

Odstawiła konewkę i rzuciła się zgarniać dokumenty z podłogi, łapać, zanim wiatr wywieje je na dwór.

Gdy podniosła się z kucek z plikiem papierów w garściach, wiatr natychmiast ucichł, jakby ktoś zatrzasnął drzwi.

Pedantyczna Jennifer byłaby zniesmaczona.

Powkładaj wszystko na miejsce, posegreguj, pochowaj. Ona nigdy się nie dowie – zapewniła samą siebie. No i pry-sła nadzieja na wolną godzinę. Przykro mi, Marco. Nici z mojego wieczoru w U Sally.

Pozbierała puste segregatory, zgarnęła luźne kartki i usiadła przy biurku matki, żeby je posortować.

Zastanowiła ją naklejka na pierwszym segregatorze.

ALLIED INVESTMENTS/BREEN/2006–2013.

Nie miała żadnych lokat, nadal spłacała kredyt studencki, zaciągnięty na studia magisterskie, a mieszkanie dzieliła z Marco, nie dla towarzystwa, tylko żeby razem płacić czynsz.

Zdumiona wzięła kolejny segregator.

ALLIED INVESTMENTS/BREEN/2014–2020.

Wyciągi i zakładka z napisem: KORESPONDENCJA.

Czyżby matka otworzyła dla niej jakiś rachunek inwestycyjny, nic jej o tym nie mówiąc? Dlaczego?

Kiedy poszła na studia, dziadkowie ze strony mamy przysyłali jej drobne kwoty i była im za to wdzięczna, bo pomogli

jej przetrwać pierwszy rok. A później matka dała jasno do zrozumienia, że powinna sama o siebie zadbać.

– Musisz wziąć sprawy w swoje ręce – powtarzała jej Jennifer. – Więcej się ucz i pracuj ciężiej, jeżeli kiedyś masz się wybić ponad przeciętność.

No i studiowała pomiędzy dwoma dorywczymi pracami, żeby opłacać chesne. Potem zaciągnęła pożyczkę, którą pewnie będzie spłacać bez końca.

Kiedy skończyła licencjat – z przeciętnym wynikiem – i znalazła przeciętną pracę w szkolnictwie, jeszcze powiększyła dług, bo żeby utrzymać się w tej pracy, musiała zrobić magisterkę.

Posiadała jakieś fundusze? To nie miało sensu.

Zaczęła układać dokumenty na kupki, miała zamiar powpinać je do odpowiednich segregatorów.

Jednak szybko zrezygnowała.

Co prawda niewiele wiedziała o inwestycjach, akcjach i dywidendach, ale umiała czytać liczby.

Według miesięcznego zestawienia z maja 2014 roku, w czasie, gdy ledwo wiązała koniec z końcem, pracowała w dwóch miejscach i żywiła się makaronem ramen, na jej rachunku leżało ponad dziewięć tysięcy – *tysięcy* – dolarów.

– Niemożliwe – mruknęła. – Po prostu niemożliwe.

Ale na rachunku widniało jej imię i nazwisko, a obok imię matki.

Przejrzała resztę wyciągów. Przelewy przychodziły regularnie z Bank of Ireland.

Zerwała się od biurka, bezwiednie podeszła do okna i szarpnięciem ściągnęła frotkę z kitki.

Ojciec. To ojciec co miesiąc przysyłał jej pieniądze. Taka miała być rekompensata za odejście? Za to, że nie pisał, nie dzwonił, nie próbował się z nią zobaczyć?

– Nic z tego, nic z tego, to nie tak. Ale...

Matka wiedziała i nie pisała córce o tym słowem. Wiedziała i pozwoliła jej myśleć, że on po prostu zniknął, przestał płacić alimenty i bez skrupułów je obie zostawił.

A to nieprawda.

Musiła odczekać, aż ustąpi drżenie rąk i przestaną ją piec oczy.

Wróciła do biurka, posegregowała dokumenty, prześle-
dziła korespondencję i uważnie przeczytała sprawozdanie z ostatniego miesiąca.

Uraza i żal ustąpiły miejsca cichej wrzącej furii.

Chwyciła telefon i wybrała numer brokera.

– Benton Ellsworth.

– Ach, panie Ellsworth, tu Breen Kelly. Ja...

– Pani Kelly. Co za niespodzianka! Jak miło panią słyszeć. Mam nadzieję, że u pani matki wszystko w porządku.

– Na pewno, panie Ellsworth. Właśnie odkryłam, że wysokość funduszy na moim rachunku inwestycyjnym obsługiwanym przez pańską firmę wynosi obecnie trzy miliony osiemset pięćdziesiąt trzy tysiące i osiemset dwanaście dolarów oraz hmmm, sześćdziesiąt pięć centów. Zgadza się?

– Mogę pani podać dokładną wartość z zamknięcia dzisiejszego dnia, ale nie bardzo rozumiem, co pani ma na myśli, mówiąc, że to „odkryła”?

– Czy to są moje pieniądze?

– Tak, oczywiście. Ja...

– Dlaczego widnieją tam również dane mojej matki?

– Pani Kelly – mówił powoli. – Rachunek został otwarty, kiedy pani, wtedy osoba niepełnoletnia, wyraziła wolę udzielenia matce pełnomocnictwa.

– W jaki sposób wyraziłam ową wolę?

– Pani Wilcox oświadczyła, że córka nie chce zajmować się inwestycjami, a pani z kolei nigdy nie skontaktowała się ze mną czy z firmą w celu przeniesienia rachunku wyłącznie na pani nazwisko.

– Ponieważ do dzisiaj nie wiedziałam o jego istnieniu.

– Jestem pewien, że zaszło jakieś nieporozumienie. Proponuję, abyśmy spotkali się we troje: ja, pani oraz pani matka i wyjaśnili tę sprawę.

– W tej chwili moja matka przebywa poza miejscem zamieszkania. Jest w kurorcie, gdzie nie ma dostępu do telefonu i Internetu. – Jakiś bóg nad nią czuwa – pomyślała i dodała głośno: – Uważam, że spokojnie sami to załatwimy.

– Naturalnie, jak najbardziej. Co prawda moja asystentka akurat będzie na wyjeździe, ale mogę umówić się z panią na poniedziałek.

Nie, nie, do poniedziałku opuści ją odwaga. Zupełnie ją straci. Zawsze tak jest.

- A może spotkajmy się teraz?
- Pani Kelly, byłem już w drzwiach, kiedy pani zadzwoniła.
- Przepraszam za niedogodność, ale sprawa jest raczej pilna i ważna dla mnie. Chcę z panem porozmawiać, aby mieć pełniejszy obraz tej... sytuacji, zanim skontaktuję się z prawnikiem.

Cisza zapadła po tych słowach. Breen zacisnęła powieki. Proszę, błagam, nie każ mi czekać – myślała.

- Może jednak lepiej, jeśli się spotkamy i omówimy wszystko dokładnie. Jestem pewien, że tak, jak mówiłem, zaszło tu jakieś nieporozumienie. Słyszałem, że pani nie jeździ samochodem, więc...

- Nie mam samochodu – poprawiła go – ponieważ mnie na to nie stać. Ale spokojnie dotrę do pańskiego biura. Stawię się najszybciej, jak to możliwe.

- Będę czekał na panią w holu, na dole. Jesteśmy niewielką firmą, pani Kelly. Zanim pani się pojawi, większość pracowników zdąży wyjść. Jest weekend.

- Dziękuję.

Rozłączyła się, żeby Benton Ellsworth przypadkiem nie zmienił zdania, i rozdygotana opadła na krzesło.

- Weź się w garść, Breen. Weź się w garść, do cholery, i jedź.

Rozłożyła pomięte dokumenty do odpowiednich teczek. Zostawiła konewkę z wodą oraz otwartą szufladę i zeszła na parter.

Pomyślała o autobusie. Ciekawe, ile czasu zajęłoby dojazd do centrum.

I zdecydowała się na coś, czego dotąd nigdy nie robiła.

Zamówiła Ubera.

Wszędzie straszne korki. W końcu to piątek, godzina szczytu. Kierowca Ubera, kobieta w jej wieku, wyraźnie miała ochotę na pogawędkę, ale zrezygnowała, kiedy Breen odchyliła głowę na oparcie i przymknęła powieki.

Zamierzała ponownie przejrzeć dokumenty w samochodzie, jednak nie sprzyjała temu choroba lokomocyjna. Niedobrze, skoro po raz pierwszy miała zobaczyć się z człowiekiem, który podobno był jej brokerem.

Potrzebowała planu, ale przez stres i gniew nie mogła pozbierać myśli. W weekend zamierzała (może już nie) zapłacić rachunki, poprzekładać pieniądze z kupki na kupkę, obciąć zbędne wydatki. Miała się tym zająć po gimnastyce. Ćwiczyła w domu, bo nie było jej stać na kartę członkowską klubu fitness.

Niezależnie od wyniku tego spotkania i tak będzie musiała uregulować rachunki.

Uniosła powieki i zobaczyła, że najgorszy odcinek trasy miały za sobą, teraz jechały wzdłuż rzeki. Chylące się ku zachodowi jaskrawe słońce odbijało się na konstrukcji mostu i wodzie, powlekając wszystko odcieniem mosiądzu.

A podobno miało padać – pomyślała i w tej samej chwili tknęło ją, że deszczowiec został w kuchni u matki.

Przeszył ją niepokój. Czy pamiętała, żeby włączyć alarm i przekręcić klucz?

Zamknęła oczy i spróbowała wrócić myślami do tamtej chwili.

Tak, na pewno. Takie rzeczy robi się odruchowo.

Samochód zatrzymał się przed imponującym budynkiem z czerwonej cegły, ukrytym w cieniu wież ze stali i szkła.

Data napiwek kierowcy i tym sposobem pozbyła się pieniędzy na niedzielną pizzę.

Gdy przecięła chodnik, w drzwiach stanął mężczyzna.

Wysoki, szczupły, w granatowym garniturze w prążki i śnieżnobiałej koszuli z krawatem w odcieniu intensywnej czerwieni. Z jakiegoś powodu poczuła ulgę na widok siwych pasemek w brązowych włosach.

Ma swoje lata – pomyślała. Jest doświadczony. Wie, co robi.

Ona, za diabła, nie wiedziała.

– Pani Kelly. – Wyciągnął do niej dłoń.

– Witam, panie Ellsworth.

– Zapraszam. Moje biuro jest na pierwszym piętrze. Wejdziemy po schodach?

– Jak najbardziej.

Zobaczyła wyciszony dywanem hol z recepcją na wysoki połysk, kilkoma przepastnymi, skórzanymi fotelami i wysokimi roślinami w terakotowych donicach.

– Chciałbym panią przeprosić za rolę, jaką poniekąd odegrałem w tym nieporozumieniu – zaczął, prowadząc ją na górę. – Jennifer, pani matka, twierdziła, że nie jest pani zainteresowana wnikaniem w kwestie związane z prowadzeniem rachunku.

– Kłamała – wyrwało jej się. Tego nie miała w planie, jeżeli w ogóle miała jakiś plan. – Okłamywała pana, o ile to, co pan mówi, jest prawdą. A mnie jakoś zapomniała poinformować o istnieniu rachunku. Do dzisiaj o nim nie wiedziałam.

– Hmm, no tak. – Ellsworth otworzył przed nią drzwi.

W jasnym biurze z wysokimi oknami, większym od salonu w jej mieszkaniu, stało zabytkowe mahoniowe biurko ze snycerskimi zdobieniami oraz skórzana sofka i dwa fotele dla gości.

Boczny stolik zajmował wyrafinowany ekspres do kawy. Na ścianie, na samowiszącej półce stały oprawione w ramki fotografie (zapewne rodziny).

– Mogę pani zaproponować kawę?

– Poproszę. Z mlekiem, bez cukru.

– Zapraszam na fotel – zachęcił ją, kierując się do ekspresu.

– Przyniosłam wszystkie dokumenty – zaczęła, kiedy usiadła ze ściśniętymi kolanami, żeby zapanować nad drżeniem nóg. – Z tego, co zobaczyłam, wynika, że rachunek został otwarty w dwa tysiące szóstym roku. Wtedy moi rodzice się rozeszli.

Zgadza się. Może mi pan powiedzieć, czy wtedy te przelewy miały charakter alimentów?

– Zdecydowanie nie. Sugeruję, żeby pani porozmawiała o tym z matką. Ja mogę udzielić pani jedynie informacji związanych z tym konkretnym rachunkiem.

– Dobrze. Czy to matka założyła to konto?

– Założył je Eian Kelly na pani nazwisko, wskazując pani matkę jako pełnomocnika. W tamtym czasie co miesiąc dokonywał transferu pieniędzy poprzez Bank of Ireland. Na zabezpieczenie pani przyszłości, edukację i pokrycie pani potrzeb.

Splotła mocno palce, żeby ukryć drżenie rąk.

– Jest pan tego pewien?

– Tak. – Podał jej kawę i usiadł, jednak nie za tym pięknym biurkiem z komputerem, lecz na fotelu obok niej. – Osobiście załatwiałem formalności. Pan Kelly przyszedł do biura, założył konto i zlecił mi prowadzenie rachunku.

– Czy on... się z panem kontaktuje?

– Nie, od tamtej pory nie miałem z nim kontaktu. Wpłaty wpływały. Pani matka miała wgląd w konto. Jak już mówiłem, jest bardzo skrupulatna. Jeżeli przejrzy pani sprawozdania, zobaczy, że nigdy nie wyjęła choćby centa. Spotykamy się raz na kwartał, a czasem częściej, jeśli pojawiają się jakieś sprawy wymagające omówienia. Nie miałem powodu przypuszczać, że pani nie wie o istnieniu tego konta.

– Czy pan ma wielu klientów... czy ja jestem klientką?

Uśmiechnął się.

– Tak.

– Czy pan ma wielu klientów, których w ogóle nie interesuje, co dzieje się z kontem, na którym zdeponowano prawie cztery miliony dolarów? Wiem, że Allied Investments jako prestiżowa firma prowadzi rachunki dużych klientów, nie mniej to też jest spora kwota.

Milczał przez chwilę i widziała, że zastanawia się nad doborem słów.

– Zdarzają się sytuacje, gdy rodzic, pełnomocnik czy powiernik jest lepiej przygotowany do podejmowania decyzji finansowych od właściciela konta.

– Jestem dorosła. Matka nie ma mojego pełnomocnictwa. – Tak jest, przeczuwała to, podejrzewała, wiedziała. – Zapewne powiedziała panu, że jestem nieodpowiedzialna i nie potrafię zarządzać własnymi finansami.

– Pani Kelly... Breen, nie chcę wnikać w wasze osobiste sprawy. Jednak mogę powiedzieć bez wahania, że matka zawsze miała na względzie twoje dobro. Przy twoich problemach...

– Jakich problemach? – Wzbierający w niej gniew zagłuszył onieśmienie. – Jestem nieodpowiedzialna? Niezbyt łotna? A może nierozgarnięta?

Ellsworth wyraźnie się zaczerwienił.

– Zdecydowanie nigdy nie powiedziała nic takiego otwarcie.

– Po prostu dała do zrozumienia. W takim razie wypada nam się lepiej poznać, panie Ellsworth. Skończyłam studia, w zimie obroniłam pracę magisterską i teraz zmagam się z ogromnym kredytem studenckim. – Na widok jego zaskoczonej miny pokiwała głową. – Uczę literatury i umiejętności językowych w gimnazjum Grady. Już na studiach licencjackich z trudem spłacałam pożyczkę, mimo że wieczorami dorabiałam w dwóch miejscach. Chętnie podam panu nazwisko dyrektora gimnazjum czy kilku profesorów z uczelni.

– To nie jest potrzebne. Miałem wrażenie, że nie pracujesz albo nie jesteś w stanie utrzymać pracy.

– Od szesnastego roku życia pracuję w lecie i w weekendy. Nadal pracuję w wakacje, żeby spłacać dług, i z tego samego powodu we dwa popołudnia w tygodniu udzielam korepetycji. – Łzy zapiekły ją w oczy; gorące, gniewne łzy. – Ubieram się na wyprzedażach i w lumpeksach. Dzielę z kimś mieszkanie ze względu na czynsz. Żyję z ołówkiem w ręku. Ja...

– Już dobrze. – Dotknął jej dłoni. – Bardzo mi przykro, że doszło do tego...

– Proszę nie nazywać tego nieporozumieniem, bo to było rozmyślne działanie. Ojciec chciał mnie zabezpieczyć finansowo. A tymczasem pracowałam jako kelnerka i brałam pożyczki na chesne. Te pieniądze, które przysyłał, zmieniłyby moje życie. Zmieniłaby je sama świadomość, że o mnie dba.

Odstawiła filiżankę i żeby się uspokoić, wzięła głęboki oddech.

– Proszę wybaczyć. To вина matki, nie pana. Dlaczego pan miałby jej nie wierzyć? Mówił pan, że jestem waszą klientką?

– Jak najbardziej i na pewno to naprawimy. Kiedy wraca Jennifer?

– W przyszłym tygodniu. Ale już teraz muszę to wiedzieć. Te pieniądze są moje?

– Tak.

– Mam więc prawo wycofać fundusze, dysponować nimi?

– Tak, ale myślę, że lepiej się z tym wstrzymać do powrotu twojej matki. Usiądziemy wtedy we troje i wszystko ustalimy.

– Nie jestem zainteresowana. Chcę otworzyć nowy rachunek, wyłącznie na siebie i tam przelać pieniądze. Mogę to zrobić?

– Tak. Mogę założyć taki rachunek. Jaką kwotę chcesz przelać?

– Całość.

– Breen...

– Całość – powtórzyła. – A jeżeli pan obstaje przy spotkaniu we troje, przyjdę w towarzystwie prawnika i wytoczę jej sprawę, no, nie wiem, o sprzeniewierzenie?

– Nie ruszyła twoich pieniędzy.

– Jestem pewna, że prawnik będzie wiedział, jak to nazwać. Chcę dysponować własnymi pieniędzmi i nie głowić się więcej nad rachunkami, spłacić kredyt studencki i odetchnąć z ulgą. Mój ojciec powierzył te pieniądze w pańskie ręce. Ufał, że mając nad nimi pieczę, będzie pan miał na względzie moje dobro. Teraz proszę, żeby pan postąpił właściwie.

– Jesteś pełnoletnia. Do usunięcia nazwiska matki z rachunku wystarczy twój podpis. Muszę jedynie potwierdzić twoje dane, a ty wypełnisz kilka formularzy. Poza tym mam obowiązek skontaktować się z jednym z naszych notariuszy i jeszcze potrzebny mi świadek.

Ponownie nakrył dłoń jej rękę.

– Breen, nie mam powodu, by ci nie wierzyć, jednak czy miałabyś coś przeciwko temu, żeby mi podać numer tele-

fonu do dyrektora szkoły, w której pracujesz?

– Absolutnie nie.

Rozdział 2

Zanim Breen dotarła do U Sally, wieczór w barze już zdążył na dobre się rozkręcić. Strumienie kolorowych świateł padały na tłoczących się przy bufecie klientów i pozajmowane co do jednego stoliki. Reflektor był skierowany na Cher, czyli na Sally, który śpiewał na całe gardło: *Gdybym mogła cofnąć czas*.

Szczere słowa – pomyślała Breen.

Lawirowała w tłumie i gdy ktoś ją zawołał lub do niej pomachał, nawet zdobywała się na odpowiedź uśmiechem.

Szczęśliwie Marco pochwycił jej wzrok i przywitał ją salutem, drugą ręką mieszając drinki.

Miał na sobie mieniącą się srebrzyście koszulę (U Sally wszystko musiało się mienić), dopasowane czarne spodnie i srebrne kółko w uchu. Ostatnio zapuścił kozią bródkę, która według Breen bardzo mu pasowała, podobnie jak długie dredy zebrane frotką z tyłu głowy. Jego śniada cera lśniła od potu.

U Sally pod wieloma względami bywało gorąco.

– Geo, ustąp miejsca naszej dziewczynie.

– Nie, nie, nie trzeba.

Geo, drobny i chudy, spiekł raka i zerwał się ze stołka.

– Siadaj, kochana. I tak muszę obskoczyć stoliki. – Cmoknął ją w policzek. – Nasza dziewczynka wygląda na zmęczoną.

– Bo tak jest.

Wśliznęła się na stół. Marco obsłużył klienta i nalał jej kieliszek białego wina.

– Późno przyszłaś... i nawet się nie przebrałaś. Ten sam smutny mundurek. – Uniósł brwi, gdy duszkiem wypita pół kieliszka. – Coś mi się wydaje, że miałaś ciężki dzień.

– Ciężki, dziwny, przerażający i ekscytujący.

Rozplakała się.

– Geo! Wychodzę na przerwę!

Wybiegł zza baru, chwycił Breen za ramię i wyprowadził ją na zaplecze. Kilku wykonawców czekających na występ plotkowało przed lustrami do makijażu.

– Drogie panie, zróbcie nam miejsce.

Jeden z nich, perfekcyjnie wystylizowany na Lady Gagę, wciągnął Breen w objęcia. – Nie płacz, dzieciно. Wszystko będzie dobrze. Jimmy ci to mówi. Żaden facet nie jest wart twoich łez.

Cmoknął ją w policzek dokładnie w chwili, gdy Sally zaczęła śpiewać *Gypsies, Tramps and Thieves*.

Marco posadził Breen na krześle.

– Skarbie, co z tobą? Powiedz, co się dzieje?

– Ja... mój ojciec...

Mocno ścisnął jej rękę.

– Odezwał się?

– Nie, nie, ale on... on przysłał mi pieniądze, odkąd skończyłam dziesięć lat. Założył dla mnie konto, rachunek inwestycyjny w Allied i co miesiąc robi przelewy. Ona nic nie powiedziała. Nigdy słowem nie wspomniała, trzymała dokumenty w szufladzie pod kluczem. Przez ten cały czas... – Popatrzyła na swoje dłonie. – Zapomniałam zabrać wino.

– Przyniosę ci.

– Zaczekaj. Mam... Marco, mam dziś, bo tam doliczano dywidendy... nie znam się na tym, będę musiała poczytać. Dzisiaj mam trzy miliony osiemset siedemdziesiąt osiem tysięcy pięćset dziewięćdziesiąt sześć dolarów i trzydzieści pięć centów.

Wytrzeszczył na nią oczy.

– Skarbie, to ci się przyśniło, tak? Wiesz, że czasami masz te swoje sny.

– Nie. Przyszłam prosto ze spotkania z moim brokerem. Marco, ja mam prawie cztery miliony dolarów.

– Siedź tutaj i nie waż się ruszyć. Idę po wino. Wrócę z butelką.

Odruchowo zerknęła do lustra.

Rzeczywiście, cera blada, zmęczone oczy. Ściągnęła frotkę z włosów. Tak rano się namęczyła, żeby je rozprostować suszarką, a one z powrotem się poskręcały. I miały myszowaty kolor, bo zmyła się ta brązowa płukanka, którą raz na tydzień tuszowała ich płomienną czerwień, żeby za bardzo nie przyciągały uwagi, nie rozpraszały.

Nieważne – pomyślała. Jak tylko opowie wszystko Marco, pójdzie do domu i się położy. Sprawdziany muszą poczekać, dopóki nie rozjaśni jej się w głowie. A ponieważ zanim wróci do domu, zamierza wypić co najmniej dwa kieliszki wina, na pewno dzisiaj nie ma na to szans.

Marco wrócił z butelką oraz z dwoma kieliszkami i zanim usiadł, nalał im wina.

– Zaczniemy od początku. Jak się dowiedziałaś?

– Marco, to było bardzo dziwne.

Opowiedziała mu wszystko po kolei.

– Muszę zaraz wracać – uprzedził ją. – Poszłaś do biura tamtego brokera sama? To było odważne, Breen.

– Nie wiedziałam, co innego mogłabym zrobić. Byłam wściekła.

– A kto ci powtarza, że powinnaś częściej się wściekać?

Uśmiechnęła się lekko.

– Ty.

– Lepiej utrzymaj tę wściekłość do rozmowy z matką.

– O Boże. – Ukryła twarz w dłoniach. Najchętniej wcisnęłaby głowę między kolana.

– Nie zmieniaj mi się tutaj w galaretę.

Obejrzał się na Sally, który wsunął się na zaplecze przebrany za Cher, w obłądnej sukni obszytej cekinami od Boba Mackie. Salvador Travino oparł rękę na biodrze i zarzucił włosami sięgającej talii peruki.

– Marco, potrzebuję cię za barem. Co jest grane?

– Wybacz, Sally. Breen...

Sally przerwał mu, unosząc palec i mrużąc oczy, z uwagą popatrzył na Breen spod sztucznych rzęs.

– Jesteś chora, skarbie?

– Nie, nie. Wybacz. Ja tylko...

– Kiepsko wyglądasz. – Uniósł jej twarz za podbródek. – Błada jak dziewczica przed nocą poślubną. Czy to przez tego dupka Granta?

– Nie, gdzie tam.

– To dobrze, bo on na ciebie nie zasługuje. Kiedy ostatnio jadłaś?

– Ja... – Nie mogła sobie przypomnieć.

– Tak właśnie myślałem. Marco, zabierz naszą dziewczynkę do domu i daj jej coś do jedzenia. Macie w lodówce czerwone mięso?

– Hmm, raczej nie.

Sally pokręcił głową i gestem Cher odgarnął włosy. Skinął ręką na Marco. – Daj mi swoją komórkę. W tych ciuchach nie mam gdzie trzymać telefonu.

Wziął komórkę i wybrał numer, stukając w szybkę błyszczącymi, złotymi szponami.

– Beau, ty przystojny sukinkocie, tu Sally... Mam się lepiej, niż wyglądam, a wyglądam fantastycznie. Zrób dla mnie dwie megakanapki filadelfijskie na wynos... No, w pracy, mój drogi... Zapisz na mój rachunek. Marco je odbierze. Do zobaczenia wkrótce i ucałuj ode mnie swoją ładną żonę i słodkiego bobasa. A tu masz buziaka ode mnie.

Posłał długi, siarczysty pocałunek i oddał komórkę Marco.

– Po drodze odbierzecie kanapki z Philly Pride. A ty, Breen, po przyjeździe do domu natychmiast wskoczysz w piżamkę. Powinnaś posłuchać Sally i wyrzucić te ciuchy przez okno. Niech je sobie weźmie ktoś, kto nie ma pojęcia o modzie.

– Sally, nie mogę cię zostawić na lodzie w piątkowy wieczór – zaprotestował słabo Marco.

– Myślisz, że nie umiem utrzymać interesu w garści? Nie takie trzymałem, jeszcze zanim ty wyrosteś z pieluch. I z moim zabójczym wyglądem spodziewam się wyrwać sporo sutych napiwków. Zabierz naszą dziewczynkę do domu.

– Dziękuję, Sally. – Breen podniosła się, żeby go uściskać, ale jedynie przytuliła głowę do jego ramienia. Od dziesięciu lat ten mężczyzna dbał o nią bardziej niż rodzona matka.

– Wkrótce pogadamy. I dzwoń, gdybyś mnie potrzebowała. Ale nie bladym świtem przed dziesiątą rano, no chyba, że wyskoczy coś pilnego. Potrzebuję odpowiedniej porcji snu dla urody.

– Nie potrzebujesz. Nie znam nikogo piękniejszego od ciebie.

– No, zmykajcie. Jak wiecie, prowadzę klub.

Wyszli tylnymi drzwiami. Marco odruchowo otoczył Breen ramieniem w pasie. A ona instynktownie oparła głowę na jego ramieniu.

– Jestem taka zmęczona – poskarżyła się. – Nie wiem, czy dam radę coś zjeść.

– Zjesz, zjesz, bo inaczej powiem Sally. A potem położę cię do łóżka.

Prowadził ją ulicami, w bruku odbijały się światła latarni.

Kluby, restauracje, kawiarnie tętniły życiem, tak jak powinny w majowy piątkowy wieczór.

– Właśnie mnie tknęło, że zostawiłam konewkę na podłodze w gabinecie mamy. Pewnie będzie ślad.

– Ojoj.

– Marco, te podłogi są piękne. To w końcu nie ich wina.

– To już problem twojej matki, nie miałyby krążka na podłodze, gdyby tego wszystkiego nie ukrywała przed tobą przez, Jezus, szesnaście lat! Więc przestań się martwić, jeśli nie chcesz mnie wkurzyć. Lepiej powiedz, co teraz zamierzasz.

– Spłacę kredyt studencki. Ellsworth obiecał, że o tym porozmawia, ale nie pamiętam z kim. I że prawdopodobnie gdy zwrócę całość, zapłacę mniej. A ja właśnie tak chcę zrobić, żeby wreszcie mieć to z głowy.

– Jasne. Rozumiem. Pozostają jeszcze dwie sprawy. Jak zamierzasz porozmawiać o tym z matką, no i przede wszystkim, co teraz chcesz zafundować sobie dla przyjemności?

– Nie wiem, nie mam siły o tym myśleć.

– Dobra. W takim razie ja o tym pomyślę.

Skręcili do Philly Pride, gdzie już w wejściu owionął ich zapach grillowanej cebuli. Breen pozwoliła sobie na chwilę błogiej bezmyślności, kiedy Marco odbierał kanapki, niewinnie przy tym flirtując z obsługującym go Trace'em.

– Sądziś, że mógłbym się z nim umówić? – spekulował, kiedy wyszli na zewnątrz.

– Z Trace'em? Nie, jest dla ciebie za smarkaty.

– Jesteśmy równolatkami!

– Metrykalnie. Znudziłbyś się nim po tygodniu, bo poza seksem i grami komputerowymi nic go nie interesuje. Zaproponowałbyś mu wyjście do klubu i usłyszałbyś pewnie: „Poczekaj, aż przejdę na następny poziom *Assassin's Creed*”.

– Niestety, masz rację, ale on jest taki mniam mniam.

– Zgoda, jest, ale to mniam mniam szybko by cię zemdliło. A tak w ogóle ty zwyczajnie próbujesz mnie zagadać, żeby odciągnąć moje myśli od tamtej sprawy.

– No i się udało.

Gdy ponownie przechylała głowę na jego ramię, po drugiej stronie ulicy mignął jej tamten wysoki, smukły mężczyzna ze srebrnymi włosami.

– Marco, widzisz tamtego gościa? – Chwyciła go za ramię i odwróciła w stronę jezdni.

– Jakiego?

– Ja... Był tam. Musiał skręcić za róg. Jechał dzisiaj w autobusie. On... budził we mnie jakieś dziwne uczucie.

Ponieważ dziwne uczucia często jej się przydarzały, Marco wziął ją za rękę i pociągnął za narożnik.

– Widzisz go? Jak wygląda? – dopytywał się, gdy omiatali wzrokiem ulicę.

– Nie, zniknął. Nieważne. W autobusie dopadła mnie migrena i być może stąd tamto niejasne uczucie. Dziwnie bym się poczuła, jeżeli ten człowiek kręciłby się tak blisko domu. Znaczy, gdyby tak było – poprawiła się. – Bo właściwie nie wiem, co widziałam. Mniejsza z tym.

Przeszli jeszcze pół kwartału dzielącego ich od domu; dwupiętrowej kamienicy, bez windy. Breen lubiła ten dom z czerwonej cegły, z tęczą nad frontowym wejściem namalowaną przez właściciela i muzyką sączącą się z otwartych okien w miły wiosenny wieczór.

Nie przeszkadzała jej wspinaczka schodami na drugie piętro.

Właściciel utrzymywał budynek w dobrym stanie. Lokatorzy dbali o czystość i pilnowali siebie nawzajem.

Gdy wchodzili na górę, spod numeru sto jeden doszły ich odgłosy piątkowej gry w karty, w mieszkaniu z numerem dwieście cztery płakało niemowlę, a pod trzysta dwójką ktoś na cały regulator puszczał muzykę operową.

Marco skierował się prosto do kuchennej wnęki.

– Uwolnij się z tych ciuchów. Nie miałbym nic przeciwko temu, żebyś za radą Sally wywaliła je przez okno.

– Nie wiem, co ci się w nich nie podoba.

– Workowate spodnie wiszące na tyłku i ten beżowy sweter, w którym wyglądasz jak wymoczek, że już o butach nie wspomnę.

Trochę naburmuszona weszła do swojego pokoju ze starannie pościętym łóżkiem, małym biurkiem, na którym panował idealny porządek, i oknem wychodzącym na kolorową część miasta.

Zdjęła buty i wstawiła je do wąskiej szafki, ściągnęła sweter, który już zdążyła znienawidzić, jednak zamiast za okno, cisnęła go do kosza na pranie. Chwilę później wylądowały tam spodnie.

Może i wisały jej na tytku, ale przynajmniej nie przyciągały uwagi uczniów czy co poniektórych nauczycieli, jak opięte ciuchy Anny May, nauczycielki historii.

Nałożyła podkoszulek i dół bawełnianej piżamy. Zerknęła na biurko. W tej chwili powinna przy nim siedzieć i sprawdzać wypracowania.

Przeszła do pokoju, który był jednocześnie salonem, jadalnią i salą gimnastyczną. Pozwoliła Marco po swojemu zaaranżować tę ich niewielką wspólną przestrzeń i musiała przyznać, że nadał temu miejscu styl.

Razem pomalowali ściany na ciepły, soczysty kolor, który przywodził jej na myśl czerwoną paprykę, powiesili półkę i ustawili na niej butelki o różnym kształcie i wielkości. Ozdobili ściany oprawionymi plakatami muzyków: Springsteena, Prince'a, Jaggera, Gagi i Janis Joplin.

Kanapę z odzysku nakryli ciemnozieloną narzutą i zarzucili mnóstwem wściekle kolorowych poduszek. Za stół służyło im skrzydło starych drzwi, wsparte na żelaznych nogach, wygrzebanych w lumpeksie.

Zaprzyjaźniony artysta w prezencie urodzinowym dla Breen namalował na blacie latające pomarańczowe i szmaragdowe smoki.

Marco postawił talerz na stole i zapalił świece w metalowych lichtarzach.

– Siadaj – zarządził. – Jedz. Ani kropli wina więcej, dopóki nie zjesz.

– I tak nie powinnam więcej pić.

– Ale się napijesz.

Włączył ich wspólny iPod i cicho nastawił muzykę.

Co prawda w ogóle nie czuła głodu, ale usiadła i podniosła kanapkę do ust.

– Wiesz, Marco, nie mam pojęcia, jak bym sobie bez ciebie radziła.

– Nigdy nie będziesz musiała. Jedz.

Posłusznie jadła i chociaż nie miała apetytu, zdecydowanie lepiej się poczuła.

– Chcę rzucić pracę.

Gdy dotarło do niej, co powiedziała, upuściła kanapkę na talerz i przycisnęła dłoń do ust.

– Skąd mi się to wzięło? – bąknęła.

– Pewnie stąd, że nigdy nie chciałaś zostać nauczycielką.
– Tylko się lekko uśmiechnęła, nie przerywając jedzenia.

– Może mnie kusić, żeby rzucić robotę, ale to szalone i głupie. Owszem, niespodziewanie, nie wiadomo skąd, spadła na mnie fortuna i jeżeli będę uważać, te pieniądze na długo wystarczą. Jednak rezygnacja ze stałej pracy po płatnych studiach, które wkrótce splotę, nie jest mądrą decyzją.

– Chciałaś być weterynarzem.

– Chciałam, a także baleriną i gwiazdą rocka. Chciałam być J.K. Rowling. Nie jestem nikim z nich i nie będę.

– Dziewczyno, ty naprawdę masz lekkie pióro.

Pokręciła głową i zajęła się kanapką.

– Dawne marzenia. Muszę się skupić na tym co teraz i zastanowić się nad przyszłością.

– Zwolnij się z pracy.

– Marco...

– Nie cierpisz jej. Nigdy nie chciałaś uczyć. To twoja matka chciała, żebyś została nauczycielką, i przekonała cię do swojego pomysłu. Jakby nie było innego wyboru. Spłacić kredyt, rzuć robotę i daj sobie czas, zastanów się, co chcesz robić, kim chcesz być.

– Nie mogę tak po prostu...

– Możesz. Mimochodem to ci się samo wymknęło z ust, bo to ci leży na sercu i chodzi po głowie. Breen, nadarza się okazja.

– Ale ja nie umiem robić nic innego.

– Bo nigdy nie miałaś okazji spróbować. Nie spiesz się, zastanów. Mówię ci, zajmij się pisaniem. A jeśli to cię nie kręci, mogłabyś otworzyć jakiś biznes.

– Ja?

– Jasne. Do diabła, Breen, jesteś bystra i zorganizowana – podsumował wzburzony i teraz, kiedy już trochę zjadła, nalał jej wino. – Mogłabyś zostać projektantką i nie pytaj „ja?” tym debilnym tonem. W końcu nie urządziłem tego mieszkania sam, a cholernie dobrze wyszło. Zrobiliśmy to razem. W dodatku masz dobry głos, grasz na pianinie. To też otwiera jakieś możliwości. Pozwoliłaś jej się zasufladkować – ciągnął dalej, coraz bardziej się nakręcając. – A teraz szuflada się otworzyła. Nie pozwól jej zamknąć z powrotem.

– Mam... w poniedziałek pójść do dyrektora i powiedzieć, że nie wracam jesienią? Oł tak, po prostu?

– Właśnie tak po prostu. Przez lato się zastanowisz, co chcesz robić, czego chciałabyś spróbować.

– To mnie przeraża.

– Powiedziałbym raczej, wyzwala. Pomyśl o jednej rzeczy, jakiejś ważnej, której naprawdę chcesz, i możesz teraz to zrobić.

– Chcę polecieć do Irlandii. Jezu, nie masz pojęcia, jak bardzo tego chcę. Chcę poznać miejsce, z którego pochodzi ojciec, dowiedzieć się, co go skłoniło do powrotu i odciągnęło ode mnie. I zapytać, jeśli go odnajdę, dlaczego. Czemu mnie zostawił, czemu przysyłał pieniądze. Po prostu dlaczego?

– Zrób to. To wielka sprawa. Spędź lato w Irlandii, daj sobie czas na przemyślenie reszty.

– To lato?

– Kurde, a czemu nie? Kiedy miałaś jakieś wakacje?

– Po studiach licencjackich pojechaliśmy autobusem do New Jersey. Na tydzień.

– Super się bawiliśmy – przyznał. – Ale to było dawno, Breen. Całe wieki temu.

Podniosła kieliszek i wychyliła go prawie do dna.

– Poleć ze mną.

– Do Irlandii?

– Sama nigdy się tam nie wybiorę. Jedź ze mną. Masz rację, masz rację. – Zerwała się od stołu i krążyła po pokoju.

– A czemu nie? Tego chcę. To jedyna rzecz, na jakiej mi zależy. Polecimy pierwszą klasą i zatrzymamy się w zamku.

Przynajmniej jedną noc musimy spędzić w zamku. Wynajmiemy samochód i będziemy jeździć lewą stroną. – Możemy... możemy wynająć dom. Taką irlandzką chatę krytą strzechą.

– Chyba za dużo wypitaś.

– Wcale nie. – Roześmiała się z błyszczącymi oczami. – Marco, lećmy razem i utwierdzaj mnie w tym pomysle.

– Nie mogę wyjechać na całe lato. Sally i Derrik dadzą mi błogosławieństwo na drogę, ale nie mogę stracić stałej pracy.

– Nie jesteś tam szczęśliwy. Nie cierpisz tej roboty w sklepie muzycznym.

– Zgadza się, ale nie spadły mi z nieba cztery bańki. Pewnie mógłbym pojechać na kilka tygodni, pomóc ci się odnaleźć. Dać ci kopniaka w tyłek na zachętę. Jezu, nigdy nie byłem w Europie.

– Będziemy nawzajem się kopać. Umowa stoi?

Odchylił się na oparcie. Kochał ją jak nikogo i nic na świecie. Nie miał prawa zgasić blasku w jej oczach. Ale miał prawo się potargować.

– Kilka warunków.

Klapnęła na krzesło.

– Słucham.

– Nie stać mnie na latanie pierwszą klasą, więc niech będzie, ty stawiasz. Ale do reszty się dorzucam.

– Nie ma sprawy.

– Jasne, skoro jesteś pieprzoną milionerką.

Odrzuciła głowę do tyłu i zaśmiała się na cały głos.

– Jestem pieprzoną milionerką!

– To pierwszy warunek. Pozostałych też nie odpuszczę. Jak już skończysz kolację, pójdziesz do łazienki i tak długo będziesz myć głowę, aż spłuczesz to bure gówno z włosów. Poza tym wywalisz suszarkę, którą co rano przez godzinę prostujesz swoje śliczne loki.

Kiedy otwierała usta, żeby zaprotestować, powstrzymał ją przeczącym ruchem głowy.

– Lecisz do Irlandii. Nie będziesz tam jedynym rudzielcem.

– Nigdzie nie jestem jedynym rudzielcem.

– Zgadza się, ale czemu sobie wmówiłaś, że z takimi włosami, twoimi włosami, wyglądasz niepoważnie? Że one przyciągają uwagę? I co z tego, że przyciągają? Chrzań to, Breen.

– Jeżeli wrócę do naturalnego koloru włosów, pojedziesz ze mną na co najmniej dwa tygodnie.

– Niech będzie.

– W takim razie wszystko ustalone.

– Nie całkiem. Mam jeszcze jeden warunek.

– Twarda z ciebie sztuka, Marco Polo.

– Nie jestem łatwy. Ostatnia rzecz, zasadnicza. – Nachylił się ku niej. – Jutro idziemy na zakupy, a jeszcze dziś pakujemy prawie całą zawartość twojej szafy do worków. W drodze na zakupy postawimy je pod drzwiami Pomocy Społecznej. Jesteś szczęściarą, moja droga, bo marzeniem każdej

kobiety jest przyjaciel gej, który pomaga wybierać ciuchy i nie skręca go z zazdrości, kiedy ona w nich chodzi.

– Moje rzeczy nie są znowu takie złe.

– Smutne i żałosne i do ciebie nie pasują. Dałaś sobie wmówić, co powinnaś nosić, i padło na cholerne beże. Nie chcę źle mówić o twojej matce, bo tak mnie wychowano. Ale jedno ci powiem; kiedy w przyszłym tygodniu będziesz z nią rozmawiała, masz wyglądać na taką osobę, jaką naprawdę jesteś: silną, niezależną, piękną i inteligentną. Skoro już o tym mowa, pomyślimy też o odpowiednim maki-jażu.

– To mnóstwo warunków.

– Jest, ile jest. Kocham cię, Breen.

– Wiem i... – Wyciągnęła do niego rękę. – Zgoda.

– No, tak to rozumiem!

Rozdział 3

Nowa Breen, w dzień spodziewanego powrotu matki, wzięła wolne. Zrobiła zakupy z listy i włożyła je do lodówki. W końcu tak się z matką umówiła.

Pootwierała okna, podlała kwiaty, posegregowała pocztę.

Miała ułożony w myślach spokojny, acz stanowczy monolog. Szczerze mówiąc, wcześniej zapisała na kartce, co zamierza matce powiedzieć. Potem to wydrukowała, kilkakrotnie przejrzała i przećwiczyła przed lustrem.

Później powtarzała to wszystko już bez lustra, bo nie do końca poznawała osobę, którą tam widziała.

Istotnie zmiana była radykalna. Mówiło o tym nie tylko jej odbicie, ale komentarze i komplementy, które spotykały ją w pracy czy choćby w autobusie.

Pierwszą rzeczą, jaka rzucała się w oczy, były płomiennie rude loki, sięgające poniżej ramion. Kiedy chciała je skrócić, Marco zdecydowanie się sprzeciwił, twierdząc, że ta fryzura dodaje jej charakteru. Wprawdzie nie była pewna co do tego charakteru, ale ustąpiła.

Teraz absolutnie nie będzie wtapiać się w tło – pomyślała. Po prostu poczeka tydzień lub dwa i zobaczy, jak się będzie czuła w nowym wcieleniu.

Natomiast już zdążyła polubić nową, co prawda na razie nieliczną garderobę. W zdecydowanych kolorach albo w wiosennych pastelach i zero beżów. Dopasowane spodnie, kilka prostych, ładnych sukienek. Jeden kostium. Nowe pantofle; pozostała przy trzech parach, pomimo entuzjastycznych zachęt Marco. I mając na uwadze wyjazd do Irlandii, dołożyła traperki.

Uparta się przy wyprzedażach, a mimo to w jeden dzień wydała na siebie więcej niż w ostatnim półroczu.

Znacznie więcej.

Może ta gorączka ostatnich dni tak osłabiła jej wolę, że dała się namówić Marco na przekłucie uszu.

Bezwiednie bawiła się delikatnym srebrnym kolczykiem na sztyft, patrząc na najnowszy esemes od Marco.

ODWAGI.

Postanowiła wziąć sobie tę radę do serca, gdy zobaczyła taksówkę podjeżdżającą pod dom matki.

Z przyzwyczajenia wyszła na zewnątrz.

Skupiona na matce, nie zauważyła srebrnowłosego mężczyzny, który obejrzał się na nią, przechodząc ulicą.

Jennifer Wilcox wyglądała jak zwykle perfekcyjnie w dopasowanych popielatych spodniach, białej bluzce z miękkiego materiału i letnim żakiecie w kolorze nasyconej czerwieni. Brązowe włosy z jaśniejszymi pasemkami korzystnie podkreślały regularne rysy jej twarzy.

Kiedy Breen podeszła do taksówki, żeby pomóc z bagażem, nie umknęła jej zaskoczona mina matki i... przelotny grymas dezaprobaty.

– Ja wezmę tę – powiedziała Breen, ciągnąc za uchwyt dużą walizkę na kółkach firmy Sumatra, z kolekcji Pullman.

Jennifer zarzuciła na ramię torbę z tej samej kolekcji i podniosła aktówkę z laptopem.

– Nie spodziewałam się ciebie. Dlaczego nie jesteś w pracy?

– Wzięłam wolne. – Breen, walcząc z drżeniem kolan, włożyła walizkę do domu.

– To nie było konieczne.

– Było, dla mnie.

– Źle się czujesz?

– Nie. – Podciągnęła walizkę do schodów i gdyby w porę się nie zreflektowała, wtaszczyłaby ją na górę. – Dobrze się czuję, a właściwie doskonale.

– Nowy chłopak, tak? – Jennifer postawiła torbę i machnięciem ręki wskazała włosy Breen. – Stąd ten pomysł?

– Nie, nie ma chłopaka, ani nowego, ani żadnego. Jestem ruda i postanowiłam wrócić do naturalnego koloru.

– Twój wybór, oczywiście, jednak te włosy bardzo rzucają się w oczy. Sądziś, że uczniowie będą traktować z szacunkiem kogoś, kto wygląda niepoważnie?

– To już nie jest mój problem. Pracuję do końca roku szkolnego. W poniedziałek złożyłam wypowiedzenie.

Zaskoczenie malujące się w oczach matki sprawiło Breen ponurą satysfakcję.

– Postradałaś rozum? Musisz natychmiast wycofać wypowiedzenie. Co z twoim wykształceniem i poczuciem bezpie-

czeństwa? Jaka przyszłość cię czeka?

– Nigdy nie chciałam być nauczycielką.

– Och, nie bądź śmieszna. Nie zamierzam tracić czasu na bzdury. Muszę się rozpakować, sprawdzić, co słychać w firmie. – Spojrzała na zegarek. – Masz jeszcze czas, żeby wrócić do szkoły, przeprosić szefa, naprawić sytuację.

– Nie.

Jennifer zmrużyła piwne oczy, pociemniałe teraz z irytacji.

– Słucham?

– Powiedziałam „nie”. Będziesz musiała wygospodarować trochę czasu w swoim napiętym grafiku na rozmowę o panu Ellsworcie i moim koncercie w Allied Investments. No i o ojcu.

Policzki Jennifer, dotąd zaczerwienione z gniewu, nagle zbladły.

– Jak śmiesz! Grzebałaś w moich prywatnych papierach?

– Akurat tak samo moich, jak twoich. Ale nie, nie grzebałam. Zresztą mniejsza o to. Problem w tym, że mnie oszukiwałaś. Okłamywałaś.

– Nieprawda. Robiłam to, co należy do matki. Dbałam o twoje dobro. O twoją przyszłość.

– Cały czas mnie okłamując. A ja czułam się nieszczęśliwa. Ojciec przysyłał mi pieniądze. Były przeznaczone dla mnie. Przez ciebie uwierzyłam, że on mnie zostawił, że go nie obchodzi.

– Bo zostawił, a ja inwestowałam te pieniądze. Byłaś nieletnia...

– Od dawna jestem pełnoletnia.

– Nie widziałam, żebyś umiała gospodarować pieniędzmi, miałaś lekką rękę.

– No nie, nie wierzę. – Targnął nią gniew. – To bzdura.

– Jak śmiesz odzywać się do mnie takim tonem?

– Będę mówić takim tonem, jakim mi się podoba. Ciągnęłam dwie prace, brałam kredyty, ledwo wiązałam koniec z końcem, a wszystko po to, żeby skończyć studia, które mi nie odpowiadały. Miałam zostać nauczycielką, bo ty wbijałaś mi do głowy, że do niczego innego się nie nadaję. Nie słyszałam od ciebie, że to ważny, zaszczytny zawód, wręcz powołanie. Raczej dawałaś mi do zrozumienia, że do szkoły trafiają ci, którzy gdzie indziej sobie nie radzą.

– Nie masz żadnych konkretnych umiejętności. I lepiej się opanuj.

– Jestem bardzo opanowana. Mogłam sprawdzić kilka kierunków, dowiedzieć się, co chciałabym robić, kim zostać. Może zajęłabym się pisaniem.

– Och, proszę cię. Skończ z tą dziecinadą.

– Ty decydowałaś, co i jak powinnam robić. Ty mówiłaś, jak mam się ubierać, co robić z włosami. Rany boskie! I na dodatek gwarancję mojej wolności trzymałaś pod kluczem w szufladzie.

– Ochraniałam cię! Całe życie cię chronię!

– Przed czym? Przed samodzielnością? Powiedziałaś panu Ellsworthowi, że nie interesuje mnie zarządzanie finansami, dałaś mu do zrozumienia, że jestem nieodpowiedzialna.

– Bo jesteś, Breen. – Jennifer pewnym siebie gestem odgarnęła włosy. – Spójrz tylko na siebie – zaczęła, przybie-

rając irytujący, bezgranicznie cierpliwy ton. – Dowiadujesz się, że masz jakieś pieniądze, i z miejsca rzucasz pracę. Czy to jest odpowiedzialne zachowanie?

– Wiesz, co jest nieodpowiedzialnym zachowaniem? Marowanie życia w pracy, której się nie cierpi. Brak możliwości odkrycia, kim się jest i kim mogłoby się być, bo matka uważa cię za niezaradną.

– Nigdy tego nie powiedziałam. To nie w porządku.

– Nie, masz rację. Ale miałaś to słowo na końcu języka. Powiedzmy, według ciebie, słabo sobie radziłam. I nie wiem, może rzeczywiście tak jest. Ale sama muszę to sprawdzić.

Breen zaczerpnęła oddech. Widziała, jak bardzo matkę zdenerwowała ta rozmowa, ale ona jeszcze nie skończyła.

– Wiedziałaś, że przejmuję się kredytem, że oglądam każdy cent i chwytam się różnych prac, żeby się utrzymać. A ty ukrywałaś w tajemnicy pieniądze, które pozwoliłyby mi odetchnąć.

– Najpierw trzeba się nauczyć rozporządzać pieniędzmi. – Jennifer opadła na krzesło. – Twój ojciec zawsze bujał w obłokach, a ty jesteś do niego podobna. Musiałaś poznać twardą rzeczywistość. Zawsze chciałam dla ciebie jak najlepiej.

– Gdzie on jest?

– Nie wiem. – Jennifer przycisnęła palce do powiek. – Nie mam pojęcia. Postanowił więcej nie wrócić. Pamiętasz, jak wtedy na mnie naskoczyłaś? Tak zdecydował. Nie zabraniałam mu kontaktować się z tobą. Nigdy bym tego nie zrobiła. – Opuściła dłoń. – To ja zawsze byłam przy tobie, dzięki mnie miałaś stabilny dom. Opiekowałam się tobą, gdy chorowa-

łaś, pomagałam odrabiać lekcje, a jednocześnie budowałam swoją karierę, żeby zapewnić nam przyzwoite warunki.

– Zgoda, robiłaś to wszystko, ale jedna rzecz ci umknęła. Mnóstwo czasu i wysiłku wkładałaś w kształtowanie mnie według swoich wyobrażeń, ale nie pozwalałaś mi szukać własnej drogi.

– Robiłam wszystko, żeby dać ci poczucie bezpieczeństwa i stabilności. Chciałam cię nauczyć prowadzić normalne życie.

– Jako nieszczęśliwa, potulna nauczycielka gimnazjum, która farbowała włosy brązową płukanką i ubierała się w beże, żeby przypadkiem nie rzucać się w oczy.

– Jesteś bezpieczna – nie ustępowała Jennifer – i zdrowa. Zdobyłaś wykształcenie, masz zawód.

– To mi nie wystarcza. Ty też chciałaś więcej. Robisz karierę, jeździsz na wakacje, do spa.

W cierpliwy głos Jennifer wkradł się gniewny ton.

– Zapracowałam na to.

– Oczywiście. Samo z nieba nie spadło. – Breen przysiadła naprzeciw matki. – Zostałaś dyrektorką medialną we wziętej agencji reklamowej. Miałaś predyspozycje, determinację i odwagę. Bardzo ciężko pracowałaś. Odniosłaś sukces i podziwiam cię za to. Masz prawo być z siebie dumna. A ja mam prawo iść własną drogą i szukać spełnienia w życiu. –

Breen podniosła się z krzesła. – Usunęłam twoje nazwisko z rachunku. Jutro pan Ellsworth powinien się z tobą skontaktować, żeby ustalić, czy chcesz zmienić brokera, czy zostajesz w Allied i otwierasz nowy rachunek. Tak jak prosiłaś, zrobiłam ci zakupy. Podlewałam kwiaty, odbierałam pocztę.

Okna, jak widzisz, są otwarte. Sama je pozamykasz. Więcej nie będę przybiegać na każde twoje skinienie palcem.

Dziewczyna wahala się. Nie, jednak powie, co jej leży na sercu.

– Przykro mi, że cię zdenerwowałam, ale postępowałam nieuczciwie. Skrzywdziłaś mnie. Do dzisiaj mnie to boli.

– Nigdy nie chciałam cię skrzywdzić.

– Możliwe. Może to prawda, ale jak ty to zawsze powtarzasz, tak wygląda rzeczywistość. Czas na mnie. Jestem umówiona z Marco.

– Co zamierzasz robić? Jakie masz plany, Breen?

– Hmm, na początek, zaraz po zakończeniu roku szkolnego lecę z Marco do Irlandii. Chcę zobaczyć miejsce, z którego pochodzi tata. Spróbuję go odnaleźć.

– Nie uda ci się. – Jennifer przycisnęła palce do powiek. – Nic z tego nie wyjdzie.

– A jednak spróbuję. Tak czy owak, po raz pierwszy, odkąd on zniknął, czeka mnie jakaś przygoda.

– Nie rób tego, Breen. Najpierw się zastanów, a potem działaj.

– Pozamykaj okna. Chyba zanosi się na burzę.

Wyszła. Minęła przystanek i szybkim krokiem szła pod gęstniejącymi chmurami.

Mężczyzna w czerni podążył za nią z czarnym parasolem przewieszonym przez ramię. Wiedział, że za szesnaście minut spadnie deszcz.

Nie spodziewał się, że wszystko pójdzie tak szybko i gładko. Oczywiście, przed nim jeszcze daleka droga, ale pierwszy krok został zrobiony.

Zakładał, że będzie musiał skłonić dziewczynę do działania, a tymczasem ona okazała się bardzo przedsiębiorcza. Jeżeli zacznie się wahać, wtedy on będzie musiał podjąć odpowiednie kroki.

Teraz mógł się cieszyć pobytem w Filadelfii, mieście, które go fascynowało. A co do jedzenia: bardzo polubił precle, natomiast rozczarowały go irlandzkie cukierki ziemniaczane, jak je tutaj nazywano. W Irlandii nikt o nich nie słyszał.

Podobały mu się tutejsze dzielnice, małe społeczności i różnorodność architektury. Raz czy dwa wybrał się na wycieczkę po mieście i nieźle się bawił, kiedy przewodnik opowiadał o długiej historii tego miasta.

Oni tutaj nie mieli pojęcia o wielkich dawnych tradycjach i bogatej historii.

Uznał to bajanie za, na swój sposób, urocze.

Filadelfijczyków rozpieęła duma, że to właśnie w ich mieście uformował się pierwszy rząd. Działania owego rządu, delikatnie rzecz ujmując, cechował spory chaos, ale poszedł w zapomnienie wraz z upływem czasu.

To bardzo młody kraj. A do tego uparty, agresywny, często przesadnie zachłanny.

A jednocześnie nieobce mu były miłość i nadzieja. Dzięki nim można wiele zdziałać.

Pomyślał o dziewczynie – ona miała obie te cechy i będzie ich potrzebować, chociaż dotąd ukrywała je przed

światem, w którym się obracała.

Dziewczyna cały czas szła przed siebie. I dobrze, bo nie przepadała za autobusami. Ale za to polubiła pociągi. Jednak, jeżeli ona dalej będzie tak szła, to zmoknie.

Nagle się zatrzymała przed wystawą. Odeszła, cofnęła się. Stała. Gdy już miał wniknąć w jej myśli, zdecydowanym krokiem weszła do środka.

Przeszedł przed witryną, przeczytał szyld. Zastanawiał się chwilę.

A potem ze śmiechem na ustach otworzył parasol. Deszcz lunął co do minuty, dokładnie tak, jak przewidział. Zadowolony z rozwoju sytuacji, uznał, że teraz może coś przekąsić. Miał ochotę na bagietkę z mięsem, serem i warzywami. Będzie mu ich brakowało po powrocie do domu – pomyślał.

*

Dwie godziny później Breen weszła do domu. Marco na nią czekał. Bez słowa objął ją i rozkołysał.

- Było okropnie – wyznała.
- Domyślam się. Wino czy lody?
- Czemu nie jedno i drugie?
- Mówisz i masz. Siadaj. Wujek Marco wszystko przygotuje.
- Pogładził ją po włosach. – Zmokłaś.
- Trochę. – Opadła na krzesło. Gdy tylko znalazła się w domu, spłynęło z niej zmęczenie. – Nie musisz iść do pracy?
- Pójdę za godzinę, może dwie! – zawołał z kuchni. – Teraz czas na wino, lody i ochłonięcie. Pewnie matka nie była

zadowolona.

– Oskarżyła mnie o szperanie w jej prywatnych papierach, wygłosiła kazanie o pochopnym rzucaniu pracy, wytykając mi brak odpowiedzialności i niezaradność w rozporządzaniu finansami. Trzymała w tajemnicy pieniądze od ojca, żeby mnie chronić.

Marco, jak zawsze esteta, wniósł na bambusowej tacy dwa pucharki pełne ciasteczkowych lodów, dwa kieliszki schłodzonego pinot grigio i złożone płóciennie serwetki.

– Przed czym? – chciał wiedzieć.

– Zapewne przed samą sobą, ponieważ jestem głupia, nieodpowiedzialna i niezdolna do samodzielnego podejmowania decyzji.

Marco podniósł łyżeczkę do ust.

– Bardzo lubię twoją matkę – wyznał ostrożnie.

– Wiem.

– Zawsze była dla mnie miła. A kiedy ujawniłem, że jestem gejem, nie miała z tym problemu, w przeciwieństwie do mojej rodziny, która nie mogła się z tym pogodzić i nadal mnie nie akceptuje. To się liczy.

– Wiem.

– Lubię ją, ale otwarcie mówię, że ona nie ma racji. Cholernie się myli i jest mi przykro.

– Była bardzo zdenerwowana. I chyba nie tylko dlatego, że złapałam ją na kłamstwie, podłym kłamstwie, z którego usiłowała wybrnąć, szukając wykrętów. Miałam wrażenie, że ona się przejęła i przestraszyła, że ja w jakimś sensie przypieczętowałam swój los czy coś w tym rodzaju.

Uśmiechał się, nabierając lody na łyżeczkę.

– Breen, czy ciebie czasem nie ponosi?

– Możliwe, ale takie miałam wrażenie. Powiedziała, że nie wie, gdzie jest mój ojciec, i raczej jej wierzę. Była za bardzo zdenerwowana na wymyślanie kłamstw na poczekaniu. Kłóciłyśmy się prawie przez całą rozmowę, niemal skakałyśmy sobie do oczu. A potem ona ustąpiła, rozumiesz. Poddawała się.

– Powiedziałaś jej, że lecimy do Irlandii?

– Tak i w zasadzie usłyszałam jedynie, że go nie odnajdę.

– Breen podniosła kieliszek. – Nie przyznała się, że nie miała racji. Nie przeprosiła. Nie mogła tak po ludzku powiedzieć: przepraszam? – Pokręciła głową.

– Breen, przecież to takie proste, ona uważa, że miała rację. Nie będzie za to przepraszać, no nie? Jennifer Wilcox zawsze ma rację.

– Nie tym razem. Nieważne. – Zjadła łyżeczkę lodów. – Powiedziałam, co miałam do powiedzenia, i zrobię to, co muszę. Co chcę zrobić. Nie mam obowiązku niczego jej udowadniać. – Pochwyciła jego spojrzenie, westchnęła. –

Dobra, jakaś część mnie tego chce, jednak przede wszystkim pragnę się sprawdzić. I to się liczy najbardziej. Och! –

Machnęła łyżeczką. – Skrytykowała moje włosy i potem, kiedy tak szłam, tknęło mnie, że przecież włosy mam po ojcu. Ogniecie rude i kręcone. Może za bardzo jej go przypominam, ale wiesz, co?

– Co?

– To są moje pieprzone włosy i powinna mnie kochać taką, jaka jestem. Więc niech się z tym pogodzi.

– No właśnie. – Przytaknął z uśmiechem i zaraz spoważniał. – Co to? – zapytał zaniepokojony, przytrzymując jej rękę. – Skaleczyłaś się?

– Ach, niezupełnie. – Szybko podniosła kieliszek, kiedy Marco podciągnął jej rękaw i oglądał bandaż na nadgarstku.

– Nie rozumiem?

– Byłam taka wkurzona. Szłam przed siebie, przeoczyłam jeden przystanek autobusowy, potem drugi. Cały czas odtwarzałam w myślach naszą rozmowę. Marco, ja poczułam się dotknięta, ona mnie obraziła. A ja dobrze pamiętam czasy, kiedy chodziłam na lekcje baletu i jak bardzo je lubiłam.

– Słodko wyglądałaś w trykotach i rajstopach.

– Lekcje dawały mi tyle radości. Tata nazywał mnie Małą Baletnicą, a kiedy odszedł... matka stwierdziła, że nie stać nas dłużej na takie zabawy i nie powinnam się smucić, bo byłam zaledwie przeciętna. Umiąłem już trzymać odpowiednią postawę i równowagę, a ponoć więcej niczego by mnie tam nie nauczili. Potem jeszcze przez rok opłacała lekcje pianina i na tym koniec.

– Nigdy mi nie mówiłaś.

– Bo to mnie bardzo bolało. Owszem, nie łudziłam się, że kiedyś zostanę primabaleriną – przestałam o tym fantazjować w wieku siedmiu lat, ale uwielbiałam tańczyć, ćwiczyć w zespole, należeć do grupy. Było, minęło. Nieważne. W każdym razie, gdy tak szłam, wróciło wspomnienie tamtej sytuacji i wielu innych. Uświadomiłam sobie, że nigdy nie walczy-

łam o sobie, nie stawiałam się. I zrobiło mi się strasznie smutno.

– Więc się pocięłaś?

– Nie, gdzie tam. Kiedy szłam przytłoczona tymi wspomnieniami, zobaczyłam reklamę: *Wyraź Siebie*. Czy nie na tym mi właśnie zależało? Na wyrażeniu siebie? Weszłam do środka i...

Nadęta policzki i wydmuchała powietrze.

– Kurczę, Breen. Zrobiłaś tatuaż!

– To był impuls. Przyptyw gniewu. Zemsta czy coś w tym rodzaju. Zanim ochłonęłam, już było za późno, żeby się wycofać.

– Co wytatuowałaś? Pokaż. Czemu nie puściłaś mi esemesa? Oboje zrobilibyśmy sobie dziary. Taki był plan.

– Nigdy nie planowaliśmy tatuaży.

– Zaplanowalibyśmy, gdybyś powiedziała, że masz ochotę na tatuaż. Jak on wygląda? Kiedy możesz zdjąć bandaż?

– To nie bandaż, już teraz mogę to zdjąć. Z początku miał być na bicepsie, ale pomyślałam: nie, lepiej na nadgarstku, bo jak zechcę, zawsze mogę odwrócić rękę i popatrzeć. Głupio zrobiłam.

Ściągnęła opatrunek z gazy, obróciła dłoń wnętrzem do góry.

– Piękne liternictwo – pochwalił – podobne widuje się na napisach wrytych w kamieniu. Podoba mi się kolor – taki ciemnozielony, prawie czarny. Co to znaczy *misneach*?

– Czyta się *miszna*. Po irlandzku: odwaga. Znalazłam to słowo. To przez ciebie mam ten tatuaż.

Ujął jej dłoń, odwrócił i pięknymi dużymi oczami wodził po literach.

– Jak to, przeze mnie?

– Przysłałeś mi taki esemes, akurat kiedy matka weszła do domu. Potrzebowałam wtedy odwagi i przypomniałam sobie o tym, kiedy zobaczyłam tamtą cholerną reklamę.

– W takim razie chętnie biorę winę na siebie, bo tatuaż jest super. Wróćmy tam jutro, też taki machnę. Albo wiesz co? Zaczekam z tym do Irlandii, będzie jeszcze fajniej. A ty zafundujesz sobie jeszcze jeden.

– Raczej odpada. Ale ty się nie krępuj.

– Bolało?

– Z początku nie, zabolalo dopiero, gdy ochłonęłam z gniewu, ale wtedy było już za późno. Może rzeczywiście jestem nieodpowiedzialna.

– Nieprawda. Po prostu wyraziłaś siebie. To mi się podoba. Chodź ze mną do pracy, pokaż to dzieło.

– Zostanę w domu, przygotuję konspekty lekcji, a później obejrzę chaty do wynajęcia w hrabstwie Galway.

– Naprawdę to robimy?

– Naprawdę to robimy. – Odwróciła nadgarstek. Odwagi – pomyślała.

*

Breen rzetelnie (bo z natury była sumienna) co rano szła do szkoły i, najlepiej jak potrafiła, wywiązywała się z obowiąz-

ków. Oceniała wypracowania i nawet czuła satysfakcję, gdy widziała poprawę u niektórych uczniów.

Wieczory i weekendy zajmowały jej przygotowania do podróży życia. W końcu znalazła chatę w regionie Connemara, w hrabstwie Galway, taką, o jakiej myślała. Chata stała w malowniczej okolicy z zatoką w pobliżu i z widokiem na góry, w odległości zaledwie kilku mil od uroczej wioski.

Niepowodzenia przy wcześniejszych próbach rezerwacji uznała za kolejny znak, tak jak wcześniej spontaniczną wizytę w salonie tatuażu. Bez wahania wynajęła tę chatę na całe lato.

Niemniej nękały ją wątpliwości związane z samym wyjazdem.

Żeby przypadkiem nie stchórzyć (odwagi), zadatkowała trzy noclegi w zamku Dromoland w hrabstwie Clare i zarezerwowała bilety na samolot.

Klamka zapadła.

Musiła jeszcze poczekać na paszport, na Marco i koniecznie kupić aviomarin. Nie wiedziała, jak znieśie podróż, bo nigdy nie leciała samolotem. Lepiej dmuchać na zimne.

Zaopatrzyła się w mapy i przewodniki, wynajęła samochód w Irlandii i przez całą noc nie zmrużyła oka, myśląc o jeździe tamtejszymi drogami.

Dwukrotnie spotkała się z panem Ellsworthem, a on przygotował dla niej tysiąc euro (dobry Boże, okrągły tysiąc!).

Wszystko, co się działo, nawet pakowanie, przypominało dziwny sen.

Kiedy po raz ostatni wyszła ze szkoły, miała wrażenie, że uwolniła się z cudzego snu.

Gdy szła na przystanek autobusu, też po raz ostatni, myślała o tym jak o zamknięciu drzwi. Nie zatrzaśnięciu ich czy udawaniu, że żadnych drzwi nie było, tylko o domknięciu ich i przejściu do innego pomieszczenia.

Nie, źle! To raczej przypominało budzącą nadzieję przeprowadzkę z domu, w którym nigdy dobrze się nie czuła, w nowe, bardziej dla niej odpowiednie miejsce.

Jutro o tej porze będę w drodze na lotnisko. Po całonocnej podróży znajdę się w innym świecie. I po raz pierwszy od niepamiętnych czasów będzie żyć po swojemu. Żadnych planów lekcji, konspektów, żadnego budzika rano.

Kurczę, co ona będzie robić?

Dowie się w swoim czasie – pomyślała. Popatrzyła na tatuaż. Weź się w garść i sprawdź.

Wyłowiła z torby dzwoniącą komórkę.

– Hej, Sally.

– Breen, skarbie. Muszę cię poprosić o ogromną przysługę. Wiem, że jesteś zajęta.

– Właściwie nie. Wszystko pozałatwiane.

– Och, to łagodzi moje poczucie winy. Jestem w kropce. Mogłabyś przyjść na kilka godzin? Miałem telefony od trzech pracowników. Jakieś problemy żołądkowe, no i brakuje mi ludzi.

– Jasne. Nie ma sprawy.

– Wielkie dzięki. Będę też musiał ściągnąć Marco. Przykro mi, ale...

– Nie przejmuj się. Miło będzie zobaczyć się ze wszystkimi przed wyjazdem. O której mam się stawić?

– Dasz radę około szóstej?

– Pewnie. Za chwilę wsiadam do autobusu. W domu po raz nie wiadomo który sprawdzę, czy wszystko spakowałam, przebiorę się i o szóstej jestem z Marco u ciebie.

– Moja wdzięczność nie ma granic. Kocham cię, dziewczyno.

– Ja też cię kocham.

Bardzo dobrze – uznała Breen, wsiadając do autobusu. Przynajmniej nie będzie miała czasu myśleć o locie, kontroli bezpieczeństwa na lotnisku, katastrofie samolotu nad Atlantykiem, lewostronnym ruchu w Irlandii i wszystkich innych niepokojach dręczących ją w ostatnich tygodniach.

Popracuje od szóstej do drugiej nad ranem, wróci do domu, padnie na łóżko i może uda jej się dłużej pospać.

I zanim się obejrzy, będzie już siedzieć w samolocie.

Uspokojona, spojrzała za okno.

Znowu go zobaczyła; tego mężczyznę ze srebrnymi włosami. Stał na chodniku i uśmiechał się do niej. Straciła rachubę, ile już razy go widziała.

Natknęła się na niego przed kancelarią Ellswortha i nawet U Sally, kiedy pomagała w barze.

Za każdym razem, gdy zbierała się na odwagę, żeby do niego podejść, znikał. Jakby rozptywał się w powietrzu.

Pewnie mieszka gdzieś w sąsiedztwie – pomyślała. – Jednak widywała go także na mieście.

Nieważne, ona niedługo znajdzie się tysiące kilometrów stąd i więcej go nie zobaczy.

Tylko jedna doba – myślała, gdy autobus, postępując, toczył się ulicą. Jedna doba dzieli ją od rozpoczęcia nowego życia.

Rozdział 4

W domu, tak jak przewidziała, nie wiadomo który raz wszystko posprawdzała.

W walizkach niedawno kupionych na wyprzedaży za pół ceny, pewnie dlatego, że były turkusowe, zostało sporo luzu na pamiątki z Irlandii, prezenty i ewentualne zakupy, gdyby coś ciekawego wpadło jej w oko w czasie prawie trzymiesięcznego pobytu.

Na podręczny bagaż wybrała plecak; miała go od studiów. Nie szkodzi, że był mocno sfatygowany, przyda się na wędrówki po górach. Spakowała tam przewodniki, mapy, krople do oczu, aviomarin, ibuprofen, plastry z gazą, tabletki, laptop, ładowarki, długopisy, notes, dwie książki, przybory toaletowe i kosmetyki.

Paszport, bilety, prawo jazdy, karty kredytowe i gotówkę włożyła do wygodnej, niedużej torebki na ramię.

Kiedy się upewniła, że niczego nie pominęła i o niczym nie zapomniała, nastawiła alarm w telefonie i wyciągnęła się na półgodzinną drzemkę. Powinna złapać oddech, skoro do drugiej w nocy będzie obsługiwać gości.

Przede wszystkim musi przestać krążyć myślami wokół ewentualnych kłopotów, jakie mogą pokrzyżować im plany, bo inaczej nici z drzemki.

Na przykład jedno z nich łapie jakąś poważną infekcję albo w nocy ulegają wypadkowi i muszą zrezygnować z podróży.

Dowiadują się, że wszystkie loty do Irlandii zostały bezterminowo odwołane, bo... coś tam.

Lądują w Irlandii, na miejscu okazuje się, że ich paszporty są nieważne, i zostają natychmiast deportowani.

Dochodzi do inwazji kosmitów.

„Żywe trupy” naprawdę opanowują świat.

Straciła pięć minut na snucie czarnych scenariuszy, nic więc dziwnego, że drzemka wcale nie przyniosła relaksu.

Śniła, że idzie po gęstej, zielonej trawie pod ołowianym niebem. Słońce przedziera się przez grubą warstwę szarych chmur.

Wąski rów wije się leniwie niczym wąż pomiędzy lądem i dużą zatoką. Z nieruchomej wody wystają jakieś rośliny podobne do masywnych zielonych pięści, na odległych wzgórzach pasą się białe, puszyste owce o czarnych głowach.

Powietrze, wilgotne i chłodne, lekko porusza liśćmi drzew i wprawia w drżenie feerię barw w ogrodzie.

Słyszy śpiew ptaków i melodyjne tony dzwoneczków kołysanych wiatrem. Dziesiątki ich wiszą na gałęziach drzewa na skraju lasu.

Schodzi z gęstej trawy na wąską jak wstążka, brązową ścieżkę. Tutaj światło ma niezwykłą zieloną barwę. Gęsty kożuch mchu otula grube pnie i powyginane konary drzew, pokrywa skały wystające z ziemi.

Szemrze wartki strumyk, spływając ze skalnych pótek. Breen ma wrażenie, że słyszy szepty i śmiech.

To pewnie woda – myśli – albo dzwoneczki na początku ścieżki.

Zauroczona idzie przed siebie.

Nad jej głową przelatuje szmaragdowozielony ptaszek. A po nim drugi, czerwony jak rubin, i trzeci z szafirowymi skrzydełkami.

Odprowadza je wzrokiem; pierwszy raz widzi ptaki mieniące się jak klejnoty.

W grze zielonego światła i cienia słyszy ich dźwięczny, nieco przenikliwy świergot. Towarzyszy mu łoskot wody rozbryzgującej się o skały.

Wysokość wodospadu przyprawia o ją zawrót głowy i przyspiesza bicie serca.

Spieniona, biała jak śnieg woda wpada z hukiem do wijącego się potoku i zmienia barwę na bladozieloną. Najpierw trzy, a potem więcej ptaszków wiruje nad kaskadą. Migotliwa aureola z topazów, karneoli, ametystów, błękitnych kobaltów. Ptaszki pikują, wzbijają się w górę, kreślą koła.

Jeden z nich zlatuje ku niej i trzepocząc skrzydełkami, zawisa na wysokości jej twarzy. Breen widzi jego złote oczy i rubinowe skrzydełka ze złotymi końcówkami.

Nie, to wcale nie ptak, tylko smok nie większy od wnętrza jej dłoni.

– Witaj, wiem, ty jesteś Lonrach. Cudownie. – Breen wyciąga rękę, ogarnia ją podniecenie, gdy smok siada na jej dłoni. – Należysz do mnie.

Jak zahipnotyzowana zbliża się z nim do wodospadu z tańczącymi wyżej małymi smokami.

Teraz jej wzrok przenika przez białą wodę jak przez przezroczyste, ruchome szkło.

Widzi coś, co wygląda na szaro-czarne miasto z wieżami i iglicami wznoszącymi się ku niebu, które jest bardziej purpurowe niż niebieskie i przypomina gojący się siniec.

Najwyższa wieża z czarną szklaną iglicą wyrasta ze skalistej wyspy. Wąski chybotliwy most przerzucony nad spienionym morzem łączy ją z miastem na klifach.

Breen ma wrażenie, że słyszy lament, wojenne okrzyki, nie-ludzkie jęki, szczęk żelaza i tętent kopyt.

Z bijącym sercem podchodzi bliżej i widzi kłębowisko ognia i dymu.

Czy ma przejść z tego cudownego miejsca w sam środek pożogi?

Dlaczego miałyby to zrobić? Dlaczego ktokolwiek chciałby to zrobić?

Podchodzi jeszcze bliżej, świergot smoka zmienia się w skrzek, wodospad huczy, uderza o skały.

Smok podrywa się z jej dłoni i dołącza do towarzyszy. Breen woła go, ale jak on ma ją usłyszeć w tym zgiełku?

Coś połyskuje czerwono i złoto w bladozielonym potoku. Na ułamek sekundy ogarnia ją strach, że to smok wpadł do wody. Ale nie, on krąży nad jej głową i wpatruje się w nią złotymi oczami.

To szlachetny kamień leży na dnie. Wielkości niemowlęcej piąstki, na łańcuchu ze złotych ogniów inkrustowanych drob-

nymi klejnotami, z zapięciem w kształcie smoka w locie.

Ktoś go zgubił; ktoś musiał go upuścić. Widać, że coś ważnego się tu wydarzyło. W takim razie zejdzie na dół i pobrodzi w wodzie, żeby wyciągnąć łańcuch.

Kiedy ostrożnie schodzi na brzeg, powietrze zaczyna pulsować, tętnić jak serce. Klejnot chyba też pulsuje.

Poryw wiatru targa drzewami porośniętymi mchem. Niebo rozdziera potężna błyskawica, na ułamek sekundy białe światło zalewa świat. Łoskot piorunu pozbawia ją oddechu.

To burza – myśli. Nikt rozsądny nie chodzi po lesie w burzę, nie wchodzi do wody, kiedy biją pioruny.

Później tutaj przyjdzie. A teraz wróci do domu, gdzie jest ciepło, sucho i bezpiecznie. Niech ktoś inny weźmie sobie ten wisior.

Jednak, jeżeli się przechyli i mocno wyciągnie rękę, może podniesie z dna złoty łańcuch i...

Traci równowagę i zamiast w płytki potok wpada w bladezieloną toń.

Młóci rękami, chce wydostać się na powierzchnię, ale jej dłoń natrafia na gładką jak stal ścianę.

Płynie w prawo, tam również napotyka ścianę, z lewej strony to samo. Już rozumie; uwięzła w czymś w rodzaju pułapki. Nad sobą widzi niebo, jest czarne, przecinają je błyskawice, szaleje burza.

Tłucze pięściami o ścianę. Rani dłonie, krew zabarwia wodę.

Czuje, że się dusi. Wypuście mnie. Wypuście mnie.

Masz klucz. Użyj go. Przebudź się – słyszy.

Jak przez mgłę widzi zamek niczym w drzwiach. Mieni się srebrzyście wysadzany drogimi kamieniami.

Nie dosięgnie go – myśli – jest za daleko.

Serce jej łomocze; ma drgawki.

Marco podniósł ją za ramiona i w tej samej chwili włączył się alarm w komórce.

– Jezu, Breen. Już myślałem, że masz napad padaczki.

– Ja... tonęłam. Wpadłam do potoku, okazał się taki głęboki i... O Boże, to było straszne.

Przytulił ją i odgarnął wilgotne włosy z twarzy.

– Byłam w jakimś cudownym miejscu. Widzę je teraz jak przez mgłę, ale wiem, że tam było pięknie. Weszłam do wody, już nie pamiętam po co, i wtedy zaczęłam tonąć.

– Dziewczyno, ty dygoczesz. – Zdenerwowany przycisnął usta do jej czoła. – Oddychaj głęboko.

– Nic mi nie jest. – Z ulgą wypuściła oddech w jego ramionach. – Ten sen to chyba było ukoronowanie moich koszmarów.

– Jeszcze takiej cię nie widziałem. Trzęsała się, dławiałaś i miałaś szeroko otwarte oczy. Wystraszyłaś mnie jak cholera.

– Byłam przerażona. – Przytuliła głowę do jego ramienia, które zawsze służyło jej wsparciem. – Przepraszam, naprawdę. To moja wina. Niepotrzebnie się nakręciłam myślami o lotnisku, podróży, o rozmaitych wydumanych problemach. Muszę z tym skończyć, bo tamto piękne miejsce jest właśnie tam, gdzie lecimy.

– To pewne jak dwa razy dwa, że będziemy nim zachwyceni. Ale więcej nie rób mi takich numerów. – Odsunął ją od siebie na długość ramienia i z uwagą popatrzył jej w twarz. –

Moja babcia mówiła o takich dziewczynach jak ty, że są nadwrażliwe. Jesteś modelowym przykładem nadwrażliwca. Mam zadzwonić do Sally, uprzedzić go, że nie przyjdziemy?

– Absolutnie nie. To był tylko zły sen wywołany stresem. Przynajmniej zajmę się pracą i nie będę mieć czasu na głupie myśli.

– W takim razie umaluj się, popraw urodę.

– A co z nią nie tak? Oprócz tego, że należy do nadwrażliwca?

– Nałóż ciemne cienie na powieki, podkreśl migdałowy kształt tych szarych oczu. Przecież pokazywałem ci, jak masz się malować. Idę się przebrać w coś seksownego, niech wszyscy widzą, że ich barman zasługuje na sute napiwki. Puszczam cię przodem do łazienki – rzucił, po czym wyszedł z salonu.

– Jak ci minął ostatni dzień dawnego życia?! – zawołał, przebijając się w swoim pokoju.

– Nieźle, właściwie całkiem dobrze. Jestem gotowa na początek nowego.

Kiedy jakiś czas później szli do klubu, Breen objęła Marco w pasie ramieniem.

Na ostatni dzień w barze Marco wybrał czerwony podkoszulek, który podkreślał jego smukłą figurę i mięśnie ramion wyrzeźbione na siłowni. Dopasował kolorem pasek przy spodniach i buty za kostkę.

Breen wiedziała, że nie tylko ona się denerwuje.

– Opowiesz, jak wyglądała pożegnalna wizyta u rodziców?

– O czym tu opowiadać? – Wzruszył ramionami. – Oboje byli mili. Tata życzył mi szczęśliwej podróży i zniknął w warsztacie. Mama poczęstowała mnie colą, powiedziała, że w Irlandii jest mnóstwo kościołów, więc ma nadzieję, że przynajmniej w co którymś spędzę trochę czasu. Ona nadal wierzy, że modlitwa ma zbawienny wpływ na homoseksualizm.

– Przykro mi.

– A tam, wszyscy zachowaliśmy się uprzejmie, a to już coś. Nie poszedłem zobaczyć się z bratem, bo wiedziałem, że w jego przypadku nie mam co liczyć na uprzejmość. Za to skontaktowałem się z siostrą. Była zawałona robotą, ale chwilę miło pogadaliśmy.

– Na Keishy zawsze możesz polegać. – Breen pocieszającym gestem na moment mocniej objęła go w pasie. –

Marco, dla naszych rodzin jesteśmy odmieńcami. Mnie to nie przeszkadza. A nawet zaczyna mi się podobać. Za to ty ciągle nie możesz się z tym pogodzić. Jutro wsiadamy do samolotu i nikt nas tam nie zna. Możemy być, kim chcemy.

– Kim jesteś?

– Pracuję w brytyjskim wywiadzie w służbie Jej Królewskiej Mości i dlatego nie mogę o tym mówić.

– Dobry wybór. Ja jestem młodym miliarderm filantropem, sławnym tekściarzem i w tajemnicy mam romans z bardzo seksownym aktorem i piosenkarzem.

– Kto to może być?

– Nie mogę wyjawić, to tajemnica. Powiedzmy, że jego imię rymuje się z Moodacris.

– Jako agentka MI6 umiem rozkodować twój zmyślny szyfr. On rzeczywiście jest sexy.

Skręcili do klubu. Marco przystanął przed informacją umieszczoną w błyszczącej ramce obok drzwi.

– Czy Sally wspominał coś o zamkniętej imprezie?

– Nie. Hmm. Na prywatnych imprezach wpadają największe napiwki.

Weszli do środka. Przywitały ich chóralne wiwaty.

Breen miała wrażenie, że trafiła w sam środek obchodów Dnia Świętego Patryka – jedno z niewielu świąt, które Sally hucznie celebrowała.

Trójlistne koniczyny, tęcze, skrzydlate wróżki i skrzaty; nie zabrakło ani jednego elementu irlandzkiego folkloru.

Słyszała, jak Marco, chichocząc, szepnął:

– O kurde!

Derrick Lacross, gorąca i trwała miłość Sally, podszedł do nich z dwoma kieliszkami szampana. Miał zieloną kamizelkę opiętą na imponującej kłacie i zabawny, słodki kapelusik skrzata nałożony na bakier na blond czuprynę z jaśniejszymi pasemkami.

– Myśleliście, że damy wam wyjechać tak bez pożegnania?

Podał im kieliszki, wziął z tacy jeden dla siebie i odwrócił się do pełnej sali. Wzniósł kieliszek, a wtedy wszyscy chórem zawołali: *Sláinte!*

Breen zaniósła się śmiechem.

– Niesamowite – wydusiła. – Po prostu niesamowite.

– To dopiero preludium. Pijcie, dzieciaki.

Z głośników buchnęła irlandzka muzyka. Sally z postawionymi na żel krótkimi włosami, specjalnie na tę okazję pomalowanymi na zielono, podszedł do nich, a właściwie przyfrunął, bo do długiej sukni z białego brokatu miał doczepione zielone skrzydła, które falowały przy każdym kroku.

– Akurat pozwoliłbym wam pracować w noc przed wyłotem. – Przewrócił oczami i cmoknął ich w policzki. – Ty – wręczył Marco wysoki czarny kapelusz z błyszczącą zieloną wstążką – jedz, pij i baw się. A ty – wziął Breen za rękę – pójdziesz ze mną.

– Sally! – Marco uściskał przyjaciela. – Jesteś niesamowity. Rany, ty i Derrick nie macie sobie równych.

– Oczywiście oczywiście. Twoja siostra, Marco, jest na zebraniu i przyjdzie za mniej więcej godzinę.

– Naprawdę? To... cudownie!

– A teraz biegnij za Derrickiem. Breen musi dokończyć przygotowania do przyjęcia.

Pociągnął ją za sobą i ani na chwilę nie puszczając jej dłoni, lawirował w tłumie.

– Panie i panowie, ona wróci. A tymczasem miłej zabawy! – Torował im drogę wyciągniętą ręką, w którą ktoś przytomnie wsunął kieliszek z szampanem.

– Sally, nie mogłeś mi zrobić lepszej niespodzianki. Jesteś kochany.

– Och, znasz mnie. Każdy pretekst jest dobry do urzędzenia przyjęcia. – Zaprowadził ją do wspólnej garderoby na zapleczu. – A ty i Marco jesteście mi i Derrickowi szczególnie bliscy. A teraz – to powiedziawszy, podszedł do stojaka z kostiumami – ubierzemy cię stosownie do okazji.

Zdjął z wieszaka sukienkę, krótką i zieloną jak jego włosy, z głębokim dekoltem na plecach w kształcie litery V.

– Śliczna, ale...

– Jest twoja. Derrick wybrał ją dla ciebie, a jak wiesz, on ma doskonały gust.

– Kupiliście mi sukienkę.

– Imprezowq, której sobie nie fundnęłaś mimo niespodziewanego przyływu gotówki. A ja, jako osoba o wysublimowanym smaku, dobrałem buty do kompletu.

Podał jej parę złotych pantofli z otwartym noskiem i paskiem przez kostkę.

– Strasznie wysokie te obcasy.

– Dasz radę. Ze wszystkim sobie poradzisz. A teraz wyskakuj z ciuchów, dziewczyno. Impreza zaczęła się bez nas.

Trudno było się nie zgodzić, gdy słyszało się głosy, śmiechy i muzykę, od której trzęsło się przepierzenie garderoby.

Zdjęła buty, ściągnęła T-shirt i spodnie.

– I biustonosz, skarbie. Jego widok mnie zasmuca.

Breen stała w zwykłym białym staniku i praktycznych białych bawełnianych figach.

– Bez biustonosza?

– Sukienka ma usztywnienie, chociaż ty go wcale nie potrzebujesz. A temu smętnemu stanikowi czas wyprawić pogrzeb. Eksponuj swoje walory.

– No dobrze. Kolejny krok na nowej drodze.

Wśliznęła się w sukienkę i uniosła ręce, żeby Sally mógł zaciągnąć zamek na boku.

– Pasuje.

– Idealnie. Siadaj. Teraz buty.

Usiadła, nałożyła je i zmagła się z paskami.

– Zaprosiłeś rodziców Marco.

– Inaczej popełniłbym nietakt.

– Odmówili. Tak samo jak moja matka.

Sally przyklęknął i zapiął klamerki przy paskach.

– Ich strata. Serce mnie boli, kiedy patrzę na tego rodzaju ludzi. Los ich obdarzył takimi udanymi dziećmi, a oni nie potrafią zaakceptować ich odmienności.

Poklepał Breen po stopie.

– Dziewczyno, posłuchaj rady starej cioty: bądź sobą i miej wszystko w nosie.

– Wcale nie jesteś stary – zaproponowała, a Sally roześmiał się rozbawiony.

– Pomyśl o pedicure. Wrzuć trochę koloru na te ładne paluszki.

– Załatwię to w Irlandii.

– I kup sobie elegancką bieliznę, dziewczyno. – Zanim Breen zdążyła zaprotestować, zahaczył zgiętym palcem

o ramiączko stanika i odrzucił go na bok. – Spotkasz jakieś irlandzkie ciacho, on zobaczy coś takiego, i co, po zawodach?

– Najpierw spróbuję odnaleźć siebie, a dopiero potem pomyślę o irlandzkich ciachach.

– Jesteś mądrą kobietą. Przede wszystkim musisz się dowiedzieć, co daje szczęście, Breen. Reszta przyjdzie sama.

– Kocham cię, Sally.

– Och, moja dziewczynka. Ja też ciebie kocham. A teraz wstań i podejdź do lustra.

Zobaczyła kobietę z kaskadą ognistorudych loków, w seksownej zielonej sukience wysoko odstawiającej nogi w pantofelkach godnych księżniczki.

– Wyglądam... szynkownie.

– Prosty krój, żadnych falbanek, to twój styl. – Sally zakręcił palcem w powietrzu. – Obróć się.

– Mogę zwichnąć kostkę.

– Bez obawy, spokojnie utrzymasz równowagę.

Okręcając się, zerknęła na tył sukni.

– No, nieźle.

– Najseksowniejsze z pleców. – Położył Breen dłonie na ramionach i uśmiechnął się, przybliżając policzek do jej policzka. – Oto Breen Siobhan Kelly.

– Sally, nawet bez skrzydeł jesteś moją chrzestną wróżką.

– Bycie wróżką to moje ulubione zajęcie. A teraz łap za kieliszek i idziemy pokazać się gościom.

*

Breen, rozkosznie wyczerpana, przespaa noc bez stresujących snów.

Ale rano napięcie powróciło. Ponownie potwierdziła wszystkie dokonane rezerwacje, po raz nie wiadomo który sprawdziła, czy wszystko spakowała. Uważnie przejrzała paszport, czy przypadkiem nie ma tam jakichś błędów.

Potem przepytła Marco, czy pozatębiał wszystko, co miał do zatuszenia.

– Zgłosieś na pocztę, żeby zatrzymywali korespondencję?

– Zgłosieem, chociaŹ niewiele listów dostajemy. Wszystkie szybko psujące się produkty, równieŹ niewiele, zaniostem do Grace, po drugiej stronie korytarza. Dałem jej klucz, żeby podlewała nasze nieliczne kwiaty i od czasu do czasu pozatębiała światła w mieszkaniu, aby zniechęcić włamywaczy, gdyby przypadkiem któryś z nich potasił się na nasze główne graty.

– Dobrze schowałeś euro?

– Taak, łącznie z pięcioma setkami od Sally i Derricka.

– Co? Oni wczoraj dali ci pięćset euro?

– Nie przyjęli odmowy. Mam część tych pieniędzy wydać na kolację w eleganckiej restauracji, żebyś mogła się pokazać w nowej sukience.

– To są... cali oni.

– Powiem ci coś jeszcze, jeśli przestaniesz świrować, bo zaczyna mi się udzielać twoja dygotka.

– A co?

– Pojedziemy limuzyną na lotnisko.

– Marco, nie możemy wyrzucać pieniędzy na limuzynę.

– Nie będziemy. To pomysł bywalców U Sally. Wiesz, że brat Reno jest kierowcą limuzyny. Razem wszystko załatwili. Będzie tutaj za godzinę, idę więc pod prysznic i przebieram się w strój wytrawnego podróżnika. A ty w tym zamierzasz lecieć?

Popatrzyła na czarne legginsy do jogi i prosty czarny sweater.

– Będziemy spać w samolocie. Wygodny i praktyczny zestaw.

– W sumie masz rację. Zupełnie jakbyś bez przerwy gdzieś latała. Tylko zmień te czarne buty na tenisówki, na które cię namówiłem. Przyda się kolorowy akcent.

– Dobra.

Zmieniła buty, obejrzała zawieszki na walizkach, nałożyła czarny żakiet. Sprawdziła pogodę na lotnisku Shannon. Szesnaście stopni, pochmurno, prawdopodobieństwo opadów: czterdzieści procent.

Marco, już gotowy do drogi, w oliwkowym T-shircie i dżinsach, wyrzął przez okno.

– Ha! Właśnie podjechało wielkie czarne limo.

– Boże, Boże, już czas! Musimy znieść bagaże.

Mieli do pokonania dwa piętra. Kiedy stanęli na dole z jedną z walizek Breen, jej plecakiem, walizką Marco i jego torbą na ramię, podszedł do nich kierowca w uniformie.

Breen za żadne skarby nie mogła sobie przypomnieć, jak ma na imię brat Reno, czyli Tiny Turner.

– Pozwólcie, że pomogę. Jestem Frazier – przedstawił się. – Wiozę was na lotnisko.

– Piękne autko.

– Prawda?

– Na górze jeszcze zostało kilka rzeczy – uprzedziła go Breen.

– Nie ma problemu – uspokoił ją. – Najpierw włożymy to wszystko do bagażnika, dama poczeka w samochodzie, a my z Marco zniemiemy resztę.

Miała wrażenie, że śni; długi samochód, skórzana tapicerka, biała róża w wazonie z przezroczystego szkła. Frazier dał jej butelkę wody. Popiła nią aviomarin; wołała go łyknać, tak na wszelki wypadek.

Kiedy limuzyna płynnie ruszyła, Marco zajął się zabawą wyświetlaczami i systemem nagłaśniającym, a ona siedziała wpatrzona w okno.

Opuszczała Filadelfię na trzy miesiące. Tu było wszystko, co знаła. Tutaj miała przyjaciół. Zgodnie z planem Marco po dwóch tygodniach wracał do Stanów.

Wtedy zostanie sama, pierwszy raz w życiu zdana wyłącznie na siebie.

Bez apodyktycznej matki, bez serdecznego przyjaciela u boku, bez wsparcia Sally. Bez pracy, bez stałych obowiązków, bez nadzoru.

Jeżeli uzna, że musi czymś wypełnić czas, poszuka pracy. Skoro ojciec był irlandzkim obywatelem, ona miała prawo

ubiegać się o podwójne obywatelstwo. I dlatego, jeżeli...

– Przestań się zamartwiać – skarcił ją Marco. – Dotujesz się.

– Wcale nie. Akurat myślałam, że kto wie, może zechcę tam trochę popracować. Na przykład, w pubie, bo to lubię. Albo w sklepie. Czy w centrum ogrodniczym. Chciałabym się nauczyć hodować rośliny. Mój tata chyba dorastał na farmie. Przynajmniej tak mi się zdaje. Pomieszały mi się tamte wszystkie historie, które mi opowiadał, ale myślę, że jednak wychowywał się na farmie.

– Mają ich tam mnóstwo.

– W każdym razie nie martwię się. – Absolutnie nie – utwierdziła się w duchu. – Trochę się denerwuję, ale to co innego. A ty nie?

– Nie. Ja jestem podjarany. Breen, dotąd oboje rzadko ruszaliśmy się poza Filadelfię. I zobacz, co robimy. Jestem ci taki wdzięczny.

– Bez ciebie bym sobie nie poradziła. Poważnie, w życiu nie wsiadłabym sama do samolotu.

– No to się szykuj, dojeżdżamy do lotniska.

Odruchowo chwyciła torebkę. Marco położył rękę na jej dłoni.

– Skarbie, wszystko masz, łącznie z paszportem. Jedziemy zagrzebistą limuzyną. Ciesz się chwilą.

– Chcesz cieszyć się chwilą? – Wyjęła komórkę z torebki, przytuliła się do Marco. – No to czas na selfie.

– Prześlij mi. Wrzucę tę fotkę na Instagram i na Twitter. Hasztag: przyjaciele na wieki, hasztag: w drodze, hasztag...

- Wystarczy – hamowała go rozbawiona.
- Hej, pomyśl o dzienniku podróży; będziesz go pisać dzień po dniu. I założymy blog.
- Nic nie wiem o blogach.
- Wiesz, jak pisać, a ja wiem, jak go założyć. – Nasunął na nos designerskie okulary słoneczne firmy RayBan, które fundował sobie w przypiływie finansowego szaleństwa. – Musimy wymyślić dobry tytuł. Będziesz go prowadzić też po moim wyjeździe, tak żebym... O kurde, jesteśmy na miejscu. Zastanów się nad tym.

Gdy jechali limuzyną, znaleźli się w innym świecie, za to na lotnisku trafili do innego wszechświata. Ludzkie mrowie, ogromny gwar, mnóstwo najróżniejszych oznaczeń.

Oddali bagaże i Breen starała się nie panikować, gdy jej walizki odjechały na ruchomej taśmie, a ona została z plecakiem i małą torebką.

Wszędzie kolejki! Podczas przejścia przez kontrolę bezpieczeństwa była bliska paniki, ale jakoś nikt ich nie aresztował.

Za to skierowano ich do poczekalni dla pasażerów pierwszej klasy.

- Tylu ludzi gdzieś leci, tylu skądś przylatuje.
- My też gdzieś lecimy. – Marco uśmiechnął się i lekko podrygując, wziął Breen pod ramię. – Może czegoś się napijemy, coś przekąsimy. Mamy czas.
- Powiedzieli, że mamy pójść do poczekalni dla pierwszej klasy. – Nie była pewna, czy da radę cokolwiek przełknąć, ale wiedziała, że musi się wyciszyć w jakimś spokojnym miejscu.

Tu i ówdzie stały zbite w gromadkę całe rodziny z niemowlętami, małymi dziećmi, z dziadkami. Osobnicy wyglądający na biznesmenów przemieszczali się zdecydowanym krokiem, co rusz spoglądając w ekrany smartfonów. Trochę ludzi drzemało na krzesłach przy bramkach. Mnóstwo wyglądało na śmiertelnie znudzonych.

Jak można się nudzić przed lotem?

Widziała ludzi oglądających telewizję, czytających książki, wpatrzonych w tablety. Zobaczyła...

Mężczyznę ze srebrnymi włosami.

To niemożliwe, a jednak... stał w kolejce do jednej z bramek.

– Marco...

– O, tutaj jest nasza poczekalnia.

– Marco, widziałam...

Mężczyzna zniknął.

– Już nic – mruknęła.

Stres, nadmiar wrażeń, wyobraźnia płata figle.

Przeszli przez oznakowane drzwi i znaleźli się w strefie ciszy i zapachu cytrusów. Kobieta z profesjonalnym uśmiechem na twarzy siedziała za kontuarem ozdobionym białym storczykiem.

– Dobry wieczór państwu. Mogę prosić o karty pokładowe?

– Nie wiem, czy trafiliśmy we właściwe miejsce – powiedziała Breen, wydając karty z torebki.

– Oczywiście. Powiadomimy państwa o czasie wejścia na pokład. Proszę tędy.

Weszli do dużego, cichego pomieszczenia. Tutaj pasażerowie siedzieli w fotelach albo przy stolikach, sączyli drinki, jedli przekąski, przeglądali czasopisma.

Nieco zagubiona Breen usiadła i podniosła szeroko otwarte oczy na Marco.

Odpowiedział jej równie zaskoczonym spojrzeniem.

– Ludzie tak żyją, Breen. Wyobraź sobie! Mają tutaj krewetki, widziałaś? Koktajl z krewetek. Wezmę dla nas.

Podszedł do nich kelner.

– Czego się państwo napiją?

– Ja...

– Możemy prosić o szampana? – zapytał Marco.

– Już niosę.

Pili szampana, jedli koktajl z krewetek. Breen nawet nie mrugnęła okiem, kiedy Marco wsunął do podręcznej torby kilka jabłek, paczkę chipsów, colę i butelkę wody.

Zaczyna się nasza przygoda – pomyślała – może rzeczywiście warto pisać ten dziennik. Sprawia jej to przyjemność, no i w przyszłości miło będzie odświeżyć wspomnienia.

Dwa kieliszki szampana uspokoiły jej nerwy i gdy wywołano ich lot, czuła już tylko przytłumioną ekscytację. Okazało się, że pasażerowie pierwszej klasy praktycznie przechodzą z poczekalni prosto na pokład samolotu.

Ich fotele wyglądały jak jakieś futurystyczne kapsuły.

– Dziewczyno, mamy telewizor i całą kupę filmów za friko! Popatrz tylko, te fotele się rozkłada do spania. No i dali nam takie fajne kosmetyczki. Są szczoteczki do zębów, mgiełka do twarzy, opaski na oczy do snu. Skarpetki! Fajnie, nie?

– Mam wrażenie, że śnię.

– To nie sen. Dawaj, robimy selfie.

Kiedy wyciągnął telefon, podszedł do nich steward.

– Czy podać państwu jakieś drinki, zanim wystartujemy?

– Szampana – zdecydowała Breen i szeroko się uśmiechnęła. – Przez całą drogę pijemy szampana.

Na terminalu mężczyzna ze srebrnymi włosami odprowadził spojrzeniem samolot toczący się po pasie.

Jego misja została zakończona sukcesem, czas wracać.

Będzie tęsknił za Filadelfią, preclami, kolorami, za dużym zbiorowiskiem ludzi.

Ale cieszył się, że wraca do domu.

Jeszcze nie teraz, przypomniał sobie. Zostało jedno zadanie do wykonania, musi odwiedzić pewne miejsce.

Swobodnym krokiem wmieszał się w tłum podróżnych. Zakręcił za róg i rozpułynał się w powietrzu.

Rozdział 5

Breen dokonała istotnego odkrycia. Spodobało jej się latanie! Tego nie przewidziała, sądziła, że przez całą drogę będzie walczyć ze stresem.

Tymczasem podróż samolotem okazała się bardzo przyjemnym doświadczeniem. Miała pod ręką jedzenie, picie, rozrywkę, no i towarzyszył jej Marco. Fascynowało ją patrzenie przez okno. Co prawda miała za szybą jedynie smolistą czerń, ale oczyma wyobraźni widziała ocean, statki kołyszące się na wodzie, małe wyspy, które zostawiali za sobą.

Wątpliwe, żeby latanie pierwszą klasą weszło jej w krew (trzeba myśleć praktycznie), jednak wiedziała, że już nie będzie się czuła taka przyspawana do ziemi. Kto wie, może raz na rok wybierze jakiś punkt na mapie, spakuje walizkę i polecą w to miejsce.

Czyż nie byłoby cudownie?

Nie liczyła, że uda jej się zasnąć, a tymczasem szampan, obejrzany z Marco film i monotonny szum silników zrobiły swoje. Nałożyła słuchawki, włączyła playlistę irlandzkich ballad (aby wczuć się w te klimaty), obniżyła oparcie fotela, nakryła się pledem, przyłożyła głowę do poduszki i momentalnie zasnęła.

Śniły jej się zielone pola, niebieskie jeziora, gęste lasy i łagodnie wznoszące się wzgórza. Leciwała nad tymi polami,

jeziorami i lasami na czerwonym smoku. W tym głębokim śnie czuła smaganie wiatru na twarzy.

Zobaczyła strumień, a przy nim chatę z kamieni z ogrodem od frontu i ścianą lasu w tle. Po chwili przeleciała nad farmą z zielonymi polami, ogrodzoną murkiem z kamiennych ciosów. Mężczyzna szedł za masywnym brązowym koniem, pług znaczył zieleni rzędami brunatnych skib. Z głębi snu doszedł ję głos oracza; śpiewał o utraconej miłości.

Sen przeniósł ją w noc, czerwony smok szybował pod niebem poznaczonym migotliwymi gwiazdami. Dwa księżycy: mleczny w pełni i jaskrawy półksiężyc czuwały nad światem.

Gdy słońce wyłoniło się zza zielonych wzgórz, malując je złotem i czerwienią, opadła na ziemię. Stała nad jeziorem obok mężczyzny z mieczem przypasanym u boku i buławą w dłoni z głowicą ozdobioną jarzącym się czerwonym kamieniem.

Mężczyzna drugą ręką trzymał za wodze czarnego rumaka. Jego falujące włosy, czarne jak umaszczenie konia, opadały poniżej kołnierza koszuli. Z lewej strony przy twarzy wiał mu się cienki warkoczyk. Nieznajomy wpatrywał się w Breen zielonymi oczami jak otaczające ich wzgórza.

– Sen to bezruch. Zbudź się i działaj albo śpij, niech się dowie, że jego poświęcenie nic dla ciebie nie znaczy.

Wściekłość i wstyd, dwa grube postronki, splotły się w niej w ciasny węzeł. Czerń zmąciła światło brzasku. Podmuch wiatru ciął jak bat. Czarne niebo rozdarła błyskawica, piorun uderzył w pobliżu stóp mężczyzny.

Ani jeździec, ani koń nawet nie drgnęli.

– Zbudź się – powtórzył z uśmiechem nieznajomy. – Obudź się i udowodnij, że się mylę. Przebudź się, Breen Siobhan O’Ceallaigh, i bądź.

Obudziła się półprzytomna, oszołomiona. Była gotowa przysiąc, że czuje zapach ozonu i trawy. Leżała bez ruchu w ciemnej kabinie, starając się zatrzymać w pamięci jak najwięcej szczegółów ze snu.

Najlepiej wszystko zapisać – zdecydowała.

Usiadła, zapaliła lampkę, wyciągnęła laptop. Może jej umysł nie działa na pełnych obrotach, ale przynajmniej spisz wszystko, co zapamiętała. W sumie to był ciekawy sen, taki bujny. Nawet w tym mężczyźnie, chyba wojowniku, a może królu, dostrzegła coś fascynującego. Ciekawe, co taka postać oznacza w podświadomości.

W miarę łatwo rozszyfrowała resztę symboli. Smok pochodził z poprzedniego snu, latanie miało związek z podróżą samolotem. Kojarzyło się ze swobodą. A taki widok często pojawiał się na pocztówkach z Irlandii.

Dwa księżyce? Może symbolizowały zamianę jednego miejsca (świata) na drugie? Kto wie?

Chata wyglądała jak tamta, którą wynajęła w Galway. Farma? Rozmawiała z Marco o tym, że jej ojciec wychował się na farmie. Oracz? Czyżby ojciec? On śpiewał i ojciec też śpiewał. Lirycznym tenorem, zwanym irlandzkim, jak ten oracz. Jednak nie, to nie był śpiew taty; dobrze знаła głos Eiana Kelly’ego, miała nagrania i puszczała je, kiedy matka wychodziła z domu.

Prawdopodobnie on miał symbolizować osobę ojca.

Ten gniewny mężczyzna? Wysoki, muskularny, ale nie potężny, jak na przykład Derrick. Bystre zielone oczy, czarne włosy – długie, falujące z warkoczykiem wojownika po jednej stronie. Ubrany jak postaci z *Gry o tron* albo filmu o królu Arturze. Buława symbolizuje władzę, prawda? Podobnie jak miecz jest atrybutem wojownika czy rycerza. A kamień przypominał tamten z wcześniejszego snu.

Burza prawdopodobnie wyrażała jej bunt przeciwko spełnianiu poleceń. Nie życzyła sobie, aby ktoś jej dyktował, co ma robić.

Jakkolwiek na to patrzeć, sen był naprawdę niezwykły i zdecydowanie warto go zapisać.

I warto uwiecznić każdy dzień tej podróży – dodała w myślach. Miała niewielkie pojęcie o prowadzeniu bloga, ale otworzyła nowy dokument i po chwili zastanowienia wstukała tytuł:

SZUKAJĄC SIEBIE

Pisała prawie godzinę. Współpasażerowie powoli się budzili, rozbłyśkiwały lampki nad fotelami. Stewardesy krążyły po kabinie, półszeptem proponując kawę i śniadanie.

Sącząc kawę, przeczytała i poprawiła tekst.

– Jezu, wyszło tego pięć stron!

Wzięła lotniczy zestaw toaletowy oraz swoją kosmetyczkę i udała się do łazienki. Kiedy wróciła, Marco siedział z kawą nad jej dziennikiem.

– Hej!

– Zostawiłaś otwarty laptop. Breen, to jest naprawdę dobre.

– Jeszcze nie skończyłam, muszę wszystko doszlifować.

– Zostaw tak, jak jest. Tekst jest zabawny, barwny, napisany w gawędziarskim stylu. Właśnie tak powinien wyglądać blog. Zaraz ci go założę.

– Marco...

– Aha, zamówiłem dla nas omlety, z bekonem dla ciebie, z kiełbasą dla mnie. Zastanawiałem się nad Krwawą Mary albo Mimosą, ale niedługo czeka nas jazda samochodem. Carla, nasza stewardesa, powiedziała, że lądujemy za mniej więcej czterdzieści pięć minut.

– Jak chcesz nazwać domenę? – zapytał, skupiony na laptopie.

– Ja...

– Dobra, weźmy coś prostego. BreenSiobhan.com. Na razie bez drugiego członu nazwiska. Osobiste szczegóły będą widoczne wyłącznie dla ciebie. Ty decydujesz, co chcesz udostępniać. Pomogę ci. Wszystko tak ustawię, że będziesz dostawać powiadomienia o komentarzach. Zaprojektuję prostą, elegancką stronę. Ważne, żeby była łatwo dostępna na komórkach i tabletach.

On lubi się bawić komputerem – pomyślała. – Co tam, niech się pobawi.

– Kto to będzie czytał? – zapytała bez przekonania.

– Wszyscy od Sally. Dla nich to supersprawa, będą mogli śledzić, gdzie jesteśmy i co robimy. I frajda dla nas, gdy już wrócimy do domu.

Posłał jej uśmiech znad klawiatury.

– Ty pisz, ja zajmę się stroną techniczną. Pokażę ci, jak ładować zdjęcia i teksty. Jeżeli po paru tygodniach stwierdzisz, że blogowanie cię nie bawi, zawsze możesz zrezygnować. Chcesz wybrać czcionkę?

– Sam wybierz. – Nie zamierzała się w to wszystko wgłębiać. Widziała w tym coś w rodzaju wysyłania przydługich pocztówek do przyjaciół.

– Świetnie. Właśnie kończę i wysyłam grupowy mail z linkiem do bloga.

On kończył, a tymczasem ją już nękały myśli o poruszaniu się na lotnisku, dotarciu do wypożyczalni samochodów i jeździe po Irlandii, mimo że po przegranym losowaniu to Marco miał pierwszy usiąść za kierownicą.

Samolot schodził do lądowania. Przez warstwę chmur widziała zielone pola i wzgórza ze swojego snu. Patrzyła na zielono-brązowo-złoty patchwork pod zasnutym szarym niebem.

Jakaś słodka nuta odezwała się w jej sercu i wycisnęła łzy wzruszenia.

– Och, Marco, tylko popatrz!

– Patrzę. – Odwrócony do okna, już robił zdjęcia. – Breen, to wygląda jak obraz, a jednak istnieje naprawdę.

– To wszystko mi się przyśniło. Napisałam o tym.

– Nie widziałem tego w blogu.

– Nie, bo opis snu umieściłam w innym pliku. Pokażę ci później. Musimy się przygotować. Musimy...

– Jesteśmy gotowi. – Wziął ją za rękę.

Wszystko poszło gładko. Podążali za znakami, aż trafili do odprawy paszportowej, pokazali paszporty (tu też nikt ich nie aresztował), odebrali bagaże, ułożyli je na wózku i dotoczyli do wypożyczalni samochodów.

Marco jako kierowca poszedł po samochód, zaś ona z wózkiem została na zewnątrz, żeby zaczerpnąć pierwszy łyk irlandzkiego powietrza.

Było inne, zamglone tak samo jak tutejsze kolory. Deszcz nie padał, ale czuło się wilgoć w powietrzu. Wsluchiwała się w głosy, niektóre należały do Amerykanów, a pozostałe, z wdzięcznym zaśpiewem, obudziły myśli o ojcu.

Uda jej się go odnaleźć? Czy się ucieszy na widok córki? Wyjaśni, dlaczego trzymał się od niej z daleka?

Pragnęła mu wybaczyć. Miała nadzieję, że w przyszłości będzie gotowa wybaczyć matce.

Jednak ten dzień należał do niej. Otworzyła drzwi i dziś przez nie przeszła.

Jezdnią zbliżał się powoli mały czarny samochód. Przez szybę zobaczyła twarz Marco. Miał taką minę, jakby z wielką ostrożnością i rozwagą rozbrajał bombę jądrową.

Dobrze, że padło na niego, nie na mnie – pomyślała.

Marco zahamował i wysiadł.

– Jakoś dojechałem. Przeżyłem.

– Jest ciężko?

– No, dosyć. Na szczęście do zamku jest niedaleko. Wyobraź sobie, że słowo „zamek” przeszło mi przez usta. –

Uśmiechnięty, zdejmował bagaże z wózka. – Gość z wypożyczalni pomógł mi ustawić GPS, więc trafimy bez pudła.

– Mam mapę i wydrukowałam wskazówki.

– No to jesteśmy bezpieczni. – Obszedł samochód i wtedy go tknęło, że znalazł się po niewłaściwej stronie. – Jako dżentelmen otwieram damie drzwi.

– Jasne, oboje w to wierzymy. – Wsiadła, zapięła pas. Głęboko westchnęła. – Nikt nam nie każe szybko jechać.

– Po prostu wrzaśnij, jeśli dam czadu. Albo nie, lepiej nie krzycz. Spokojnym głosem powiedz: „Marco, przyjacielu, jedziesz po niewłaściwej stronie drogi. Do jasnej cholery, wróć na swój pas”.

Nawet całkiem dobrze sobie radzi – myślała Breen. Z całej siły musiała się powstrzymać od rozglądania się po okolicy. Siedziała wpatrzona w drogę, żeby go w porę ostrzec przed dawaniem czadu.

Naprawdę dobrze jechał, nawet wokół tych dziwnych wysepek, czyli „rond” – poprawiła się w myślach.

– Prowadzę w Irlandii, dziewczyno.

– No, patrz na drogę. Już niedaleko.

– Wiesz, że następnym razem ty siadasz za kierownicą. Taka była umowa.

– Tam będzie dużo do oglądania. Może zatrzymamy się w zamku na trzy dni.

– Marne szanse. A co z pubami, zakupami, zwiedzaniem?

– Tu też będzie co zwiedzać... och, patrz, zamek Bunratty. To już naprawdę niedaleko. Wiem, bo czytałam o nim. Możemy pojechać na wycieczkę, obejrzeć, co jest do obejrzenia, zrobić zakupy. Ale nie mam pojęcia, czy są tutaj puby. Marco, jak tu pięknie!

– Dotąd takie miejsca widywałem w filmach, czytałem o nich w książkach.

Za drogowskazem do Dromoland skręcili na wijącą się drogę w szpalerze potężnych wysokich drzew. Po chwili ocieniona droga otworzyła się na wielką połąć zieleni ze stawem, wokół którego dreptały kaczki.

Breen aż sapnęła z wrażenia, Marco ostro zahamował.

– Musiałem się zatrzymać. Rany, Breen, patrz, zamek. Jak Boga kocham, prawdziwy zamek.

Wznosił się piękny i dumny, z szarego kamienia, ze strzelistymi wieżami, wieżyczkami i blankami. Proporce na wieżach powiewały na wietrze.

– Oglądałam zdjęcia – powiedziała Breen – ale rzeczywistość przekroczyła moje wyobrażenia.

– Kurde, Breen, co za niesamowity dzień.

– Jest za wcześnie, żeby się zameldować, ale możemy zostawić bagaż. Tyle tu miejsca na spacer.

Marco powoli podjechał pod zamek.

– Dobrze byłoby rozprostować nogi. Chyba zanosi się na deszcz, ale nie jesteśmy z cukru.

– Nie jesteśmy.

Gdy zatrzymali się przed bramą, wyszedł im na spotkanie mężczyzna w uniformie i otworzył drzwi po stronie Breen.

– Witamy w Dromoland. Państwo chcą się u nas zatrzymać?

– Tak, mamy rezerwację.

Jak gładko poszło – pomyślała. – Wszyscy są tacy mili, tacy pomocni. A teren, który obeszli z Marco, sprawiał wręcz magiczne wrażenie.

Kiedy spadł deszcz, wrócili przemoknięci, ale zadowoleni, i zajęli się zwiedzaniem zamku.

Widzieli zbroje, ogień żarzący się w paleniskach kamiennych kominków, znaleźli kilka uroczych butików z prospektami na ladzie reklamującymi okolicę, które Breen skwapliwie pozbierała.

Zanim ulokowano ich w pokojach, wypili drinka w barze i zjedli lekki lunch.

Śliczny pokój – pomyślała Breen, podziwiając wielkie łoże nakryte miękką kapą, minibarek z whiskey i widok z okna na wzgórze.

– Jestem królem tego zamku – ogłosił Marco i padł na łóżko w swoim pokoju.

– Okey, wasza wysokość, oto plan. Rozpakujemy się i zrobimy sobie godzinną drzemkę. Postępujemy zgodnie z zasadami łagodzenia skutków przenosin w inną strefę czasową. Byliśmy na spacerze, zjedliśmy lunch, teraz czas na spanie. Potem prysznic, zmiana ciuchów i spotykamy się... kwadrans po piątej.

– W porze koktajlu. Czyli w barze.

– Może być, tam ustalimy, co robimy jutro. – Podeszła do drzwi. – A teraz się rozpakuj i nastaw alarm w telefonie.

– Tak jest. – Zasalutował. – Hej, dla relaksu zrób to, co Bruce Willis w *Szklanej pułapce*. Zdejmij buty, skarpetki i na bosaka pochodź z podwiniętymi palcami.

Wróciła do siebie. Obeszła pokój, wodząc dłońią po meblach, dotykając tkanin. Rozpakowała walizkę z rzeczami przeznaczonymi na pobyt w zamku. Chwilę zastanawiała się nad prysznicem, ale zrezygnowała ze względu na włosy.

Wyciągnęła się na wielkim łożu, otuliła miękkim nakryciem i twarzą zwróconą do okna odpłynęła w sen.

Coś jej się śniło, ale nie pamiętała co, bo dźwięk alarmu spłoszył sen. Siadając, stwierdziła, że rady dotyczące przenosin w inną strefę czasową niekoniecznie działają. Dla niej to był ciągle środek nocy. Zanim powlokła się do łazienki, wypróbowała sztuczkę ze *Szklanej pułapki*. Marzyła o coca-coli, czymś, co dodałoby jej energii, i wtedy przypomniała sobie o minibarku.

Owinięta w puszysty szlafrok (co za luksus), z mokrymi włosami skręconymi w pierścionki, otworzyła colę i wypita pół butelki.

– Lepiej – stwierdziła. – Zdecydowanie lepiej.

Ogarnięcie się i odnalezienie powrotnej drogi do baru zajęło jej trochę czasu i dołączyła do Marco dopiero o wpół do szóstej. Czekał na nią, flirtując z rudawym barmanem.

– Och, jest już moja dziewczyna. Niezła laska, co, Sean?

– Oj, tak. Dobry wieczór pani, zapraszam.

– Dzięki. Przepraszam za spóźnienie.

– Warto było poczekać.

– Co mogę podać? – zwrócił się do niej barman.

Zerknęła na szklanice stojącą przed Marco i stwierdziła, że ona po półkwarcie piwa zapewne z miejsca by odpłynęła.

– Kir Royal – zdecydował za nią Marco. – Breen wygląda na kobietę, która powinna pić tylko Kir Royal.

– Podać? – zapytał barman.

– Nigdy nie piłam.

– W takim razie koniecznie trzeba spróbować. Marco mi mówił, że pierwszy raz jesteś w Irlandii, chociaż twój ojciec się tutaj urodził.

– Tak i rzeczywiście jest tutaj tak pięknie, jak mi opowiadał. Tata pochodzi z Galway.

– Śliczne miejsce.

– Sean jest stąd, z Clare, i polecił mi kilka miejsc, które warto obejrzeć. Do tej chwili – wyjął telefon – masz dwadzieścia dwa komentarze i osiemdziesiąt cztery wejścia na twój blog.

– No co ty.

– Sama zobacz. – Z zadowoloną miną podsunął jej telefon. – Breen założyła blog. Píše o wycieczce i tak w ogóle o życiu – poinformował Seana.

– Poważnie? Prześlij mi link, chętnie poczytam.

– Nie ma sprawy.

Barman postawił przed Breen wysoki kieliszek z czerwono-złotym płynem i malinami tańczącymi na bąbelkach gazu z szampana.

Wpatrzona w ekran, podniosła kieliszek do ust, wypita łyk i dopiero wtedy oderwała wzrok od komórki.

– Uhm, smaczny drink. Gdzie on się podziewał przez te wszystkie lata?

– Za pierwszy dzień twojego nowego życia. – Marco trącił szklanką o jej kieliszek.

Zamówiła jeszcze dwie kolejki, a potem do ryby z frytkami piła już tylko wodę. Po kolacji poszli na spacer, potem towarzyszyli rodzinie z Baltimore przy partii snookera.

– Marco, padam z nóg i tak się dziwię, jakim cudem wytrzymałam do wpół do jedenastej.

– A może szklaneczkę czegoś mocniejszego na sen?

– W ostatnich dniach wypłam więcej, niż zwykle piję w ciągu roku. A ty wróć do baru i poflirtuj z Seanem, bez piątego koła u wozu.

– Dziewczyno, on jest fantastyczny, lecz, niestety, hetero. Przecierałam szlak dla ciebie.

– Nie szukam okazji do flirtu czy przygód.

– Czemu mnie to zasmuca?

– W każdym razie ja znikam. – Stłumiła ziewnięcie. – Pamiętaj, śniadanie o ósmej, a potem w drogę. Mamy bogate plany na jutro.

– I ty prowadzisz.

– A ty mnie zmieniasz w powrotnej drodze.

– Tak jest. Chyba też pójdę się położyć.

Gdy rozchodzili się do swoich pokoi, Breen na chwilę oparła głowę na jego ramieniu.

– To był naprawdę udany dzień.

– Nie zapomnij go opisać i poświęć przynajmniej jeden akapit na moją wspaniałą jazdę.

– Naturalnie. Jutro kolacja w pubie przy muzyce. Kto wie, może ktoś pamięta mojego ojca. Kiedyś śpiewał w pubach.

– Tak, pamiętam. Mówiłaś, że tak poznał twoją matkę.

– Przyjechała na wycieczkę z koleżankami ze studiów. Właśnie do Clare. Może on nadal występuje gdzieś tutaj albo w Galway.

– Mam nadzieję, że go odnajdziesz, ale tak czy owak... – Odprowadził ją do drzwi. – Pamiętasz, jak zatytułowałaś blog?

– *Szukając siebie.*

– I to się liczy. Do zobaczenia rano.

– Dobranoc, Marco.

Obudziła się o wpół do piątej. Zataczając się, wyszła z łóżka, zadowolona, że zostawiła zapalone światło w łazience i nie uderzy się o coś w ciemnościach.

Wzięła laptop i wróciła do łóżka, żeby szybko zapisać umykający sen.

To były ruiny, chyba jakiejś potężnej budowli. Kamienne ściany, okna bez szyb, czasami wąskie jak otwory strzelnicze. Na niektórych ścianach płaskorzeźby, a nad otworami bez drzwi, zapewne prowadzącymi do innych komnat, ozdobne... gzymsy?

W ścianach były nisze, kiedyś musiało coś w nich stać. Nad głową widziałam niebo; niebieskie, pokryte pierzastymi, białymi chmurami.

Słyszałam pogłos swoich kroków i jeszcze coś; jakby echo dawnych głosów uwięzione w ruinach.

Posadzkę pokrywały jakieś wyryte znaki i chyba rysunki. Teraz ich nie widzę, ale we śnie wiedziałam, że to grobowce.

Był też dziedziniec ogrodzony kamiennymi kolumnami. Rosła tam wysoka trawa z białymi polnymi kwiatami.

Na dziedziniec prowadziły półokrągłe kamienne schody. Coś mnie tam ciągnęło. Nie powiem, żebym się bała, ale czułam na skórze dziwne wibrowanie powietrza.

Wyszłam na dwór i zobaczyłam basztę zwieńczoną spi-czastym hełmem, a w oddali wzgórza i chaty. Z niektórych kominów unosił się dym. Poniżej, w dolinie, pasły się puszyste białe owce z czarnymi głowami.

Był też cmentarz z kamiennymi tablicami, a za nim i basztą znajdował się krąg ułożony z kamieni. Znacznie mniejszy od tamtego w Stonehenge, który znałam ze zdjęć. W oddali wiała się rzeka i wpadała do zatoki. Promienie słońca załamywały się w wodzie i tworzyły na powierzchni połyskliwe gwiaździste wzory.

Widok urzekał pięknem. Czułam we włosach delikatny powiew ciepłego wiatru.

Myślę, że byłam szczęśliwa.

Nagle pojawił się jeździec w brązowej opończy z kapturem. To była kobieta! Jechała na białym koniu z czarnymi cętkami na zadzie. Przed cmentarzem zsiadła z konia. W ręce trzymała kwiaty. Nie pamiętam, jakie, ale na pewno białe.

Podeszła do jednego z nagrobków, położyła kwiaty i chwilę stała z opuszczoną głową.

Czułam się jak intruz, chciałam się dyskretnie wycofać, a wtedy ona zdjęła kaptur i spojrzała prosto na mnie.

Wyglądała jak ja albo jak będę wyglądać, kiedy przybędzie mi lat. Na szyi miała wisior z czerwonym kamieniem, który widziałam w tamtym śnie o wodospadzie.

Przemówiła do mnie. Szkoda, że nie zapamiętałam dokładnie, co powiedziała. To brzmiało mniej więcej tak: „Musisz patrzeć, żeby znaleźć. Pytać, żeby dostać odpowiedzi. Przebudzić się, aby się stać”.

Zadumana Breen oparła się na poduszkach. W dzieciństwie często miewała dziwne, niezwykle barwne sny. Latające jednorożce i smoki (miała szczególną słabość do smoków) tańczyły w nich z motylami. W snach ujeżdżała białe rumaki i fruwała z wróżkami. Śniły jej się te wszystkie cudowne historie, które ojciec wplatał w swoje opowieści.

Później tamte bujne sny coraz rzadziej się pojawiały, jeśli dobrze pamięta, skończyły się, jeszcze zanim ojciec ją opuścił. Wyparły je senne koszmary związane ze szkołą, studiami, pracą nauczycielki.

Ciekawe, dlaczego znowu śnią się jej takie niebywałe historie.

Może kupi sobie książkę o interpretacji snów.

Było stanowczo za wcześnie na śniadanie, napiła się więc coli i skupiła na uzupełnieniu blogu.

Opisała wczorajszy dzień od wylądowania na lotnisku Shannon, przez jazdę do Dromoland, aż po zwiedzanie zamku. Postępując zgodnie z instrukcją Marco, dołączyła do tekstu kilka zdjęć.

Z czystej ciekawości zajrzała na wcześniejszy wpis i nie mogła uwierzyć własnym oczom. Dostała czterdzieści sześć komentarzy, a dwieście dwie osoby zajrzały na jej blog.

Ponad dwie setki ludzi przeczytały jej teksty, a czterdzieścioro sześcioro z nich poświęciło czas na ich skomentowanie.

To dlatego, że blog był nowy, a poza tym Sally rozpuścił wieści wśród znajomych.

Kurde, miałyby wielkie szczęście, gdyby w ciągu tygodnia tylu uczniów podniosło rękę na jej wszystkich lekcjach razem.

Podeksytowana, z powrotem skupiła się na blogu i dotoczyła filmik.

Wiedziała, że w zamku mają klub fitness, ale na razie nie dojrzała do ćwiczeń.

Zamknęła laptop, włożyła T-shirt, sweter z dekoltem w serek i dzinsy oraz traperki, czyli, jak sądziła, ubrała się odpowiednio na irlandzką wędrówkę, i ze zdziwieniem stwierdziła, że nadal ma sporo czasu.

Każdy dzień przypominał niedzielę, a właściwie był jeszcze lepszy, bo nie czekały jej żadne obowiązki spychane zazwyczaj na niedzielny wieczór. Wzięła komórkę i klucz, przewiesiła torbę przez ramię, chwyciła kurtkę i wyszła na poranny spacer.

Niebo nad wzgórzami miało perłowoniebieski kolor. Słońce, gdy wschodziło ponad ich zaokrąglone grzbiety, barwiło chmury różem i czerwienią. Kryształowe powietrze pachniało nowością i obietnicą. Utwardzona ścieżka doprowadziła ją do zielonego wzniesienia ze stopniami z kamieni. Przywitał ją tam świergot porannych ptaków ukrytych pośród

gałęzi drzew. Szła, delektując się ciszą i samotnością. Przystawała od czasu do czasu i robiła zdjęcia, a to zamku na tle jaśniejszego nieba, a to jakiegoś drzewa jakby żywcem wyjętego z bajki.

Zobaczyła stajnię. Na łacie stał brązowy koń i chyba ją obserwował. Jeździła konno wyłącznie w tamtych dziecinnych snach i nie wiedziała, czy może do niego podejść.

– Hej, koniku. Jesteś piękny.

Postąpiła parę kroków. Koń parsknął. Zabrzmiało to jak zachęta: „Chodź, pogładź mnie”, jednak wolą nie ryzykować.

– Może jutro – obiecała.

Sfotografowała go, sprawdziła godzinę i ruszyła w powrotną drogę. Jaka przyjemna musi być praca w takim miejscu – pomyślała.

Chyba dałaby sobie radę. Może spróbuje gdzieś się zatrudnić. Tutaj albo w jakimś zabytkowym hotelu w Galway. Pomyśli o tym po wyjeździe Marco.

Nadłożyła drogi, żeby popatrzeć z bliska na ogród otoczony kamiennym murkiem.

Na jego widok serce podskoczyło jej z radości.

Do środka zapraszał kamienny łuk opleciony winoroślą. Na rabatach po obu stronach kamiennej ścieżki rosły kwiaty we wszystkich kolorach tęczy. Znała tylko niektóre z nich. Musi je wszystkie poznać – zdecydowała i do książki o snach dołożyła w pamięci kolejną, o kwiatkach.

Dla chcącego nic trudnego – pomyślała. Dowie się, jak je sadzić, hodować, jak o nie dbać. Nauczy się tworzyć coś tak

pięknego. Przykucnęła nad rabatą i przyglądała się krążącym motylom i pszczołom.

Jej nozdrza wypełnił odurzający zapach, miodny, ziemisty i zarazem delikatny. Zachwyciły ją kolory kwiatów, kształt i faktura ich płatków. Jaki trzeba mieć talent i kwalifikacje, żeby stworzyć kwiatowy raj, który wygląda tak naturalnie.

Zgłębi tę wiedzę. Potrafiła się uczyć, bez przerwy musiała poświęcać czas na naukę. Tym razem będzie się uczyć tego, czego sama chce.

Usiadła na ławce, zapatrzona na ogród. Białe pierzaste chmury sunęły po błękitnym niebie.

W jednej chwili kelneruję w zamku, w drugiej jestem ogrodniczką – pomyślała, kręcąc głową z niedowierzaniem.

Najwyraźniej nie wiedziała, co ma ze sobą zrobić.

Z ociąganiem podniosła się z ławki i ruszyła na spotkanie z Marco. Po drodze przystanęła po raz ostatni, zrobiła z bliska zdjęcie rabaty.

Zauroczone, przesunęła dłonią po kwiatach.

Ich główki zawibrowały.

Szybko cofnęła rękę, bo wyobraźnia podsunęła jej widok rozżłoszczonych pszczoł czy węża. To Irlandia – przypomniała sobie. Nie ma węży.

A jednak...

Teraz kwiaty stały nieruchomo. Ich kielichy nawet nie drgnęły.

Jeszcze raz ostrożnie przyłożyła dłoń do kępy kwiatów i poczuła niepokojące łaskotanie na skórze.

– Hmm, dziwne – orzekła. – One prężą się pod dłońią.
Nawet ja wiem, że to niemożliwe. Czas na kawę – uznała. –
Zdecydowanie czas napić się kawy.

Wyszła na drogę, rozcierając dłonie.

Rozdział 6

Breen podeszła do jazdy tak, jak podchodziła do egzaminów ustnych. Z wielkim strachem i determinacją. Zaciskała dłonie na kierownicy jak na kole ratunkowym w szalejącym morzu, ale prowadziła pewnie ze stalowym wzrokiem wbitym w wąską, krętą drogę.

Nigdy dotąd nie była turystką, dlatego weszła w tę nową rolę z ogromnym zapamiętaniem.

Zrobiła plan wycieczki, wyrysowała trasy. Na liście znalazły się warte obejrzenia ruiny oraz niesamowite Klify Moheru, budzący grozę swoim położeniem przylądek Loop Head, stare opactwa, baszty i cmentarze.

Na liście nie zabrakło lunchu w pubie z torfem żarzącym się w kominku, gdzie podawano razowy chleb z wiejskim masłem.

Gdy robili zakupy w Ennis, Breen natrafiła na książkę o kwiatach, ale sennika nie znalazła. Wąskie, kręte uliczki miasteczka z wiszącymi koszami kwiatów przyciągały turystów i zachęcały do spaceru.

Kupiła szal w kolorach tęczy dla Sally, a dla siebie chustę w zieleniach i brązach. Zjadła truskawkowe lody w rożku i zapaliła świeczkę w tchnącym spokojem, pięknym starym kościele.

Potem, nadal z Breen za kierownicą, trafili do małej wioski Doolin i parku.

– Kolejne piękne widoki do obejrzenia – zauważył Marco.
– Ale zanim pójdziemy je podziwiać, powiem ci komplement. Breen, jesteś lepszym kierowcą ode mnie.

– Cały czas mam spocone dłonie.

– Możliwe, ale świetnie sobie radzisz.

– Bo jesteś doskonałym pilotem. Niemniej odetchnę, gdy wreszcie wysiądę z samochodu.

– W takim razie możesz odetchnąć.

Wysiadła i zanim zarzuciła plecak przed wędrówką na klif, wystawiła twarz na morską bryzę. W ten pierwszy, pełen wrażeń dzień dowiedziała się o sobie jednej ważnej rzeczy: otóż nie miała lęku wysokości.

Surowy, stromy klif oddzielał nieposkromione wody Atlantyku od urokliwej, kolorowej wioseczki leżącej w otoczeniu zielonych pól poznaczonych farmami.

Wspinali się ścieżką, wsłuchani w huk fal bijących o skały.

– Wyobrażasz sobie, że ludzie mają takie widoki na co dzień? – Breen nie mogła się napatrzeć. – Nie wierzę, że coś takiego może spowszednieć.

Biało-szare mewy kreśliły koła nad wodą, ich nawoływania niosły się z wiatrem.

Szli pod górę żwirową ścieżką, wspinali się po stopniach z płaskich kamieni, przystając od czasu do czasu i ciesząc oczy widokiem.

– Och, popatrz na tę kępę kwiatów. Poczekaj... chyba je znam. – Już sięgała do plecaka po książkę. – No jasne – ucieszyła się. – Przypomniałam sobie. Przecież to zawciąg nadmorski. – Przykucnęła i zrobiła zdjęcie. – Jak to możliwe, że kwiatki, które wyrastają ze szczelin między skałami, są takie ładne, żywo różowe. Przrzekam, że kiedy wrócimy do domu, zacznę hodować rośliny, jakieś ładne, w doniczkach.

– Myślisz, że zostaniesz w naszym mieszkaniu?

Obejrzała się na niego.

– Marco, co ja bym bez ciebie zrobiła?

Podniosła się z kucek i ruszyli przed siebie.

– Można pomyśleć o jakimś innym miejscu w tej samej dzielnicy – zastanawiała się na głos. – Z balkonem. Albo o mieszkaniu na parterze z niewielkim tarasem w domu otoczonym ogrodem.

– Sądziłem, że będziesz chciała się wyprowadzić, może kupisz dom czy coś w tym rodzaju.

– Dom – powtórzyła z cichym westchnieniem. Dotąd nie miała takich ambitnych planów. – Właściwie mogłabym kupić dom z ogrodem i wybiegiem dla psa. Dla psa!

– A widzisz, teraz myślisz o domu.

– Teraz myślę o domu. Jeżeli go kupię, przeprowadzisz się razem ze mną. Ale wiesz co? Dziś jest dziś. Cieszymy się chwilą. Boże, spójrz na klify! Zaledwie parę godzin temu byliśmy tam, na samej górze. Stąd wyglądają jak wyrąbane toporem przez jakiegoś mitycznego olbrzymia. Jest w nich dramatyzm i bezwzględność.

Odwróciła się twarzą do morza.

– A tu z kolei idylliczny spokój. Sielankowa akwarela w nasyconych kolorach.

Przewróciła oczami, zauważywszy, że Marco wykorzystał ten moment zachwytu, żeby zrobić jej zdjęcia.

Zadowolony, zsunął swoje designerskie słoneczne okulary z czubka głowy z powrotem na nos.

– Potrzebne do bloga – wyjaśnił.

Wędrowali po polach i pagórkach, urzeczeni widokami.

Niebo było bezchmurne, przygrzewało jaskrawe słońce. Breen zdjęła kurtkę i obwiązała się nią w pasie.

– Jak daleko wszystko widać! Popatrz na tamte wyspy! – zachwycił się Marco.

– To wyspy Aran – oświeciła go, podążając spojrzeniem za jego wyciągniętym palcem. – Czytałam, że ich mieszkańcy nadal mówią po irlandzku i orzą końmi. Mówiłam ci, że coś takiego mi się przyśniło?

Opowiedziała mu sen o lesie, polach i chatkach oraz tamten drugi, o lataniu na smoku.

– Dlaczego ja nigdy nie mam takich odjazdowych snów? Muszę nad tym popracować. Zresztą to wszystko przypomina sen. Breen, czy przyszło ci kiedyś do głowy, że będziemy wędrować po jakichkolwiek klifach, nie mówiąc już o tych tutaj?

– Musimy zacząć podróżować, zwiedzać różne miejsca. To niekonieczne zaraz muszą być zamki na szlaku turystycznym wzdłuż dzikiego wybrzeża Irlandii. Ale czas ruszyć się z domu.

– Jestem za. – Wyprostował mały palec. – Breen i Marco zwiedzają świat. Albo chociaż Wschodnie Wybrzeże. O tej

porze za rok wynajmiemy samochód i przejedziemy je od Maine po Key West. W każdym razie zamiast tylko pracować i snuć plany o podróżach, będziemy jeździć.

– Tak jest.

Podjęli postanowienie na klifie ponad rozkołysanym morzem i splatając małe palce, przypieczętowali je przysięgą „na paluszek”.

Przeszli osiem kilometrów z okładem, zanim z powrotem znaleźli się przy samochodzie.

– Jak tam twoje nogi? – zainteresował się Marco.

– W porządku. – Mrużąc oczy, spojrzała na jego stopy. – A twoje?

– Chyba robią mi się pęcherze – wyznał zmieszany. – Tak, wiem, powinienem cię posłuchać i użyć tego żelu przeciwko otarciom.

– Mam plastry w plecaku.

– Jakby inaczej?

Wskazała samochód.

– Siadaj. Zdejmij buty i skarpetki, jakoś zaradzimy.

– Nie jest źle, te otarcia zaczęły mi dokuczać na ostatnich kilometrach.

Rzeczywiście, na obu stopach miał niewielkie pęcherze.

– Powinieneś poczuć ulgę – orzekła, kiedy opatrzyła mu palce. – A poza tym czas na pub, więc dasz odpocząć nogom.

– Jestem gotowy na pub. – Poruszał chwilę palcami stóp, zanim nałożył skarpetki. – Fajna sprawa dla odmiany sie-

dzień w barze, zamiast tam pracować. Będzie muza?

– Oczywiście. No i auto z szoferem.

– Teraz kolej na mnie.

Pokręciła głową.

– Ale ja mam kluczyki.

Przed wycieczką sprawdziła puby w Doolin. Mogli zrobić rundę po kilku albo wybrać jeden z nich. Naturalnie jej pozostały bezalkoholowe drinki i woda.

Chciała poczuć atmosferę i posłuchać muzyki, ale też po cichu liczyła, że być może dowie się czegoś o ojcu. To małe miasteczko było uznawane za jedno z najważniejszych centrów irlandzkiego folku, a przecież jej ojciec zarabiał na życie muzykowaniem.

Zapewne musiał kiedyś tu występować.

Kto wie, może nadal występuje.

Breen po wejściu do pubu stwierdziła, że trafili w dziesiątkę. Długi bar z ciemnego drewna stał pod starą kamienną ścianą z półkami zastawionymi butelkami i kuflami.

Większość stołków przy barze oraz krzeseł przy rzadko rozstawionych, niskich stolikach była pozajmowana. Rozmowom jedzących i pijących gości towarzyszyła irlandzka muzyka, sącząca się z głośników.

Żarzący się w kominku torf podkreślał swojską atmosferę, podobnie jak stare plakaty oraz reklamy Guinnessa, Harpa i Jamesona na ścianach.

Wnętrze pachniało tak, jak powinien pachnieć irlandzki pub; torfowym dymem, piwem i jedzeniem smażonym na zapleczu.

Kelnerka z czarnymi prostymi włosami zebranymi w koński ogon zatrzymała się przy nich, gdy odnosiła tacę do bufetu.

– Rozglądacie się za stolikiem?

– Tak, prosimy.

– Siadajcie, gdzie są wolne miejsca, poza tamtym stolikiem w rogu. Jest zarezerwowany dla muzyków.

Bez wahania zajęli dwuosobowy stolik.

– Zupełnie jak w kinie, co? – ekscytował się Marco.

Breen tylko się uśmiechnęła. Lunch w pubie był super, ale to? Idealne zakończenie idealnego dnia.

– Mam tu wszystko, czego chciałam.

– Jedno piwo musisz wypić – kusił ją Marco. – Inaczej popełnisz coś w rodzaju profanacji. Posiedzimy, coś zjemy, posłuchamy muzyki. Na pewno szybko stąd nie wyjdziemy.

– Dobrze, ale małe – ustąpiła. – Wezmę smithwicka, bo mój tata przeważnie go pije.

Podeszła do nich ta sama kelnerka.

– Wszystko w porządku?

– W jak największym – odparł Marco.

– To miło. Amerykanie, tak?

– Z Filadelfii.

– Z Filadelfii – powtórzyła, a w jej ustach nazwa miasta zabrzmiała równie egzotycznie jak dla nich klify.

– Byłam w Ameryce dwa razy, ale nie w Filadelfii. Za pierwszym razem odwiedzałam kuzynostwo w Nowym Jorku, a za drugim poleciałam do Wyoming.

– Do Wyoming?

Kelnerka uśmiechnęła się do Breen.

– Chciałam zobaczyć kowbojów, no i zobaczyłam. Ogromny ten Wyoming. Jestem Kate i dziś będę was obsługiwać. – Podała im menu. – Czego się napijecie?

– Ja wezmę dużego guinnessa, a przyjaciółka małego smithwicka. W domu jestem barmanem – pochwalił się Marco.

– Naprawdę? Hmm, może cię poprosimy, żebyś nalał kilka kufli, kiedy już wieczór się rozkręci. Szewskie Trio jest bardzo popularne, za chwilę robi się tutaj tłoczno. Dobrze, że wcześniej przyszliście, poszczęściło się wam ze stolikiem. Zaraz przyniosę piwa.

Marco, jak to on, pierwszy chwycił menu.

– Po tej wędrówce zrobiłem się głodny jak wilk.

– Już z łóżka wstajesz głodny jak wilk – podsumowała Breen, ale nie omieszkła zerknąć w jadłospis. – Spróbuję pasterskiej zapiekanki.

– Na przystawkę wezmę małże. Podzielimy się?

– A widziałeś, żebyśmy kiedykolwiek coś takiego jadła?

– Będzie więcej dla mnie. Mają tutaj irlandzką lazanię. Co jest w niej irlandzkiego? Muszę to sprawdzić. O rany, od lunchu nie zajrzałem do twojego bloga.

Kiedy czytał, ona chłonęła atmosferę pubu.

– Breen, wczoraj miałaś szesnaście komentarzy, a dzisiaj dobiłaś do pięćdziesięciu sześciu.

– Naprawdę? Co w nich jest? – Przysunęła się z krzesłem, żeby czytać razem z nim. – Chyba ich zaciekałam.

– A jak! Zobaczysz, co będzie się działo, kiedy opiszesz dzisiejszy dzień. Co zamierzasz napisać?

– No... nie wiem. Muszę nabrać dystansu.

– Przestań. – Lekko popukał ją w czoło kostkami dłoni. – Tak trzymaj. Podoba mi się blogowanie mojej przyjaciółki.

– Tych parę wpisów nie czyni ze mnie blogerki. Zobaczmy, co będzie za dwa tygodnie.

Kelnerka przyniosła piwa i ruchem głowy wskazała jadłospis.

– Wybraliście coś?

– Wezmę zapiekanekę pasterską.

– Doskonały wybór. A szanowny pan?

– Na początek małże, a potem irlandzka lazania.

– Prawdziwa uczta. Przepis mojej mamy, poskładany z przepisów obu babć. Jej rodzice pochodzili z Włoch, a taty stąd, z Clare.

– Twoja mama jest kucharką? – zaciekał się Marco.

– Tak, gotuje do spótki z moim bratem, Liamem. Pub należał do dziadków, a teraz prowadzą go rodzice. Rodzinny interes.

– Skoro mowa o rodzicach. Ojciec Breen muzykował kiedyś w pubach takich jak ten. Może nawet tutaj grywał.

– Naprawdę?

Zamierzała na tym zamknąć temat, ale Marco już podsunął pomysł Breen.

– Naprawdę. On urodził się w Galway, ale wiem, że występował w Clare i właśnie tak poznał moją matkę. Oczywiście, mnie wtedy nie było na świecie, ty też nie możesz tego wiedzieć. Ale możliwe, że akurat tutaj grał.

– Mój ociec może go pamiętać.

– Nie mam pojęcia, jak się nazywał jego zespół. A tata to Eian Kelly.

– Jeżeli dawał koncerty w Clare, to pewnie grał również w Doolin. A jeśli w Doolin, to i w pubie Sweeneya. Pójdę zamówić wasze jedzenie.

Marco podniósł kufel, trącił nim o szklankę Breen.

– Za kolejny najlepszy dzień w życiu.

– Jak za to nie wypić? – Na potwierdzenie tych słów Breen wyszczyła mały łyk piwa. – Chcesz usłyszeć, co zaplanowałam na jutro?

Pokręcił głową.

– Dzień się jeszcze nie skończył. Wolę, żebyś mnie zaskoczyła. Wiesz co, nigdy nie myślałam o tym, żeby tutaj przyjechać. Jeżeli w ogóle robiłam listę ewentualnych miejsc do zobaczenia, gdyby mnie było na to stać, chodziły mi po głowie Paryż, Rzym, Maui na Hawajach. Ale ten kraj mnie powala. Kto by przypuszczał?

A ona myślała o Irlandii, odkąd sięgała pamięcią.

– Nie sądziłam, że kiedykolwiek uda mi się gdzieś pojechać – wyznała. – Przypuszczałam, że będę pracować dzień w dzień, tydzień po tygodniu, rok za rokiem. I może któregoś dnia spotkam kogoś, wyjdę za mąż, będę mieć dzieci. Od czasu do czasu zapakujemy się wszyscy do minivana i pojedziemy do Disneylandu albo na plażę, gdziekolwiek, byle ruszyć się z domu.

Powiodła spojrzeniem po rodzinach okupujących stoliki, grupkach przyjaciół na stołkach przy bufecie i zatrzymała wzrok na żarzącym się ogniu.

– Jeżeli kiedyś będę mieć dzieci, przywiozę je tutaj. To będzie ich dziedzictwo, muszą je poznać. Cieszę się, że odkrywam własne korzenie.

Podniosła wzrok na tęgiego mężczyznę z włosami w kolorze piasku i przenikliwymi niebieskimi oczami, który przystanął przy ich stoliku.

– Jestem Tom Sweeney. Kate mi powiedziała, że jesteś córką Eiana Kelly'ego.

– Tak. Ja... Pan zna mojego ojca?

– Grywał tutaj ze swoją kapelą. – Wskazał ręką narożnik. – Nazywali się Guślarze i rzeczywiście czarowali muzyką. Ale to było wieki temu – dodał z szerokim uśmiechem. – Co tam słyszać u twojego papy?

– W sumie, nie wiem. On i matka...

– To smutne. A ty straciłaś kontakt z ojcem, tak?

– Właśnie. Mam nadzieję go odszukać czy choćby dowiedzieć się czegoś o nim od ludzi, którzy go znali.

– No cóż, mogę ci opowiedzieć jedną czy dwie historie, jeśli chcesz.

– Będę bardzo wdzięczna.

– Pójdę po krzesło. – Marco zerwał się od stolika.

– Dziękuję. Skarbie! – zawołał do córki. – Przynieś swojemu staruszkowi piwo.

Marco dostawił krzesło.

– To jest Breen, a ja mam na imię Marco – przedstawił ich Tomowi.

– Miło mi. Teraz widzę, że jesteś do niego podobna – zwrócił się do Breen, siadając. – Masz takie same rude włosy i szare oczy. Wykapany Eian Kelly. Jesteś muzykalna?

– Niezbyt.

– Nie znam takiego instrumentu, na którym Eian nie umiałby zagrać. Był prawdziwym czarodziejem. A do tego miał czysty, mocny głos. Wkraczaliśmy wtedy w pełnoletniość, ja zaczęłam pracować za barem, a on z kumplami założył zespół. – Przytrzymał córkę za rękę, gdy stawiała przed nim kufel. – To dzięki Eianowi mam tę ślicznotkę, jej dwóch braci i jeszcze jedną córkę.

– Oho, zanoszą się na ciekawą historię. – Marco postąpił Tomowi i Kate łobuzerski uśmiech.

– Tata sypie nimi jak z rękawa – dorzuciła Kate, cmoknęła ojca w czubek głowy i wróciła do pracy.

– No to wam opowiem. Byłem wtedy bardzo nieśmiały. Strasznie peszyłem się przy dziewczynach. Język stawał mi kołkiem w ustach. Szczególnie wpadła mi w oko taka jedna z kruczoczarnymi włosami i oczyma jak u Cyganki. Sara

Maria Nero. Za każdym razem, gdy przychodziła do pubu albo spotykałem ją na ulicy czy rynku, ledwo pamiętałem, jak się nazywam. W życiu nie śmiałbym do niej zagadać.

Któregoś wieczoru. – Zrobił przerwę, pociągnął długi łyk i westchnął z głębi piersi. – Przyszła do pubu z koleżankami – zawsze miała dużo koleżanek – na występ Guślarzy. Nalałem im piwa, słuchałem ich wesołych śmiechów i cierpiełem, wiedząc, że ta dziewczyna zawsze będzie poza moim zasięgiem.

– Ciężko być nieśmiałym – wtręciła Breen. – Brakuje wtedy wiary w siebie i swoje możliwości.

– Święta prawda – przytaknął, patrząc na nią uważnie bystrymi oczami. – W przerwie Eian Kelly podchodzi do baru i mówi: „Tom, idź, powiedz tej dziewczynie, że ładnie jej w tym swetrze”. Ja udaję, że nie wiem, o co mu chodzi, a on przechyla się ponad bufetem i szepcze: „Podobasz się jej. Nie rozumie, dlaczego nie może z ciebie wydusić więcej niż dwa słowa”.

Ja coś bełkoczę, pytam, skąd mu to przyszło do głowy, przecież ona co najwyżej wie, jak się nazywam. A on na to, że mam mu zaufać i nie będę żałować.

– Jakiego koloru był ten sweter? – zainteresował się Marco.

Tom zaśmiał się, rozbawiony jego pytaniem.

– We wszystkich odcieniach niebieskiego, od najbledszego po najciemniejszy, i te odcienie tak przechodziły jeden w drugi. W pewnej chwili ona podchodzi do baru, a ja mam w uszach głos Eiana: „Nie bądź dupkiem. Zagadaj do niej”.

No i jakoś słowa same popłynęły, a ona słuchała mnie z uśmiechem.

Och! – Tom klepnął się dłonią w pierś. – Myślałem, że mi serce wyskoczy z wrażenia. Ona coś powiedziała, ja coś na to odpowiedziałem, ale do dziś nie wiem, co, bo serce łomotało mi w uszach. Potem jej koleżanki poszły do domu, ona jeszcze została posłuchać muzyki, no i Eian mi podszeptnął, żebym ją odprowadził do domu. Zapytałem ją, czy mogę, ona się zgodziła i osiem miesięcy, dwa tygodnie i cztery dni później została moją żoną. Od dwudziestu ośmiu lat jestem z miłością mojego życia, dzięki radzie Eiana Kelly'ego, żeby odezwać się do dziewczyny.

– Cudowna historia.

Łzy wzruszenia zakręciły się w oczach Breen, jej ojciec na powrót stał się jakby bardziej rzeczywisty.

– Taki był ten Eian, bo on, oprócz talentu do muzyki, miał podejście do ludzi. Kiedy mówił: „Zaufaj mi”, tak jak było w moim przypadku, to mu się ufało w ciemno. Niedługo po tamtym wieczorze wyjechał, podobno do Galway, a może gdzie indziej i wrócił mniej więcej po roku. Chciałem zaprosić go na wesele, umówić zespół na granie u mnie w pubie, ale zniknął mi z oczu. A potem któregoś wieczoru pojawił się tutaj z Guślarzami i właśnie wtedy poznał twoją matkę.

– Tu? – Rozczulenie Breen zastąpił szok. – Oni tutaj się poznali?

– Tak, w letni burzowy wieczór.

– Tato, chcesz ich zagadać na śmierć? – Kate postawiła przed Marco talerz z małżami i koszyk z chlebem.

– Cała matka – skomentował Tom. – Dobrze, już was zostawiam.

– Nie, proszę. – Breen przytrzymała go za ramię. – Naprawdę chciałabym usłyszeć więcej, jeśli pan ma czas.

– Mam go mnóstwo dla córki Eiana Kelly’ego. Spokojnie jedzcie, a ja będę opowiadał.

Usiadł i z powrotem postawił kufel na stoliku.

– Weszła ich tu grupa, cztery, a może pięć. Wyglądały na studentki na wakacyjnym wyjeździe. Pamiętam, był późny wieczór, wszystkie stoliki pozajmowane. Dziewczyny usiadły przy barze. Twój ojciec śpiewał... *Czarną aksamitną opaskę*. Tak, na pewno to. Wył wiatr, przetaczały się grzmoły, sieł deszcz. A ja, nie wiem skąd, wiedziałem, co się święci, gdy tylko ich oczy się spotkały. Popatrzyli na siebie i zaiskrzyło.

– Zakochali się od pierwszego wejrzenia – dodała Breen.

– Pewnie było im pisane. Spadło to na nich jak błyskawica. My z moją Sarą zbliżaliśmy się do siebie powoli, ostrożnie. Ale u nich to był wybuch wulkanu. Kiedy po trzydniowej przerwie Eian miał u nas występ, ona przyszła z nim. Dwa tygodnie później to samo. Słyszałem, że pojechali się pobrać w jego rodzinnej miejscowości. Myślałem, że tam zamieszkali albo wyjechali do Stanów, bo nigdy więcej go nie widziałem.

– Mieszkaliśmy w Filadelfii.

– Eian nadal występował?

– Tak, i to się wiązało z podróżowaniem. Pewnie stąd brały się konflikty. Rodzice się rozwiedli, kiedy miałam dziesięć lat.

Mniej więcej rok później ojciec wyjechał do Irlandii. Obiecał mi, że wróci, ale...

Tom pocieszającym gestem nakrył jej dłoń swoją.

– Przykro mi i jestem szczerze zaskoczony. Eian to bardzo porządny człowiek, ręczę za niego. I kochał twoją matkę. Człowiek zakochany jak ja umie dostrzec prawdziwe uczucie. Nie pożądanie, lecz miłość. W tamtym czasie dość często ze sobą rozmawialiśmy. Mówił, że zabiera... wyleciało mi, jak twoja matka ma na imię.

– Jennifer.

– No tak, mówił o niej Jenny. Opowiadał, że zabiera ją do rodzinnej wsi i tam się pobiorą. Miałem wtedy zostać ojcem i rozmawialiśmy o tym. Eian mówił, że chce mieć dzieci, założyć rodzinę. Że wróci na farmę razem z Jenny i będzie gospodarzem na własnej ziemi.

Poklepał Breen po dłoni.

– Mam nadzieję, że cię nie zasmuciłem tą opowieścią.

– Nie, panie Sweeney.

– Tom.

– Nie, Tomie. Dzięki tobie lepiej poznałam ojca. Wiem, że jest porządnym człowiekiem. Pamiętam go jako kochającego, cierpliwego tatę.

– Mam nadzieję, że go odnajdziesz. I jeśli tak się stanie, powiedz mu, że Tom Sweeney chce mu postawić kolejkę. Oj, jest Kate z waszymi zamówieniami. Jedzcie i miłej zabawy. Kolacja na koszt firmy.

– Och, ale...

– Pod moim dachem córka Eiana Kelly’ego nie płaci za jedzenie i picie. Poproszę żonę, żeby zapaliła świeczkę w intencji waszej bezpiecznej podróży. Ona dobrze się dogaduje z wyższymi siłami.

– Bardzo dziękujemy.

– Nie ma za co. – Podniósł się z krzesła. – Lada chwila pojawi się zespół. Co prawda to nie Guślarze, ale dobrze grają. Ty jesteś Marco, tak?

– Tak, psze pana.

– Czuwaj nad córką mojego starego druha.

– Obiecuję.

Marco odczekał, aż zostaną sami.

– Dobrze się czujesz? – zapytał, przyglądając się wpatrzonej w talerz Breen.

– Tak, nawet lepiej niż dobrze. Po prostu... – Podniosła głowę. Miała wilgotne oczy, ale to nie były łzy smutku. – Niesamowite. Przyjechaliśmy do tego miasteczka, weszliśmy do pubu i już poznaliśmy kogoś, kto opowiedział takie fantastyczne rzeczy o moim ojcu. Rzeczy, których nigdy nie słyszałam. Mam ojca przed oczami. Jakbym już go odnalazła. To niesamowite – powtórzyła – że rozmawiałam z kimś, kto go znał i przyjaźnił się z nim, zanim się urodziłam.

– I dowiedziałaś się, że miał istotny wpływ na czyjeś życie. To dopiero jest coś.

Breen rozejrzała się po pubie, wyobrażając sobie, że to zespół Eiana Kelly’ego wypełnia wnętrze muzyką.

– Dla matki i dla mnie zrezygnował ze swoich planów. Oczywiście to nie czyni z niego bohatera, ale kiedy Tom

wspomniat, że ojciec chciał zamieszkać na farmie, przypomniało mi się, jak opowiadał o wymarzonym domu. Potem coraz rzadziej do tego wracał. Pamiętam tamte historie, które mi opowiadał, kiedy byłam mała. A jednak przyjechali z matką do Filadelfii, próbowali ułożyć sobie życie. Nie wyszło, ale wiem, że się starali. – Wzięta do ręki widelec. – Taak, jest nawet lepiej niż dobrze.

Jedli, słuchali muzyki, poddali się atmosferze panującej w pubie. Breen nie opuszczał dobrego humoru. A potem podszedł do nich Tom ze zdjęciem oprawionym w ramki.

– Zapomniałem o nim, a od tylu lat u nas wisi. Jest na nim twój ojciec z kumplami, siedzą przy tamtym stoliku – machnął dłoń w stronę narożnika.

Serce Breen mocniej zabiło.

Ojciec z rozmarzonym wyrazem twarzy siedział z przechylną głową i skrzypcami opartymi na ramieniu. Jaki młody – pomyślała. Objęła spojrzeniem jego rudą czuprynę i szczupłą sylwetkę. Miał na sobie czarny sweter i dżinsy z wystrzępionymi nogawkami, spod których wystawały podniszczone buty. Wyglądał bardzo przystojnie. Uderzyła ją myśl, że na tym zdjęciu musiał mieć mniej lat niż teraz ona.

Nie zwróciła uwagi na trzech innych muzyków przy stole zastawionym kuflami. Widziała jedynie Eiana Kelly'ego z rozmarzonym wzrokiem, uśmiechem błaskającym się na ustach i skrzypcami w dłoniach.

– Zatrzymaj je. Należy do ciebie.

Przytuliła zdjęcie do serca, podniosła się od stolika i zrobiła coś, co w innych okolicznościach uznałaby za niezręczność. Wyściskała człowieka, którego ledwo znała.

– To dla mnie tak wiele znaczy.

– Mam nadzieję, że niedługo zobaczysz się z ojcem. Jeżeli będziesz tędy wracać, koniecznie do nas zajrzyj.

– Na pewno.

W hotelu postawiła zdjęcie na nocnym stoliku.

I miała taki przyjemny sen. Mężczyzna ze zdjęcia stał na zielonym polu, trzymał na biodrze rudowłose niemowlę, a wokół nich tańczyły różnobarwne motyle.

– To mój dom, moje gniazdo. Musimy czuwać nad jego bezpieczeństwem – tłumaczył mężczyzna w tym śnie. – Nauczę cię go bronić. To obowiązek i szczęście.

Pisnęła radośnie, gdy podniósł ją wysoko i wykręcił piruet, a krąg tęczowych motyli zawirował wraz z nimi.

Potem przytulił ją do piersi. Czowała, jak mocno bije jego serce, i wiedziała, że on ją kocha miłością absolutną.

Rozdział 7

Wstała przed świtem i siadła do pisania. Spędziła parę miłych chwil nad zdjęciami z wczorajszej wycieczki, wybierając te najciekawsze do bloga. Przy okazji wpadła na pomysł, żeby stworzyć fotoksiążkę z tego wyjazdu. Marco dostanie ją pod choinkę na Gwiazdkę.

Pełna energii, ubrała się i wyszła na poranny spacer. Nie-samowicie, że teraz, w nowym życiu, mogła sobie pozwolić na taki luksus jak poranne przechadzki.

Już bardziej pewna siebie niż poprzedniego dnia, skręciła na ścieżkę do lasu, gdzie miękkie światło sączyło się przez gałęzie drzew, a powietrze pachniało wilgotną ziemią i sosnami.

Gdy tak rozkoszowała się samotnością w tym baśniowym miejscu, weszła głębiej w las, niż zamierzała. I wtedy między drzewami załśniła rzeka z pasmami mgły podobnymi do strużek dymu wiszącymi nad wodą. Koniecznie musiała popatrzeć na nią z bliska.

Na brzegu leżała łódka z wygiętym dziobem i skrzyżowanymi wiosłami na dnie. Taka przejażdżka łodzią wśród mgieł w towarzystwie pływających leniwie kaczek to dopiero przyjemność – pomyślała. Wyliczyła, że za zakolem rzeki niezmiennie od czterystu lat wyłaniał się widok na zamek.

Wyjęła telefon, zrobiła zdjęcie zamglonej rzeki i łódki wyciągniętej na brzeg.

Gdzieś po lewej stronie usłyszała szelest liści. Obejrzała się i zobaczyła ptaka siedzącego na gałęzi. Obserwował ją złotymi oczami. Czyżby jastrzęb? Nigdy nie miała okazji oglądać go z bliska. Wiedziała natomiast, że na zamkowych włościach prowadzono szkółkę sokolniczą, więc obecność jastrzębi wydawała się logiczna.

– Hej, witaj! – zaczęła i zamarta, bo ptak sfrunął z gałęzi prosto do jej stóp i przekrzywiając łeppek, nie przestawał się w nią wpatrywać.

– Ładne duże ptaszysko – wymruczała. – Jesteś piękny. Czy może raczej przystojny? Jak lepiej mówić?

Pokonując lęk, przykucnęła zafascynowana.

– Daję wam polatać? Nie znam się na tym, ale na pewno się nie zgubiłeś, wydajesz się na to za sprytny.

– Och, on doskonale wie, gdzie jego miejsce.

Breen, zaskoczona, zerwała się z kucek. Jastrzęb nie spuszczał z niej złotych oczu.

Nieznajoma zaśmiała się i wyszła spomiędzy drzew na ścieżkę. Miała brązowe spodnie ze zgrzebnej wełny, zieloną kurtkę i brązową czapkę, spod której wystawał gruby jasny warkocz. Jej lewą dłoń osłaniała sokolnicza rękawica.

– Wybacz. Wyszłam na przechadzkę, a Amisz miał ochotę polatać. Dzień dobry.

– Dzień dobry. Czy wtargnęłam na prywatny teren?

– Absolutnie nie. Możesz chodzić, gdzie tylko chcesz. Widzę, że spodobałaś się Amiszowi. Jestem Morena, jego trenerka.

– Breen. On jest piękny.

– Owszem i o tym wie. – Morena dała znak ręką i jastrzęb odfrunął z powrotem na gałąź. – Jak ci się podoba pobyt w zamku?

– Bardzo. Magiczne miejsce.

Tym razem uśmiech Moreny objął jej niebieskie oczy.

– Magiczne, mówisz? – Wyjęła z kieszeni jeszcze jedną rękawicę i podsunęła ją Breen. – Chcesz poćwiczyć z jastrzębiem?

– Naprawdę? Ja nie... – przerwała i spojrzała na ptaka.

– Jak mówiłam, Amisz cię zaakceptował. To wam obojgu sprawi przyjemność.

Podeszła i naciągnęła rękawicę na jej dłoń. Ich spojrzenia spotkały się na moment i wtedy Breen jakby coś tknęło.

Sokolniczka odstąpiła parę kroków i tamto dziwne wrażenie zniknęło.

– Przejdziemy się kawałek wzdłuż rzeki, zobaczysz, co nasz chłopak potrafi. Dziś będzie dobra pogoda, słoneczna, dopiero po południu może trochę pokroić.

– Deszcz mi nie przeszkadza.

– To dobrze, biorąc pod uwagę tutejszy klimat. A teraz weź ten kawałek kurczaka i zamknij dłoń. Wyciągnij rękę, o tak, i zegnij w łokciu. Dobrze – pochwaliła, ustawiając ramię Breen. Zobaczysz, zaraz przyleci.

Rzeczywiście.

Wstrzymała oddech na widok rozpostartych mieniących się w słońcu skrzydeł. Ptak z gracją poszybował w dół i usiadł na jej dłoni okrytej rękawicą.

Teraz z bliska patrzył jej prosto w oczy lśnięcymi złotymi paciorkami.

– Naprawdę dobrze ci idzie – pochwaliła ją Morena. – A teraz odwróć i otwórz dłoń. On czeka na nagrodę.

Jastrzęb pochłonął kęs i czekał.

– Niesamowicie.

– Magiczne – dodała Morena. – Delikatnie porusz ramieniem w górę i on odfrunie.

Powtórzyła to zadanie jeszcze dwa razy. Jastrzęb wzbijał się w powietrze, nurkował między drzewa, opadał ślizgiem z gałęzi na rękawice i odlatywał.

– Dobrze sobie radzisz – powiedziała z uznaniem Morena.

– Ale tyle wystarczy na śniadanie dla naszego chłopaka. Pewnie chcesz już wracać.

– To było dla mnie niezwykle przeżycie. – Breen patrzyła z żalem, jak ptak przelatuje na rękę swojej trenerki. – Bardzo dziękuję. Czy mam przynieść zapłatę do szkółki?

– Ach, nic nie płacisz. To miała być przyjemność dla ciebie i tego tutaj chłopaka.

– Bardziej prawdziwy cud niż przyjemność.

– Miło, że tak mówisz. Tamtędy prowadzi droga do zamku.

– Wolną ręką wskazała kierunek. – Miłego dnia i udanego pobytu w Irlandii.

– Dziękuję. Moreno, dzięki ci za ten poranek. Nigdy go nie zapomnę.

– Nie ma za co. – Sokolniczka odwróciła się, odeszła na skraj lasu i spojrzała jeszcze przez ramię.

Breen ponownie miała tamto dziwne wrażenie i tak samo jak wcześniej szybko się ono rozwiało.

– Zobaczysz mnie i Amisza, kiedy znajdziesz się w domu.

– W domu?

Ale Morena i jastrzęb zdążyli zniknąć między drzewami, niewidoczni w grze światła i cieni.

Breen musiała dobrze wyciągać nogi, jeżeli chciała zdążyć na śniadanie z Marco, bo przez to niespodziewane spotkanie spacer się przedłużył.

Kiedy wpadła do jadalni, on siedział przy kawie i czytał coś w komórce.

– Spóźniłam się, ale...

Uciszył ją gestem ręki, nie odrywając oczu od ekranu. Wzruszyła ramionami i nalała sobie kawy. Kiedy podszedł do nich kelner, zamówiła jajecznicę na bekonie i grzankę z pełnoziarnistego chleba.

– Ja wezmę tradycyjne irlandzkie śniadanie. Poproszę jajko z płynnym żółtkiem – odezwał się Marco, nie podnosząc oczu znad komórki. – Mógłbym jeść takie śniadania dzień w dzień do końca życia.

Wreszcie odłożył telefon i spojrzał na Breen.

– Czytałem twój blog.

– Och, i co myślisz? Przesadnie osobisty? Bałam się, że może tekst jest za bardzo prywatny, zastanawiałam się, czy go nie usunąć i...

– Wykluczone. Jasne, jest osobisty, ale... Dziewczyno, aż mnie zatkało. Przecież byłem razem z tobą w tym pubie, ale

kiedy to przeczytałem, odebrało mi mowę. Fantastycznie wszystko opisałaś. Jazdę, przyrodę, klify. Zupełnie jakbym z powrotem tam się znalazł. A ten kawałek o spotkaniu z Tomem, rozmowa o ojcu, to wszystko. Normalnie ścięło mnie z nóg.

– W pozytywnym sensie?

– Przestań. Sama umiesz ocenić, co jest dobre. Brakuje mi tylko tamtego zdjęcia twojego ojca. Pójdę sprawdzić, czy w hotelu mają skaner, żebyśmy mogli je wrzucić do bloga. Co prawda szanse są raczej mizerne, że on je zobaczy, ale kto wie? Może trafi na nie ktoś z jego znajomych i się z nim skontaktuje.

– Nie pomyślałam o tym. – Wyprostowała się na krześle, bo poczuła, jak wzbiera w niej nadzieja. – Marco, w życiu bym na to nie wpadła. To świetny pomysł.

Popukał się w skroń.

– Główka pracuje. Dodałaś tekst godzinę temu. Gdzie byłaś, co robiłaś?

– O rany, to naprawdę niezwykła historia!

Słuchał uważnie i w pewnej chwili wyrzucił ramiona w górę.

– Trzymałaś takiego wielkiego ptaka na ręce?

– Tak, mówię ci, wrażenie nie z tego świata. Marco, on na mnie patrzył. Prosto w oczy.

– Nie bałaś się? Ja dostaję dreszczy od samego słuchania. Ogromny ptak, wielkie pazury...

– Szpony.

– Ostre, obojętnie jak je tam zwał, i wielki dziób, którym może wydłubać oko. Dostaję gęziej skórki na widok takich ptaszysk. Flamingi? Owszem, są różowe i według ludzi głupkowate, ale założę się, że taki flaming mógłby człowieka nieźle przefasonować. Pamiętasz papugę, która trafiła do szkoły, gdy byliśmy w trzeciej klasie? – Rozsunął dłonie na taką szerokość, że spokojnie zmieściłyby się tam dwie papugi żako. – Mam słuchać, jak ptak gada, obserwując cię kątem oka? Skrzeczy: „Czas na obiad” i „Chodźmy na balangę”? Dziewczyno, to nie jest normalne. W tamtym czasie śniły mi się koszmary.

– Pamiętam. Ten dzisiejszy ptak nie mówił. Był piękny i dumny, a Morena, sokolniczka, pokazała mi, jak go przywoływać na rękawicę i karmić surowym mięsem kurczaka.

– Dawłaś mu surowe mięso?

– Nie było czasu na gotowanie.

– Fajnie, że się dobrze bawiłaś, i fajnie, że mnie ta zabawa ominęła. Mogłyby wrócić tamte koszmary.

– Oglądasz najbardziej ohydne horrory, jakie nakręcono, a boisz się ptaków wielkości wróbli.

– Ptaki mają latać pod niebem, bo tam jest ich miejsce, i wcale bym sobie nie życzył, żeby usiadł na mnie jakiś wróbel. – Zatrząś się z obrzydzenia.

Dokończyli śniadanie i zajęli się układaniem planu na dzisiaj.

– Zanim z tego zamku wybierzemy się do następnego, daj mi czas na przeskanowanie zdjęcia. Jeżeli się nie uda, spróbuję je sfotografować.

Po powrocie do pokoju Breen wyjęła zdjęcie z ramki.

– Popatrz, na odwrocie są ich nazwiska. Guślarze. Eian Kelly, Kavan Byrne, Flynn McGill, Brian Doherty – przeczytała.

– Super. Do fotki na blogu dołączę nazwiska. Jest szansa, że ktoś może znać któregoś z nich, no nie?

– Być może. – Opuszkami palca dotknęła twarzy ojca. – Ale to takie stare dzieje.

– Jesteśmy w zamku, który liczy czterysta lat. Podobno czas jest pojęciem względnym. Dziewczyno, myśl pozytywnie!

– Tak jest. Pójdę z tobą. Załatwimy sprawę zdjęcia i jedziemy do Bunratty zanurzyć się w przeszłości.

Najpierw obezli zamek z zewnątrz, potężną kamienną budowlę dumnie górującą nad rzeką. Zajrzeli do ogromnej reprezentacyjnej komnaty. Jakie musiały odbywać się tutaj uczty – pomyślała Breen i oczyma wyobraźni zobaczyła wystrojone damy i rycerzy, ogień płonący w kominku i służących roznoszących piwo, miód i patery z mięsiwem.

Muzycy przygrywali gościom na galerii, miękkie światło świec kładło się ciepłym blaskiem na masywnych stołach i krzesłach oraz tapiseriach.

Bieg kamiennych, wachlarzowych schodów prowadził do komnat sypialnych, gotowalni i salonów. To tam kobiety zajmowały się szyciem i przędzeniem wełny, a mężczyźni planowali bitwy.

– Tutaj w zimie można odmrozić sobie tyłek – podsumował Marco.

– Ale spójrz na te widoki.

– No, super. Ale ja wolę centralne ogrzewanie i splukiwany kibelek.

Kuksnęła go łokciem.

– Za to tutaj jest romantycznie.

– Nie powiem, że nie. Jednak wolę romanse w miejscach, gdzie splukuje się toaletę. Fakt, to wszystko działa na wyobraźnię, bo jest autentyczne. Kiedyś mieszkali tutaj całe rodziny, ludzie pracowali i uprawiali seks w różnych konfiguracjach. A potem strzelali z łuków i zrzucali kamienie na głowy tych, którzy próbowali ich stąd wykurzyć.

– Taką rodzinę nazywa się klanem. Klan chroni wszystkich swoich członków.

W drodze powrotnej Marco objął Breen ramieniem w pasie.

– Siostro, będę ciskać kamieniami w każdego, kto spróbuje cię skrzywdzić.

– Masz moją wdzięczność.

Zamek zachwycił Breen, ale zakochała się w parku etnograficznym. Chaty kryte strzechą i kramy, dawne ubiory, muzyka, małe farmy, wiejskie uliczki – to wszystko wyglądało tak prawdziwie. Pozwalało wyobrazić sobie, jak ludzie – tacy zwykli jak ona – żyli w dawnych czasach. Gdzie spali, jak gotowali, jak wychowywali dzieci.

Osiółki i gęsi, drepczące po uliczkach, skrzypek przed gospodą; te wszystkie widoki przybliżały tamtą codzienność w innym świecie, innych czasach.

– Wiem, że życie wtedy wcale nie wyglądało tak sielankowo i czarująco. Znamy to wszystko z filmów i książek, ale

różnica polega na tym, że tutaj masz żywych ludzi w prawdziwym miejscu.

Podczas spaceru tymi uliczkami towarzyszyło jej wrażenie, że w każdej chwili mogłaby wśliznąć się do którejś z chat i usiąść przy ogniu albo wypić piwo w gospodzie.

– To miejsce wywołuje u mnie jakieś dziwne déjà vu – zwierzyła się Marco.

– Zatrzymaj je dla siebie – zripostował Marco. – Fajnie się to wszystko ogląda, ale ja tam wolę Internet, nachos nafaszerowane różnymi dodatkami, mięciutki materac i lodowate piwo w upalny wieczór. Nie mówiąc już o prawach LGBTQ, no i penicylinie.

– A spójrz na to z innej strony, oni nie mieli głowic nuklearnych.

– Musiałabyś się nauczyć doić krowy. Albo kozy.

– Nie słyszeli o zanieczyszczeniu powietrza i zmianach klimatycznych.

– Ani o klimatyzacji w upały i podgrzewanych podłogach w chłody.

– My nie mamy ani klimatyzacji, ani podgrzewanych podłóg – zauważyła.

– Ale ludzie mają takie wygody, prawda? I jak moja bogata psiapsiółka zechce, może sobie na nie pozwolić. – Uściskał ją przelotnie.

– Chyba może. – Zaśmiała się.

Zajrzeli do sklepu z upominkami i gdy już mieli wychodzić, Breen przystanęła.

– Zobacz – wskazała broszkę w kształcie jastrzębia. – Wezmę ją i podaruję Morenie jako podziękowanie.

– Tej ptaszarce?

– Taak. Tej ptaszarce. Jak zmyślnie wkomponowano te rozłożone skrzydła w okrągłą oprawę.

– Dobra, kupuj i rozejrzyjmy się za jakimś miejscem, gdzie można coś wrzucić na ruszt. Całe wieki minęły od śniadania.

Kupiła broszkę i dobrała kartkę, żeby nakreślić kilka miłych słów.

– W planie mamy jeszcze dwa punkty; wiejskie jedzenie i wędrówkę po sklepach – przypomniała.

I nagle zamarta. Nie, to niemożliwe, a jeżeli niemożliwe, to jeszcze bardziej wstrząsające. A jednak go widziała, naprawdę widziała mężczyznę ze srebrnymi włosami.

I tak samo jak za pierwszym razem, w autobusie, ten człowiek patrzył prosto na nią.

– Zobacz, tam, to on! – Wpiła palce w ramię Marco, kiedy srebrnowłosey oddalał się nonszalanckim krokiem – tak, nonszalanckim – bo inaczej nie dało się tego nazwać.

– Co? Kto?

Wcisnęła Marco torebkę z prezentem i puściła się biegiem. Nie uciekała przed nim, o nie, tym razem chciała go dogonić.

Biegła szybko, jak tylko mogła, lawirując pośród turystów snujących się po parku z kamerami i komórkami w rękach oraz między dziećmi ciągnącymi do osiołka.

Nie spuszczała mężczyzny z oczu i kiedy dzieliły ich jakieś dwie sekundy, on niespodziewanie skręcił za róg.

Wbiegła za nim w tamtą uliczkę.

Nie było go. Jakby się rozpułynał.

To niemożliwe – pomyślała, łapiąc oddech. Po prostu niemożliwe.

– Breen! – Zasapany Marco chwycił ją za ramię. – Cholera, co ty wyprawiasz?!

– Widziałam go, Marco. Przysięgam, że go widziałam.

– Kogo? Nareszcie upewniłem się, że słusznie cię namawiałem na tamten klub biegaczek. Masz parę w nogach, dziewczyno.

– Tamten mężczyzna... w autobusie, przed domem, U Sally. I potem na lotnisku. Znowu go widziałam.

– Breen...

– Marco, wiem, jak to brzmi. – Przegarnęła palcami włosy.
– Ale wiem, co widziałam. On ma ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, jest szczupły, zawsze chodzi ubrany na czarno. I ma srebrne włosy, nie białe, nie siwe, ale srebrne, takie gęste i lśniące.

Otoczył ją ramieniem; wiedział, że ten opiekuńczy gest dobrze na nią działał.

– Ale teraz go nie widzisz?

– Nie zwariowałam i nie mam urojeń. Goniłam go aż do tego rogu, on skręcił i...

Zniknął jak kamfora – dokończyła w myślach.

– Nie wiem, gdzie się podział. Tutaj jest tak dużo ludzi. Ale go widziałam i to nie ma sensu.

– Już dobrze. Chodźmy. – Cały czas obejmując Breen, pociągnął ją za sobą. – Ty drżysz.

– To nie strach. Jestem wściekła – odkryła. – Naprawdę się wkurzyłam. Mam wrażenie, że ten człowiek ze mnie kpi. Co za bezczelność.

– Jeżeli znowu się pojawi, obrzucę go kamieniami.

Wcale nie było jej do śmiechu. Oparła głowę na ramieniu Marco.

– Słuchaj – wyprostowała się. – A może matka mu zapłaciła, żeby mnie śledził?

– Na to nie wpadłem. – Jednak teraz, kiedy prowadził ją alejką, wydało mu się to całkiem prawdopodobne. – Pewnie mogłaby, tylko po co?

– Nie wiem, żeby mieć na mnie oko? Nie, to bez sensu, bo widziałam go w tamtym głupim autobusie, zanim dowiedziałam się o pieniądzach. A poza tym, jeżeli ona koniecznie chce wiedzieć, co robię, może czytać mój blog. Albo niech mnie zapyta, jeżeli jej na tym zależy.

Szli noga za nogą, Marco kojącym gestem gładził ją po plecach.

– Rzeczywiście zdarzają się niezwykle zbiegi okoliczności, jednak mówiłaś, że on mignął ci na lotnisku.

– Tak. – A może jej się wydawało...

– Założę się, że nie jesteśmy jedynymi filadelfijczykami w Irlandii, a kto wie, może nawet w tym parku.

– Patrzył na mnie tak, jakby mnie znał – dodała, kręcąc głową. – Być może mnie skojarzył, tak jak ja jego. Kto wie. Wtedy, za pierwszym razem, w autobusie, miałam wrażenie, że mi się przygląda. Tamtego dnia byłam w kiepskim stanie. Rozstałam się z Grantem, miałam dość szkoły i na dodatek jechałam ogarnąć mieszkanie. Jeżeli rzeczywiście zdarzają się niezwykle zbiegi okoliczności, to, gdy patrzył na mnie, mógł pomyśleć: Ej, ona wygląda znajomo.

Nie wierzyła w to, co mówi, ale przynajmniej trochę jej ulżyło.

– Możemy pokręcić się po okolicy, może go gdzieś namierzysz.

– Nie, to głupie. Lepiej pojedźmy na rybę z frytkami.

– Jestem za.

Na wszelki wypadek przez całą drogę do samochodu obejmował ją w pasie i dyskretnie się rozglądał, czy w pobliżu nie widać mężczyzny ze srebrnymi włosami.

*

Odsunęła od siebie tamte myśli, a Marco w przypiływie świeżej energii po lunchu bez szemrania obchodził z nią ruiny i baszty i zgodził się zwiedzić kolejny zamek mimo co chwilę padającego deszczu.

Posiedzieli na falochronie z wiatrem od Atlantyku we włosach, przeszli się po księżycowym płaskowyżu Burren. W drodze powrotnej zajechali do przydrożnego pubu na kolejny posiłek przy muzyce.

– Jeszcze jest jasno na dworze. Chodźmy do baru. Zastużyłaś na Kir Royal. Ja stawiam. To nasza ostatnia noc

w zamku – zaproponował Marco, zanim Breen pod byle pretekstem zdążyła ukryć się w pokoju.

– Masz rację. To ostatni wieczór i rzeczywiście należy mi się drink. Zostawię w recepcji upominek dla Moreny, zmienię buty i spotkamy się na dole.

Skręciła do recepcji.

– Dobry wieczór, pani Kelly, jak minął dzień?

– Cudownie. Czy mogę prosić o przekazanie tego do szkółki sokołniczej? To taki drobny upominek dla Moreny, niestety, nie znam nazwiska. Zaprosiła mnie na wspólny spacer i pozwoliła poćwiczyć z jastrzębiem. Rano przypadkiem spotkałam ją z Amiszem, jej jastrzębiem w lesie.

– Bardzo miło z jej strony. – Młoda czarnowłosa recepcjonistka odebrała od Breen torebkę z prezentem. – Z przyjemnością przekażę. Życzę miłego wieczoru.

Właśnie tak, miło, Breen zamierzała spędzić ten wieczór. Poszła do siebie i z westchnieniem ulgi zdjęła traperki; zastanawiała się, ile kilometrów przemierzyły jej nogi w tych butach w ciągu ostatnich dwóch dni.

Warto było czasem nawet trochę je zmęczyć.

Uznała, że w ten ostatni wieczór w zamku wypada poświęcić chwilę lub dwie na poprawę makijażu.

Kiedy sprawdzała efekt tego wysiłku, rozległo się pukanie do drzwi.

– Marco, zmarudziłam tylko pięć minut – mruknęła. – No dobra, dziesięć.

W drzwiach stanęła brunetka z recepcji.

– Przepraszam, że przeszkadzam. Moja kuzynka, która pracuje w szkółce, powiedziała, że nie ma u nich żadnej Moreny ani jastrzębia Amisza.

– Nie rozumiem.

– Może zaszła jakaś pomyłka co do imienia. Jutro rano kuzynka popyta, czy ktoś ze szkółki widział się z panią, chociaż w ciągu dnia o takim spotkaniu nie wspominał. Wolalbym nie trzymać prezentu u siebie, dopóki nie znajdę adresatki.

– Oczywiście, dziękuję.

– Czy mogę w czymś jeszcze pomóc, pani Kelly?

– Nie, dzięki. Przepraszam za kłopot.

– To żaden kłopot. Miłego wieczoru.

Nie, absolutnie nie pomyliła imienia – pomyślała, zamykając drzwi. I była w stu procentach pewna, że sobie tego nie wymyśliła.

Morena i Amisz – miała ich przed oczyma, pamiętała ich głosy i tamtą ekscytację, gdy jastrzęb siadał jej na rękawicy i patrzył prosto w oczy.

Z drugiej strony Morena nie wspomniała, że pracuje w szkółce. A jeśli przyszła z własnym jastrzębiem na przyzami-kowy teren?

Kto wie, może to było niemile widziane przez administrację zamku albo nawet zabronione. Nie będzie nalegać na odszukanie Moreny – zdecydowała, wrzucając paczuszkę do walizki. Żeby niechcący nie sprawić kłopotu kobiecie.

Przyszły jej na myśl tamte słowa, że się jeszcze zobaczą, wypowiedziane przez Morenę na pożegnanie.

Po chwili ona jakby wtopiła się w las. Po prostu zniknęła.

Jak tamten srebrnowłosy mężczyzna.

– Może tracę zmysły. – Zamknęła oczy i kilka razy głęboko odetchnęła, żeby się pozbyć ucisku w piersi. – Może to sobie wyobraziłam. – Otworzyła oczy. – Nie. Wykluczone.

Ale nie będzie się tym przejmować. Zejdzie na dół na drinka z Marco.

I nie ma sensu mu o tym wspominać.

W nocy przyśniło jej się, że ma dwa, może trzy lata i siedzi zapłakana w szklanej klatce, którą z zewnątrz obmywa zielonkawa woda.

Woła mamę i tatę, ale oni nie przychodzą. Woła też kogoś, kogo nazywa Babunią, jednak nikt się nie pojawia.

W świetle załamującym się w wodzie widzi na zewnątrz cień sylwetki. Wie, że to mężczyzna. Nie woła go, bo chociaż ma dopiero dwa, a może trzy lata, czuje, że bardzo się boi tego człowieka.

Mężczyzna kusi ją słodką mową. Ale w jego melodyjnym głosie pobrzmiewa jakaś fałszywa nuta.

– No dobrze, no już, moje dziecko, moja krwi, należysz do mnie, a twój płacz jest niemądry, słaby i nikt go nie słyszy. Wiedz o tym, dobrze to zapamiętaj. Nauczę cię być kimś, dam ci kolorowe, błyszczące zabawki i słodczy, wszystkie słodczy, jakich zapragniesz.

– Chcę do mamy, chcę do taty, chcę...

– Zamilcz! – Teraz głos przypomina grzmot, zniknęła łagodność, już nie ma słodczy. – Pokażę ci, czego chcesz. Co możesz mieć. Odtąd masz we mnie matkę i ojca, jestem

dla ciebie wszystkim. Słuchaj mnie uważnie, bo inaczej spotka cię coś gorszego niż łyż. Musisz wiele się nauczyć, a pierwszą lekcją będzie posłuszeństwo.

Cień podchodzi bliżej, a ona krzyczy przeraźliwe, najpierw ze strachu, a potem ze złości, jaką jedynie dziecko potrafi czuć.

Krzyczy i młóci pięściami w ścianę. Szkło rozbija się w drobny mak.

Leży w łóżku w swoim pokoju ze skośnym sufitem w ich małym domu w Filadelfii. Jest dzieckiem, trochę starszym, ale nadal dzieckiem. Kurczowo trzyma się ojca, a on ją gładzi, kołysze, uspokaja.

– To tylko sen, *mo stor*, tylko sen. Tatuś jest przy tobie i czuwa. Nic ci nie grozi. On ci nic nie zrobi. Nigdy więcej do ciebie się nie zbliży.

Kiedy ze wszystkich sił starała się otrząsnąć z tego snu, na obrzeżach świadomości pojawiła się myśl, że ten ktoś jednak spróbuje, że nie odpuści.

Rozdział 8

Postanowiła nie mówić Marco o śnie i nie zamierzała umieścić go w blogu. Ale odtworzyła go w swoim, jak go nazywała, sekretnym dzienniku pisanym do szuflady.

Wolała również przemilczeć przed Marco tamtą historię z Moreną, założyła bowiem, że sokolniczka prawdopodobnie weszła nielegalnie na prywatny teren.

Siadła do bloga i skupiwszy się na pogodnych i radosnych wydarzeniach z wczorajszego dnia, czuła, jak w miarę pisania poprawia jej się nastrój.

Rutynowo wykonała poranne ćwiczenia energetyzujące i wyszła na ostatni spacer po Dromoland. Ciągnęło ją w stronę tamtych ogrodów za murem kuszących urodą i spokojem.

W końcu złe sny były tylko snami, a ponieważ nękały ją przez większą część życia, nie zamierzała poświęcać im przesadnej uwagi.

Nie, gdy dokoła kwitły kwiaty i śpiewały ptaki, a słońce przebijało się przez warstwę chmur. Lepiej wróci – pomyślała – i spakuje walizkę, chociaż wrzucenie do niej tych paru rzeczy zapewne zajmie najwyżej pięć minut. W tej samej chwili, przyznając się do tchórzostwa, zmusiła się, by skrócić na ścieżkę do lasu.

Zirytowana mdlącym uczuciem strachu w żołądku, przeszła tę samą drogę co poprzedniego dnia. Tym razem była w lesie sama.

Gdy wracała do zamku, zaczął siąpić deszcz.

Zgodnie z luźno zarysowanym planem skierowali się na północ. Mały samochód z nią za kierownicą, z Marco na fotelu obok i wyładowanym bagażnikiem odjechał sprzed zamku w gęstej mżawce.

– Breen, nocowaliśmy w zamku.

– Nocowaliśmy w zamku, Marco. A teraz bez pośpiechu zatrzymamy się, gdzie będziemy chcieli, i obejrzymy, co warto zobaczyć po drodze do naszej przytulnej irlandzkiej chaty.

– Ilu znamy ludzi, którzy mogliby powiedzieć to samo, co ty przed chwilą?

– Zero.

Jechali na północ, potem odbili na zachód ku wybrzeżu i dorzucili kolejne kilometry do wyznaczonej trasy. Między falami deszczu słońce przedzierało się przez chmury wiszące nisko nad polami, a wtedy oni zjeżdżali na pobocze i robili przystanki, gdzie im się podobało.

Przeszli przez łąkę pełną jaskrów i oglądali ruiny donżonu. Szary osiołek obserwował ich zza ogrodzenia. Kiedy Marco tam podbiegł, zwierzę przyjaźnie wysunęło łeb ponad murem.

Marco ostrożnie wyciągnął rękę i poklepał osiołka po łbie.

– Popatrz, on mnie lubi!

– Odwróć się, pstryknę fotkę. Spotkanie mieszczaucha z ośłem.

– Daj mi chwilę.

Ku jej zaskoczeniu Marco przeskoczył przez murek.

– Chyba nie powinieneś...

– A co to komu szkodzi i zobacz, on mnie naprawdę polubił. – Objął ośła za szyję, a ten ocierał się o niego jak kot.

– Czegoś takiego nie widuje się co dzień – mruknęła Breen, robiąc zdjęcie.

– Chodź tutaj. On jest słodki.

Breen, karcąc się w myślach za tchórzostwo, niepewnie zbliżyła się do ogrodzenia. Tak samo jak rano zmusiła się do wejścia do lasu, tak teraz z ociąganiem przeskoczyła murek, a kiedy osiołek odwrócił łeb w jej stronę, pisnęła przestraszona ku wielkiemu rozbawieniu Marco.

– Śmiało, Breen. On cię nie zje.

– Ale może ugryźć. Co my wiemy o ośłach? – Z wahaniem położyła dłoń na łbie zwierzęcia. – No dobra. Zrobiłam to. Możemy wracać.

– Zaczekaj. Też zrobię ci zdjęcie. Pomyśl o blogu – dorzucił.

– Pomyśl o blogu – mruknęła i posłusznie położyła dłoń z powrotem na łbie. Osiołek patrzył prosto na nią, tak jak wcześniej tamten jastrząb.

– Bridget. – Nie wiadomo skąd to przyszło jej do głowy. – Jesteś słodka – przemawiała do oślicy, gładząc ją jak psa. – Lubisz towarzystwo, prawda? Czujesz się samotna, kiedy owieczek nie ma w pobliżu. Prawda, Bridget?

– Breen, nie uwierzysz.

– Co? – Uśmiechała się do oślicy, gładziła ją po szorstkiej sierści, a przed oczyma miała farmę i chłopca z rozczochraną brązową czupryną w drzwiach chaty.

– Motyl ci siedzi na ramieniu. Nie ruszaj się. Mam już jedno fajne zdjęcie. A teraz bardzo powoli obróć głowę w lewo, żeby go czasem nie spłoszyć.

Z bijącym sercem odwróciła głowę. Rzeczywiście miała na ramieniu motyla. Patrzyła na niego z niedowierzaniem, a on zatrzepotał żółtymi niczym jaskry skrzydłami w czarne plamki i odfrunął taki delikatny jak płatek unoszony przez wiatr.

– Wyszło super – ucieszył się Marco. – Zobacz, ile fotek nacykałem.

Podsunął jej telefon i powoli przewinął serię zdjęć; na jednych Breen uśmiechała się do oślicy jak do starej znajomej, a na tych ostatnich stała z motylem na ramieniu.

Przytrzymał dłużej tamto zdjęcie, uchwycone w chwili, gdy obróciła głowę. Wcale nie była na nim przestraszona, wręcz przeciwnie, wyglądała na zachwyconą.

– Nie sądziłem, że one siadają na ludziach.

– Ja też nie. – Dotknęła ramienia.

– Ja bym chyba spanikował. A ty nawet nie drgnęłaś.

– Trochę drżałam w środku.

– Nie było widać. Jest o czym pisać na blogu. Zbierajmy się stąd, dziewczyno. – Po raz ostatni poklepał osiołka. – Bridget? – Rozbawiony obejrzał się na Breen. – Skąd ci to przyszło do głowy?

Nie miała pojęcia.

– Chyba wygląda na Bridget.

– Powiedzmy. Miło było cię poznać, Bridget.

Podał rękę Breen i pomógł jej przejść przez murek.

– Teraz ja prowadzę – oznajmił, puszczając dłoń dziewczyny.

Wjechali do Galway i zestresowani ruchem ulicznym dotarli na miejski parking.

– Świetnie sobie poradziłeś – pochwaliła go Breen, rozciągając zeszywniały kark.

– Jakoś nas dowiozłem. Czas odpocząć i coś zjeść. Ulica, na której są sklepy, zdecydowanie zasługuje na moją uwagę.

Breen szybko odkryła, że ta ulica przyciągała uwagę mnóstwa ludzi. Po przedpołudniu spędzonym bez żywej duszy w zasięgu wzroku miała wrażenie, że panuje tam niesamowity tłok, w który Marco ochoczo zanurkował. Bez szczególnego zainteresowania zaglądała z nim do sklepów, dopóki nie natrafiła na oprawioną rycinę z celtyckim pismem ogamicznym. Pod spodem widniało tłumaczenie: *Odwaga*.

– Czuję temat.

– No, dobry. I spokojnie zmieści się w walizce.

– Decyduję się.

– Na co?

– Nie, nie na obrazek. Nic do wieszania na ścianie. Chcę tatuaż. Jaki wybrać?

- Zależy od ciebie.
- Ha, pogadamy o tym przy lunchu. Umieram z głodu.
- Mógłbyś właśnie taki napis sobie machnąć i patrzeć na te dziury kilka razy dziennie.
- No i jeszcze coś na dokładkę. Jakiś irlandzki motyw – rzu- cił, kiedy rozglądali się za miejscem na lunch.

Breen spojrzała na niego, na swojego Marco z oliwkową cerą, burzą włosów zaplecionych w sięgające ramion afry-kańskie warkoczyki i starannie przyciętą kozią bródką.

- Nie jesteś Irlandczykiem.
- Ale zrobię tatuaż w Irlandii, tak?

Zdecydował się na irlandzką harfę. Może nie był Irland- czykiem, ale był muzykiem. Poza tym spodobał mu się jej kształt.

- Gdzie mam to zrobić? Mówię o miejscu na sobie. Bo salon w Galway mogę sobie wygooglać.

Breen nie traktowała serio tego pomysłu, więc tylko się uśmiechnęła.

- Masz niezwykle zgrabny tyłeczek.
- Fakt, ale tylko kilku wybrańców ma szansę go oglądać. Chyba najlepiej na bicepsie. Chociaż... – Napiął ramię.
- Tak jest, Marco, bicepsy też masz w porządku.

– Dla mnie weź to, co zwykle – poprosił Breen, przeglądając ogłoszenia w telefonie. – Męska decyzja, o zobacz, to miejsce ma bardzo pozytywne opinie. Klamka zapadła. Idziemy tam.

Wstali od stolika.

– Mówisz poważnie? – Breen uniosła brwi.

– Nie możesz być górą, dziewczyno. Ty już masz tatuaż i ja też będę miał.

– Marco, ty potrzebujesz tlenu, kiedy w filmie robisz komuś zastrzyk.

– Będziesz mnie trzymać za rękę.

Trzymała i patrzyła, jak otwiera szeroko oczy już przy pierwszym ukłuciu igły.

– Jasna dupa. Zajmij mnie czymś.

– Tabliczką mnożenia?

– Jezu, tylko nie matma. Pośpiewaj.

Parsknęła śmiechem.

Biedak siedział na wyściełanym krześle z wytrzeszczonymi oczami, ściskając jej ręce, a Joe, gość z ramionami pokrytymi finezyjnym, kolorowym tatuażem, z ogromnym skupieniem dziergał mu zarys harfy na skórze.

Zaczęła od *Molly Malone*, bo melodia wydała jej się kojąca. Joe, tatuażysta, błysnął zębami w uśmiechu i dotknął do niej ciepłym barytonem.

– Gotowe?

– Nie, skarbie.

– Dzielny z ciebie gość – pochwalił go Joe.

Marco zacisnął powieki.

– Śpiewaj!

Breen zdecydowała się na żwawy *The Wild Rover*. Tym razem zawtórowała jej kobieta około pięćdziesiątki z celtyc-

kim triskelionem na przedramieniu.

Marco, ciągle z zamkniętymi oczami, dołączył do nich, bo kilka razy słyszał już tę balladę i zapamiętał słowa.

– Kapitalnie wyszło! – Ocenila mniej więcej trzydziestoletnia tatuażystka, współpracowniczka Joego. – Śpiewacie zawodowo?

Breen zaprzeczyła ruchem głowy, zastanawiając się przy tym, czy po wizycie w salonie tatuażu i trzymaniu za rękę Marco będzie nadal mieć czucie w rękach.

– A powinniście, macie świetnie zestrojone głosy. Pośpiewajmy jeszcze. Znaście coś Lady Gagi?

– Czy znamy coś Gagi? – Marco zdobył się na uśmiech, ani na moment nie otwierając oczu. *Born This Way* – zdecydował. – Dawaj, Breen.

Harfa nabierała wyglądu, a ona śpiewała, skupiając wzrok na twarzy Marco, bo od widoku twórczego procesu zaczynało ją mdlić. Nagle Marco rozluźnił uścisk i mogła już wyprostować palce.

Ale dalej wspierająco trzymała go za rękę.

– No, skończyłem, chłopie. – Joe lekko poklepał go po ramieniu. – Jeśli chcesz, możesz zerknąć.

– Dobra, ale najpierw złapię oddech. – Otworzył oczy, popatrzył na zieloną harfę na bicepsie. – Piękna! Zobacz, Breen. Mam niesamowity tatuaż.

– Wpadnijcie któregoś dnia na śpiewanie. Niezły. – Joe ruchem głowy wskazał tatuaż Breen.

– Dzięki.

– Zajrzyj do mnie, kiedy pomyślisz o kolejnym.

– Jeden mi raczej wystarczy.

Posłał jej szeroki uśmiech.

– Wszyscy tak mówią.

– Mam tatuaż – cieszył się Marco, kiedy wyszli na zewnątrz. – Zrobiłem go w Irlandii.

– Tak jest. Czemu się chwiejesz?

– Jeszcze trzęsą mi się nogi, ale mam to. Teraz ty prowadzisz, tak?

– Bez dwóch zdań.

– Następnym razem oboje damy sobie coś wydziergać.

– Zgoda. – W duchu przewróciła oczami. – Następnym razem.

Kiedy doszli do samochodu, Marco zamknął ją w objęciach i rozkołysał.

– Kocham cię, Breen. Ty nigdy nie zawodzisz.

– I nie zawiodę.

– Tylko nie zrób ze mnie cykora, kiedy będziesz pisać na blogu o tatuażu.

– Jeszcze co. – Wśliznęła się za kierownicę i poczekała, aż on wsiądzie. – Może będziesz musiał śpiewać, kiedy będę w tym ruchu przedzierać się przez miasto.

Nie było tak źle, jak się obawiała.

Trasa do Connemary wiodła wzdłuż przydrożnych wiosek, a czasem je przecinała. Po drodze widziała więcej owiec niż samochodów.

Marco drzemał. Zapewne zmogła go wizyta w salonie tatuażu.

Prowadziła odprężona, nic jej nie goniło, wiedziała, że kiedy zechce, może się zatrzymać, i nikt jej nie będzie dyktował, co ma robić czy dokąd jechać.

Mijała drogowskazy do miejscowości, do których chętnie by zajrzała, ale Marco spał jak zabity. Może później, z nim albo sama, wybierze się tam na jednodniowy wypad.

Jej uwagę przyciągnęło jezioro Corrib i pomyślała o wycieczce łodzią. Mogłaby popłynąć na drugą stronę i powrócić po hrabstwie Mayo. Czekają ją wiele tygodni, kiedy będzie robić wyłącznie to, na co ma ochotę.

Słodka, przyprawiająca o zawrót głowy wolność.

Gdyby miała zrobić jeszcze jeden tatuaż, co raczej mało prawdopodobne, zdecydowałaby się na: *Wolność*.

Mijała krowy, owce, wzgórza, pola i wypiętrzone klify. Piękno krajobrazu chwyciło za serce.

Marco przeciągnął się i otworzył oczy.

– Rany, ale się kimnąłem. Gdzie my... O ja cię!

– Masz przed sobą pasmo górskie Twelve Bens – wyjaśniła cicho, głosem zdławionym z emocji. – Jesteśmy w Parku Narodowym Connemara. Te góry wyglądają, jakby wszystkie zastęły jednocześnie. Przeoczyłeś jezioro. Boże, Marco, nie wyobrażasz sobie, jakie jest piękne. Ale tam wrócimy.

– Długo spałem?

– Nie wiem. Tutaj wszystko się dzieje jakby poza czasem. Och, widzisz to?

Wyprostował się i popatrzył we wskazanym przez nią kierunku.

– Mówisz o tej dużej dziurze w ziemi? Ze stertą czego obok?

– To jest torf. Suszą go. Wykopują, tną na kawałki i suszą na wietrze.

– I oni tym palą w domach, poważnie?

– Tak, wiem od taty. Wyleciało mi z głowy tyle rzeczy, które mi opowiadał, a teraz to wszystko wraca. Przypominam sobie różne rzeczy, kiedy je widzę. Na farmie, gdzie się wychowywał, mieli torfowisko. Na pewno mówił, gdzie jest ta farma, ale nie pamiętam.

– Pewnie sobie przypomnisz.

– Liczę na to i wiesz, mam takie wrażenie, że... jestem blisko domu.

– To pamięć emocjonalna. Czytałem o tym. – Wyjął komórkę i zrobił zdjęcie przez szybę. – Masz to wszystko jakby we krwi, no nie? Twojego ojca, przodków i tak dalej. Więc wsłuchujesz się w intuicję, odbierasz wrażenia.

– Coś w tym rodzaju. Marco, zobacz, jak pachnie powietrze.

Wdychała je, upajała się nim.

– Czuć torf i sosny i przysięgam, że czuję zapach zieleni.

– Mogę cię zmienić za kierownicą, jak chcesz sobie głębiej pooddychać.

– Nie, już prawie jesteśmy na miejscu.

– Dobrze, bo...

- Umierasz z głodu.
- Nie zaszkodziłoby coś przekąsić. Zaczekaj. – Grzebał chwilę w torbie przy nogach.
- Mam chipsy i colę. Żelazny zapas na drogę.
- Tutaj mówi się „chrupki” – upomniała go i wzięła jedną.
- Masz zamiary na tę kobitkę od wynajmu nieruchomości, tak?
- No.
- Wyślij jej esemes. Prosiła, żeby ją zawiadomić jakieś pół godziny przed przyjazdem. Myślę, że już czas.
- Nie musimy po drodze zrobić zakupów?
- Najpierw tam pojedźmy, rozpakujmy się, sprawdźmy, co potrzebujemy. Mamy z chaty blisko do wioski, a właściwie do kilku.
- Oho, jaka szybka. – Marco przeczytał zwrotny esemes. – Napisała, że będzie na nas czekać.
- Doskonale. – Zerknęła na niego rozpromieniona. – Po prostu doskonale.
- Kiedy skręciła na wąską, krętą drogę ukrytą między żywopłotami, Marco zaczął się niespokojnie wiercić.
- Jesteś pewna, że to tutaj?
- Tak.
- A gdzie woda i widok na góry?
- Najpierw trzeba tam dojechać.
- No dobra... może dlatego ta chata była wolna na całe lato.

– Miej trochę wiary.

Sama też czuła lekki niepokój i wołała nie myśleć, jak na tej drożynie wyminęłaby nadjeżdżający samochód, ale nie pozostało nic innego, jak tylko jechać przed siebie.

– Chata stoi nieco na uboczu – tłumaczyła, żeby ich podnieść na duchu. – Miejsce zapewnia prywatność. Tak jak chciałam.

– Jest prywatność i jest zadupie. Zdaje się, mamy do czynienia z tym drugim. Wspominałaś o wsi.

– Kilka kilometrów spacerem z chaty.

– Ktoś, kto tędy chodzi, prosi się o śmierć. Może puszcze SMS do tej, jak jej tam, Finoli McGill – swoją drogą, nazwisko brzmi jak zmyślane – i upewnię się, czy dobrze jedziemy, bo może jesteśmy na ścieżce dla krów.

– Jak chcesz... zaraz, jest zakręt, mówiła, że mamy skręcić w prawo, tam powinien być znak. Widzisz? Jest. Fey Cottage. Nasza chata.

Za zakrętem świat otworzył się przed nimi. Droga pozostała wąska, ale po prawej ciągnęły się pola i wznosiły góry. W oddali połyskiwała zatoka.

– Dziwne. Zanim skręciłaś, mieliśmy same żywopłoty. Jechaliśmy w krzakach.

– Już się skończyły.

Pole zamykała ściana lasu – bajecznie zielona i cienista. Między lasem i zatoką w prześwicie z widokiem na góry stała dumna Fey Cottage. Otaczało ją morze barwnych kwiatów, poprzecinane wijącymi się, białymi ścieżkami.

Chata miała wysokie, masywne ściany z szarego kamienia i dach kryty strzechą. Okna mieniły się w słońcu jak drogie kamienie.

– Dobra, cofam, co mówiłem. Co prawda daleko jej do zamku, ale wygląda jak żywcem wyjęta z filmu, no i te widoki!

Zdziwiony brakiem odpowiedzi, spojrzał na Breen i zobaczył łzy w jej oczach.

– Hej, dziewczyno.

– Wygląda dokładnie tak, jak to sobie wyobrażałam. Zamek był ciekawym doświadczeniem, ale to... Właśnie coś takiego mi się marzyło. Chata blisko lasu i wody, otoczona kwietnym dywanem.

– I marzenie się spełniło. – Przytulił dłoń Breen do policzka.
– Zasługujesz, by mieć to, czego zapragniesz.

– Mam to wyłącznie dzięki ojcu. Zawsze będę o tym pamiętać, obojętnie, co się wydarzy.

– Zgoda, ojciec stworzył ci możliwości. A ty z nich skorzystałaś. Nie zapominaj o tym.

– Prawda. – Otarła dłonią twarz.

Breen wysiadła z samochodu i w tej samej chwili drzwi chaty, białe jak ścieżki, otworzyły się na całą szerokość.

Wyszła z nich zgrabna kobieta w jaskrawopomarańczowym swetrze i obcisłych brązowych spodniach. Włosy w kolorze pieczonych kasztanów miała zaczesane do tyłu i ładną twarz z cerą jak krew z mlekiem.

Gdy się uśmiechnęła, na jej policzkach pojawiły się wdzięczne dołeczki.

– Jesteście! Witam w Fey Cottage. Ach, Breen Kelly. – Wyciągnęła rękę i przytrzymała dłoń Breen w mocnym, pewnym uścisku, nakrywając ją drugą dłonią. Dopiero potem zwróciła się do jej towarzysza. – A to Marco Olsen. Przystojniak z ciebie. Jestem Finola. Miło mi was poznać. Macie za sobą długą podróż. Chodźcie, zapraszam do środka. Zaraz wszystko załatwimy.

– Dziękuję. Jak tu cudnie. Wszystko jest takie piękne – zachwyciła się Breen.

– Cieszę się, że ci się podoba. Wchodźcie, wchodźcie. Zanim się rozpakujecie, oprowadzę was po domu, pokażę, co i jak. Akurat taki ładny dzień nam się trafił.

Poprowadziła ich prosto do salonu z kamiennym kominem z drewnem ułożonym na palenisku. Na szerokim, lśniącym gzymsie stały trzy grube, białe świece.

Na podłodze z tego samego lśniącego drewna co gzyms kominka leżał dywan z umieszczonym centralnie motywem celtyckiego węzła. Leśna zieleń wzoru współgrała z zieloną kanapą o grubych poduchach. Udrapowany na oparciu kremowy pled przypominał puszysty obłok.

Półki były pełne książek. Na stolikach stały wazon z bukietami kwiatów. Zawieszone w oknach kryształki rzucały tęczowe refleksy na ściany. Za lśniącymi szybami otwierał się widok na kwietny dywan skąpany w słońcu, zielone zbocze i zatokę.

Zielone wzgórza przeglądały się w gładkiej powierzchni wody, niebieskiej jak letnie niebo.

Wszystko dokoła mówiło o gościnności i obiecywało wygodę.

– Cudownie – wyszeptała Breen. – Po prostu cudownie.

– W taki ładny dzień trochę za ciepło na kominek, ale przygotowałam drewno, bo pomyślałam, że może wieczorem zechcecie sobie napalić. Jak widzicie, dom ma, jak to się mówi, otwarty plan, jeżeli więc komuś przyjdzie ochota coś ugotować, nie będzie się czuł samotny.

Wprawdzie gotowanie nie było mocną stroną Breen, ale z chęcią zajrzała do kuchni. Oddzielał ją od salonu jedynie bar śniadaniowy z kamiennym blatem.

Środek zajmował stolik gustownie nakryty dla dwóch osób.

Na blacie stały niewielki ekspres do kawy i toster. Zauważyła też, ku swojej wielkiej radości, kamionkową misę z owocami. Nie brakowało również wazonów z kwiatami.

Marco rozpromienił się na widok sporego, jaskrawoczerwonego czajnika na kuchence.

– Górna półka – pochwalił wybór.

– Gotujesz? – zainteresowała się Finola.

– Tak, oczywiście.

– Przystojny i na dodatek mądry. Taki przyjaciel to skarb – zwróciła się do Breen. – Macie tutaj spiżarnię, trochę ją zaopatrzyłam, a w lodówce znajdziecie podstawowe produkty.

– Och, nie spodziewaliśmy się, że...

Finola uciszyła ją gestem ręki.

– Nie możecie zwracać sobie głowy zakupami w pierwszy dzień po przyjeździe. Przyniosłam wam bochenek ciem-

nego chleba. Jeszcze ciepły, dopiero upiekłam. Jest w chlebaku. A w słoju macie herbatniki. Oczywiście własnej roboty – zaznaczyła, podnosząc palec.

– Jak miło, że o wszystkim pomyślałaś. – Breen była poruszona taką życzliwością. – Bardzo ci dziękujemy.

– Och, naprawdę, to drobiazg. Tam dalej macie małe pomieszczenie z pralką i suszarką. Na podwórku jest rozciągnięty sznur, żeby w ładną pogodę wywiesić pranie. A to jedyna sypialnia na dole i, co bardzo w niej lubię, ma drzwi na dwór, można więc zaraz po przebudzeniu wyjść prosto do ogrodu.

Breen była oszołomiona. Dokładnie tak wyglądałby jej dom, gdyby miała go sama zaprojektować.

Część sypialni wydzielili na kąt do ćwiczeń i miejsce do pisania tak, aby w przerwie pospacerować w ogrodzie, przejść się nad wodę czy do lasu.

Nauczy się gotować – więcej i lepiej. Marco jej w tym pomoże. A wieczory będzie spędzać z książką w fotelu przy kominku.

Finola zaprowadziła ich na piętro. Drzwi po obu stronach krótkiego korytarza były otwarte. Na środku stał wąski stolik na rzeźbionych nogach, a na nim wazon z kwiatami i świece. Breen powiodła palcami po misternej rzeźbie smoka w locie na blacie.

– Piękna robota.

– Prawda? Mogę z dumą powiedzieć, że dobrze znam artystę, a przynajmniej tak sądzę, skoro jesteśmy małżeństwem od czterdziestu sześciu lat. Kiedy kobieta, która zbu-

dowała tę chatę, szukała czegoś wyjątkowego, on podarował jej ten stolik.

– Jest... – Breen, nie odrywając dłoni od rzeźby, obejrzała się na Finolę. – Zaraz...

– Mnie też coś tu się nie zgadza – odezwał się Marco. – Wyszłaś za mąż, zanim się urodziłaś?

– Nie żartujcie! – Roześmiała się, zarumieniona. – Jedna z moich czterech wnuczek jest w waszym wieku.

Marco, spontaniczny jak zwykle, pochwycił jej dłonie.

– Zdradź mi swój sekret. Zdobędę się na wszystko, poza ofiarą z kurczaka.

– Och, przestań. Wystarczy cieszyć się życiem, kochać najmocniej, jak potrafisz. Dbać o ludzi, którzy potrzebują troski. A wieczorem wypić kieliszek wina.

– Dla mnie to pestka. Stosuję te zalecenia na co dzień.

– A oto przypomnienie. – Finola odwróciła rękę Breen do góry dłonią i wskazała tatuaż na nadgarstku. – To wszystko, poza winem, wymaga odwagi.

– Znasz staroirlandzki.

– Uczyłam się.

Breen cofnęła dłoń, tracąc trochę pewność siebie pod spojrzeniem stalowoniebieskich oczu, z których biła dziwna siła.

– Dzisiaj Marco zrobił sobie tatuaż.

Gdy Finola przeniosła na niego wzrok, jej spojrzenie zmiękło i stało się wręcz filuterne.

– Hmm, więc pochwal się, gdziekolwiek go masz.

Marco podwinął rękaw swetra.

– Skóra wokół jest jeszcze zaczerwieniona.

– Irlandzka harfa! Bardzo ładnie wykonana. – Kciukiem i wskazującym palcem lekko ścisnęła biceps. – Nieźle! – rzuciła z uznaniem, puszczaając oko.

Marco, którego niełatwo było spieszyć, tym razem spieknął raka.

– W takim razie teraz musisz nauczyć się grać na harfie.

– Marco jest muzykiem.

– Gdy nie stoję za barem.

– Przystojny, mądry i muzykalny? Prawdziwy skarb. Komuś się poszczęści. Teraz pokażę wam sypialnię i zobaczymy, czy dobrze wytypowałam. Marco, tę przeznaczyłam dla ciebie, ale nie miej mi za złe, jeśli się pomyliłam.

Zajrzeli do pokoju u szczytu schodów.

Łóżko zarzucone poduszkami i nakryte puchową kołdrą stało przodem do okna. Solidne wezgłowie i oparcie w nogach zdobiły wyrzeźbione flety, skrzypce, harfy, klawesy, płaskie irlandzkie bębny i cytry.

– Rany – sapnął Marco, bo tylko tyle zdołał z siebie wydusić.

– To też robota twojego męża? – zapytała Breen, wodząc palcem po żłobieniach. – Fantastyczne.

– Tak i dziękuję za komplement. Z okna widać zatokę, kawałek morza i góry. Pled, a właściwie narzuta, jest dziełem mojej przyjaciółki. Myślę, że te odcienie szarości sprawiają przytulne wrażenie, nie wyglądają ponuro.

– Marco, co za widok! Codziennie rano będziesz patrzył na morze.

Podszedł do okna i stanął obok niej.

– Zupełnie jak obraz. Jeżeli podoba ci się ten pokój, mogę się z tobą zamienić.

– Nie. – Dotknęła policzkiem jego ramienia. – Jest w twoim stylu.

– Przyjemnie się patrzy na prawdziwą przyjaźń – zauważyła Finola. – Wiem, bo sama mam przyjaciółkę od serca. Może obejrzymy drugą sypialnię? Myślę, Breen, że będziesz zadowolona.

– Jeżeli jest chociaż trochę podobna do tej, wpadnę w ekstazę. Czy twój mąż ma gdzieś w pobliżu pracownię? – zapytała, kiedy wyszły na korytarz. – Chętnie zamówię u niego jakąś rzeźbę, o ile będę mogła ją wystać statkiem do Stanów. W ogóle myślę o wymianie wielu rzeczy na nowe.

– Och, pewnie, a pracownia jest o rzut beretem stąd. Porozmawiamy o tym, kiedy już się ulokujecie.

Wskazała Breen jej sypialnię.

Na wezgłowie tańczyły wyrzeźbione wróżki, fruwały smoki i kwitły kwiaty. Narzuta w nogach łóżka miała wszystkie odcienie zieleni; od szmaragdowej jak gładkie morze po malachitową, leśną. Na biurku w narożniku stały kwiaty, zabytkowy kałamarz i butelka z ciemnozielonego szkła wypełniona barwnymi kamyczkami. Obrazy na ścianach współgrały z motywami z wezgłowia. Szczególną uwagę przyciągał ten wiszący nad łóżkiem. Przedstawiał kobietę z kaskadą miedzianych loków, w długiej białej sukni falującej

na wietrze. Kobieta odwrócona plecami do pokoju wpatrywała się w zasnuće mgłą jezioro.

Breen nie mogła oderwać oczu od widoku za oknem.

Tajemniczy las zdawał się podchodzić pod chatę, łagodne fale obmywały brzeg, po tafli wody sunęła para łabędzi. I jeszcze te góry na tle błękitnego letniego nieba.

– Chyba jej się podoba – zauważyła półgłosem Finola.

– Och, na pewno. Breen, zobacz, masz kominek. Kiedy byliśmy dziećmi – Marco ogarnęły wspomnienia – w wyobraźni tworzyliśmy nasze wymarzone domy. Breen zawsze chciała mieć kominek w sypialni. Nieduży, z kamienia, z potrzaskującym ogniem w nocy.

– Zdjęcia... widziałam zdjęcia w Internecie. – Breen odwróciła się do Finoli.

– Och, od tamtego czasu wprowadziliśmy trochę zmian. Jak się to mówi, zmodernizowaliśmy to i owo. I jak, odpowiada ci ten pokój?

– Pani McGill...

– Och, dla ciebie i twoich przyjaciół Finola.

– Popłakałam się w samochodzie na widok chaty, bo wyglądała dokładnie tak, jak chciałam. Ale to wszystko... przekracza moje marzenia. Obiecuję, że będę bardzo dbać o ten dom.

– Nie wątpię. – Stanowcze spojrzenie gospodyni ponownie złagodniało. – W takim razie pokażę wam jeszcze otoczenie domu. Oczywiście, przywiozłam wam klucze – zaczęła, wychodząc na korytarz. – Okolica jest bezpieczna, ale może wolicie zamykać drzwi dla lepszego samopoczu-

cia. Za domem jest mały warzywniak i możecie z niego korzystać, to samo z kwiatami i ziołami. Ogrodem opiekuje się Seamus. Zagląda tutaj rankiem raz, a czasem dwa razy w tygodniu – opowiadała, wyprowadzając ich na dwór kuchennymi drzwiami.

- Te kwiaty tak bujne rosną.

- Seamus niewątpliwie ma dobrą rękę.

- Chciałabym dowiedzieć się czegoś o ogrodnictwie. Czy będę mogła go pytać o różne rzeczy?

- Jest gotów zagadać cię na śmierć. Pytaj go, o co tylko chcesz. Spójrzcie, tam macie ścieżki do lasu i nad zatokę. Przez las prowadzi skrót do najbliższej wsi. Widzicie wiatę? Tam leży drewno do kominka. Gdyby się skończyło, dajcie znać Seamusowi.

Breen pomyślała, że gdyby miała do wyboru wszystkie domy na świecie z wszystkimi możliwymi widokami, chciałaby właśnie ten.

- Nie zawsze mamy tutaj takie ładne dni – kontynuowała Finola. – W końcu to Irlandia, ale w dobrą pogodę możecie posiedzieć przy kawie czy kieliszku wina przy tamtym stoliku. Och, byłabym zapomniała! Internet jest podłączony. Hasło: „magicznajedynka”. Pisane razem, cyfra słownie.

Marco wyjął komórkę.

- Już wrzucam. Będziemy potrzebować dostępu do sieci. Breen jest blogerką.

- Naprawdę?

- Poczatkującą.

– Prześlę ci link – obiecał Finoli. – Złożę się, że napiszę pean o chacie.

– Cudownie. Czy chcielibyście coś jeszcze wiedzieć? Może macie jakieś pytania?

– Nic mi nie przychodzi na myśl. – Breen rozejrzała się, starając się wszystko naraz ogarnąć wzrokiem. – Naprawdę. Jestem oszołomiona.

– W takim razie już znikam, a wy odpocznijcie po podróży. Declan, mój siostrzeniec, zanieś bagaże do waszych pokoi. Dobry z niego chłopak.

– Och nie, nie trzeba.

Finola machnięciem ręki ucięła dyskusję i weszła do domu. W kuchni na blacie czekała butelka wina.

– Miłego wieczoru, pierwszego z wielu. – Położyła klucze obok butelki.

– Wszystkie będą miłe – zapewnił ją Marco. – A co powiesz na to, abyśmy teraz je otworzyli i razem wypili?

– Jesteś kochany, ale dzięki, czas mnie goni. Otwierajcie wino, nie musicie mnie odprowadzać, znam drogę. –

Wychodząc, jeszcze obejrzała się w drzwiach. – *Faillte. Deithe libh.* To znaczy *Witam. Błogosławieństwo dla was obojga.*

– Och, fantastyczne miejsce. Z początku raczej sceptycznie podchodziłem do pomysłu z wynajęciem chaty, dziewczyno. Ale teraz jestem cały za. I już otwieram to wino.

– Otwieraj, otwieraj. Chata jest niesamowita. A Finola mnie zdumiewa. Widziałeś, jak ona wygląda? Nawet jeżeli

wyszła za mąż jako nastolatka, musi mieć, lekko licząc, sześćdziesiątkę... a wygląda na jakieś czterdzieści lat.

– O ile ona w ogóle pracuje, to zapewne w jakimś wolnym zawodzie z górnej półki. Tak jak z górnej półki jest ta kuchenka, na której niedługo przygotuję wykwintną kolację. A ty siadaj do postu o chacie. To będzie petarda.

– Zajmę się tym rano, gdy porządnie się wyśpię we wspa-
niałym łóżu. Marco, nie żałuj wina, lej do pełna, weźmiemy
kieliszki nad zatokę. Chcę zrzucić buty i pobrodzić w wodzie.

– Tak jest. Zdejmiemy buty, będziemy pić wino i tańczyć
w zarq̄bistej zatoce.

– Jestem za.

Rozdział 9

Obudziło ją miękkie światło poranka sączące się do pokoju.

Spała mocno i, o ile pamiętała, raczej nic jej się nie śniło. Czyżby ten różowy kryształ, zawieszony nad łóżkiem, miał taki zbawienny wpływ na sen? Zauważyła go dopiero, gdy kładła się spać.

Na studiach miała koleżankę, która wierzyła w moc kamieni. Ona odnosiła się do tego sceptycznie.

Jedno wiedziała na pewno; obudziła się wypoczęta, pełna energii i idiotycznie szczęśliwa. Spulchniła poduszki, usiadła wygodnie i syciła oczy widokiem za oknem, zachwycona, że do końca lata ma tutaj swój dom.

Złapała się na tym, że w myślach już pisała post. Wstała, włożyła bluzę na T-shirt, w którym spała, wsunęła bose stopy w grube skarpety i zeszła na dół, żeby zaparzyć kawę.

Z dużym, białym kubkiem kawy przeszła z kuchni do sypialni na parterze i otworzyła laptop, który od wczoraj czekał na biurku.

Sączyła kawę i za każdym razem, gdy spojrzała na orgię kwiatów za przeszklonymi drzwiami, wzdychała z zachwytem.

Umówili się, że ten dzień spędzą na luzie. Marco na pewno dłużej pośpi. Powłóczą się po okolicy razem albo osobno. Chodził jej po głowie pomysł na opowiadanie lub

powieść. Spróbuje przysiąc na parę godzin, może uda jej się coś napisać, a może nic z tego nie wyjdzie.

Jednak chciała spróbować. Blogowanie uchyliło drzwi i jak podejrzewała, taki był właśnie zamysł Marco.

Odpaliła laptop i wciągnęła głęboko oddech.

Tajemniczy, magiczny Dromoland żegnał nas drobnym ciepłym deszczem – zaczęła.

Pisała ponad półtorej godziny bez jednej przerwy do ostatniego akapitu. *Czuję się tutaj jak w domu. Siedzę przy ładnym małym biurku i patrzę na niezwykły ogród, którym zajmuje się ktoś imieniem Seamus. W życiu nie widziałam takiego ogrodu. Jeżeli celem tego wyjazdu miało być Odnalezienie Siebie, to myślę, że ta podróż właśnie się rozpoczyna.*

Poszła po dolewkę kawy, przeczytała całość, wybrała i wkleiła zdjęcia, cały czas walcząc z wątpliwościami, czy może należało coś dodać albo zmienić w tym poście. W końcu wzięła się w garść i opublikowała wpis.

Wróciła na górę po legginsy i w części sypialni pełniącej rolę miejsca do treningu solidnie poćwiczyła czterdzieści pięć minut.

Ściągnięta odgłosem krzątania, zajrzała do kuchni. Zaspany Marco wojował z ekspresem.

– Dzień dobry!

Odmruknął coś niezrozumiale.

– Uzupełniłam blog, poćwiczyłam, teraz zrobię śniadanie, bo tyle akurat umiem, a potem prysznic, zmiana ubrania i spacer. A ty co masz w planach?

– Napić się kawy i nie zwracać uwagi na przesadne żywienie mojej współlokatorki.

– Rozpiera mnie energia! – Na dowód wykręciła podwójny piruet.

Odpowiedział jej sennym, nieprzyjaznym spojrzeniem.

– W takim razie najpierw wezmę prysznic i się przebiorę. Zyskasz czas na dobudzenie się przed jajecznicą z bekonem.

– Umowa stoi. Zabierz tę swoją energię na górę. A ja pójdę z kawą... – Niezbornie pokazał palcem w kierunku drzwi.

– Na dwór.

– No, tam. – Potarł oczy i wysilił się na uśmiech. – Wkurzasz mnie jak diabli, ale z tą energią jest ci do twarzy.

– I dobrze się z nią czuję. Śniadanie za pół godziny! – zawołała, wybiegając w podskokach z pokoju.

Podążyła na tarasie. Może było trochę chłodno, ale nie bardzo. I nie padało. Na razie.

– Breen, to ciekawy post. – Pochłaniał jajecznicę jak ktoś na skraju głodowej śmierci. – Ten blog wygląda coraz lepiej.

– Bo wszystko jest coraz lepsze. – Objęła spojrzeniem wodę, bladoniebieską w słońcu zasnutym chmurami, ptaki kołyszące się na powierzchni i łódź czerwoną jak znak stopu. – Uwielbiam to miejsce. Wiem, nie spędziliśmy w tym miejscu nawet doby, ale czuję się tutaj cudownie.

– To widać. – Przyglądał się jej, odgryzając kęs grzanki z ciemnego chleba. – Pamiętasz, co napisałaś na końcu postu? Myślę, że to szczerza prawda.

– Mam taką nadzieję. A teraz naprawdę wybieram się na spacer i koniecznie muszę do tej książki o roślinach dokupić atlas ptaków. Tyle ich tutaj lata, a ja nawet nie umiem ich nazwać. I jeszcze coś, to trochę przerażające, ale zamierzam dzisiaj się do pisania. Nie chodzi o blog, myślę o opowiadaniu. Chcę przynajmniej spróbować.

Uniósł kubek z kawą jak do toastu i stuknął nim o jej kubek.

– I tak trzymaj.

– Ty mnie skłoniłeś do pisania. To twoja robota.

– Może – przyznał z szerokim uśmiechem. – Czasem trzeba dziewczynę delikatnie szturchnąć, żeby zrobiła pierwszy krok, prawda? Nie będę się tu kręcił, musisz się skoncentrować. Chyba przejdę się do wsi, rozejrzę trochę po okolicy, zbadam, gdzie można coś zjeść i posłuchać muzyki.

– Świetnie. Jest tyle miejsc do zwiedzania, musimy zaplanować trasy.

– Nie dzisiaj. – Na poparcie tych słów wyciągnął nogi i skrzyżował je w kostkach. – Dziś trzymamy się blisko domu.

– Zgoda. Pamiętasz, co sobie przyrzekliśmy w tamten wieczór po przeprowadzce do wspólnego mieszkania?

– Och, tak. Że jeśli żadne z nas nie znajdzie miłości życia, będziemy do śmierci mieszkać razem.

– Nadal aktualne?

– Na sto procent, dziewczyno.

Taki układ ją zadowalał – pomyślała, wychodząc na spacer. Pod każdym względem, pomijając seks, Marco był miło-

ścią jej życia. A seks nie wydawał się znowu taki istotny, skoro w tej chwili i tak nie wchodził w grę.

Szła wąskim pasem plaży, a wiatr bawił się jej włosami, szalem, kurtką. Układała w głowie historię, którą chciała przelać na papier.

Może nie do końca wiedziała, jak ją zacząć, ale czas, żeby przynajmniej usiadła i spróbowała coś napisać. Tak, najwyższy czas. Patrząc tęsknie na las, jednak zawróciła do chaty.

Żadnych wykrętów – powiedziała sobie. Ma do dyspozycji pusty dom, ciszę i sporo czasu. Może sam pomysł pisania nie był zły, natomiast próba sprawdzenia się w roli pisarki budziła nerwowość.

Może takie napięcie sprzyja wienie.

Postawiła dzbanek z wodą na biurku, otworzyła laptop.

Nie wiadomo, ile czasu siedziała ze wzrokiem wbitym w ekran i dłońmi zawieszonymi nad klawiaturą.

Nagle palce same ruszyły do tańca po klawiszach. *Gdy w tamtą księżycową noc do drzwi Clare zapukał niespodziewany gość, jej życie na zawsze się zmieniło.*

Po pierwszym zdaniu tama puściła i słowa popłynęły ciurkiem.

Ochłonęła po dwóch godzinach i zdziwiła się, że napisała osiem stron.

Pewnie część tekstu, a może większość, brzmi niezgrabnie. Albo gorzej, po prostu niemądrze. Ale pierwszy krok miała za sobą.

Nalała wody do szklanki, wypita ją duszkiem. Wstała, pokręciła się po pokoju, wyszła na dwór, przeszła się po ogrodzie i poczuła, że musi wrócić do pisania.

Napiła się coli i wzmocniona kofeiną, spędziła przed komputerem kolejne dwie godziny.

Pełna obaw, przewinęła tekst do początku i zaczęła czytać. Targana wątpliwościami, w myślach nanosiła poprawki, zastanawiała się nawet, czy nie skasować wszystkiego i nie zacząć od nowa.

Uznała, że bezpieczniej będzie przerwać czytanie i jutro rano ze świeżym umysłem wrócić do miejsca, w którym skończyła.

Oszołomiona, zawędrowała do kuchni. Marco mieszał coś w garnku, w powietrzu unosił się smakowity zapach.

– Nie słyszałam, kiedy wróciłeś.

– Byłaś w twórczym szale, dziewczyno. Skończyłem gotować kartoflankę z szynką, napaliłem w kominku, bo z powodu deszczu zrobiło się chłodniej na dworze i właśnie próbuję upiec chleb na sodzie. Nie oceniam mnie zbyt surowo, bo jestem piekarskim prawiczkim.

– A która godzina?

– Jak dla ciebie akurat na kieliszek wina.

Sprawdziła czas.

– Jasna dupa! Nie sądziłam, że jest tak późno. Marco, nie musiałeś tego wszystkiego robić. Myślałam, że pojedziemy na kolację do wsi.

– Ja już miałem swoją porcję rozrywki i wybrałem parę miejsc na jutrzejszy wieczór. – Nalał jej wina z butelki, którą

trzymał na blacie. – Wiesz, że w wolnym czasie lubię porządzić w kuchni, a na dodatek ten chłopak z Filadelfii jeszcze nigdy nie gotował kartoflanki z szynką i nie piekł sodowego chleba.

Musiła przyznać, że wyglądał na szczęśliwego; niewątpliwie świetny humor był wzmacniany winem.

– Zjadłem w pubie kanapkę wielkości Utah i pogadałem sobie z ludźmi – relacjonował. – Przeszedłem się po sklepach. Znalazłem atlas ptaków dla ciebie, a sobie kupiłem książkę kucharską i wypróbuję przepisy na dzisiejszą kolację.

Gdy zdjął ścierkę do naczyń z okrągłego bochenka chleba z chropowatą skórką z głębokim nacięciem X, Breen otworzyła oczy z wrażenia.

– Naprawdę upiekłeś chleb. Z... mąki.

– Na maślanec. Kurde, ja tu dostałem maślankę. Nieźle wygląda, co?

– Wygląda cudownie, a jeszcze lepiej pachnie. To jak, zabieramy się do jedzenia?

– Zupa musi jeszcze chwilę się pogotować, a my w tym czasie posiedzimy przy kominku z winem i opowiesz, jak ci poszło pisanie.

– Prawdę mówiąc, jestem nieźle zakręcona.

Nakrył z powrotem chleb i zamieszał zupę. Potem wziął wino i poprowadził Breen za rękę do salonu.

– Jak już mówiłem, kiedy zajrzałem do sypialni, byłaś bardzo skupiona.

– Marco, ja napisałam piętnaście stron.

– To dużo. Chyba dużo. Dasz przeczytać?

– Hmm... na razie nie. Najpierw sama muszę przejrzeć całość. Jestem na początku. – Za przykładem Marco oparła stopy na ławie. – Wiesz co, wydaje mi się, że przez jakiś czas nie powinnam zaglądać do tego tekstu. Niech się pogotuje na wolnym ogniu jak ta twoja zupa.

– Dobrze kombinujesz. To musi przyjść naturalnie.

– Sama nie wiem, wydaje się niezły, a to już coś. W ogóle jest dobrze.

Dobrze było jeść zupę i chleb w kuchni i siedzieć z książką przed kominkiem. I obudzić się rano i w dobrym nastroju przywitać dzień.

Uzupełniła blog, traktując to jako rozgrzewkę, i godzinę popracowała nad powieścią. Dokładnie godzinę, bo na wszelki wypadek nastawiła minutnik. Niedługo zostanie sama i będzie mieć całe tygodnie na pisanie. Teraz chciała jak najwięcej czasu spędzać z Marco.

Objechali kilka miejsc, zajrzeli do paru wsi, w Clifden zjedli kolację w pubie przy muzyce, porozmawiali z mieszkańcami.

Dwie osoby pamiętały jej ojca i jego granie, ale nie tak wyraźnie jak Tom z Doolin.

Dni nabrały ustalonego porządku. Breen wstawiała wcześnie i pisała, czasem robili wycieczki, odkrywali kolejne puby, w których mogli zjeść posiłek przy muzyce, albo dla odmiany trzymali się bliżej chaty i jedli kolację w domu, a Marco wprowadzał ją w gotowanie na podstawie prostych przepisów.

Niestety, czas płynął nieubłaganie, niezależnie od tego, jak bardzo Breen chciałaby go zatrzymać.

W deszczowy dzień, który doskonale odzwierciedlał jej smętny nastrój, odwiozła przyjaciela na lotnisko Shannon.

– Marco, nie wiem, co ja bez ciebie zrobię. Może powinienam...

– Przestań, w ogóle nie wspominaj o tym, że powinnaś wrócić do Filadelfii. Dzięki tobie przeżyłem dwa najcudowniejsze tygodnie w życiu. Nie psuj tego.

– Co innego mówić, a co innego rzeczywiście siedzieć tutaj całe lato.

– Zobaczysz, będziesz więcej niż zadowolona. Przecież nie zostawiłbym cię samej, gdybym myślał inaczej. Powiem ci, co masz robić. Dużo pisz i ucz się gotować, bo coraz lepiej idzie ci w kuchni.

– Ponieważ zawsze zdążyłeś mnie powstrzymać, zanim coś spaaprałam.

– Jak spaaprzesz, zjesz kanapkę. – Wzruszył ramionami. – Będziesz chodzić na długie spacery, które tak lubisz. Pamiętaj, codziennie masz mi wysyłać esemesy. Odnajdź siebie. Zrób to dla mnie. – Uścisnął jej dłoń. – Odnajdź Breen i przywieź ją do domu, bo będę cholernie za nią tęsknił.

– Ja już za tobą tęsknię. Bez ciebie nie zdobyłabym się na to wszystko.

– To działa w obie strony.

Z ciężkim sercem skręciła na lotnisko.

– Wysadzisz mnie na chodnik, tak jak ustaliliśmy.

– Mogę zostawić samochód na parkingu i odprowadzić...

– Nie ma mowy. Oboje płakalibyśmy jak bobry. Jestem dzielny, dałem sobie zrobić tatuaż, nie będę płakał.

– A ja będę.

– Breen, zrób to dla mnie i nie becz.

Już pociągając nosem, odwiozła go pod wejście do hali odlotów.

– Wiesz, że będę.

– Breen, ciesz się życiem. Wyluzuj i miło spędź to lato. Przyślij mi fotkę, jak z zadowoloną miną zawzięcie walisz w klawisze. Albo jak siedzisz na dworze z kieliszkiem wina i z zachwytem patrzysz na wodę. Albo takie, na którym bawisz się w pubie, flirtując z przystojnym Irlandczykiem.

– Spróbuję.

– To polecenie. Nie ma „spróbuję”. No dobra, masz telefon do Finoli, gdyby w chacie coś nawaliło, wiesz, jak radzić sobie z kuchenką i napalić w kominku. I nie zapominaj o zamykaniu drzwi na noc.

– Będę pamiętała. Marco, nie martw się o mnie.

– Cholera, oczywiście, że będę się martwił. To mój obowiązek..

Podjechała do krawężnika, wspominając, jacy oboje byli podnieceni po przylocie.

– Masz paszport, bilet i...

– Mam wszystko.

Wysiadł i zaczął wyjmować rzeczy z bagażnika. A ona stała obok, walcząc ze łzami.

– Przyślij mi esemes po wylądowaniu. Od razu.

– Dobrze. A ty mi zaraz po powrocie do chaty. Dzięki mojej najlepszej dziewczynie będę czekał na lot w salonie pierwszej klasy. – Postawił bagaże i zamknął Breen w mocnym uścisku. – Jeżeli nie będziesz mogła zasnąć albo coś cię zdenerwuje, natychmiast do mnie dzwoń. Zgoda?

– Tak. Kocham cię. Będzie mi ciebie brakować.

– Też cię kocham i będę bardzo za tobą tęsknił. Lepiej już pójdę, żeby się nie rozbeczeć. – Pocałował ją i jeszcze raz uścisnął.

Podniósł torby, szybkim krokiem ruszył do wejścia i jeszcze obejrzał się w drzwiach.

– Baw się dobrze, dziewczyno, bo inaczej naprawdę się wkurzę.

I już go nie było.

Wracała w deszczu, łykając łzy, niepewna, czy jest gotowa na samotność.

Gdy dojeżdżała do chaty, zza chmur wyszło słońce. Patrzyła przez łzy na mieniącą się na niebie tęczę.

Szkoda, że Marco nie może jej zobaczyć. Wysiadła z samochodu, zrobiła zdjęcie i wysłała esemes.

**Dobry omen na Twoją podróż i mój nowy etap.
Ściskam Cię tęczowo.**

Po chwili przyszła odpowiedź:

Piękna, koniecznie wrzuć na blog. Siedzę tutaj jak jakiś bogaty sukinkot przy piwie i frymuśnych kanapkach. Wybierz się na spacer pod tęczą. Buziaki.

Dobrze – pomyślała – może rzeczywiście tak zrobi. Zaniośła torebkę do domu i zmieniła buty na klasyczne wellingtony, na które namówił ją Marco.

Wyszła przez kuchenne drzwi i na drugim schodku cicho krzyknęła wystraszona. Zobaczyła mężczyznę w zgrzebnych brunatnych spodniach i roboczej kurtce. Spod żółtej czapki wymykały się kosmyki siwych włosów. Na nogach, tak jak ona, miał wellingtony.

Z okrągłą twarzą o typowych irlandzkich rysach, wesołymi niebieskimi oczami i perkatym nosem przypominał skrzata z celtyckich legend, leprechauna. No, może był od niego ciut wyższy.

– Dzień dobry pani. Jestem Seamus. Przyszedłem popracować w ogrodzie, jeżeli to pani nie przeszkadza.

– Tak, oczywiście. Finola mnie uprzedziła, że pan tutaj zagląda. Musieliśmy się wcześniej minąć.

Z jego uroczo krzywego uśmiechu biła życzliwość.

– Pewnie tak. Jak się pani u nas podoba?

– Och, bardzo. Właśnie odwiozłam przyjaciela na lotnisko. Wraca do domu.

– No i pewnie jest pani smutno. Przyjaźń jest solą życia, nieprawdaż? No cóż, życzę mu szczęśliwej podróży.

– Dziękuję. Piękny jest ten ogród.

– Kwiaty to jedne z darów od bogów, mamy obowiązek dbać o nie z radością i czułością.

– Staram się co nieco dowiedzieć o kwiatkach i w ogóle o roślinach.

Znowu szeroki uśmiech opromienił mu twarz.

– Tutaj?

– Tak, kupiłam książkę.

– Książki na pewno są jedną z najlepszych rzeczy na świecie. Ale liczy się też dobry nauczyciel.

– Czy mogę czasami pana o coś zapytać? Nie będę przeszkadzała?

– Skądże, proszę pytać, o co pani chce. Na przykład te róże czas ogłowić. Pokażę, jak to się robi, i może pani spróbować.

Widok tęczy i towarzystwo Seamusa podniosły ją na duchu.

– Z chęcią.

Przez godzinę cierpliwie podawał nazwy kwiatów i roślin, opowiadał o ich pielęgnacji, tłumaczył, jak usuwać suche pędy i pelić chwasty. Pokazał, które kwiaty nadają się na bukiety do domu.

Zaprosiła go na filiżankę herbaty, ale podziękował, bo czekała go praca w kolejnym miejscu. Uchylił czapki i odszedł, zostawiając ją z pękiem kwiatów i świeżym prądem optymizmu.

Weszła do chaty, powstawiała kwiaty do flakonów i stwierdziła, że ma oko do kompozycji. Rozejrzała się po pustym wnętrzu. Optymizm powoli ją opuszczał, ale nie pozwoliła sobie na smutek.

Marco kazał jej się dobrze bawić i już zaczęła. Pomyślała, żeby zabrać się do pisania. Pora zrobiła się trochę późna, ale mogła układać dzień, jak chciała. To ona rządziła czasem.

Otworzyła colę, którą w myślach nazywała pisarskim wspomagaczem, i usiadła przy biurku.

Pisała może nie w szaleńczym, ale całkiem przyzwoitym tempie, dopóki głód nie wygnał jej do kuchni. Na szczęście Marco zadbał, żeby miała gotowe jedzenie w lodówce i nie musiała od razu gotować. Odgrzewając kolację, była myślami przy przyjacielu lecącym nad oceanem.

Miała nadzieję, że pije szampana i ogląda filmy, a samolot leci gładko bez najmniejszych turbulencji.

Umyła naczynia i w długi letni wieczór wyszła na późny spacer wzdłuż zatoki.

Gdy obejrzała się na chatę w poźłocie zmierzchu, spłynął na nią spokój.

– Masz rację, Marco. Będzie mi tu dobrze. Właśnie tego chciałam. Tego potrzebuję. Tęsknię za tobą, ale jestem szczęśliwa. Wykorzystam ten czas na pisanie.

Zawróciła do domu, kiedy księżyc wyłonił się zza gór i zawisł nad zatoką. Mleczna pręga światła kołysała się na wodzie, bryza szeptała obietnice. Gdzieś w koronie drzewa zahukała sowa. Musiała akurat się przebudzić.

– Kim jestem? – zastanawiała się Breen, idąc ścieżką. Zamierzała się tego dowiedzieć.

Weszła do chaty i dopiero po jakimś czasie przypomniała sobie o zamknięciu drzwi na klucz. Szykowała się do snu. Pierwszy raz miała spędzić noc samotnie w pustym domu.

Tak przynajmniej myślała.

Śpiąc, nie widziała za oknami roztańczonych świateł trzymających straż. Ani sowy, która z pobliskiej gałęzi czuwała nad córką Eiana Kelly'ego.

Obudziło ją piknięcie komórki, którą trzymała w dłoni.
Przyszedł esemes od Marco.

Lot spokojny. Twój chłopak już w Filadelfii. Najlepsza przyjaciółko na świecie, dzięki za cudowną wycieczkę. A teraz śpij dalej i odezwij się do mnie jutro.

Cieszę się, że jesteś w domu. Ucałuj wszystkich ode mnie. Zgodnie z poleceniem śpij dalej.

W półśnie odłożyła komórkę na nocną szafkę i śniła o tęczach i tańczących światłach.

Rozdział 10

Dni nabrały ustalonego rytmu.

Jako klasyczny skowronek wstawiała o świcie. W nagrodę miała widok na zamgloną zatokę i niebo mieniące się na wschodzie. Pobudzona kawą, jeszcze w piżamie, uzupełniała blog, traktując posty jako rozgrzewkę przed prawdziwym pisanie.

Przebierała się w sportowy strój i po porannym rozruchu, już z drugą filiżanką kawy i czymś do przegryzienia, co akurat chwyciła po drodze, szła na spacer wzdłuż zatoki.

Nauczyła się rozpoznawać ptaki. Znała już pustułki i potrzosy, lubiła obserwować krzykliwe łabędzie kołyszące się na wodzie w rzedziejącej mgle.

Pisała w ciszy, którą mącił jedynie szum bryzy od zatoki oraz śpiew ptaków, i nie mogła się nadziwić, jak szybko mijał dzień. Późnym popołudniem albo wieczorem szła do lasu. Zawsze miała telefon w pogotowiu, fotografowała sroki i polne kwiaty. Raz natknęła się na łanię z jelonkiem. Uchwyciła je, gdy patrzyły na nią bardziej z zaciekawieniem niż lękiem, i pomyślała, że takie zdjęcie warto oprawić w ramki.

Po kilku takich dniach zrozumiała, że odosobnienie wcale nie musi oznaczać samotności. Owszem, brakowało jej Marco, ale miała cel i swobodę i to ją w pełni zadowalało.

Radziła sobie z przygotowywaniem posiłków. Najlepiej gdy cała procedura sprowadzała się do odgrzania mrożonej pizzy. Miała pod ręką ogromny wybór książek, czas upływał jej na pisaniu, spacerach i układaniu planów na przyszłość.

W końcu usiadła i zrobiła listę.

Będę prowadzić blog i pisać książkę, a może opowiadania, choćby tylko do szuflady. W każdym razie nie zrezygnuję z pisania.

Poszukam pracy, takiej która będzie mi odpowiadać i na której się znam.

Kupię dom. Nieduży, akurat taki dla mnie i Marco. Muszę mieć miejsce na gabinet do pracy i koniecznie podwórko.

Założę ogród.

Kupię albo zaadoptuję psa.

Spróbuję odnaleźć ojca, a kiedy go znajdę, postaram się mu wybaczyć, że mnie opuścił.

Pomyślę o takiej rozmowie z matką, po której będę skłonna darować jej... wszystko.

Nadejdzie taki dzień – rozmarzyła się – gdy zacznie odhaczać te punkty i wtedy uzupełni listę o nowe, bardziej i mniej istotne zadania. Ale na razie musi się skupić na tym, co w tej chwili najbardziej się liczy.

Pod koniec pierwszego tygodnia pojechała do wsi na zakupy i stwierdziła, że jednak powinna częściej wyruszać z chaty. Po tygodniu życia w odosobnieniu razit ją widok tylu samochodów i ludzi. Chyba powoli zmieniała się w odludka.

Dla równowagi zaczęła przechadzać się po wsi i zaglądać do sklepów. Jej uwagę przyciągnął salon muzyczny z irlandzką harfą na wystawie. Weszła do środka. Kobieta za ladą, mniej więcej jej rówieśniczka, z obciętymi asymetrycznie czarnymi włosami, grała na dulcimerze.

– Dzień dobry. – Podniosła głowę znad instrumentu i uśmiechnęła się do Breen.

– Piękne, proszę nie przestawać.

– Och, to tak dla zabicia czasu. Czym mogę służyć?

– Ta harfa na wystawie. Jest cudowna.

– Ach, irlandzka harfa miniaturowa. Prawdziwy rarytas. Pokazać?

– Poproszę.

– Pani gra? – zapytała, wychodząc zza lady i kierując się do wystawy.

– Nie, myślę o przyjacielu. Jest muzykiem.

– Hmm, to naprawdę wspaniały prezent. – Postawiła harfę na stole w sklepie pełnym mandolin, banjo, akordeonów, fleków i bębnów.

Breen nie mieściło się w głowie, że przeoczyli to miejsce podczas wcześniejszych wypadów do wsi. Marco czułby się tutaj jak w raju.

– Jest cudowna – zachwyciła się Breen. – Ten kształt, drewno.

– Palisander. – Kobieta trąciła palcem struny, wydobywając anielsko czyste dźwięki.

– Zrobiono ją w Irlandii?

– Dokładnie tutaj. Na zapleczu. To dzieło mojego ojca.

– Pani ojca?

– Tak, on buduje i naprawia instrumenty. Nie, nie, nie wszystkie. – Uśmiechając się, zatoczyła rękę krąg. – Ale całkiem sporo z tych, które tu mamy. Pani mówiła, że nie umie grać, ale zapraszam, proszę usiąść i poczuć tę harfę.

– Ja... a właściwie. Chętnie.

– Proszę przysunąć sobie krzesło. A tak w ogóle jestem Bess.

– Breen. Dziękuję.

Usiadła, a Bess przyniosła harfę i pokazała, jak ją trzymać na kolanach.

Odżyło wspomnienie z dalekiej przeszłości, wyraźne jak obraz.

– Mój ojciec miał taką harfę – szepnęła.

– Naprawdę?

– Pamiętam, jak uczył mnie grać...

Położyła palce na strunach, zamknęła oczy i cofając się pamięcią do tamtych czasów, zagrała.

– *Foggy Dew!* – Bess zaklaskwała. – Bardzo dobrze pamiętasz.

Breen nie mieściło się w głowie, jak mogła o tym zapomnieć.

– Chcę ją kupić.

– Dla siebie? – zapytała z uśmiechem Bess. – Czy dla przyjaciela?

- Dla przyjaciela. Czy twój ojciec poświęciłby mi chwilę?
- Pewnie. Pójdę po niego. A ty pograj, jeśli masz ochotę. Zaraz będziemy.

Na pewno pogram – pomyślała – ale nie tutaj. W chacie. Gdzie nikt mnie nie będzie oglądał. Wtedy dam upust emocjom – przeleję w muzykę całą radość i ból.

Pogładziła palcami drewnianą ramę. Pamiętała teraz, jak ojciec tłumaczył, że do grania należy podchodzić z czułością. Instrument jest jak ogród, trzeba go kochać i pielęgnować.

Z zaplecza wyszedł postawny mężczyzna w stolarskim fartuchu, z czarnymi włosami przyprószonymi siwizną.

- Och, widzę, że moje ukochanie idzie w ręce kogoś, kto rozumie, jaki to skarb. Pani ją trzyma z miłością.

Tak mnie uczył mój tata – pomyślała Breen.

- Jest piękna i ma taki czysty dźwięk. Będę o nią dbać.
- Bardzo za to dziękuję.
- Zastanawiam się... Mój ojciec był muzykiem. Pamiętam taką harfę z dzieciństwa. Ojciec pochodził z Galway. Nazywał się Eian Kelly.

Mężczyzna oparł dłonie na biodrach.

- Dziewczyno, jesteś córką Eiana Kelly'ego, tak? Że też od razu na to nie wpadłem. Jesteś bardzo do niego podobna.

– Pan go zna. – Podniosła się z krzesła z harfą w objęciach.

- A tak. Swego czasu zrobiłem mu kastę.

– Kastę?

Teraz on się uśmiechnął.

– Akordeon, rozumie pani. Robiłem mu na zamówienie, bo miał szczególne wymagania. Och, on potrafił grać jak zastęp aniołów lub demonów. Dalej tak gra?

– Nie wiem, ale myślę, że tak. On i matka...

– Och, cóż. To przykre. Słyszałem, że wyjechał do Ameryki.

– Tak, ale wrócił. Myślę, że jest tutaj, w Galway.

– Nie widziałem go od... nie pamiętam ilu lat.

– Dorastał na farmie w Galway. Może pan wie, gdzie dokładnie?

Popatrzył na nią ze współczuciem.

– Przykro mi, niestety, nie wiem. Mogę popytać w okolicy.

– Byłabym zobowiązana. Na wszelki wypadek zostawię numer telefonu. Wynajęłam chatę na całe lato.

Wychodząc ze sklepu z harfą w futerale, pomyślała, że być może lutnik znajdzie człowieka, który będzie cokolwiek wiedział od kogoś, kto wie coś więcej.

Najchętniej wracałaby prosto do chaty, ale nadal czekały ją zakupy. A potem musiała całe zakupy przenieść z samochodu do domu i poukładać, zanim wreszcie mogła zmienić pantofle na traperki.

Dziś żadnego pisania – zdecydowała – nie z takim natłokiem myśli. Długi spacer w lesie powinien pomóc je wyciszyć.

Wyszła na dwór i o mało nie zderzyła się z Seamusem. Stał na małym tarasie z kolorową donicą i skrzynką pełną sadzonek przy nogach.

– Jak się masz, Breen?

– Miło cię widzieć. Jaka piękna donica. Posadzysz w niej te kwiaty?

– Ha, myślałem, że sama zechcesz się tym zająć.

– Bardzo chętnie, ale nie wiem, od czego zacząć.

Podał jej rękawice i szpadelek.

– Od ziemi i szczerych chęci.

Pokazał, jak robić drenaż z potłuczonej ceramiki i mieszać w beczce ziemię z torfem i kompostem.

Nie wybrał za nią kwiatów.

– A jeżeli wezmę takie, które się nie nadają?

– Niemożliwe. Te w skrzynce dobrze sobie radzą w naszym klimacie. A dla tych, które nie zmieszczą się w donicy, poszukamy innego miejsca. Zawsze znajdzie się gdzieś spłachetek gołej ziemi.

Wskazywał sadzonki, wymieniając nazwy kwiatów; begonie-dragony, lantany, lobelia, dzwonki irlandzkie, heliotropy, niecierpki, smagliczki nadmorskie.

– Masz dobre oko do kompozycji. Ładnie dobierasz barwy, pokrój i kształty roślinek – pochwalił Breen.

I tak jak kiedyś ojciec prowadził jej dłoń po strunach, tak teraz Seamus rękami w ogrodniczych rękawicach pomagał jej dociskać ziemię wokół flanc w donicy.

– O właśnie tak to się robi. Życzymy tym kwiatom szczęśliwego, długiego życia w ich nowym domu.

– Mogę dodać tę roślinkę? Podoba mi się kolor kwiatów i soczysta zieleń liści.

– To jest tojeść, najlepiej posadzić ją przy brzegu, będzie się zwieszać jak wachlarz.

– Przypomina tęczę, ma takie nasycone barwy.

– Szczera prawda. No i gotowe. A teraz to wszystko podlejemy, chociaż wieczorem spadnie deszcz. Trzeba pilnować, żeby ziemia zawsze była wilgotna, ale nie mokra. Skąd to wiadomo? Ot, wsadza się palec w ziemię i sprawdza.

Kiedy zapełnili donicę, ogrodnik pomógł Breen wybrać miejsce pod pozostałe sadzonki. Kopiąc dołki pod flance, bawiła się jak dziecko.

– W przyszłości zamierzam kupić dom i założyć ogród – zwierzyła się. – Taki piękny jak ten, gdzie wszystko rośnie jakby bez planu.

– Na pewno się uda. – Kojący głos Seamusa zdawał się odbijać szeptem w jej sercu. – Bo widzisz, Breen, wszystko się ze sobą łączy. Ziemia, powietrze, woda, która spada z nieba, słońce, które daje ciepło i światło. I tak samo jest ze wszystkim, co żyje – roślinami, zwierzętami, ludźmi. Z bzykami, pszczołami i ptakami. Przemawiaj do tych kwiatów, śpiewaj im, a one na pewno się odwdzięczą.

Przysiadła na piętach, z uśmiechem patrząc na ubrudzone ogrodowe rękawice.

– Kiedy wróciłam sama, było mi trochę smutno. Ale teraz już nie jest.

– Ogród daje radość.

– Ten na pewno. – Breen, zazwyczaj niezbyt wylewna przy obcych, miała wrażenie, że Seamusa zna całe życie.

Powiązania – pomyślała – wszystko się łączy.

– Seamusie, zawsze tutaj mieszkałeś?

– Nie, od jakiegoś czasu, nie pochodzę z Galway.

W takim razie nie będzie znał mojego ojca, nie ma sensu go pytać – pomyślała.

– Zanim pójdę, trochę tutaj posprzątam.

– Razem posprzątam. – Podniosła się. – To też należy do zadań ogrodnika, prawda?

– Zgadza się. – Obdarzył ją tym swoim krzywym uśmiechem.

Gdy zamiotła taras, chciała mu oddać rękawice.

– Nie, nie. Są twoje i szpadek też zostawię. Takie rzeczy ogrodnik zawsze musi mieć pod ręką.

– Dziękuję. Wejdiesz na herbatę?

– Dziękuję za zaproszenie, ale muszę wracać do domu, bo żona pewnie szykuje kolację. Zajrzę tutaj za tydzień lub przędziej, gdybyś mnie potrzebowała. Niech te kwiaty sprawiają ci radość, Breen.

– Już sprawiają.

Zaczęła od zdjęć swojej pierwszej kwiatowej kompozycji.

Zrobiła kilka ujęć donicy i wpadła na pomysł, żeby pokazać Seamusa na blogu, ale kiedy się obejrzała, jego już nie było.

– Szybko chodzi – mruknęła.

Zaniosła rękawice i łopatkę do przedsiionka.

Zamiast iść na spacer – na którym, jak podejrzewała, wróciłaby gonitwa myśli – usiadła z kieliszkiem wina przy stoliku

na tarasie.

I podziwiała swoje dzieło.

Wieczorem przygotowała jednogarnkowe danie z kurczaka, ziemniaków i brokułów, skrupulatnie trzymając się wskazówek Marco. Wyszło, powiedzmy, nie najgorzej. Sфотографowała je do bloga i otulona swętem udała się na taras z drugim kieliszkiem wina.

Wizyta w sklepie muzycznym uwolniła z zakamarków pamięci wspomnienie związane z ojcem, które teraz, gdy minęło zaskoczenie, sprawiało jej radość. Znalazła idealny prezent gwiazdkowy dla najlepszego przyjaciela. Posadziła kwiaty w donicy i w ogrodzie. Zrobiła przyzwoitą – no, prawie przyzwoitą – kolację.

Nie wspominając o niemal dwóch godzinach spędzonych rano na pisaniu, zanim wpadła na pomysł, żeby ruszyć się z chaty.

– Miałam dobry dzień – powiedziała do kwiatów. – Naprawdę diabelnie dobry dzień. I jeszcze jedno. – Uniosła kieliszek i powiodła spojrzeniem po ogrodzie, lesie, zatoce. – Wznoszę za was toast. Za wszystko, co mam.

W nocy śniła się jej burza. Szalała nad wzgórzami, przetaczała nad polami, zmieniała wodę w mętną kipię. Drzewa uginały się pod naporem wiatru.

Jednak to nie burza budziła w niej strach. Ścigało ją coś mrocznego, budzącego grozę. Czuła, jak ciemna siła sięga po nią, chwyta w szpony.

Chce jej duszy. Weźmie ją całą i wypije jak wino.

– Po to zostałaś stworzona – mówiło to coś. – Jesteś mi przeznaczona.

Miecz wiszący na pasie u boku uderzył ją o udo. Mogła go użyć. Użyje go. Będzie walczyć albo zginie.

Woli zginąć, zanim znowu zatraci siebie.

Gdy zacisnęła dłoń na rękojeści, zobaczyła przed sobą światło. Rosło rozjarzone jak otwierające się przed nią wrota.

Jak wybawienie.

– Wracaj do domu, Breen Siobhan, córko klanu O’Ceallagh, potomkini ludu Fey! – wołał ją głos z głębi światła. – Czas, żebyś wróciła do domu. Czas na przebudzenie.

W chwili, gdy pazury ciemnej siły drasnęły jej plecy, wskoczyła w jasność.

Obudziła się zlane potem w skłębionej pościeli.

W pierwszym odruchu sięgnęła po telefon, chciała zadzwonić do Marco, lecz po namyśle odłożyła komórkę na nocny stolik. Nie będzie zawracać głowy przyjacielowi tysiące kilometrów stąd jakimiś głupimi snami.

Obudziła się. Nic złego się nie działo. Nie było żadnej burzy, nikt jej nie ścigał.

Otworzyła tabletki i zanotowała wszystko, co zapamiętała.

Może znalazła temat na opowiadanie. Nie zaszkodzi przyrzec się temu koszmarowi w świetle dnia.

Do świtu było jeszcze kilka godzin. Na wszelki wypadek postanowiła zostawić zapaloną nocną lampkę. Będzie jej rażniej.

Rano, już pogodna, uzupełniła blog. Wspomniała o wizycie w sklepie muzycznym, przemilczając zakup harfy, żeby nie zepsuć Marco niespodzianki. Napisała o sadzeniu kwiatów i gotowaniu kolacji.

Ożywiona, wyszła na dwór popatrzeć na swoje kwiaty. Rzeczywiście, jak przewidział Seamus, w nocy spadł deszcz. Może towarzyszyła mu burza, którą jej podświadomość zmieniła w dziwaczny, okrutny sen.

Mniejsza z tym, teraz się przejdzie, a resztę wilgotnego, chłodnego przedpołudnia przeznaczy na pisanie. Jak co dzień skierowała się nad zatokę, nadal zamgloną i szarą, ze słońcem ukrytym za warstwą chmur.

Od strony lasu doszło ją ciche skomlenie. Gdyby nie zmieniło się w szczekanie, przypisałaby te odgłosy jakiejś sarence czy zajęcowi.

Z liliowego leśnego półcienia wybiegł do niej szczeniak z wełnistą sierścią i krótkim, bezwłosym ogonem.

– Chodź tu, pieseczku! – Przykucnęła, żeby się z nim przywitać i w odpowiedzi została obsypana psimi pocałunkami. Szczeniak był spory, miał gładki pysk z czubem i brodę z kręconej sierści. Jego czekoladowe oczy lśniły z podniecenia.

– Jakiś ty słodki! I jakie masz piękne loczki! Skąd się tu wzięłeś? Zgubiłeś się?

Pies biegał w podskokach wokół Breen, lizał ją po twarzy, po rękach.

– Tak, ja też się cieszę ze spotkania. Ale ty do kogoś należysz. I ten ktoś się teraz martwi.

Wyjęła komórkę i po kilku próbach udało się jej uchwycić psa w obiektywie.

– Wyślę esemes Finoli. Może wie, czyj ty jesteś.

Kiedy zaczęła iść, pies odbiegł w stronę lasu.

– No, nie. Zaczekaj. Zgubisz się.

Zagwizdała. Szczeniak przystanął na moment, machając ogonem, zrobił kilka okrążeń, zatrzymał się i patrzył na nią, przechylając łeb.

– Dobrze, idę do ciebie.

Powinna najpierw zwabić go do domu, a potem wysłać zdjęcie Finoli.

Za każdym razem, gdy była blisko, pies odbiegał w stronę lasu, zatrzymywał się i oglądał, jakby mówił: „No dalej! Chodź!”.

Nie miała wyboru. Schowała komórkę do kieszeni i podążyła za nim.

Pewnie mieszka gdzieś niedaleko. Nie wyglądał na bezpańskiego psa. I wyraźnie wiedział, gdzie ją prowadzi.

– Dobrze, miałam w planie spacer, więc równie dobrze mogę pójść w tym kierunku.

Szczeniak odbiegał truchtem, zawracał, czekał na nią, ani na chwilę nie tracąc jej z oczu. Zauważyła, że nie prowadzi jej do wsi, prawdopodobnie przywędrował z jakiegoś bardziej oddalonego miejsca.

Może z farmy, gdzieś na uboczu, albo z chaty, której dotąd nie widziała.

Po nocnym deszczu ścieżka była wystłana miękkim dywanem z liści i sosnowych igieł. Powietrze przenikał zapach wilgotnej ziemi i zieleni. Kozuch mchu otulał pnie i konary drzew. Wiązki światła przesiane przez gałęzie, gdy kładły się na ziemi, wyglądały jak koronka.

Szczeniak zagonił na drzewo dużą, czarną wiewiórkę, a ona już z bezpiecznej wysokości zrewanżowała się gniewnym prychnięciem.

Breen dotąd nie zapuszczała się tak głęboko w las, dlatego w skupieniu starała się zapamiętać charakterystyczne elementy krajobrazu; zwalony konar, polankę upstrzoną białymi kwiatami o gwiazdzistych płatkach, kopczyki z szarych kamieni, z których jeden sięgał jej aż do pasa. Im bardziej zagłębiała się w las, tym drzewa wydawały się wyższe i coraz gęściej rosły, a na zwężającej się ścieżce przybywało wyrw. Chyba rzadko ktoś tędy chodził.

Szczeniak zaszczekał radośnie, a z góry, z korony któregoś z drzew, odpowiedziała mu kukułka.

Trafię z powrotem – uspokajała się Breen. – Owszem, szła ścieżką jak meander, ale zapamiętała tamte punkty orientacyjne, a resztą miała chatę wpisaną w GPS. Właśnie przeżywała przygodę ze swoim nowym przyjacielem.

Czy nie chciała umieścić psa w swojej powieści? I oto pojawił się pierwowzór.

Przestępowała kolczaste witki jeżyn płożące się na ścieżce, a pies je przeskakiwał. Od czasu do czasu obwąchał coś z zainteresowaniem, a raz przykucnął i zrobił siusiu.

Zastanawiała się, czy jednak nie powinna spróbować go złapać, a z drugiej strony bała się, że nie doniosłaby spo-

rego, wiercącego się szczeniaka do chaty.

Kiedy skręcili nad wąski, wartki strumień, pies natychmiast do niego wskoczył.

Ma łapy z błonami pławnymi – zauważyła. Pewnie należy do tych aportujących z wody.

Strumień był za płytki na pływanie, pies przeskakiwał z kamienia na kamień, baraszkował, zanurzając nos, chłepotał wodę, a Breen robiła mu zdjęcia.

Podzieli się nimi z właścicielami psa – postanowiła. Była przekonana, że lada chwila las się otworzy na jakąś farmę czy chatę.

Psiak wyszedł na brzeg, energicznie otrząsnął gęste futro z wody i machając cienkim ogonem, potruchtał przed siebie.

Breen zatrzymała się, zaskoczona.

Nie zobaczyła ani chaty, ani prześwitu na słoneczną polanę.

Z zachwytem wpatrywała się w niezwykle drzewo. Przygięte do ziemi konary w połowie wysokości odginały się do góry niczym ramiona mocarza wzniesione do nieba.

Pień o szerokości jej rozpiętych ramion wyrastał z szarego kamieniska. A może na odwrót, to skały powrastały w pień. Liście większe od jej dłoni połyskiwały soczystą zielenią.

Pies usiadł pod drzewem i jakby z dumą patrzył na ten cud natury.

– Tak, już rozumiem, czemu mnie tu przyprowadziłeś. Rzeczywiście, jest niesamowite. Siedź, nie uciekaj, daj mi zrobić zdjęcie. W życiu nie widziałam czegoś podobnego.

Zrobiła ich kilka, z różnej odległości i pod różnym kątem, a pies cierpliwie czekał.

– Zdaje się tam, na pniu, jest jakaś płaskorzeźba.

Podeszła bliżej, a pies podniósł się, pacnął ją łapą po nodze, wachlując ogonem.

– Tak! To mi wygląda na pismo ogamiczne. Jakieś znaki.

Wdrapywała się na skały, dla równowagi przytrzymując się zakrzywionego konaru.

Była gotowa przysiąc, że i kamień pod stopami, i konar zadrgały, a temu drzeniu towarzyszył cichy szum.

– Chyba mnie trochę ponosi – powiedziała do psa. – Znalazłam w lesie magiczne drzewo. Zrobię parę zdjęć tym wyrytym znakom. A w domu zajrzę do Google.

Szeroko rozstawiając nogi, szukała bezpiecznego podparcia dla stóp na konarach.

Użyła flesza, bo akurat chmury zakryły słońce. Zrobiła zdjęcie liści. Pokaże je Seamusowi. Może on wie, jak nazywa się to cudo.

Przykucnęła, żeby przyrzeć się podstawie pnia i skałom.

– To wygląda na całość. Trudno powiedzieć, co z czego wyrasta.

Obejrzała się na psa. Widziała, że wspiął się za nią na głąz.

– Nie wiem, jak ominiemy to drzewo. Zajmuje całą szerokość ścieżki. Chyba że się na nie wdrapiemy i zejdziemy na dół po drugiej stronie. Ale to raczej kiepski pomysł.

Szczeniak podciągnął się na sąsiedni kamień.

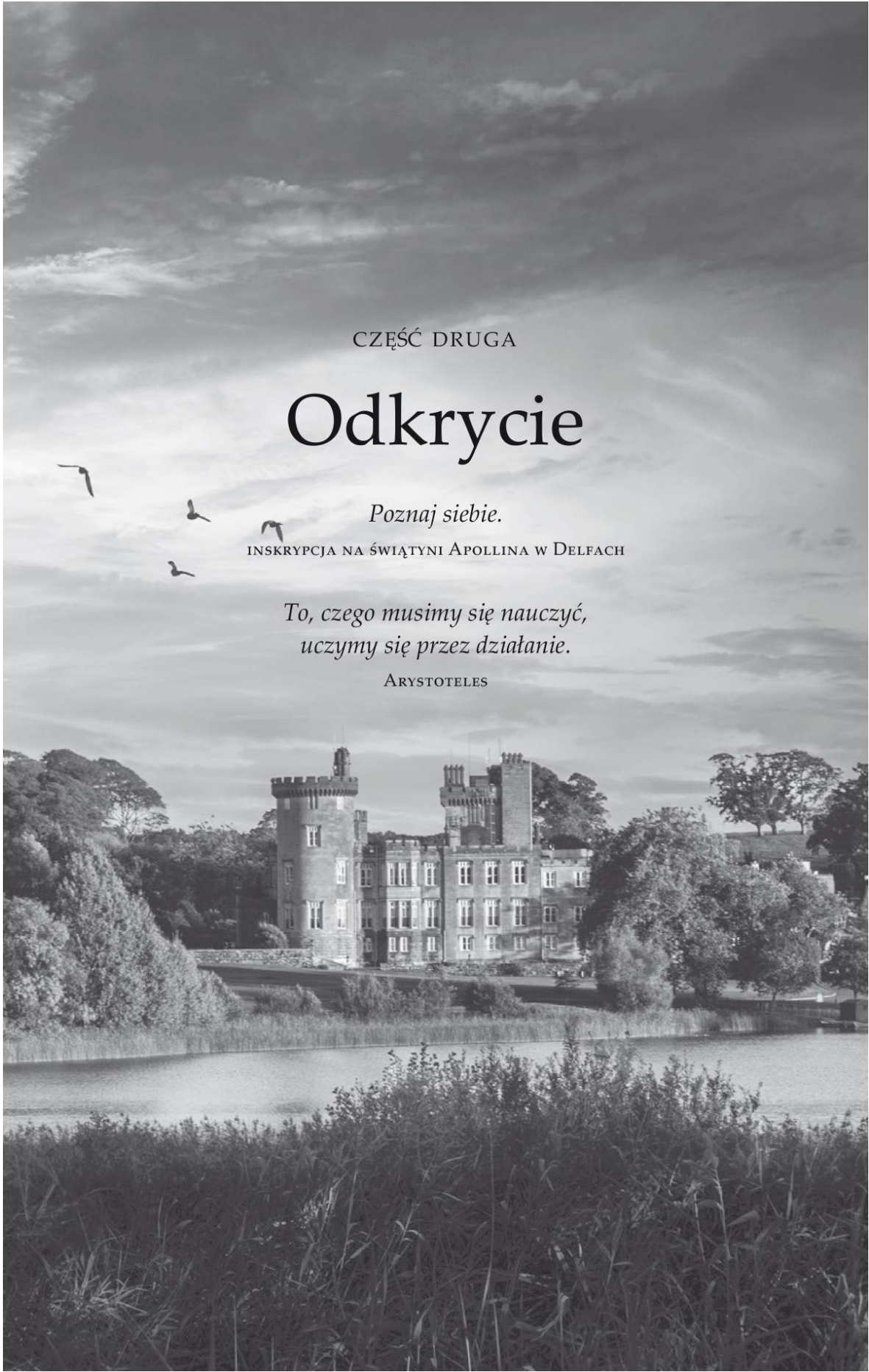
– Wracajmy do chaty. Wyślę esemes do Finoli. Dam ci wody. Na pewno chce ci się pić. Oboje się napijemy.

Pogładziła go po kudłatym łebku. Zanim wymyśliła, jak bezpiecznie zejść z drzewa z psiakiem na rękach, on zaszczeakał i wskoczył na kamień wyżej.

– No nie! A niech to!

Mamrotała przekleństwa, wyzywała się od idiotek, jednak podciągnęła się za psem. Przerzuciła nogę przez konar, żeby na wszelki wypadek usiąść na nim okrakiem.

I poczuła, jak znika świat.



CZĘŚĆ DRUGA

Odkrycie

Poznaj siebie.

INSKRYPCJA NA ŚWIĄTYNI APOLLINA W DELFACH

*To, czego musimy się nauczyć,
uczymy się przez działanie.*

ARYSTOTELES



Rozdział 11

Leżała na plecach na miękkiej trawie, nad sobą miała olśniewająco błękitne niebo. Przeptywały po nim obłoki, białe i puszyste jak runo czarnogłowych owiec pasących się w pobliżu.

Szczeniak, oparty przednimi łapami na jej piersi, zawzięcie lizał ją po twarzy.

Spadła. Uderzyła głową o ziemię?

Była w lesie, tak? Drzewo, a potem...

Ni cholery nie pamiętała, co się właściwie stało.

– No już, już. – Zepchnęła psa i spróbowała usiąść.

Zakręciło jej się w głowie, żołądek podjechał do gardła.

Opadła na trawę, zamknęła oczy.

Musiła uderzyć głową o grunt. Może ma wstrząśnienie mózgu. Pamiętała, że zanim spadła, niebo było zaciągnięte, zanosilo się na deszcz. Jezu, ile czasu tu leżała?

Powoli, ostrożnie dźwignęła się na łokciu. Odczekała, parę razy głębiej odetchnęła. Naprawdę za pasem wąskiej drogi widziała farmę, to nie było złudzenie. Duże, łaciate krowy pały się za kamiennym ogrodzeniem, rosły rzędy jakichś zbóż.

Chata z kamienia, podobnie jak reszta zabudowań, stała dalej od drogi. Z kominów leciał dym.

– Tam ktoś mieszka, tak? Pamiętam swoje nazwisko, datę urodzenia, tutejszy adres. Może to tylko lekkie wstrząśnienie mózgu. – Ostrożnie pomacała tył głowy. – Nie boli i nie ma guza. Po prostu impet upadku pozbawił mnie tchu. Nie jest źle.

Usiadła i znowu musiała na chwilę przymknąć oczy, zanim na miękkich nogach niezgrabnie wstała z ziemi.

Kręciło się jej w głowie, trochę ją mdlilo i jeszcze to uporczywe dzwonięcie w uszach, ale przecież nie będzie leżeć na pastwisku wśród owiec. Przejdzie na drugą stronę drogi do tamtego gospodarstwa, napije się wody – Boże, ale chciało jej się pić – i jakoś wróci do domu.

Obejrzała się, żeby sprawdzić wysokość, z której spadła. Drzewo rośnie na skraju pola, z koroną rozpostartą nad łagodnym pagórkiem.

Niecały metr – oceniła – od tamtych zakrzywionych konarów. Jak to możliwe, że straciła przytomność, gdy spadła z takiej wysokości na miękką trawę?

A jednak... Ostrożnie, nieco chwiejnie, zaczęła iść w stronę kamiennego murku. Pies pokonał go jednym susem.

– Jasne, dla ciebie łatwizna.

W jej sytuacji to wcale nie było proste. Gdy doszła do skraju pastwiska, przecięła drogę na ukos, żeby jak najszybciej dotrzeć do żelaznej bramki w ogrodzeniu.

Usłyszała śpiew – męski głos – i obejrzała się w tamtą stronę.

Mężczyzna szedł za muskularnym koniem zaprzężonym do pługa i ciął tłustą brunatną ziemię na skiby.

Spodnie miał wpuszczone w wysokie buty, czarne włosy wymykały mu się spod czapki.

Miała już kiedyś taki sen – pomyślała. Czyżby znowu śniła?

Oracz obejrzał się, zobaczył ją i zatrzymał konia.

Świat poszarzał przed oczyma Breen i osunęła się na ziemię zemdlna.

– Och, Jezu! Co ci jest, dziewczyno? – Puścił się do niej biegiem. – Aisling! – krzyknął. – Aisling, na pomoc! Coś stało się tej kobiecie!

Przeskoczył przez murek i przykucnął przy dziewczynie. W tej samej chwili z chaty wybiegła jego siostra.

– Jaka kobieta? Gdzie? O bogowie, oddycha?

– Tylko zemdlała. Wezmę ją na ręce.

– Chodź z nią tutaj. Już otwieram bramkę. Wnieś ją do chaty.

Aisling już w bramce dotknęła policzka Breen i natychmiast cofnęła rękę.

– Harken, ona wygląda jak...

– Też to widzę. Marg mówiła, że ona przyjdzie, i się sprawdziło. Piękne powitanie w domu, nie ma co.

– Połóż ją na otomane – poleciła Harkenowi, gdy weszli do chaty. – Przyniosę szmatkę i zimną wodę.

– Ja pójdę. – Zdjął czapkę i przygłodził czarną czuprynę, nie spuszczając oczu z Breen. – Myślę, że kiedy się ocknie, mniej się przestraszy, jeżeli zobaczy kobietę.

– Dobrze, idź już.

Aisling, przyglądając się Breen w skupieniu, dotknęła jej policzka, czoła i szyi, a potem piersi na wysokości serca. Uspokojona, otuliła jej nogi derką.

Wrócił Harken z miską i filiżanką.

– Nic jej nie będzie, jest silna. Trochę osłabiło ją przejście.

Wyjęła z miski szmatkę, wyżęła ją, położyła na czole Breen i zaczęła rozcierać jej dłonie.

– A teraz ocknij się i otwórz oczy, Breen Siobhan O’Cealligh. Budź się powoli i spokojnie. Harken, wiesz, którą herbatę zaparzyć?

– No pewnie, że wiem.

– No już, już. Nie bądź taki drażliwy, idź, zaparz filiżankę. To jej pomoże dojść do siebie, powoli i łagodnie.

Breen uniosła powieki i zobaczyła nad sobą twarz kobiety. Najbardziej idealną twarz, jaką w życiu widziała. Porcelanowa cera, usta w kształcie serca rozchylone w ciepłym uśmiechu, niebieskie jak niebo oczy, ocienione gęstymi rzęsami, i czarne jak heban włosy zwinięte w luźny kok.

– Przebudziłaś się. Masz, napij się wody. – Nieznajoma podsunęła rękę pod ramiona Breen, pomogła jej się unieść i przyłożyła filiżankę do ust.

– Dziękuję. Przepraszam. Zemdlałam. Spadłam i chyba uderzyłam się w głowę. Tam był pies, szczenię...

– Ten tutaj? Ten, który patrzy na ciebie z taką miłością w oczach?

– Tak. To wasz pies?

– Nie. A nie jest czasem twój?

– No nie... och, proszę wybaczyć, jestem Breen Kelly.

– Miło mi. Jestem Aisling... Hannigan – dodała po sekundzie wahania. – A to mój brat Harken Byrne. To on przyniósł cię z drogi.

– Dziękuję. Dziękuję wam obojgu.

Był podobny do siostry, tylko twarz miał rumianą, a policzki pokryte kilkudniowym zarostem.

– Nie ma za co – powiedział. – Parzę ci herbatę. Po niej od razu lepiej się poczujesz.

– Przepraszam za kłopot. – Walcząc ze skrępowaniem, usiłowała wstać i natychmiast chwyciła się otomany, bo pokój zawirował jej przed oczami.

– Kręci ci się w głowie? – zapytała Aisling.

– Trochę, ale nie jest źle. Chciałam oddać psa właścicielom. Poprowadził mnie przez las, aż do tego niesamowitego drzewa.

Opadła na poduszkę i przymknęła oczy, dlatego umknęły jej spojrzenia, jakie wymieniło rodzeństwo.

– Musiałam stracić równowagę.

– Czasami tak się zdarza, prawda? Przyniosę herbatę.

– Powinnam wracać – stwierdziła Breen, kiedy Harken wyszedł z pokoju. To musi być ich salon – pomyślała, patrząc na przytulne wnętrze z kominkiem, drewnianą podłogą, stołem i krzesłami. – Nie wiem, co zrobić ze szczeniakiem.

– Mam pewien pomysł, ale najpierw wypij herbatę. Na pewno ci pomoże. Złagodzi mdłości.

– Tak, rzeczywiście. Piękna farma – zwróciła się do Harkena, kiedy przyniósł kolejną filiżankę.

– Dbamy o nią – odparł. – A ona o nas.

– Dzięki. – Z wdzięcznością odebrała od niego filiżankę. – Orałeś... koniem.

– Tak. Pod oziminę.

– To wyglądało jak scena z filmu czy książki. Albo ze snu. Uroczy widok. Pyszna ta herbata. Co w niej jest?

– Imbir, mięta oraz szczypta tego i owego. – Aisling uśmiechnęła się do niej.

– Działa. – Z ulgą odstawiała filiżankę. Na powrót była sobą, a nawet poczuła przyływ energii. – Bardzo za wszystko dziękuję.

– Może przejdziesz się ze mną kawałek? – Aisling wymownie spojrzała na kędzierzawego psa. – Chyba wiem, do kogo należy.

– Naprawdę? Kamień spadłby mi z serca. To taki słodki psiak. Nie chciałabym, żeby się zgubił albo zrobił sobie krzywdę.

– Nic mu się nie stanie. Harken, zaraz wracam. Dzieci powinny spać do mojego powrotu.

– Nie przejmuj się. Damy sobie radę. Breen, miło było cię poznać.

– Mam szczęście, że was spotkałam. – Życzliwość tego człowieka łagodziła jej skrępowanie. – Jeszcze raz dziękuję za wszystko.

Wyszła z Aisling na dwór. Szczeniak trzymał się tuż przy jej nogach.

– Masz dzieci? – zwróciła się do swojej towarzyszki.

– Tak. Finian ma prawie trzy lata, a Kavan pół roku. – I następne jest w drodze. – Kobieta położyła rękę na brzuchu.

– Gratulacje.

– Najlepiej, żeby tym razem była dziewczynka. Bardzo chciałabym mieć córeczkę. Mój mąż wyjechał z moim drugim bratem... w interesach. Och, a tam, gdzie zatoka wcina się w ląd, stoi nasza chata.

Breen osłoniła dłonią oczy przed słońcem.

– Urocza.

Musiałam błędzić po lesie – pomyślała. Była gotowa przysiąc, że zatoka powinna być po lewej stronie.

– Mieszkam w chacie kawałek stąd.

– Och, tak?

– Wynajęłam ją na lato. Bardzo dobrze w niej się czuję.

– Skręcimy tutaj. Aha, widzę, że szczeniak zna drogę. Chyba odkryliśmy jego sekret.

Zeszły z drogi do lasu na równą, brunatną ścieżkę wśród szpaleru krzewów obsypanych śnieżnobiałymi kwiatkami o gwiaździstych płatkach.

Za zakrętem Breen stanęła jak wryta.

Polana pokryta kolorowym kwietnym dywanem, kamienna chata ze strzechą. Na parapetach lśniące, mie-

dziane skrzynki z kwiatami. Jaskrawoniebieskie drzwi były otwarte.

Breen serce utkwilo w przełyku, przycisnęła dłoń do piersi, jakby chciała je przytrzymać. Oddech uwięził jej w gardle.

– Spokojnie – powiedziała cicho Aisling, obejmując Breen w pasie. – Oddychaj, zaraz poczujesz ulgę. – Poszukała jej dłoni i zamknęła ją w swojej.

Ucisk w piersi dziewczyny zelżał.

– Przepraszam. Doświadczyłam czegoś w rodzaju déjà vu. Śliczne miejsce, naprawdę urocze. Jak z bajki. Niemądra reakcja.

– Wcale nie. Wejdziemy do środka? Założę się, że Marg trzyma czajnik z gorącą wodą na piecyku.

W wejściu pojawiła się kobieta z miedzianorudymi włosami splecionymi w koronę. Miała na sobie śliwkowy sweter i spodnie w antracytowym kolorze, a na nogach znoszone wysokie buty. Z jej postaci bił niezwykle majestat. Nawet sposób, w jaki się nachyliła nad obskakującym ją psem, żeby go pogładzić po łbie, był pełen godności.

Znam tę twarz – przeszło przez myśl Breen. Jak mogła jej nie znać, skoro miała wrażenie, że patrzy na siebie w lustrze, postarzałą o jedno czy dwa pokolenia? Podobieństwo było uderzające.

– Zapraszam. Jesteś tutaj mile widziana – odezwała się kobieta. – Bardzo mile.

Breen wreszcie odzyskała głos. Zabrzmiął ochryple, ale nie zadrżał.

– Kim pani jest?

– Jestem Mairghread O’Ceallaigh. Według ciebie Kelly. Jestem twoją babką. Wejdiesz? Dużo czasu upłynęło.

– W takim razie zostawię was.

Breen, wstrząśnięta, spojrzała na Aisling.

– Ale...

– Czekała na ciebie, a ty, jak sądzę, czekałaś na nią. Później się zobaczymy.

– Aisling, dziękuję, że ją przyprowadziłaś.

– To dla mnie wielka radość. Dziewczyna kiepsko zniosła przejście, ale szybko wydobrzała. W końcu to O’Ceallaigh. Breen, śmiało, porozmawiaj z babcią. – Krzepiącym gestem pogładziła ją po plecach i oddaliła się ścieżką.

– Masz pytania, na pewno mnóstwo pytań. Odpowiem na nie, o ile będę mogła.

Czy nie tego właśnie chciała? Przecież szukała odpowiedzi. Zebrała się na odwagę i postąpiła parę kroków do przodu.

– Napijemy się herbaty. A ty – Marg zwróciła się do psa – dostaniesz smakołyk. Tylko już się uspokój.

Przepuściła Breen, cofnąwszy się do wewnątrz.

Światło sączyło się do pokoju przez koronkowe firanki w otwartych oknach. Dwa fotele wyściełane miękkimi poduchami w kolorze leśnej zieleni stały ukosem do kamiennego kominka, wygasłego w ten ciepły dzień. Kamienny gzymś zdobiły świece, kwiaty i bryłki kryształów.

Na małej sofie, niebieskiej jak drzwi, zarzuconej poduszkami w misternie haftowanych poszewkach leżał cieniowany

niebiesko-zielonkawy pled.

– Sercem domu jest kuchnia – powiedziała Marg i przez wejście zwieńczone kamiennym łukiem zaprowadziła Breen do drugiego, dwa razy większego pomieszczenia.

Miedziany czajnik szumiał na kozie z żarem pachnącym torfem.

Na półkach i w oszklonych kredensach stały niebieskie talerze, białe filiżanki, szklanki i kolorowe dzbanuszki, a na wypolerowanych drewnianych blatach flakony z kwiatami, zioła w doniczkach i słoje.

Na kołkach wisały garnki, patelnie, chochle oraz kuchenny fartuch.

Znam to miejsce – pomyślała Breen. – Ale jak to możliwe, skoro nigdy tutaj nie była?

Ojciec musiał o nim opowiadać; to jedyne sensowne wyjaśnienie.

– Myślałam o herbachie – zaczęła Marg. – Ale widzę, że jesteś trochę blada, to trudny dzień dla nas obu. Co powiesz na wino? Rozgość się, *mo stor*.

Breen nadal stała.

– Czy mój ojciec jest tutaj?

– W tobie, we mnie, zawsze jest. Ale nie w takim sensie, jak myślisz. Siadaj, proszę. Ja, w każdym razie, muszę usiąść.

Breen usiadła przy kwadratowym stoliku i splotła dłonie na kolanach. Marg wyjęła coś ze słoja i pstryknięciem palcami przywołała psa, którego nadzieja na smaczny kąsek przynęcała za nimi do kuchni.

Usiadł i wyczekująco machał ogonem. Kiedy dostał smakołyk, niosąc go w zębach, w podskokach pobiegł do kąta.

Marg wzięła dzbanek, napełniła szklanki klarownym bursztynowym płynem i postawiła je na malowanej tacy obok patery z herbatnikami.

– Maślane ciasteczka. Twoje ulubione w dzieciństwie.

I nadal je lubię – pomyślała Breen.

– Skąd o tym wiesz? – zapytała, kiedy kobieta zdjęła z tacy paterę oraz szklanki i ustawiła je na stoliku. – Nigdy cię nie widziałam.

Marg odniosła tacę na kredens.

– Moja droga, pomogłam ci przyjść na świat. To moje dłonie wyciągnęły cię z łona matki. Wrzeszczałaś jak opętana i młóciłaś piąstkami. Małeńka zadziorna dziewczynka, już wtedy z rudymi loczkami.

– Przyjechałaś do Filadelfii?

– Nie, urodziłaś się tutaj, na farmie, kawałek drogi stąd.

– Niemożliwe. Urodziłam się w Filadelfii. Moja matka mówiła... – Mówiła? Na pewno? Czy po prostu ona tak założyła? – Pomyślałam... niemożliwe; w metryce urodzenia mam Filadelfię.

– Przyznasz, że takie rzeczy nietrudno załatwić. Czemu miałabym cię okłamywać?

– Nie wiem. A mój ojciec? Mieszka gdzieś tu w pobliżu?

Marg wyszczyła odrobinę wina, odstawiła szklankę i pochwyciła spojrzenie Breen. Smutek w oczach kobiety wystarczył za odpowiedź.

– Nie. To nie...

– Myślisz, że nie wróciłby, gdyby mógł? Że zostawiłby ciebie? Radość i miłość jego życia? Kochał cię ponad wszystko i ty o tym wiesz. Czuje to twoje serce.

– Kiedy? – wydusiła, zakrywając dłońmi twarz. – Kiedy?

– Nie szukasz pocieszenia w moich ramionach, bo na razie niewiele pamiętasz. Mam nadzieję, że nadejdzie taki dzień, kiedy będziemy wzajemnie się pocieszać. On był moim synem, całym moim życiem, jedynym dzieckiem.

Breen przez zasłonę też widziała głębię jej cierpienia.

– Wrócił tutaj, kiedy nadszedł czas, bo taki miał obowiązek. Wiedz, że zginął jak bohater. Zeszłej zimy minęło czternaście lat od jego śmierci. Wszyscy w tym świecie są jego dłużnikami i oddają mu cześć.

– Nie rozumiem. Nie był żołnierzem.

– Och, był kimś znacznie ważniejszym. – W głosie Marg smutek mieszał się z dumą. – Gdyby to od niego zależało, byłby wyłącznie ojcem, mężem, synem i farmerem. Ale został wezwany i odpowiedział na wezwanie.

– Czy moja matka wie?

– Nie umiem powiedzieć. – Marg umoczyła usta w winie. – Myślę, że głęboko w duszy wie, ale łatwiej wierzyć, że on ją zostawił, nieprawdaż? Kochała go – szybko dodała. – To wiem na pewno. Kiedy się poznali, złożyli śluby, spłodzili ciebie, łączyła ich prawdziwa, głęboka miłość.

Marco nazywał takie zjawisko pamięcią epizodyczną. Rzeczywiście Breen знаła to miejsce, tę farmę, pamiętała zapach powietrza. Miała to wszystko zakodowane w sercu.

– Jeżeli się tutaj urodziłam, kiedy stąd wyjechaliśmy? Dlaczego?

– To historia na inną okazję, ale powiem ci tylko, że twoja matka nie czuła się tutaj szczęśliwa i zaczęła... tęsknić za swoim światem. Chciała ciebie wychować w tamtym świecie. A mój Eian postąpił tak, jak powinien postąpić mężczyzna; wybrał żonę i dziecko.

– Ale wracał tutaj?

– Tak często jak mógł. – Marg zadumała się, wpatrzona w szklankę. – Wyznam, że tęskniłam za tobą. – Podniosła niebieskie zamglone oczy na Breen. – Ale nigdy cię tu nie przywiózł, bo twoja matka chciała, żebyś żyła w tamtym świecie. On miał nadzieję, że gdy podrośniesz, będzie mógł ci więcej wyjaśnić i przyjedziesz z nim. Ale los zdecydował inaczej.

– Dlaczego ona była taka przeciwna – nadal jest – mojej wizycie w Irlandii?

Marg spojrzała na nietkniętą szklankę przed Breen.

– Może jednak wolisz herbatę?

– Nie... – Podniosła wino do ust. – Uhm, dobre, takie... orzeźwiające.

– Mojej roboty, domowe. – Marg uśmiechnęła się i Breen odniosła wrażenie, że z tym uśmiechem do kuchni wpadło więcej światła. – Z mniszka. Lato zamknięte w szkle.

– Taa... Nigdy nie napisałaś, nie zadzwoniłaś, nie... Ojciec opowiadał mi o tobie, o tym miejscu. Ale niewiele pamiętam.

– Z czasem sobie przypomnisz.

Wino wypite razem przy kuchennym stole nie zasypie przepaści wielu lat.

– Dlaczego nie kontaktowałaś się ze mną? Czemu nie powiadomiłaś mnie o jego śmierci?

– Uzgodniono, że najlepiej dla ciebie, abyś zapomniała tamte pierwsze trzy lata w tym miejscu...

– Trzy lata? Mieszkałam tutaj do trzeciego roku życia?

– Byłaś takim żywym, radosnym dzieckiem. Twoja matka... nie powinnaś jej zbyt surowo oceniać. Przyznam, że trudno mi było się z tym pogodzić, ale ona nie umiała się tutaj odnaleźć i bała się o ciebie. Byłaś taka uzdolniona. A potem nam ciebie odebrano.

– Odebrano, kto, jak? Chcesz powiedzieć, że... zostałam porwana?

– Tak, odebrano i twoja matka szalała z rozpacz. Wszyscy byliśmy przerażeni. Ale odzyskaliśmy ciebie całą i zdrową, jednak dla twojej matki tego już było za wiele.

Urodzona na farmie w Irlandii, porwana jako trzylatka. Czy to naprawdę jest część jej życia?

– Nigdy nawet słowem się o tym nie zająknęli! To nie w porządku.

– Ona chciała zostawić te sprawy za sobą, odciąć się od tego wszystkiego.

– Przysyłałaś mi pieniądze – wyszeptala. – Najpierw mój ojciec, a potem ty po... jego śmierci.

– Rzeczywiście, najpierw on, a potem ja. Tyle tylko mogłam. A teraz zdecydowałaś się przyjechać. Jeżeli posta-

nowisz zostać tam, gdzie byłaś, te pieniądze ułatwią ci życie. Z taką myślą je wysyłał, a po jego śmierci ja to robiłam.

– Matka mi nic nie powiedziała. Trzymała wszystko w tajemnicy.

– Wiem.

– Jak to? – obruszyła się Breen. – Rozmawiałaś z nią?

– Nie, nie zgodziłaby się. Są inne sposoby, żeby wiedzieć i widzieć różne rzeczy.

– Jesteś moją babką – jedyną osobą z tego pokolenia. Matka nie utrzymywała kontaktów ze swoimi rodzicami. Zresztą oni umarli lata temu. Chyba że... Czy mam dziadka?

– O tym innym razem.

Breen zerwała się z krzesła z winem w dłoni.

– To wszystko się nie klei, jest bez sensu. Według twoich słów mieszkałam tutaj trzy lata, a ja nic takiego nie pamiętam.

– Czyżby? – zapytała łagodnie Marg.

Koronkowe firanki prześwietlone słońcem, zapach piekącego się chleba. Wiejski dom wypełniony śmiechem i muzyką.

I ojciec, który układa jej palce na strunach harfy.

– Czasami powracają do mnie okruchy jakichś mglistych wspomnień, pomieszane z historiami, które opowiadał mi tata. Tymczasem on nie żyje i nikt nie raczył mi o tym powiedzieć. Czekałam na niego. Przyjechałam go szukać. Miałam do niego żal.

Krążyła po kuchni, smutek mieszał się u niej ze złością, łzy strumieniem płynęły po twarzy.

– Mam babkę, która przysyłała mi pieniądze – cholernie dużo pieniędzy – ale nigdy do mnie nie zadzwoniła, nigdy nie napisała. Jestem dorosłą kobietą i nie przyjmuję do wiadomości bzdetnych tłumaczeń, że moja matka czegoś tam sobie nie życzyła. Nigdy nie powiedziałaś: „Jestem twoją babką, przyjedź mnie odwiedzić albo ja przyjadę do ciebie”.

– To nie był właściwy czas.

– Czas? – Okręciła się na pięcie. – Nie był odpowiedni przez dwadzieścia dwa lata, a teraz nagle jest?

– Tak. Teraz jest. Byłaś nieszczęśliwa, żyłaś odseparowana od wszystkiego, kim jesteś. Dotrzymałam słowa danego twojej matce, a teraz dotrzymam obietnicy złożonej synowi. W ostatniej chwili był myślami przy tobie. Umierając, mój syn...

Smutek zawisł w powietrzu. Breen, tłumiąc gniew, wróciła do stołu.

– Wybacz. To trudne dla ciebie.

– Marzyłam o gromadce dzieci, a miałam go jednego. Ale za to był niezwykły. Nieustraszony. A kiedy gościł w nim płomień życia, jego serce poprosiło moje, żebym dała twojej matce więcej czasu. On ją kochał, Breen, kochał do końca. Ale jeszcze większą miłością darzył ciebie. Kazał mi cię strzec i czekać do chwili, kiedy zobaczę, że jest w tobie chęć przejścia i co ważne, do czasu, kiedy będziesz tutaj potrzebna. I ja o to zadbałam.

– Jak? Nie wiedziałam o pieniądzach, znalazłam je przez czysty przypadek. Wkurzona, postanowiłam zrobić coś, co od dawna chodziło mi po głowie. Przyleciałam do Irlandii, bo chciałam ją poznać, poczuć, zobaczyć miejsce, gdzie są moje korzenie, gdzie dorastał mój ojciec. Liczyłam, że uda mi się go odszukać. Kiedy zdecydowałam się przylecieć do Irlandii, nawet nie miałam pojęcia o twoim istnieniu.

– I widzisz, o to chodzi. Nie jesteś teraz w Irlandii.

– Może przesadziłaś z winem – zauważyła ostrożnie Breen.
– Przecież siedzę tutaj z tobą. Zatrzymałam się w Galway i od dwóch tygodni mieszkam w chacie kilka kilometrów stąd.

– Tak, to prawda, chata jest w Irlandii. Ale ty przeszłaś.

– Co takiego? Na drugą stronę lustra?

– To urocza historia – zbyła ją lekkim tonem babka. – My tutaj lubimy takie opowieści. Chciałaś psa. – Spojrzała na szczeniaka, który spał zwinięty w kłębek. – Wysłałam go do ciebie. Twój ojciec, kiedy stąd wyjeżdżał, zostawił mi swoje dwa psy – och, jak ty wtedy za nimi płakałaś. Za mną też, ale nie tak jak za tymi psami. One już odeszły do innego świata, ale miały u mnie dobre, długie życie.

– Will... Will i Lutnia.

– A jednak pamiętasz – zauważyła z uśmiechem Marg. – Eian nazwał psa Will po jednym bardzie, a suczkę Lutnia, bo lubiła wyć, była bardzo muzykalna.

– Ja... – Tak, pamiętała. Dwa duże, kosmate, szare psy. Irlandzkie wilczarze. – Jeździłam na Willu jak na kucyku. Dziwne, że to pamiętam. Mogłam mieć wtedy nie więcej niż rok.

– Serce pamięta.

Breen poczuła lekkie drżenie w okolicy żołądka. Lepiej zmienić temat na bardziej bezpieczny. Obejrzała się na szczeniaka.

– Więc to twój pies? Jak się wabi?

– Jest twój, to prezent.

– Nie mogę go przyjąć. Pod koniec lata wracam do Filadelfii. Mam mieszkanie. Zamierzam rozejrzeć się za domem, ale...

– To nie problem, o ile rzeczywiście go chcesz. Zawsze chciałaś mieć psa. Od początku czułaś bliskość ze zwierzętami i... żywymi istotami. Chciałam ci podarować coś, czego pragniesz głęboko w sercu, i stąd ten pies.

Temat wcale nie okazał się bezpieczny.

– Czy na pewno zależy ci na bezpieczeństwie? – zapytała nieco zniecierpliwiona Marg. – Czy tak rzeczywiście jest, gdy w twoim sercu pulsuje odwaga? – Dotknęła palcem tatuażu Breen. – Bądź dzielna, dziewczyno, wysłuchaj mnie. W twoich żyłach płynie moja krew. Zrezygnowałam z radości, jaką dawało mi bycie z tobą z powodów, które wkrótce poznasz. Czas nadszedł i wybory leżą w twoich rękach.

– Jakie wybory?

– Jest ich wiele, i niektóre już się dokonały, skoro tutaj się znalazłaś. Stałaś przed Powitalnym Drzewem, nie cofnęłaś się, przeszłaś przez portal do tego świata, twojego domu, do Talamh, zostawiając po drugiej stronie Irlandię, Amerykę i całą resztę świata.

Breen odstawiła szklankę.

– Tala? Nie słyszałam o takim miejscu.

Marg, poirytowana, przeliterowała pisownię.

– A jednak dobrze wymówiłaś nazwę. To świat tak samo prawdziwy i trwały jak każdy inny. Ale nas nic nie łączy z tamtymi światami, ani tamtych z naszym. Istnieją światy stare i bardzo młode. W niektórych rządzi przemoc, w innych pokój. Ten, w którym spędziłaś większą część życia, pasjonuje tworzenie maszyn i technologii, które zarówno budują, jak i niszczą. A my tutaj wyrzekliśmy się takich przedsięwzięć, polegamy na magii, wierzymy w jej moc i piękno.

Breen nie wątpiła, że Marg jest jej babką. Podobieństwo między nimi było uderzające, a smutek, gdy mówiła o jej ojcu, szczery i głęboki.

Co nie zmieniało faktu, że wydawała się trochę szurnięta.

– Ty mówisz, hmm... o wieloświecie? To takie rzeczy są tylko w komiksach.

Marg plasnęła dłoń w stół. Zdziwiona Breen podskoczyła na krześle.

– Skąd bierze się taka arogancja, dlaczego ludzie w to nie wierzą i upierają się przy swoim?

– Z powodu nauki?

– Nonsens. Nauka zmienia się z pokolenia na pokolenie. Kiedyś w ziemskim świecie twierdzono, że ziemia jest płaska, a później zmieniono zdanie. Nauka się zmienia, *mo stor*. Magia jest wiecznotrwała.

– Nauka nie tyle się zmienia, ile rozwija na podstawie nowych danych i informacji. Grawitacja była faktem na długo, zanim metaforyczne jabłko spadło Newtonowi na

głowę. Ale... rozumiem, że życie tutaj wygląda inaczej, i do pewnego stopnia rozumiem, dlaczego nie mogłaś się ze mną skontaktować. Jestem ci niezmiernie wdzięczna za pieniądze, które pozwoliły mi tu przyjechać. Posiedzę tutaj przez lato, a potem będę cię odwiedzać. Chciałabym... żebyś mi pokazała – zaprowadziła mnie na grób ojca.

– Byłaś tam we śnie. Widziałaś mnie, tak jak ja widziałam ciebie w miejscu, gdzie kiedyś chodzili Świętobliwi. Słyszałaś pieśń kamieni i szept nadal odmawianych modlitw.

Strach ścisnął wnętrzności Breen.

– Nie możesz znać moich snów. Muszę już iść.

Marg podniosła się i przygwoździła ją wzrokiem.

– Jestem Mairghread O’Ceallaigh, w przeszłości *taoiseach* Talamh. Pochodzę z ludu Fey, jestem służką bogów. Jestem Panną, Matką, Wiedźmą. Ty pochodzisz ze mnie, dziecko mojego dziecka, w twojej krwi żyją wszelkie dane nam dary.

Powietrze... zawirowało. Zwichrzyło włosy Marg. Gdy uniosła ręce z otwartymi dłońmi do góry, jej oczy pociemniały i nabrały głębi.

Zadzwonily naczynia na półkach. Pies się przebudził, usiadł, zadarł łeb i radośnie zawył.

– Zerwij łańcuchy ograniczeń, którymi inni cię zniewalają. Wsłuchaj się, wczuj i ujrzyj prawdę.

Machnęła dłonią; ogień buchnął w małej kozie i zapłonęły świece.

– Powietrze smaga, ogień płonie, ziemia drży, woda płynie.

Teraz z jej dłoni trysnęła fontanna, a w kroplach wody załamało się światło.

– Wszystkie żywioły łączą się w magii, która tworzy świat. Nasz świat i twój. Wróciłaś do domu, córo Talamh, córko ludu Fey. Poznasz swoje prawa przynależne z urodzenia. I dokonasz wyboru.

Poruszyła dłonią i fontanna wyschła. Świece pogasły, powietrze ucichło.

– Chyba... dodałaś coś do wina.

Marg przewróciła oczami, podniosła szklankę i wychyliła ją do dna.

– Nie bądź niemądra. Za długo żyłaś wśród kłamstw i oszustw. Ja ci ich nie proponuję. Kocham cię, Breen. Niezależnie od tego, jakich dokonasz wyborów, zawsze będę cię kochać. Ale nie podejmiesz właściwych decyzji, dopóki się nie przebudzisz.

Marg podeszła do niej i dotknęła dłonią jej policzka.

– Potrzebujesz czasu. Przejdę się z tobą kawalek, a pies doprowadzi cię do chaty. Kiedy będziesz gotowa, przywołam cię i zabiorę w miejsce, gdzie spoczywa ten, którego kochamy.

– Sama trafię do chaty. Nie mogę wziąć psa. Nie mam nawet czym go nakarmić i...

– Znajdziesz tam wszystko, czego potrzebujesz. On będzie twoim towarzyszem, powiedzmy, na razie. Zrób mi tę małą przysługę i pozwól mu pobyc z tobą dzień lub dwa.

– Dobrze, zgoda. Naprawdę muszę już wracać. Czeka mnie długi spacer.

– Mam nadzieję, że przebędziesz tę drogę ponownie.

– Odwiedzę cię. – Breen miała ogromny dług wdzięczności wobec tej kobiety. Jednak zanim tutaj się pojawi, poczyta o halucynacjach i hipnozie.

Marg odprowadziła Breen do drzwi, wyszła przed próg i spojrzała na nią z uśmiechem.

– Widzę, że czekają na ciebie przewodnicy.

Breen zobaczyła sokolniczkę ze wspaniałym ptakiem na przedramieniu osłoniętym rękawicą. Pies podbiegł do nich z radosnym szczekaniem.

– Znam ją. Spotkałyśmy się w Clare.

– Och, znasz ją od dawna. Przyjaźniłaś się z Moreną od najwcześniejszych lat, tak jak ja całe życie przyjaźnię się z jej babką.

– Czy pojawiła się w Clare, żeby mnie obserwować?

– Och, dziecko, jakaś ty podejrzliwa. Była tam, bo jest uparta i widziała w tym szansę na ponowne spotkanie z tobą. Oddaję Breen pod twoją i Amisza opiekę! – zawołała do Moreny. – Zaprowadź ją bezpiecznie do domu i proszę, nie zamęczaj jej pytaniami!

– Wróci bezpiecznie. A co do pytań, niczego nie obiecuję.

– No cóż, tyle musi wystarczyć. – Marg odwróciła się do Breen, oparła dłonie na jej ramionach i lekko pocałowała w oba policzki. – Otwórz się, *mo stor*, rozejrzyj się dokoła i wejrzyj w siebie.

Cofnęła się do chaty.

A potem w ciszy i samotności płakała, myśląc o tym, co mogło być i co może się wydarzyć.

Rozdział 12

Pytania, dużo pytań, ta myśl towarzyszyła Breen, gdy przeszła do Moreny.

– Czemu powiedziałaś, że pracujesz w szkółce sokolniczej?

– A powiedziałam? – Sokolniczka zadziornie wypięła biodro i oparła na nim dłoń. – Ty tak założyłaś. Nie pamiętałaś mnie, nie skojarzyłaś. Marg i moja babcia mówiły, że mnie nie poznasz. Przynajmniej nie od razu.

Podniosła rękę i jastrzęb zerwał się do lotu. Ruszając, obejrzała się na Breen.

– Zamierzasz zostać czy wyjedziesz?

– Wyjadę.

– Zanim cię wywieźli, obiecałaś, że wrócisz, ale przestałam w to wierzyć, bo nigdy nie spróbowałaś się ze mną skontaktować.

– Nie rób mi wyrzutów. Jak można mnie o cokolwiek obwiniać, skoro byłam jedyną osobą, która, z tego, co widzę, nie kłamała? Według mojej babki miałam trzy lata, kiedy wyjechałam z Irlandii do Filadelfii.

– Wyjechałaś z Talamh.

– O Boże, i ty też! – Zniecierpliwiona Breen wyrzuciła ręce w górę i obróciła się wokół własnej osi. – Co tutaj dodają do

wody?

– Mogłabym ci zadać to samo pytanie o miejsce, w którym mieszkasz, bo nie rozumiem, jak mogłaś zapomnieć, kim jesteś i skąd pochodzisz. Nadal mam o to do ciebie pretensje.

Morena była nie mniej sfrustrowana od Breen.

– Bawiliśmy się razem w lasku za chatą Marg i na podwórku na farmie, gdzie mieszkałaś, zanim twój ojciec przed wyjazdem przekazał ją O’Broinom. Urządzaliśmy pikniki i herbatki na niby, a w nocy, kiedy powinnyśmy spać, wymienialiśmy szeptem różne sekrety.

– Miałam trzy lata! Przykro mi, nie pamiętam. A ty mi nie pomagasz, wspierając babkę w tych rojeniach o jakimś Brigadoon.

Morena zmrużyła oczy, jakby spodziewała się afrontu.

– Co to takiego?

– Magiczna wioska, która istnieje przez jeden dzień raz na sto lat.

– Och, ładna historia. – Uspokojona, pochyliła się i pogładziła drepczącego obok psa. – Ale to nie tak. My jesteśmy tutaj cały czas.

– Ona dodała mi czegoś do wina.

– Oj, nie bądź niemądra. Czemu miałaby robić coś takiego krewniaczce?

– Żeby widziała, jak robi rzeczy niemożliwe.

– Dla takich jak Marg nie ma rzeczy niemożliwych. Jest najpotężniejszą wiedźmą, jaką znam.

Breen mimo wrażenia kompletnego absurdu postanowiła drążyć temat.

– Znaczy, wszystkie jesteście czarownicami, tak? Wiem, że irlandzki folklor obfituje w legendy, ale...

– Irlandia leży po drugiej stronie, a ja nie jestem czarownicą. Wywodzę się z Sidhe.

– Przecież widzę, że jesteś kobietą.

– Sidhe – powtórzyła z uporem Morena. – Z klanu wrózek.

– Klan wrózek. No oczywiście. Że też od razu na to nie wpadłam.

Morena, niezrażona sarkazmem, podniosła dłoń i pomachała do Harkena, który prowadził łaciatą krowę, zapewne do obory, jak sądziła Breen.

– Będzie prościej, jeżeli przeprowadzę cię na drugą stronę. Harken i Aisling uważają, że przechodząc przez portal, nieopatrnie skręciłaś i się zaklinowałaś.

Przeskoczyła przez murek z jastrzębiem krążącym nad głową.

Dopiero teraz Breen zauważyła, że do drzewa prowadzą stopnie wyżłobione w zboczu wzniesienia.

– Spadłam. Straciłam równowagę i poleciałam, tylko tyle.

– Jak wolisz.

Siedem stopni – policzyła Breen, kiedy wdrapywały się po zboczu. Siedem kamiennych stopni z płatkami miki połyskującymi w słońcu.

– Szłam za psem – usprawiedliwiła się – zafascynowało mnie to niesamowite drzewo i się zagapiłam.

Uchwyciła się zakrzywionego konaru i spróbowała podciągnąć z taką samą lekkością i gracją jak Morena.

Poczuła, że spada, jakby ziemia w jednej chwili usunęła się jej spod nóg. Morena błyskawicznie złapała ją za rękę.

Stała na ścieżce w strugach deszczu.

– Nie rozumiem, jak...

– Bo myślę, że nie chcesz zrozumieć. – Morena zaczęła tracić cierpliwość. Nie ukrywała złości. – Nie chcesz zaakceptować praw, należnych ci z urodzenia. Wolisz zamknąć oczy i udawać, że ich nie ma.

– Uważam, że trzymam się ziemi w przeciwieństwie do tych, którzy twierdzą, że są wrózkami w jakiejś alternatywnej rzeczywistości.

– Trzymasz się ziemi, tak? No to uważaj, za chwilę się przekonamy.

Zanim Breen zdążyła się usunąć, Morena mocno objęła ją w pasie. Razem oderwały się od ziemi.

– O Boże, o mój Boże.

– Mówiłam, uważaj. Nie wazysz tyle co worek pierza.

Leciały kilkadziesiąt centymetrów nad ścieżką w strugach deszczu. Pies z wywieszonym jęzorem biegł galopem pod nimi. Gdzieś spod chmur dochodziły krzyki jastrzębia.

Gdy Breen instynktownie wyciągnęła rękę, żeby chwycić Morenę w talii, dłoń musnęła skrzydła. Duże, piękne, lśniące, fioletowe skrzydła ze srebrną obwódką.

– Ja chyba śnię. To musi być sen.

– Jasna cholera! – Morena zanurkowała nad ścieżkę i z powrotem wzbiła się kilka metrów, żeby nie zaplątały się w gałęzie. – Był czas, kiedy ty mogłaś mnie utrzymać w powietrzu. – Odwróciła głowę i popatrzyła w oczy zszokowanej Breen.

– To nie dzieje się naprawdę.

– Powinnam cię puścić. Może walnięcie głową o ziemię przywróciłoby ci rozum.

Na szczęście ograniczyła się do pogroźek. Za granicą lasu przeleciała ślizgiem ponad tąką i ogrodem i postawiła Breen na tarasie przy kuchni.

– Idę się wysuszyć.

Pies wszedł za Moreną do środka, jakby oboje czuli się w chacie jak u siebie. Amisz wylądował na pobliskim konarze, złożył skrzydła i czekał.

Breen, dygocząc, czuła, jak przemoczone ubranie klei jej się do pleców. To wszystko wydawało się takie realne, ale przecież to niemożliwe; na pewno nadal leżała w łóżku i śniła ten długi, dziwaczny, niesamowicie klarowny sen.

Weszła do kuchni. Morena zdążyła powiesić żakiet na kołku i właśnie dawała psu jakiś smakołyk ze słoja na blacie.

– Należy mu się – oznajmiła. – Moja babcia przyniosła te psie przysmaki oraz dwie miski, jedną na jedzenie, a drugą na wodę. W tamtym worku powinna być karma.

– Twoja babcia.

– No. Marg poprosiła ją, żeby o wszystko zadbała. Znasz moich dziadków. To Finola i Seamus Mac Ghail. Babcia przy-

witała ciebie i twojego przyjaciela w chacie, którą urządziła Marg, a dziadek uczył cię na nowo uprawiać ogród.

– Na nowo.

– Od maleńkości miałaś podejście do wszystkiego, co żyje. Roślin, zwierząt, ludzi – opowiadała Morena, krążąc po kuchni. – Jednak co do ludzi, to tu miałabym pewne wątpliwości. Już powinnaś napalić w kominku i zapytać, czy czegoś się napiję, zanim się pożegnamy.

Breen szumiało w uszach. Nic dziwnego, musiało jej nieźle podskoczyć ciśnienie, pomyślała z, jak jej się wydawało, godnym podziwu spokojem.

– Miałaś skrzydła.

– Miałam i mam.

– Jak... Blaszyany Dzwoneczek.

– Och, znam tę bajkę, jest urocza. Ale Dzwoneczek byłaby chochlikiem. Niewątpliwie też należałaby do Sidhe, ale to chochlik. One są bardzo małe.

– Ja nie śpię – powiedziała powoli Breen. – Stoję w kuchni, moje ubranie ocieka wodą. Jestem przemoczona i zmarznięta.

– No więc rozpal pieprzony ogień w cholernym kominku.

– Rozpalę w cholernym kominku. – Breen jak we śnie przeszła do salonu. Dziś rano przyniosła drewno i ułożyła je na palenisku

Rano... Całe życie i świat temu.

Podłożyła podpałkę pod polano i sięgnęła zapałki.

– Naprawdę tak chcesz to zrobić? – Pachnąca deszczem i lasem Morena przykucnęła obok niej. – Rozpalanie ognia jest pierwszą z mocy Widzących, dlatego dzieci muszą ją dobrze poznać. Zrozumieć jej potęgę, zagrożenia i korzyści.

– Nie znam innego sposobu rozpalania ognia.

– Zasmucasz mnie – stwierdziła Morena, kiedy Breen potarła główką zapałki o draskę.

– Nie mogę pozbierać myśli – wyznała, siadając na podłodze, gdy ogień zajął podpałkę. – Wiem, że to nie może się dziać naprawdę, a jednak...

– To prawda – dokończyła za nią Morena. – Widziałam wino w kuchni. Przyniosę, napijemy się.

– Powiedz, jak umarł mój ojciec.

– Zostawiam to Marg. – Podniosła się z kucek. – Nie mogę uzurpować sobie jej prawa. Powiem jedynie, że na żadnym ze światów nie było lepszego człowieka od twojego taty. Idę po wino.

Pies wyciągnął się na kolanach Breen. Poczuła dziwną ulgę, gładząc go po wilgotnej skręconej sierści.

– Jakiej on jest rasy?

– Irlandzki spaniel wodny. Ma dzielne serce i jest bardzo wierny. Inaczej Marg nie wybrałaby go dla ciebie.

– Jak się wabi?

– Sama musisz wybrać mu imię. Ale wszyscy wołaliśmy na niego Fąfel. Jak tylko odstawiliśmy go od suki, wiecznie psocił i wpadał w kłopoty.

Breen parsknęła śmiechem.

– Fqfel?

– Zastłżył sobie na to imię. Był jak małe dziecko. Ale Marg już go wytresowała. Siada na polecenie, załatwia się na dworze i nie będzie gryzł ci butów, chociaż moje raz bardzo mu smakowały. – Usiadła, podała kieliszek Breen i podrapała psa za uchem. – Prawda, kundlu? Marg bardzo za tobą tęskniła przez te wszystkie lata – zmieniła temat. – Akurat tyle ci mogę powiedzieć. Wyznam jeszcze, że bardzo niechętnie przystałam na jej pomysł, żeby tamtego dnia przejść na drugą stronę i spotkać się z tobą w lesie przy zamku.

– Jak się tam dostałaś? Racja, przyfrunęłaś. – Breen sama sobie odpowiedziała. – Na skrzydłach.

– Mam dobrych przyjaciół, ale nikt nigdy nie był tak bliski memu sercu jak ty. Może po tylu latach nie wrócimy do dawnej przyjaźni. – Wzruszyła ramionami, wypita łyk wina. – Ale byłam ciekawa, jaka teraz jesteś.

– Kupiłam ci prezent.

– Prezent? – Morena zamrugła z wrażenia.

– Jako podziękowanie. Myślałam, że pracujesz w szkółce, a kiedy się okazało, że nikt tam ciebie nie zna, przyszło mi do głowy, że nieleganie weszłaś na teren zamku. Zresztą nieważne.

– Co to za prezent?

– Przyniosę. – Zepchnęła psa z kolan.

– Każ mu zostać, jeżeli nie chcesz, żeby poszedł za tobą.

– Zostań – rzuciła do psa. – Zaraz wracam.

Wszystko w chacie wyglądało tak samo. Normalnie. Jednak idąc po schodach do sypialni, zastanawiała się, czy

cokolwiek może być znowu normalne.

Sięgnęła torebkę prezentową, przystanęła przed lustrem i przez chwilę wpatrywała się w swoje odbicie.

Wyglądała tak samo – no, może inaczej niż przed tamtą metamorfozą w Filadelfii, ale była tą samą kobietą, która przyleciała do Irlandii.

Tą samą? Wcale nie była tego pewna.

Zeszła na dół i zanim usiadła, podała torebkę Morenie.

– W środku jest kartka z podziękowaniem. Nie wiem, czy umiesz czytać.

– Oczywiście, że umiem. Nie bądź idiotką. W Talamh mieliśmy poetów i uczonych znacznie wcześniej, niż ci z tego świata powychodzili z jaskiń.

Gniewne rumieńce na jej policzkach wyraźnie przybladły, kiedy wyjęła i przeczytała kartkę.

– Ładnie. Podobno jesteś pisarką i nieźle sobie radzisz.

Otworzyła pudełko i westchnęła z wrażenia.

– Och, jastrzęb. Piękny prezent, naprawdę piękny. Dziękuję, ale chyba na niego nie zasłużyłam.

– Czemu?

– Nie okłamałam cię, ale też nie powiedziałam całej prawdy.

– Pozwoliłaś mi poćwiczyć z jastrzębiem i tego nigdy nie zapomnę. Nie wiedziałam, uhm, że wróżki mają jastrzębie.

– Mamy siebie nawzajem – powiedziała, przypinając broszkę do bluzki. – I pora, żebym zabrała go do domu. Zaczynam rozumieć, dlaczego Marg chce ci dać więcej

czasu. Ja dorastałam, wiedząc, kim jestem, tobie kazali zapomnieć. Nie lubię przeproszać. – Podniosła się z podłogi. – Ale muszę cię przeprosić za to, że cię wystraszyłam w drodze do chaty.

– Ja nic z tego wszystkiego nie rozumiem.

– Wiem. Nie chciałam przyjąć tego do wiadomości, ale teraz rozumiem. Muszę lecieć. Czy będę tu jeszcze mile widziana?

– Oczywiście. – Breen też wstała. – Tak, naturalnie.

– W takim razie, do zobaczenia.

Poszła do kuchni i nałożyła żakiet.

– Jak... jak skrzydła przechodzą przez materiał?

Morena pokręciła głową.

– Bo tak chcę i są moje, no nie? Nie zapominaj o karmieniu psa.

Breen podeszła do okna. Widziała, jak jastrząb sfruwa z gałęzi i krąży nad głową Moreny.

Jej świetliste skrzydła rozwinęły się i razem z ptakiem poleciała w deszczu w stronę lasu.

– Nie zwariowałam. – Breen położyła dłoń na kudłatym łbie psa, gdy wyciągnął się przy jej nogach. – Nie mam halucynacji. Rozpoznaję rzeczywistość.

Spojrzała w dół i zobaczyła wpatrzona w nią ślepia.

– Za wcześnie na kolację, zresztą muszę to wszystko zapisać. Pewnie nie powinnam dawać ci dużo tych twoich przysmaków, ale co tam, no nie? To szczególny dzień.

Usiadł i czekał z błyszczącymi radośnie oczami, zanim jeszcze wyjęła ciasteczko ze stoja.

– No dobrze, a umiesz podawać łapę? Czy to głupie żądanie? – Wyciągnęła rękę, a on położył jej łapę na dłoni. Rozbawiona, potrząsnęła nią i podała mu ciasteczko. – Fajny z ciebie psiak, Fąflu.

Nalała wody do jednej z misek, wyjęła z lodówki colę i poszła z nią do sypialni zaadaptowanej na gabinet.

W swoim tak zwanym sekretnym dzienniku starała się przełożyć na papier wszystko, co działo się od momentu, gdy natknęła się na psa. Pisząc, przeżywała to jeszcze raz; czuła zapach wilgotnego powietrza, widziała grę światła i cienia, kiedy Fąfel prowadził ją – bo niewątpliwie to właśnie robił – do tamtego drzewa.

Drzewa Powitalnego.

Na dowód wkleiła do dziennika zdjęcia psa i drzewa.

Żałowała, że z wrażenia nie zrobiła kilku zdjęć... po drugiej stronie. W (na) Talamh?

Pamiętała, że po drugiej stronie powietrze i światło natychmiast się zmieniły. Zanotowała to. Opisała czworo ludzi, których poznała. Harkena, Aisling, swoją babkę i Morenę.

Uderzyła ją myśl, że była w domu, w którym kiedyś mieszkał jej ojciec, gdzie według słów babki ona, Breen, się urodziła.

Wyprostowała się i sącząc colę, patrzyła na strugi deszczu za oknem. Zauważyła, że Fąfel przyszedł za nią do sypialni i zwinięty w kłębek, umościł się na łóżku.

– Zapewne nie powinnam ci na to pozwalać – mruknęła.

Ale wydawał się taki szczęśliwy, patrzył na nią tak słodko, że przymknęła na to oko.

Jej ojciec nie żyje. Nie wiedziała, jak i kiedy zmarł, ale musiała się z tym pogodzić. Nie porzucił jej, nie zapomniał o niej. Zmarł.

Wiele lat temu, ale w tej chwili dla niej to była świeża strata. Coś, z czym będzie musiała się uporać. W sypialni miała jego zdjęcie, pozostały po nim ulotne wspomnienia. Ale to jej nie wystarczało.

Musiała zobaczyć jego grób, poprosić babkę o coś, co należało do niego, choćby jakiś drobiazg, symboliczny dowód jego istnienia.

– Wrócę tam – postanowiła. – Chyba wiedziałam o tym od początku, ale na razie muszę do tego dojrzeć.

Opisała, jak Marg wprawiła powietrze w ruch i rozpałała ogień. Jak takie rzeczy w ogóle są możliwe? Jak Morena może rozwinąć skrzydła i latać? Jak...?

Ponownie wyprostowała się nad klawiaturą, widząc, że to, co przed chwilą napisała, przypomina klimat i fabułę powieści, nad którą pracowała każdego ranka.

Co prawda dostrzegała pewne różnice, niemniej podobieństwo było uderzające.

Ona zawsze wiedziała. To wszystko wydawało się nieprawdopodobne i kłóciło z praktycznym podejściem do życia, a jednak jakaś część jej istoty wiedziała. Najgłębiej ukryte, uśpione wspomnienia powoli się budziły, odkąd zdecydowała się na nie otworzyć.

Żeby mogła zrobić to, co chciała.

Tak więc – napisała – nie chodzi wyłącznie o to, żeby lepiej siebie poznać, bo tu już widzę pewien postęp. Muszę się dowiedzieć, kim jestem. Dzieckiem Talamh, córką ludu Fey, jedną z Widzących. Widzące kobiety to wiemy. Nie czuję się jedną z nich.

Oderwała się od pisania dziennika i poszukała informacji o irlandzkich spanielach wodnych. Opis rasy wyglądał bardzo pozytywnie i pasował do Fąfla jak ulał.

Spaniele to inteligentne, energiczne i przyjazne psy. Są ciekawskie i wesole. I oczywiście uwielbiają wodę.

W irlandzkim folklorze – czytała – przypisuje im się pochodzenie od Dobhar-chu. – Kurde, co to takiego?

Sprawdziła w internecie.

– Pół pies, pół ryba? Poważnie? Och, i groźny drapieżnik żerujący w oceanach i rzekach. Fąfel, wcale nie wyglądasz groźnie.

Pies zsunął się z łóżka, przeciągnął i postął jej długie, czułe spojrzenie.

– Głodny, co? Ja też. To wszystko zajęło mi więcej czasu, niż zakładałam.

Przeszła do kuchni z Fąflem depczącym po piętach.

Do worka z karmą była przypięta kartka z odręcznie napisaną instrukcją, ile i jak często dawać mu jeść, z informacją, że będzie szczęśliwy, jeżeli mu doda do suchej karmy surowe jajko albo trochę jogurtu.

Wybrała jajko, ponieważ miała je pod ręką, a kiedy jadł, usmażyła dla siebie jajecznicę na odrobinie bekonu,

z serem, pomidorami i brokułami.

Jadła z psem wyciągniętym przy nogach, zastanawiając się, co mogłaby wrzucić na blog. Chciała napisać o psie i na pewno to zrobi. Może powiedzieć, że dostała go od sąsiadki. Aż tak bardzo nie minie się z prawdą.

Nie mogła napisać o śmierci ojca – jeszcze nie. Poza tym nie była gotowa. I oczywiście nie wspomni, że siedziała w kuchni u babki, ani – o rany! – o alternatywnych światach.

Coś tam wymyśli, tak samo jak wykombinuje, co powie Marco.

Wstała, żeby umyć naczynia, a pies też się podniósł, patrząc na nią wymownie.

– Chcesz na dwór? Dobra, albo zgadłam, zakładając, że to logiczne, albo... umiem czytać w twoich myślach. Mam wrażenie, że to drugie. Mniejsza z tym, prawda? Chodźmy, piesku.

Tańczył wokół niej, gdy sięgała żakiet, i wypadł jak pocisk przez otwarte drzwi.

Pędem przebiegł przez podwórze, jakby uciekł z więzienia, a potem zataczał koła w oczekiwaniu, że do niego podejdzie. Gdy się zbliżyła, puścił się biegiem w stronę zatoki. Szczekając jak opętany, wskoczył do wody i pływał z podrygującym łbem i radością w oczach.

– Groźny drapieżnik żerujący w morzach – mruknęła i parsknęła śmiechem.

Fąfel wybiegał na brzeg i pędził z powrotem do wody, chlapiąc i płosząc ptaki.

Słońce powoli chowało się za chmury, oblewając niebo poświatą zmierzchu. Breen stała na łące, spokojna i zadowolona.

Czuła się w miarę szczęśliwa w samotności, a Fąfel – tak, zawsze chciała mieć psa – rozjaśniał monotonię samotnych dni.

Tak jak słońce rozjaśniało niebo zaciągnięte chmurami.

Nowe obowiązki nie zaburzą jej rozkładu dnia – postanowiła. Uwzględni potrzeby psa w ustalonym porządku. Da mu śniadanie, wyprowadzi na spacer i po powrocie siądzie do bloga.

Tej nocy Fąfel spał z nią w nogach łóżka. Spróbuje go tego oduczyć. Być może.

Wysłała esemes Marco, żeby był na bieżąco. W końcu dzielili mieszkanie, a niedługo będą dzielić dom. Powinien się dowiedzieć, że mają psa.

Błyskawicznie dostała odpowiedź.

Co proszę? Co to za cudak? I niby czemu jest taki słodki? Wystarczy, że nie ma mnie przy tobie parę tygodni, i zobacz, co się dzieje. Przyślij więcej fotek.

Spędziła miło kilka minut, wymieniając się z nim esemesami, zanim – z pewnym wahaniem – zabrała się do uzupełniania bloga.

– Zdjęcia szczeniąt zawsze rozczulają. – Obejrzała się na Fąfla, oczywiście leżał zwinięty na łóżku. – Popracuję parę godzin nad książką, a potem wybierzemy się na zakupy. Potrzebujesz obrozę, smycz, jakieś zabawki, no i legowisko.

Nie miał nic przeciwko obroży, ale smycz mu się nie spodobała. Nie protestował, ani nie walczył, kiedy ją zapięła, tylko patrzył na nią smętnie.

– Nie chodzi o to, że ci nie ufam. – Była gotowa przysiąc, że tak właśnie myślał. – Będiesz chodził na smyczy po wsi i gdy pojedziemy zwiedzać miejsca, których jeszcze nie widziałam – tłumaczyła. – W domu nie będziemy jej potrzebować.

Przestał się dąsać na spacerze, a nawet wydawał się zadowolony, bo niektórzy przechodnie przystawali, żeby mu się przyjrzeć. Obwąchiwał im buty, trącał nosem dzieci, domagając się pieśczoł, witał się z innymi psami.

Breen wmawiała sobie, że go uspołecznia (zgodnie z książkowymi zaleceniami), ale po cichu wiedziała, że po prostu nim się chwali.

Kupiła gumowe gryzaki, jaskrawoczerwoną piłkę i wypchanego królika. Gdy wracali, siedział na tylnej kanapie z kością do żucia w pysku i łbem w otwartym oknie, wystawiając na wiatr długie frędzle na czubie.

W domu dała mu się wybiegać i popływać, a sama usiadła na tarasie z tabletem. Ponieważ we wsi nie dostała legowiska, kupiła je w sklepie internetowym, dorzucając jeszcze kilka zabawek oraz pałeczki do gryzienia i zamówiła plakietkę z jego imieniem i numerem swojej komórki.

– Boże, gdybym miała dzieci, wpadłabym w manię zakupów.

Fąfel prosto z zatoki przybiegł na taras. Rzuciła piłkę, a on, przechylając głowę, ze zdziwieniem patrzył na swoją panią.

– No, biegnij za nią, przynieś, znowu ci ją rzucę.

Widziała w jego oczach pytanie: Jaki to ma sens?, ale posłusznie potruchtał do piłki, chwycił ją w zęby i przydreptał do pani.

Po kilku próbach wciągnął się w zabawę i biegał za piłką z większym entuzjazmem.

– No dobrze, wystarczy, już mnie boli ramię. – Kiedy położyła piłkę na stoliku na znak, że zabawa skończona, Fąfel ruszył w stronę lasu. Zaszczekał, obejrzał się na nią.

– Nie, tam nie idziemy. Nie jestem gotowa. Muszę nastawić pranie, dopisać jeszcze kilka stron. I... po prostu nie jestem gotowa. Chodź tutaj. – Kiedy wrócił, pogładziła go po głowie. – Może jutro.

W następny dzień miała mnóstwo wykrętów na podorędziu i zaskakująco wypełniony czas. Szczególnie kiedy zrobiła przerwę w pisaniu książki i skupiła się na opowiadaniu o przygodach magicznego psa Fąfla.

W kolejny dzień rozbudowała jego historię, bo przypuszczała, że może się spodobać uczniom gimnazjum. W końcu uczyła młodzież w tym wieku i wiedziała, co dzieciaki lubią czytać.

I tak płynął czas dzielony między pisanie powieści na zmianę z opowiadaniem oraz zajmowanie się psem.

W któryś szczególnie słoneczny dzień, gdy przeniosła się z laptopem na taras, Fąfel nagle z radosnym szczekaniem puścił się biegiem do lasu.

Dlatego Breen nie zaskoczył widok babki i Finoli wyłaniających się spomiędzy drzew.

Rozdział 13

Wyglądają jak zwyczajne kobiety – pomyślała, podnosząc się z fotela. – Może nie całkiem zwyczajne, bo obie wyglądały niedorzecznie młodo na swój wiek. Ale na pewno nie wyglądały, przynajmniej w jej mniemaniu, jak wiedźma i wróżka.

Marg niosła torbę, a Finola koszyk.

Pies witął je w szalonych podskokach, a Breen z drżeniem serca.

– Jaki piękny dzień na przechadzkę – zaćwierkała radośnie Finola. – Pracujesz, kochana? A my ci tu przeszkadzamy.

– Nie, nie, skądże. Wcale nie przeszkadzacie. – Zamknęła laptop. – Wybierałam się do was, ale...

– Ach, no tak, prawda, jesteś zajęta pisaniem. Wiem od Seamusa, że dbasz też o ogród, to bardzo dobrze. I na dodatek masz na głowie tego łobuza.

Finola serdecznie uściskała dłoń Breen, żeby tym gestem ją uspokoić i podnieść na duchu.

– Pozwolisz, że zajrzę do kuchni i zaparzę herbatę do ciasteczek, które upiekłam?

– Ja...

– To żaden kłopot. – Z koszem w dłoni, energicznym krokiem skierowała się prosto do kuchni z psem drepczącym tuż

za nią.

Marg z ciepłym uśmiechem odprowadziła ją wzrokiem.

– Wie, że trochę się denerwuję, więc plecie jak nakręcona, żebym się uspokoiła.

– W takim razie jesteśmy dwie w tej sytuacji. Naprawdę się wybierałam, ale potrzebuję więcej czasu, muszę się z tym oswoić.

– Nie mam o to pretensji. Tak wiele naraz na ciebie spało. Piękne miejsce. Musisz czuć się tutaj szczęśliwa.

Nareszcie bezpieczny temat.

– Rzeczywiście, piękne. Pierwszy raz w życiu mieszkam sama i mogę robić, co chcę. Nigdy – przynajmniej nie pamiętam – nie miałam psa i on też daje mi mnóstwo radości. Chcę ci za niego podziękować.

– Raczej sprawiłam ci kłopot.

– Słodki kłopot. – Breen przypomniała sobie o roli gospodyni. – Usiądź, proszę.

– Byłaś zajęta, pisałaś.

– Tak, chyba idzie mi nie najgorzej i liczę, że będzie coraz lepiej.

Marg usiadła i założyła nogę na nogę. Miała na sobie cienki niebieski sweter i spodnie cygaretki. – Widać po blogu, że masz talent.

– Czytasz mój blog?

– Na swój sposób, tak. Twój ojciec miał dar wymowy.

– Opowiadał mi różne historie. Nigdy nie miałam ich dosyć. Naprawdę się wybierałam – powtórzyła. – Chciałam

cię zapytać, czy mogłabym dostać jakąś jego rzecz, choćby drobiazg, który pomógłby mi utrwalić pamięć o nim. Mam zdjęcie ojca. Podarował mi je właściciel pubu w Clare. Jest na nim z przyjaciółmi. On i jego zespół. Byli tam bardzo popularni.

– Muzyka pozostawała jego wielką, dożgonną miłością. Bardzo chciałabym zobaczyć to zdjęcie, zanim stąd pójdziemy. Tak się składa, że przyniosłam ci coś, co miało dla niego ogromną wagę. – Sięgnęła do torby i wyjęła mały woreczek zawiązany białą wstążką. – Naturalnie mam więcej pamiątek po nim, będziesz mogła wybrać, co zechcesz. Ale wiem, że chciałby, żeby to trafiło do ciebie.

Breen rozsunęła mieszek i wyjęła złoty pierścień. To był *claddah* – irlandzki symbol małżeństwa, pełniący rolę obrączki ślubnej. Pamiętała go.

– Zawsze go nosił – wspominała Marg. – Nawet kiedy ich małżeństwo się rozpadło.

Breen potarła opuszkiem relief z sercem w koronie ujętym w dłoń.

– Kochał ją. Wiedział, że nie będą zawsze razem, ale ją kochał. Spłodzili mnie.

– Może los zetknął ich właśnie w tym celu.

– Dla mnie to bardzo ważne, że mogę zatrzymać ten pierścień. – Czowała wstyd; obiecała, że wróci i nie dotrzymała słowa. – Nie zasługuję na twoją dobroć.

– Ach, bzdura. Jestem twoją babką i mam ponaddwudziestoletnie zaległości w rozpieszczaniu ciebie. Daj mi szansę je nadrobić, dobrze, Breen? – powiedziała to spokoj-

nym, wyważonym tonem, ale w jej oczach było błaganie. –
Masz dobre serce. Nie odmawiaj mi tej szansy.

– Tyle pytań mam w głowie. – Breen poszukała dłoni Marg.

– Potrzeba czasu, żeby na nie wszystkie odpowiedzieć.

– W takim razie nie żałujmy na to czasu. Pójdę po zdjęcie. Następnym razem, kiedy będę we wsi, zeskanuję je i dam ci kopię.

Weszła do kuchni. Finola akurat ustawiała dzbanek i filiżanki na tacy.

– Znałaś mnie, kiedy byłam małą.

– Oczywiście. Ty i nasza kochana Morena byłyście jak splecione razem gałązki bluszczu. Ona obecnie mieszka z nami, bo nasz syn i jego kobieta, czyli rodzice Moreny, przebywają w Stolicy.

– W Stolicy.

– No. Talamh nie jest tak ogromny jak ten świat, ale jest większy, niż sądzisz. – Podniosła głowę i popatrzyła Breen prosto w oczy. – Odwiedzisz nas znowu?

– Tak.

– Twoja babka będzie bardzo szczęśliwa.

– Właśnie idę na górę po zdjęcie ojca, żeby je babci pokazać.

– Zaniosę herbatę i ciastka na taras. Marg to kobieta o wielkiej sile i władzy – dodała. – Spotkało ją wiele nieszczęść, ale dzielnie się trzyma. Jest moją przyjaciółką, bliską

mi jak siostra. A może nawet bliższą. Mam nadzieję, że odziedziczyłaś charakter po babce.

Breen nie wiedziała, czy odziedziczyła cechy po kimkolwiek, ale miała tylko jedną babkę, więc nie było o czym dyskutować.

Wróciła ze zdjęciem na taras. Marg i Finola popijały herbatę, a Fafel wyciągnięty pod stołem chrupał psi herbatnik.

Breen przystanęła wpatrzona w paterę z kwadratowymi ciasteczkami polanymi lukrem.

– Te różowe mają różany smak.

– Twoje ulubione. – Finola z uśmiechem przełożyła dwa na talerzyk. – Mówiłam ci – zwróciła się do Marg – że ona zawsze przepadała za moimi wypiekami. Morena wołała niebieskie o smaku letniego nieba.

Breen usiadła i podała Marg zdjęcie.

– Och Fi, popatrz na mojego chłopca. Jaki przystojny! A obok stoi twój Flynn.

– Rzeczywiście! Ten z fujarką to tata Moreny. Obok stoi Kavan, najbliższy przyjaciel twojego taty, ojciec Harkena, Aisling i Keegana. Tych pierwszych dwoje już poznałaś. A ten z bębniem bodhranem to Brian. Z nich wszystkich tylko mój Flynn jest z nami.

– Wszyscy... odeszli?

– Brian dawno temu, tak samo Kavan. Tutaj wszyscy są tacy młodzi i robią to, co najbardziej lubili.

– Przyniosę wam skany. Powiesz mi, jak umarł mój ojciec?

– zwróciła się do babki.

– Kiedy przyjdiesz, zabiorę cię w miejsce, gdzie jest pochowany, i wtedy porozmawiamy. Możemy dzisiaj nie mówić o smutnych sprawach? – zamknęła temat Marg. –

Wspomniłaś, że masz tyle pytań. Wybierz jakieś, które nie budzi smutku przy herbacie i ciasteczkach.

– Dobrze. Jesteś z Widzących, czyli jesteś wiedźmą, tak?

– Tak. Kiedyś takie jak ja – i ty – szanowano we wszystkich światach. Do czasu, gdy tymi, co nie mieli władzy, zaczęły rządzić strach, chciwość i zawiść. W Talamh jest inaczej. Tutaj dary, umiejętności i wiedza służą do pomagania, uzdrawiania i obrony.

– No dobrze, a ty? – Breen zwróciła się do Finoli. – Jesteś z Sidhe?

– My opiekujemy się ziemią, powietrzem i wszystkim, co rośnie.

– Znaczy w waszym świecie? Wiedźm i wróżek?

– Och, Marg, ona ma na myśli klany. Żyjemy, pracujemy, łączymy się w pary, bronimy naszego świata jako jeden lud Fey, mieszkańcy Talamh, ale mamy coś, co ty pewnie nazwałabyś plemionami. Elfy również są opiekunami, ale wolą lasy i góry od pól i nizin.

– Elfy... – powtórzyła zafascynowana Breen. – Takie... – Wyciągnęła rękę i przytrzymała ją z metr nad ziemią. – Elfy.

– Wcale nie są małe i nie mają spiczastych uszu, jak pokazują je w tych waszych bajkach – obruszyła się Marg. – Tak samo jeśli chodzi o hybrydów, którzy według was w pełni Księżyca przeobrażają się w śmiertelnie groźne potwory.

– Hybrydzi? Coś jak wilkołaki?

– Hybryd to duchowe zwierzę, które zgodnie ze swoją wolą może przeistoczyć się w jastrzębia, niedźwiedzia, psa, kota, i tak dalej.

– Syreny – podpowiedziała Finola, która najwyraźniej dobrze się bawiąc, pogryzała ciastko. – Mieszkają w wodach i ich strzegą. Trolle żyją pod ziemią.

– Wszystkim są przypisane pewne umiejętności – kontynuowała Marg. – Troll potrafi komunikować się ze zwierzętami, ale prędzej znajdziesz tę cechę u wiedźm, elfów i wróżek. Hybrydzi miewają wizje. Dysponujemy tym, co dają nam bogowie.

Niesamowite – myślała Breen. Już nie czuła strachu, jedynie fascynację.

– Jacy bogowie?

– Jest ich wielu. Nawet w twoim świecie nadajecie im różne imiona, wyznaczacie sfery działania, budujecie tradycje.

– Czy to oni stworzyli Powitalne Drzewo?

– Ponad tysiąc lat temu doszło do umowy pomiędzy światami ludzi, bogów i Fey i wtedy dokonano wyborów. Portale służyły do przemieszczania się pomiędzy światami, ale światy się zmieniły i trzeba było dostosować wybory.

– O jakich wyborach mówisz?

– W twoim świecie zaczęto nas prześladować, ścigać i mordować.

– Procesy czarownic. – To historia – pomyślała Breen. Oparta na dowodach, niepodważalna. – Palenie na stosach, wieszanie, topienie.

Marg przytaknęła głową.

– Większość kobiet, które spotkał taki los, w ogóle nie miała żadnych mocy. Myślę, że świat ludzi opanowało jakieś szaleństwo. Bano się nas i przeklinano – pojawiły się bajania i przesady. Wasz świat wybrał inną drogę. Maszyny stały się bogami, a technologia czymś w rodzaju czarów, no i prawdziwa magia poszła w zapomnienie. Lud Fey z Talamh postanowił zachować tożsamość, przedkładając magię ponad postęp.

– Ale ja przeszłam do was tą samą drogą, co wy. Mówiłaś, że moja matka mieszkała w Talamh. Czy ona należy do Fey?

– Jest z tamtego świata. – Marg, już odprężona, dołączyła do herbaty. – Twoja matka przeszła dobrowolnie z miłości do twojego ojca. Nikt nie może zostać przeniesiony bez świadomej zgody; tak stanowi prawo. Z kolei wszystkich w Talamh zachęca się do przechodzenia do tamtego świata, aby mogli go poznać, przyrzuć się mu z bliska. Wolno im w nim zostać, mają takie prawo, ale dopiero po złożeniu świętej przysięgi, że nigdy nie użyją swojej mocy do czynienia zła i będą ją wykorzystywać wyłącznie do obrony. Jednak nawet wtedy najpierw musi dojść do oceny sytuacji. Niektórzy, jak twoja matka, przechodzą tutaj i zostają. Inni nie odnajdują się w naszym świecie i wracają.

– Nie opowiadają ludziom o tym, co widzieli?

– A kto by im uwierzył? – zapytała Marg z uśmiechem. – Nawet tobie, mimo że pamiętasz co nieco i widziałaś to i owo, nadal trudno uwierzyć.

Już nie tak trudno jak wcześniej – pomyślała Breen.

– Całe życie, przynajmniej odkąd skończyłam trzy lata, spędziłam w moim świecie. W miejscu tak różnym od tego, w którym teraz jestem. I długo kładziono mi do głowy, że jestem kimś bardzo zwyczajnym, ba, ledwie przeciętnym.

Jakiś błysk pojawił się w oczach Marg, zanim zdążyła opuścić wzrok.

– To wynikało ze strachu twojej matki. Myliła się, bardzo się myliła, ale nie mam do niej pretensji. Jesteś wyjątkowa w każdym ze światów, *mo stor*. Jesteś bardzo bystra i masz więcej siły, niż ci się wydaje. Tak wiele możliwości w tobie drzemie. Pozwól mi pomóc je przebudzić.

Wstała, wyciągnęła dłoń do Breen, wzięła ją za rękę i zaprowadziła do ogrodu.

– Zobacz, oto rozmaryn, bardzo pożyteczna roślina. Dotknij go, pomyśl o tym, jak rośnie, jak pławi się w słońcu, jak nasycza powietrze swoim aromatem.

Breen posłusznie musnęła palcami miękkie igiełki.

– Jego korzenie płożą się pod ziemią. Pije, kiedy pada deszcz. Pomyśl o nim, pomyśl o tym, czego potrzebuje, co daje. Co ty możesz mu dać.

Breen skupiła się na rozmarynie i na jego woni. Pomyślała o zapachu, który został na jej palcach, i gałązkach prężących się do słońca.

– On rośnie!

Patrzyła zdumiona, jak pędy wydłużają się o parę centymetrów.

– Ty to zrobiłaś – zwróciła się do babki.

– Nie, nie ja. – Wiszące kolczyki w uszach Marg sypnęły iskrami, gdy energicznie pokręciła głową. – Masz to w sobie. Nie mogę ci powiedzieć wszystkiego, przynajmniej nie od razu, ale nie będę cię okłamywać. Jest w tobie znacznie więcej. Widzisz, wszystko stanowi jedność, łączy się ze sobą. Woda, ogień, ziemia, powietrze, magia. To dotyczy ciebie.

– Seamus też mówił, że wszystko się ze sobą wiąże – powiedziała cicho Breen. – Tworzy całość.

– Tak właśnie jest. Ale wystarczy tego jak na jeden dzień. Chcę cię o coś poprosić.

Breen odwróciła się do babki, a ona ujęła jej dłonie w swoje.

– O co?

– Żebyś spędziła ze mną dzień czy dwa.

– Zaprowadzisz mnie na grób ojca?

– Tak.

– Muszę pisać.

– Na tym się nie uda. – Marg zerknęła na laptop. – Ale są inne sposoby. Pomogę ci, żebyś nie musiała rezygnować z tego, co kochasz i musisz robić. Dzień czy dwa, moje drogie dziecko.

– Zgoda. Jutro.

– Jestem ci ogromnie wdzięczna. Zbierajmy się, Fi. Dajmy jej popracować.

– Bardzo miła wizyta – powiedziała Finola, biorąc koszyk i podnosząc się od stołu. – Świetliste błogosławieństwo dla ciebie, dziecko.

– Dziękuję... i dla was.

– W takim razie do jutra. Będę nad tobą czuwać.

Breen odprowadzała je wzrokiem, kiedy szły przez trawnik do lasu. Fąfel potruchtał kawałek za nimi, a potem zawrócił i przygalopował z powrotem do swojej pani.

– Chyba powinnam spakować kilka rzeczy. Co się bierze na parodniowy pobyt w innym świecie?

*

Skróciła poranną rutynę. Blog, powieść, książka dla dzieci; niczego nie zaniedbała, chociaż czasu miała niewiele.

Przed południem z plecakiem i napiętymi nerwami ruszyła z Fąflem do lasu. Widziała, jak z każdą chwilą rosta jego ekscytacja; ciekawe, czy wyczuwał też jej zdenerwowanie.

W każdym razie prowadził ją w grze światłocieni tak samo jak za pierwszym razem, a jej przyspieszało tętno pod tatuażem.

Pomyślała, co powiedziałaaby na to jej matka:

Breen, nie bądź głupia. To cię przerasta. Wracaj, zarezerwuj lot i wróć tam, gdzie należysz. Przestrzegaj zasad. Nie wychylaj się. Mierzenie zbyt wysoko kończy się bolesnym upadkiem.

Te dzwoniące w uszach słowa zdawały się ją ścigać. Szła coraz szybciej, wydłużając krok, i zatrzymała się dopiero przed drzewem.

Jest – pomyślała. – Dziwne, wspaniałe i przerażające. Przechodzenie do innego świata przez choćby najbardziej imponujące drzewo wydawało się jakimś absurdalnym wymysłem.

– „Więcej jest rzeczy na ziemi i w niebie”, prawda, Fafel?
A więc... ruszamy.

Potraktował to jako komendę i przeskakując ze skały na skałę, wdrapał się na konar. Breen tym razem bardziej uważała, mając w pamięci tamten upadek.

A jednak znowu poczuła, że leci. Uchwyciła się gałęzi i zawisała w powodzi jasnego światła. Wiatr targnął jej włosami, uniósł połę kurtki. Przez moment walczyła z częścią siebie i z głosem matki stanowczo wzywającym ją do odwrotu.

Zrobiła krok w przód.

Zawirowało jej w głowie, gdy dwa światy – ciemny las za plecami i zielona łąka przed nią – wykonały woltę. Chwytając oddech, stanęła pewnie na skalnej półce. Fafel był już na dole i rozganiał owce.

– To rzeczywiście się dzieje. Wszystko wygląda tak prawdziwie. Zobaczymy, co będzie dalej.

Na nieco drżących nogach zeszła po stopniach i przecięła łąkę. Z psem przy nodze pokonała murek i wkroczyła na polną drogę.

Zobaczyła tamtego mężczyznę, Harkena – tak, on miał na imię Harken. Akurat wyłonił się z kamiennych zabudowań. A Aisling gracą pielęła chwasty, zdaje się, w warzywnym ogródku. W pobliżu na trawie bawiło się dwóch czarnowłosych chłopców. Młodszy, zaśmiewając się, uderzał o siebie dwoma metalowymi wiaderkami, starszy w skupieniu budował wieżę z drewnianych klocków. Obok siedział ogromny, szary irlandzki wilczarz i pilnował ich, czujny jak niańka.

Aisling pierwsza dostrzegła Breen. Odłożyła gracę, pomachała do niej na przywitanie, wyszła z ogrodu, podniosła

z trawy mniejszego chłopca, starszego wzięła za rękę i z psem wielkości kuca u boku ruszyła w stronę drogi.

– A więc wróciłaś. Witamy.

– Tak, chcę odwiedzić babcię.

Breen podeszła do ogrodzenia. Stały teraz po obu stronach murku.

– Sprawisz jej wielką radość. A to moje chłopaczki. Finian, przywitaj się z panią Kelly.

– Dzień dobry, Finian. – Chociaż dzieciak był oblepiony trawą i piaskiem, podała mu rękę.

– A ten czart wcielony to Kavan.

Ku zaskoczeniu Breen maluch zaśmiał się i wyciągnął do niej ramionka.

– Jest przyklepką, niestety, w tej chwili niezbyt czystą.

– Nie szkodzi.

Aisling podała jej synka ponad murkiem, a on radośnie gaworząc, błyskawicznie wczepił brudne palce we włosy Breen.

– Widzisz, podobają mu się twoje włosy. Czerwony to twój ulubiony kolor, prawda, dzikusie? A to nasza sunia, Mab. Jest łagodna jak baranek, więc bez obaw.

Fąfel wsparty przednimi łapami na murku próbował polizać Mab po pysku, a ogromna suka zносиła jego zaczepki ze stoickim spokojem.

– Nie będziemy cię dłużej zatrzymywać, bo wiem, że Marg czeka. Mam nadzieję, że do nas zajrzysz. Mój mąż i brat powinni niedługo wrócić. Będą chcieli cię poznać.

– Z przyjemnością.

– Chodź do mamy, skarbie, bo twoja nowa przyjaciółka musi już iść. – Aisling odebrała chłopca z ramion Breen i posadziła sobie na biodrze.

– Mam coś dla ciebie i twojego brata.

– Tak?

– Babcia mówiła... – Breen zdjęła plecak, rozsunęła zamek i wyjęła zdjęcie oprawione w ramki. – Nasi ojcowie razem z przyjaciółmi.

– Och! Coś takiego! – Aisling przesunęła dziecko na biodrze, żeby odebrać od niej zdjęcie. – Patrzcie, chłopcy, to wasz dziadek.

– Jak on wszedł pod to szkiełko? – zainteresował się Finian.

– To jest podobizna, rozumiesz? Taki narysowany portret w czasach, kiedy był młody. Och, Breen, co za wspaniały prezent. Brakuje mi słów, bardzo dziękuję.

– Nie ma za co. Zajrzę do ciebie przed... powrotem.

– Koniecznie i proszę, pozdrów od nas Marg.

– Dobrze. Masz słodkich synków.

Aisling uśmiechnęła się z dumą i radością.

– Poszczęściło mi się. Oby tym razem była dziewczynka... Chłopcy, idziemy, postawimy ten piękny prezent w bezpiecznym miejscu.

Kiedy Aisling oddalała się w stronę domu, Kavan ponad jej ramieniem uśmiechnął się promiennie do Breen. Patrzyła na jego czerwone skrzydełka, które poruszyły się lekko jakby na pożegnanie.

– Takich rzeczy nie widuje się co dzień – mruknęła. – Chyba tylko tutaj coś takiego jest możliwe.

Przeszła kawałek drogą i skręciła między drzewa w stronę chaty.

I tym razem drzwi i okna były otwarte, strużka dymu wiała się z komina.

Marg zrywała kwiaty w ogrodzie i układała je w koszu zawieszonym na przedramieniu.

– Aha, przyszłaś. Och i ty też jesteś – dodała, kiedy Fąfel przybiegł do niej w podskokach. – Wejdźmy do środka. Pokażę ci twój pokój, mam nadzieję, że ci się spodoba.

Jest spięta – pomyślała Breen, tłumiąc zdenerwowanie.

– Jak tym razem udało się przejście?

– Nie skończyłam na plecach, nie zemdlałam.

– Czyli lepiej wyszło. Tędy – Ruchem ręki wskazała korytarz.

– Mój pokój znajduje się w drugiej części chaty, więc tu będziesz czuła się swobodnie. Dalej jest łazienka – trochę się różni od tych, które znasz. Gdybyś miała jakieś kłopoty, pokażę ci, co i jak.

– Dobrze.

Weszła do pokoju pełnego światła, rozsunięte koronkowe firanki drżały poruszane lekkim wiatrem, okna wypełniał widok na ogród i drzewa. W nogach dużego łóżka z kolumnienkami i białą pościelą stał kufer malowany w smoki. Gzyms kominka zdobiły świece, kwiaty i naturalne kryształy.

Pod jednym z okien zobaczyła niewielkie biurko z krzesłem ustawionym przodem do okna.

– Naprawdę śliczny. – Obeszła pokój i położyła plecak na kufrze. – Uroczy. Chata z zewnątrz nie wydaje się taka duża.

Obejrzała się na Marg, tknięta pewną myślą.

– Wcześniej go nie było, tak?

– Ale teraz jest i zawsze będzie na ciebie czekał.

– Próbuję – i to silniejsze ode mnie – wmawiać sobie, że śnię jakiś wymyślny sen albo przeszłam załamanie nerwowe. Ale wiem, że to nie tak. Jestem tutaj, stoję. Nie chcę, żeby wszystko okazało się snem.

– To twój dom. Obojętnie, co w końcu wybierzesz, zawsze będziesz mieć tutaj dom. Pójdę nastawić czajnik, a ty, jeśli chcesz, możesz się rozpakować.

– Rozpakowanie może poczekać, zabrałam niewiele rzeczy. Zobacz, co przyniosłam. – Wyjęła zdjęcie z plecaka. –

Dla ciebie. Mam też jedno dla Finoli. Aisling już dostała odbitkę, bo akurat spotkałam ją po drodze. Nie wiedziałam, czy tamten od dawna nieżyjący przyjaciel taty, o którym mówiłaś, ma jakąś rodzinę, która chciałaby takie zdjęcie.

– Ma i na pewno uszczęśliwiłby ich taki prezent. Breen, miło, że o nas pomyślałaś.

Marg przytuliła zdjęcie do serca.

– Zaprowadzę cię na grób ojca. To daleko stąd, więc weźmiemy konie. Ja pojadę na mojej Igraine, a dla ciebie pożyczymy konia od Harkena.

– Nie umiem jeździć konno. Nigdy nie siedziałam na koniu.

Zdumienie przemknęło przez twarz Marg.

– Ależ jeździłaś konno. Miałaś nawet własnego kucyka. Nazwałaś tę klaczkę Birdie. I jeździłaś z ojcem na jego ognie. Na pewno sobie przypominasz, ale dzisiaj zaprzęgniemy Igraine do wozu.

– Naprawdę nie ma tutaj samochodów?

– Nie, nie ma. – Marg podniosła koszyk z kwiatami, wyszła z Breen na dwór i zaprowadziła ją do półotwartej przybudówki, w której stał koń i leniwie żuł siano z kosza.

– To nasza Igraine. Jest bardzo spokojna i zrównoważona, ale kiedy trzeba, potrafi naprawdę szybko się poruszać. Zaprzęgniemy ją do tamtego wozu.

Koń z mojego snu – pomyślała Breen. – Masywny, biały z czarnymi cętkami na zadzie.

– Mogę pomóc?

– Tym razem przyglądaj się i ucz.

Marg podprowadziła klacz do dwukółki. Igraine stała spokojnie, poruszając ogonem, kiedy zakładała jej uprzęż. Sprawne ruchy Marg świadczyły, że musiała to robić nieskończenie wiele razy.

Klacz cierpliwie znosiła te zabiegi.

– Widzisz, całość jest wyściełana – tłumaczyła Marg. – Napierśnik nie ma prawa obcierać skóry, a tym kontroluje się jej ruchy, ale trzeba uważać, bo ta część założona za wysoko może naciskać na tchawicę. Do ogłowia mocujesz lejce. A tutaj masz siodelko – akurat to nie jest pod wierzch – no i pas pociągowy. To jest podbrzusznik, trzeba go dobrze dopasować. Teraz wszystko gotowe. – Pogładziła klacz. – Grzeczna dziewczynka.

Breen patrzyła zafascynowana, jak Marg coś dociągała, coś zapinała, sprawdzała, czy wszystko jest na swoim miejscu. Gdy skończyła, cofnęła się do bryczki.

– Pomogę ci.

– Bardzo proszę. Najpierw podniesiemy dyszle i przypniemy je do uprząży. Widzisz te skórzane pętle?

Marg tłumaczyła jej wszystko krok po kroku – tak dużo było tych kroków – zanim i klacz, i dwukółka były gotowe do jazdy.

– Tyle pracy – Breen nie mogła się nadziwić – za każdym razem, gdy chcesz gdzieś pojechać bryczką.

– Fakt, to zajmuje trochę czasu, ale jaki sens ma pośpiech, skoro jedna doba przechodzi w drugą?

Marg zwinnie jak nastolatka wspięła się na ławkę i kiwnęła na Breen.

– A ty z tyłu – rzuciła do Fąfla.

Pies wskoczył do dwukółki i położył pysk na ławce w prześwicie między nimi.

Cmoknęła na konia i bryczka szarpnęła do przodu. Breen kątem oka dostrzegła jakiś ruch, obejrzała się na chatę i zobaczyła srebrzystego kota, który skrył się za węgłem.

– Masz kota.

– W pewnym sensie.

Rozdział 14

Podróż bryczką była dla Breen ekscytującym doświadczeniem mimo wrażenia, że na nierównościach dzwonią jej zęby i kości.

W ciszy mąconej jedynie turkotem kół na polnej drodze i truchtem klaczy słyszeć było ptasie śpiewy i muczenie krów.

Słońce przygrzewało, lekki wiatr niósł zapach trawy. Widziała po drodze inne farmy i kolejne chaty. Jakiś człowiek podpierający się kosturem uchylił czapki, gdy go mijały.

Widziała bawiące się dzieci, pranie powiewające na sznurach, pastwiska i brykające na nich konie.

– Czy to lis? – spytała, odprowadzając wzrokiem jakiś rudy, smukły kształt, który przemknął przez drogę.

– Taa, lis. Nigdy nie widziałaś lisa?

– Właściwie nie. A tamten stołp? Co w nim jest?

– Teraz to pamiątka. Dawno temu, w czasach prześladowań Świętobliwych służyła im za schronienie. A później oni sami zaczęli prześladować swoich pobratymców.

– Miejsce, o którym wcześniej wspomniałaś, mówiąc o pochówku ojca.

– To miejsce było, a przynajmniej w zamyśle miało być, przeznaczone do modlitwy, kontemplacji i czynienia dobra.

Ale zawsze znajdują się tacy, według których słuszne jest tylko to, w co sami wierzą. I posuną się do strasznych rzeczy, żeby narzucić tę wiarę siłą. Według mnie ci, co zabijają, palą i niewolą innych w imię Boga, hmm... nie słyszą głosu Boga, którego podobno czczą. Albo ten ich Bóg jest fałszywy i okrutny.

Skierowała konia na pnącą się pod górę drogę, a kiedy wjechały na wzniesienie, Breen zobaczyła budowlę z szarego kamienia z wieżyczkami i blankami, otoczoną wysoką trawą, w której leżały kamienie nagrobne, a między nimi pały się owce.

Nieco dalej, na niewielkim pagórku stał kamienny krąg.

– Widziałaś to we śnie.

– Tak. To miejsce, ciebie i tego konia. Wozu nie było, jechałaś wierzchem w brązowej pelerynie z kapturem. Nie umiem się z tym oswoić – wymamrotała. – Nie wiem, czy kiedykolwiek przywyknę.

– To święte miejsce, tak zamierzono. Wszelka przelana krew, wszystkie popełnione grzechy są dawno wybaczone.

– Dlaczego ojciec spoczywa tutaj, a nie bliżej domu?

– Był *taoiseachem*, to przynależny mu honor. Kiedy nadejdzie mój czas, mnie też tutaj złożą.

– Co znaczy to słowo? *Teesha*?

Marg przeliterowała je Breen.

– To wódz. Nasz Eian był wodzem wszystkich plemion, w oczach każdego i wszystkich. Wybrany i wybierającym, tak jak ja wcześniej.

– Byłaś kiedyś jakby mianowana?

– Wybrana i wybierająca – powtórzyła Marg. – Postanowiłam oddać wodzowskie insygnia; miecz i buławę w inne ręce, bo zawiodłam, pozwoliłam się wykorzystać i oszukać. Kiedyś ci to wyjaśnię – dodała, kładąc dłoń na ramieniu Breen. – Obiecuję. Zrzekłam się władzy, gdy twój ojciec był niemowlęciem. Szesnaście lat później sam przejął miecz i buławę.

Zatrzymała konia.

– Weźmiesz kwiaty? – zapytała, gdy pies zeskoczył z wozu i kręcił się pośród kamieni i owiec.

Kiedy wysiadły z bryczki, Breen zestawiała kosz. Marg wyjęła z niego kwiaty, zakręciła palcem w powietrzu i łodyżki skupiły się w pęk niczym obwiązane sznurkiem.

– Myślę, że posadzimy je do ziemi, żeby rosły i bujnie kwitły.

– Przecież nie mają korzeni.

– Są świeżo zerwane.

Marg wzięła Breen za rękę i brodząc w wysokiej trawie, zaprowadziła ją do kamienia z wyrytym imieniem jej ojca i mieczem skrzyżowanym z buławą.

– Naprawdę umarł. Jakaś część mnie nie chciała w to wierzyć...

– On jest w tobie, tak samo jak we mnie. – Pocieszającym gestem objęła wnuczkę w pasie. – Nigdy o tym nie zapominał. On jest teraz z bogami. Tutaj zostały tylko jego prochy i nasze wspomnienia.

– Ty go... został skremowany?

– W naszej tradycji układamy ciało na łożu z kwiatów na łodzi. Palimy świece i śpiewamy, kiedy łódź wypływa na

wodę. Tam trawi ją ogień. Popioły wracają z wiatrem i wpadają do kamiennej urny, którą zakopujemy w ziemi. I wtedy zmarły dołącza do piątki.

- Czterech żywiołów i magii.
- Tak. Chcesz, żebym na chwilę zostawiła cię samą?
- Nie. On również należał do ciebie.
- A więc razem damy mu te kwiaty.
- Nie wiem, jak zrobić to, o co prosisz.
- Uklęknij ze mną. Obie wsuńmy bukiet nieco poniżej kamienia. Myśl teraz sercem, otwórz je.
- W tym miejscu pokoju i spoczynku – recytowała Marg – składamy dar temu, którego najmocniej kochamy. Kwiatów moc niech rośnie tutaj dzień i noc. Dla ojca, dla syna, od niej, ode mnie. Niech się stanie na moje wezwanie.

Breen poczuła nagłą zmianę powietrza i ziemi pod stopami. Końce łodyg natychmiast wśliznęły się w grunt, bukiet rozłożył się na ziemi, z kielichów kwiatów powstał kolorowy dywan.

- To jest... piękne.
- Masz w tym swój udział. – Łzy w oczach Marg zaślnęły jak światła na zamglonym błękitnym morzu. – To jest w tobie, *mo stor*. Jeżeli tak zdecydujesz, nauczę cię tego, co powinnaś poznać. A teraz na parę chwil zostań z nim sama. Potrzebujesz tego, nawet jeśli o tym nie wiesz. Spoczywa tu wielu, których znałam i poważałam. Pójdę im złożyć uszanowanie.
- Dobrze.

Breen usiadła na ziemi i przesunęła dłoń po kwiatowym dywanie. Nie wierzyła, że miała jakikolwiek udział w jego tworzeniu, ale nie mogła zaprzeczyć, że poczuła, jak gdzieś głęboko w niej coś drgnęło i jakby się otworzyło.

Ale teraz nie chciała o tym myśleć.

– Bardzo mi ciebie brakuje. – Nawet bardziej niż w dzieciństwie – pomyślała. – Dlaczego wcześniej nie próbowałam cię odszukać? Powinnam wyrwać się z domu i spróbować. Dawno zniknąłeś z mojego życia, ale gdybym odgadła, przyleciałabym tutaj. Tu jest tak pięknie. Stare ruiny, wzgórza, pola. I ta cisza. Miejsce pokoju i spoczynku, jak powiedziała Marg, i to prawda. Nie wiem, czy wierzę w życie pozagrobowe, ale mam nadzieję, że jesteś gdzieś tam. Pokój i spoczynek. Tyle rzeczy muszę sobie przypomnieć, ale jednej nigdy nie zapomniałam. Kocham cię.

Podniosła się i otarła łzy z oczu.

Klacz zarżała przeraźliwie i stanęła dęba, o mało nie wywracając bryczki. Breen, niewiele myśląc, puściła się biegiem, żeby ściągnąć ją za cugle, jakoś uspokoić.

Usłyszała potężny szum, jakby wichura targała koronami drzew.

Zmagając się ze spłoszoną lgraine, spojrzała w górę.

Stromo w dół leciał z nieba mężczyzna z rozwianymi złotymi włosami i rozłożonymi czarnymi skrzydłami. Breen została zaledwie sekunda na podziwianie tego zjawiska, bo nagle dotarło do niej, że on nurkował prosto na nią.

Wpatrzona w nią oczy były równie ciemne jak skrzydła.

Rzuciła się do ucieczki. Biegła co tchu po pofałdowanej trawie, klucząc między nagrobkami. Coś chwyciło ją za włosy, szarpnęło do tyłu. Wyrywała się, wiła i kopotała, kiedy silne ramię zaciskało się wokół jej talii.

– Babciu! Uciekaj! Ukryj się! – krzyczała ostatkiem sił.

Tuż przy uchu usłyszała złowieszczy chichot.

– Koniec z ukrywaniem się. Odran czeka na ciebie.

Wierzgała nogami w powietrzu, kiedy to coś poderwało ją z ziemi i grunt umknął jej spod nóg.

Usłyszała huk, spanikowana wzięta ten hałas za echo łomotu swojego serca w uszach. Coś smukłego o złoto-szmaragdowym połysku zanurkowało z wysokości. Wijąc się, mknęło przez powietrze, niosąc na grzbiecie mężczyznę z rozwichrzonymi czarnymi włosami. Słońce odbijało się w klindze miecza w jego dłoni.

Nagle ramię poluzowało uścisk. Oszołomiona, spadając, nawet nie krzyknęła. Widziała, że jej prześladowca też wyciągnął miecz.

Uderzyła o ziemię i leżała półświadoma, słysząc szcęk kling.

– Breen! – Marg przypadła do niej. – Jestem przy tobie. Niech zobaczę, czy nic ci się nie stało.

– Smok – wydyszała, łapczywie chwytając powietrze. – To smok.

– Dzięki bogom za niego.

Smok zawrócił, wyginając cielsko i młóćąc ogonem. Jeździec zamachnął się mieczem.

Skrzydlaty napastnik runął jak kłoda. Z głuchym łomotem uderzył głową o ziemię i poturlał się w wysoką trawę.

– O Boże, o mój Boże.

– Spokojnie, już dobrze. Jesteś bezpieczna. Trochę poobijana, ale kości masz całe. Usiądź, wyrównaj oddech. Nie bój się, nic ci już nie grozi.

Smok lotem ślizgowym opadł na ziemię i hamując, przeorał grunt potężnymi pazurami. Przypatrywał się Breen złotymi oczami o ton ciemniejszymi od łusek na brzuchu.

Jeździec przerzucił nogę nad jego masywnym grzbietem i swobodnie zeskoczył na ziemię jak ktoś, kto w upalny dzień wskakuje do chłodnej wody. A potem wsunął zakrwawiony miecz do pochwy i długimi krokami zbliżył się do Marg.

Nie wydaje się zadowolony – pomyślała Breen, ale ona też nie byłaby szczęśliwa, gdyby chwilę wcześniej ucięła komuś głowę.

Jego kruczoczarne włosy, sięgające sporo poniżej kołnierza skórzanej kurty, unosiły się w rytm sprężystych kroków. Nie raczył nawet spojrzeć ciemnymi, intensywnie zielonymi oczami na uciętą głowę.

Breen знаła tę przystojną, surową twarz ze snów.

– Odran nie przysłał najlepszego z najlepszych – prychnął ironicznie do Marg, po czym omiótł Breen nieco lekceważącym spojrzeniem. – To ona?

– Jestem ci wdzięczna, Keeganie, ale nie bądź głupcem, nie zepsuj tego. Moja dziewczyna przeżyła szok i jest obojętna. Wiem jednak, że gdybyś nie zjawił się w porę, wszystko

skończyłoby się znacznie gorzej. Breen, to jest Keegan O'Broin.

– Masz smoka – rzuciła Breen.

– Mamy siebie nawzajem. Możesz się podnieść?

Wcale nie była tego pewna, ale przyjęła jego wyciągniętą dłoń. Podejrzewała, że musi wyglądać żałośnie, siedząc na ziemi z psem liżącym ją po twarzy.

Pomógł jej wstać i obrzucił Fąfla o wiele życzliwszym spojrzeniem niż ją.

– A ten szczeniak? Jest z miotu Clancy?

– Tak. Teraz należy do Breen.

– Nie dopilnowałeś swojej pani – skarcił psa i pogłodził go niedbale. – Następnym razem lepiej się postaraj. – Obejrzał się na Marg. – Ona też powinna uważać.

– Dziewczyna nie miała na to czasu – zaczęła Marg.

– Mogę odejść kilka kroków, jeżeli macie ochotę porozmawiać za moimi plecami – odezwiała się Breen.

– Ma jednak trochę ikry, zobaczymy, jak będzie dalej – stwierdził, nie patrząc na nią. – Mahon powinien lada moment się zjawić, odstawi was bezpiecznie do domu – powiedział do Marg. – A ten tutaj to jakiś amator. Odran nie przysłałby kogoś, kto tak kiepsko włada mieczem. Zajmę się tym, co z niego zostało.

– Zniknąłeś na ponad dwa tygodnie. Zostaniesz jakiś czas?

– Tak długo, jak będę mógł. Stęskniłem się za domem. Aha, jest już Mahon.

– A to się Aisling i dzieciaki cieszą, że Mahon wrócił do domu!

Elf ze skrzydłami w kolorze sezonowanego mahoniu i włosami w tym samym odcieniu, zaplecionymi w ciasne warkoczyki, szybował nad łąką.

– Mam doholować ją do bryczki? – Keegan zwrócił się do Marg.

– No nie... – Oburzenie wyparło resztki strachu i oszołomienie u Breen. – Chodź, Fqfel! – warknęła i ruszyła do dwukółki. Kostka pulsowała jej z bólu, ale bardzo się pilnowała, żeby nie utykać.

– Fqfel? – podchwycił rozbawiony Keegan.

– Tak ten pies się wabi, a ty, Keeganie, daj jej wreszcie spokój – skarciła go Marg. – To wszystko była moja wina. Wyłącznie moja.

Oddaliła się za Breen, zanim Mahon opadł łagodnie na ziemię, stając pewnie na nogach.

– Leciałeś jak wicher, o mało przez ciebie nie wpadłem w korkociąg – powiedział do Keegana z pretensją w głosie. – Widzę, że ominęła mnie niezła zabawa. To był ciemny elf, tak?

– Ktoś od Odrana. Zanim go dopadłem, zdążył unieść wnuczkę Marg z pół metra nad ziemię. A ona wrzeszczała i wierzgała jak berbeć w napadzie szału.

– Aisling przysłała mi wiadomość, że ona przeszła.

– I mało brakowało, żeby ją znowu porwano. Mahon, zanim wrócisz do domu, odprowadź je aż pod same drzwi chaty, dobrze?

– Jasne.

Keegan pochylił się, chwycił odciętą głowę za włosy i rzucał obok ciała.

– Croga! – zawołał. – *Lasair!*

Smok zionął ogniem. Potężny płomień zmienił szczątki w szerniały popiół. Huk ognia przyciągnął uwagę Breen. Obejrzała się i zbladła jak płótno.

Powinienem się wstrzymać, dopóki nie odjadą – pomyślał Keegan. – Trudno, stało się.

– Mógłbyś okazać odrobinę delikatności – upomniał go Mahon i swobodnym krokiem skierował się do bryczki.

– Pani – zwrócił się oficjalnie do Marg, po czym nachylił się i pocałował ją w oba policzki. – Przykro mi, że spotkał cię kłopot, i to akurat tutaj, w tym świętym miejscu. Nie wiedziałem, że masz siostrę.

– Mahon, ty czarusiu. Dobrze wiesz, że Breen jest moją wnuczką. Breen, przedstawiam ci Mahona Hannigana.

– Poznałam twoją rodzinę – odezwała się, pilnując, żeby nie zadrżał jej głos, bo ciągle miała w nozdrzach zapach spalenizny. – Urocze są te twoje maluchy.

– Potrafią nieźle dać w kość. Pani, czy twoje samopoczucie pozwala na podróż?

– Dziękuję, naprawdę nic mi nie jest.

– Będę czuwać nad wami w drodze do domu, proszę niczym się nie przejmować.

Rozłożył skrzydła i wzbił się w powietrze. Tym razem Breen zapomniała się zdziwić.

Marg cmoknęła na konia.

– Chciałabym usłyszeć wyjaśnienie. – Breen zwróciła się do babki, dopiero gdy wyjechały poza zadymiony, cuchnący swądem teren.

– Tak, to zrozumiałe. Ponoszę winę za to, co się stało.

– Zanim do tego dojdziemy, muszę wszystko jakoś poukładać sobie w głowie. Ten mężczyzna przyleciał na smoku.

– W twoim świecie takie stworzenia istnieją jedynie w bajkach i legendach, a tutaj to normalna rzecz. Prosiłam, aby przez jakiś czas trzymały się z daleka, bo bałam się, że ty... No wiesz, za dużo naraz na ciebie spadło i uznałam... Och, myliłam się, jak bardzo się myliłam, mogłaś drogo za to zapłacić.

– To był brat Aisling i Harkena? Ten na smoku?

– Tak. I *taoiseach* Talamh.

– On? Cholera, a właściwie dlaczego by nie? Dobra, powiedz, czemu jakiś ponury elf próbował mnie gdzieś zabrać siłą. I kim, do diabła, jest Odran?

– Sądziłam, że dobrze cię ukryłam przed Odranem, że mam czas cię przygotować, wszystko wytłumaczyć, wielu rzeczy nauczyć. Nie mam pojęcia, czy ten, którego Keegan zabił, był wysłannikiem Odrana czy zwykłym łowcą okazji, a może szpiegiem, któremu, powiedzmy, poszcęściło się, zanim spotkało go nieszczęście.

– Nadal nie dostałam odpowiedzi na moje pytania.

– Chciał cię porwać. Na pewno spotkałoby go za to wielkie wyróżnienie. W nagrodę dołączyłby do Odrana. Twojego dziadka.

– Mojego... Czemu mojemu dziadkowi, o którego istnieniu jakoś zapomniałaś wspomnieć, miałoby zależeć na tym, żeby mnie śmiertelnie wystraszyć i nastać... A więc to on mnie wykradł w dzieciństwie.

Twarz Marg stężała, zmusiła klacz do galopu.

– Jest w tym też moja wina. Jesteśmy pokojowym ludem. Ale o pokój trzeba zabiegać, a czasami nawet walczyć. Nie brakuje tych, którzy żyją po to, żeby niszczyć i czerpią satysfakcję z destrukcji, podbojów, rządzenia innymi wbrew ich woli. Taki właśnie jest Odran.

Wszystkie światy, magiczne czy nie, wyglądają tak samo – pomyślała Breen.

– Do czego mu jestem potrzebna?

– W twoich żyłach płynie tak samo moja jak i jego krew. No i jesteś kimś znacznie ważniejszym, niż sądzisz, *mo stor*.

Breen rozproszył widok jeźdźca na smoku sunącego na zachód.

– A ten gdzie leci?

– Zabierze popioły po mrocznym do Jaskini Goryczy, zakopie je głęboko i przysypie ziemię warstwą soli. – Marg milczała chwilę, skupiona na powożeniu bryczką. – Niedługo będziemy w domu – przerwała ciszę. – Poczekasz do tego czasu na dalszy ciąg?

Breen chciała zaprotestować, ale powstrzymał ją widok poblądłej twarzy babki.

– Skoro tyle już czekałam.

Zadarta głowę i obserwowała wzbijającego się pod niebo Mahona.

– Jeżeli Keegan jest *taoiseachem*, to kim jest Mahon?

– Jego najstarszym przyjacielem i bratem, jeszcze zanim on i Aisling złożyli śluby. To zacny, godny zaufania człowiek, prawa ręka Keegana.

– Wspomniałaś, że on jest Sidhe, a Aisling należy do Widzących. A więc są z różnych... plemion. Czyli to małżeństwo międzyplemienne.

– Oczywiście. Serce nie sługa. Harken wodzi oczyma za Moreną od niepamiętnych czasów. Ale on jest, hmm, nieco powolny w tych sprawach, a ona więcej niż uparta. I tak ciągle krążą wokół siebie.

Marg skręciła na ścieżkę do chaty.

– Kiedy wyprzęgnę Igraine, chcę cię jeszcze raz dokładnie obejrzeć, a może wezwę Aisling, bo ona ma większą moc uzdrawiania.

– Nie ma potrzeby. Zapewne dorobiłam się kilku sińców i trochę boli mnie lewa kostka, a poza tym nic mi nie jest.

– Sprawdzimy, napijemy się wina i opowiem ci to, co powinnaś wiedzieć.

– Wszystko – zaznaczyła z naciskiem Breen. – A nie tylko to, co według ciebie powinnam wiedzieć.

– Wszystko.

Kiedy zajechały przed chatę, Mahon opadł na ziemię i pomógł Marg wysiąść z bryczki.

– Zajmę się koniem i wozem.

– Och, Mahonie, wiem, że spieszy ci się do domu.

– Niedługo tam będę. – Pocałował ją w policzek, pogładził psa. – Jesteś bardzo mile widziana w Talamh, pani Breen.

– Dziękuję. – Ponieważ noga w kostce ścierpła jej podczas podróży, musiała bardzo się pilnować, żeby nie utykać, idąc do drzwi.

– Usiądź przy kominku. – Marg pstryknięciem palców wzbudziła mały płomień w żarzących się resztkach ognia. – Ułóż stopę wyżej i zdejmij but.

– To nic takiego. Tylko gdy upadłam, skręciłam kostkę. Najbardziej ucierpiał tyłek.

Marg powstrzymała się od komentarza i jedynie ściągnęła brwi.

– Trochę zasiniona i spuchnięta. Leczenie nie jest moją mocną stroną, ale z tym sobie poradzę.

Usiadła przy ławie i oparła stopę Breen na swoich kolanach.

– Przyda się okład z lodu i muszę wyżej trzymać nogę.

– Hmm. – Zamyślona Marg delikatnie, kolistymi ruchami gładziła kostkę. – Odkąd nauczyłaś się chodzić, chciałaś wyłącznie biegać. Bez przerwy siniaki i zadrapania. Padałaś, wstawałaś i biegłaś dalej.

– Lubię biegać. W szkole biegałam sportowo. Przez jakiś czas.

Dotyk palców babki był taki kojący. Uśmierzał ból i chłodził. Breen opadły powieki.

– Ty siedź, a ja przyniosę nam wino i balsam, żeby dokończyć leczenie.

Kiedy Marg wstała, Breen otworzyła oczy. Zniknęły sztywność i ból, co więcej, nie było już zasinień ani opuchlizny.

– Czy to jakieś czary?

– Ależ skąd. Tylko pewien dar, tak bym to ujęła, chociaż gdyby uraz wyglądał poważniej, wezwałabym Aisling albo którąś z uzdrowiaczek. Ty też masz ten dar. Pamiętam, kiedyś Morena poparzyła palce o płytę kuchenną, a ty je pocatoowałaś i ból zniknął.

– Jak... skąd wiedziałam, co robić?

– Twoje serce wiedziało. No, mamy wszystko, co potrzeba.

– Marg przyniosła wino, talerz z herbatnikami i ciastko dla psa. Na tacy stał też niewielki niebieski stoiczek. – To jest właśnie balsam. Mikstury, napary, eliksiry, balsamy, tynktury, zaklęcia i podobne różności to moje moce.

– Już mnie nie boli.

– I po wtarciu balsamu tak zostanie. Nazwałaś mnie babcią. – Marg takimi samymi, delikatnymi, okrężnymi ruchami smarowała kostkę balsamem. – Zawołałaś: „Babciu” i kazałaś mi uciekać i się ukryć.

– Nie schowałaś się.

– Chciałaś mnie chronić. A ja, czy mogłabym inaczej postąpić w stosunku do ciebie?

Podła ciastko Fąflowi. Psiak wyciągnął się przed kominem i zaczął je chrupać.

– Zawsze zostawiasz otwarte drzwi?

– Nie zawsze, ale lubię świeże powietrze. Chcesz, żebym je zamknęła?

– Nie, tak jest przyjemnie. Mamy przewiew i ogień w kominku.

Gościnność – pomyślała Breen. Otwarte drzwi zapraszają do środka.

Marg usiadła, wzięta pucharek z winem. Jakiś czas obracała go w dłoniach, zanim podniosła do ust.

– Opowiem ci moją część tej historii, całą prawdę. A jeżeli będziesz miała jakieś pytania, możesz liczyć na szczerą odpowiedź.

Upiła kilka łyków wina.

– Kiedy zmarł *taoiseach*, który rządził przede mną – a żył długo i przez całe swoje życie utrzymywał pokój – poszłam z innymi nad jezioro. Tak tutaj wybieramy przywódcę. Miecz wraca do jeziora. Samo wejście do jeziora jest już pierwszym wyborem. A więc weszłam. Miałam wtedy osiemnaście lat, władza mnie nie nęciła, nie miałam takich ambicji. Chciałam być dobrą wiedźmą, jak ty byś to ujęła, a także czułą matką dla gromadki dzieci, gdybym spotkała kogoś bliskiego mojemu sercu. Takie miałam pragnienia, kiedy wchodziłam do wody. Ale tam, w głębinach, gdy inni szukali miecza, ja jedna go zobaczyłam. Dokonałam więc kolejnego wyboru. Podjęłam go, godząc się z przeznaczeniem.

– Tak jak Pani Jeziora z legendy o Królu Arturze.

– Legendy nie biorę się znikąd, prawda? Razem z mieczem wzięłam na siebie obowiązki, uczyłam się, doskonaliłam swoją magię i poznawałam arkania polityki przywództwa. Wielu mężczyzn pragnęło dzielić ze mną władzę, ale ja żadnego nie chciałam. Dopóki nie poznałam Odrana.

Odchyliła się na oparcie fotela, zapatrzyła w ogień, w przeszłość.

– Och, bogowie, ależ on był przystojny. Włosy złote jak słońce, oczy szare niczym burzowe niebo. Wysoki, dobrze zbudowany i taki czarujący. Uwodził mnie. Przeciągłe spojrzenia, słodkie słówka, dotyk przyprawiający o dreszcz. Myślałam, że on należy do Widzących. Że jest z Talamh.

– A nie był? Nie jest?

Marg pokręciła głową.

– Byłam ślepa. Młoda i zakochana, owładnięta pożądaniem. Nigdy się nie dowiem, czy to uczucie rozkwitło we mnie, czy raczej wymusiły je jego moce. W każdym razie zległam z nim. Nie był moim pierwszym, ale tylko on jeden budził we mnie miłość, a może tak mi się tylko wydawało.

Do pokoju wsunął się kot. Posłał długie spojrzenie Marg, zakręcił się i wrócił do kuchni.

– Złożyliśmy śluby najpierw w Stolicy, a potem na farmie od pokoleń należącej do mojej rodziny. I tak jak pragnęłam tego z całej duszy, spłodziliśmy dziecko. Odran był taki troskliwy, kiedy nosiłam pod sercem naszego syna. Pracował na roli razem z moim ojcem, matce przynosił kwiaty. Urodził się Eian. Radość nie trwała długo, bo widzisz, Odran naciśkał, żeby dziecko przybierało na wadze, było karmione piersią – mlekiem wiedźmy – i żeby nabierało siły.

– Dlaczego? Po co?

– On chciał je wchłonąć w siebie. Wsysać stopniowo dziecko, w którym płynęła jego i moja krew. Krew *taoiseach*. Którejś nocy obudziłam się z koszmarne snu, widziałam potworne burze i mnóstwo krwi. Źle się czułam, byłam ośta-

biona i zamroczona, bo on dodawał coś do herbaty, którą mi tak szarmancko przynosił, kiedy karmitam Eiana. I nagle zobaczyłam go takim, jakim naprawdę był, pojęłam jego ponury cel, gdy trzymał na rękach podejrzenie głęboko śpiące niemowlę. Odran z naszego dziecka wysysał jego niewinną moc.

– On... zabijał dziecko? Własnego syna?

Marg pokręciła głową.

– Nie, nie zabijał. Stopniowo je pochłaniał. Powiem tak: on wypijał jego duszę i moc. Naturalnie śmierć nastąpiłaby po pewnym czasie, kiedy moje słodkie maleństwo nie mogłoby mu już nic więcej z siebie dać.

Ogarnął mnie straszny gniew, odnalazłam w sobie siłę. Powstrzymałam Odrana zaklęciem złamanego serca matki. Wyrzuciłam go z domu, z naszego świata – jak wierzyłam, na zawsze. Jednak, widzisz, on był silniejszy, niż wtedy sądziłam, a strach o dziecko ograniczał mi jasność myślenia. Bo Odran wrócił wraz ze swoimi mrocznymi siłami i demonami. Nastąpił koniec długotrwałego pokoju.

Marg na moment odchyliła głowę na oparcie i zamknęła oczy.

– Ponad rok prowadziliśmy wojnę. Traciliśmy ludzi; ginęli walczący ze złowrogimi siłami mężczyźni i kobiety. Polegli mój ojciec i bracia. Rok później ze zgryzoty i rozpacz umarła matka. Ona nigdy mi nie wybaczyła.

– Czego? Gdzie w tym wszystkim twoja wina?

– Byłam *taoiseachem*. Czy ochroniłam świat, któremu przysięgałam? Nie. Uległam własnym pragnieniom i zachciankom. Tak więc, kiedy odparliśmy wroga, uczciliśmy

poległych i zaczęliśmy od nowa budować pokój, oddałam miecz jezioru dla następnego wybranego.

– Nie dla mojego ojca. Był za mały.

– Nie. Moje miejsce zajęła kobieta i dobrze sobie radziła. A po niej nadszedł czas Eiana. Myślę, że tylko matka zna to uczucie dumy pomieszane z lękiem, jakie mnie ogarnęło na widok syna wychodzącego z jeziora z mieczem w dłoni. Szczęśliwie mój dzielny chłopiec potrafił utrzymać pokój. A twoją matkę poznał w czasie podróży. Tutaj wszystkich zachęcamy do wyjazdów. Zależy nam, żeby poznawali inne światy, uczyli się i rozumieli, że nie jesteśmy jedyni. Jak ci wcześniej mówiłam, przywiózł ją tutaj, złożyli śluby, a później ty się urodziłaś.

Do pokoju wsunął się mężczyzna ze srebrnymi włosami, podszedł do Marg, napełnił jej kieliszek.

– Napij się jeszcze i koniecznie zjedz posiłek.

– Zjem, kiedy opowiem jej wszystko do końca. Nie jest tak bezpieczna, jak mi się wydawało.

– Widziałam cię. – Breen zerwała się z fotela.

– Wyłącznie dlatego, że tego chciałem. – Uzpełnił zawartość jej kieliszka. – W nadziei, że poruszę to, co należało uruchomić.

– Szpiegowałeś mnie?

– Sedric jest moim drogim przyjacielem i towarzyszem. Wysłałam go, żeby nad tobą czuwał. Breen, pojawiały się pewne znaki, których nie mogłam lekceważyć. Mówiły, że nadszedł czas, a w dodatku wyczuwałam, że jesteś, delikat-

nie mówiąc, niezbyt szczęśliwa. Sedric nigdy by cię nie skrzywdził.

Coś w jego uśmiechu, w sposobie, w jaki się poruszał, nie dawało Breen spokoju....

– On... To kot!

– Jest hybrydem, pochodzi z Widzących, tak jak jego matka. Darzymy się ogromnym zaufaniem, Sedric jest mi bardzo oddany. I tobie też, przede wszystkim tobie. Niewątpliwie cechuje go arogancja typowa dla jego duchowego zwierzęcia, ale bez wahania oddałby życie za mnie czy za ciebie, gdyby zaszła taka potrzeba.

Breen powoli wszystko zaczynało układać się w całość.

– Nie dowiedziałam się o pieniądzach przez przypadek?

– W grę wchodziła twoja niezależność. Potrzebowałaś możliwości wyboru i wybrałaś. Żałujesz?

– Nie, ale nie wiem, co z tym zrobić.

Marg nachyliła się do Breen i wzięła ją za rękę.

– Będiesz wiedziała, kiedy zupełnie się przebudzisz. Proszę jedynie, żebyś pozwoliła, abym cię poprowadziła, nauczyła czego należy, abyś była silna.

Teraz Breen sobie przypomniała, wszystko wyraźnie zobaczyła.

– On przyszedł w nocy. Byłam jeszcze niemowlęciem. Powiedział... powiedział, że nauczy mnie latać jak wróżki i smoki. Wyglądał jak chłopiec, ale ja wiedziałam, że to nieprawda.

– Otoczyliśmy ciebie kordonem ochronnym, a jednak się prześliznął jak wąż przyczajony w ciemności.

– Uwięził mnie w szklanej klatce, nie mogłam się wydostać. Wołałam mamę, tatę, ciebie.

– Usłyszeliśmy twój krzyk. Uważał, że jego moc jest niezwykła, ale skruszyło ją to, co masz w sobie, miłość twojego ojca i moja oraz łzy twojej matki.

– Mówił, że mój krzyk do was nie dociera, że nigdy mnie nie usłyszycie. Z początku mnie uspokajał, a gdy nie przestawałam płakać i krzyczeć, wtedy on wpadł w złość. Pamiętam dokładnie. Widzę to wszystko i słyszę.

– Jeżeli chcesz, weź mnie za rękę i razem popatrzmy w ogień. Nasze wspomnienia się połączą. Zobaczę, co widziałaś, a ty się dowiesz, co ja widziałam. Ale ostrzegam, będziesz wszystko czuć, jakby to się działo naprawdę.

Przerażała ją myśl o powrocie do tamtego snu, ale podała rękę Marg.

– Wpatruj się w ogień, w płomień, w samo serce żaru. W dym i przebłyśki światła. Jestem przy tobie, a ty przy mnie.

Breen pamiętała tamten strach. On rósł w niej teraz na nowo, jak w małej dziewczynce bijącej piąstkami w niewidzialną ścianę. Świat wiruje, zielonkawy jak woda w jeziorze. Ona jest głęboko, na dnie, słońce ledwo się przebija przez mętną toń.

– Wypuść mnie! Tatusiu!

– Odtąd masz we mnie matkę i ojca, jestem dla ciebie wszystkim. – Głos otacza ją ze wszystkich stron, wypełnia klatkę. – Bądź grzeczna, siedź cicho, a wtedy dam ci

cukierki. Będziesz moją księżniczką, będziesz się bawić złotymi zabawkami i jeść kandyzowane owoce.

Łzy strumieniem spływają jej po policzkach. Bolą poobijane pięści.

– Chcę do taty! Chcę do mamy! Chcę do babuni! Nie lubię ciebie!

– Przestań się mazać, bo inaczej dowiesz się, co to ból.

Coś mocno szczypie ją w ramię. Piszczący przerażona i skulona, po czym zanoszą się rozdzierającym płaczem.

– Grzeczne dziewczynki dostają nagrody. Niegrzeczne czeka szczypanie i klapsy. Bądź grzeczna i rośnij. Wszystko w tobie ma rosnąć. A co jest w tobie, należy do mnie! Kiedy dojrzeje, zabiorę ci to. A ty zamieszkas w pałacu na niebie.

Mimo strachu nie umyka jej fałsz w jego słowach. Wzywa ojca, matkę, babkę. A wraz z krzykiem coś w niej rośnie i nabiera mocy.

Co ona wie o sile, skoro dotąd otaczały ją drobne przedmioty, wszystko było ładne i miłe? Motyle sfruwały jej na dłoń, ptaki siadały na ramieniu i szczebiotały.

Ale to coś, co rośnie, jest ostre jak noże, których nie pozwalano jej dotykać.

Ona, która nigdy nie miała do czynienia z brzydotą, wykrzykuje prawdę.

– Nienawidzę cię! Mój tata przyjdzie i cię pokona! Zrobi ci krzywdę, bo jesteś dla mnie niedobry!

Tym razem zamiast uszczypnięcia spotyka ją mocny, bolesny jak cięcie batem, klaps. Nikt nigdy jej nie uderzył, szok i bunt przedzierają się przez strach i obracają go w furję.

Z pulsującym policzkiem, piekącym, purpurowym śladem jak po oparzeniu, prostuje się z zamkniętymi pięściami przyciśniętymi do boków. Oczy jej ciemnieją, są teraz czarne jak noc i to, co w niej wzbierało, wybucha.

– Nie wolno bić! – krzyczy ile sił w płucach i wyrzuca ramiona w górę, a wraz nimi to, co w niej jest.

Coś zawyło z bólu, szkło rozsypało się na drobne kawałki.

Zalewa ją woda, fala nią obraca, podcina nogi. Młóci rękami, nogami, ale nie może wydostać się na powierzchnię. Wie, że musi wstrzymać oddech – tata nauczył ją pływać – dusi się.

Chwyta ją czyjeś ręce. Przestraszona, odpycha je, usiłuje się wyrwać, krzyczy. Woda wlewa się jej do ust i ona, krztusząc się, wreszcie wynurza głowę ponad powierzchnię.

– Trzymam cię, *mo stor*. Babcia cię trzyma. Złap się mnie. Mocno złap się babci.

Dziecko się chwyta kurczowo Marg, kaszle, plując wodą. Płyną w stronę brzegu, jak teraz widzi, jakiejś krętej rzeki.

– Fi! Pomóż!

Finola z rozłożonymi, bladoróżowymi skrzydłami opada nad wodę, podaje rękę Marg i holuje je do brzegu.

– Moja kruszyna, no dobrze, no już. – Owija peleryną dygoczącą Breen. – Niebezpieczeństwo minęło.

– Wcale nie. – Marg, machając dłońmi, suszy i ogrzewa wnuczkę. – Finolo, zabierz ją do matki. Oni mnie tutaj potrzebują. Eian i pozostali.

– Zaraz wracam.

– Nie. Proszę, zostań z Breen i Jennifer. Pilnuj ich.

Marg, nadal mokra po kąpieli w rzece, kuca i przytula wnuczkę.

– Leć z Finolą, malutka. Twoja mama czeka.

– Chcę ciebie! I tatę.

– Niedługo się zobaczymy. Fi, weź ją. Mnie tutaj potrzebują.

– Będę jej strzec. – Finola obejmuje ją i wzbijają się w powietrze.

Breen, owinięta peleryną, wtulona w ramiona Finoli, ogląda się za siebie. Widzi pióropusze ognia i ciemność. Rozpaczliwe krzyki wypełniają jej uszy. Przyciska do nich dłonie. Finola szybko oddala się od tego strasznego miejsca.

Rozdział 15

Breen, wpatrzona w ogień, widziała to samo co babka.

Rzeź, barbarzyństwo. Krew wsiąkała w ziemię, spływała do rzeki i barwiła wodę na czerwono.

Widziała Finolę kierującą się do wysokiego wodospadu z dzieckiem, z nią, w objęciach. Marg odzyskała spokój dopiero, gdy wróżka zniknęła za szczytem góry i nabrała pewności, że wnuczka była bezpieczna.

Szmaragdowo-szafirowy błysk przeciął mgłę. To smok stał się na zawołanie Marg. Dosiadła go, wzięta miecz i różdżkę, po czym dołączyła do walczących.

Dziesiątka gargulców z wyszczerzonymi czarnymi kłami nadlatywała z zasnutego mgłą, gęstego lasu prosto na linię obrony Fey. Wycelowwała różdżkę i zmieniła je w pochodnie, jednocześnie siekąc mieczem na kawałki skrzydlate demony.

Uszy wypełniał jej wojenny zgietk i bicie w bębny.

Wiedziała, że część przeciwników walczących w powietrzu i na ziemi została porwana z innych światów i zniewolona lub zaklęta, by zasilić zastępy Odrana. Otumanieni czarami, zabijali i ginęli dla niego.

Gdzie tylko mogła, zdejmowała z nich urok i łańcuchy, resztę pozbawiała życia.

Zadudniło powietrze, pękła ziemia. Ze środka wylało się więcej mrocznych sił na spotkanie mieczy, pazurów i ognia obrońców Talamh.

Wokół niosły się odgłosy walki, przemoc owładnęła ziemię.

Marg skierowała trzy smoki do wodospadu.

– Trzymać obronę! Nikt oprócz naszych nie ma prawa się tam przedostać.

Wzbiła się w górę i wznosząc coraz wyżej, przedarła się przez dławiącą warstwę dymu w czyste powietrze. Miała Eiana w umyśle, sercu i krwi. Wreszcie ujrzała go, jak wraz z doborowymi wojownikami u boku siał spustoszenie wśród straży Odrana.

Pędziła jak wiatr prosto w źródło mroku, wycinając po drodze tych, którzy próbowali iść Odranowi z odsieczą.

Na kamiennej wyspie pośród wód Mrocznego Morza na szczycie stromego klifu wznosiła się forteca Odrana – pomnik jego władzy i zachłanności.

Czarne ściany lśniły jak szkło, mieniły się ostre wieżyczki wysadzone kryształami.

Eian i jego druhowie, galopując na smokach, walczyli z demonami o nietoperzowych skrzydłach Odrana, a poniżej żołnierze Talamh kładli pokotem gargulce, demoniczne psy, zaklętych i potępieńców.

Biała siła ścierała się z mroczną, powietrze zdawało się płonąć i drżeć.

Marg z wściekłym impetem wpadła w sam środek potyczki, smok postawiony dęba ogonem zmiotł ileś ciał

w morskie odmęty.

Walczyła ramię w ramię z synem, z rozwianymi włosami, z mocą trawiącą ją jak gorączka. Wraz z nim odciągała przeklętych strażników, wabiła ich, a Fey w tym czasie zdobywali fortecę. W ruch poszły skrzydła, pazury i liny.

Oczy Marg i Eiana spotkały się. Ich połączone spojrzenia zmieniły się w biały płomień, którego moc rozsadziła kratownicę w bramie czarnego zamku.

Fey wlali się na dziedziniec.

– On ucieknie! – ostrzegła Marg.

– Będzie próbował.

Eian na swoim krwistoczerwonym smoku ruszył w stronę wyłomu w murze, Marg popędziła w ślad za nim.

W rumowisku potrzaskanych klejnotów i wykradzionych lub wyczarowanych z krwi skarbów Odrana panował wojenny chaos.

Przerażeni niewolnicy, zakuci w obroże jak zwierzęta, biegali bezładnie i kulili się po kątach.

Marg z Eianem przedzierała się przez zamkowe korytarze w zaduchu dymu, odorze krwi i rozkładających się demonów.

Eian dobrze wie, gdzie go szukać – pomyślała Marg. – W przeciwieństwie do mnie wyczuwa Odrana. Krew wzywa krew.

– On chce, żebyś go znalazł! – krzyknęła, drżąc o życie syna. – To pułapka!

Eian z oczyma jak burzowe niebo i płonącymi czerwono włosami, wysoko uniósł miecz.

– Pułapka, o ile godzisz się być łupem.

Z rozwianymi włosami przeleciał na smoku ponad tłącymi się zwłokami demonów i wpadł do donżonu. Fetor śmierci, osmalonych ciał i krwi zatruwał powietrze.

Marg z oczami załzawionymi od gryzących wyziewów oślaniała syna, zadając ciosy mieczem i rażąc promieniami białego światła. W zasnutym dymem wnętrzu połyskiwały złote kolumny i srebrne posadzki. Skrzydlaci, szponiaści i pokryci łuską obrońcy Odrana pierzchali poranieni i konający. Drużyna Eiana ścigała niedobitków, powalała demony na ziemię, spychała je z klifu do morza.

Marg wiedziała, że kapitulacja nie wchodziła w grę. Czyste zło musiało zostać zniszczone do cna. A ci, którym uda się uciec, wysłiznąć do innych światów, będą nieść legendę Eiana O’Ceallaigha i wojowników Talamh.

Z drżeniem będą wymawiać jego imię.

Niech tak się stanie.

Szczęk żelaza, krzyki i huk ognia niosły się echem w labiryncie krużganków i złupionych komnat donżonu. Marg, bojąc się stracić syna z oczu, parła do przodu. Nie zatrzymała się nawet na moment, kiedy ostra jak brzytwa krawędź czarnego skrzydła przecięła jej ramię, zanim zdążyła spalić napastnika na popiół.

Tymczasem w komnacie tronowej on, oszałamiająco przystojny, siedział niewzruszony na wysokim tronie ozdobionym czaszkami i kośćmi tych, których zgładził w bezwzględnym dążeniu do władzy.

Lśniące, złote włosy spływały mu na ramiona spod kryształowej korony wysadzonej migotliwymi kamieniami. Jego strój składał się ze złotej tuniki przewiązanej pasem inkrustowanym klejnotami i złotych nogawic.

Siedział, uśmiechając się tamtym uśmiechem, którym uwiódł młodą kobietę, bo ona przedłożyła miłość ponad swoją władzę.

Nawet teraz – pomyślała – nawet teraz, otoczony zaduchem krwi i śmierci, emanował zniewalającym czarem i erotyzmem.

– Och, moja ukochana i mój syn. – Głęboki, niebezpiecznie zmysłowy głos zdawał się pieścić jak dłoń kochanka. – Zbliżcie się, chodźcie. Zajmijcie miejsca po mej prawicy i lewicy, tak jak było przeznaczone.

– Wstań – warknął Eian i zeskoczył ze smoka z mieczem w dłoni. – Stań do walki albo nadzieję twój zadek na miecz jak na rożen.

– Jakże brutalne słowa, jakże wysoka cena zapłacona krwią twoich ludzi. A wszystko z powodu płacznego bachora, którego postanowiłeś spłodzić z bezsilną kobietą ze świata poniżej twojej godności. I to dlatego, że chciałem spędzić trochę czasu z własną wnuczką, nawet jeżeli jest tylko tym, kim jest.

– Ona jest kimś znaczniejszym od ciebie. – Marg, nie schodząc ze smoka, wszystkimi zmysłami szukała podstępów. – Jest silniejsza i mądrzejsza.

– Tak myślisz, ukochana? – spytał przymilnie. – Ona pochodzi z mojej krwi. Mam do niej prawo, obojętnie, jak żałosna jest jej moc.

– Nigdy nie będzie twoja.

Odran rzucił butne spojrzenie Eianowi.

– Nadejdzie dzień, w którym do ostatniej kropli wysączę to, czym jest.

– Wstań – Eian powtórzył żądanie. Jego pociemniałe jak burzowe niebo oczy rzucały groźne błyski w twarzy wymazanej sadzą i krwią. – Twoje broczące krwią i płonące bestie osuwają się w swoje piekła. Twój pałac leży w gruzach. Nadszedł dzień zapłaty za to, co uczyniłeś mojej matce, mnie i mojemu dziecku. Wyciągnij miecz, Odranie Przeklęty, stań do walki jak mężczyzna.

Odran z rozmyślną powolnością podniósł się z tronu.

– Nie jestem mężczyzną. Jestem bogiem.

Wyrzucił ramiona w górę. Przywołany przez niego wicher podciął nogi Eianowi i o mało nie zrzucił Marg z grzbietu smoka. Zachwiała się, lecz w ułamku sekundy odzyskała równowagę.

– A ja nie jestem łupem – warknął Eian. – Przygotuj się.

Widziała zaskoczenie Odrana, gdy Eian na niego natarł. Wystarczyła chwila, aby demony, całe ich dziesiątki wypełzły ze złotych ścian i srebrnej posadzki.

Kiedy krzyknęła do syna, żeby z powrotem dosiadł wierzchowca, dziesiątki zbrojnych Talamh wtargnęły do sali tronowej.

Nagle w dłoni Odrana błysnął miecz. Skrzyżowały się klingi; czarna jak obsydian Odrana ze srebrzystą Eiana. Szczęk uderzenia sprawił w drżenie kolumny i spowodował pajęczynę pęknięć na posadzce.

– Wyprowadź ich! – krzyknął Eian. – Niech wszyscy stąd znikną. – Machnięciem ramienia zrzucił dach donżonu.

Wróżki sfrunęły przez otwór, cięły demony, podrywały z posadzki tych wojowników Talamh, którzy nie byli w stanie sami wzbić się w powietrze.

Marg spełniła rozkaz syna, choć z sercem bijącym w gardle z obawy o jego życie.

Poprowadziła zbrojnych przez labirynt korytarzy, wskazując drogę rzucanym przed siebie światłem.

Widziała jedynie urywek walki, skupiona na łączeniu myśli z myślami Eiana. Prześladował ją widok oczu Odrana, czarnych jak sadza i płonących z nienawiści.

Gdy ulokowała oddział w bezpiecznym miejscu, a ranni zostali odtransportowani do domu, zawróciła smoka.

Zanim zdążyła dotrzeć do donżonu, jego mury zapadły się do wewnątrz. Siła implozji zatrzęsała jej ciałem, podmuch przeszył ją na wskroś.

Zmusiła smoka do jeszcze szybszego lotu.

I wtedy go zobaczyła. Jej syn, jej chłopiec, wzniósł się ponad dymiące rumowisko. Zakrwawiony, oblepiony popiołem, ale żywy.

Eian zanurkował w jej stronę.

– Wodospad! – krzyknął. – Leć tam. Niech wszyscy tam polecą. W tej chwili jest bezpiecznie. Zablokowaliśmy portal. Musisz mi pomóc go zaślepić.

– Zostanę z tobą. Jesteś ranny. Krwawisz.

– Ty też. – Wyciągnął rękę, dotknął jej dłoni. – Nie mogłem pozwolić, żebyś zobaczyła moje myśli. On mógłby je przejrzeć i skuteczniej się bronić.

– Jesteś *taoiseachem*. A co z Odranem?

– Nie wiem, nie jestem pewien. On wolał siebie razem ze mną pogrzebać w tym przeklętym miejscu, niż widzieć mnie żywym. Teraz leży pod gruzami. Bogowie dopilnują, żeby tam został.

– A jednak stało się inaczej – Marg zwróciła się do Breen. – Mijały lata, uwierzyliśmy, że Odran został unicestwiony. Zaślepiiliśmy portal do tamtego świata, a jednak on zdołał się prześliznąć. Ale tobie nic nie groziło. Twój ojciec, tak długo, jak mógł, dbał o twoje bezpieczeństwo.

– Zabierając mnie ze świata, który kochał.

– Rzuciliśmy zaklęcia, które miały cię chronić, i urokami stępiiliśmy twoją pamięć, żeby oszczędzić ci bólu serca. Najbliższy przyjaciel twojego ojca, Kavan, stracił życie podczas tamtej bitwy. Osierocił Keegana, Aisling i Harkena. I wtedy twój ojciec podarował wdowie i dzieciom farmę. Wiedział, że przekazał ją w dobre ręce, a rodzina będzie zabezpieczona. Eian był gotów zrzec się miecza i buławy, lecz po bitwie o Czarny Zamek ludzie ubłagali go, żeby tego nie robił. Tak więc, kiedy przeprowadził przez portal ciebie i twoją matkę do świata, który ona dobrze знаła, a który stał się twoim, pozostał *taoiseachem*. Wracał tak często, jak mógł, i utrzymywał pokój tak długo, jak to było możliwe.

– Jak wracał? Mieszkał... Więcej już nie koncertował w pubach. Nie jeździł z muzyką – swoją pierwszą, nieprzemijającą miłością.

– Jedno musisz wiedzieć. – Marg znowu wzięła Breen za rękę. – Kochał cię ponad wszystko. Kochał Talamh. A więc zrezygnował z tego, co dawało mu radość, żeby być twoim ojcem i służyć swojemu ludowi.

– Był wojownikiem. Zobaczyłam to, jakbym tam była z tobą. Widziałam go. Nie znałam go od tej strony.

Wojownik – pomyślała Breen. – Wódz. Bohater.

– Nie było takiej potrzeby, żebyś o tym wiedziała. Teraz jest.

– Rozbiłam szklaną klatkę. Zrobiłam to.

– Tak było, a miałaś wtedy zaledwie trzy lata.

– Jak?

– Miałaś to w sobie, ale aż do tamtej chwili to było delikatne, miłe i niewinne. W chwili, gdy zaszła konieczność, obudziłaś w sobie siłę.

– Nie rozumiem, co to znaczy. Nie wiem, czym jest to coś we mnie. Widziałam... ale nadal... Demony jak w książkach czy filmach. Żywe bezwzględne gargulce. One istnieją.

– Są takie światy, gdzie istnieją – potwierdziła Marg. – On je ściągnął w miejsce, które uważał za swoje.

– Byłaś... przerażająca i majestatyczna. Leciłaś na smoku, miałaś miecz i różdżkę. Czarodziejską różdżkę?

– Można tak to ująć. Przedłużenie mocy. Jestem z Widzących, tak samo jak ty.

– I jak mój ojciec. A matka nie była... nie jest.

– Nie. Jest tym, kim chciała, musiała być. Człowiekiem. Tylko człowiekiem.

– Muszę to wszystko... – Breen wstała i krążyła po ładnym, przytulnym pokoju z płonącym kominkiem i migotliwymi kryształami. – Kim jestem? Pół człowiekiem i pół czymś innym? A Odran, mój dziadek? Nazwał się bogiem. A więc nie tylko jest okrutny, ale i szalony?

– On jest wieloma rzeczami. Szaleńczo żądny władzy, ale nie szalony. To bóg.

– Zaraz, chwila. – Czują, że musi usiąść. – Bóg? Niby jak Thor?

Marg posłała jej znużony uśmiech.

– Jak ci mówiłam, w legendach i podaniach zawsze tkwi ziarno prawdy.

– Ale to jest... chciałam powiedzieć nierealne. To wszystko jest niemożliwe. A z drugiej strony... Jeżeli Odran jest bogiem, mój ojciec był...

– Półbogiem. Potomkiem Widzących i bogów. A w twoich żyłach, *mo stor*, płynie krew Widzących, Sidhe, bogów i ludzi. Nie ma drugiej takiej osoby w tym świecie i w tamtym, w którym się wychowałaś.

– W takim razie kim jestem? Dziwadłem?

– Skarbem.

– Mairghread. – Sedric wsunął się do pokoju. – Wystarczy na dziś. Ona ma dość. A ty musisz coś zjeść i odpocząć.

Miał rację. Babka była blada, wyglądała na wyczerpaną. Będzie musiała poczekać z nurtującymi ją pytaniami.

– Tak – przyznała Breen. – Rzeczywiście było tego wiele. Muszę pomyśleć. Wiem, że mnie nie okłamałaś, bo sama

wszystko widziałam. Ale potrzebuję czasu, żeby się z tym oswoić.

– Macie do dyspozycji chleb i ser, potrawka niedługo dojdzie – obwieścił Sedric. – Siadajcie do stołu.

Odwrócił się i władczym krokiem wyszedł z pokoju.

– On jest twoim chowańcem? Chyba takiego określenia używacie, prawda?

– Jest moim partnerem życiowym. Nigdy ponownie nie złożę ślubów, ale gdybym mogła, wyszłabym ze Sedrica.

– Och. A więc jesteście...

Twarz Marg rozjaśnił lekki uśmiech.

– Moja droga, takie sprawy nie kończą się w młodości. On walczył tamtego dnia. Przelewał za ciebie krew. Oddałby swoje życie za twoje, gdyby zaszła konieczność. Bo on należy do mnie, tak jak ja do niego. I w związku z tym ty również jesteś jego.

Pogryzali chleb z serem w ciepłej kuchni; drzwi zostawili otwarte na nadciągający wieczór. I chociaż Breen tak wiele pytań cisnęło się na usta, stanowcze spojrzenie Sedrica skutecznie ją zniechęcało do ich zadania.

– Jeszcze się nie rozpakowałam. Co prawda mam niewiele rzeczy, ale wypadłoby się tym zająć. Wspomniłaś, że będę mogła tutaj pisać. Zawsze z rana się tym zajmuję.

– Pokażę ci. – Sedric wstał od stołu, po czym podniósł dłoń Marg do ust. – Odpocznij trochę. Miałaś wyczerpujący dzień. Jutro przyjdzie czas na więcej.

– Och, nie przesadzaj.

– Gdybym przesadzał, w tej chwili spałabyś do rana po odpowiedniej miksturze. Chodź, moja panno, pokażę ci co i jak.

– Jutro przyjdzie czas na więcej – zwróciła się Breen do Marg, powtarzając za Sedricem. – Wszyscy jesteśmy znużeni.

– Bardzo dobrze – pochwalił ją w drodze do jej pokoju. – Nie ma takiej rzeczy, której nie zrobiłaby dla ciebie, co niekoniecznie dobrze wpływa na jej serce.

– Znałeś mojego ojca.

– Znałem, podziwiałem, szanowałem i kochałem. Był dla mnie jak syn.

Był dla niego jak syn – powtórzyła w myślach.

– Długo jesteś z moją babką?

– Odkąd mi na to pozwoliła. Zapamiętałem ciebie jako bystre, urocze dziecko o silnej woli. Widać, że czas spędzony w świecie Ziemi tę wolę przytępił. Mniejsza o to – dodał lekko. – Musisz tylko z powrotem ją wyostrzyć. A tutaj – wskazał biurko – masz wszystko, czego potrzebujesz do pracy.

Zobaczyła wysoką stertę papieru i pióro. Podeszła do biurka, podniosła pióro – srebrne z małym czerwonym kryształkiem na skuwce.

– Wieczne pióro?

– O wiele więcej. Nie zapominaj, gdzie jesteś. Twój sprzęt, jak wy to nazywacie, tutaj nie działa. W tym piórze, wyczarowanym specjalnie dla ciebie, nigdy nie zabraknie atramentu. Będzie przelewać twoje myśli na papier czy to w postaci blogu, który prowadzisz, czy opowiadań i wszel-

kich innych form komunikacji. Umiejętność pisania jest wielkim darem, a to pióro i ten papier będą ci w tym pomocne.

– Nie jestem pewna, czy potrafię tym pisać. A co do bloga; wstawiam tam zdjęcia.

– Po prostu opiszesz obraz, który chcesz wykorzystać, i sprawa załatwiona. Mamy swoich ludzi po drugiej stronie portalu. Będą odbierać to, co napiszesz, i przetwarzać na waszym sprzęcie.

– Tutejsi ludzie mieszkają w Irlandii?

– Nie tylko. Muszą złożyć świętą przysięgę i żyć poza Talamh zgodnie z naszymi zasadami. Wiedz, że my tutaj szanujemy ludzi obdarzonych talentem do snucia opowieści i możesz swobodnie pisać w trakcie tej wizyty.

Przystanął na progu.

– Poczekamy na ciebie z posiłkiem, ale nie zwlekaj za długo. Marg dobrze robi talerz potrawki.

– Dziesięć minut.

Z lekkim ukłonem wyszedł z sypialni, przymykając za sobą drzwi.

Breen pokręciła głową z niedowierzaniem, patrząc na stos papieru i pióro w dłoni.

– Równie dobrze to mogłoby być gęsie pióro.

Postanowiła odłożyć uzupełnianie bloga o dzień czy dwa. Nadal stojąc przy biurku, zdjęła skuwkę i dotknęła stalówką kartki.

– Skoro wystarczyło...

Zobaczyła, jak te słowa i reszta myśli pojawiają się na papierze napisane jej ulubioną czcionką.

Skoro wystarczyło Jane Austen. O Boże! Jak to... Stop!

Oderwała rękę z piórem od kartki.

Za dużo tego – pomyślała. – Za dużo tego wszystkiego na jeden dzień.

Zamknęła pióro i delikatnie odłożyła je na blat.

Przełożyła skromną zawartość plecaka do szafy pachnącej cedrem i lawendą i zajrzała do łazienki.

Tak jak się spodziewała, zobaczyła staromodne, niewielkie pomieszczenie z miedzianą wanną, zajmującą większość przestrzeni. Z lekkim niepokojem popatrzyła na miniaturową toaletę z łańcuszkiem do spłukiwania. Na stoliku obok miski stał duży dzbanek. Zanurzyła w nim palec. Woda była ciepła, bardzo ciepła.

Rzeczy niemożliwe już przestały ją zaskakiwać.

Na jednej półce czekały dwa puszyste ręczniki, na innych stały kryształowe flakony z jakimiś płynami i olejkami, leżały kolorowe kulki o aromacie kwiatów i ziół. Świece umieszczone w metalowych rożkach pachniały tak samo jak mydło w mydelnicze.

Może zatęskni za prysznicem, może toaleta z łańcuszkiem wyglądała podejrzanie, ale trudno byłoby odmówić tej łazience uroku. W myślach trzymając kciuki, skorzystała z toalety i pociągnęła za łańcuszek. Nie usłyszała, jak się spodziewała, szumu albo przynajmniej ciurkania wody, jednak kiedy wstała z sedesu, muszla lśniła czystością.

No dobra, nazwijmy to praktyczną magią.

Nalała do miski wody z dzbanka, umyła ręce i spojrzała w lustro w metalowej ramie.

– Powiedz to wreszcie. Nie jesteś w normalnym świecie.

Wyszła z łazienki i podążając za zapachem jedzenia, trafiła do kuchni.

Stół był nakryty na trzy osoby. Porcelanowe talerze, talerzyki na chleb, białe płócienne serwetki zwinięte w mosiężnych pierścieniach. Sedric stał przy niewielkiej kuchence, Marg kroїła chleb na desce.

Ta swojska, domowa atmosfera jasno mówiła, że oni byli parą, którą musiały łączyć długoletnie więzy, a nie tylko wiedźmą i jej chowańcem.

– Pysznie pachnie.

– Sedric świetnie gotuje. – Marg zaniósła chleb i maselniczkę na stół. – Na pewno nie wyjdiesz stąd głodna. Chleb upiekłam rano, zanim się zjawiłaś, bo ja też nie najgorzej radzę sobie w kuchni. Masło pochodzi z farmy. A stołowe wino zrobili Finola z Seamusem. Zapewniam cię, że w Stolicy nie znajdziesz lepszego.

– Ja jestem kiepską kucharką – wyznała Breen, czekając, aż Marg pierwsza usiądzie do stołu. – Próbuję się uczyć, bo na wsi trudno o jedzenie na wynos, no i nie ma Marco, który zawsze potrafi zrobić coś z niczego. On jest naprawdę dobrym kucharzem.

– Masz w nim serdecznego przyjaciela. Bardzo przypadł Finoli do gustu.

– Ona zwraca uwagę na przystojnych młodzieńców. – Sedric postawił wazę na stole i chochelką nakładał

potrawkę na talerze.

– To prawda. Podobno jest muzykalny tak jak ty.

– Och, daleko mi do Marco. On, jak to się mówi, muzykę ma w genach. Tak uważał mój ojciec i uczył nas grać na pianinie, skrzypcach i flecie. Ale kiedy tata... musiał odejść, Marco, w przeciwieństwie do mnie, nadal brał lekcje.

Nie bardzo miała ochotę ciągnąć ten temat, więc skosztowała potrawki.

– Uhm, po prostu pyszna. Uprawiacie własne warzywa.

– Temu służy ziemia. Masz rękę do ogrodnictwa.

– Chyba tak. Chciałabym się więcej nauczyć. Wynajmujemy mieszkanie, trudno tam znaleźć miejsce dla roślin, poza tym wcześniej... Przy mojej pracy i całej reszcie brakowało mi czasu na rozwijanie zainteresowań.

– Teraz cały czas należy do ciebie – skomentował Sedric.

– Powoli się do tego przyzwyczajam. Mam pytanie, ale jeżeli nie macie ochoty teraz o tym rozmawiać, możemy to odłożyć na później. Daliście mi mnóstwo pieniędzy. Dla mnie to jest prawdziwa fortuna. Skąd te pieniądze?

– No cóż, pieniądze w miarę łatwo się zdobywa. My tutaj nie mamy waluty, ale...

– Nie macie? Żadnej?

– Ani potrzeby jej posiadania. Wymieniamy się dobrami, plemiona i społeczność troszczą się o tych, którzy popadli w kłopoty. Ludzie mogą też zwrócić się do *taoiseacha* oraz Rady o pomoc w przypadku śmierci, choroby czy innych nieszczęść, jakie ich dotknęły.

– Nie ma pieniędzy? – powtórzyła, nie mogąc się nadziwić.

– Pieniądze to tylko metal czy papier bez rzeczywistej wartości, ponad tę przypisaną przez ludzi – zauważył Sedric, smarując chleb.

– Ale wy przesyłaliście mi pieniądze.

– W świecie, w którym żyjesz, zapewniają poczucie bezpieczeństwa, jedzenie i dach nad głową. Jestem twoją babką. Uzgodniliśmy z twoim ojcem, że będziemy dbać o twoje potrzeby. Mamy tutaj rzeczy, na które jest popyt na zewnątrz. Prosta sprawa.

– Dziękuję. Te pieniądze odmieniły moje życie. Zapewniły wolność, której mi wcześniej brakowało. Może to, co mówię, siedząc tutaj z wami, kiepsko brzmi, ale to prawda.

– Każdy ze światów rządzi się swoimi prawami, ma oddzielne zasady i odrębną kulturę.

– Sedric mi mówił, że część waszych ludzi mieszka na zewnątrz.

– Oczywiście. Zdarzają się tacy, którym bardziej odpowiada życie poza naszym światem, czują się tam szczęśliwsi. Wszyscy mamy wolny wybór. Niektórzy z zewnątrz wolą życie w Talamh, niektórzy z Talamh tamto na zewnątrz.

– Wspomniałaś, że kiedy ktoś decyduje się opuścić Talamh, musi złożyć przysięgę, tak?

– Najświętszą – potwierdziła Marg. – Zgodnie z nią nie wolno nikogo krzywdzić ani pozbawiać życia czy to za pomocą magii, czy bez jej udziału. Wyjątek stanowią sytuacje, w których zachodzi konieczność obrony innego życia.

Ale takie przypadki zawsze podlegają osądowi. Karą za wyrządzenie krzywdy czy odebranie życia w jakichkolwiek innych okolicznościach jest pozbawienie mocy i wygnanie.

– Wygnanie? Dokąd?

Sedric uciszającym gestem nakrył dłonią rękę Marg.

– Jest taki świat – przejął pałeczkę – gdzie pojedynczy portal otwiera się tylko w jedną stronę. Ci, którym się udowodni złamanie przysięgi, są tam wysyłani i muszą egzystować bez pomocy magii.

To coś w rodzaju więzienia – pomyślała Breen.

– Skąd wiecie, że ktoś złamał przysięgę?

– Mamy Obserwatorów, obdarzonych darem empatii. Dzielą się swoją wiedzą z Radą. Jesteśmy farmerami, artystami, rzemieślnikami, bazarzami, ale w naszym świecie również obowiązują prawa. Większość z nich nie różni się od tych dobrze ci znanych. Nie wolno zabijać, brać cudzych rzeczy bez pozwolenia, nakłaniać do kłamstwa, zaniedbywać dzieci i zwierząt. Te wszystkie czyny wyrządzają krzywdę, a główna zasada naszego prawa zabrania krzywdzić innych.

Wywód Sedrica budził u Breen wiele wątpliwości, lecz spojrzenie, jakie jej postał, zniechęciło ją do przedłużania tej rozmowy.

Jak na jeden dzień wystarczy – pomyślała kolejny raz.

– Dziękuję za papier i pióro. Już nie mogę się doczekać, kiedy siędę do pisania.

– Mam nadzieję, że będzie ci się miło pracowało. Ale zarezerwuj sobie czas na poznanie Talamh. Poza tym chcia-

łabym cię pewnych rzeczy nauczyć, pomóc ci się przebudzić.

– Obudzić to coś, czym rozbiłam szklaną klatkę, kiedy byłam dzieckiem?

– To i jeszcze więcej.

– Chciałabym więcej zobaczyć i więcej się dowiedzieć. Na początek mogłabyś mi pokazać, jak umyć naczynia. Z tego, co widzę, nie ma tu bieżącej wody.

– Mamy świetną studnię, ale dzisiaj nie sprzątasz po kolacji. W pierwszy dzień jesteś członkiem rodziny na prawach gościa. Lubisz chodzić. Jest piękny wieczór na spacer.

– Dobrze. Gdybym chciała później wziąć kąpiel, jak napełnić wannę?

Marg skwitowała to pytanie uśmiechem.

– Dzban ją napełni, a woda pozostanie ciepła, dopóki nie wyjdiesz z wanny.

– Duża oszczędność na rachunkach za wodę.

Rzeczywiście – pomyślała – spacer dobrze jej zrobi. Potrzebowała odetchnąć świeżym powietrzem i w ciszy uporządkować myśli, jakoś ogarnąć rozumem to wszystko, czego się dowiedziała.

– Dziękuję za kolację. Wszystko było, hmm, wyśmienite.

Zawahała się, zanim wiedziona intuicją, nachyliła się pocałowała Marg w policzek.

– Dziękuję, babciu.

Gdy wyszła, Marg przycisnęła dłoń do serca.

– Och, Sedricu, tak wiele muszę jej dać, o tak wiele muszę ją poprosić.

– Na razie walczą w niej dwa światy.

– I tak może pozostać. Idź, czuwaj nad nią. Szpiedzy Odrana mogą być bliżej, niż myślimy. Ja zajmę się naczyniami.

Wstał od stołu, nachylił się i delikatnie musnął wargami jej usta.

Opuścił kuchnię jako mężczyzna, jako kot wymknął się drzwiami.

Rozdział 16

Breen kątem oka dostrzegła kota sunącego chyłkiem w wysokiej trawie przy drodze: srebrzysty, obły kształt poruszający się w zieleni. I niemal natychmiast do niej dotarło, że nie zobaczyłaby go, gdyby sobie tego nie życzyła.

Na razie nie wiedziała, co właściwie myśli o Sedricu, natomiast babka wyraźnie mu ufała, no i niewątpliwie tych dwoje łączyła miłość.

Po prostu będzie go tolerować. Pomijając pokrewieństwo, była tutaj gościem. Zjawiła się z wizytą.

Obca w obcym miejscu – pomyślała.

Ognista kula słońca wisiała na wieczornym niebie. Odruchowo sięgnęła po komórkę i nacisnęła ikonkę aparatu. Przez minutę wpatrywała się w pusty ekran.

– Racja, żadne urządzenia tutaj nie działają – mruknęła. – Nie ma technologii.

Wsunęła komórkę z powrotem do kieszeni, wyrzuciła z myśli kota. Wyobraziła sobie, że czmychnął.

Skupiła się na widoku. Słońce powoli zachodziło, podpalając wodę w zatoce i grzbiety odległych wzgórz.

Ciekawe, co jest za tymi wzgórzami. Kolejne pola i farmy, rzeki i lasy? Magiczni ludzie, którzy orzą i sieją, gotują potrawkę, tworzą muzykę?

Rzeczywiście, słyszała muzykę. Wieczorny wiatr niósł jakiś lekki, pogodny utwór. Łagodne dźwięki skrzypiec, a może harfy i fletu zlewały się w żywą, szybką melodię.

Zupełnie jakby śniła kolejny sen – pomyślała. Idealny podkład muzyczny dla sielskiego obrazka z owcami i krowami śpiącymi na łące na tle gasnącego nieba. A do tego powietrze pachnące trawą i torfowym dymem.

No i kołotak idący za nią trop w trop.

Ciekawe, co zrobiłby ten koci ochroniarz, gdyby jakaś szurnięta wróżka spikowała z nieba i znowu spróbowała ją porwać.

Na samo wspomnienie obejrzała się za siebie i zdrętwiała.

Smok, tym razem bez jeźdźca, sunął po ciemnym niebie jak złoty statek po morzu. Nic, co dotąd widziała i zapewne jeszcze zobaczy w tym magicznym świecie, chyba nie przebije widoku tej szybującej bezszelestnie złocistej smugi.

Gdy zauroczona odprowadza wzrokiem pięknego, majestatycznego smoka, na tle ciemnego nieba zauważa dwa półksiężyce. Oba jeszcze blade, podobnie jak towarzysząca im dopiero rozjarzona gwiazda. Jeden był w pierwszej, a drugi w ostatniej kwadrze.

– Ale... tu są dwa księżyce.

– Zawsze były i są.

Krzyknęła i odwróciła się gwałtownie, gotowa wziąć nogi za pas.

Wcześniej nie zauważyła go w mroku. Stał oparty o kamienny słup przy bramie. Cały na czarno, ginął w ciem-

nościach zapadającej nocy. Prawdopodobnie o to mu właśnie chodziło.

Taoiseach, wódz, jeździec złoto-szmaragdowego smoka.

– A co z pływami przy dwóch księżycach?

– Cały czas są przyptywy i odpływy. Popilnuję jej, Sedricu!

– zawołał do kota. – O ile nie zamierza spacerować pół nocy.

– Ja tylko chciałam się przejść, zanim... – Rany, ona się usprawiedliwia – pomyślała. Wreszcie musi skończyć z tym tłumaczeniem się ze wszystkiego, co robi. – Nie chcę, żeby mnie pilnowano.

– Chęć i konieczność to dwie różne sprawy, nie sądzisz? A Marg będzie spokojniejsza, wiedząc, że nie jesteś sama.

Ten argument zamknął dyskusję.

– Jeszcze ci nie podziękowałam za to, co dzisiaj zrobiłeś.

– Podziękowania są mile widziane, ale niekonieczne.

Szukała w myślach jakichś przyjaznych słów. Spojrzała w stronę chaty z jasno oświetlonymi oknami.

– Chyba mają tam jakąś imprezę – zauważyła.

Obejrzał się na dom, z którego dochodziły gwar głosów i muzyka.

– Rzeczywiście, to coś w rodzaju przyjęcia powitalnego. Ty, Marg i Sedric byliście zaproszeni, tak samo jak wszyscy w dolinie, ale Marg uznała, że zapewne wystarczy ci wrażeń na jeden dzień i wolisz spędzić ten wieczór nieco... spokojniej. Ale jeżeli masz ochotę, będziesz tam mile widziana.

– Nie, czułabym się skrępowana. Na dobrą sprawę nie znam tam nikogo i niewiele wiem o... tak w ogóle.

– No cóż, chcesz dowiedzieć się więcej, prawda?

Mimo że jego melodyjny głos z irlandzkim, według niej, zaśpiewem miał w sobie coś kojącego, rozjuszył ją tym pytaniem.

– Jak dotąd dowiedziałam się, że moim dziadkiem jest jakiś szurnięty bóg, który chciałby wyssać ze mnie coś, co podobno mam, a o czym nie wiem. A przecież chwilę temu nie wierzyłam w bogów.

Wydawał się szczerze zdumiony.

– Naprawdę? Dlaczego?

– Bo bogowie istnieją tylko w mitach. Podobnie jak światy z dwoma księżycami, gdzie smoki latają człowiekowi nad głową, a kochanek babki zmienia się w kota. Mam pióro, które samo spisuje moje myśli, a w dzbanie w mojej łazience nigdy nie kończy się ciepła woda. Nie mogę korzystać z telefonu, ale za to patrząc z babką w ogień, oglądałam ojca walczącego na wojnie. Widziałam go tak dokładnie, jakbym tam była.

Przyglądał się jej spokojnie, nadal oparty o słup, z rękami w kieszeniach.

I z mieczem u boku.

– Byłaś tam, przynajmniej z początku. Ja byłem wtedy małym chłopcem, ale ubłagałem ojca, żeby wziął mnie ze sobą, kiedy spieszili ci na ratunek.

A on zginął – przypomniała sobie. – Chroniąc ją, stracił życie w tamtym koszmarnym miejscu.

– Wybacz – powiedziała skruszona. – Przykro mi, że straciłeś ojca, że zginął, stając w mojej obronie.

– To nie twoja wina, byłeś wtedy małym dzieckiem. I też walczyłeś, prawda? Trzylatka, która postawiła się bogu. Ludzie układają pieśni i opowieści o dziecku, które mocą swojej woli pokonało boga.

Ze wzruszenia poczuła ucisk w gardle.

– Nie mam pojęcia, jak to się stało.

– Przypomnisz sobie – stwierdził obojętnie, jakby to była najprostsza rzecz pod słońcem, nie przestając jej przy tym obserwować. – O wiele za wcześnie przestałaś praktykować i ćwiczyć, ale to szybko da się naprawić, skoro tutaj jesteś.

Instynktownie cofnęła się o krok.

– Nie jestem. To są odwiedziny – poprawiła go.

Odepchnął się od słupa.

– Należysz do tego świata tak samo jak ja. Uważasz, że nic mu nie jesteś winna?

– A co ja mogę mu dać? – obruszyła się. – Próbuję się dostosować i to już jest cholernie trudne. Zaczynałam się zastanawiać, co chcę zrobić ze swoim życiem i nagle *bam*, okazuje się, że większość tego życia w najlepszym razie jest półprawdą, jeśli nie jednym wielkim kłamstwem.

– Chcieć i musieć to dwie różne sprawy. Masz obowiązek rozwijać swój dar. Tym zajmie się Marg. I musisz się szkolić. Akurat tak pechowo dla nas obojga się składa, że to zadanie spadło na mnie.

– Szkolić się w czym?

– W walce, oczywiście, żeby chronić siebie i innych. Stać w obronie Talamh.

– Mam walczyć? Niby czymś takim? – Przerażona wskazała miecz. – Nie jestem wojowniczką.

– Wprawisz się. Chyba nie oczekujesz, że zawsze ktoś będzie ratował cię z opresji. – W jego melodyjnym głosie pojawiła się złośliwa nuta. – Tak wyglądają sprawy w twoim świecie? Kobiety takie jak ty z piskiem kulą się ze strachu?

– Chodziłam na kurs samoobrony – rzuciła. – Wiesz co – rozgniewana zmieniła ton – nie mam zamiaru się tłumaczyć ani przed tobą, ani przed nikim innym. Przez całe życie ludzie tacy jak ty krytykowali mnie i pouczali, sprawiali, że czułam się nikim. Ale z tym koniec. Dłużej nie pozwolę sobą pomiatać i nie będę przepraszać za to, że żyję.

– Doskonale. Musisz się postawić, Breen Siobhan. Uwierz mi, on ci nie przepuści, a ja, żeby go powstrzymać, jestem gotów oddać życie. Podobnie jak wszystkie kobiety i wszyscy mężczyźni w tym świecie. Jesteś córką Eiana O’Ceallaigha, poprzedniego *taoiseacha*, człowieka, który mnie wychowywał po śmierci mojego ojca. Przysięgłem mu cię chronić. Ale na wszystkich bogów, musisz nauczyć się walczyć.

Cofnęła się o krok, lecz tym razem nie kierował nią strach.

– Kochałeś go. Mojego ojca.

– Tak, był wielkim wodzem i dobrym człowiekiem. To on mnie ukształtował i wszystkiego nauczył. A teraz ja będę uczył cię. Oczekiwałby tego ode mnie i od ciebie.

– Nie wiem, jakie miał oczekiwania wobec mnie.

– Och, wiesz, dobrze wiesz i nie udawaj, że tak nie jest. Ale teraz odprowadzę cię do domu. Chciałbym już położyć się spać.

– Mogę sama wrócić.

– Nie musisz się do mnie odzywać. Cenię ciszę. Ale odprowadzę cię do chaty, bo takie było życzenie Marg.

– Jedno pytanie, zanim zapadnie milczenie. Czy ja cię znałam? Wcześniej, gdy tutaj mieszkalam?

– Pewnie, że się znaliśmy, ale jako smarkula niewiele mnie obchodziłaś.

Naprawdę się uśmiechnął i z tym uśmiechem wyglądał czarująco.

– Interesowały cię ptaszki, motyle i takie tam bzdury, szep-
tałyście z Moreną sekrety po kątach, a mnie zajmowały
walki na drewniane miecze, przyszłe bitwy i poszukiwanie
smoka, którego mógłbym ujarzmić. Któregoś dnia – dodał –
ale nie dziś, opowiem ci o innym razie, kiedy się widzieliśmy,
i jak tamto spotkanie przypieczętowało moje przeznaczenie.
A teraz już cisza.

Szła w milczeniu z nim u boku i z dwoma jaskrawymi pół-
księżycami nad głową na upstrzonym gwiazdami niebie.

Tyle spraw czekało na przemyślenie. Ale na to oprócz ciszy
potrzebowała samotności.

Nie odezwała się, gdy zatrzymał się w połowie ścieżki. Stał
tam, dopóki nie weszła do chaty. Widok żarzącego się
kominka i cisza podziały na nią kojąco. Wyrzała przez okno;
zobaczyła, jak oddalał się ścieżką.

Wypróbuje wannę – postanowiła – no i sprawdzi pióro. Przed snem prześledzi w myślach pierwszy dzień w Talamh i pomyśli o tym, co może przynieść jutro.

Spała jak kamień. Zapewne po części sprawiła to długa gorąca, aromatyczna kąpiel, a po części znużenie po pełnej godzinie pisania magicznym piórem. Nie mówiąc już o zabawie, jaką było napełnianie ogromnej miedzianej wanny niewyczerpywalnym dzbanem.

Ponieważ nic z tych rzeczy nie nadawało się do bloga, uzupełniła go przed kąpielą. Tym razem wpis zappełniła myślami o poszukiwaniu własnego ja i zachwytaami nad uroczym mglistym porankiem, który spędziła na spacerze z Fąflem.

Wydarzenia z dnia odnotowała w prywatnym dzienniku.

Rano, zadowolona, że wieczorem popracowała, postanowiła zająć się swoją książką i natychmiast zatęskniła za kawą.

Oczywiście ekspresu tutaj nie uświadczy – tego nie mieli w karcie. W takim razie na rozruch szarych komórek zaparzy sobie herbatę.

Idąc do kuchni, zastanawiała się, jak rozpali ogień pod kaflową kuchnią.

Tymczasem w pomieszczeniu panowało miłe ciepło, a płyta parzyła. Albo ktoś wstał przed nią, albo ogień był z tej samej bajki co pióro.

Oglądała stoiki w młym świetle brzasku. Naturalnie tylko liściasta herbata, żadnych torebek, i na dodatek w stojach bez naklejek. Zakładając, że procedura może jej zająć trochę czasu, wypuściła Fąfła na dwór.

– Dołączę do ciebie, jak tylko się z tym uporam.

Kiedy wybiegł, stanęła przed półką, zdjęła pierwszy słoik z brzegu i powąchała zawartość.

Z płatkami kwiatów – stwierdziła. – Lekki, słodki zapach. Taka herbata zapewne nie pobudza.

Zaglądała do kolejnych słoików: ziołowa, leśna, jakby cytrynowa, korzenna.

Jedna z herbat przypominała mieszankę Irish breakfast, którą kupowała (w torebkach). Oczywiście, nie była pewna, równie dobrze to mogło być coś, co zmieni ją w żółwia.

Biorąc pod uwagę okoliczności, wcale nie byłaby zaskoczona.

Z drugiej strony trzymanie w kuchni na półce z przyprawami i ziołami czegoś, co zmienia ludzi w żółwie, oznaczałoby brak rozwagi.

Postanowiła zaryzykować. Umieściła w kubku coś, co wyglądało na zaparzaczkę do herbaty i nalała wrzątku z czajnika na płycie.

Przyglądała się ciemnobrązowemu, prawie czarnemu naparowi. Powąchała go. Ostrożnie spróbowała. Smakował jak piekielnie mocna herbata, a ponieważ nie zmieniła się w żółwia, uznała swoje działanie za sukces.

W T-shircie i spodniach od piżamy wyszła bosą na dwór.

Poranek nie różnił się od tego po tamtej stronie. Tutaj miała widok na zatokę i ogród, u siebie przed chatą na ogród i las, ale zamglone powietrze było tak samo łagodne, a zieleń soczysta.

Później weźmie psa nad zatokę – zdążyła pomyśleć i usłyszała chlupot. Ruszyła ścieżką pośród kwiatowych rabat, grządek z ziołami i warzywami w stronę kępy drzew. Zobaczyła Fąfla szalejącego w wartkim strumyku.

– No i dobrze – mruknęła.

Odwróciła się i obejrzała chatę babki z nowego miejsca.

Dostrzegła malowniczą studnię z kamienną cembrowiną, drzewo z pomarańczowo-czerwonymi jagodami i drugie, z owocami podobnymi do maleńkich zielonych jabłuszek.

Z gałęzi zwisały połówki butelek z morskiego szkła i przezroczystego kryształu, które przy dotknięciu melodyjnie pobrzękiwały.

Na ażurowej konstrukcji, podobnej do trejażu, wiło się pnącze o białych i złotych kwiatach, których zapach przyprowadził o zawrót głowy. To kapryfolium, skojarzyła, a obok piął się kwitnący na różowo i fioletowo nieznany jej krzew.

Chata, wkomponowana w zielony zakątek, wyglądała, jakby tam wyrosła – a może tak właśnie było.

To wszystko, tak urokliwe, mimo braku porannej kawy, sprawiało idylliczne wrażenie.

Odnalazła psią miskę oraz karmę i wbiła do niej brązowe jajko. Spodziewając się, że Fąfel będzie ociekał wodą, przeznornie wystawiła miskę na zewnątrz.

– Daj znać, kiedy będziesz chciał wrócić, i nie odbiegaj za daleko. – Pogładziła psa po kudłatym czubie i weszła do środka.

W cichym, śpiącym jeszcze domu usiadła przy biurku i wzięła pióro do ręki.

Z transu wyrwał ją pies. Wpadł do pokoju, położył jej łeb na kolanach i wpatrywał się w nią z uwielbieniem.

– Albo jakimś cudem sam wszedłeś, albo ktoś jest już na nogach.

– Od dawna jesteśmy. – W drzwiach stanęła Marg.

Tym razem miała na sobie męskie spodnie w odcieniu leśnej zieleni i kremowy sweter.

– Nie chciałam ci przeszkadzać, bo pracowałaś w takim skupieniu. Ale Fqfel inaczej zdecydował.

– Nic nie szkodzi. I tak miałam już skończyć. – Teraz poczuła, że jest głodna. – Nie byłam pewna, czy umiem tym pisać, ale całkiem dobrze mi idzie.

– No to bardzo się cieszę. Co powiesz na herbatę i śniadanie?

– Och, z chęcią. Rano zrobiłam sobie herbatę – powiedziała, wstając. – Chyba herbatę. Z tamtego słoja.

Marg pokiwała głową z aprobatą.

– To mocna, energetyzująca odmiana, w sam raz na dobudzenie się rano.

– Próbowałam po zapachu odgadnąć, co jest w tych słojach. Chyba rozpoznałam rumianek, coś z domieszką lawendy i jakąś miętę.

– Jeśli chcesz, pokażę ci więcej sposobów, chociaż nos jest dobrym przewodnikiem. Siadaj. Zaparzę ci lekką jaśminową herbatę, to najlepszy wybór na ładny dzień.

– Jaśmin – no właśnie. Tak mi się wydawało, że to zapach jaśminu, ale nie byłam do końca pewna. Nie chcę, żebyś mi

przygotowywała jedzenie. Jeżeli pokażesz, co gdzie trzymasz, sama potrafię zrobić kanapkę.

– Możesz zaglądać, gdzie tylko chcesz, ale wiedz, że robienie jedzenia dla ciebie sprawi mi radość. Podejrzewam, że napiłaś się herbaty na pusty żołądek.

Postawiła na stole pękaty, kobaltowoniebieski imbryk.

– Opowiesz mi trochę o swojej książce?

– Której? Właściwie to piszę dwie rzeczy. Powieść i opowiadanie dla dzieci z gimnazjum, takich od dziesięciu do trzynastu lat.

– Opowiadanie dla dzieci? Ach, uwielbiałaś czytać w dzieciństwie. Chłonełaś bajki jak gąbka, a potem sama je opowiadałaś, często zmieniając to, co ci się w nich nie podobało.

– Naprawdę?

– No tak. A o czym jest ta historia dla dzieci?

– O przygodach Fąfla. Właściwie już jest gotowa, a może tylko tak mi się wydaje. Nie wiem, czy jest coś warta, ale przyjemnie mi się pisało. To takie pisarskie wprawki. Nie liczę, że zainteresuję nią jakiegoś wydawcę. Jestem zwykłą amatorką.

Marg uniosła głowę znad kuchennego blatu. W jej uszach zamigotały małe, srebrne trójkąty z trzema ciemnozielonymi kamieniami.

– Przemawia przez ciebie twoja matka i bardzo przykro tego słuchać.

– Może. Pewnie łatwiej napisać opowiadanie niż je wysłać do wydawnictwa i narazić się na odmowę.

– Jeżeli nie wyślesz tekstu, nie sprawdzisz, ile jest wart, to tak jakbyś z góry go odrzuciła, prawda? – Odwróciła się od płyty, na której smażyła coś na patelni. Wytatuowałaś na nadgarstku słowo odwaga. Użyj jej.

– Mniej więcej to samo usłyszałam od Marco.

– W takim razie twój przyjaciel jest rozsądnym młodym człowiekiem

– Nie dałam mu tego przeczytać. Nikt jeszcze nie widział tekstu. To jak z tym doświadczeniem z kotem Schrödingera. Żyje, dopóki jest zamknięty w pudełku. Jeżeli je otworzę, a ty przeczytasz to, co napisałam, powiesz mi uczciwie, co myślisz? Nie chcę, żeby ktoś mnie chwalił, żeby oszczędzić mi przykrości.

– Przrzekłam, że nie będę cię okłamywać, i to samo dotyczy tej sytuacji. – Zsunęła coś z patelni na talerz i postawiła go na stole.

Breen zobaczyła grzankę z ciemnego chleba z irlandzkim, nie, talamhskim – poprawiła się – bekonem i sadzonym jakiem, posypanym ziołami.

– Pamiętam. Kiedyś już robiłaś dla mnie takie grzanki. Nazywałam je Smoczymi Oczami.

– Wtedy robiłam je dla ciebie z połowy kromki. Twoje ulubione śniadanie. Za chwilę następna będzie gotowa. – Marg usiadła z herbatą przy stole. – Chciałabym ci pokazać różne rzeczy, uczyć cię. Możemy zacząć od czegoś tak prostego jak rozpoznawanie herbat. Które do czego służą i jak należałoby je ze sobą mieszać w różnych celach.

– Chciałabym... tak, chętnie. Możemy od tego zacząć, ale...

– Śmiało, powiedz mi, czego chcesz, a ja cię chętnie tego nauczę, o ile to jest w mojej mocy.

– Morena wspominała o ogniu. Że rozniecanie ognia czy zapalenie świecy to pierwsza rzecz, której się tutaj uczycie.

– Rzeczywiście, często tak się zdarza. Chcesz się tego na nowo nauczyć?

– To wydaje mi się takie namacalne i niezaprzeczalne – tłumaczyła zafascynowana. – Bo jednak większość tego, co tu widziałam, nadal jest dla mnie prawie jak sen. Jednak gdybym poczuła to w sobie, nie mogłabym tego z powrotem zamknąć w pudełku. A ty mi uczciwie powiesz, czy to się stało za moją czy twoją sprawą.

– Oczywiście. Tak samo powiem ci prawdę po przeczytaniu twojego opowiadania.

– Mam je w laptopie. Wydrukuję je i przyniosę ze sobą następnym razem.

– Och, nie musimy tak długo czekać. Sama się tym zajmę, jeżeli mi pozwolisz.

– Dobrze. O Boże, ale się denerwuję.

– Zjedz śniadanie, napij się herbaty i wtedy zaczniemy. W zdenerwowaniu nie ma nic wstydliwego. To działanie sparaliżowane przez nerwy przynosi wstyd.

Siedziała w cichej kuchni z psem śpiącym przy nogach i czuła, jak z nerwów mrowi ją skóra i szybciej bije jej serce.

Na stole między nią i Marg stała białokremowa, wysmukła świeca.

– Przeważnie sama robię świece. Używam ich do ceremonii, czarów, uzdrawiania. Krótko mówiąc, służą mi do magicz-

nych praktyk, a nie do rozpraszania ciemności. Jeżeli chcesz, tej sztuki też mogę cię nauczyć.

– Jak rozumiem, to nie będzie zwykłe formowanie wosku.

– Kryje się w tym cel i to on stanowi podstawę działania. Tę świecę zrobiłam z zamiarem świętowania i tak tę chwilę postrzegam.

– Jeżeli nie dam rady...

– Och, wyrzucić matkę z głowy. – Marg uniosła dłoń i zaczerpnęła powietrza. – Nie powiem złego słowa o kobiecie, która wydała cię na świat, ale musisz uwolnić się od kompleksów, w które cię wpędziła. Bądź otwarta, *mo stor*, na to, kim jesteś, czym dysponujesz. Oto pierwsza lekcja. Jak się otworzysz, dosięgniesz, a jak dosięgniesz, pochwycisz.

– Dobrze. – Breen przebiegała palcami po tatuażu. – Bądź otwarta – nakazała sobie.

– Jak zgasiłabyś świecę?

– Zdmuchnąłabym ją.

Marg rozpromieniła się, jakby właśnie rozwiązała jakieś skomplikowane równanie.

– A więc najprościej mówiąc, żeby wywołać płomień, należy wciągnąć oddech. Z zamiarem. Otworzyć się, pozwolić mocy rosnąć. I skupić się, bo wszystko, co z czasem przychodzi naturalnie, w trakcie nauki wymaga koncentracji. Spróbuj.

Breen próbowała wiele razy, ale knot pozostawał zimny i czysty.

– Przykro mi, że cię rozczarowałam.

– To ty jesteś rozczarowana. Ogień jest w tobie. Przywołaj go, przytrzymaj, poczuj, jak łaskocze cię w trzewiach, jak się żarzy. Użyj go, zobacz cel – to knot. Pomyśl, jak się pali. Wciągnij głęboko oddech i wznieć ogień.

Poczuła rosnące ciepło i zanim zdążyła pomyśleć, siła sugestii wzięła górę. Knot z cichym syknięciem zajął się od iskry i świeca zapłonęła.

– Ja... Ty...

– Nie, przysięgam, to nie ja. – Marg zdmuchnęła świecę. – Jeszcze raz. Rozżarz knot.

Breen drżała ze strachu, podniecenia i, jak szybko sobie uświadomiła, ochoty na więcej. Trzykrotnie zapalała świecę.

– Szybko się uczysz. Masz ogromne możliwości.

– Babciu, kim ja jestem?

– Moją wnuczką, krwią z krwi, moim skarbem. Jesteś dzieckiem Fey, potomkinią Widzących po ojcu, po mnie i po moich przodkach. A także Sidhe po moich praprzodkach. Jesteś córką kobiety. I masz w sobie krew oraz moc bogów. –

Marg oparła na stole mocno splecione dłonie. – Dlatego jemu bardziej zależy na tobie niż kiedykolwiek na twoim ojcu. Twój ojciec był wszystkim, tylko nie człowiekiem, a Odran pragnie twojej mocy i ludzkiego elementu, który ty masz. Jesteś mostem pomiędzy światami, Breen, światami, które są przed nim zamknięte. Na razie.

– Masz na myśli mój świat? Świat mojej matki?

– Chętnie by go przejął kawałek po kawałku, serce po sercu. Zniszczył, zniewolił, skorumpował, tak jak to uczynił

z mniejszymi światami. Jesteś mostem, po którym pragnie przejść i na którym my musimy go powstrzymać.

– Bo jestem człowiekiem, przynajmniej część mnie nim jest?

– Jesteś wyjątkowa. Nie słyszałam o nikim z takim rodowodem. Nie znam drugiej takiej osoby. Szukałam, inni też szukali. Wiem jedynie, że Odran chce cię wykorzystać, wykorzystać to, kim jesteś, do zniszczenia Talamh oraz świata, w którym się wychowałaś. I wiem, że musimy użyć całej naszej mocy, żeby go powstrzymać.

– Nie umiem... dopiero po godzinie udało mi się zapalić świeczkę.

– To zaczyna się od płomienia. – Marg uniosła palec, a potem rozłożyła otwarte dłonie. – Masz wybór. Jeżeli wrócisz na zewnątrz i tam zostaniesz, Odran cię nie dosięgnie.

– To pewne?

Marg z pewnym wahaniem pokręciła głową.

– Nigdy nie ma stuprocentowej pewności. Musiałby przełamać barierę.

– Ale tutaj może się zjawić?

– Może i na pewno to zrobi, kiedy uzna, że jest gotowy. Będziemy z nim walczyć. Przepędziliśmy go w przeszłości i ponownie damy mu odpór. Dopóki nas nie pokona, twój świat jest bezpieczny, a ty w nim.

– Jednak on ponawia próby. Jak unicestwić boga? – Breen westchnęła. – Może to zrobić inny bóg. Tak właśnie myślisz? Uważasz, że ja mogę go zniszczyć?

– Nie wiem; nie powiem.

– Mój ojciec próbował go powstrzymać. Odran go zabił. Ja... w przyszłości zamierzam mieć dzieci. Zawsze chciałam mieć dzieci. Ale jeżeli urodzę dziecko, ono będzie jak ja... I to się nigdy nie skończy.

– Nauczę cię wszystkiego, co umiem. Inni przekażą ci swoją wiedzę. A jeżeli w końcu postanowisz wrócić, zostać, zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby utrzymać opór.

– Siedzę przy stole w chacie jak z pocztówki z malowniczym krajobrazem w tle, a ty mi mówisz, że los dwóch światów... kurde, może nawet wielu... zależy od tego, co zrobię?

Głęboki smutek ściągnął rysy Marg.

– Spoczywa na tobie wielki ciężar. Przysięgam, że nie będę cię okłamywać. Czułam, że teraz, kiedy ta iskra z powrotem w tobie ożyła, nie mogę dłużej uchylać się od odpowiedzi, bo to bliskie kłamstwu. Myślę, że wkrótce nastąpi przebudzenie. Jesteś, kim jesteś, Breen Siobhan. Ty zdecydujesz, co zrobisz.

– Muszę odetchnąć. Wezmę psa na spacer. Mam wrażenie, że żyję w swojej powieści. Kto wie, może tak jest.

– Weź to i noś, jeśli chcesz. – Marg podniosła się i podała Breen wisior z czerwonym kamieniem. – Po porwaniu dałam ci go dla ochrony. Dopiero po waszym wyjeździe odkryłam, że twoja matka go zostawiła.

– Piękny. Co to za kamień?

– Nazywamy ten kryształ Smoczym Sercem.

Breen przełożyła delikatny łańcuszek przez głowę.

– Nie jestem już taka wkurzona na matkę. Co więcej, skończyły się napady paniki. Może dlatego, że to wszystko

wydaje się nierzeczywiste. – Podeszła do drzwi i otworzyła je psu, a on zerwał się z podłogi i wybiegł w podskokach na dwór. – A jednak to się dzieje naprawdę i muszę wszystko przemyśleć, poukładać sobie w głowie.

– Mogę poczytać twoje opowiadanie, kiedy będziesz na spacerze? Jeżeli pozwolisz, ściągnę je tutaj.

– Jasne. – Pewnie czeka ją bolesna krytyka i usłyszy, że jest kiepską pisarką, ale to w tej chwili najmniejsze ze zmartwień. Zawahała się w drzwiach. – Wiem, że ta rozmowa dużo cię kosztowała. Czuję, że mnie kochasz.

Twarz Marg pojaśniała.

– Bardziej niż cokolwiek na wszystkich ze światów.

Breen pokiwała głową, nie miała powodu wątpić w szczerść babki.

– Wrócę. Chcę się przejść, dam Fąflowi popływać w zatoce. Jeżeli przychodzi ci na myśl coś prostego, czego mogłabyś mnie nauczyć, będę z powrotem za jakąś godzinę. Tylko niech to naprawdę będzie proste, na więcej nie czuję się na siłach.

– Poczekam na ciebie – obiecała Marg

Czekałam ponad dwadzieścia lat – dodała w myślach.

Rozdział 17

Wiatr od morza pędził chmury o szarych brzegach nad rozległe pola i skaliste wzniesienia na wschodzie.

Zakładała, że tam właśnie był wschód. O ile zauważyła, tutaj słońce wschodziło na północy. Na polach rośło jakieś zboże. Żółte kłosa kotęsały się na tle zieleni. Dostrzegła cienie sylwetek wspinających się po skalnej ścianie. Wzięła je za kozy, dopiero po chwili zobaczyła, że to jakieś dwunogie stworzenia w czapkach i długich kamizelach.

Kiedy przyglądała się im zaaferowana, zza zakrętu drogi wyłoniła się grupka dzieciaków, mniej więcej w wieku jej dawnych uczniów. Popychali się i poszturchiwali dla żartu.

Naliczyła ich pięcioro – dwie dziewczynki i trzech chłopców. Jedna z dziewczynek – o śniadej skórze, z mnóstwem czarnych warkoczyków z niebieskimi końcami – podniosła rękę i gwałtownie ją opuściła.

Na ten znak dwóch chłopców rzuciło się z nią do ucieczki, pędząc z niewiarygodną wręcz szybkością. W tym czasie druga dziewczynka rozpostarła tęczowe skrzydła i wzbiła się pod niebo, a trzeci chłopiec opadł na czworaki, na oczach Breen zmienił się w żrebaka i pogalopował za towarzyszami.

– Takich rzeczy nie widuje się co dzień. To jedyne takie miejsce – mruknęła i obejrzała się na Fąfla, żeby sprawdzić,

czy na nim ten widok też zrobił wrażenie, ale on już taplał się w wodzie.

Poszła za nim na brzeg, usiadła na skale i przymknęła powieki, walcząc z bólem głowy.

Rześki wiatr, plusk fal i radosne poszczekiwanie chlapiącego się Fąfla kołty nerwy.

Przyjęła niewiarygodne za prawdę i teraz musiała zdecydować, co z tym zrobi – pomyślała.

Usłyszała łopot skrzydeł. Zadarła głowę i zobaczyła kołującego jastrzębia.

Obok niej usiadła Morena.

– Popisuje się przed tobą.

– Jego prawo. Jest piękny.

– Widzieliśmy cię na drodze, szłaś taka zatopiona w myślach.

– Rzeczywiście, chyba się zamyśliłam. Spotkałam piątkę dzieciaków. Wydaje mi się, że jedna dziewczynka była wróżką, a chłopiec koniołakiem. Pozostała trójka poruszała się wręcz niewiarygodnie szybko.

– Elfy. Też je widziałam. Są bardzo zwinne. Zazwyczaj trzyma się z nimi jeszcze jedna dziewczynka, ale dzisiaj ma karę za wykorzystanie czarów do prac domowych.

– Czyli jest z Widzących?

– Okazała się mało widząca, skoro myślała, że czarami wymiga się od obowiązków.

Zasady – pomyślała Breen – zasady i utrzymywanie dyscypliny wśród dzieci.

– A więc nie wolno używać magii do mycia naczyń?

– Uważamy, że wszystko zależy od sytuacji. Szczególnie młodzież zniechęcamy do robienia rzeczy na skróty. Musisz nauczyć się doić kozy, siać marchew, robić pranie, radzić sobie z podstawowymi rzeczami. Inaczej się rozleniwisz i roztyjesz. Sama powiedz, czy nie mam racji. Magia to poważna sprawa. Jeżeli będziesz nią się bawić albo używać dla wygody, przestaniesz cenić ten dar.

Proste – pomyślała Breen – i na swój sposób logiczne.

– Nie wiem, co mam zrobić z tym, co jest we mnie – wyznała. – Dzisiaj zapaliłam świecę. Nauka zajęła babci godzinę, ale w końcu ją zapaliłam na wciągniętym oddechu.

– Dobrze, niedługo przyjdzie kolej na nowe umiejętności.

– Nie wiem, co myśleć. Widziałam ludzi wspinających się jak kozy na tamte klify.

– Trolle – podsumowała Morena. – Prawdopodobnie wyszły z jaskini, gdzie fedrują, żeby zjeść posiłek na słońcu.

– Trolle, no jasne. Że też na to nie wpadłam. Dzieci ze skrzydłami, z kopytami i te szybsze od wiatru.

– A u ciebie, na zewnątrz, dzieciarnia nie biega na dworze w ładny, letni dzień? W lecie nie ma nauki, przynajmniej w instytucjonalnym sensie, dlaczego więc dzieciarnia nie miałyby hasać na powietrzu?

– Macie szkoły?

– Jasne, że mamy szkoły! Myślisz, że chcemy być nieukami?

– Nie. Szkoły, bawiące się dzieci, ludzie spędzający przerwę na lunch na słońcu. To normalne. Czy tutaj słońce wstaje na wschodzie?

– A niby gdzie miałyby wschodzić?

– No, ale wy macie dwa księżyce.

– Niektóre światy mają jeden, a inne dwa lub siedem. Astronomowie ciągle odkrywają coś nowego w kosmosie, nieprawdaż?

– Macie astronomów. Nie patrz tak na mnie. Usiłuję pogodzić to, co zwykłe z fantastycznym. Babcia powiedziała mi, kim jestem i dlaczego Odran chce mnie porwać.

Morena przyjaznym gestem pogładziła ją dłonią po udzie.

– To był jej obowiązek i spełniła go. Ona uważa, że powinnaś wiedzieć i masz siłę tę wiedzę unieść. Ale rozumiem, że dużo na ciebie spadło.

– Pamiętam tamto porwanie i razem z babcią zobaczyłam je jeszcze raz w ogniu. A także to, czego ona była świadkiem.

– Tak bardzo się wtedy bałam. – Morena podciągnęła kolana pod brodę i zapatrzyła się na zatokę. – W nocy wył alarm. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie słyszałam, ale czułam, że trzeba się bać. Zabrali mnie i braci razem z innymi dziećmi w bezpieczne miejsce i słyszałam, jak nasi opiekunowie mówili, że zostałam porwana. To zdawało się trwać całe wieki, ale moja matka cię sprowadziła już po paru godzinach.

– Śpiewała mi. Przeniosła mnie przez portal w wodospadzie, nie przestając śpiewać.

– Byłaś zakrwawiona. To była krew z twoich pokaleczonych rąk. Aisling je opatrzyła. Nie wiem, czy to ci sprawi kłopot, czy pomoże, ale pamiętam tamtą siłę, gniew i żar w twoich oczach i wyrazie twarzy. Później to wszystko zniknęło, bo kobiety zaczęły się nad tobą rozczulać i napoiły cię uspokajającym eliksirem. I na powrót stałaś się moją przyjaciółką, siostrą od serca, którą bezpiecznie sprowadzono do domu.

– To musiał być efekt działania jakichś magicznych mikstur, bo przez większość życia starałam się siedzieć cicho

– A teraz?

– Nie wiem. – Breen leniwie schyliła się po kamień i rzuciła go do wody. – Wiem, natomiast, co czułam, kiedy zapaliłam świecę. Podobało mi się tamto poczucie mocy, miałam wrażenie, że wreszcie jestem sobą. Potrzebuję czasu, żeby to wszystko przemyśleć i muszę jeszcze wiele się nauczyć.

– Nie ma lepszej nauczycielki pośród Widzących niż Marg.

– To samo powiedział Keegan.

– A więc z nim rozmawiałaś?

– Przelotnie. Wczoraj wieczorem, kiedy wyszłam na spacer, natknęłam się na niego przed farmą.

– Och, szkoda, że nie zajrzałaś do środka. – Morena lekko pacnęła ją w ramię. – Świetnie się bawiliśmy. Tyle osób chciało cię poznać albo zobaczyć po latach. Jesteśmy bardzo towarzyscy.

– On nie zrobił na mnie szczególnie przyjaznego wrażenia.

– Och, to cały Keegan. Chodzi chmurny, ale nie ma co się dziwić, skoro cały świat spoczywa na jego barkach. Bywa towarzyski, kiedy się rozluźni. Jest równie wielkim *taoise-achem* jak jego poprzednicy.

Breen odwróciła się do niej i zawisła spojrzeniem na jej twarzy.

– Czy wy dwoje...

– Co?

– Jesteście blisko?

– Jasne, wszyscy tutaj jesteśmy sobie bliscy... Och! – Wyprostowała się rozbawiona. – Chodzi ci o to, czy jesteśmy parą? Boże, nie. Traktuję go jak brata. Owszem, to atrakcyjny mężczyzna i z tego, co słyszałam, podobno świetny w łóżku, ale ja od czasu do czasu sypiam z Harkenem i chociaż to niezabronione, pewnie czułabym się niezręcznie, gdybym romansowała z obydwoma braćmi.

Kiedy Breen zastanawiała się nad odpowiedzią, Fąfel przybiegł z wyłowionym patykiem w pysku, wachlując ogonem z nadzieją.

Morena od razu wstała i rzuciła mu patyk do wody. Uszczęśliwiony pies wskoczył za nim do zatoki.

– Powiem ci tyle – kontynuowała Morena. – Poproś Keegana, żeby uczył cię walki wręcz i fechtunku. Nie znam lepszego od niego. Nic w tym dziwnego, bo po śmierci ojca Keegana, Harkena i Aisling jego szkoleniem zajął się twój ojciec.

Fąfel wrócił z patykiem; Morena znowu go rzuciła.

– Sama mogłabym pokazać ci kilka podstawowych zasad, ale jestem kiepską nauczycielką. Myślę, że brakuje mi cierpliwości.

– Umiesz posługiwać się mieczem?

– Jasne. Jesteśmy nastawieni pokojowo, ale wcale to nie oznacza, że pozostajemy bezbronni.

Trzy smoki pojawiły się na niebie. Stado? Sfora?

– Latasz na czymś takim? – zaciekawiała się Breen.

– Naturalnie. Wspaniałe uczucie. Nie jestem z żadnym związana, ale Harken daje mi latać na swoim.

– Harken ma smoka?

– Mają siebie nawzajem. Są ze sobą związani. Przewiezie cię, jeśli chcesz.

– Chyba wolę czuć ziemię pod stopami. Powinnam wracać. Babcia... Zobacz, ktoś jest w wodzie.

Zerwała się, żeby ruszyć na pomoc, ale Morena ją przytrzymała.

– To Ala. Jest nieśmiała, wystraszysz ją. – Pomachała i po chwili odmachnęła jej ramię wysunięte z wody. Głowa z mokrymi blond włosami na moment wynurzyła się na powierzchnię, połyskliwy zielono-złoty ogon z czerwonymi smugami plasnął o wodę i znikł.

– Syrena – wydusiła Breen. – Nieśmiała syrena.

– Ma dopiero dziesięć lat. Jest ciekawska, ale trochę bojaźliwa. Zapewne wróci, kiedy znowu przyjdiesz tu z Fąflem.

Podniosła rękę. Jastrzęb sfrunął prosto na przedramię.

- Nie masz rękawiczki – zauważyła Breen.
- Miałam, kiedy się ponownie spotkałyśmy, bo tego się spodziewałaś. Amisz nigdy mnie nie poranił. Odprowadzimy cię kawałek i pójdę do domu. Obowiązki czekają.
- Jutro wracam do mojej chaty – poinformowała ją Breen.
- Chyba potrzebuję kilku dni na przemyślenie tego wszystkiego. Ale wrócę.
- Wiem, że tak. Pozdrów ode mnie Marg i Sedrica.
- Jasne. A ty przekazaj moje pozdrowienia twoim dziadkom.
- Na pewno przekażę. Wznieć płomień, Breen – dodała i już jej nie było.

*

Reszta dnia upłynęła Breen na poznawaniu właściwości herbat, roślin, korzeni i ziół. Dowiedziała się, jak je znajdować, zbierać, suszyć, przygotowywać i robić najróżniejsze mieszanki.

Fascynująca, a zarazem praktyczna wiedza.

- Szybko się uczysz.
- Owszem. Wyćwiczyłam pamięć na studiach, które mnie w ogóle nie interesowały. A to jest ciekawe, zabawne i przydatne. No i wydaje się takie... naturalne.

W ten deszczowy wieczór dała jeść psu, pomogła nakarmić konia i przygotowała kolację, pilnując, aby nie popełniać podstawowych błędów.

- Gubi cię brak pewności siebie, bo umiejętności ci nie brakuje – orzekła Marg.
- Pewnie przydałoby się mi więcej i jednego, i drugiego.

W kuchni unosił się apetyczny zapach piekących się ziemniaków, które pomogła pokroić na ćwiartki, a potem skropiła oliwą i posypała ziołami. Chyba tym razem nieźle sobie poradziła.

Ziemniaki pysznie smakowały, podobnie jak ryba złowiona po południu przez Sedrica i groszek, który pomogła łuskać.

Dopiero po kolacji poruszyła ten niezwykle trudny w jej mniemaniu temat.

– Jutro muszę wrócić – zaczęła. – Potrzebuję czasu i przestrzeni. Niełatwo mi to przechodzi przez usta. Ale dopiero w tej chacie pierwszy raz w życiu mieszkam sama i bardzo mi to odpowiada.

– Niezależność jest cenna.

– Nie podejrzewałam, jaka jest dla mnie ważna – wyznała babce – dopóki jej nie poznałam. Naprawdę nie wiedziałam, że lubię samotność. Wiem, muszę uważać, bo łatwo się w niej zasklepić. Hmm, Marco nigdy by mi na to nie pozwolił, ale go tutaj nie ma. Wymyśliłam więc, że za kilka dni ja... my... mogłybyśmy ułożyć... Może nie grafik, bo to tak sztywno brzmi. A ja wolę pozostawić sobie trochę swobody.

Speszona, podniosła kieliszek, popatrzyła na wino i odsta-
wiła go z powrotem.

– Breen, powiedz nam, czego chcesz.

– Powiedziałabym, gdybym wiedziała. Chyba, przynajmniej na razie, wołałabym oczywiście mieszkać w chacie i przychodzić tutaj. Rano miałabym czas na pisanie, a potem przychodziłabym do ciebie, żebyś mnie mogła uczyć. Wieczorem wracałabym do chaty. Może zostawała-

bym tutaj przez weekend. Nie wiem, czy w ogóle macie weekendy.

– Chyba rozumiem, co starasz się mi powiedzieć.

– Wiem, że przez to nauka, praktyka czy szkolenie zajmą więcej czasu, ale...

– Szukasz równowagi. To mądry wybór.

– Nie wiem, czy jestem taka, jak myślisz, i czy potrafię ci dać to, czego się po mnie spodziewasz, ale jeżeli będę miała czas na oswojenie się z tym wszystkim przed powrotem do Filadelfii, myślę, że podejmę bardziej, hmm... świadomą decyzję.

Marg kiwnęła głową, wstała od stołu i poklepała wnuczkę po ramieniu.

– Zaczekaj...

– Zdenerwowałam ją – wymamrotała Breen. – Wiedziałam, że tak będzie. Nie jestem...

– Mylisz się. – Sedric wyszczył łyk wina. – Ona nie chce na tobie niczego wymuszać, ani ci narzucać, bo w takich wypadkach wola słabnie wraz z upływem czasu. Sam nie byłbym zachwycony, gdybyś łatwo dawała się podporządkować.

Marg wróciła i położyła na stole dużą księgę ze smokiem wytłoczonym na okładce z ciemnobrązowej skóry.

– Zawsze podobały ci się smoki. A ten strzeże magii zawartej na stronicach. Zaczęłam prowadzić tę księgę w dniu twoich narodzin.

– Piękna. – Breen uniosła okładkę i zobaczyła swoje imię i datę urodzin wypisaną eleganckim pismem na cienkim per-

gaminie.

Przewróciła kartkę.

– W pierwszej części znajdziesz coś, co można nazwać przepisami. Takie rzeczy, jakie ćwoczyliśmy dzisiaj.

– Wspaniałe ilustracje. To twoje dzieło?

– Niektóre ja rysowałam, a niektóre Sedric, bo ma dobrą rękę.

Breen podniosła na niego wzrok.

– Po części artysta?

Odpowiedział jej nieznacznym uśmiechem.

– Można tak powiedzieć.

– Rysunki pomogą ci rozpoznawać składniki – kontynuowała Marg – rośliny, korzenie i tak dalej. Co i jak mieszać w herbatach, miksturach, eliksirach i balsamach. W części poświęconej kamieniom oraz kryształom znajdziesz opis ich właściwości i zastosowań. Dalej są zaklęcia, zaczynając od tworzenia kręgu po bardziej skomplikowane magiczne rytuały.

Weź książkę i zatrzymaj. Liczę, że będziesz ją pilnie studiować, tak czy inaczej, jest twoja. Prosiłabym tylko, abyś nie próbowała żadnych zaklęć czy obrzędów beze mnie.

– O to możesz być spokojna. Dziękuję. Z przyjemnością zabiorę się do nauki. I... – Rozmyślnie przeniosła wzrok na świecę stojącą na blacie. Wciągnęła oddech, zapaliła knot.
– Będę się uczyć.

Rano wyszła na drogę z książką w plecaku i psem przy nodze. Odgłos końskich kopyt kazał jej na wszelki wypadek usunąć się na przydroże. I słusznie – pomyślała – bo koń pędził jak burza.

Kiedy Keegan się z nią zrównał, z góry wiedziała, że zobaczy go na potężnym wierzchowcu o lśniącej czarnej maści, prawdopodobnie ogierze.

Już wcześniej widziała tego konia i jeźdźca.

W snach.

Popatrzył na nią z góry.

– Odchodzisz, tak? – Uniósł brew.

– Wracam za kilka dni.

– A jednak się zbierasz.

– Powiedziałam, że wrócę. Słuchaj, wiem, że jesteś tutaj królem, ale mną nie będziesz rządził.

– Nie jestem królem. Nie mamy króla.

Wiedziała, że jej słowa go zirytowały.

– Nazywaj to, jak chcesz. – Wzruszyła ramionami. – Przez dwadzieścia sześć lat zawsze ktoś rządził moim życiem. Teraz moja kolej.

– A kto im na to pozwolił? – zapytał zaczepnie, przekrzywając głowę.

– Ludzie tacy jak ty nie rozumieją takich jak ja.

Zeskoczył z konia i przyglądał się jej z uwagą.

– Czyli jacy?

Jak on siebie widzi? – zastanawiała się. Wiedziała natomiast, jak ona go postrzega. Był wysoki, silny, obłudnie przystojny i niesamowicie wyniosły.

– Ludzie tacy jak ty już rodzą się pewni siebie. Rządzą, rozkazują, budzą szacunek i może słuszny lęk. Od osób takich jak ja wymaga się posłuszeństwa i przestrzegania zasad. Nie ma wobec nas wygórowanych oczekiwań, nie powinniśmy tylko robić wokół siebie szumu, nie kołysać łodzią.

– No cóż, w cywilizowanym świecie zasady mają znaczenie. Małe oczekiwania nie prowadzą ani do sukcesu, ani do klęski, więc gdzie ich sens? Jeżeli nie zakołysz łodzią, nie wpadniesz do wody i nie sprawdzisz, dokąd mogą ponieść cię fale.

– To wszystko brzmi bardzo dosłownie, a jednocześnie prawdziwie.

Koń odwrócił łeb i szturchnął ją w ramię. Odruchowo pogładziła go po chrapach.

– Musisz jechać. Jest spragniony i chce dostać swoją marchewkę.

Ledwo to powiedziała, zaskoczona cofnęła się o krok.

Keegan, nie odrywając od niej oczu, nieznacznie kiwnął głową.

– Rzeczywiście, muszę go напоić, mamy za sobą długą, szybką jazdę.

Nachylił się, pogłaskał Fąfla i wskoczył na konia.

– Bezpiecznej drogi, Breen Siobhan.

Kiedy odjechał, odetchnęła z ulgą.

– Ten koń wabi się Merlin, nazwano go na cześć wielkiego czarodzieja króla Artura. Znam jego imię tak samo dobrze jak własne. Fąfel, idziemy. Czekam mnóstwo nauki.

*

Cisza w domu działała na nią kojąco niczym ciepła kąpiel. Pławiła się w niej dwa dni. Pisała, czytała, pracowała w ogrodzie, mając psa za całe towarzystwo.

Zapalała świece w nowy sposób, a przy odpowiednim wysiłku nawet udało jej się rozjarzyć podpałkę w kominku.

– Jestem wiedźmą – oznajmiła Fąflowi, kiedy usiadła przed płonącym kominkiem, nadal czując wibrującą w niej moc. – I przestało mnie to dziwić.

Pogładziła psa po łbie opartym na jej kolanach, delikatnie pociągnęła go za brodę.

– Tak samo jak mnie już nie dziwi, że mam psa, chociaż nie wiem, jak sobie z tobą poradzę, jeżeli wrócę do Filadelfii.

Zorientowała się, że powiedziała „jeżeli”, nie „kiedy”, i to ją zaskoczyło.

– Oczywiście, że wrócę – muszę wrócić. Tam jest Marco, Sally i Derrick, moja matka i wszystko, co znam. A to teraz jest tylko...

Mostem? – dokończyła w myślach.

Tak jak ona.

– Nie ma sensu teraz się nad tym zastanawiać. Po pracowitym dniu należy nam się nagroda. Fąfel, idziemy na spacer, zanim się ściemni.

Jeden księżyc, spojrzała na niebo, kiedy pies pobiegł do zatoki. Prawie w pełni i zasnuły chmurami.

Jutro po porannej porcji pisania zamieni samotność na rzecz świata z dwoma księżycami.

I nawet ta myśl przestała ją już szokować.

*

Wyruszyła w południe. Pies cały czas trzymał się kilka kroków przed nią. Zawiesiła na szyi czerwony kamień i pierścień ojca, który wcześniej nawlekła na łańcuszek. Na drogę wybrała T-shirt, dżinsy i lekką bluzę z kapturem w kolorze leśnej zieleni.

Gdy dotarli do drzewa, Fqfel bez wahania z radosnym szczeknięciem zniknął po drugiej stronie. Breen podążyła za nim i już po chwili wyszła na ciepłą mżawkę, zapatrzona na podwójną tęczę.

Migotliwy, barwny łuk wisiał rozpięty nad farmą. Gdy schodziła po schodkach, przeleciał pod nim smok, rubinowy jak kamień na jej szyi.

Samotność – pomyślała – tak ceniła ją. Ale to? Dostała bezcenny skarb.

Fqfel jednym susem pokonał murek, przebiegł przez drogę, przeskoczył kamienne ogrodzenie farmy i biegł dokoła irlandzkiego wilczarza.

Na padoku Harken i Mahon stali na wysokości kłębu kasztanowej klaczy. Keegan trzymał za uzdę pokrywającego ją czarnego ogiera.

Sierść koni i skóra trzech mężczyzn lśniły od potu.

Breen zatrzymała się na trawiastym przydrożu. Pierwszy raz w życiu patrzyła na coś takiego. Było w tym widoku coś mocarnego, zmysłowego i jednocześnie budzącego lęk.

Szczekanie pasa przyciągnęło uwagę Harkena.

– Dzień dobry, Breen! – zawołał, oglądając się na nią. – Pomagamy dać początek nowemu życiu! Zapraszamy do udziału w tym wydarzeniu.

Nie ma mowy – odpowiedziała mu w myślach, ale przełożyła nogi przez murek i podeszła bliżej. Wyczuwała jurność, pierwotność i dzikość bijącą od kopulujących koni. Ten widok przyciągnął ją do płotu padoku jak magnes, budząc niepokojące napięcie w trzewiach i rozgrzewając krew.

– Nasza śliczna Eryn ma ruję – tłumaczył jej Mahon. Dziś związał warkocze z tyłu głowy, tak jak często robił to Marco. – A Merlin jest przeszcześnieśliwy, że trafiła mu się taka okazja.

– Widzę. Musicie im, hmm, pomagać? Myślałam, że to coś, z czym same sobie radzą.

– Ano radzą. – Harken oderwał jedną rękę od uzdy i gładził Eryn po szyi. – Zależy nam na żrebacku z tej pary i kontrolujemy, żeby wszystko odbyło się gładko.

Ta kontrola musi ich kosztować sporo wysiłku – pomyślała, widząc napięte mięśnie Keegana i koszulę wilgotną od potu.

I nagle poczuła, naprawdę poczuła zbliżającą się kulminację. Zszokowana, zacisnęła dłonie na płocie i w tej samej chwili oba konie głośno zarżały.

– Spokojnie, poczekaj – Keegan wymruczał do ogiera. – Daj trochę czasu damie. W przyszłym roku przed letnim przesileniem urodzi ci ślicznego żrebaka.

– Skąd... – Musiała odchrząknąć, żeby jej głos nie zabrzmiał ochryple. – Skąd wiesz, że coś z tego będzie?

Dopiero teraz obejrzał się na nią.

– Znaki mówiły, że to ten dzień i ta godzina, w dodatku przed kryciem oboje dostali po połowie jabłka z zaklęciem na płodność. Ostrożnie, Merlin. – Z powrotem skupił uwagę na koniach, kiedy ogier oderwał się od klaczy i postawił przednie kopyta na ziemi. Gdy Keegan zdjął mu ogłowie, koń zarzucił łbem, stanął dęba i puścił się galopem wzdłuż płotu padoku.

– Jest z siebie dumny – zauważyła Breen, widząc w tym zachowaniu coś na kształt honorowej rundy zwycięzcy.

Keegan wytarł dłonie o spodnie, plamiąc nogawki krwią.

– Twoje dłonie.

Wzruszył ramionami.

– Merlin bywa przesadnie temperamentny w tych sytuacjach. Jeżeli przyszłaś potrenować, daj mi godzinę, muszę się ogarnąć.

– Nie. Wykluczone. Szłam do babci.

– Jeżeli znajdziesz czas, zajrzyj do Aisling. Ucieszy się. – Mahon cały czas uciszał rozdrażnioną klacz.

– Zайдę do niej po drodze. – Cofnęła się od płotu. – To było... interesujące.

Harken z szerokim uśmiechem na twarzy odprowadził ją wzrokiem.

– Założę się, że takiego przedstawienia w życiu nie widziała.

- Musi zacząć trenować – burknął Keegan.
 - Oj, daj jej czas. – Harken pacnął go w ramię. – Wróciła, tak? Nie każdego byłoby na to stać.
 - Samo przejście nie wystarcza, a ta odrobina kuchennej magii nie pomoże raz na zawsze pokonać Odrana.
 - Cierpliwości, *mo dhearthair*.
 - Chrzanić cierpliwość – mruknął nieco udobruchany. – Za każdym razem, gdy siedzę w Stolicy, czuję, jak życie przecieka mi przez palce. Ale na razie zostawię dziewczynę w rękach Marg.
- Drzwi chaty były otwarte i Fąfel, traktując to jako zaproszenie, wparował do środka.
- Breen usłyszała głos witającej go babci.
- Ona, nie tak pewna siebie, przed wejściem zapukała we framugę.
- Chodź pieseczku! Mam dla ciebie herbatniczki.
- Breen zobaczyła, jak Marg sięga herbatnik ze stoja. Na płycie stał parujący czajnik.
- Tak się cieszę, że cię widzę. – Marg uniosła palec, nakazując psu, żeby usiadł. – Właśnie przygotowałam herbatę, miło, że wypiję ją w towarzystwie.
 - Mam nadzieję, że przychodząc dzisiaj, nie pokrzyżowałam ci żadnych planów.
 - Jesteś mile widziana każdego dnia. Siadaj. Dla nas też znajdują się ciasteczka.
 - Czytałam tę książkę od ciebie. Pomyślałam, że jeśli znajdziesz czas, mogłabyś mi coś z niej pokazać. Coś prostego –

zastrzegła. – Ćwiczyłam z ogniem. Wczoraj wieczorem rozjarzyłam podpałkę w kominku.

– Świetnie.

– Trochę mi to zajęło – wyznała. – Ale w końcu wyszło całkiem naturalnie. Czy to dobrze?

– Jak najbardziej. – Marg w serdecznym odruchu uściśnęła Breen i postawiła na stole talerz z ciastkami.

– Muszę cię o coś zapytać. Tamtego dnia, kiedy od ciebie wyszłam, natknęłam się na Keegana. Powiedział, że muszę ćwiczyć. Wprawiać się w walce wręcz i na miecze.

Marg westchnęła.

– Ten chłopak ma teraz więcej cierpliwości niż dawniej, ale nadal nie napełniłby nią nawet naparstka.

– A więc jednak nie zaprzeczasz. Nie widzę siebie z mieczem, bo wiesz, nawet gdybym nauczyła się go używać, co w sumie jest mało prawdopodobne, nie potrafiłabym nim nikogo zaszlachtować.

– Na razie nie będziemy zastanawiać nad takimi sprawami, ale pomyśl, co byś zrobiła, gdyby ktoś wszedł przez te drzwi z zamiarem zabicia ciebie lub mnie.

– Ja... uciekłabym.

– Słuszna myśl. – Marg z uśmiechem postawiła kubki na stole. – A gdybyś nie mogła uciec, stałabyś i patrzyła?

Breen westchnęła.

– W szkole musiałam przeprowadzać ćwiczenia z moimi uczniami. Jak się mają zachować, kiedy ktoś będzie próbował ich skrzywdzić. Przede wszystkim powinni się ukryć.

Zamknąć drzwi na klucz i się schować. Albo uciekać, jeżeli to nie pomoże. Natomiast ja, jako osoba za nich odpowiedzialna, powinnam stawić czoło napastnikowi, o ile nie będzie innego wyjścia. Nigdy nie sprawdziłam tego w praktyce. Ale wiem, że zrobiłabym wszystko, co możliwe, żeby te dzieci obronić.

– Uczono cię tego?

– Tak. Jak wszystkich nauczycieli.

– To, o czym mówimy, wcale tak bardzo się nie różni. Miecz nie byłby twoją jedyną bronią. Masz potężny oręż – świadomość, że narzędzi walki używa się wyłącznie do obrony.

– Chcę więcej się o tym dowiedzieć.

– W swoim czasie. A teraz powiem ci, że trochę sobie poczytałam. Twoją książkę.

– Och.

– Pozwoliłaś, więc przeczytałam. – Spojrzała na psa, uśmiechnęła się. – Oj, twoja pańcia przejrzała cię na wylot. Masz talent, *mo stor*, i nie brakuje w tej historii magii. Przeczytałam to opowiadanie dwa razy, śmiałam się i z ciekawością śledziłam przygody naszego psiaka. Ten z opowiadania jest tak samo odważny i słodki, a czasem głupiutki. Wypisz, wymaluj nasz Fqfel.

Marg wychyliła się i poklepała Breen po dłoni.

– Obiecałam prawdę, a nie pochwały sentymentalnej babki. Wysłałaś to do takich ludzi, którzy wydają książki?

– Nie, ja.... – Kiedy Marg uniosła brwi, Breen skwapliwie pokiwała głową. – Masz rację, dopiero kiedy przeczytają,

dowiem się, czy to jest coś warte. Sprawdziłam, gdzie wystać opowiadanie, i jeszcze dziś wieczorem to uczynię. Naprawdę.

– No, kolejny krok zrobiony. A teraz zajmijmy się naszymi sprawami. Weź swój kubek.

– Dokąd idziemy?

– Tam, gdzie mogę zrobić coś więcej niż herbatę i kuchenną magię. – Podniosła się. – Powiedzmy, że przenosimy się do szkoły.

– Jakby do Hogwartu?

– Rzeczywiście, jest w tej powieści kilka ciekawych epizodów. Jednak nie. W tym wypadku będziemy tylko we dwie.

Rozdział 18

Wyszły na zewnątrz, za wiatą, w której drzemał koń, skręciły na ścieżkę do lasu i dotarły do kamiennego mostka nad wijącym się strumieniem.

Na drugim brzegu wznosił się budynek z kamiennych ciosów wielkości połowy chaty. Solidne, pokryte rzeźbami drzwi były zamknięte i tak samo jak w chacie po obu stronach wejścia na parapetach stały skrzynki z kwiatami.

Przeszły przez mostek, a zachwycony Fąfel natychmiast wskoczył do wody.

– Lepiej mu będzie na dworze – orzekła Marg, obrzucając psa pobłażliwym spojrzeniem.

– To coś w rodzaju pracowni?

– Jak najbardziej, skoro tam wykonuje się pracę. Daj mi rękę, skarbie. – Przycisnęła otwartą dłoń Breen do drzwi pod odciskiem swojej dłoni. – Teraz ty też będziesz mogła je otwierać.

I rzeczywiście, otwały się przed nią bezszelestnie.

W świetle wpadającym przez okna zobaczyła stoły robocze, kilka drewnianych krzeseł i stołków, półki zastawione słojami oraz pęki suszonych ziół i roślin porozwieszane na sznurach.

– Rozpal ogień – poleciła Marg. – Stąd. – Dotknęła palcem jej piersi.

To wygląda na sprawdzian – pomyślała Breen i walcząc ze zdenerwowaniem, podeszła do kominka. Przećwoczyłam to – upomniała siebie. – Wczoraj wieczorem i jeszcze raz, dziś rano.

Zamknęła oczy, przywołała obraz ognia i wyciszyła się. Czekala, aż poczuje ciepło. Podciągnęła to ciepło z brzucha do serca i z serca do umysłu.

Pojawił się języczek ognia, z początku słaby, ale gdy bardziej się skupiła i otworzyła oczy, torf rozjarzył się, zaskwierczał i rozpalił płomieniem.

– Bardzo dobrze – pochwaliła ją Marg. – A teraz świece, tam, nad tobą.

Breen spojrzała w górę i zobaczyła pod sufitem więcej niż dziesięć świec umocowanych na metalowej obręczy.

– Są dalej niż tamte, które dotąd zapalałam.

– Odległość nie ma znaczenia. Zapal je.

Wciągnęła powietrze, ogrzała oddech i knoty zaświeciły.

– Widzisz, poprzez praktykę doszłaś do wprawy w tym, co już znasz.

– To bardzo kuszące.

– Owszem i nieszkodliwe, pod warunkiem, że pamiętasz o obietnicy, że ma służyć w dobrym celu.

Teraz, gdy ogień w kominku i blask świec dołączyły do słonecznego światła, zobaczyła, że ta izba z belkowanym sufitem i podłogą z surowych desek była podzielona na kilka części. W jednym miejscu wisały pęki suszonych ziół i kwiatów, stały miski pełne korzeni i proszków oraz stoje z przezroczystymi lub intensywnie zabarwionymi płynami. Drugą

część zajmowały miseczki i stoje z kryształami i kamieniami. Leżały tam luzem jakieś bryły i odłamki skalne. Na półkach stały pogrupowane kolorami dziesiątki świec. W trzeciej części znajdowały się najróżniejsze przybory: dzbanki, puste miski i stoje, mieszadła i nabieraki, różdżki oraz noże z prostymi i zakrzywionymi ostrzami. W otwartej szafce leżały różne materiały, przędze i wstążki. Na szafce stała księga podobna do tej podarowanej przez Marg.

W powietrzu unosiła się narkotyczna woń ziół rosnących w doniczkach i w skrzynce na szerokim parapecie okna z widokiem na wijący się strumień.

– Czy to są kociołki?

– Tak. Obejrzałaś listę narzędzi i przyborów w swojej księdze?

– Owszem. Tygle, miski, dzwonki, świece, różdżki, noże rytualne athames, miotły, kielichy, miecze.

– Czas, żebyś nauczyła się ich używać. Dzisiaj stworzymy zaklęcia na wyciszenie umysłu, spokój serca, płodność, bezpieczną podróż, pomyślność i ochronę.

Zioła i kryształy, wstążki i skrawki materiału, jednak przede wszystkim, jak Breen szybko odkryła, najważniejsza była intencja. To wszystko wydawało się niby proste, ale wystarczyło dodać niewłaściwy kryształ czy pomylić zioła i zaklęcie mogło przyciągać zło zamiast przed nim chronić, wywoływać bezsenność zamiast głębokiego snu.

– Noś go, sama sporządziłaś zawartość.

Breen odebrała z rąk Marg mały, purpurowy, własnoręcznie uszyty mieszek.

– Dla ochrony – upewniła się. – Mam już to. – Dotknęła kamienia na szyi.

– A teraz dołożysz woreczek zaklęć. Pamiętasz, czym go napełniłaś?

– Tak, chyba tak. Petunia i szatwia, bursztyn, malachit i turmalin, czarny turmalin – poprawiła się. – Trochę pokruszonej muszli i kawałek słomy z miotły. I nuciłam przy tym: *Chroń mnie przed wszelkim złem siłą mej woli. Niech to zaklęcie żadnym krzywdom zbliżyć się nie pozwoli.*

Marg kiwnęła głową.

– Dobrze. Bardzo dobrze.

– A co zrobisz z pozostałymi zaklęciami?

– Rozdam je lub wymienię, tak jak należy. Znam jedną młodą, która marzy o dziecku. Dam jej zaklęcie płodności. Ale teraz musimy oczyścić narzędzia i odstawić je na miejsce.

– Pewnie nie nauczysz mnie rzucania uroków?

Marg się roześmiała.

– *Mo stor*, już cię nauczyłam. Urok jest niczym innym jak zaklęciem w mieszk.

– Zaklęciem w mieszk – powtórzyła zachwycona Breen i wsunęła woreczek do kieszeni. – Nie sporządziliśmy żadnych miłosnych zaklęć. Myślę, że byłyby rozchwytywane.

– Uroki czy zaklęcia, które służą do przyciągania uwagi, wabienia drugiej strony są powszechnie znane. Ale zaklęcia budzące prawdziwą miłość? Te są zakazane, bo wiązanie serc za pomocą magii odbiera wybór.

– Rozumiem, co masz na myśli. Czy one rzeczywiście działają?

– Czasami aż za dobrze i zawsze płaci się za nie wysoką cenę. Kobieta może porzucić rodzinę, mężczyzna pozbawić życia rywala. Ktoś zaklęty w przypiływie zazdrości może obrócić się przeciwko temu, kto go zaklął. Magia potrafi wykrzywić obraz, a serce może oszaleć z miłości.

Breen była gotowa w to uwierzyć nawet bez osobistych doświadczeń.

– Nauczyłaś mnie już leczyć, chronić, poprawiać nastrój. Kiedy byłam małą, chciałam zostać weterynarzem – lekarzem zwierząt. Kierowała mną nie tyle miłość do zwierząt, co świadomość, że one potrzebują kogoś, kto rozłoży nad nimi opiekę.

– Masz w sobie moc uzdrawiania. Mogę ci pomóc ją wydobyć, ale w tych sprawach lepsza jest Aisling.

Odłożyły na miejsce materiały, kryształy i świece. Breen przyglądała się, jak Marg myje nożyce i igły w wodzie zaczerpniętej ze studni w czasie pełni, a potem wyciera je do sucha kawałkiem białego płótna.

– Teraz idź się przejść. Przewietrz umysł. Możesz przy okazji zajrzeć do Moreny czy Aisling. Potem ci pokażę, jak zrobić różdżkę.

– Robisz je?

– Oczywiście chętnie ci jedną podaruję, ale kiedy sama ją robisz, nasycasz ją sobą, swoim sercem i mocą. Ty wybierasz drewno oraz kamienie i symbole, którymi ją ozdobisz. Różdżka stanowi przedłużenie twojej magicznej siły.

– Nie jestem zbyt sprawna, jeśli chodzi o rękodzieło – wyznała, kiedy wyszły na zewnątrz. – Już szycie tych mieszków stanowiło szczyt moich możliwości.

– Jednak sobie poradziłaś, prawda? Aha, widzę, że mamy towarzystwo.

Breen z daleka poznała czarnego ogiera przed chatą, o ile ten koń nie miał brata bliźniaka. Obok stał mniejszy wierzchowiec o jelenim umaszczeniu. Jako nastolatka przeżyła okres fascynacji końmi, zapamiętała, że taki koń to buckskin.

– To Merlin Keegana, piękna bestia – wyjaśniła Marg.

– Wiem. Widziałam rano, jak krył klacz. Wydawała się chętna.

– Aha, w takim razie sparowali go z Eryn Mahona. Bardzo dobrze. A tamten ładny watach należy do Harkena. Nazywa się Boy – od Good Boy, bo w ogóle nie jest narowisty. Jeżeli Keegan i Harken siedzą w chacie z Sedrikiem, to po ciastkach nie zostanie śladu.

Rzeczywiście przy kominku siedział Keegan z Sedrikiem i... Fąflem. Obaj mężczyźni trzymali w dłoniach metalowe kufle z przykrywką.

– Och, już jesteście – przywitał je Sedric. – Zaproponowałem Keeganowi piwo, żeby nie poszedł wam przeszkadzać.

– Dużo zrobiłyśmy. Słyszałam, że Merlin dobrze się sprawił rano.

– O tak, i to z sukcesem.

– Świetnie.

– Nie za wcześnie na taką pewność?

Keegan spojrzał na Breen.

– Harken twierdzi, że zaciążyła, a on się na tym zna. – Podniósł się i dokończył piwo. – Przyprowadziłem Boya, bo ona musi nauczyć się jeździć. Według Harkena nasz watach najlepiej się do tego nadaje.

– Lekcja jazdy – ucieszyła się Marg, zanim Breen zdążyła zaprotestować. – Tylko ucz ją spokojnie i ostrożnie. Po tylu godzinach w pracowni Breen dobrze zrobi pobyt na powietrzu.

– Wolę się przejść.

– Na dobrym koniu dotrzesz dalej niż na nogach. – Keegan przechylił głowę. – Nie mów mi, że boisz się wsiąść na konia.

– Nie wiem, bo nie pamiętam, żebym na jakimś siedziała.

– Więc najlepiej sprawdź. Przednie piwo, dzięki. – Zatrzymał się w drodze do drzwi i pocałował Marg w policzek.

– W dzieciństwie uwielbiałaś jazdę konną – przypomniała jej Marg. – Masz to we krwi.

– Może. – Kiedy wyszła na dwór, powiedziała sobie, że przecież lubi konie. Natomiast zniechęcała ją myśl, że może spaść albo straci kontrolę i koń poniesie ją, podskakującą bezradnie na siodle.

– On się zna na swojej robocie – rzucił Keegan. – Ale jak wsiądziesz na niego taka roztrzęsiona, to może się spłoszyć.

– Wcale się nie trzęsę. – Może trochę, w środku – sprostowała w myślach. Jednak podeszła do Boya.

– Musisz go obejść z drugiej strony, no chyba że wolisz jechać przodem do zadu.

Pięknie się zaczyna – pomyślała – obchodząc konia.

– To siodło nie ma rogu na przednim łęku. Wiesz, żebyśmy mogła się czegoś przytrzymać.

– To nie Dzik Zachód, nie będziesz nikogo łapać na łąso. Byłem tam – dodał. – Bezkresny teren. Rozumiem, po co im takie duże, ciężkie siodła, ale tutaj jest inny świat. Będziesz trzymać wodze, pociągniesz za lewą, skrećisz w lewo, za prawą, pojedziesz w prawo. Pociągniesz za obie, koń się zatrzyma. Wsuń stopę w strzemię i przełóż drugą nogę.

– Podsadź ją jak dżentelmen! – zawołała Marg z drzwi, ale Breen już zdążyła przerzucić nogę nad końskim grzbietem i opaść na siodło.

– Druga stopa w strzemię. No, długość jest akurat. Wodze w dłonie. Tak je trzymaj – pokazał.

Ponieważ zachowywał się cierpliwie, powoli się rozluźniała.

Keegan narzucił skórzany płaszcz, dosiadł Merlina i odwrócił się przodem do niej.

– Lewa woda, powoli i delikatnie – poinstruował.

– Keegan, na razie tylko stępa, dziewczyna musi odnaleźć się w siodle! – zawołała za nimi Marg. – I ma być z powrotem na wieczorny posiłek!

– Nie martw się, nic jej nie będzie. Breen, pięty niżej, kolana przyciśnij do siodła.

Jedzie konno – pomyślała – i to jest... nawet przyjemne.

Kiedy znaleźli się na drodze, delikatnie skierowała konia wodzą – tym razem w prawo. To wszystko nie wydawało się skomplikowane, przynajmniej nie w tym tempie, gdy koń

szedł stępa pod bladobłękitnym niebem, a powietrze pocieplało po deszczu.

Spojrzała w dół, obok niej truchtał Fąfel.

– Pies biegnie z nami. Czy to dobrze?

– Konie nie przejmują się psami, a psy końmi.

Kazał jej się zatrzymać i ruszyć, a potem jeszcze raz zatrzymać, zawrócić i ponownie ruszyć przed siebie. Skręcił z drogi na ścieżkę wijącą się w lesie, gdzie powietrze było chłodniejsze, a światło przesączone przez zieleń.

Zobaczyła, jak coś wyroiło się z ogromnego drzewa i błyskawicznie pierzchnęło.

– To młode chochliki, bawią się.

– Były w drzewie?

– Za.

Niedźwiedź wybiegł na ścieżkę, znieruchomiał i przyglądał im się z zaciekawioną. Breen serce podeszło do gardła. Z zaciśniętej krtani zamiast krzyku wydobył się bulgot. Niedźwiedź pogalopował między drzewa.

– To...

– Niedźwiedziolak, małolat. One baraszkują w lesie. Musisz przywyknąć do takich widoków.

– Skąd wiesz, że to nie prawdziwy niedźwiedź, który chce cię zjeść?

– Zwykłe niedźwiedzie bardziej interesują jagody niż ludzie. Ale jak wejdiesz takiemu w drogę i mu się nie spodoba, szybko się o tym przekonasz.

Odwrócił się do niej z taką swobodą, jakby siedział w fotelu, a nie na ogierze.

– I dlatego nauczysz się władać mieczem, posługiwać łukiem, galopować i używać magii.

– Dzisiaj robiłam zaklęcia.

– Zaklęcia, ta? No to Odran już pakuje się w panice.

– Nie traktuj mnie z góry. Całe życie pozwalałam się lekceważyć i mam tego dosyć. Jak widzisz, jestem tutaj i się uczę. A teraz siedzę na cholernym koniu.

Boy skorzystał z okazji, zarzucił łbem i zerwał jakieś apetycznie wyglądające listki. Breen pisnęła przerażona, poczuła bowiem, że zsuwa się z siodła.

Keegan przytrzymał ją za ramię.

– Kontroluj go, bo skorzysta z każdej chwili nieuwagi, żeby coś skubnąć. Według niego siodło jest puste. Udowodnij mu, że się myli. Ty trzymasz wodze. Używaj ich.

– Mogłeś mnie ostrzec, że on będzie próbował takich sztuczek – mruknęła, lekko ściągając wodze.

Cały czas starała się odczytywać zachowania konia, przewidywać ewentualne niespodzianki. Ścieżka na wzniesieniach tu i ówdzie pięła się stromo i gwałtownie opadała, i choć serce waliło jej ze strachu, więcej ani razu nie krzyknęła.

Z rzadziejącego lasu wyjechali na łąkę, gdzie pasły się owce. Fąfel uznał to za sygnał do rozpoczęcia zabawy i natychmiast pognął w środek stada. Breen zobaczyła kolejną farmę i gruntową drogę z rzędem chat. Przed większością trzepotało pranie rozwieszone na sznurach.

Na ich widok ludzie pracujący na polach i w ogrodach oraz pasący bydło przerywali robotę i unosili dłonie w powitalnym geście.

Z niektórymi Keegan zamieniał kilka słów i przedstawiał Breen.

Była między nimi mała dziewczynka, która nieśmiało podała jej stokrotkę i uśmiechnęła się uradowana, kiedy ona wetknęła ją we włosy.

To wtedy Keegan po raz pierwszy spojrzał na Breen z uznaniem.

– Zwracałeś się do nich po imieniu – zauważyła, gdy odjechali kawałek dalej. – Znasz tu wszystkich?

– Urodziłem się w dolinie – skwitował. – Wielu z nich widziało cię po raz pierwszy, mieli okazję cię obejrzeć. Córkę Eiana O’Ceallaigha. A ty też powinnaś ich poznać i zobaczyć nieco więcej Talamh, oprócz chaty Marg.

Boy zainteresował się żywopłotem.

– Nie rób mi wstydu – wymruczała, ściągając wodze. – Czy to jezioro? – Zobaczyła w oddali słońce odbijające się w zielonkawej tafli.

Ma taki sam kolor jak rzeka, w której uwięził ją Odran – pomyślała.

– Lough na Firinne. Jezioro Prawdy. Nurkują w nim wszyscy mieszkańcy Talamh, kiedy nadchodzi czas wyboru nowego *taoiseacha*.

– Po miecz.

– Tak, po Defensor.

Spojrzała na swojego towarzysza.

– Babcia mi opowiadała. Byłeś wtedy jeszcze chłopcem.

– Dokonałem wyboru. Słuchaj, nieźle sobie radzisz, przejdźmy w kłus, zanim Merlin zaśnie z nudów.

– Nie jestem gotowa, żeby...

– Jesteś, wystarczy. Pięty w dół, kolana do wewnątrz. Zgraj się z rytmem ruchu konia. Boy jest ułożony.

Niewiele miała do powiedzenia, bo kiedy ścisnął Merlina łydkami, Boy podążył za swoim przewodnikiem. Breen uderzyła pupą o siodło, zadzwoniła zębami.

– Dopasuj się do jego rytmu – powtórzył Keegan. – Siedź prosto, unosz i opuszczaj biodra, bo inaczej będziesz mieć siny tyłek.

Akurat na to sama wpadła.

– Nie wiem, jak...

A jednak wiedziała. Może to była pamięć zakodowana w mięśniach, samoobrona, a może tuł szczęścia, ale szybko zgrała się ze zwawo biegnącym koniem.

– No, lepiej – orzekł Keegan. – A teraz skieruj go w prawo na drogę.

– Mam skrócić w kłusie?

Cholerna droga znowu zaczynała się piąć, ale Breen utrzymała się w siodle i poczuła się w nim niemal swobodnie, patrząc na mijane czarnogłowe owce, krowy i pola z łanami falującego zboża.

Nawet nie zauważyła, kiedy Boy wydłużył krok.

– Ładny, wyciągnięty kłus – pochwalił Keegan. – Na Boga, kobieto, siedź prosto. Masz kręgosłup, to go użyj.

Tempo przerażało ją nie na żarty, ale posłuchała instrukcji, bo nie miała ochoty obijać się o siodło.

Dopiero kiedy kazał jej zwolnić do stępa, zauważyła, że zatoczyli koło. Widziała farmę, zatokę i chatę Aisling.

Przeżyła.

– Musisz poprawić postawę i na razie masz przyciężkie ręce, ale w miarę dobrze sobie radziłaś. Jutro będzie lepiej.

– Jutro?

– Tak Jutro. I nauczysz się siodłać swojego konia – dodał, kiedy jechali ścieżką w stronę chaty Marg. – A z koni zsiada się tak samo, jak się wsiada, tylko w odwrotnej kolejności.

Grunt wydawał się bardzo daleko, ale nie miała ochoty oglądać ironicznego uśmiechu Keegana. Kiedy przekładała lewą nogę, poczuła ból we wszystkich mięśniach i stawach. Zacisnęła zęby i pilnując, żeby nogi nie zadrżały jej w kolanaach, podała mu wodze.

– Dziękuję za lekcję – powiedziała głosem równie sztywnym jak teraz jej kręgosłup.

– Dobrze sobie radziłaś – powtórzył, zawrócił Merlina i trzymając Boya za wodze, puścił się kłusem po ścieżce.

Odczekała, aż Keegan zniknie jej z oczu, i pokuśtykała do otwartych drzwi chaty.

Wieczorem, za radą Marg, długo moczyła się w wannie z gorącą wodą i paroma kroplami leczniczej mikstury, a po kąpieli wklepała balsam w każdy dostępny kawałek ciała.

Potrzaskiwał ogień w kominku, pies spał, a ona wsparta na poduszkach uzupełniała blog.

Opisała swoją pierwszą lekcję jazdy konnej. I uznała, że choć jej instruktor to barbarzyńca, a ona teraz cierpi obolała, będzie kontynuować naukę.

Musi pokombinować, czy jakimś cudem nie udałoby się jednak cyknąć paru zdjęć. Obserwujący na pewno na nie liczyli. Ale o tym pomyśli kiedy indziej.

*

W ciągu następnych kilku dni nauczyła się zakreślać krąg, robić rytualne świece, puszczać pióro na wodzie, siodłać i prawidłowo czyścić konia. Zaliczyła również pierwszy galop.

Poprosiła Morenę, żeby przeprowadziła Boya przez portal, i tak rozwiązała problem zdjęć.

Zrobiła różdżkę. Pod okiem Marg wybrała kij z drzewa kasztanowca i przezroczysty wypolerowany kryształ, który pochłaniał i rozszczepiał światło. Oczyszczyła go i nasyciła blaskiem dwóch księżyców. Różdżkę ozdobiła płaskorzeźbą smoka prężącego się ku światłu i nie mogła się nadziwić, że rysunek na różdżce wybarwił się na czerwono i wyglądał dokładnie jak tamten w jej wyobraźni.

Po pierwszym tygodniu nauki, którą wołała nazywać treningiem, wybrała się na pierwszą samodzielną przejażdżkę.

Zgodnie ze wskazówkami Marg przejechała na Boyu wzdłuż farmy Aisling. Akurat Finian, jej pierworodny, razem z Harkenem i jakimś obcym mężczyzną zaganił do zagrody parę owiec, które wilczarz irlandzki razem ze sprężystym border collie oddzielił od stada.

Nie zatrzymała się. Pojechała dalej z nieprzyjemnym prze-
czuciem, że te owieczki najpewniej skończą w garnku jako
gulasz.

Na zboczach wzgórza pały się owce. Dwa jastrzębie
kołowały nad łąką. Raptem jeden z nich opadł na ziemię
niczym złoto-brązowa błyskawica.

W wysokiej trawie jakieś drobne zwierzę wydało z siebie
krótki, przeraźliwy pisk. Wyobraziła sobie królika. Ależ brutalny
jest świat pełen drapieżników i ofiar – pomyślała.

Kawałek dalej jej oczom ukazał się piękny widok.

Jeżeli chata Marg była pieśnią, to ta Finoli całą operą.
Stała otoczona kwietną łąką, poprzecinaną krętymi,
kamiennymi ścieżkami. Dzikie powoje bujnie wiły się po ziemi,
okalały krzewy i pnie drzew o koronach obsypanych kwie-
ciem. Tu i ówdzie na gałęziach wisały małe, miedziane
karmniki i poidelka w kształcie rozkwitłych kwiatów.

Błyszczący jak klejnot koliber spijał nektar z kielicha poma-
rańczowej lillii. Wszędzie dosłownie roiło się od motyli.

Ciężkie, subtelne, słodkie i korzenne wonie tworzyły odu-
rzającą mieszankę.

Kamienne ściany chaty połyskiwały różowo. Ze skrzynek
na parapetach wszystkich okiem wylewały się kwiaty i zie-
lone pnącza. Do chaty prowadziły bladoniebieskie drzwi
zwieńczone łukiem.

Oszołomiona urodą tego miejsca, przywiązała konia, jak
ją nauczono, i przechadzała się po ścieżkach. I wtedy usły-
szała rozmowę. Kierując się w stronę głosów, skręciła za
chatę i przeszła pod pergolą obrosniętą białymi różami.

Tutaj dywan z kwiatów graniczył z wymyślnym herbarium z roślinami tworzącymi kręgi. Nieco dalej w ogrodzie warzywnym Finola w słomkowym kapeluszu z szerokim rondem wyrywała marchew i układała ją w koszyku przewieszonym przez ramię.

W głębi ciągnął się sad. Morena, zataczając kręgi nad drzewem, zrywała owoce wyglądające na cytryny. Po chwili sfrunęła z koszem do Seamusa, który z dolnych gałęzi innego drzewa zbierał... pomarańcze.

Jak im udaje się hodować cytryny i pomarańcze w tym klimacie – zastanawiała się Breen.

Pokręciła głowę, bo już jakiś czas temu doszła do wniosku, że tutaj pytanie „jak” miało się z celem.

Finola wyprostowała się, rozmasowała kark i wtedy ją zobaczyła.

– Dzień dobry, Breen.

– W życiu nie widziałam piękniejszego domu.

– Och, daj spokój. – Jednak sądząc po minie właścicielki, ten komplement sprawił jej przyjemność. – A co u ciebie, skarbie? – zapytała, podchodząc ścieżką.

– Uczę się. Zamierzałam wcześniej do ciebie zajrzeć, ale przez tę naukę wiecznie brakuje mi czasu. Z tobą szczególnie chciałam się zobaczyć, żeby podziękować za opiekę w tamtym czasie i za to, że mnie wyniosłaś za wodospad i ukryłaś na farmie.

– Każdy na moim miejscu postąpiłby tak samo.

– Możliwe, ale to byłaś ty. W każdym razie chciałam ci podziękować. Będę uciekać, nie chcę wam przeszkadzać

w pracy. Ja... macie tutaj cytryny i pomarańcze.

– Tak, oraz brzoskwinie, śliwki, jabłka, gruszki, no i rosną nam banany na takich śmiesznych drzewach.

– Banany.

– Seamus wyhodował bananowca ze szczepki, którą Morena przywiozła z wizyty po tamtej stronie. Ja, moi chłopcy i Morena nieźle sobie radzimy w ogrodzie, ale Seamus, hmm, on...

– Ma magiczne palce?

– Oj, tak – przyznała ze śmiechem.

Morena sfrunęła na ziemię z koszem pełnym cytryn.

– Widziałam Boya przed chatą. Jeździsz już sama?

– Keegan z Mahonem zniknęli gdzieś na jeden dzień, więc postanowiłam wykorzystać wolny czas.

– Moreno, możesz weźmiesz Blue i potowarzyszysz Breen? Zajrzyjcie, jak będziecie wracać, przygotuję lemoniadę.

– Lemoniadę? – powtórzyła Breen.

– Dam ci słój dla Marg, ona ją uwielbia.

– Z chęcią przejadę się w miłym towarzystwie.

– W takim razie wyprowadzę Blue. – Morena, zamiast kłuczyć ścieżkami, rozwinęła skrzydła i przeleciała nad kwiatami.

– Ona chce ci zostawić trochę przestrzeni – Finola tłumaczyła wnuczkę. – Wie, że dużo czasu spędzasz z Marg, i do tego jeszcze te treningi z Keeganem. Nie ma lepszego jeźdźca od niego, no może jedynie Harken mu dorównuje.

– Jest bezwzględny jako nauczyciel, ale przyznam, że to przynosi efekty.

– Przynajmniej rozerwiesz się trochę przy Morenie. I nie zapomnij wrócić po lemoniadę.

– Oczywiście.

Wyszła przed chatę i wsiadła na Boya. Pozwoliła mu szczypać trawę na skraju drogi, a sama, przyglądając się kwiatom, sprawdzała, ile z nich potrafiła nazwać.

Morena wyjechała zza chaty na siwku z trzema białymi skarpetkami. Koń miał intensywnie niebieskie oczy.

– Teraz rozumiem, czemu nazywa się Blue.

– Śliczny konik, ale kiedy trzeba, potrafi być zawzięty i zuchwały. Spłodził pięć źrebiąt.

– To ogier?

– Jak można wykastrować takie zwierzę? – Z czułością w głosie pogładziła Blue po szyi. – Dokąd chcesz pojechać?

– Chciałabym zobaczyć jezioro. Nie umiem wymówić nazwy.

– Masz na myśli Lough na Firinne. Dobrze. Blue chętnie pogalopuje, dzień czy dwa nie brałam go na przejażdżkę.

– Podobno mam złą postawę i przyciężkie ręce, ale umiem galopować. Tak jakby.

– Słowa Keegana. – Rozbawiona, przewróciła oczami. – To tyran, ale jeździ jak bóg. Nie pozwól mu się terroryzować.

Spięta Blue do galopu. Breen, przyzwyczajona do stopniowej zmiany chodu, musiała pilnować, żeby utrzymać się w siodle, kiedy Boy ruszył za przykładem ognistego ogiera.

Ciągle trochę wystraszona, musiała przyznać, że ta szybka jazda sprawiała jej radość. Jeszcze nieco ponad tydzień temu nie jeździła konno – a przynajmniej tego nie pamiętała – a teraz niemal swobodnie galopowała.

Czuła, że Boya też cieszy ten szybki bieg w towarzystwie drugiego konia.

Morena zwolniła do stępa, uśmiechnęła się do niej przez ramię.

– Niezależnie od tego, co mówi Keegan, nieźle się podszkoliłaś.

– Po trzech pierwszych treningach moczyłam się w wannie, jęcząc z bólu. Teraz do rozluźnienia mięśni wystarcza mi joga.

– A inne rzeczy, jakich się uczysz?

Pasjonuję ją – pomyślała Breen. – Są po prostu ekscytujące.

– Zrobiłam różdżkę. Wiem, że babcia jest zadowolona z postępu, ale czuję, że to jeszcze nie to. Wiem, że ona czeka na coś, co wyjdzie ode mnie, ze mnie. Nie wiem, co to ma być.

– Dowiesz się w swoim czasie. Gdzie Fąfel?

– Wolał zostać z Marg. Zdaje się, że widziałam twojego jastrzębia. Krążył nad łąką z drugim jastrzębiem i nagle zanurkował w trawę. Jestem pewna, że zabił królika.

– Jest drapieżnikiem, polowanie ma we krwi. Podejrzewam, że ten drugi ptak to samiczka, z którą flirtuje. Na pewno podzielił się z nią zdobyczą.

Wskazała ręką jezioro. Breen zobaczyła sunącą po tafli rodzinę łabędzi.

– Łabędzie strzegą jeziora.

– Przed czym?

– Przed złymi zamiarami. Legenda głosi, że dawno temu jezioro powstało z łez bogini Finnguali – moja babcia dostała po niej imię. Finnguala, córka Lira z Tuatha De Danann, została zaklęta w łabędzia na dziewięćset lat przez swoją macochę Aoife.

– Okrutne.

– Bardzo – zgodziła się Morena.

Jechały brzegiem przez szuwary i sitowie. Nad wodą unosiły się ważki z opalizującymi skrzydłami jak u wrózek.

– Co się z nią stało? Z tą boginią?

– Zrospaczona, wędrowała całymi latami i podobno właśnie z jej łez powstało Lough na Firinne.

Morena uniosła rękę i ważka, niebieska jak oczy Blue, usiadła jej na otwartej dłoni.

– Kiedy poślubiła Laigrena i nareszcie uwolniła się od klątwy, zjawiała się tutaj, żeby popływać i wspominać wielką niesprawiedliwość. To wtedy zrobiła miecz do obrony prawdy i Buławę Sprawiedliwości, żeby już nikt nigdy nie zaznał takiej krzywdy jak ona.

Ważka odfrunęła.

– Miecz i buławę wrzuciła do jeziora. Z dna mógł je podnieść tylko ktoś godny pozycji wodza, aby rządzić światem i go bronić, tak jak jej łabędzie bronią jeziora.

- Wierzysz w to?
- Czemu nie miałabym wierzyć? Jest tutaj, widzisz je, prawda? Od pokoleń *taoiseachowie* wyławiają stąd miecz.
- Piękna historia i piękne jezioro. Woda wygląda na mętną. Jak udaje się znaleźć w niej miecz?
- No właśnie. Kiedy do niej wchodzisz, staje się przezroczysta jak szkło. Sama sprawdź, jeśli masz ochotę popływać.
- Wolno?
- A czemu nie? Gdybyś weszła tam w złych zamiarach, łabędzie wypędziłyby cię na brzeg. Te pełne gracji ptaki potrafią być bardzo niebezpieczne.
- Może innym razem. Kiedy moja babka, a później ojciec weszli do jeziora, oboje byli bardzo młodzi. Szkoda, że tego nie widziałam. Ty też wchodziłaś?
- Oczywiście, tak jak wszyscy. Wyobrażałam sobie, że znajdę miecz, a potem stanę przed Marg, ona wręczy mi buławę i zostanę najpotężniejszą, najmądrzejszą, najdzielniejszą *taoiseach* Talamh. – Parsknęła śmiechem, potrząsając włosami. – Nigdy nie brakowało mi pewności siebie.
- Podziwiam tę cechę. Taką wiarę, że na wiele cię stać, jesteś silna, mądra i... nie wiem... wartościowa?
- Jesteś tym wszystkim, zawsze byłaś. – Odwróciła się w siodle i obejrzała na Breen. – Nie pozwól sobie tego odebrać.
- Jesteś jak Marco. On mówi dokładnie to samo, tylko innymi słowami.
- W takim razie mądrze dobierasz przyjaciół.

– O tak, to prawda. Jak się czułaś, kiedy to Keegan, a nie ty, znalazł miecz? Byłaś rozczarowana?

– Boże, skąd. Widziałam w wodzie Keegana z mieczem w dłoni. Patrzył na niego tak, jakby ważył tyle, co tysiąc kamieni. I wtedy sobie pomyślałam: Nie, dobrze się stało, nie chcę dźwigać takiego ciężaru. A Keegan go wziął, dźwiga go i będzie dźwigał, aż nadejdzie czas wyboru nowego wodza. Błagam bogów, aby to się stało dopiero, gdy doczekam się wnuków i one wskoczą do jeziora.

Rozdział 19

Na prośbę Marg Breen udała się do Aisling na szkolenie z uzdrawiania. Gdyby z chaty Hanninganów wynieść krosna i usunąć skrzyżowane miecze znad gzymsu kominka, ich dom wyglądałby mniej więcej tak samo jak każdy, w którym mieszka rodzina z dwójką żywiołowych dzieciaków i ogromnym psem.

Rozgardiasz, hałas i porozrzucane zabawki.

– Macie takie same maniery jak świnki w chlewiku. Posprzątaj ten bałagan i uciekajcie na dwór – nakazała starszemu synowi. – Pochowaj zabawki, skoro je powyciągałeś.

– Jesteś bardzo zapracowana. – Breen czuła zapach piekącego się chleba, widziała wełnę nawiniętą na wrzeczono najprawdziwszego kołowrotka. – Przyjdę kiedy indziej, jeżeli teraz nie masz czasu.

– Dla mnie to będzie odpoczynek, poważnie. – Przygładziła ciemne włosy zwinięte w koczek na czubku głowy. – Trochę spokoju i rozmowa z kimś, kto ma więcej niż trzy lata.

Kiedy chłopcy niechętnie zabrali się do sprzątniania, zaparzyła herbatę. (Tutaj wszyscy zawsze robili herbatę). Młodszy z chłopców przydreptał do Breen z drewnianym bączkiem.

Pochyliła się i posłusznie nim zakręciła.

– Mahon z Keeganem wrócili wczoraj wieczorem. Mahon siłował się z nimi, podrzucał ich i porządnie wymęczył. Przez

to wszystko poszli późno spać i wyobraź sobie, wstali jak zawsze bladym świtem.

Uśmiechnęła się do Breen.

– I dlatego chwila oddechu w towarzystwie innej kobiety jest bardzo pożądana. Skarbie, bądź grzeczny i zanieś już bączka na miejsce. I nałóżcie czapki. Kavan, pomożesz bratu wyszczotkować kucyka i pamiętaj, że obaj macie się umyć, zanim wrócicie do domu.

Gdy otworzyła drzwi, Fafel natychmiast wypadł na dwór. Wilczarz odczekał przed progiem, aż dzieci wyjdą z domu, i ruszył za nimi statecznym krokiem.

– Mówię ci, nie ma lepszej opiekunki od Mab. Siadaj, Breen. Wyjmę tylko chleb na kratkę do studzenia wypieków i napijemy się herbaty.

– Jak ty się czujesz?

Aisling rzuciła jej pytające spojrzenie i szybko pokryła je uśmiechem.

– Ach, masz na myśli dziecko. Dobrze, bardzo dobrze. Lepiej nie prowokować bogów, ale obie ciążę donosiłam bez kłopotów i wygląda na to, że z tą będzie tak samo. Co prawda straciłam apetyt na piwo, lecz to niewielka strata. I zrobiłam się niezwykle chutliwa, co bardzo cieszy Mohana.

Wyłożyła chleb na kratkę, zdjęła fartuch i przyniosła herbatę.

– A co u ciebie?

– Oglądam i robię rzeczy, które zaledwie miesiąc wcześniej uznałabym za niemożliwe. I mam takie trudne do okre-

ślenia wrażenie, że coś się we mnie budzi i że to dopiero początek czegoś większego.

– Marg musi być z ciebie zadowolona.

– Mam nadzieję.

– Twoja obecność jest dla niej warta wszystkie światy. Przychodzisz codziennie, żeby się uczyć, ale też chcesz się z nią widywać i spędzać czas. Nie każdy na twoim miejscu tak by postępował.

– Jeszcze nie wiem, gdzie jest moje miejsce. A ty zawsze wiedziałaś?

Brenn z kubkiem w dłoni rozejrzała się wokół siebie. Chleb studził się na kratce, czajnik szumiał na kuchni, w skrzynce leżały zabawki. Pod oknem stał kołowrotek, w koszyku przy nogach czekały rzeczy do cerowania.

– Kiedyś chodziła mi po głowie przeprowadzka do Stolicy. Nie myślałam, żeby zostać żoną farmera, co to, to nie. Chciałam zasiadać w Radzie, dzielić się swoją wiedzą, biesiadować z uczonymi, artystami i całą resztą. Ale Mahon przekonał mnie do zmiany zdania i jest, jak jest. Nie zawsze wszystko układa się zgodnie z naszymi planami.

– Twój dom sprawia wrażenie szczęścia.

– Owszem, i jestem za to wdzięczna losowi. Moja matka przewodzi Radzie, Keegan został *taoiseachem*, a my z Harkenem opiekujemy się rodzinnym gniazdem. Wygląda na to, że każde z nas znalazło się tam, gdzie powinno być. A co do ciebie. Obojętnie, czy odejdziesz, czy zostaniesz, teraz jesteś tutaj, bo tak miało być. Natomiast do uzdrawiania bardziej pomocne są wrodzone predyspozycje niż wiedza, chociaż nauka niewątpliwie może pomóc je wydobyć.

– Babcia mówi, że nie zna potężniejszej uzdrowicielki od ciebie.

– Miło, że tak uważa. Każdy z Fey może odnaleźć w sobie takie umiejętności. Otwieranie się na czyjś ból, chorobę czy cierpienie jest trudnym wyborem. Lecząc kogoś, odczuwasz ten sam ból czy cierpienie, nawet jeżeli ten ktoś jest dla ciebie obcą osobą czy nawet wrogiem. Jednak kiedy zaakceptujesz ten dar, już go nie możesz odrzucić.

– Czy to coś w rodzaju przysięgi, jaką w moim świecie składają lekarze?

– Tak, mniej więcej. Słyszałam, że podobnie jak Harken, rozumiesz zwierzęta?

– Zawsze mi się wydawało, że... sama nie wiem. Ale tak, odkąd tu jestem, mocniej to czuję.

– W końcu czymże wszyscy jesteśmy, jeśli nie zwierzętami? Ciało, krew, kości, serce i mięśnie. Skąd wiesz, co czuje twój pies, czego chce czy potrzebuje?

Breen spojrzała na okno. Słyszała szczekanie Fąfla i wiedziała, po prostu wiedziała, że jest szczęśliwy.

– Aż tak dokładnie tego nie wiem.

– Myślisz o nim, patrzysz na niego, w niego. Uwierz mi, trudniej nie patrzeć i nie widzieć niż patrzeć i widzieć. Bo wtedy bezwiednie się otwierasz. Masz przed sobą słodkiego psiaka albo pięknego konia, a może biednego ptaka ze złamanym skrzydłem. I wtedy myślisz, czujesz, zastanawiasz się... i otwierasz.

Aisling ujęła jej dłoń.

– Mogę spojrzeć?

– Na mnie? Czy... we w mnie? – Ogarnęło ją zdenerwowanie. – Ja nie... czy to część tego wszystkiego?

– Możliwe.

– Dobrze. W porządku. Czy muszę coś robić?

– Nic, zupełnie nic.

Owo „nic” zmieniło się, kiedy Aisling zamknęła dłoń Breen w swoich dłoniach.

Czajnik wciąż szumiał, pies nadal szczekał.

– Jesteś zdrowa i to bardzo ważne. I sprawna. Silna, silniejsza, niż innym się wydaje, czyż to nie wspaniałe? Naturalnie trapią cię zmartwienia, ale wiele z nich powoduje twoje myślenie, że nie jesteś wystarczająco dobra i mądra. Powiem ci, że to bzdura, jednak ty sama musisz do tego dojrzeć. Teraz jesteśmy połączone, nie tylko dłońmi. Co widzisz we mnie?

– Jesteś piękna.

Aisling się zaśmiała.

– Czyż nie zadbałam o siebie, skoro wiedziałam od Marg, że przyjdiesz? Próżność wcale nie jest taką złą rzeczą.

– Chciałabym się tego nauczyć. Wiem, że kochasz rodzinę. Widzę to bez magii. I musisz być bystra, bo stoi tutaj kołowrotek, a tam dalej krosno. Na pewno jesteś dobrą matką, ponieważ twoje dzieci są szczęśliwe, zdrowe i naprawdę słodkie. I...

Breen zastygła z ustami otwartymi z wrażenia.

– Dziecko się poruszyło! Poczułam jego ruchy. Jak...

– Jesteśmy połączone i otworzyłam się na ciebie, żeby ci pomóc poczuć i zrozumieć.

– Niesamowite wrażenie. Czuję się taka szczęśliwa. I...

– Co?

– Trochę dumna z siebie.

Aisling ponownie się roześmiała.

– I dobrze. Nie brakuje ci życzliwości i empatii, a to pomaga. Nie wszyscy uzdrawiacze są empatami i nie wszyscy empaci są uzdrawiaczami. Oba te dary wzmacniają się wzajemnie. Zobaczmy, co my tu mamy.

Aisling podniosła się i podeszła do koszyka z rzeczami do cerowania. Przyniosła igłę. Ukłuła się w palec i prostując go, ponownie wzięła Breen za rękę.

– Zobacz, krew. Załedwie kropelka. Przecięcie skóry. Lekki ból. Drobnostka. Poczuj go tak, jak poczułaś poruszenie się dziecka. Poczuj i wyobraź sobie, że zasklepiasz tę małą ranekę. Otwórz się, bo światło, które świeci, i jego ciepło leczą to, co boli.

Breen nie była pewna, czy naprawdę poczuła, czy tylko sobie wyobraziła ledwo wyczuwalne mrowienie opuszki. Przycisnęła do niej kciuk.

– Dobrze – pochwaliła ją Aisling.

– Ale ja nie zrobiłam...

– Zrobiłaś, tylko musiałam tobą trochę pokierować. – Stała kropelkę krwi i pokazała palec bez śladu po ukłuciu. – Tak, to niewielka rzecz, załedwie pierwszy krok.

Mimo sprzeciwów przerażonej Breen dotknęła palcem do gorącej płyty i kuchennym nożem przecięła skórę na ramieniu. A potem wspólnie wyleczyły oba skaleczenia.

– Masz do tego talent – orzekła na koniec – tak jak mówiła Marg. Przy poważniejszych ranach musisz więcej z siebie dawać, ale to przyjdzie z czasem, poza tym nauczysz się łączyć swój dar z doborem odpowiednich mikstur, balsamów i innych środków. No, myślę, że czas napić się herbaty.

Kiedy wstała, żeby ją zaparzyć, do pokoju wpadł z łopotem połów kurty Keegan.

– Morena mówiła, że ją tu znajdę. Dobrze, najwyższy czas przejść do treningu.

– Zauważ, że ona ma imię – skarciła go ostrym tonem Aisling, nalewając herbatę. – Pracowałyśmy z Breen nad jej darem uzdrawiania. Bardzo dobrze sobie radzi.

– Hmm, w takim razie przyda jej się ta umiejętność do gojenia siniaków po treningu. Dzisiaj podstawy walki wręcz. Zobaczymy, ile jest warta.

Gdyby Breen mogła przykleić się pupą do krzesła, na pewno by to zrobiła.

– Nie zamierzam z nikim walczyć.

– Nie mówimy o cholernych zamiarach. Będziesz pisać i kopać, gdy Odran naśle na ciebie któregoś ze swoich zbirów? Siedzieć i trząść się ze strachu, kiedy następnym razem wsadzi cię do klatki? Czemu ktoś miałby ryzykować dla ciebie, skoro ty sama nie chcesz popracować nad swoim bezpieczeństwem?

– Wynocha! Idź z tymi chamskimi odzywkami na podwórko. Breen do ciebie dołączy za jakiś czas. – Aisling podparła się od boki. – Zmiataj z mojej kuchni, zanim sam dorobisz się paru siniaków.

Keegan wzruszył ramionami, ale posłusznie wyszedł.

– Przepraszam za mojego durnego brata, którym obdarzył mnie los. Keegan bywa w gorącej wodzie kąpany.

– Delikatnie rzecz ujmując.

Aisling z uśmiechem postawiła kubek przed Breen.

– *Taoiseach* czy nie, to mój brat, mam z nim do czynienia od lat i nieraz usłyszał ode mnie znacznie gorsze określenia, jeżeli moim zdaniem zachował się jak mała. Niemniej...

Usiadła przy stole. – On ma rację. Jak to ujął, musisz nauczyć się walczyć dla własnego dobra i ze względu na innych. W tym świecie nie ma nikogo, kto nie oddałby życia w twojej obronie.

– Nie chcę...

– Nie chodzi o to, czego chcesz, liczą się realia. – Nakryła dłońią rękę Breen. – Pamiętam – zaczęła, patrząc jej głęboko w oczy swoimi intensywnie niebieskimi oczyma – tamten dzień, kiedy cię porwano. Do dziś mam w uszach bicie wojennych bębnow. Pamiętam, ilu ludzi straciło wtedy życie i poszło do bogów. Jednym z nich był mój ojciec.

– Wybacz. – Breen poczuła się winna. – Tak mi przykro.

– Nie masz powodu czuć się winna. – Palce Aisling zamknęły się na jej dłoni w serdecznym uścisku. – Byłaś dzieckiem. I walczyłaś, walczyłaś z całej siły, jaką wtedy miałaś. Tarcza, która cię chroni, nie jest wieczna, sama wiesz, że

już raz ją naruszono. Siedzisz tu ze mną, bo był przy tobie Keegan.

On jest z tych krewkich, łatwo się niecierpliwi. Szybko wydaje osądy, podobnie działa w polityce i podczas kontaktów z Radą. Jak powiedziałam, w tym wypadku zachował się beznadziejnie. Ale to nie znaczy, że nie ma racji.

Breen, siedząc w kuchni pachnącej chlebem i herbatą, wróciła wspomnieniem do bitwy, którą widziała oczami Marg i tamtych wszystkich ludzi, którzy dla niej ryzykowali życie.

– Dobrze. Będzie rozczarowany, kiedy się przekona, że się do tego nie nadaję.

– Zobaczymy. Nikt lepiej od niego cię nie wyszkoli. Ćwiczył pod okiem naszego ojca, a potem trenował z twoim, i w pewnym sensie odda tobie to, co dostał od nich.

Breen wiedziała, że ma dwa wyjścia. Albo odmówi, zachowa się jak tchórz i będzie się zmagać z poczuciem winy, albo podejmie wyzwanie i niewątpliwie dostanie cięgi.

Wolała wyjść tej sytuacji z siniakami na ciele niż na ciągle jeszcze wątlym ego.

Wyszła na dwór i zobaczyła Keegana na padoku. Galopował na oklep na ciemnokasztanowym koniu z dwoma chłopcami Aisling. Młodszego trzymał przed sobą, a starszy siedział za nim.

Myśl, że jedzie za szybko, natychmiast ją opuściła na widok zachwyconych min dzieci.

Zauważył ją i zwolnił. Kiedy się zatrzymał, i przed nim, i za nim odezwały się prośby o więcej.

– Później – uciął. – Na ziemię, Fin.

Finian, wyraźnie się ociągając, zestawiał nogi na ogrodzenie padoku. Keegan zeskoczył z konia, wziął Kavana na ręce, podrzucił go wysoko i postawił na ziemi.

– A teraz biegnijcie zawracać głowę mamie. – Potar mosił im czupryny, przesadził Kavana ponad ogrodzeniem i sam przeskoczył na drugą stronę.

Ma krzepę – stwierdziła Breen, myśląc o czekających ją sińcach.

– Zamknij pięść.

Wiedziała jak, bo kiedyś pokazał jej Marco – kciuk na wierzchu, nie do środka.

Zacisnął dłoń na pięści Breen i ku jej oburzeniu drugą ręką pomacał biceps.

– Nie należysz do słabeuszy, ale możesz natrafić na kogoś mocniej zbudowanego, wyższego. Musisz nauczyć się wykorzystywać swoje walory i sprawić, aby siła i budowa napastników obracała się przeciwko nim.

– Zrobiłam kurs. Znam SSKNK!

Patrzył na nią zdziwiony.

– Takim okrzykiem nie zatrzymasz pięści wymierzonej w twarz.

– Nie, to nie okrzyk. Splot słoneczny, kopniak, nos, krocze.

Przechylił głowę i nieznacznie nią pokiwał.

– Na przykład, gdybyś był złodziejem albo gwałtciwielem i na parkingu podziemnym zaszedłbyś mnie od tyłu...

Odwróciła się plecami i w tej samej chwili Keegan podciął jej nogi.

Pierwsze pojawiło się zdumienie, bo nikt nigdy jej nie przewrócił, a zaraz po nim gniew.

– Chciałeś, żebym to pokazała.

– Ciągle czekam i nie rozumiem, czemu się odwróciłaś tyłem do wroga.

Wstała z ziemi.

– Żeby ci to zademonstrować.

– A jeżeli napadnę na ciebie, stojąc twarzą w twarz?

Rzucił się do przodu, a gdy niezdarnie się cofnęła, lekkim pchnięciem pozbawił ją równowagi.

– Chyba tamten okrzyk byłby bardziej skuteczny – skomentował, pomagając jej wstać.

Uderzyła go w splot słoneczny... trafiła na skatę i kolejny raz grzmotnęła pupą o ziemię.

– Masz więcej siły – zauważył.

– Nie chciałam sprawić ci bólu. – Wcześniej nie chciałam – poprawiła się w myślach. Podniosła się i tym razem walnęła go z całej siły. Jednak kiedy zamachnęła się nogą, usunął się na bok i kolejny raz położył ją na ziemię.

Musiła przyznać, że na zajęciach z SSKNK wszystko wyglądało prościej.

– Ten twój skrót może i byłby coś wart, gdyby nie brakowało ci szybkości i siły. Spróbuj jeszcze raz.

Po błyskawicznym, mocnym ciosie zapiekła ją ręka. Rezygnując z pośrednich etapów, uniosła kolano. Jednak zatrzy-

mała się w pół drogi, chociaż jakaś jej część bardzo chciała doprowadzić sprawę do końca.

Zaśmiał się.

– No teraz był w tym potencjał. A co, jeżeli...

Obrócił ją i przydusił ramieniem. Tak jak ją uczono, dźgała go łokciami w tułów, jednak nie udało jej się nadepnąć mu na stopę, bo rozstawił nogi.

– Nie walcz. Zwiotczej. Użyj podstępny. Jesteś kobietą, udawaj słabą. Niech ten, kto cię napadł, w to uwierzy. Omdlej.

Była słaba i świadomość jego przewagi szczerze ją przerażała.

Nie obroniłaby się, gdyby naprawdę chciał ją skrzywdzić.

Omdlała w jego uścisku.

– Po cichu planuj następny krok. Twój napastnik jest przekonany, że wygrał. Teraz łokieć. Nieźle, ale następnym razem uderz zdecydowanie mocniej i wtedy on rozluźni chwyt. Wykorzystaj moment.

Osunęła się nieco, odwróciła i ponownie zaatakowała go kolanem.

– Nie tak litościwie. A co, jeśli...

Wycelował pięścią w jej twarz, zatrzymując ją tuż przed nosem.

Kręcąc głową, patrzył w jej przerażone oczy.

– Padłabyś jak długa i najpewniej straciłabyś przytomność. Zastaniasz się. – Naprowadził jej ramię na swoją pięść. – Trzymaj mocno. I wyprowadź cios. Szybko!

Spędziła z nim godzinę, często leżąc na ziemi. W końcu pożegnał ją czymś w rodzaju pochwały.

– Jutro lepiej ci pójdzie.

Musiła przywołać psa. Uważać, żeby przypadkiem jej głos nie przeszedł w jęk. Swego czasu nauka jazdy wydawała jej się bolesnym doświadczeniem, ale to była pestka w porównaniu z dzisiejszym bólem, rwaniem i pulsowaniem całego ciała. Powlokła się ścieżką w stronę chaty Marg. Przed zakrętem sprawdziła, czy nikogo nie ma w pobliżu, usiadła na ziemi, podciągnęła kolana pod brodę i oparła na nich głowę.

Fąfel lizał ją po rękach, a jego żałosne skomlenie musiało być psem wersją jej wewnętrznego lamentu.

W życiu nie doświadczyła fizycznej przemocy, nikt nigdy celowo nie zadał jej bólu. Nigdy też nie czuła takiej chęci sprawienia go komuś innemu.

– Czy taka była cena władzy... własnego ja?

Myślała o swoim wcześniejszym życiu, takim zwyczajnym, monotonnym. Owszem, ograniczonym, niemniej...

Podniosła głowę, otarła oczy.

– Wolność kosztuje – powiedziała do psa. – Nie wiem, ile jestem gotowa za nią zapłacić.

Siedziała przy ścieżce, lecząc obolałe miejsca tak, jak pokazała jej Aisling.

Keegan po wejściu do domu siostry natychmiast nalał sobie whiskey.

Aisling obserwowała go, szatkując kapustę na colcannon, danie z ziemniaków duszonych z kapustą, które mieli zjeść na

kolację.

– Chyba trochę na to za wcześnie – zauważyła.

– Według mnie wcale nie.

– Jak sobie poradziła? Następnym razem nie wytrzymam, gdy zobaczę, jak rzucasz ją na ziemię. Wyjdę i tak natrę ci uszu, że przez pół dnia będzie ci w nich dzwonić.

– Jest silna. I potrafi być szybka, jeżeli się nie zawaha. Ta kobieta za dużo myśli. – Wychylił whiskey. – Ale trzeba jej oddać, że szybko się uczy.

Zadarł koszulę i oglądał zasinienia na żebrach.

– Kilka razy nieźle ci przyłożyła. Daj, niech cię obejrzę.

– Nie, sam się tym zajmę. – Obciągnął koszulę. – Breen ma skrupuły i dlatego nie wykorzystuje w pełni swoich możliwości. Parokrotnie mogła trafić mnie w krocze, ale się zawahała, bo obawiała się, że sprawi mi ból.

– Czy nie jest tak, że naszym działaniom zawsze towarzyszą rozterki?

Chciał zaprzeczyć, ale nie potrafił. Nie, skoro każdego cholernego dnia przeżywał dylematy.

Niemniej...

– Trzeba zapomnieć o skrupułach, jeżeli świat ma trwać i być bezpieczny. One ją krępują, nie wiem, czy potrafi się od nich uwolnić. Hołubi wątpliwości jak jakiś cenny klejnot.

– Breen potrzebuje czasu.

– Tak jak my wszyscy. Co nie znaczy, że będzie nam dany.

Kiedy podszedł do okna, Aisling przerwała robotę, stanęła przy nim i objęła go w pasie ramieniem.

– Nie można zrzucać całego ciężaru na jej barki, Keeganie. To sprawa nas wszystkich. Całej doliny Fey i tych, którzy nam sprzyjają.

– Przysięgłem Eianowi, że będę ją chronił, że pomogę jej się stać wojowniczką. Tylko tak dotrzymam danego słowa, nie widzę innego sposobu. – Poczut ciepło rozchodzące się po żebrach. – Mówiłem, że sam się tym zajmę – westchnął.

– Już załatwione. – Ponieważ go kochała, na dokładkę pocałowała go w policzek. – Zostaniesz na kolacji?

Pokręcił głową.

– Dziękuję, ale nie. Coś tam sobie z Harkenem upitrasimy. Muszę jeszcze wysłać sokoła do mamy. Dopóki informuję ją i całą resztę na bieżąco, odpada mi konieczność jazdy do Stolicy. Czuję, że tutaj bardziej się przydam.

– Dołącz ptakowi pozdrowienia od nas – powiedziała i wróciła do szatkowania kapusty.

*

Gdy Breen uporwała się już z obrażeniami na ciele, postanowiła jeszcze ukoić umysł i serce rozmową z Marco na FaceTime.

– Dziewczyno, jak dobrze cię widzieć. Stęskniłem się za tobą.

– Widzieliśmy się w zeszłym tygodniu.

– I tak tęsknię za twoim widokiem.

– Mnie też cię brakuje. Duży ruch U Sally?

– Nie ma gdzie szpilki wcisnąć. DesDemona ma nowy program. Robi furorę. Po rozmowie z tobą natychmiast uderzę

w kimono. Wszyscy za tobą tęsknią i namiętnie czytają twój blog. No, a teraz opowiedz mi wszystko, czego w nim nie napisałaś.

Gdyby tylko mogła.

– Tam mniej więcej jest wszystko. Piszę, robię przebieżki, chodzę na spacer z psem, uczę się jeździć konno.

– Nie mieści mi się w głowie, że wsiadłaś na konia.

– I nawet mi się to spodobało.

– Psy i konie. Jeszcze trochę, a zaczniemy rozglądać się za farmą. Coś się dzieje. – Patrzył na nią z uwagą, mrużąc zmęczone oczy. – Znam tę twarz. Powiedz, co jest grane.

– Marco, staram się to wszystko jakoś ogarnąć. Mam tyle rzeczy do przemyślenia.

– Za mało wychodzisz do ludzi. Dlaczego nie słyszę o wizytach w pubach, wspólnych śpiewach, flircie z jakimś gorącym irlandzkim chłopkiem?

– Flirtów nie mam teraz w planie, zwłaszcza że mój skrzydłowy jest tysiące mil ode mnie. A co u ciebie? Jakiś nowy facet?

– Było kilka podejść. Nie zaiskrzyło. Jestem w dołku, dziewczyno. Posłuchaj, Breen, kto cię zna lepiej niż ja? Widzę, że coś jest nie halo. Tęsknisz za domem, skarbie?

– Brakuje mi ciebie, Sally i Derricka. Może trochę liczyłam, że matka się do mnie odezwie, ale siedzi cicho. Pogodziłam się z tym. Chociaż to mi nie w smak.

– Tu chodzi o coś więcej.

Musiła mu coś podsunąć, bo znał ją na wylot. Nie mogła dać Talamh, więc uchwyciła się czegoś innego.

– Rzeczywiście niepokoi mnie jedna sprawa i nie chcę o tym pisać na blogu, ale już znalazłam ludzi, którzy się tym zajmują.

– O czym mówisz?

– Pamiętasz, jak wspominałam o opowiadaniu dla dzieci?

– O psie. Jasne. Nie dam ci spokoju, dopóki mi go nie prześlesz.

– No i... poszukałam agentki.

– Co zrobiłaś? – Poderwał się z tego, na czym siedział, i na moment ekran tabletu wypełnił smukły tors w białym podkoszulku. – Rany boskie, dlaczego nic nie mówiłaś? Przesyłałbym ci wszelkie pozytywne wibracje.

– Bo się boję, że jeżeli ona w ogóle mi odpowie, usłyszę tekst w rodzaju: Więcej nie zwracaj mi głowy.

– Przestań. – Pogroził jej placem. – Natychmiast przyślij mi kopię.

– Rano. Jeżeli teraz wyślę, będziesz czytał po nocy, bo mnie kochasz, i się nie wyśpisz. Jutro ją dostaniesz. Obiecuję.

– Jestem z ciebie dumny, dziewczyno. Napisałaś książkę, to naprawdę coś. I rozmawiałaś z agentką.

– Właściwie jeszcze nie rozmawiałam.

– Na jedno wychodzi.

– Prawie. Ale skończmy o tym, bo nie chcę się denerwować. Powiedz, co u was. Rzuć parę plotek.

Ponieważ zawsze miał ich mnóstwo na podorędziu, rozmawiali jeszcze prawie pół godziny i dopiero zamknęła tablet.

I rzeczywiście zrobiło jej się źżej na duszy.

Uwielbiała spędzać czas z babcią. Im lepiej ją poznawała, tym większy budziła w niej podziw. Marg nie tylko nauczyła ją z rozwagą rzucać zaklęcia i pokazała radość oraz odpowiedzialność płynącą z władzy, ale również udostępniła tę część jej dziedzictwa, która długo pozostawała dla niej niedostępna, jako coś, co przynosi wstyd.

Następnego dnia poszła z Marg do lasu za pracownią, gdzie miała rozpiąć swój pierwszy magiczny krąg.

– Jak to robisz? – zwróciła się do babki. – Jak to możliwe, że nie czujesz gniewu i nie żywisz urazy do mojej matki?

– Ponieważ pamiętam, że kochała mojego syna, wiem, że ta miłość nadal żyje w jej sercu, i rozumiem, że nigdy nie odnalazła się w moim świecie. – Rozłożyła przybory na dolmenie, który służył jej za ołtarz. – Ale nie będę ukrywać, że często muszę się w tym utwierdzać.

– Ja próbowałam, może nie aż tak bardzo, ale próbowałam. Nie potrafię wybaczyć jej kłamstw. Babciu, nie chodzi przecież o pieniądze, chociaż bez nich raczej nigdy nie znalazłabym się w Irlandii, a potem tutaj. Tyle czasu straciłam...

– Nie, nie straciłaś. Czas nigdy nie jest stracony. Każdy dzień jest darem, codziennie się uczymy. Skąd możemy wiedzieć, czy odkryłabyś to wszystko, gdyby nie życie, jakie prowadziłaś w tamtym świecie?

– Przez nią czułam się tak niewiele warta. Na tym polegał mój problem. Dawła mi do zrozumienia, że nie powinnam

mieć większych oczekiwań.

Marg czułym gestem dotknęła policzka wnuczki.

– Teraz, kiedy lepiej siebie poznałaś, będziesz tę wiedzę bardziej cenić.

– Zastanawia mnie, czy brakowałoby mi wiary w siebie i swoje możliwości, gdyby ona każdym słowem, działaniem i spojrzeniem nie podcinała mi skrzydeł. A ja jej wierzyłam i patrzyłam na siebie jej oczyma.

– Masz szansę i wybór być, kim jesteś. – Marg ujęła jej twarz w dłonie. – Wykorzystaj to, rozwijaj się z tym, co już masz, i sięgaj po więcej. Jeżeli spotka cię zawód, no cóż, wielkość wyrasta z pierwszych porażek. A teraz, *mo stor...* – Cofnęła się o krok. – Oczyść umysł i wyznacz swój krąg.

Breen, tak jak Marg ją uczyła, za pomocą miotły oczyściła przestrzeń z wszelkiej negatywnej energii i zdecydowanie usunęła z głowy niekorzystne myśli.

Na wschodzie kręgu umieściła żółtą świecę i kadzidło, na południu czerwoną i kamień Smocze Serce, na zachodzie świecę niebieską i muszlę, a na północy zieloną świecę i małą wiązkę ziół.

Pod czujnym okiem babci trzykrotnie obeszyła krąg.

– Niech ten krąg będzie tarczą od złej przyszłości i przeszłości. Wyznaczam go z miłością i światłem, ślubując nie czynić szkody.

W trakcie ostatniego okrążenia wciągnęła głęboko swoje światło i uwalniając je z brzucha do serca, z serca do czubka głowy, zapaliła świece czterech żywiołów – powietrza, ognia, wody i ziemi.

Tym razem nie odczuwała zdenerwowania, bo wiedziała, że światło w niej było mocne. Podniosła rytualny athame z ołtarza i zwróciła się na wschód.

– Przyzywam bogów wschodzącego słońca; niech usłyszają mój głos z tego miejsca, o tej godzinie. Jestem waszą służką. Waszym dzieckiem.

Powtórzyła to samo wołanie, zwracając się na południe, na zachód, na północ.

Powietrze zawirowało, świece rozbłyśły, a ona poczuła w trzewiach ten ruch powietrza i płomień.

Podeszła do ołtarza, żeby odprawić wybrany dla niej przez Marg prosty rytuał otwierania umysłu.

Włożyła zioła i kryształy do tygla na ołtarzu, zalała je wodą z kubka. Trzykrotnym dotknięciem różdżki wznieciła ogień pod tygłem i namaściła olejem swoje trzecie oko.

– Niech dym przyniesie wizję moim oczom. Wleje ją w serce i rozświecili umysł. Pozwoli mi widzieć przez mgły.

Znad tygla uniosła się cienka strużka wijącego się białego dymu.

Usłyszała echo, z początku stłumione przez gęstą mgłę. Kiedy opary zrzędyły, wiedziała, że to uderzenia fal o skały. Ujrzała klify, kamienną wyspę, rumowisko czarnych głazów na wzburzonym morzu.

Zobaczyła rytuał odprawiany na klifie. To był krąg – dramatycznie różny od tego, który sama zakreśliła. Wyznaczały go czarne świece płonące krwistoczerwonym płomieniem i rząd demonów po wewnętrznej stronie kręgu. Na środku stał potężny ołtarz z czarnego połyskliwego kamienia.

Chłopiec leżący na ołtarzu usiłował oswobodzić się z więzów. Jego rozpaczliwe krzyki przebiły się przez dym i przeszły ciało Breen, kiedy postać w czarnej pelerynie z kapturem zbliżyła się ołtarza, skandując jakieś słowa w nieznanym języku, których brzmienie przypominało bicie bębna.

Zakapturzony wycelował rękę w niebo i jego dłoń zaczęła wrzeć. Drugą ręką podniósł długi, zakrzywiony nóż i przeciągnął ostrzem po szyi chłopca. Kiedy podstawił złoty kielich pod strumień krwi, niebo rozdarła oślepiająca błyskawica i rozległ się ogłuszający huk przetaczających się piorunów.

Potem uniósł wysoko kielich i zachłannie wypił jego zawartość. To wtedy w świetle błyskawicy Breen zobaczyła twarz dziadka.

Gdy na szczęście wizja wreszcie znikła, Breen osunęła się na kolana. Dopiero wtedy podeszła do niej Marg.

– Musisz zakończyć rytuał. Złożyć podziękowania bogom i zamknąć krąg. Pomogę ci, ale najpierw zamknij krąg. Dam ci magiczny napój, bo jesteś blada jak płótno, potem mi wszystko opowiesz.

– To on. To był Odran.

– Tak myślałam, że to on.

Rozdział 20

Do pracowni miały bliżej niż do chaty, więc to tam Marg posadziła Breen przy kominku. Dodała jej eliksiru do wina i kiedy wnuczka zakończyła swoją opowieść, stwierdziła, że przystanek w pracowni im obu dobrze zrobił.

– Piorun uderzył w kielich i błyskawica... Tam panował mrok, a jednocześnie było jasno. Odran pił... och, babciu, ten biedny chłopiec. Mógł mieć najwyżej dwanaście lat. Kiedy Odran wysączył kielich, demony... one to dziecko pożarły. Rzuciły się na ciało i...

Zadrżała i wypita parę łyków wina.

– Widok był potworny, nie do opisania okrutny. Musiał pochodzić sprzed wielu lat, Odran wyglądał tak młodo.

– W każdym czasie jest w takim wieku, w jakim akurat chce być. Nie wiem, z jakiego okresu pochodziła ta wizja, powiem ci tylko, że nie bez powodu spełnił ofiarę krwi. Nie ma większej zbrodni, większego grzechu.

Marg zerwała się z krzesła i krążyła po pracowni, ciągle nie mogąc się uspokoić.

– Za to, jak zostało zapisane, bogowie wyrzucili go z królestwa. Mówiłaś, że czarny zamek był w ruinie.

– Tak, tak, zgadza się. A więc to z czasów po moim porwaniu.

– Tak jest. – Marg z powrotem usiadła, zamknęła dłoń wnuczki w swoich dłoniach i z uwagą popatrzyła jej w twarz.
– No, już rumieńce wracają ci na policzki. Jestem z ciebie dumna, Breen. Dotrwałaś do końca takiej okrutnej wizji. Nie takie było napisane przez nas zaklęcie.

– Wiem. Nie mam pojęcia, skąd wzięta się ta wizja.

– Z ciebie. Poprosiłaś o wizję, chciałaś widzieć. Jest w tym jakiś cel. Może nie do końca jasny, ale na pewno jest. Poproszę Sedrica, aby zawiadomił Keegana, że dzisiaj nie będziesz trenować.

– Nie. Uwierz mi, chętnie zamieniłabym trening na kanałowe leczenie zęba, ale jeżeli dzisiaj odpuszczę, jutro podwójnie da mi popalić.

Marg z uśmiechem uścisnęła jej dłoń.

– No proszę, widzę, że już go rozgryzłaś, a więc w tej sprawie mamy jasność. Pamiętaj, on uwierzy mi na słowo, że dzisiaj źle się czujesz.

– Nadal mam to przed oczami... Kilka upadków na ziemię pomoże mi zapomnieć – dokończyła na jednym oddechu. – Wolę dzisiaj się kurować, niż myśleć o tym, co Keeganowi przyjdzie do głowy przygotować dla mnie na jutro. Wczoraj przyniósł miecze. Nie ranią do krwi, ale nieźle nabijają guzy. Pójdę już.

Podniosła się.

– Pewnie nie możemy ułożyć takiego zaklęcia, które sprawiłoby, że dla odmiany ja posłałabym go na ziemię?

– Lepiej przy tym nie manipulować. Chcesz, żebym ci towarzyszyła?

– I bez świadków te sytuacje są już wystarczająco poniżające. – Nachyliła się i pocałowała Marg w policzek. – Zobaczymy się jutro po południu.

– Masz herbatę na mocny sen?

– Taa.

– Wypij trochę przed pójściem do łóżka. A co włożysz pod poduszkę?

– Rozmaryn i ametyst albo czarny turmalin.

– Szybko się uczysz.

Szkoda, że równie szybko nie robi postępów w walce – pomyślała, kierując się na farmę. Niestety, nie miała do tego zacięcia i prawdopodobnie to stanowiło przynajmniej część problemu.

Spokojnie mogłaby przejść przez życie bez potrzeby okładania kogokolwiek pięściami, nie mówiąc już o rąbaniu mieczem.

Tylko...

Pomyślała o wyrywającym się, krzyczącym chłopcu. Czy nie próbowałabym obronić go za wszelką cenę? Powiodła spojrzeniem po polach, przeciętych drogą, na której hasał Fąfel.

Soczysta zieleń, niebieska woda w zatoce i błogi spokój.

Świadomość istnienia takiego potwornego zła na świecie, który zarazem oferował to proste piękno, sprawiała jej wręcz fizyczny ból.

Biedny dzieciak. Pochodził z tego świata, z jej, a może z jeszcze innego? Trudno powiedzieć. Był przerażony, a jed-

nak się nie poddawał. Walczył do samego końca.

Nie mogła być gorsza.

Najpierw zobaczyła jastrzębia. Amisz ślizgiem opadł na kamienny słup bramy. Fąfel (jak on szybko rośnie!) przygłospował z drogi i z radosnym szczekaniem wspiął się przednimi łapami na słup.

– On jest nadto dystyngowany, żeby się z tobą bawić! – zawołała Morena. Jej tym razem rozplecione włosy opadały lśniąco kaskadą na kark.

Pierwsza znalazła się przed bramą, przykucnęła, żeby pogładzić psa, a on zachwycony przewrócił się na grzbiet.

– Nie licz, że zrobię to samo – powiedziała ze śmiechem, mocując się z nim dla zabawy, po czym podniosła wzrok na Breen. – Gotowa stawić czoło Keeganowi?

– Na to nigdy nie jestem gotowa.

– Przestań, Harken uważa, że robisz postępy.

– A skąd on to wie?

– Dyskretnie obserwował cię kilka razy z ukrycia.

– Boże. Jaki wstyd. – Breen mimo wszystko otworzyła bramę.

– Sama zobaczę.

– Nie – zaprotestowała. – Wciąż rzuca mnie na ziemię, rani ciało i dumę. Najwyraźniej mam nogi z ołowiu, równowagę kulawego pijaka i dziurawe ręce.

– Tym bardziej potrzebujesz kogoś, kto będzie podnosił cię na duchu. – Morena otoczyła ją ramieniem. Pachniała ogro-

dem – słodko, a jednocześnie korzennie i ziemiście. – Założę się, że idzie ci lepiej, niż myślisz.

– Przegrałabyś. Chryste, on znowu wyjął te cholerne miecze. Wczoraj miałam ramię jak z gumy.

– Guma jest sprężysta, no nie? Weź z niej przykład. Aha, a oto on, cały groźny, o stalowym spojrzeniu.

Keegan, odwracając się do niej, błysnął zębami w uśmiechu.

– A oto ona. Znowu przyszła torturować mojego brata.

– Który nie ma jej tego za złe.

Morena ujęła miecz z gracją, której Breen jej natychmiast pozazdrościła.

– Zaczarowałeś je.

– Oczywiście. Nie chcę jej niczego odrąbać, prawda?

Morena powiodła dłonią po klindze.

– Ale nie masz nic przeciwko temu, żeby ją dźgać.

– Nic nie poczujesz, niczego się nie nauczysz. Harken jest w stajni. Jedna kobyła nie chce jeść.

– Później tam zajrzę. – Oddała mu miecz. – Zamierzam chwilę popatrzeć.

– Tylko trzymaj się z daleka.

Odwrócił się do Breen i rzucił jej miecz. Instynktownie odskoczyła, kiedy uderzył o ziemię.

Keegan przewrócił oczami.

– Oto z kim bogowie każą mi pracować. Podnieś miecz. Wierzę, że pamiętasz, za który koniec go się trzyma.

– Szpicem do przodu.

Uśmiechnął się rozbawiony.

– Czytałem tę historię. Arya z *Gry o tron* jako dziecko błyskawicznie nauczyła się władać mieczem. Ty jesteś dorosłą kobietą. No dalej, traf mnie tym „szpicem”.

Spróbowała. Sparował uderzenie, nie przesuwając się nawet o cal, a ona poczuła ukłucie w brzuch.

– Powtórka.

Tym razem ból w barku podpowiadał, że straciła ramię.

– Balansuj ciałem! – poradziła Morena ze swojego punktu obserwacyjnego na ogrodzeniu padoku.

Obok niej wisiał przerzucony przez płot płaszcz brata.

– Cisza tam! – Keegan wycelował miecz w Morenę i zwrócił się z powrotem do Breen. – Dawaj!

– Kurde, Keegan, ona jest początkująca. Wyluzuj trochę.

– Początkująca i dwa razy martwa. Próbuj!

I tak to trwało. Śmiertelna rana za śmiertelną raną. Miała ślady po ukłuciach na całym ciele.

– Cholerny despota! Breen, przyłóż się. Zablokuj skurkawańca.

Próbowała. Pot zalewał jej oczy, spływał po bolących plecach, ale próbowała. Udało jej odparować cios, który niechybnie skróciłby ją o głowę. Impet zderzenia się mieczy zwichnął jej ramię.

– Muszę...

– Garda! – warknął. – Jeżeli nie potrafisz nic innego, blokuj.

Jednak jej miecz ześliznął się po klindze jego miecza i Keegan zabił ją kolejny raz.

Stał przed nią bez śladu zmęczenia, gdy ona oddychała z poświstem. Chwycił ją za nadgarstek.

– Trzymaj ten przeklęty miecz, masz dość siły. I ruszaj nogami oraz głową, zanim ją stracisz. Ani na moment nie zapominaj, że chcę cię widzieć martwą. Chcę twojej śmierci.

Parował jej kolejne uderzenia.

– No dalej, zabij mnie.

Nacierał na nią raz za razem, aż w końcu musiała chwycić miecz oburącz.

– Uderz!

Zamierzyła się, a on wybił miecz z jej dłoni. Zachwiała się i wtedy jednym pchnięciem położył ją trupem.

– Ty jej nie trenujesz, tylko się nad nią znęcasz. – Rozsierdzona Morena zeskoczyła z ogrodzenia i podniosła z ziemi miecz. – Dobrze wiesz, że to nie jest uczciwa walka.

Zrobił kilka kroków i znalazł się przy Morenie. Stali teraz twarzą w twarz, oboje uzbrojeni i wściekli.

– Nie ma uczciwej walki podczas bitwy i ty o tym dobrze wiesz. Chcesz ją widzieć żywą czy martwą? Bo jeżeli to jest szczyt jej możliwości, na pewno skończy martwa. Jest do niczego w fechtunku i prawie tak samo beznadziejna w walce na pięści.

Wyszarpnął miecz z dłoni Moreny i cisnął go w stronę Breen.

- Podnieś go, wstań i spróbuj jeszcze raz.
- Nie jestem beznadziejna.
- Udowodnij, jeżeli czujesz się na siłach. Podnieś miecz. Walcz albo zgiń.

Całe ciało płonęło jej z bólu, ale to było nic w porównaniu z wrzącym w niej gniewem.

Nie była beznadziejna.

- A więc zgiń – warknął, nacierając na nią mieczem wycelowanym do śmiertelnego pchnięcia.

Zamachnęła się, posyłając całą złość w ramię. Gniew przeszył ją ogniem i dodał mocy uderzeniu.

Keegan przeleciał kilka metrów w powietrzu, wpadł na ogrodzenie i przetoczył się na padok, a po drodze złamał sztachety.

Morena zastygła na ułamek sekundy z szeroko otwartymi oczami.

- Breen, dosyć. Wystarczy! – zawołała, powstrzymując ją przed szarżą na Keegana.

On już zdążył usiąść, uciszył siostrę machnięciem ręki i przeniósł spojrzenie na Breen.

- No, nareszcie ktoś się przebudził – zauważył z ponurą satysfakcją.

Breen przycisnęła drżącą dłoń do ziemi. Zszokowana niespodziewanym przypiływem siły, nadal czuła pulsowanie w całym ciele.

- Nie chciałam...

– A powinnaś. – Keegan podniósł się z ziemi. – Musisz wykończyć wroga, bo inaczej on wykończy ciebie.

– Leci ci krew z nosa.

Niedbale otarł ją wierzchem dłoni.

– Udało się i ponownie się uda. Weź miecz, wstawaj.

– Keegan, ona jest roztrzęsiona. Ja zresztą też. Daj jej spokój.

– To coś nadal jest w niej. Przecież widzę. – Przykucnął przy Breen, ujął ją za podbródek. – Czujesz to. Wykorzystaj. Popracujemy nad kierowaniem tą siłą i kontrolą, tak aby pojawiała się i znikła, kiedy chcesz.

Wpatrywał się w nią z napięciem. Pierwszy raz widziała w jego oczach zadowolenie i uznanie.

– Właśnie tego chciałeś – wreszcie do niej dotarło.

– Tak, bo to konieczne. Moreno, idź uciszyć Harkena. Szaleje w stajni, jakby się paliło. I niech on uspokoi Aisling i Mahona. Wy tłumacz im, że tutaj nic złego się nie dzieje.

– Wstawaj. – Podciągnął Breen za ramię. – Teraz zacznie się prawdziwy trening.

Zła na niego, na siebie, na wszystko, spróbowała wyrwać rękę.

– Celowo to robiłeś, prowokowałeś mnie, poniżałeś.

– Długo czekałem na efekty. Powoli się rozgrzewasz, Breen Siobhan, ale kiedy już zapłoniesz, masz w sobie piekielny ogień. Teraz to wykorzystamy.

– Nie chcę... – Nieprawda – pomyślała, kiedy stał przed nią, z dłonią zaciśniętą na jej ramieniu i czekał. Czymkolwiek

było to coś, co w niej eksplodowało, chciała tego, bo odniosła wrażenie jednocześnie przerażające i cudowne.

– Nie zraniłam cię celowo. Nie miałam nad tym kontroli. Mogło dojść do czegoś znacznie gorszego niż rozbicie nosa.

– To prawda, dlatego ci pomogę. Pomogę ci – powtórzył i po raz pierwszy jego słowa nie raniły jej, nie obrażały. – Ja też mam w sobie to coś, bo także jestem z Widzących, ale w tobie płynie krew bogów i dlatego masz tego więcej. Twój ojciec również. Kiedy mój zginął, wtedy on zajął się moim szkoleniem i traktował mnie jak syna.

W milczeniu objął wzrokiem pole, padok i chatę z kamiennych ciosów.

– Ta farma to twoje dziedzictwo.

– Nie. Nigdy bym...

Rzucił jej niechętnie spojrzenie.

– Nie powiedziałem i nigdy nie powiem, że dostaniesz ją z powrotem. Eian dał ją mojej rodzinie, bo wiedział, że będziemy o nią dbać tak jak on. I tak się dzieje. To, co robię dla ciebie, robię dla niego. Dla Talamh. Dla światła. A ty? Nic nie zrobisz? Będziesz nikim?

– Nie wiem, co zrobię. Nie wiem, kim zostanę. Ale na pewno nie będę nikim. Kiedyś byłam niewidoczna i nie ma do tego powrotu.

– W takim razie weź miecz. Dzień ma się ku końcowi.

Posłusznie podniosła broń.

– Tylko lepiej mnie aż tak nie wkurzaj.

Uśmiechnął się.

– Mam swoje sposoby obrony. Jeszcze nie dałem ci ich posmakować.

Kilku posmakowała i chociaż nie przypadły jej do gustu, co nieco się nauczyła. Kiedy wróg zasypuje cię gradem ciosów, odpowiedz mu połączeniem błyskawicznych cięć. Gdy padasz, podnieś się, zanim cię przebije.

Nauki niezbyt przyjemne, lecz zdecydowanie pożyteczne.

– Wystarczy. Muszę wracać. Zapada zmierzch.

– Bitwy nie kończą się wraz z zachodem słońca.

Czy on nigdy nie ma dość? – pomyślała.

– Czas na mnie. Nie chcę iść w ciemnościach ponad kilometr przez las.

– Skrzaty ci poświecą, jeżeli je poprosisz, ale sama masz na to sposób.

– Nie wpadłam na to, żeby ukryć latarkę po drugiej stronie. – To wcale nie był głupi pomysł. – Przecież nie będę chodziła po lesie ze świecą czy latarnią.

– Wykrzesaj swoje światło.

– Jakie światło?

Donośne zgrzytnięcie, z jakim wsunął miecz do pochwy, świadczyło o zniecierpliwieniu.

– Daj mi rękę.

– Po co?

– Och, kobieto. – Chwycił jej rękę, odwrócił dłoń do góry. – Wiesz, jak przywołać ogień.

– Tak, ale...

– Ogień to nie tylko płomień. Może być zimny albo gorący, ty decydujesz. Ogień to światło. Jeżeli potrafisz wydobyć ogień, możesz też tchnąć światło. Źródło jest w tobie, czerp z niego, wywołaj chłodne, jasne światło i zobacz kulę na swojej dłoni.

Ma bursztynowe oczy – pomyślała. Ze świetlistymi cętkami w morzu zieleni.

– Nigdy nie...

– Skup się na świetle wewnątrz. Zobacz je, poczuj, wejrzyj w nie. Swoją wolą uformuj na dłoni kulę chłodnego, białego światła.

Rzeczywiście, zamigotało. Zaskoczona, o mało nie straciła koncentracji, ale on przytrzymał jej rękę, zaciskając palce na nadgarstku.

– Zatrzymaj je, wzmocnij, uformuj – dyrygował.

Na jej dłoni z jego palcami owiniętymi wokół nadgarstka pojawiła się świetlista biała kula. Spojrzała na Keegana. Światło błyszczało na jej dłoni, w sercu i w oczach.

– Piękne.

– Wystarczy do oświetlenia drogi.

Puścił jej rękę, cofnął się.

– Powoli się koncentrujesz i łatwo rozpraszasz. Musisz nad tym popracować. Wróć jutro.

Podniósł jej miecz, ściągnął płaszcz z ogrodzenia i ruszył w stronę chaty.

– Dziękuję.

Przystanął i obejrzał się na nią ten mężczyzna z mieczem przy boku i drugim w ręce na tle miedzianego blasku zmierzchu.

– Nie ma za co.

Zawołała psa i skręciła na ścieżkę do bramy, z zachwytem wpatrując się w dłoń.

Dogoniła ją Morena.

– Chciałam ci poświecić, bo w lesie o zmierzchu robi się ciemno.

– No właśnie. Zobacz, co zrobiłam.

– Bardzo ładna kula. Odprowadzę cię kawałek, bo inaczej Harken zagoni mnie do dojenia krów.

– Zapraszam do mnie na wino, wypijemy za kolejny przeżyty przeze mnie dzień.

– Z przyjemnością się napiję. Ale dzisiaj nie tylko przeżyłaś.

– Wystraszyłam się nie na żarty.

Fąfel pierwszy wdrapał się po schodkach na drzewo i przeszedł przez koronę. W lesie po drugiej stronie nadal było jasno.

– Też byłam przerażona. Wyglądałaś na rozwścieczoną, a tamten szczęk miecza do teraz dźwięczy mi w uszach. Rany, on przeleciał w powietrzu, no nie? – Morena ze śmiechem machnęła ręką, sypiąc iskrami. – Jak ptak podczas wichury. Kocham go jak brata i przez moment szczerze się o niego bałam. Ale jak zobaczyłam, że tylko poleciała mu krew z nosa, uznałam, że zasłużył na ten lot.

– Wystraszyłam się nie na żarty – powtórzyła Breen. – To po prostu ze mnie wystrzeliło.

– On tego chciał. No, może impet go zaskoczył, bo inaczej zdążyłby choć częściowo zablokować cios. Ale teraz rozumiem jego metody, widzę, jak działa. Mogę się założyć, że masz sporo siniaków.

– Wygrałabyś zakład, ale dobrze mi idzie ich leczenie.

– No, wiem, Aisling mi mówiła. – Machnęła obiema rękami, posyłając w powietrze feerię iskier.

– Super. Chyba nie muszę zgadywać, jak oświetlisz sobie drogę do domu.

– Nie, chociaż będę wracać po winie. – Zarzuciła pięknymi, długimi włosami. – I wskoczę Harkenowi do łóżka.

– Super – powtórzyła Breen, a Morena parsknęła śmiechem.

– Czy ktoś w Filadelfii usycha z tęsknoty za tobą w pustym łóżku?

– Nie, od jakiegoś czasu nie ma nikogo takiego.

– Jesteś ładna, mądra i dobra. W takim razie wszyscy faceci w Filadelfii to głupki.

– Tam byłam inna.

– Tutaj wielu chętnie by z tobą pofiglowało, gdybyś tylko zechciała. Powinniśmy urządzić tańce, żebyś mogła się rozejrzeć.

– Siedzę nad książką, mam lekcje z babcią, z Aisling, treningi z Keeganem – dochodzę do siebie po treningach z Keeganem – nie mam czasu na figle.

– Och, na to zawsze jest czas. – Morena pokręciła głową i rozproszyła światło, bo właśnie dotarli do krawędzi lasu. – Jeżeli tak myślisz, to według mnie, waszym mężczyznom (lub kobietom, jeśli wolisz) brakuje biegłości w tych sprawach.

– Chyba masz rację, przynajmniej brakowało jej tamtym mężczyznom, z którymi miałam do czynienia. – Przed chatą popatrzyła na dłoń. – Nie powiedział mi, jak to zgasić.

– Wolą – odparła niefrasobliwie Morena.

– Wolą.

Trochę to Breen zajęło, ale światło powoli zbladło, skurczyło się i w końcu znikło.

– Ha! Zajmij się winem, a ja nakarmię psa.

– To mi odpowiada.

Kiedy weszły do środka, Breen obejrzała się na Morenę.

– Kobiety mnie nie pociągają.

– Mnie też nie. Nie zamierzam cię uwieść.

Breen zaśmiała się i pokręciła głową.

– Właśnie przyszło mi do głowy, że w Filadelfii nie miałam przyjaciółki ani bliskich koleżanek.

– Z waszymi kobietami też jest coś nie tak?

– Nie, to ja miałam z tym problem. – Jaka dziwna i przykra refleksja – pomyślała. – Zawsze był przy mnie Marco. I Sally, Derrick i wszyscy ludzie, którzy pracowali u Sally.

– Sally to kobiece imię.

– W tym wypadku to akurat Salvador. Wychodzi na to, że trzy najbliższe mi osoby w Filadelfii to geje.

- Geje? – Morena spojrzała na nią pytająco.
- Ich pociągają mężczyźni. Sally i Derrick się pobrali.
- Aha. W Talamh nie ma na to specjalnego słowa. Po prostu jest miłość i jest seks.
- Brzmi... sensownie.

Breen nasypała karmy do psiej miski, Morena nalała im wina.

– Miło cię znowu widzieć. Z przyjemnością wypiję kieliszek wina pod koniec dnia.

– Tak – przyznała Morena. – Wypijmy po dwa.

Po wyjściu Moreny Breen poćwiczyła zapalanie i gaszenie świetlnych kul.

Potem wyprowadziła Fąfla na wieczorny spacer i czekając na brzegu, aż pies wychłapie się w zatoce, zaciekawiona spróbowała rzucać świetlne bańki nad wodę i przyciągać je z powrotem.

Pierwsze próby nie należały do udanych, ale stopniowo coraz lepiej jej szło. Z kulą światła na dłoni popatrzyła na księżyc.

Jest teraz w Irlandii – myślała – a nadal trzyma na dłoni światło i moc.

Nie, już nigdy nie pozwoli nikomu się poniżać.

*

W Talamh, pod niebem z dwoma księżycami Keegan wracał do domu na swoim smoku. Miał zamiar pójść z książką do łóżka i czytać, dopóki nie zmorzy go sen. Ale wyczuwał, choć bardzo tego nie chciał, że Morena z Harkenem wła-

śnie się zabawiają. Znał tych dwoje, o ile nie opadną z sił, te ich miłosne igraszki potrwają do świtu.

Zmienił zdanie, zawrócił w stronę Stolicy. Nie w głowie mu była polityka, zebrania czy sądy – tym zajmowała się jego matka.

Pragnął kobiety i wiedział, gdzie ją znaleźć. Aby uniknąć pytań i zbędnych rozmów, zatrzymał Crogę nad donżonem i zwinnie zeskoczył na balkon. Gdy nadejdzie pora, smok wróci i odwiezie go do domu.

Zobaczył ją przez udrapowane muślinowe zasłony. Siedziała przed gotownią i powolnymi pociągnięciami szczotki rozczesywała długie płowe włosy.

Miała na sobie białą szatę – przeważnie chodziła w bieli – cienką jak zasłony w oknie.

Shana. Jej ojciec służył w Radzie, a na wojnie jej brat walczył u boku Keegana.

Rozgarnął zasłony i ich oczy spotkały się w lustrze.

– Dobry wieczór, *taoiseachu*. Nie spodziewaliśmy się twojego powrotu. – Shana, urodzona i wychowana w Stolicy, mówiła z akcentem mieszkańców wschodniej części krainy oraz ludzi z wielkomiejskich sfer. Miała też wyrafinowane maniere typowe dla obu tych miejsc. – Ucieszysz matkę swoim widokiem.

Podniosła się od gotowni. Żar w kominku oświetlił jej postać i ciało przeświecało przez cienką szatę, co, jak oboje wiedzieli, nie było przypadkowe.

– Nie przyleciałem do matki.

– A więc do mnie. – Uśmiech powoli rozjaśnił jej twarz i objął złote jak u kota oczy. – Czuję się zaszczycona. Napijesz się wina?

– Z chęcią, poproszę.

Poruszała się z gracją tancerki. Zwinne ruchy odziedziczyła po przodkach chochlikach, ale teraz krążyła po komnacie z rozmyślną powolnością, pozwalając mu nasycić wzrok.

– Jak się sprawy mają na zachodzie? – Nalata rubinowego wina do szklanych pucharów.

– Nie najgorzej. Pokój nadal trwa.

– Jesteśmy wdzięczni. Ale miałam na myśli wnuczkę Mairghread. Doszły mnie słuchy, że osobiście ją szkolisz.

– Tak, a Mairghread uczy ją magii. Będzie jej potrzebować.

Podawała mu puchar.

– Powiadają, że to skończona piękność. Z ognistorudymi włosami po babce i szarymi jak burza oczami po męskim przodku.

– Owszem, jest urodziwa. – Wyciągnął rękę i przesunął między palcami pasmo sięgających talii włosów Shany. Tak jak jej skóra pachniały jaśminem rozkwitającym nocą. – Jednak ten typ urody nie przyciąga moich oczu.

Kłamstwo – z niechęcią przyznał w duchu. Ciąggle miał w pamięci ożywioną radością i dumą twarz dziewczyny, gdy stała przed nim ze świetlistą kulą na dłoni.

– Ale myślisz o niej. – Nadąsana Shana powiodła palcami po koronkowym zdobieniu koszuli swojego nocnego gościa.

– Muszę o niej myśleć. – Ujął jej podbródek i delikatnie uniósł twarz. – Ale przyszedłem do ciebie.

– Licząc, że otworzę przed tobą ramiona i zaproszę cię do łóża. Przecież mogłam je z kimś dzielić.

– Szczęśliwie jest puste.

Zaśmiała się, upiła łyk wina i odstawiła puchar.

– Na twoje szczęście, Keeganie, moje ramiona zawsze są dla ciebie otwarte, ale kobieta musi czuć, że mężczyzna zabiega o jej względy.

– Shano, czy okazałem mało starania, lecąc do ciebie ciemną nocą? – Znał ją i cenił, więc szybkim ruchem nadgarstka wyczarował dla niej białą różę.

– Ach, czy jakaś kobieta potrafi ci się oprzeć? – Muskając różą policzek, spojrzała na niego spod rzęs. – Ja nigdy nie umiałam.

Pogładziła go po twarzy.

– A więc odepnij miecz, zdejmij buty oraz całą resztę i pójdz w me ramiona. Zapomnijmy o zachodzie.

Mógł odpasać miecz. Mógł ściągnąć buty i całą resztę. Ale nie mógł zapomnieć o zachodzie.

Znał Shanę i musiał się pogodzić z tym, że ona nigdy tego nie zrozumie.

Wziął ją w ramiona, zaniósł do łóża i poddał się pieszczocie jedwabistej, pachnącej skóry, ciepłych warg i biegłych dłoni kobiety, która równie dobrze знаła jego ciało jak on jej.

Wyrzucił z głowy wszelkie myśli i skupił się na tym, co tu i teraz. Krągłe piersi jakby stworzone dla jego dłoni i ust, wes-

tchnienia i gwałtowne oddechy, budzące pożar w krwi. Jej puls przyspieszał dla niego. Dosiadła go, okrywając włosami niczym wonną kurtyną.

– Tęskniłam za tobą, *taoiseachu*. – Z jękiem odrzuciła głowę, biorąc go w siebie. – Tęskniłam za tym.

Niespiesznie poruszała biodrami w narastającej boleśnie rozkoszy. Zacisnął dłonie na jej pośladkach, uważając, aby nie zostawić śladów na delikatnej białej skórze i zgrał się z jej rytmem.

Patrzył na twarz Shany, widział nieobecny wzrok, chłoniął jej piękno. Dał sobie narzucić tempo i zamknął oczy skupiony wyłącznie na niej i na tym, aby nie pozwolić innym obrazom wtargnąć pod powieki.

Gdy szczytowała, podniósł się i pozostał spleciony z nią w uścisku aż do orgazmu.

Wyszeptala jego imię, a on przeklął siebie, bo myślał o innej.

Został u niej jeszcze godzinę. Przyniósł wino i słuchając jej sennych opowieści, gładził ją po włosach, dopóki nie odpłynęła w sen.

Wstał i ubrał się po cichu. Żał, że zostawia tę ciepłą nagą kobietę w puchowym łożu, mieszał się z lekkim poczuciem winy za myśli o innej kobiecie.

– Nie zostaniesz? – wymruczała, podnosząc się na łokciu. Włosy kaskadą spłynęły na jej pierś, gdy wyciągnęła do niego rękę. – Zaśnij i obudź się przy mnie.

– Obowiązki czekają.

– Tutaj też masz obowiązki.

– I nie zapominam o nich. – Wiedziony może żalem, a może poczuciem winy, wyczarował dla niej jeszcze jedną różę i położył na poduszce. – Wrócę, kiedy będę mógł.

Rzuciła mu twarde spojrzenie, które zawsze robiło na nim wrażenie.

– Wtedy mogę być zajęta.

Ucałował jej dłoń.

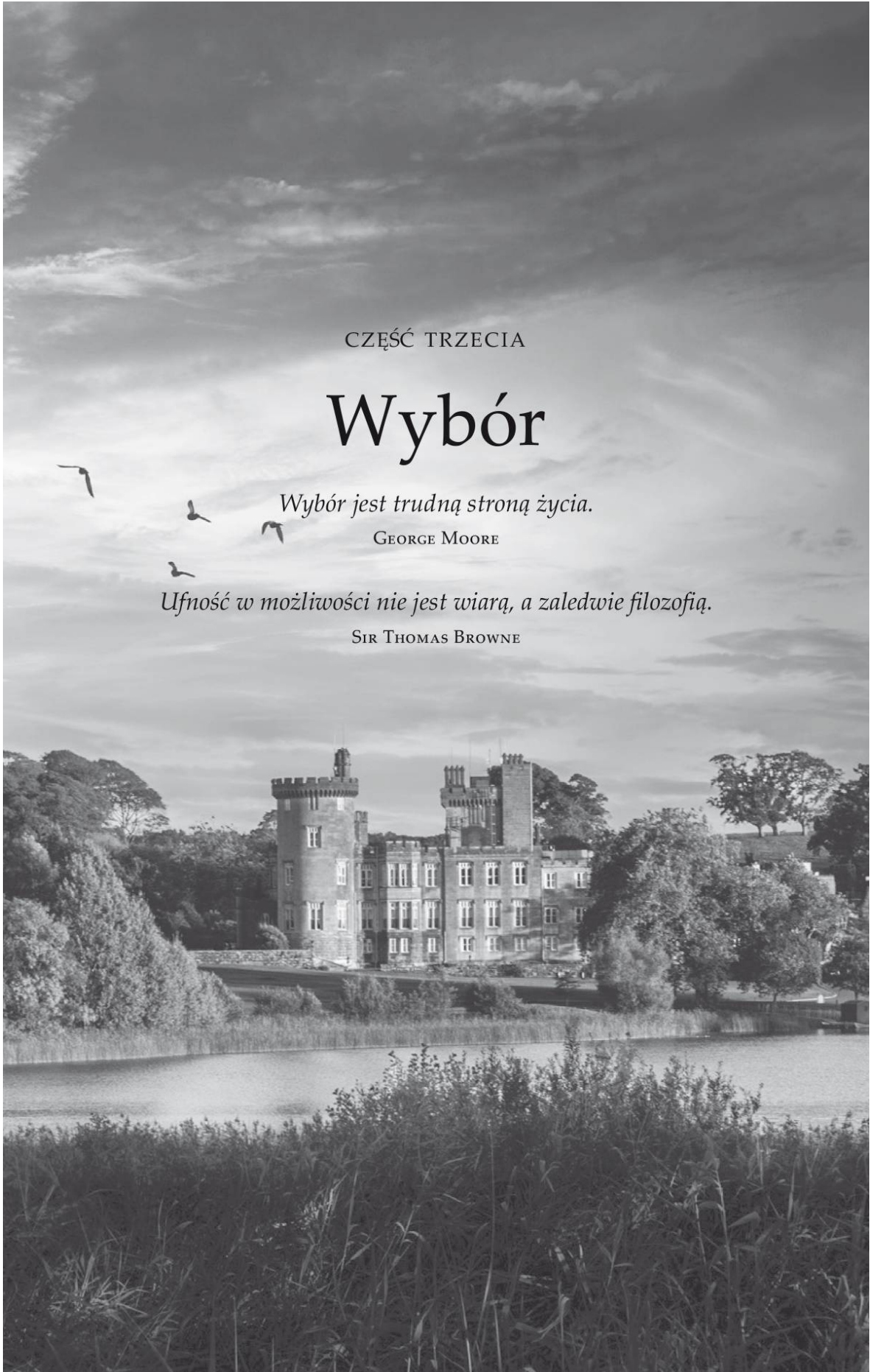
– Dobrze się składa, że twoje komnaty są na drugim piętrze, miałbym okazję wyrzucić intruza przez balkon. Zaśnij już.

Rozgarnął zasłony. Już wcześniej w myślach przywołał smoka i Croga krążył nad dziedzińcem. Na jego widok zawisł nad balkonem, a Keegan stanął na balustradzie i wskoczył na jego grzbiet.

Shana podeszła do drzwi, rozsunęła zasłony i odprowadziła go wzrokiem.

Któregoś dnia – pomyślała – nie odleci od niej. Nie wróci na ten swój zachód z bezkresem pól i owcami.

Nadejdzie taki dzień, kiedy zostanie na zawsze.



CZĘŚĆ TRZECIA

Wybór

Wybór jest trudną stroną życia.

GEORGE MOORE

Ufność w możliwości nie jest wiarą, a zaledwie filozofią.

SIR THOMAS BROWNE



Rozdział 21

Breen szła przez las w stronę portalu, a Fąfel swoim zwyczajem odbiegał, wracał, zataczał koła i węsząc, buszował w trawie.

Piękny, słoneczny poranek wywabił ją na dwór. Pisała na patio, ciepła bryza zawiewała od zatoki, a ostre słońce stroiło ogród w jaskrawe barwy.

Najchętniej zrezygnowałaby z wizyty u babki w Talamh i leniwie spędziła ten pięknie zapowiadający się dzień.

Ale obiecała, nie mogła zawieść Marg.

Owszem, nadal lubiła się uczyć i liczyła, że pozna więcej tajników rzucania uroków. Nawet napisała swoje pierwsze zaklęcie. Małą modyfikację iluminacji, pozwalającą wyczarować siedem świetlistych kul i puszczać je na wodę.

Za zgodą Marg mogłaby tę formułę wypróbować.

Nie miała ochoty spędzić ostatnich dwóch godzin w Talamh, machając cholernym mieczem albo walcząc na pięści i kopniaki. Poćwicz z Keeganem, ale zdecydowanie wolą poświęcić ten czas na magię. Zresztą sam ją do tego zachęcał.

Skupienie i kontrola – powtórzyła w myślach jego słowa. Musiała go jedynie przekonać, że doskonalenie się w tej sztuce miało więcej sensu niż okładanie się zaczarowanymi mieczami.

Fąfel jak zwykle pierwszy przeskoczył przez portal. Jeżeli dzieciaki albo psy będą na dworze, pobiegnie prosto na farmę.

Albo pogoni za Bandą Szóstki, jak nazywała grupkę drobiazgu z różnych plemion wałęsającą się po drogach i lasach, o ile akurat na nich się natkną.

Śniadoskóra elfinka Mina, na pewno ich liderka, często podchodziła do Breen i zadawała pytania o drugą stronę. Dzieci nie mogły przechodzić przez portal bez opieki dorosłych. Warunkiem było ukończenie szesnastu lat, ale Mina miała gotowy plan; przejdzie na drugą stronę i postara się tam obejrzeć wszystko, co tylko się da.

Te maluchy są tak samo ciekawe świata jak wszystkie dzieci – pomyślała Breen – nieważne, czy fruwały, mieszkają na drzewach czy zmieniają się w konie.

Jeżeli chłopcy Aisling będą na dworze, Fąfel pobiegnie do chaty Marg, dopiero gdy się z nimi wyhasa.

Wdrapała się na skały, wspięła po zakrzywionym konarze, przeszła przez portal i ze słonecznego dnia trafiła prosto na siąpiący deszcz i zimną mgłę.

Rozczarowana zmianą pogody, naciągnęła kaptur na głowę i zasunęła zamek przy bluzie. Ostrożnie zeszła ze wzniesienia i ruszyła po nasiąkniętej wilgocią trawie.

Farma tonęła w gęstej mgle. Brenn widziała jedynie bezbarwny kształt kamiennego ogrodzenia i zarys drogi. Taki dzień najlepiej spędza się pod dachem – orzekła, przechodząc przez murek. I to najlepiej przy kominku, bo wilgotne powietrze było chłodne i przenikliwe.

Zawołała psa i trzymała się skraju drogi. Co prawda tutaj nie jeździły samochody, ale zawsze ktoś mógł galopować tędy na koniu, a widzialność była ograniczona do metra. Wyczarowała świetlną kulę, zachwycona szybkością, z jaką ta pojawiła się na jej dłoni. Niestety, światło zamiast rozpraszając opary głównie się od nich odbijało.

Mgła dokładnie zasnuwała widok i na dodatek tłumiła dźwięki, przez co zmieniała zwykły spacer w budzącą grozę przeprawę.

Zupełnie jakby trafiła w sam środek chmury – pomyślała Breen. Martwa cisza i samotność. I gdzieś na końcu nadzieja na ogień trzaskający w kominku i rozgrzewający napój.

Podrzuciła kulę, złapała ją i dla dodania animuszu zaczęła śpiewać *Długą wijącą się drogę*, bo w tych okolicznościach akurat ta piosenka Beatlesów przyszła jej na myśl.

– Masz śliczny głos.

Z mgły wyłoniła się kobieta. Z siwymi włosami, w długiej szarej pelerynie prawie nie odcinała się od tła. Breen drgnęła zaskoczona, o mało nie upuszczając kuli.

– Oj, przestraszyłam cię. Przepraszam – powiedziała z uśmiechem nieznajoma. – Taką mgłę mamy dzisiaj. Ty pewnie jesteś córką tamtego *taoiseacha*, wnuczką Mairghread. Breen, tak? Ja nazywam się Yseult. Jakie miłe spotkanie w taki ponury dzień.

– Tak, jestem Breen.

Z oczu kobiety, szarych, jak jej włosy, nie znikał łagodny uśmiech. W ręce trzymała kosz. Wystawały z niego pióropusze naci marchewki.

– Mieszasz gdzieś w pobliżu? – zaciekawiała się Breen.

– Och, nie. Kawał drogi stąd. Wymieniłam trochę moich produktów na marchew z farmy O’Broinów – tej, która kiedyś należała do twojej rodziny. Nie mam ręki do marchwi, nigdy mi się nie udaje.

– Idę do babci.

– Na pewno jest szczęśliwa, że ma ciebie tak blisko po tylu latach rozłąki. – Yseult ciaśniej owinęła się peleryną, bo przenikliwy ziąb wciskał się pod ubranie. – Mogę zabrać się z tobą i skorzystać z twojego świąteczka w tej pomroce? Chętnie zajrzę po drodze do starej przyjaciółki i złożę jej uszanowanie.

– Oczywiście. Znasz moją babkę? – zapytała Breen, kiedy ruszyły przed siebie.

– Pewnie, tutaj wszyscy znają Mairghread, można powiedzieć, że dorastałyśmy razem. I pamiętam twojego ojca z czasów, kiedy był niemowlęciem w powijakach. Jesteś do nich podobna, do O’Ceallaighów. Tylko oczy masz inne. Po przodkach linii męskiej.

– Tak mi mówiono.

– Wiele lat spędziłaś na zewnątrz. – Wskazała palcem kulę. – Tata uczył cię tej sztuki?

– Nie, tutaj zaczęłam się uczyć.

– Hmm, szkoda, prawda? Twój rodzic miał wielką moc, odziedziczył ją po O’Ceallaighach i po bogu. Wiele mógł cię nauczyć. Ale w tobie też jest moc i płynie krew boga.

– Babcia mnie uczy.

– Tworzyć świetlne bańki.

Breen zerknęła na kobietę zdziwiona jej lekceważącym tonem. Yseult nadal uśmiechała się dobrotnie, lecz jej oczy, jak teraz dziewczyna dopiero zauważyła, z szarych zmieniły się w niemal czarne.

Bardzo ciemne i głębokie.

– Światło jest sednem, istotą i podstawą – odparła Breen.

– Tak sądzisz? To dlaczego tak łatwo je zgasić? – Yseult strąciła kulę z dłoni Breen i zamknęła ją w garści. Kiedy odgięła palce, światła już nie było. – Jakże słabo świeci i jak łatwo je zdtawić. Czerń zawsze przykryje biel, moja droga. Ciemność zawsze pokona światłość. Dobrze zapamiętaj tę lekcję, bo tak było, jest i będzie.

Ona nie jest siwa – pomyślała Breen, kiedy Yseult lekko odwróciła głowę. Kolor wypłynął na jej włosy osłonięte kapturem. Czerwony. Nie ognistorudy, lecz ciemnoczerwony, jak zakrzepła krew. Peleryna nabrała czerni.

Zawartość kosza, która miała być marchwią, zaczęła z sykiem się wić.

– Kim ty jesteś?

– Powiedziałam, jestem Yseult. Ta, która dobrze zna twoją babkę. Jestem ciemnością dla jej światła. To ja pomogłam Odranowi pośląć twojego ojca, a jej cherlawego syna, na śmierć. Chodź, zobaczysz, jak to samo zrobię z kobietą, która go urodziła. A potem zabiorę cię do twojego dziadka. On czeka, żeby oblec cię w złote szaty i pokazać ci prawdziwą moc ukrytą w twojej krwi.

Oszołomiona Breen odsunęła się niezdarnie od Yseult. Twarz tej kobiety, dotąd piękna i budząca sympatię, nagle stała się wulgarna i przerażająca.

Jej postać emanowała ciemnym światłem, a węże, dwugłowe węże, wypełzły nad krawędź kosza, który z wiklinowego zmienił się w złoty.

– Nigdzie z tobą nie pójdę. Nie pozwolę ci zbliżyć się do babci.

Na twarz Yseult wypełzł zadufany uśmiech.

– Ty, taka młoda, głupia i słaba? Zrobisz jeszcze jedną ładną świetlną bańkę, żeby mnie powstrzymać?

Chwyliła Breen za ramię. Palący ból o mało nie ściął dziewczyny z nóg. Zanim zdążyła wyrwać rękę, ukąsił ją wąż.

Zwijając się z bólu, sprężyła się, by przywołać światło i moc, znaleźć tarczę i broń.

Promienie, które wystrzeliły z jej palców, osmaliły pelerynę Yseult, która cofnęła się zaskoczona, unosząc brwi, ale już po chwili arogancki uśmiech na powrót wykrzywił jej twarz.

– No proszę, masz w sobie trochę więcej, niż myślałam. Ale to nie wystarczy, kwiatuszk. Za mało.

Breen skrzyżowała ręce w powietrzu. Tym razem blade błyskawice trafiły w ziemię.

– Pragniesz mieć więcej – judziła ją Yseult. – Czuję, że tego chcesz. Mogę ci to dać. Twój dziad może dać ci więcej, niż potrafisz to objąć swoim wątłym rozumem.

– Nie chcę niczego ani od ciebie, ani od niego.

– A jednak dostaniesz. A my to zabierzemy.

Postąpiła krok do przodu i gdy Breen była gotowa bronić się ostatkiem sił, smok z groźnym rykiem przebił się przez mgłę.

Otoczył Breen ogonem, a z jego grzbietu zeskoczył Keegan.

Z mieczem w dłoni natarł na Yseult. Wiedźma machnięciem koszem cisnęła węże w jego stronę i zniknęła we mgle.

– Ona sprowadzi na ciebie śmierć, *taoiseachu*! – wykrzyczała. – I zajmiesz jej miejsce w czarnej wieży, skąd Odran będzie rządził po wsze czasy.

– Jestem do twojej dyspozycji.

Węże piszczały przeraźliwie, gdy Keegan raził je świetlnymi promieniami. W jednej chwili zmieniły się w popiół i mgła natychmiast się rozpuściła. Po Yseult nie było śladu.

– Jestem do twojej dyspozycji – powtórzył Keegan, wsuwając miecz do pochwy. Obejrzał się na Breen i dał smokowi znak, aby odwinął ogon.

– Jak zamierzasz walczyć, siedząc na tyłku? – warknął, kręcąc głową.

Dopiero kiedy podszedł bliżej, złość zastąpiło przerażenie. Uklęknął przy niej.

– Dopadł cię któryś? Ukąsił?

– W ramię.

Błyskawicznym ruchem podciągnął jej rękaw i zaklął. Krzyknęła przeszyta bólem.

– Wybacz. Nie, nie, nie wolno ci zasnąć! – Kiedy jej głowa opadła, mocno przytrzymał ją za podbródek. – Nie zamykaj oczu. Musimy wypalić jad, zanim trucizna wywoła Sen. Nie ma czasu lecieć do Aisling. Zrobimy to razem.

– Nie wiem jak. Jestem taka znużona.

– Patrz na mnie. Połącz się ze mną. Rozżarz ze mną, roz-
płomień, stopmy dwie moce w jedną. Zobacz czerń rozlaną
we krwi i wypal ją białym płomieniem. Powtarzaj ze mną.

Świat mętniał jej przed oczami, myśli się rwały.

– Co?

– Na bogów, nie zasypiaj. Patrz na mnie. Moje oczy są
twoimi oczami, mój umysł jest twoim umysłem, moja wola
twoją. Powtarzaj ze mną te słowa i przywołaj ogień. Połącz
się ze mną – powtórzył, a ona wymamrotała zaklęcie razem
z nim.

Kiedy skończyli pierwszą część zaklęcia i ból powrócił, z jej
gardła wydarł się jęk.

– Wiem, że cierpisz. Wykorzystaj to. Już jesteś silniejsza.
Wypowiedzmy te słowa razem. Teraz jesteśmy jednością.
Musimy powtórzyć zaklęcie trzy razy. Zostały jeszcze dwa.

To nie ból – pomyślała. To coś nienazwanego. Ogień tra-
wił ją od środka. Kiedy krzyczała, szlochała, on czekał.

– Jeszcze raz, jeszcze tylko jeden raz i będzie po wszystkim.
Przyrzekam. – Mocniej uściśnął jej dłoń. – Jestem przy tobie.
Ostatni raz.

Nabrała powietrza, pogodzona z myślą, że ten niewysto-
wiony ból po raz trzeci przeszyje jej wnętrzności. Patrzyła mu
w oczy, nie odrywała wzroku od złotych cętek pływających
w zieleni.

– Połącz się ze mną – zaczęła i nie wstydząc się łez,
dobrnęła do końca zaklęcia.

– Już dobrze, byłaś dzielna. Muszę cię obejrzeć. Nie zamy-
kaj oczu, nie zasypiaj, jeszcze nie.

Zaskakująco delikatnie odgarnął włosy z jej spoconej twarzy.

– Ta piekielna zdzira porządnie cię poparzyła. Sam się z tym uporam, nie będzie mocno bolało. Widzisz, tu były ukąszenia, rumień, obrzęk. Nie ma po nich śladu. Jad został wypalony. Zostało tylko piętno w miejscu, gdzie Yseult cię dotknęła. Zaraz tym się zajmę.

Pozwoliła opaść głowie. Nawet nie miała siły się zdziwić, że oparła ją na smoczej łapie.

– Gdzie jesteśmy? To nie jest droga przy farmie.

– Wiedźma cię wodziła.

– Słyszałam... wodospad.

– Tak. Wygląda na to, że ona, w przeciwieństwie do Odrana, może swobodnie się poruszać. Czarną magią chciała cię wyprowadzić przez portal.

– Ja... – Odetchnęła z ulgą, bo ramię już nie płonęło i ból zniknął całkowicie.

– No, skończone. – Pogładził ją po policzku. – Byłaś twarda. dzielnie się trzymałaś. – Przykucnął przy niej. – A teraz mi wytłumacz, co ci strzeliło do głowy, żeby pójść z kimś takim jak Yseult?

– Nie wiedziałam, kim jest. Szłam do babci. Ona spytała, czy może pójść ze mną i złożyć jej wizytę. Powiedziała, a może tylko dała do zrozumienia, że są starymi znajomymi. A potem... wszystko się zmieniło. Zabrała światło. Niosłam świetlną kulę, a ona wytrąciła mi ją z dłoni i zmiażdżyła.

Breen nie umknęło, że Keegan cały czas trzymał ją za rękę. Oczywiście dlatego, że jej dłoń drżała.

- Po co komu świetlna kula w jasne popołudnie?
 - Była mgła, padał deszcz i...
 - Mówisz, że była mgła, kiedy tu przyleciałem?
 - No tak, bardzo gęsta.
 - To jej czary, nic więcej.
 - Czyli nie było mgły?
 - Stworzyła złudzenie dla ciebie.
 - Ale jak to możliwe, że tutaj dotarłam? Szłyśmy zaledwie kilka minut. I jak mnie odnalazłeś? Skąd wiedziałeś?
 - Wprowadziła cię w trans. Śpiewałaś. Słyszałem, jak śpiewasz, ale nigdzie cię nie widziałem. Yseult ma moc i dobrze to zaplanowała.
- Obejrzał się, ocenił odległość dzielącą ich od wodospadu, od portalu.
- Na szczęście, nie dość dobrze. Widziałem twoje światło, słyszałem głos. A kiedy światło zgaśło, a głos ucichł, leciałem, kierując się tym światłem. – Dotknął palcem piersi ciut powyżej serca.
- Podniósł się, odwiązał bukłak przytroczony do siodła.
- Woda. Potrzebujesz jej po odtruciu. Marg da ci coś, co postawi cię na nogi, ale do tego czasu nie zasypiaj.
 - Czuję się... jak pijana.
 - Nic dziwnego. Żadne z nas dotąd nie zdejmowało tego uroku.
- Woda spływała do gardła i czyniła cuda. Wcześniej Breen niemal się dusiła.

– Nigdy tego nie robiłeś? Skąd wiedziałeś, że się uda?

– Ale się udało, nie? A teraz wstań. – Wziął od niej bukłak, objął ją ramieniem w pasie i podciągnął. Kiedy się zachwiała, zacieśnił uścisk.

– Kręci mi się w głowie – wymamrotała i oparła czoło o jego bark. – Daj mi trochę czasu. Chyba nie dam rady iść.

– Nie będziesz szła.

Łała mu się przez ręce, ale gdy posadził ją na siodło, w jednej chwili zesztywniała.

– Och nie. Nie sądzę, abym...

Wskoczył na siodło za nią.

– Nie pozwolę ci spaść.

Smok płynnie oderwał się od ziemi i wzbił się w powietrze, klucząc pomiędzy drzewami jak jastrząb.

Wiatr rozwiewał jej włosy, chłodził twarz.

– Ty... nie masz lejców.

– Wiemy, dokąd lecimy. Siodło jest dla wygody jeźdźcy i do przytraczenia ładunków.

Miała zacisnąć powieki i otworzyć oczy dopiero, gdy poczuje grunt pod nogami. Ale jakaś część jej istoty zapra-gnęła czegoś więcej. Powiodła wzrokiem po niebiesko-białym-złotym niebie. Objęła spojrzeniem wzgórze, pola, strumienie i chaty pod nimi. Szmata zieleni, brązu i złota, lazur zatoki z białą pianą na grzbietach fal i od czasu do czasu mignięcie opalizującego ogona.

Pomyślała, że chyba zaczyna rozumieć magię, a co więcej, zaczyna ją czuć.

Poszukała dłoni Keegana.

– Powiedziałem, że nie pozwolę ci spaść, a poza tym jesteśmy prawie na miejscu.

– Nie, nie, nie o to chodzi. To... wszystko jest niesamowite. Cudowne. Takie piękne. – Oczarowana, cofnęła rękę i delikatnie pogładziła smoka po grzbiecie. – Jego skóra przypomina wypolerowany klejnot. Obronił mnie.

– Ma to w naturze. W sercu.

Zobaczyła, że są nad farmą, i pożałowała, że jej pierwszy – i być może jedyny lot – trwał tak krótko.

– Jestem taka wdzięczna wam obu. Umarłabym, gdybyście w porę się nie pojawili.

– Oni nie chcą, żebyś umarła. Na razie.

Kiedy smok usiadł na ziemi, Marg przybiegła do nich ze skomlącym Fąflem.

– Gdzie ona była? Co się stało?

– Yseult się pojawiła. – Keegan zeskoczył ze smoka i zdjął Breen z siodła. – Nic jej nie będzie – rzucił do psa, który wspinając się po jego nogach, próbował polizać swoją panią. Zamiast postawić dziewczynę na ziemi, ruszył z nią na rękach do chaty.

– Sama pójdę.

– Zataczając się, jak podejrzewam. Yseult miała węże Snu – zwrócił się do Marg. – Jeden ją ukąsił.

– Ile czasu minęło?

– Wnieś ją do środka – poleciała Aisling, podbiegając do Keegana. – Usuniemy jad.

– Już usunięty.

– Ty?

– My razem. – Przystanął zniecierpliwiony. – Jak mam wejść do środka, skoro stoicie mi na drodze? – warknął.

– Niech zobaczę. – Aisling położyła rękę na sercu Breen, a drugą dotknęła czoła. – Jest czysta. Marg, ona jest czysta, nie ma powodu do obaw. Dobra robota, Keeganie.

– Trzeba ją napoić kojącym eliksirem. Moja biedna dziewczynka.

– Mahon, kochanie, zabierz stąd dzieci. Breen potrzebuje spokoju. Harken, bądź tak dobry, przynieś kojący eliksir.

– Yseult – Keegan warknięciem wyjaśnił mężczyznom.

Mahon zaklął siarczyście, chłopcy zrobili duże oczy, a żona skarciła go wymownym spojrzeniem.

Keegan wniósł Breen do izby i ułożył ją na kanapie. Fąfel natychmiast przypadł do swojej pani i żarliwie lizał ją po twarzy.

– Potrzebuję Mahona – oznajmił Keegan. – Mieliśmy udać się na rekonesans, zanim to wszystko się stało.

– W takim razie niech Mab popilnuje dzieci. Fąfel, zabieraj się stąd. – Aisling odsunęła psa i pogładziła go po grzbiecie. – Teraz nam zostaw swoją panią. Dołącz do chłopców.

– Biegnij na dwór. – Breen dla pocieszenia cmoknęła Fąfla w nos. – Nic złego się nie dzieje.

Keegan przytaknął głową i popatrzył na Breen.

– Jutro wracamy do treningu. Będzie ostrzej. To nie była przypadkowa akcja. Odran wie, że tu jesteś. I wie, że się

przebudziłaś. Musimy więcej energii włożyć w ćwiczenia.

Harken wrócił z kubkiem, a Keegan wyszedł z chaty.

– Wypij to – poleciła Aisling. – Do ostatniej kropli. Potem dostaniesz gulasz. Na pewno jesteś głodna po tym odtruwaniu.

– Taaa. Czuję się pusta w środku.

– Powinnam to przewidzieć. – Marg usiadła przy Breen i wzięła ją za rękę. – Powinnam się tego spodziewać, zapobiec takiej sytuacji.

– Nie ma w tym twojej winy. Przygotowywałaś mnie. Keegan mnie ostrzegał. Niestety, on ma rację. Powinnam bardziej się przykładać. Okazałam się słaba i głupia – wyrzucała sobie mimo protestów Marg. – Następnym razem będę mądrzejsza.

– Teraz trochę podjedz – zarządziła Aisling – potem nam wszystko dokładnie opowiesz. A my zdecydujemy, co dalej robić. W żyłach Breen płynie twoja krew, Marg, ona nie jest ani słaba, ani głupia. Yseult to wcielone zło i ma te cholernie skuteczne węże. Dowiemy się, jak to wyglądało, i zastanowimy, jak przeciwdziałać podobnym sytuacjom.

Kiedy Breen skończyła relację i na powrót poczuła się sobą, Harken, który dotąd stał przy oknie, żeby mieć oko na dzieci, podszedł do Breen, ujął jej twarz w dłonie i delikatnie pocałował ją w usta.

– Osaczona przez zaklętą mgłę – wyliczał – z potężną wiedźmą, która wypaliła ci piętno i jeszcze ukąszona przez węża Snu, znalazłaś w sobie dość światła i mocy, żeby sprowadzić Keegana. Dziewczyno, jesteś córką godną swojego ojca.

Nie myślała o sobie w ten sposób, uważała, że straciła w ich oczach.

– Mam nadzieję. Nie rozumiem, o co chodziło z tym Snem. Keegan twierdzi, że oni nie chcieli mnie uśmiercić.

– Bo to nie byłaby śmierć – wyjaśniła Aisling – tylko stan, który ją przypomina.

– Znasz baśń o Śpiącej Królownie? – wtrącił Harken. – Jednak nie pocałunek by cię obudził. Ktoś ukąszony przez taką gadzinę zapada w ciemny, głęboki sen i budzi się z niego jedynie z woli tego, kto włada wężem.

– Zdjęlibyśmy z ciebie klątwę. – Marg zamknęła w dłoni rękę Breen. – Ale to trudne i dla wszystkich niebezpieczne. Dobrze, że ty z Keeganem usunęliście jad, zanim dotarł do serca i głowy.

– Chciała mnie przenieść przez portal w wodospadzie. Jak to możliwe?

– Nie słyszałam, aby tutaj przechodziła, odkąd go zamknęliśmy. Musiała wiele lat pracować nad zaklęciem. Ona jest stąd – dodała Marg. – To niewątpliwie jej pomogło. Oczywiście jest więcej portali, wszystkie są ściśle strzeżone. Jednak czasami szpiedzy się przedostają, jak tamten zbir, którego zabił Keegan, kiedy odwiedzałyśmy grób Eiana.

– Była sama – zauważył Harken. – Jeżeli przeszła przez portal, nie mogła zabrać żołnierzy. Udam się tam, sprawdzę, czy nie trzeba zaślepić jakiejś szczeliny, o ile rzeczywiście tamtędy się przecisnęła.

– Wiedźma zmierza z wróżką i hybrydem – wyrecytowała Breen. – Elf z trollem przemykają przez zielony las. Drewnem,

kamieniem, światłem i magią tych pięcioro z powrotem zamknie portal.

Opadła na poduszkę i szeroko otwartymi oczami powiodła po zwróconych ku niej twarzach.

– Co to było?! Ja to widziałam. Ciebie, Morenę i mężczyznę, który zmienił się w niedźwiedzia. Kobietę wychodzącą z drzewa i trolla z kamiennym toporem.

– Miałaś wizję – wyjaśniła z uśmiechem Marg.

– Nie miewam wizji. Znaczą, zdarzają mi się sny, nawet takie klarowne. I czasem mam przebłyski, jak wszyscy, ale...

– Wcale nie jak wszyscy.

– Możliwe, że połączenie twojej siły z siłą Keegana przyniosło wzmocnienie. Chcesz jeszcze naparu? – dodała Aisling.

– Nie, nie, wystarczy. Zupełnie jakbym tam była, patrzyła na to wszystko, ale przez zasłonę. Taką cienką zasłonę.

– Ta zasłona z czasem opadnie – oświadczyła Marg. – A teraz chyba powinnaś odpocząć. Jesteś po ciężkich przeżyciach.

– Nie ma mowy o odpoczynku. Ćwiczymy. Muszę więcej się nauczyć i doskonalić to, co już umiem.

– W takim razie idziemy. – Marg kiwnęła głową i podniosła się z krzesła. – Będziemy praktykować.

Kiedy wyszły, Aisling położyła dłoń na ramieniu Harkena.

– Co ona czuje? – zapytała. – Jestem pewna, że gdy skupiłam się na ciele Breen, ty sprawdziłeś, czy jej umysł jest czysty i jasny. I zobaczyłeś, co zobaczyłeś.

– Tak było. – Harken, który zwykle nie nosił broni, tym razem przypasał miecz. – Umysł ma jasny i czysty, ale strach walczy w niej z fascynacją. Żyje zawieszona pomiędzy Talamh i światem, który zna. Miłość, lojalność, potrzeby i wątpliwości splatają się w niej jak pędy winorośli. – Nałożył kurtkę i czapkę. – Nic na to nie poradzimy, Aisling. Sama musi dokonać wyboru.

– Chętnie grzmotnęłabym cię w głowę za tę twoją cierpliwość.

– To niczego by nie zmieniło. Będzie, co ma być. – Cmoknął ją w policzek. – Idę osiodłać konia, sprowadzę Morenę. Myślę, że ten hybryd z jej wizji to Sean. Jeżeli Mahon i Keegan nie wrócą, zostań na kolację.

– Rozumiem, że mam ją przygotować?

– No pewnie – przytaknął beztroskim tonem. – Lubię towarzystwo, dzieci i dobre jedzenie.

Kiedy zmierzał do wyjścia, żartobliwie pacnęła go w ramię.

– Kiedy wreszcie oświadczysz się Morenie, żeby ona robiła kolacje dla ciebie?

– Jak dobrze wiesz, jest beznadziejną kucharką. A poproszę ją o rękę nie prędzej, niż będzie gotowa powiedzieć „tak”.

– Może przydałoby się trochę ją zachęcić? – mruknęła, kiedy zamknął za sobą drzwi. – Niech bogowie nad tobą czuwają, bracie – powiedziała z cichym westchnieniem i podeszła do okna, żeby mieć oko na dzieci.

Dla nich była gotowa zabić. Umarłaby za nie – pomyślała, splatając dłonie na brzuchu, jakby chciała osłonić rosnące tam życie. Mogła jedynie mieć nadzieję, że Breen stanie do walki za nich i za wszystkie dzieci w każdym ze światów.

Rozdział 22

Breen pracowała i ćwiczyła aż do wschodu księżyca. Z wdzięcznością zjadła pieczeń wołową z warzywami przygotowaną przez Sedrica. I chociaż Marg nalegała, żeby została na noc, uparła się, że wróci do siebie.

Potrzebowała przestrzeni i ciszy, chciała usiąść i w spokoju dokładnie spisać wydarzenia dnia.

Notatki pomogą jej zachować w pamięci szczegóły. Liczyła, że dzięki temu następnym razem uniknie podobnych błędów.

Położyła się do łóżka, a Fafel zwinął się przed kominkiem, który zapaliła siłą myśli (postęp!). Już miała wsunąć rozmaryn pod poduszkę, ale wróciła wspomnieniem do wizji w kuchni na farmie i zmieniła zdanie. Może powinna otworzyć się na sny, niezależnie od tego, co ze sobą niosły.

Znowu zobaczyła czarny zamek z jakby szklanymi murami, wyrastający ze skalistej wyspy, i białe grzywacze bijące o klify.

Bóg stoi na szerokim balkonie najwyższej z wież. Jego czarną pelerynę targa wiatr, gdy ciska w niebo błyskawice ciemnego światła, od których gotują się chmury.

Jego oczy płoną z gniewu, wściekłość wykrzywia twarz.

Deszcz ostry jak groty strzał siecze ziemię i klify z gotującego się nieba. Ci, co mu służą, pierzchają w poszukiwaniu

kryjówki przed śmiertelnie rażącą burzą.

Niektóre strzały wypalają dziury jak kwas. Inne niesione wiatrem wpadają do wzburzonego morza.

Domy na klifach, wyrosłe na gruzach, zapadają się i rozsypują.

Jednak gniew nie opuszcza Odrana.

Z mroku wyłania się Yseult. Wichura płącze jej krwistoczerwone włosy, miota szatą w tym samym odcieniu. Breen widzi we śnie przerażenie w jej oczach, które daremnie stara się ukryć.

– Mój królu, mój panie, mój władco.

On gwałtownie odwraca się, chwytą ją za szyję i podrywa z ziemi. Wiedźma się nie opiera. Przeszywa ją strach, ale nie śmie się wyrwać.

– Zawiodłaś! Miałaś ją do mnie sprowadzić. Powinienem strącić cię do morza. Powinienem widzieć twoje zmasakrowane ciało na tamtych skałach.

Ciska ją na posadzkę balkonu. Breen widzi, jak Yseult mimo strachu i cierpienia podczołguje się do Odrana i klęka u jego stóp.

– Moja cała moc jest na twoje rozkazy. Jeśli mi każesz, bez wahania rzucę się na tamte skały. Ona ma tego więcej, niż myśleliśmy, jej moc rośnie szybciej, niż sądziliśmy. Ale mój królu, mój panie, ta wiedza działa na twoją korzyść.

– Odniósłbym korzyść, gdybyś spełniła swój obowiązek.

– Coraz więcej w niej tego przybywa. Kiedy ją dostaniesz, nie będziesz musiał długo czekać, żeby wypić jej moc.

A kiedy ją wysączysz do cna, żadne wrota, żadne świąty nie pozostaną przed tobą zamknięte.

Yseult nisko skłania głowę.

– Mój królu, mój panie, mój władco. Tobie jednemu tylko wiernie służę. Złamałam wszystkie przysięgi oprócz tej, danej tobie. Połączyłam moją czarną magię z twoją, krwią siedmiu dziewczic pomogłam odbudować twój zamek. I tak jak poprzysięgłam, pomogę ci odbudować twoje wspaniałe miasto, zasiąść na tronie ponad wszelkimi bogami, ponad wszystkimi światami i zetrzeć na pył tych, co są przeciw tobie.

Podnosi głowę.

– Błagam cię, Odranie Niezrównany, nie pozbawiaj mnie życia w gniewie. Jeżeli chcesz je odebrać, zrób to z zimną krwią i chłodnym umysłem na ołtarzu ofiarnym, abym po śmierci służyła ci jak za życia.

Odran przygląda się Yseult. Jego oczy – szare jak u Breen i jej ojca – wpatrują się w nią badawczo.

– Dobrowolnie weszłabyś na ołtarz, wiedźmo?

– Moje życie należy do ciebie. Możesz nim dysponować wedle życzenia, możesz je odebrać. Tak jest, odkąd złożyłam ci przysięgę na krew i dym.

– Wstań. – Daje jej znak ręką i odwraca się. Śmiertelny deszcz i wichura w jednej chwili znikają. On stoi dumnie wyprostowany, lśniąco, złote włosy opadają mu na ramiona.
– Nie wątpię w twoją wierność, Yseult, natomiast nie pokładam wiary w twoje umiejętności.

– Przyjmuję twoje słowa z najgłębszą pokorą.

– Przyślij mi niewolnicę z winem i niech będzie nadobna. I dopilnuj, aby zniknął ten bałagan na dole.

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.

Yseult znika w wieży.

Odran podchodzi do muru i patrzy w dal ponad morzem.

Przez moment, jeden straszny moment, Breen ma wrażenie, że ich oczy się spotykają. Dostrzega w nich coś na kształt zaskoczenia oraz ponurej satysfakcji.

Obudziła się, drżąc z zimna, jakby wyciągnięta spod lodu.

Chwyciła tabletki i zapisała sen. A potem włożyła rozmaryn pod poduszkę.

Rano skupiła się na blogu. Uzpełniła go w ogrodzie, w otoczeniu żywych, radosnych barw i pięknych widoków.

Spróbowała wrócić do pisania swojej książki. Udało jej się posunąć nieco akcję po wprowadzeniu postaci złej wiedźmy z magicznym wisiosem na szyi w kształcie dwugłowych węży.

Później dołączy kilka postaci z rzeczywistego świata, teraz nie miała do tego głowy. Ciągłe wracała myślami do snu, tamtej mgły i wyrazu oczu Keegana, kiedy pomagał jej pozbyć się jadu.

Teraz dopiero do niej dotarło, że on też cierpiał. Tak samo czuł tamten palący, niehumaniczny ból, a jednak przy niej trwał.

Misneach – wyszeptała, nakrywając dłonią nadgarstek. On miał odwagę.

Potrzebowała trochę czasu dla siebie. Musiała się zastanowić, czy w jej przypadku odwaga nie była tylko słowem

wytatuowanym na ręce.

Żeby wyciszyć umysł, postanowiła zająć się zaniedbanymi domowymi pracami.

Nastawiła pranie i pojechała do wsi na rynek. Ze zdziwieniem stwierdziła, że musiała przywyknąć do sposobu życia w Talamh, skoro irlandzka wieś wydała jej się miejscem z innego świata.

Kiedy rozwiesiła pranie, rozpakowała zakupy i wypielita ogród, pomyślała, że jeszcze sprawdzi pocztę przed popołudniową wizytą u Fey.

– O Boże!

Przeczytała mail, poderwała się z krzesła i podobnie jak Fqfel, który czasem biegał bez sensu tam i z powrotem, kręciła się w kółko po pokoju.

Jeszcze raz przeczytała mail i znowu wstała od biurka.

– O mój Boże! No już, dosyć, uspokój się, kobieto. Nie ekscytuj się tak. To tylko kolejny krok. No i co z tego! Ale się cieszyć!

Złapała obskakującego ją Fqfla za przednie łapy i tańczyła z nim po pokoju.

– Agentka chce zobaczyć całość. Nie napisała, żebym więcej nie zwracała jej głowy, nie nazwała mnie grafo-manką. Nie, nie, powiedziała, że podoba jej się pierwszy rozdział i streszczenie, i mam jej dostać resztę!

Wyszła na dwór, żeby ochłonąć, odetchnąć świeżym powietrzem i jeszcze raz odtańczyła taniec radości z Fqflem.

Usiadła do laptopa, napisała odpowiedź i trzy razy ją przeczytała dla pewności, czy wyszła profesjonalnie.

– Dobra, może być!

Dołączyła tekst i zastygła nad klawiaturą.

– Naciśnij „wyślij”, do diabła! Po prostu wciśnij klawisz. – Popatrzyła na psa, który siedział obok z łbem miłośnicie opartym na jej kolanach. – Wolałabym, żebyś ty to zrobił. Szkoda, że nie możesz. A więc...

Nacisnęła „wyślij” i głęboko westchnęła.

– Poszło! Chodźmy na dwór, bo inaczej będę tu tkwić cały dzień i obsesyjnie o tym myśleć.

Spacer z psem niewiele zmienił, bo cały czas krążyła myślami wokół tego maila. Dopiero później zdecydowanie wyrzuciła go z głowy. Jeśli nie przestanie o tym myśleć, w końcu nie wytrzyma i podzieli się z kimś wiadomością. A na razie wołała nic nikomu nie mówić.

Nawet Marco.

Tym razem poszła prosto do babki. Celowo nie wspomniała o śnie, bo nie chciała, żeby cokolwiek oderwało ją od praktyki.

Musiła szybciej się uczyć, więcej umieć.

Spędziła dwie godziny na rzucaniu zaklęć, a jedno nawet sama ułożyła.

Kiedy już wyczyściła tygiel i resztę przyrządów oraz ułożyła kryształ, żeby się ładowały, usiadła z Marg przy herbacie, a Sedric przyniósł ciasteczka, które wyjął na talerz prosto z piekarnika.

– Co za aromat.

– Herbatniki cytrynowe – wyjaśnił. – Finola przysłała świeżo zerwane cytryny.

– Pięknie pachną i pysznie smakują. – Breen z zainteresowaniem przyglądała się złotym krążkom. – Nigdy nie piekłam ciastek.

– Jak to? – zdziwiła się Marg. – Zawsze je pieczemy na Jul, znaczy na Boże Narodzenie, to stara tradycja. Poza tym dobrze mieć pod ręką stój z herbatnikami dla dzieci.

– Moja matka niczego nie piecze i nie pochwałała jedzenia słodczy. Czasami wymykaliśmy się z tatą do cukierni – wspominała Breen. – Po cichu mnie tam zabierał. Kiedyś dziwiłam się, czemu on tak często jej ustępował. Teraz lepiej go rozumiem.

Pomyślała o radości i ekscytacji, z jaką czytała mail od agentki. O praktykowaniu magii po południu.

O śnie o burzy i ciemnych bogach.

– On miał poczucie winy, że żyje w dwóch światach. Nie mógł się w pełni poświęcić mnie i mamie, bo miał obowiązki wobec Talamh. No i musiał mnie chronić.

Wstała i wyjęła z kieszeni kartki z zapisanym snem.

– W nocy miałam sen... może wizję. Wszystko tu zanota-
wałam. Chyba będzie lepiej, jeżeli sami przeczytacie, bo nie
opowiem tego tak składnie. – Wróciła do stołu. – Proszę. –
Podała kartkę Sedricowi. Przeczytajcie to razem. Rozumiem,
ile dla siebie znaczą. Nie pamiętam, ale mam takie wra-
żenie, że już kiedyś piekłeś dla mnie cytrynowe herbatniki.

– Twoje ulubione.

Usiadł z Marg, objął ją ramieniem i razem czytali to, co Breen napisała.

Kiedy skończyli, Marg spłótła dłonie na pliku kartek.

– Yseult jest bardzo przebiegła. To było sprytne posunięcie z tym złożeniem siebie w ofierze. Wiedziała, że on w końcu ochłonie i będzie potrzebował jej daru i mocy. Ale prędszej czy później któreś z nich dopuści się zdrady. To leży w ich naturze. Ona, podobnie jak on, zdradziła swój lud, złamała przysięgę. Żadne z nich nie jest lojalne.

– Ona się go bała. Czułam to.

– I powinna się bać. Przecenia swoje możliwości. Ta pycha razem z żądzą władzy doprowadzi ją do zguby. Tak było z nim – dodała Marg. – Oboje są siebie warci.

– Zobaczył mnie moment przed moim przebudzeniem. Jak to możliwe?

– Łączy was krew. Otworzyłaś się, żeby widzieć. To sprawiło, że on przez moment mógł widzieć ciebie. Ale moc i kontrola były po twojej stronie. Musisz uważać, żeby je utrzymać.

– On chce ciebie. – Sedric dołączył do rozmowy, starannie dobierając słowa. – Z racji swojego pochodzenia masz w sobie wszystko, co daje unikatową moc, większą nawet od mocy twojego ojca.

– Dlatego że moja matka była istotą ludzką, z zewnątrz. Pamiętam, mówiłeś, że jestem jedna, ale na pewno znajdują się inni, którym...

– Nie ma nikogo, w kim płynie krew ludzi z zewnątrz i Fey, zarówno ze strony Widzących, jak i Sidhe, a także krew

bogów. Jesteś jedyna we wszystkich znanych światach –
oznajmił jej Sedric. – Ty jedna masz w żyłach też jego krew.
Ty gwarantujesz mu możliwość zapanowania nad Talamh
albo jego unicestwienia, a potem zniszczenia świata twojej
matki i wszystkich pozostałych.

– Gdy wyssie coś ze mnie. To jak transfuzja.

– Tak, kiedy odbierze ci moc, światło i w końcu życie –
potwierdził Sedric.

– Nigdy ciebie nie dosięgnie, *mo stor* – zapewniła ją Marg.

– W chwili narodzin rozłożyliśmy nad tobą opiekę i zawsze
będziemy cię chronić.

– Mój tata, ojciec Keegana, ilu ich zginęło, żeby mnie
obronić? Sprowadziłaś mnie tutaj, zapewniłaś środki, które
pozwoły mi ciebie odnaleźć, i dlatego muszę się nauczyć
zadbać o siebie.

– Dobrze sobie radzisz... – zaczęła Marg.

– Owszem, z magią. Bo mi się podoba. A co z resztą? Jest
o wiele gorzej, ponieważ za tym nie przepadam. Jednak to
się musi zmienić.

I zmieni się – przyrzekła sobie. – Od dziś.

*

Keegan przyszedł z mieczami na pole, które wybrał na miej-
sce treningu. Widział ją, jak się zbliża od strony chaty Marg.

Jedno trzeba jej oddać – pomyślał. – Jest słowna.

Niezdarnie posługiwała się mieczem i obawiał się, że tak
już może pozostać. W walce wręcz żałośnie szybko lądo-
wała na ziemi. Natomiast była niezwykle punktualna.

Pasma gęstych włosów związanych w koński ogon wymykały się jej spod frotki. Dopasowane spodnie, podkreślające kształtne biodra i nogi, zapewniały swobodę ruchu. Bluzę miała rozpiętą, bo dzień był ciepły i pogodny.

Nie potrafił zrozumieć, jak to możliwe, że kobieta, która porusza się taką sprężystością i gracją, kiedy dochodzi do walki, nagle ma nogi jak z gliny.

Tajemnica – uznał. – Miała ich wiele.

Pies znalazł się przy nim przed swoją panią i jak zwykle żądny pieszczot, chwilę się do niego łąsił, po czym pobiegł płoszyć owce i konie.

Zanim Keegan zdążył otworzyć usta, Breen wyjęła z kieszeni plik kartek i podsunęła mu je pod nos.

– Najpierw przeczytaj.

Odeszła kilka kroków i przyglądała się koniom na padoku.

Opisała wszystko zdumiewająco plastycznie i Keegan, czytając, miał wrażenie, że znalazł się w środku wydarzeń. Dostłownie czuł swąd palących się ciał i sierści pachotków oraz niewolników Odrana. Nozdrza wypełniał mu gryzący zapach siarki niesiony porywistym wiatrem, słyszał huk wzburzonego morza. Z satysfakcją obserwował śmiertelnie przerażoną Yseult.

Kiedy doczytał do końca, złożył kartki i podszedł do Breen.

– Pozwoliłaś mu się zobaczyć.

– Nieświadomie.

– Ty miałaś nad tym kontrolę – wytknął jej.

W przeciwieństwie do babki, Keegan nie owija niczego w bawełnę – pomyślała. – Dała mu przeczytać sen, bo liczyła, że jego buta podziała na nią motywująco.

– Teraz to wiem, ale wtedy nie wiedziałam. Wcześniej sądziłam... wydawało mi się, że rozumiem, czego Odran ode mnie chce i dlaczego. Jednak nie do końca tak było. Ten sen mi uświadomił, że kiedy się urodziłam, mój ojciec stał się dla niego bardziej przeszkodą niż łupem. Dlatego go zgładził. Ojciec zginął w mojej obronie. Tak samo jak twój i wielu innych mieszkańców Talamh. Niby to rozumiałam, ale dopiero teraz świadomość tego dramatu zapadła mi w serce. Tak wiele na mnie spadło tego lata, co chyba mnie usprawiedliwia.

Wzięła od niego kartki i schowała do kieszeni.

– Sedric powiedział, że jestem wyjątkowa. Boże, jak ja kiedyś pragnęłam się wyróżniać, wybić się ponad przeciętność, obojętnie z jakiego powodu. A teraz ta moja wyjątkowość wcale mnie nie cieszy. To ciężar i odpowiedzialność.

Odwróciła się do niego.

– Jestem z natury obowiązkowa. I staram się sprostać oczekiwaniom, nawet jeśli niekoniecznie mi odpowiadają. Myślę, że uczciwie stawiam sprawę.

Zdjęła bluzę, przewiesiła ją przez ogrodzenie i stanęła w czarnym T-shircie, który odśaniał jej umięśnione ramiona.

– Więc nie oszczędzaj mnie w walce; ani w obronie, ani w ataku. I naucz mnie korzystać z tego, co podobno mam. Słabo sobie radzę, kiedy się denerwuję. Wczoraj spanikowałam przy Yseult.

– Ukąsił cię wąż.

– Wcześniej.

W zasadzie nie znoślił usprawiedliwiać cudzych błędów, ale czuł, że powinien podnieść ją na duchu.

– Wywołała mgłę, a ona przypomina narkotyk.

– A więc powinnam się zorientować i jakoś przeciwdziałać.

– No tak. Powinnaś. – Kiwnął głową. – Nie potrafisz wykorzystywać swojej mocy.

– Masz obowiązek mnie tego nauczyć. – Dziarskim krokiem weszła na środek pola i podniosła miecz. – Rób, co do ciebie należy.

Chciał pokryć rozbawienie ironicznym uśmiechem, ale się nie udało.

– A więc, jak rozumiem, to mnie brakuje umiejętności – podsumował, schylając się po miecz.

– Byłam kiepską nauczycielką i dlatego łatwo wyczuwam podobnych sobie.

Przechylił głowę, myśląc o tym, że w Talamh uważano go za jednego z najlepszych nauczycieli. Jednak do niej jakoś nie potrafił dotrzeć. Musiał znaleźć inny sposób.

– Posłuchaj, gdy chodzisz, w twoich ruchach jest gracia i pewność siebie. Jesteś wysportowana, masz silne ręce i nogi. Natomiast z mieczem w dłoni stajesz się niezdarna, brakuje ci werwy.

– Bo to nie jest dla mnie normalna sytuacja. Nie czuję się sobą.

– Traktuj broń jak przedłużenie swojego ciała, inaczej nie pokonasz przeciwnika, bo prędzej on wykończy ciebie. Chodziłaś na lekcje tańca.

– Baletu, ale tylko do jedenastego roku życia.

– Czemu przestałaś?

– Ja... Jennifer stwierdziła, że w najlepszym razie będę może nieco więcej niż przeciętna, a jej, jako samotnej matki, nie stać na tracenie czasu i wyrzucanie pieniędzy na fanaberie.

Przyszła mu na myśl jego matka; ona nigdy nie podcinałaby skrzydeł żadnemu ze swoich dzieci. Jak można coś takiego robić własnemu dziecku? Stłumił rosnące w nim współczucie.

– Do jedenastego roku życia – powtórzył zamyślony. – Twoje mięśnie zapamiętały to, czego się nauczyłaś. Wykorzystaj tę wiedzę. Potrafisz... – Narysował palcem kółko w powietrzu.

– Co? Wykręcić piruet? Po co mi to?

– Jestem twoim nauczycielem. Nie dyskutuj ze mną, szkoda czasu. No, pokaż. – Ponownie zakręcił palcem.

Już czuła się jak idiotka, ale posłusznie odłożyła miecz i zaprezentowała piruet.

– Nie, z mieczem. Jeszcze raz.

Na pewno się potknie i nadzieje na sztych, ale podniosła miecz i zakręciła się wokół własnej osi.

– Twoje ciało pamięta. Powtórz. Dobrze. Na pewno znasz więcej kroków. Chcę zobaczyć.

Zrobiła *jete*, *arabesque* i nawet kilka *fouette*. Oczywiście nie w baletkach, tylko w zwykłych butach.

– A więc dzisiaj walka będzie tańcem – oznajmił. – Zaczynamy.

Ostro nacierał, ale tym razem wszystkie bolesne trafienia traktowała jak znaki odwagi. A raz zaskoczyła go, i przy okazji siebie, wykręcając piruet z mieczem, wykończony błyskawicznym – niezbyt mocnym – kopniakiem w brzuch.

– Pozwalasz myśleć ciątu – podsumował. – Jest lepiej. A teraz... – Impet natarcia o mało jej nie przewrócił.

– Ja...

– Blokuj! – Zaatakował jeszcze raz.

– Przestań. Nie wiem, ile siły włożyć w blok, żeby był skuteczny.

– Garda – warknął. Zderzenie się kling wprowadziło Breen w drżenie od stóp aż po czubek głowy.

Tym razem odpowiedziała spontanicznie. Bez namysłu wyrzuciła w górę rękę z mieczem, wkładając całą siłę w zamach. Głównie zderzyły się ze szczęką, błysnął ogień, sypnęły iskry, w powietrzu uniósł się swąd.

– Teraz nacieraj. Utrzymaj siłę. Pochodzi z ciebie. Jest tobą. Nie odstępuj.

Wzbierała w niej moc. Płynęła przez nią, z niej, coraz gorętsza, potężniejsza. On nieustępliwie krzyżował miecz z jej mieczem, odpowiadał ciosem na cios, aż z wysiłku jej ciało zaczęło drżeć, wyczerpane tym pojedynkiem pomiędzy dwoma mocami.

– Patrz, trzymam miecz! – zawołał ponad szczękiem żelaza. – Zamierzam cię zabić. Odbierz mi go.

– Jak? Wystarczy mi tej cholernej orki.

– Odbierz albo zgiń. – Zamachnął się mieczem w powietrzu.

Podpaliła go. Zajął się ogniem aż po rękojeść. Gdy miecz uderzył o ziemię, opuściła ją zapalczliwość. Harken, który zszedł z pola i obserwował tę walkę, rzucił się na pomoc, ale przystanął w pół drogi, gdy Breen doskoczyła do Keegana i chwyciła go za nadgarstek.

– O Jezu! O Boże! – Płonąca rękojeść wypaliła głęboki ślad na jego skórze. Breen, walcząc z mdłościami, przycisnęła dłonie do spalonego miejsca. – Przepraszam, wybacz mi, Keegan. Ja nie chciałam... – jęknęła i zbladła, bo wewnątrz dłoni zapiekło ją żywym ogniem, zanim uwolnił się z jej uścisku.

– Zostaw. Nie tak szybko, nie tak mocno. Popatrz na mnie. – Delikatnie ujął jej podbródek, zmuszając, żeby spojrzała mu w twarz. – Wracaj. Ochłoń. Ogień leczy, ale nie gdy płonie w ciele. Wzniecaj go powoli, bo inaczej za bardzo ryzykujesz.

Patrząc mu w oczy, kiwnęła głową. Z początku poczuła zalewie niewielką różnicę, lecz po chwili pojawiły się ulga i chłód.

– Daj, niech obejrzę – poprosiła półgłosem, obracając jego dłoń wnętrzem do góry. – Podpaliłam miecz.

– Świetny sposób na rozbrojenie przeciwnika. Ale teraz go ugaś, bo szkoda dobrego miecza.

Podpalenie miecza niewiele się różniło od rozpalania kominka – pomyślała – więc ugasi go w taki sam sposób.

– Zróbmy przerwę.

– Powiedziałaś, że chcesz ciężiej pracować – przypomniał.

– Mamy jeszcze czas do twojego powrotu.

– Potrzebuję przerwy – powtórzyła z naciskiem. – Daj mi cholernych pięć minut. Zraniłam cię. Drugi raz. Może dla ciebie w tym twoim machoświecie wielkiego *taoiseacha* to nie ma znaczenia, ale dla mnie ma. A co, gdybyś cały stanął w ogniu? Nie mogę tego robić, dopóki nie nauczę się kontrolować.

Ponieważ zażądała cholernych pięciu minut, demonstracyjnie usiadła na ziemi. Keegan przykucnął przed nią.

Dobrze sobie poradziła, lepiej, niż się spodziewał – pomyślał. – Mylnie ją oceniał.

– Nie sądziłem, że to ci się uda, wina więc leży po obu stronach.

– Ty potrafisz zachować kontrolę i dlatego ja wychodzę z tych walk zaledwie z kilkoma siniakami.

– Nabijanie ci guzów nie sprawia mi przyjemności.

– Prawie ci uwierzyłam. Nie o to chodzi – dodała. – Nie dam rady tego robić, skoro mój dar budzi we mnie lęk. Jeżeli się boję, że mogę posunąć się do czegoś, czego nie da się wyleczyć ani cofnąć.

– Nie tak łatwo mnie zabić. Ale pewnie, możemy nad tym popracować. – Wzruszył ramionami i usiadł po turecku. –

Mogę cię nauczyć bardziej sprawnie posługiwać się mieczem i panować nad ciałem.

Rzuciła mu niechętnie spojrzenie.

– Czy w twoich ustach „sprawnie” znaczy tyle, co przeciętnie?

– Dzisiaj byłaś co najwyżej przeciętna. Owszem, już poruszasz się nieźle i będzie jeszcze lepiej, a ja wcale nie jestem, jak to ujęłaś, „kiepskim nauczycielem”. Musisz doskonalić te umiejętności, lecz to nie one stanowią twoją prawdziwą broń. Najważniejszy jest twój dar i to on budzi twój lęk, bo wiesz, czym dysponujesz. A masz wielką moc. Gdyby światy wyglądały tak, jak tego pragniemy, światło byłoby źródłem piękna i radości, pomagałoby ludziom i służyło do leczenia. Niestety, światy nie wyglądają tak, jak byśmy tego chcieli. Dlatego światło służy nam do obrony, jest naszą tarczą, używamy go do walki ze złem, a nawet do zabijania. Czy możemy się poddać ciemnym siłom?

– Nie. Widziałam – w innej wizji – widziałam, co on zrobił. Chłopiec, mały chłopiec, leżał przywiązany do ołtarza. Widziałam, co z nim zrobił. Nie możemy się na to godzić. Jednak nie daje się dziecku broni do ręki. Ja z moim darem jestem takim dzieckiem. Dzieckiem z bronią.

– Bzdura – uciął. – Zbyt często pozwalasz, aby inni ci wmawiali, że do czegoś się nie nadajesz, że nie jesteś gotowa. Właśnie na tym polega twój problem. – Podniósł się, podał jej rękę i pomógł wstać. – Najlepiej, jeśli od razu popracujemy nad twoimi lękami i wątpliwościami.

– Jak?

– Potrzebujesz wroga. Przeciwnika, którego zgładzisz bez skrupułów.

Podniósł ramiona, wyrzucił w górę, opuścił i kilkakrotnie powtórzył te gesty. Włosy wzburzył mu przywołany przez niego wiatr. Breen poczuła drżenie ziemi pod stopami.

– Wprawiam w ruch ziemię i powietrze. Obdzielam pięcioma kroplami wody. Tworzę obraz tego, który chce wyrządzić zło. Przybądź ogniu, zwiąż zakłęcie płomieniem do chwili, gdy gniew wróci do piekła.

Gdy strzelił palcami, płomień rozbłysł i pojawił się dym. Z dymnej zasłony wyłonił się mężczyzna z mieczem w dłoni.

– Skąd on się wziął? Nie możesz tworzyć ludzi.

– To demon gniewu. Dałem mu twarz wroga, żeby cię... zagrzać do walki.

– Wroga? Ja... To on zaatakował mnie nad grobem ojca. Zabiłeś go.

– Słyszysz, co mówię? To uosobienie gniewu, a nie żywa istota. Ale potrafi się poruszać jak tamten. Może walczyć. Zniknie o zachodzie słońca, o ile wcześniej go nie zniszczysz. Myślę, że będzie dla ciebie dobrą pomocą treningową. Boisz się wyrządzić mu krzywdę?

– Nie. Ale...

– W takim razie gotuj się do walki.

Keegan pstryknął palcami. Gniew skoczył. Trzykrotnie ją zabił, zanim zaczęła skutecznie się bronić. W pewnej chwili mocno chwycił ją w pasie ramieniem, rozwinął skrzydła i poderwał z ziemi. Zapomniała, że napastnik jest tylko uosobieniem. Przerazenie dodało Breen siły. Jej moc uderzyła z siłą topora. Gniew rozwiął się jak dym, a ona spadła na trawę, zdyszana.

– Dobrze. – Keegan podciągnął ją z ziemi. – Jeszcze raz.

Pstryknięciem palców z powrotem stworzył gniew.

– Jak to zrobisz? Nie użyłeś zaklęcia.

– Czar nadal działa. Jeszcze raz.

– Chcę, żebyś mi pokazał, jak to się robi.

– Później.

W odpowiedzi przecięła ręką powietrze i gniew zmienił się w dym.

– Teraz.

– No wreszcie pokazałaś lwi pazur. – Keegan uniósł brwi. – Zabij go jeszcze dwa razy w walce, udowodnij, że masz przewagę, a podpowiem ci, jak zamknąć urok.

– A jutro nauczysz mnie wywoływać gniew.

– Układ stoi.

Śledził walkę. Ona nigdy nie będzie po mistrzowsku władać mieczem, ale musiał przyznać, że całkiem dobrze sobie radziła. Wreszcie wolna od kompleksów, zyskała pewność siebie, której wcześniej jej brakowało, poruszała się z gracją i robiła niemal groźne wrażenie.

Skupienie i kontrola; no cóż, będą musieli nad tym popracować. Dla Talamh, dla Fey i ze względu na pamięć jej ojca zrobi z niej prawdziwą wojowniczkę.

Rozdział 23

Przez trzy kolejne dni pracowała od świtu do wschodu księżyca. Coraz wcześniej siadała do pisania, żeby wydłużyć wizyty w Talamh.

Niewątpliwie ułatwiłaby sobie życie, gdyby zostawała na noc u babki, ale wybrała codzienne wędrówki, bo lubiła samotność i potrzebowała kilku godzin dla siebie. Postanowiła dzielić swój czas między oba światy.

Właśnie takiego wyboru dokonał jej ojciec i teraz widziała, ile musiało go to kosztować. Ze względu na nią zrezygnował z życia w Talamh, a jednocześnie sumiennie wywiązywał się z obowiązków wobec Fey.

Nie będzie gorsza. Musi mu dorównać.

Z czysto praktycznych pobudek kładła pod poduszkę rozmaryn i woreczek z zaklęciami dla ochrony przed snami i wizjami.

Musiła porządnie się wysypiać, żeby sprawnie funkcjonować za dnia.

Piętnaście minut przed północą z głębokiego snu wyrwał ją dzwonek telefonu. Po omacku poszukała komórki. Marco – pomyślała.

– No, hej.

– Pani Breen Kelly?

To nie Marco. Z bijącym sercem namacała wyłącznik lampki. Ktoś jej potrzebuje, stało się coś złego.

– Tak.

– Carlee Maybrook, dzwonię z Agencji Literackiej Sylvan. Wiem, że u pani jest późno. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

– Nie. Nie. Dobry wieczór. – Miała pustkę głowie. – Miło, że pani dzwoni.

– Przed chwilą wyszłam z zebrania i chciałam jak najprędzej się z panią skontaktować. Ja i Agencja Sylvan bardzo chcielibyśmy panią reprezentować.

– Przepraszam, nie rozumiem. – Żołądek podszedł jej do gardła, skóra zaczęła mrowić.

– Zakochałam się w *Magicznych przygodach Fąfla*. Jestem przekonana, że znajdę odpowiedniego wydawcę. Mam nadzieję, Breen (pozwolę sobie mówić pani po imieniu), że przyślesz mi więcej tekstu. Całą serię. Grupa wiekowa, do której adresowana jest ta opowieść, uwielbia serie.

Przez szum w uszach słyszała co drugie słowo. Fąfel obudzony rozmową dźwignął się z pośłania, przeciągnął, podszedł do łóżka i wsparty łapami na kołdrze wpatrywał się w nią miłośnie.

– Ja... Zostaniesz moją agentką?

– Taki mam plan. Jeżeli masz jakieś pytania, chętnie na nie odpowiem.

Pytania? Powinna mieć ich całą listę, a tymczasem ledwo pamiętała, jak się nazywa.

– Czy mogę po prostu powiedzieć: tak i dziękuję?

Odpowiedział jej śmiech.

– Cieszę się. Wysyłam ci umowę. Gdybyś miała jakieś pytania czy wątpliwości, dzwoń do mnie albo prześlij je mailem. A jeżeli warunki będą cię zadowalać, podpisz umowę, odeślij i będziemy działać.

– Zaczęłam kolejną historię z Fąflem, ale na razie mam jedynie ogólny zarys, bo... jestem w trakcie pisania powieści dla dorosłych. To fantastyka. Nie jest...

– Możesz mi wysłać kilka rozdziałów?

Czy serce może wybuchnąć? Czy to fizycznie możliwe?

– Chcesz na nie zerknąć? Naprawdę?

– Tak. Oczywiście. Masz talent, Breen. Twoje pisarstwo jest zabawne i świeże, a Fąfel to prawdziwy skarb.

– Tak – przyznała cicho, gładząc psa po łbie. – To prawda.

– Chcę ci pomóc w budowaniu kariery. Powiem ci, co zamierzam. Jestem pewna, że bez problemu rozreklamuję magiczne przygody jako serię książek przeznaczoną dla nastolatków, złożoną z trzech części. Jeżeli twoja powieść dla dorosłych jest równie dobra, dołożę starań, żeby skontaktować cię z odpowiednim wydawcą.

– Dziękuję. Nie liczyłam na tak wiele.

– Och, zapewniam cię, to dopiero początek. Szczegóły zamieszczę w liście przewodnim, żebyś miała wszystko na piśmie, i załączę umowę. W razie pytań skontaktuj się ze mną niezależnie od pory. I przyślij mi tamte rozdziały.

– Dobrze.

– Przyjemnego wieczoru i do usłyszenia wkrótce.

– Tak. Dziękuję. Do usłyszenia.

Wpatrywała się w komórkę.

– Ja nie śnię. To się dzieje. To naprawdę się dzieje. – Zsunęła się z łóżka i wyściskała uradowanego psa. – Zobacz, co mi dałeś. – Przeszczęśliwa, wtuliła twarz w poskręcaną sierść. – Jesteś skarbem. Moim magicznym skarbem. Moim talizmanem. I jak tu zasnąć? Chodź do kuchni, dam ci coś do pochrupania i wyślę te rozdziały. Muszę zadzwonić do Marco! – Zawahała się. – Lepiej nie. Żeby nie zapeszyć. Nikomu nie powiem. Na razie to będzie nasza słodka tajemnica, moja ty psia muzu.

Czytała umowę i półprzytomna z radości podniecała się każdym słowem. Napisała mail do agentki. Żeby uczcić sukces i szybko zasnąć, wypita kieliszek wina. Odesłała podpisaną umowę i z obawą pomieszaną z nadzieją dorzuciła jako załącznik dwa pierwsze rozdziały powieści.

Jutro wybierze się do wsi i wyśle podpisany wydruk umowy, a teraz wyjdzie z psem na dwór i dopije wino na tarasie.

Nocna bryza chłodziła jej twarz, przyszłość otwierała się przed nią jak widok na pełne morze.

*

Wzięła te roztańczone, migotliwe punkty za świetliki, ale po chwili zorientowała się, że to chochliki. Czy pojawiały się co noc, kiedy spała? Miały obowiązek nad nią czuwać, chronić ją?

Stała na tarasie, a zaledwie kilka kilometrów dalej jacyś ludzie być może akurat tańczyli w ciemności, układali się do snu albo uspokajali płaczące niemowlęta.

Dwa światy, obydwajakby jej. Jak zdoła je pogodzić?

– Muszę znaleźć sposób. Ale nie dzisiaj. Chodź, Fqfel. Spróbujemy złapać trochę snu.

Złapała zaledwie cztery godziny. Brak snu odbił się na jej twarzy, więc po raz pierwszy nałożyła makijaż, nie z próżności, lecz żeby uniknąć pytań wynikających z zatroskania.

Ranek przeżyła w świecie z jednym księżycem, gdzie magia istniała ukryta pod powierzchnią, a potem przeniosła się do świata Fey.

– Wydajesz się rozszargniona.

Stała z Marg w kręgu, który samodzielnie zakresliła. Rozpałała ogień pod kociołkiem, wybrała składniki. Z pomocą Sedrica (sama chyba nie narysowałaby nawet ludzików z kresek) naszkicowała sztylet *athame*, który miała stworzyć dla siebie.

Niektóre narzędzia, jak wytłumaczyła jej Marg, mogą i powinny być przekazywane albo darowane. Pozostałe muszą zostać wykonane przez osobę, która ich będzie używać.

– Zrobiłam błąd?

– Absolutnie nie, ale widzę, że jesteś myślami gdzie indziej. Mówiłaś, że nie miałaś wizji.

– Nie. Za krótko spałam. Zajęło mnie pisanie.

Nie do końca kłamstwo – rozgrzeszyła się sama w myślach – bo rzeczywiście napisała list i streszczenie dwóch rozdzia-

łów.

– Za dużo od siebie wymagasz.

– Tak sądzisz?

– Moja droga. – Marg pogładziła Breen po ramieniu. – Masz swoje opowiadania i pracę tutaj. Chcesz, żebym więcej od ciebie wymagała, i tak jest. Żądasz od Keegana, aby intensywniej cię trenował, i on to robi. Wiem, bo Morena przygląda się waszym treningom.

– Ona jest moją cheerleaderką.

– I twierdzi, że robisz postępy, ale dużo to cię kosztuje. Powinnaś zrobić sobie dzień samych przyjemności.

– To jest dla mnie przyjemność. Nauka z tobą sprawia mi radość. Nie powiem, aby sesje z Keeganem były przyjemne, ale czerpię z nich satysfakcję. Wczoraj zniszczyłam dwa demony gniewu. Dopadłam je, jednego po drugim. – Zawahała się. – Wiesz – postanowiła zdobyć się na szczerość – chodzi o to, że walka jest dla mnie czymś absurdalnym. Kojarzy mi się z brutalnymi fizycznymi grami, w które niekoniecznie mam ochotę grać. Ale wszystko, co robię z tobą, wydaje mi się tak naturalne jak oddychanie.

– W takim razie, odetchnij, *mo stor*, i stwórz zaklęcie. Jest skomplikowane – uprzedziła ją Marg – wymaga precyzji i koncentracji.

– Najpierw srebro wydobyte przez trolli z czeluści ziemi w miejscu, gdzie śpią smoki. – Breen wrzuciła siedem bryłek do kociołka. – Z siedmiu powstanie jedna.

Dla światła i mocy kryształły naładowane energią księżyców, dla mądrości kamienie runiczne. Wymieszać wszystko

i połączyć w kociołku. Wrzucić pióro gołębiczy, symbol pokoju, i wrzos z wrzosowiska gwarantujący piękno. Niech zabulgocze i zawiruje to, co zaczęłam.

Odstąpiła od kociołka i wzięła *athame* babki.

Miała wrażenie, że wyszła poza siebie, przekroczyła granice, a jednocześnie nie pamiętała, kiedy była aż tak skupiona.

– Unieś się, dymie, unieś się biały i zanieś moje słowa w światłość. Kropla mojej krwi wiąże zaklęcie, trzykrotnie poruszam dzwonkiem. Wywołany obraz wrzucam w święty ogień. Niech jasny płomień zamknie zaklęcie.

To, co powstanie, będę używać z oddaniem. Niech tak będzie.

Okrążyła kociołek trzy razy i zgasła ogień.

– Blask bije od ciebie – odezwała się Marg ochryłym głosem, walcząc ze łzami miłości i dumy. – Blask siły i radości. Weź, co należy do ciebie, dziecię mojego dziecka, córko Fey, krwi z mojej krwi. Wiedz, że dzisiaj wzniosłaś się na wyżyny.

Breen sięgnęła po sztylet z kociołka. Ogamiczny napis *odwaga* biegł wzdłuż główki, a na jelcu połyskiwał czerwony kamień Smocze Serce, umieszczony centralnie w pentagramie.

– Piękny. Nigdy nie pomyślałabym, że nóż może być piękny, ale ten taki jest. I należy do mnie.

– To prawda.

Breen, ciągle jeszcze pod wrażeniem rytuału, obracała sztylet w dłoni.

– Babciu, na klindze jest wygrawerowany smok. Nie pamiętam, żebyśmy go naszkicowali. Ty go dodałaś?

– Nie, nie ja. – Marg z dłonią na nadgarstku Breen przyglądała się smokowi w locie. – To dar od bogów – orzekła. – Świetnie się dzisiaj spisałaś. A teraz zamknij krąg. Musisz się posilić przed spotkaniem z Keeganem.

Marg wzięła ją w objęcia i przytrzymała. Breen poczuła się ważna i kochana.

Od wzniosłego po bolesne – podsumowała w myślach, idąc na farmę. Zobaczyła szybującego wysoko jastrzębia. Przystanęła i z ręką opartą na łbie Fąfla obserwowała lot ptaka.

Czuła drżenie psiej głowy pod dłonią, słyszała kłębiące się w niej myśli: No dalej. Idziemy. Psy, dzieciaki, zabawa. Poklepała Fąfla.

– Biegnij. Dołączę do ciebie.

Dwa smoki obniżyły lot nad jej głową. Jeden jak wypolerowane srebro, a drugi w kolorze świeżej zieleni. Oba niosły jeźdźców na grzbietach. Z jednej strony zazdrościła im lata-
nia, a z drugiej cieszyła się, że stoi na ziemi.

Kiedy podziwiała smoki, dołączyła do niej Morena.

– Są niesamowicie piękne.

– I dzielne. Są na rekonesansie. A jeźdźcy to zdaje się Deaglan i Bria Mac Aodha. Bliźnięta. Nie mogłaś ich wcześniej widzieć, bo przeważnie trzymają się Stolicy. Jak ci dzisiaj poszło u babci? – zapytała, kiedy ruszyły spacerowym krokiem.

– To było niesamowite. Szczególnie zakończenie. Zrobiłam *athame*. – Wyciągnęła nóż z pochewki przy pasku. – Chciałam zostawić go w pracowni, ale babcia powiedziała, że przez jeden dzień cały czas powinnam mieć go przy sobie. Coś w rodzaju tworzenia więzi.

– To oczywiste. Sama go stworzyłaś?

– Jakąś godzinę temu. Jeszcze do końca nie doszłam do siebie.

Breen chciała podać nóż Morenie, ale ona potrząsnęła głową.

– Nie. Przez jeden dzień nóż musi czuć tylko jedną rękę. Rzeczywiście jest wspaniały. I powiem ci, że większość osiąga ten poziom alchemii dopiero po latach nauki i ćwiczeń. – Zmierzyła wzrokiem przyjaciółkę. – Musisz być dumna z siebie. Jestem pewna, że sprawiłaś radość Marg.

– Czuję się przeszczęśliwa. To dla mnie niezwykły dzień. Chodź ze mną, popatrzysz, jak dostaję baty.

– Nie jestem pewna co do tych batów, ty też nieźle go okładasz. Dzisiaj nie będę ci kibicować. Po pierwsze, widziałam, jak Keegan siodłał konie, a po drugie, obiecałam pomóc Harkenowi przy stryżeniu owiec. Niech mnie bogowie mają w opiece. Nigdy niczego nie obiecuj mężczyźnie, kiedy leżysz pod nim cała drżąca i napalona.

– Będę pamiętać, o ile kiedykolwiek nadarzy mi się okazja.

– Mówiłam, że wystarczy, żebyś kiwnęła palcem. – Morena kuksnęła ją łokciem.

– Po treningach z Keeganem brakuje mi energii na miłosne uniesienia. Powodzenia z owcami!

– Ha!

Rozstali się. Morena skierowała się na pastwisko, Breen skręciła w stronę stajni.

Nie zaszła daleko, bo Keegan wyszedł jej na spotkanie z dwoma końmi i Fqflem płaczącym się pod nogami.

– Musisz poćwiczyć jazdę.

– Też cię witam i z przyjemnością poćwiczę. – Pogładziła po szyi zaprzyjaźnionego wałacha. – Brakowało mi jazdy.

– Zobaczymy, czy powiesz to samo pod koniec dnia. – Podał jej pas z mieczem.

– Och. – Radość prysła, ale bez dyskusji przypasała miecz.

– Co to? – Postukał palcem w pochewkę.

– Coś, dzięki czemu prawdopodobnie nie uda ci się zepsuć mi dnia. Przed południem zrobiłam własny *athame*.

Zgiętym palcem wskazującym wyciągnęła nóż za jelec. Keegan tak samo jak Morena nie dotknął go, ale obracając dłoń Breen w nadgarstku, oglądał sztylet ze wszystkich stron.

– Sama wykonałaś zaklęcie?

– Oprócz szkicu. Kiepsko rysuję, więc Sedric się tym zajął, ale cała reszta to moje dzieło. Poza smokiem. Nie było go na szkicu, a pojawił się na klindze.

– Widocznie miał tam się znaleźć. – Podniósł wzrok na jej twarz. – Dobra robota, więcej niż dobra. Dobrałaś właściwe symbole.

Wsiadł na konia, poczekał, aż ona schowa sztylet i pójdzie w jego ślady.

– Jeżeli nie masz konkretnych planów, czy moglibyśmy pojechać do ruin cmentarza Świętobliwych? Na grób mojego ojca? Byłam tam tylko raz mojego pierwszego dnia w Talamh.

– Tak samo dobre miejsce jak każde inne.

– Jeżeli mamy ćwiczyć z demonem gniewu, chciałabym spróbować go wywołać. Czuję, że nadal jestem na fali.

– Zobaczymy.

– Widziałam smoki i jeźdźców – opowiadała, kiedy wyjeżdżali na drogę. – Morena powiedziała, że są na rekonesansie.

– Są.

– Keegan rozmawiał z nimi, zanim odlecieli na wschód. Niedługo weźmie Mahona i do nich dołączy. Pozbawi Aisling męża, a dzieci ojca i cała robota na farmie spadnie na barki ciężarnej kobiety i Harkena. Zawsze go martwiły takie problemy i tak już zostanie.

– Morena pomaga Harkenowi strzyc owce. Czy ty...

– Mniej gadania, szybsza jazda. – Zmusił Merlina do galopu.

Przewróciła oczami, ale pogalopowała za nim.

To zupełnie co innego – pomyślała, wspominając tamtą jazdę bryczką po wertepach z mozolnie wlokącym się koniem. Tempo ją podniecało, ale nie miała czasu nacieszyć się widokami i bała się, że zgubią Fqfla.

– Musimy zwolnić. Pies nie nadąża za nami.

– Powiedz mu, gdzie jedziemy.

– Nie pamiętam trasy.

– Do diabła, kobieto. – Zwolnił, ale tylko do kłusa. – Włóż mu do głowy obraz tego miejsca. Był już tam z Marg, znajdzie drogę.

– Nie wiem, jak możesz oczekiwać, że będę robić kilka rzeczy naraz. – Mając na pierwszym miejscu dobro psa, zwolniła do stępa. Kiedy Fafel ich dogonił, przywołała wspomnienie cmentarza, kamiennych ruin, owiec na łące oraz wszystkich zachowanych szczegółów i pchnęła obraz w stronę psa.

Pomachał cienkim jak pejcz ogonem i zadowolony, oddalił się truchtem.

– To może być dla niego zbyt wyczerpujące. Szkoda, że po drodze nie zostawiłam go u babci.

– O bogowie, kobieto, jego przodkami były demoniczne psy. Nie ma sensu rozczulać się nad nim. Sama zobacz, pobiegł na skróty. Nie jest głupi. A teraz użyj kolan, przełóż wodze do jednej ręki i wyciągnij miecz.

Kiedy on wydobył swój, była bliska jednego z tych dawnych ataków paniki.

– Nie, zaczekaj!

– Wróg nie czeka, on wyszukuje słabości przeciwnika. I właśnie się odstąpiłaś. Broń się!

Zabił ją, zanim zdążyła wyszarpnąć miecz z pochwy.

– Wodze w lewej, miecz w prawej. Dalej!

Miecz wyjęła, ale upuściła wodze. Keegan machnął nadgarstkiem i wodze wróciły do jej ręki.

– Pokaż, jak to zrobisz. Jak je podrzucić?

– Siłą woli. Przestań mówić, broń się. Kieruj koniem łapkami.

Spróbowała, nawet zablokowała pchnięcie, lecz jego impet o mało nie wyrzucił jej z siodła. Silne uderzenie powietrza zabolowało ją jak cios wymierzony pięścią.

Chciała zapytać, jak to zrobić, ale nie mogła złapać tchu. Zabił ją kolejny raz.

Siedziała zadyszana pod pogodnym letnim niebem, odgarniając z twarzy wilgotne włosy, a on się na niej wyżywał.

– Żałosne. Źle siedzisz, źle trzymasz miecz, nie jesteś skupiona. Koń też jest twoją bronią, ale nie potrafisz go wykorzystać. No dobra, pies nas wyprzedził, jedźmy.

Schował miecz, zawrócił konia i zostawił ją w tumanie kurzu spod kopyt.

Była rozgoryczona. Zaledwie kilka tygodni wcześniej nauczyła się jeździć konno. I niedawno po raz pierwszy trzymała w ręce miecz.

Ale nie wolno jej zapominać, że czas ucieka. Lato nie będzie trwać wiecznie.

Wściekła, puściła konia galopem. Nie miałaby szansy dogonić ogiera, gdyby Keegan wcześniej nie zwolnił.

Zobaczmy, czy to ci się spodoba – pomyślała. Przełożyła wodze do lewej ręki, wyciągnęła miecz.

– Broń się! – krzyknęła.

Musiła mu oddać, że chociaż zaatakowała go z zaskoczenia, zdążył sprawić, że miecz sam wsunął się mu w dłoń. Ściskając kurczowo wodze, natarła z całej siły. Podbiła jego miecz i wyprowadziła śmiertelne pchnięcie. Ma cholernie wesoły uśmiech jak na trupa – pomyślała i była gotowa go skłóć, bo wyraźnie chciał ją rozśmieszyć. Podobała jej się siła, jaką czerpała ze złości.

– Już nie tak żałosne – skomentował.

Nadal zła, wepchnęła miecz do pochwy i ruszyła przed siebie.

– Hej, minęłaś zakręt! – zawołał za nią. Słyszała śmiech w jego głosie.

– Cholera jasna, niech to szlag! – zaklęta pod nosem, zawróciła zmieszana i pojechała za nim.

Po drodze zabił ją jeszcze trzy razy, w tym raz ku uciesze małego blondaska, który z radości podskakiwał na mami-nym biodrze.

*

Wzruszył ją widok psa warującego przy kępie kwiatów, które pomogła zasadzić na grobie ojca. Usiadł, kiedy się zbliżali, ale nie ruszył się z miejsca.

– Zaprowadzę konie do strumienia i napoję. Na pewno chcesz spędzić parę chwil sama z ojcem.

Wcześniej sardoniczny uśmiech, a teraz czysta dobroć. Osłabił jej chęć pielęgnowania gniewu.

– Dzięki. – Zsiadła z konia i podała mu wodze.

– Okolica jest teraz dobrze strzeżona, nie ma powodu do obaw.

– Dobrze.

– Tylko nie użalaj się nad sobą. – Pstryknął palcami na psa.
– Idziemy, wykąpiesz się w strumyku.

Zostawił ją przy grobie otoczonym pięknym kobiercem z kwiatów.

Stała przez chwilę na lekkim wietrze, zbierając myśli.

– Teraz wiem więcej o tym, co i dlaczego robięś. O wiele więcej. Uczę się od babci i nie zaprzepaszczę tej części siebie. Części odziedziczonej po tobie. Żałuję, że nie mogę z tobą porozmawiać, tak naprawdę porozmawiać, jak kiedyś. Rozumiem, dlaczego nic mi nie mówięś, ale teraz, kiedy już wiem...

Przykucnęła i powiodła palcami po imieniu wyrytym na nagrobku.

– Twoje serce należało do dwóch światów. Myślę, nie, ja wiem, że ze mną jest teraz tak samo. I mam obowiązki wobec obu tych miejsc.

Wyprostowała się i objęła spojrzeniem kamienie nagrobne i pobliskie wzgórza. Słyszała szept wiatru w trawie i pomruki w ruinach, gdzie kiedyś przechadzali się Świętobliwi. Dobiegało jej uszu pobekiwanie owiec i radosne szczekanie Fąfla.

– Gdyby nie ja, nigdy byś stąd nie wyjechał. Twoje serce pozostało tutaj, ale ja byłam tam. Boże, nie chcę cię zawieść. Będę ze wszystkich sił się starała nie sprawić tobie zawodu.

– Kocham cię – wyszeptała. – Tęsknię za tobą. Nie ja jedna. – Obejrzała się na strumień, gdzie Keegan odwró-

cony do niej plecami poił konie.

Przeszła po trawie pośród kamieni nagrobnych. Na wysokości ruin poczuła mrowienie wzdłuż kręgosłupa.

Spojrzała na starą budowlę, z ziejącym otworem. Bardzo szeroki – oceniła i oczyma wyobraźni zobaczyła masywną dwuskrzydłową bramę.

Zamykała to, co było w środku.

To coś nadal tam było. Czuła to przez skórę.

Obeszła ruiny dużym łukiem.

– Zmienię cię przy koniach – zaproponowała Keeganowi.
– Na pewno też chcesz spędzić tam chwilę.

Popatrzył na nią w ten swój szczególny sposób, otwarcie i badawczo.

– Tak. Dziękuję. – Podał jej wodze. – Tam, między drzewami, nieco na południe, stoi potężny kozioł jelenia z imponującym wieńcem. Może podejdzie bliżej, będziesz mogła lepiej mu się przyjrzeć. Jest piękny.

Keegan znał to mrowienie wzdłuż kręgosłupa, doświadczył go wiele razy w pobliżu ruin. I znał szepty niosące się echem pod łukowym sklepieniem i wzdłuż krętych schodów.

Znał pulsowanie powietrza podobne do bicia serca.

W niepewnych czasach przez to pulsowanie przedzierały się jęki torturowanych i błagania o litość pozbawione odpowiedzi.

Może któregoś dnia zaprowadzi Breen w ruiny. Sprawdzi, co ona tam poczuje, co zobaczy.

Jednak nie dziś.

Niebo na razie było czyste, lecz z północy nadciągały bure chmury. Wieczorem zerwie się burza.

Mniejsza z tym.

Westchnął, zapatrzony na grób Eiana.

– Radzi sobie lepiej, niż się spodziewałem. Jeszcze przed nią daleka droga, ale nie jest źle. Będzie lepiej, kiedy przypomni sobie, że ma kręgosłup i nie brakuje jej ducha. Pamiętam jej matkę, myślę, że chciała po tamtej stronie wychować ją na inną osobę. Przykro mi, Eianie, przykro ze względu na ciebie i na Breen, ale cóż możemy na to poradzić?

Na bogów, Eianie, oddałbym głowę za twoje rady. Cholerna polityka może zrobić z człowieka wariata. Dzięki bogom za moją matkę, za jej chłodny i jasny umysł. Będę musiał zawieźć twoją córkę do Stolicy, gdy już będzie na to gotowa. Nie wiem, z jakim spotka się tam przyjęciem.

Obejrzał się na Breen, stała, jak wcześniej on, odwrócona tyłem do cmentarza.

– Jakże chwiejna jest twoja córka. W jednej chwili silna i pewna siebie, w drugiej niczym dziecko we mgle. Jednak wiem, że się nie zatrzyma, wkroczyła na tę drogę i będzie nią podążać.

Podobnie jak Breen przykucnął i powiodł palcem po imieniu wyrytym na kamieniu.

– Nie zawiodę cię. Niczego na świecie nie boję się bardziej niż tego, że mógłbym sprawić ci zawód. Przysięgam jak *taoiseach taoiseachowi*, mężczyzna mężczyźnie, jak Fey drugiemu Fey, że będę jej strzegł i nie zawaham się oddać za nią życia. Nie tylko ze względu na naszą przyszłość, ale także dlatego, że jest twoją córką.

Zanim dokończył monolog, podniósł się i wsunął dłoń do kieszeni.

– Jest piękna. Staralem się nie zwracać uwagi na jej urodę, ale w końcu mam oczy. Kiedy zapala się w niej ten płomień, nie ma piękniejszej kobiety. Tak wygląda prawda.

Spoczywaj w pokoju.

Dołączył do Breen.

– Widziałam jelenia – rzuciła, nie odwracając się. – Wspomniały. Zastanawia mnie, skąd wiedziałeś, że to prawdziwy jelen, a nie jeleniołak.

– Fey rozpoznaje Fey i nikt nie umieści strzały na cięciwie, nie upewniwszy się wcześniej. Ci z zewnątrz, którzy żyją pośród nas, polują wyłącznie z Fey. Tak mówi prawo.

– Ty ustalasz zasady.

– Prawo stanowi Rada, a *taoiseach* jest jej członkiem. Przepis ten obowiązuje od tysiąca lat i będzie obowiązywać przez kolejne tysiąc. Ale nie przyjechaliśmy tu rozmawiać o polityce i zasadach. Będziemy tutaj trenować. Pole po drugiej stronie drogi idealnie do tego się nadaje.

Odebrał od niej wodze i poprowadził konie, a ona zrównała się z nim i szli teraz obok siebie.

– Jeżeli nie znam przepisów, mogę któryś złamać.

Zerknął na nią z ukosa. Chyba tym razem w jego spojrzeniu nie dostrzegła zniecierpliwienia. Czyżby go rozbawiła? Kto wie?

– Zamierzasz zabić kogoś, kto nie jest wrogiem światła? Albo wziąć coś, co nie należy do ciebie? Celowo kogoś

skrzywdzić czy odebrać komuś jego własność? Znęcać się nad zwierzętami?

– Nie planuję żadnej z tych rzeczy. To tyle tych zasad?

Przycisnął wodze kamieniami, dając koniom poszczypać trawę na poboczu drogi.

– Niektóre prawa obowiązują we wszystkich plemionach. Nie wolno za pomocą zaklęć i magii działać na czyjąś szkodę, kraść i tak dalej.

– Jak wyglądają kary?

– Powinny być adekwatne do winy.

– Jak to wyważyć?

Nie westchnął ciężko ani nie fuknął, jak miał w zwyczaju, bo musiał Breen przyznać rację. Należało ją w te kwestie wprowadzić.

– W przypadku nieważkich problemów, takich jak waśnie pomiędzy sąsiadami, rzemieślnikami czy kochankami, ja wydaję osąd po rozważeniu argumentów obu stron albo robi to matka w moim imieniu.

– A co z ciężkimi przestępstwami? Gwałtem, zabójstwem?

– Jesteśmy łagodnymi ludźmi. – Przeniósł spojrzenie na pastwisko, gdzie podrostek wraz z psem zaganiali owce. –

Rzadko dochodzi do takich przestępstw. Tak rzadko, że dotąd nigdy nie musiałem nikogo w takich sprawach osądzać. I dziękuję za to bogom, bo karą jest banicja. Wyrok skazujący oznacza wygnanie do świata ciemności. Niektórzy powiadają, że łaskawsza jest kara śmierci. I może mają rację.

– Czy mój ojciec skazał kogoś na banicję?

– Jak to możliwe, że nie wiesz? – W jego głos wkradło się zniecierpliwienie.

– Bo nikt ze mną o tym nie rozmawiał. – Z napięciem popatrzyła mu w twarz. – Powiesz mi?

Wskazał jej murek z polnych kamieni i sam też usiadł. Patrzył na chłopca z psem na pastwisku. Wraz z wiatrem dolatywały do nich słowa śpiewanej prostej, pogodnej piosenki.

– Właśnie tacy jesteśmy. – Skinął głową w stronę pastuszka. – Dbamy o ziemię, zwierzęta, o siebie nawzajem. Z szacunkiem traktujemy nasz dar i światłość. Jednak zdarzają się tacy, którzy pielęgnują w sobie ciemność. Po porwaniu ciebie, kiedy już zostałeś sprowadzona bezpiecznie do domu, dowiedzieliśmy się, że Odran miał pomocników: razem z Yseult było ich czworo. Dwóch wtopiło się w otoczenie, rozumiesz, co mam na myśli?

– Tak.

– Gdy ich współudział wyszedł na jaw, zostali pojmani, a twój ojciec na czele doborowej drużyny ścigał dwójkę pozostałych. Yseult zbiegła, ale czwartego Eian dopadł.

– I go... zabił?

Keegan spojrzał na nią kątem oka. Wyraźnie słyszał przeżenie w jej głosie.

– Nie wątpię, że czuł pokusę. Ale był *taoiseachem* i musiał przestrzegać prawa. Podobno ów zdrajca, Ultan – od tamtego czasu nie znajdziesz nikogo o takim imieniu – sam się poddał. Jestem pewien, że nikt nie miałby pretensji do *taoiseacha* za odebranie życia Ultanowi, ale Eian O’Ceallaigh trzymał się prawa.

Jakie to niesamowite i zarazem cudowne – pomyślała Breen. – Słońce świeciło, lekki wiatr chłodził twarz, a ona siedziała na murku z mężczyzną, który nosił miecz tak swobodnie jak inni nosili teczki. Gdy opowiadał tę historię z przeszłości, jego tak często szorstki głos brzmiał łagodnie i melodyjnie.

To była jej historia. Jej i ojca.

– I co mój ojciec zrobił?

– Przywiózł Ultana do Stolicy. Tam odbył się proces trzech pojmanych zdrajców. Ponieważ mój ojciec zginął z winy tych trzech, matka zabrała nas do sądu, aby nam pokazać, jak działają prawa i sprawiedliwość.

Owdowiała, z trójką małych dzieci – podsumowała w myślach Breen. – Na pewno była zrozpaczona.

– To musiało być dla niej trudne. Taki cios.

– Moja matka jest silną kobietą. I mądrą. Widok *taoise-acha* zasiadającego na Krześle Sprawiedliwego, jego słowa i świadomość, że prawo działa, łagodziły ból.

Dwóch błagało o litość – kontynuował – i ze łzami w oczach przysięgali, że rzucono na nich klątwę. Jednak istnieją sposoby na odkrycie prawdy i okazało się, że to było wierutne kłamstwo. Ultan, zatwardziały członek radykalnego skrzydła Świętobliwych, pozostał niewzruszony. Według niego Odran jako bóg był prawdziwym władcą, źródłem wszelkich praw. A z dzieckiem – tobą – mógł uczynić, co chciał. Byłaś anomalią, wynaturzeniem powstałym z mieszanina wielu krwi.

– Czy tak wyglądają poglądy Świętobliwych?

– Wielu z nich zostało ich wyznawcami. – Obejrzał się na ruiny. – A tych, co trwali przy dawnych zasadach, mordowano, torturowano i brano w niewolę. I wszystko działo się w imię tych bogów, którzy akurat im odpowiadali. To bolesna i krwawa skaza na naszej historii. Ale o tym innym razem.

– Zgoda. Czy moja matka pojawiła się na procesie?

– Eian przywiózł ją i ciebie do Stolicy dla bezpieczeństwa, ale ona wolą ukryć się z tobą w swoich prywatnych komnatach.

– W przeciwieństwie do twojej matki – mruknęła Breen.

– Nie znam drugiej takiej osoby jak ona. – Uśmiechnął się nieznacznie przy tych słowach, a Breen w tym uśmiechu zobaczyła miłość.

Proces trwał okrągły tydzień, bo za takie ohydne przestępstwo czekała ich surowa kara. My też mieliśmy wydzielone komnaty w zamku. Któregoś dnia twój ojciec przyprowadził cię do nas. Myślę, że chciał dać ci trochę swobody, no i pokazać nam, za co zginął nasz ojciec.

– Ile miałeś wtedy lat?

– Na tyle dużo, żeby wiedzieć, jak Ignęłaś do Eiana. Ale podeszłaś do mojej matki, kiedy wyciągnęła do ciebie ramiona. Przytuliłaś się i jakby dla pocieszenia gładziłaś ją po włosach. Bardzo dobrze pamiętam tamtą scenę, bo rzeczywiście ten serdeczny gest przyniósł jej ulgę.

– Nie pamiętam. Czasem miewam przebłyski, jak przez mgłę widzę jakieś okruchy wspomnień. Ale tego nie pamiętam.

– My pamiętamy – odpowiedział po prostu. – W dniu ogłoszenia wyroku twój ojciec oznajmił wszem i wobec, że ci trzej sprowadzili ciemność na Talamh. Wraz z upadłym i potępionym bogiem potajemnie uknuli plan kradzieży tego, co najcenniejsze, czyli dziecka. Intryga doprowadziłaby do jego krzywdy, może nawet śmierci, a przecież powszechnie wiadomo, że mamy obowiązek za wszelką cenę i na wszystkie sposoby chronić nasze dzieci, dbać o ich potrzeby, uczyć je odróżniać dobro od zła, otaczać miłością i dawać im szczęście.

Posunąwszy się do tego najcięższego z ciężkich grzechów, ci trzej doprowadzili do śmierci wielu dobrych ludzi. Po tych kobietach i mężczyznach pozostały rodziny okryte żałobą. –

Mówiąc te słowa, popatrzył na mnie nie z gniewem, ale z głębokim smutkiem.

Keegan zamilkł na moment.

– Pamiętam tamto spojrzenie. Odbijało się w nim nasze cierpienie i był też żal, że na nim spoczywa wydanie wyroku. Wszyscy trzej oskarżeni zostali skazani na banicję, a kiedy *taoiseach* uderzeniem buławą o stół zakończył posiedzenie, w sali przez jakiś czas panowała kompletna cisza. Nikt nie odezwał się słowem.

Pasterz przeszedł na drugą stronę wzgórza i zniknął im z oczu.

– Myślałem, że wyrok sprawi mi satysfakcję. Ojciec został pomszczony. Nic takiego się jednak nie stało. Poczułem jedynie coś w rodzaju ulgi i pomyślałem, patrząc na Eiana, jakim ciężarem jest przywództwo, jak trudno być sędzią. Tamtego dnia odkryłem, że chociaż wyrok był słuszny i sprawiedliwy, nie zawsze to, co słuszne i sprawiedliwe, musi cie-

szyc. I że nigdy nie chciałbym zasiadać na tym krześle ani trzymać buławy.

– A teraz jesteś *taoiseachem*.

– Ironia losu. – Podniósł się. – Opowiedziałem ci wszystko najlepiej, jak potrafiłem.

– Bardzo dziękuję. – Zsunęła się z murka. – Pomogłeś mi go zobaczyć. – Obejrzała się na grób. – Mam takie szczątkowe wspomnienia związane z ojcem z czasów w Talamh. Pamiętam, jak mnie nosił na rękach przez pole na farmę, jak grał jakieś melodie przy ognisku. Ale najwięcej wspomnień związanych z ojcem pochodzi z życia po drugiej stronie.

– Nie ma za co. A teraz...

Zaczął wyczarowywać gniew.

– Zaczekaj. – Co za człowiek, nie zostawi nawet chwili na wyciszenie emocji. – Sama chcę go wywołać.

Dokończył tworzenie demona gargulca z kłami i pazurami ostrymi jak brzytwa.

– Najpierw tego zabij.

Rozdział 24

Czas biegł nieubłagane. Dzień w dzień Breen wkładała całą energię w doskonalenie umiejętności, zgłębianie magii i poprawianie koncentracji strumienia mocy.

Jednego deszczowego dnia spędziła kilka przyjemnych godzin w pracowni Marg. Robiła amulety, sporządzała tynktury i balsamy. Czerwono-złoty ogień żarzył się kominku, powietrze wypełniały aromaty, a w Breen moc pulsowała naturalnie i równo jak tętno.

Założyła, że w ulewę Keegan albo odwoła trening, albo przeniesie go pod dach.

Tymczasem czekał na nią przemoczony, z gołą głową w tym samym co zawsze miejscu.

– Spóźniłeś się.

– Pada.

– Czyżby? Odeślij psa do Aisling. Dzieciaki na pewno się ucieszą.

Spojrzała na Fąfla, a on polizał ją po rękę i oddalił się truchtem.

– Jak wydałeś komendę?

– W myślach.

– Dobrze. – Odwrócił się i pedantycznie wyczarował trzy zjawy gniewu.

– Trzy naraz? Nie dam ra...

Wycelował w nią palec na znak, by zamilkła.

– Skup się. Na jednego moc, na drugiego miecz, a trzeci walka wręcz. Ty decydujesz, jak chcesz je pokonać. Tylko wybieraj mądrze.

Zrezygnowana, bo liczyła na wolny dzień i wizytę z Moreną u jej dziadków, podniosła miecz.

Miała przed sobą pulchną kobietę z pocziwą twarzą, demonicznego psa i chyba... elfa.

Najbardziej bała się psa, więc zniszczyła go mocą, elfa błyskawicznie przebiła mieczem. Jednak kiedy ruszyła z pięściami na kobietę, ta zmieniła się w niedźwiedzia z długimi, zakrzywionymi pazurami i ostrymi kłami.

– Cholera! – Wymierzyła cios w środek tułowia, żeby uniknąć szponów i kłów. Miała wrażenie, że trafiła w ceglany mur, bo pięść zapiekła ją żywym ogniem.

– Niezbyt mądrze – skomentował Keegan.

Splątane, wilgotne włosy opadły jej na twarz. Zniechęcona, odgarnęła je niedbatym gestem.

– Najpierw zajęłam się największym zagrożeniem – broniła się – niemal jednocześnie zabiłam elfa, bo jest szybki. Tak podpowiadał rozsądek. A ona wyglądała jak podstarzała dojarka.

– Zawsze wierzysz w to, co widzisz? – Lekko puknął ją w czoło knykciami. – Jesteś z Fey, a jednak nie patrzysz.

– Nie wiem jak.

– Bzdura. Elfa rozpoznałaś.

- Domyśliłam się... albo wyczułam.
- Wiedziałaś. Ćwiczymy dalej.

Rozwiał tamte widma i wyczarował trzy nowe. Wszystkie zjawy wyglądały bardzo zwyczajnie. Tym razem miała przed sobą dwie kobiety: siwą z koszem jabłek i młodą w różowej sukni osłoniętej białym fartuchem, oraz mężczyznę z gęstymi, złotobrzgowymi włosami i czarującym uśmiechem na twarzy.

- Patrz, zobacz, działaj.
- Ja...
- Szybko – warknął.

Jego ostry ton poderwał ją do działania; zmobilizował zamiast wytrącić z równowagi. Patrzyła, widziała, działała.

– Wiedźma. – Wycelowwała moc w staruchę. – Hybryd. – Przebiła mieczem mężczyznę, który zmienił się w potężnego kozła sarny i z półobrotu wymierzyła kopniaka w pierś młodej kobiety. – Wróżka.

- Dobrze.

Keegan na zmianę likwidował i tworzył nowe widma. Zdawał się mieć ich niekończący się zapas.

– Dobrze. – Rozproszył ostatnią trójkę. – Jutro pojawi się jedna.

Zasapana, spocona Breen pochyliła się i objęła ramionami kolana.

- Tylko jedna?
- Na razie.

Jutro będzie się tym martwić. Poza tym dyskusje z Keeganem nie miały sensu, szkoda na nie śliny.

– Niech ci będzie.

Gdy odkładała miecz, on podniósł swój.

Spływając potem, popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Nie miałbyś ochoty na piwo przy kominku?

– Miałbym. Później. Kiedy skończymy. Stawaj.

Odparowała cios. Czuła, że nie włożyła w niego dużo siły, ale wiedziała też, że ta kurtuazja długo nie potrwa.

Spróbowała ataku, lecz zablokował go i trafił ją z zaskoczenia. Cofnęła się na znak, że rana nie była śmiertelna.

– Prawie godzinę walczyłam na tym przeklętym deszczu – poskarżyła się. – A ty jesteś wypoczęty.

– Wróg też może być.

Walczyła. Tak naprawdę nigdy go nie pokonała. Owszem, zaliczyła kilka trafień, gdy niezbyt starannie się przykładał i parokrotnie przez zaskoczenie w którymś z konnych pojedynków.

Jak słodko byłoby rozłożyć go na łopatki. Biegłością, sprytem, mocą.

Zaczęła od podstępu, udając bardziej zmęczoną, niż się czuła. Widziała, że on zaczął odpuszczać. Słabo trzymając gardę i dysząc ciężiej, niż musiała, czekała na odpowiedni moment.

Uderzyła jednocześnie mocą i mieczem. Widziała, że zachwiał się na nogach. Kiedy już miała zadać śmiertelne pchnięcie, odparował cios, a ona zdołała go zablokować.

Podeksycytowana, zbyt gwałtownie wykonała półobrót, pośliznęła się na błocie i wpadła na niego z głośnym przekleństwem.

Runęli na ziemię.

Zaasekurował ją i dlatego wylądowała na nim. Zanim zdążyła poczuć wdzięczność, że wziął na siebie impet upadku, przetoczył się i przyłożył jej miecz do gardła.

– Znowu jesteś martwa.

– I mokra, i oblepiona błotem. Pośliznęłam się.

– Pośliznęłaś się, bo zapomniałaś o pracy nóg. Ale wybieg okazał się sprytny.

– Niemniej nie żyję, na dodatek mokra i ubłocona.

– Jest lepiej, niż było. Trudno, aby mogło być gorzej, ale zawsze lepiej to lepiej.

– I według ciebie to ma być komplement.

– Komplementy są dobre na balach i schadzках w świetle księżyca. Chcesz wiedzieć, co myślę? Wprawdzie brakuje ci wprawy i zmysłu wojownika, ale masz jego ciało. Jesteś silna i wytrzymała. Byłaś już taka, kiedy tu przyjechałaś, ale teraz nabrałaś tężyzny.

A deszcz zmienił twoje włosy w długie wilgotne kędziory – odpowiedział w myślach. – Oczy masz szare jak burzowe niebo i usta wypukłe niczym serce wypełnione radością.

Piękna. Może nie była skończoną piękną jak Shana, ale uroda Breen bardziej go pociągała. Na taką twarz można patrzeć bez końca i trudno wyrzucić ją z myśli.

Wpatrywał się w nią, a ona śmiało patrzyła mu w oczy. Śmiało czy nie, jednak na jej policzki wypłynął rumieniec – przekleństwo rudowłosych – barwiąc je niczym ogrodowe róże. Oboje czuli ciepło bijące z ich ciał.

– Czy już ożyłam? – wymruczała.

– Na to wygląda.

Pochylił głowę i wciągnął z oddechem smak tych pełnych ust. W tej samej chwili jego żebra zacisnęły bolesny skurcz. Wypukłe usta wygięły się w uśmiechu.

– A teraz ty jesteś martwy, mokry i ubłocony.

– Sprytne – burknął. Frustracja walczyła w nim z podziwem. – Kobieta zawsze powinna używać forteli, bo często są bardziej skuteczne od ostrej broni.

– Pierwszy się dowiesz, czy potrafię z nich korzystać.

– Dobrze wiesz, że potrafisz. – Stoczył się z niej, podniósł się i pomógł jej wstać. – Przez deszcz szybko się ściemni. Na południu próbowało się przedrzeć paru zwiadowców Odrana.

– Och.

Realny świat dał o sobie znać. Wróciła twarda rzeczywistość.

– Nie ma powodu do niepokoju. Wytropiliśmy ich i uszczelniliśmy granicę. Mimo wszystko odprowadzę cię do domu. Marg by sobie tego życzyła – zaznaczył, zanim zdążyła zaprotestować. – I moja matka. Zrewanżujesz się piwem przy kominku.

– Nie mam piwa.

Popatrzył na nią, szczerze zdumiony.

– Niemożliwe.

– Mam wino.

– Będzie musiało wystarczyć. Zawołaj psa.

Spojrzała w stronę chaty Aisling. Przez deszcz i mgłę zobaczyła jarzące się światła w oknach.

– Nigdy nie przyzywałam go z tak daleka.

– Odległość nie ma znaczenia. Liczy się związek.

Sięgnęła myślami i sercem do psa.

– Fqfel, czas do domu. Wracaj.

Poczuła drgnięcie. Po niecałej minucie usłyszała dobrze znane, radosne szczekanie.

– Kocha cię. – Keegan, patrząc na pędzącego w deszczu psa, odgarnął ociekające wodą włosy. – Zawsze cię słucha, zawsze przychodzi na zawołanie.

Zanim wyszli na drogę, Fqfel, szaleńczo machając ogonem, na powitanie polizał Breen i wspaniałomyślnie tak samo potraktował Keegana.

– Kiedyś deszcz nigdy nie zaskoczyłby mnie bez parasolki – wyznała Breen. – Zawsze byłam przygotowana. – Pokręciła głową z niedowierzaniem. – Kiedy wychodziłam z domu, niebo było zaciągnięte chmurami, powinnam przewidzieć, że po drugiej stronie może padać, ale nawet nie pomyślałam o parasolu.

– Nie rozpuścisz się. – Fqfel przeskoczył murek, a Keegan chwycił Breen w pasie i przestawił ją na drugą stronę. – Jak tamta zła czarownica z zieloną twarzą.

– Ta z *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*.

– No. Wiadro wody na pewno nie mogłoby jej rozpuścić, ale historia ładna. Uważaj na schodki.

– Masz jakąś ulubioną książkę?

– Jak mogę mieć jedną ulubioną, skoro tyle ich jest i wszystkich nie przeczytałem? – Poruszył dłonią i świetliste kule rozproszyły leśny mrok.

Breen, dziwnie niepewna siebie, próbowała pokryć oniesmielenie rozmową.

– Tak przez ciekawość. Podróżowałeś w tym świecie?

– Owszem.

– I co ci się tutaj podobało?

– Góry i ogromne otwarte przestrzenie w waszej Montanie, lasy i wysokie białe łańcuchy gór dalej na zachodzie. Tu w Irlandii lubię znajomą zielenią i spokój wzgórz.

– A z rzeczy?

– Z rzeczy? – Zwinnym ruchem pochylił się po patyk i rzucił go psu. – Och, książki. I muzykę, tę mnogość rodzajów muzyki. Także niektóre programy w telewizji. I pizzę. Jest fantastyczna. Najlepszą jadłem w tej waszej Italii. Tam podziwiałem też sztukę, która albo ściska za serce, albo je otwiera.

Deszcz w lesie był tylko cichym bębnieniem kropli o liście.

– Też lubię pizzę, ale ze wszystkich rzeczy do jedzenia na świecie wybrałbyś...?

– Lody, w rożku. I burrito. – Wzruszył ramionami. – W tym świecie macie mnóstwo jedzenia i wiele wartościowych rzeczy. Budujecie wielkie miasta, które na swój sposób są

piękne, ale panuje w nich nieznośny hałas. Wieczny łoskot. Posiadacie dzieła sztuki, jednak niektórzy z was je zawłaszczają, chcą zatrzymać tylko dla siebie. Nie brakuje tutaj porządných, dobrych ludzi, którzy kochają dzieci i pomagają sąsiadom. Ale innymi, i wcale nie jest ich mało, rządzą gniew, chciwość i zazdrość. Niektórym nienawiść dosłownie zatruwa krew. Nie mogą żyć bez przemocy i wszczynania wojen. Macie władców kurczowo trzymających się władzy, którym wcale nie zależy na wspólnym dobru. To wszystko nie jest po naszymu.

– Zgoda. Ale niektórym mieszkańcom Talamh odpowiada życie w tym świecie.

– Tak. Mam kuzyna w Paryżu. Prowadzi piekarnię i jest szczęśliwy. Założył rodzinę, tam urządził sobie życie. No, cóż.

– Wyszli z lasu. – Akurat dla niego ten wybór okazał się korzystny.

Breen otworzyła drzwi chaty i wpuściła Keegana do środka.

– Muszę nakarmić psa.

– Najpierw mu się przyjrzyj. – Zdjął ociekający wodą płaszcz, powiesił na wieszaku i dżentelmeńskim gestem, którego się nie spodziewała, wyciągnął rękę po jej kurtkę. – Był u mojej siostry, bawił się z chłopcami.

– Rzeczywiście. – Spojrzała na wypukłe boki Fąfla. – W takim razie tylko nagroda za dobre zachowanie. Pójdę po smakołyk dla niego i wino, a ty rozpal w kominku.

Rozpalił ogień z miejsca, gdzie stał, i poszedł za nią do kuchni.

– Marg o wszystkim pomyślała. – Rozglądał się dokoła z zaciekawieniem i uwagą. – Przytulna chata z ładnym otoczeniem i ochroną.

– W nocy przylatują chochliki.

– Tak. Jesteś tutaj strzeżona, ale one dodatkowo czuwają. Gdybyś potrzebowała mnie czy Marg, natychmiast nam o tym doniosą.

Popukał dłonią w kuchenkę.

– Gotujesz na tym?

– Zdarza mi się. – Dała Fąflowi psi herbatnik i westchnęła. – Ale kiepska ze mnie kucharka. Zamierzałam nauczyć się gotować tego lata, ale...

– Plany się zmieniły.

Sięgnęła po butelkę i kieliszki, napełniła je winem.

– Rzeczywiście. – Spojrzała na niego i uniosła brwi. – Jak to możliwe, że jesteś suchy? Nawet włosów nie masz wilgotnych.

Podszedł do niej, położył dłonie na jej ramionach i nie spuszczając z niej oczu, przesunął nimi wzdłuż jej boków i bioder.

Poczuła ciepło promieniujące z jego rąk.

– Lepiej?

– Uhm.

Zadzwonił telefon, który leżał na blacie podłączony do ładowarki. Obejrzała się z cichym westchnieniem.

– Przepraszam. – Na wyświetlaczu zobaczyła nazwisko agentki – jej agentki! – Muszę odebrać.

Wzruszył ramionami, przeszedł do salonu z kieliszkiem i usiadł przy kominku.

Keegan w życiu nie umieściłby telefonów na liście rzeczy dających się polubić, szczególnie tych małych, z którymi ludzie się nie rozstawali. Ani zapachu i odgłosu samochodów. Nie rozumiał, jak można latać zamkniętym w maszynie czy mieszkać w ustawionych jeden na drugim pudełkach.

Czy w takich miejscach można wyciszyć umysł?

Co innego ta chata. Zapewnia przestrzeń, ciszę i wygodę. Ciekawe, czy Breen wiedziała, ile z tych sprzętów wykonano w Talamh i przestano tutaj?

Wyszczył kilka łyków wina. A kiedy uznał, że ona za długo każe na siebie czekać, wrócił do kuchni.

Siedziała przy stole i szlochala z głową opartą na rękach i psim pyskiem na kolanach.

Ten widok zabolął go jak cios w serce.

– No, już, już. – Odsunął psa, przykucnął i pogłodził ją po włosach. – Co się stało? Złe wiadomości?

Podniosła twarz zalaną łzami i pokręciła głową.

Zagubiony, wziął ją na ręce, zaniósł do salonu.

– Powiedz, co się stało, i jakoś to załatwimy.

Ciągle łkając, przycisnęła czoło do jego ramienia.

– Moja książka. Sprzedałam książkę.

– Nie ma problemu. Odkupimy ją.

– Nie, nie w tym rzecz. Napisałam taką historię, ktoś ją kupił, zrobi z niej książkę, a potem ludzie będą to czytać.

Ujął palcami jej podbródek i uniósł jej twarz.

– Tego chcesz?

– Bardziej niż czegokolwiek na świecie.

– W takim razie – otarł jej łzę – płaczesz ze szczęścia. Usiądź i wypłacz się, jeśli naprawdę musisz. Pójdę po twój kieliszek.

Kiedy wrócił, siedziała z dłońmi splecionymi na kolanach.

– Nie powinnam ci nic mówić.

– Czemu?

– Postanowiłam, że jeżeli naprawdę mi się uda, pierwszy dowie się o tym Marco. Mój najlepszy przyjaciel przez całe życie. I że powiem mu o tym twarzą w twarz, nie przez telefon.

– To z nim tutaj przyjechałaś i mieszkasz w Filadelfii?

– Tak, on pierwszy miał się dowiedzieć.

– No, cóż, będzie pierwszy po tej stronie. Marg byłoby przykro, gdybyś nie podzieliła się z nią taką wiadomością. Ucieszy się i będzie dumna z twojego sukcesu. A Marco, jemu jako pierwszemu w tym świecie powiesz o książce.

– Tak. – Otarła pięścią łzę. – Tak będzie. To on zachęcał mnie do pisania, kiedy bardzo tego chciałam, ale nie wierzyłam, że potrafię. A teraz...

Przycisnęła dłoń do ust.

– Sprzedałam książkę. Tak naprawdę trzy, ale jeszcze nie napisałam pozostałych dwóch.

Odetchnął z ulgą, widząc, że wreszcie przestała płakać. Usiadł na poręczu kanapy.

– Jak można sprzedać coś, czego się nie ma? – zdziwił się.

– Składasz obietnicę, no, dajesz słowo. I ja... – Wypiła duży łyk wina. – Dobra, już wszystko powiem. Piszę jeszcze jedną książkę, dla dorosłych. Ta, którą sprzedałam, jest przeznaczona dla dzieci. W sumie sprzedała ją moja agentka, czyli osoba, która mnie reprezentuje. Agentka poprosiła, żebym jej pokazała, co mam. I była zadowolona. Widziała tylko część, może połowę, ale podoba jej się treść. –

Zerwała się z krzesła i wirowała po pokoju. – Wszystko w moim życiu się zmieniło. Wszystko. Rok temu dreptałam w miejscu. A przynajmniej tak myślałam. Byłam nieszczęśliwa, nijaka.

– Nijaka?

– Nijaka – potwierdziła. – Uwierz mi. A teraz... – Machnięciem ręką zapaliła wszystkie świece w salonie. – Magia! Jestem wiedźmą. I jestem pisarką. Za rok o tej porze moja książka ukaże się drukiem i nikt mi tego nie odbierze. Nikt nie powie, że to bez znaczenia.

Popatrzył na nią, ścigając brwi.

– Nie rozumiem, czemu ktoś miałby coś takiego powiedzieć?

– Nie znasz mojej matki. Wszystko się zmieniło. Ja jestem inna. – Z oczyma płonącymi jak świece, znowu zakręciła się po pokoju. – Zjedzmy pizzę!

Z trudem wydobył głos zdławiony przez emocje, jakie w nim budziła.

– Masz pizzę?

– Daleko jej do tamtej, którą jadłeś we Włoszech, niemniej to też pizza. Zagrzejmy ją i napijmy się jeszcze wina.

Pobiegła do kuchni i szarpnęła za uchwyt drzwiczek zamrażalnika.

W tym momencie Keegan odwrócił ją twarzą ku sobie. Oparta o lodówkę, czuła ucisk jego dłoni na biodrach.

– Och – sapnęła, kiedy dotarło do niej, co się dzieje.

– Szybko. – Napierał na nią całym ciałem. – Tak czy nie.

– Tak czy...

Przywarł ustami do jej warg w głodnym, niecierpliwym pocałunku. W każdym skrawku jej ciała wybuchła łańcuchowa reakcja przyjemności, paniki i dawno uśpionego pożądania.

Oderwał się od jej ust, cały czas z rękami na jej biodrach.

– Usłyszałem „tak”.

– Nie całkiem... Tak. – Przycisnęła usta do jego ust. – Usłyszałeś „tak”.

Dosłownie i w przenośni znalazła się nad ziemią.

– Pokaż mi, gdzie jest sypialnia, zobacz ją w myślach.

– Och, jest... – Machnęła ręką w bliżej nieokreślonym kierunku, gdy droga do sypialni wyświetliła się w jej głowie.

Dotąd nikt nie niósł jej do łóżka. Nikt nigdy nie całował jej do utraty zmysłów w kuchni. Nikt nie patrzył na nią z żarem, który zdawał się rozpalać powietrze.

Już otwierała usta, żeby go uprzedzić, że nie jest biegła w tych sprawach i na dodatek w stanie hibernacji, ale zmieniła zdanie i poddała się chwili.

Och tak, tak, tak. Zmieniła się nie do poznania.

Sam się przekona, a ona będzie cieszyć się chwilą. Przy-
lgnęła ustami do jego szyi, smakowała jego skórę, wdychała
jej zapach.

Keegan pachniał deszczem, wyprawioną skórą, świeżą
trawą i żyzną ziemią.

Zapach Talamh – pomyślała. – Zapach magii.

Skręcając do sypialni, zerknął na kominek. Język ognia
strzelił w górę, gdy postawił ją na podłodze obok łóżka.

– Porządnicka z ciebie. – Rozejrzał się po pokoju. –
Wszystko na swoim miejscu.

Świece na gzymsie kominka, na nocnych szafkach i stoli-
kach ożyły blaskiem.

– Chyba tak. Lubię porządek.

Przez uchylone okno wpadał do środka sypialni lekki,
nocny wiatr.

– Nie zmarzniesz – zapewnił ją i powiodł dłońmi po jej
bokach, piersiach i plecach.

Słodka fala rozlała się po jej ciele i nagle spostrzegła, że
stoi naga.

– Nie wojowniczką. – Przytrzymał jej rękę, gdy instynktow-
nie chciała się zasłonić. – Ale ciało masz wojowniczkę. Pra-
gnę go. Daj mi je.

Dotknął jej piersi, szorstkie wnętrze dłoni otarło się o jej
delikatną skórę.

– Wolisz szybko czy niespiesznie, *mo bandia*?

– Wszystko jedno. – Byle nie przestawał jej dotykać. – Wszystko jedno – powtórzyła i zarzuciła mu ramiona na szyję, szukając jego ust.

Koncentrację woli pozbawiła go ubrania, a gdy miecz szczęknął o podłogę, usłyszała jego śmiech.

– Zapomniałaś o butach – zauważył i sam nimi się zajął, kiedy ułożył ją na łóżku.

– Moje pierwsze magiczne rozbieranie. – Gładziła go po plecach. Czuła pod dłońmi twarde mięśnie. Ciało wojownika – pomyślała. – Wojownik. Mężczyzna, który jej pragnął.

I nagle pod dotykiem jego rąk, wszystkie myśli uleciały jej z głowy.

Wodził dłońmi po delikatnej skórze, sprężystych mięśniach, słodkich wgłębieniach i fascynujących krągłościach. Uczył się ciała tej kobiety, wsłuchany w głośne bicie serca. Jak łatwo odkryć, co sprawia jej rozkosz, co ją podnieca – pomyślał.

Kiedyś się zastanawiał, jak ciało Breen zareagowałoby na jego dotyk, jak poruszałoby się pod jego ciałem, a teraz już wiedział i zapragnął spędzać z nią godziny, noce i dni.

Czuł, jak jej pożądliwe usta szukały jego ust, z jakim żarem wędrowały po nim kobiece dłonie.

Przewidział, kiedy gwałtownie przyspieszy jej oddech. Usłyszał w swojej głowie cichy jęk, zanim Breen go wydała. Gdy jego palce i usta wprawiły ją w drżenie, odczekał, aż drżenie zastąpią dreszcze.

Poddawała się pieszczotom bez obłudy i wybiegów. Otwarcie dawała do zrozumienia, że go pragnie.

Tak dawno nikt jej nie dotykał i nigdy w taki sposób. Szorstkie dłonie mężczyzny zdawały się ją niszczyć, a jednocześnie sprawiały, że czuła się cenna. Dotyk jego zarostu do skóry rozpalał w niej iskry.

Zapomniała o wstydzie, w głodzie na więcej opuszczała ją skrępowanie.

Nic w nim nie było gładkie i wypieszczone. Wszystko w nim podniecało. Kiedy jego dłoń zbłądziła w najbardziej intymne z miejsc, poczuła gwałtowny spazm, wprowadzający w pulsowanie całe ciało.

Fala rozkoszy wydarła cichy okrzyk z jej ust, ale on nie przestawał. Bezradna, kurczowo oplotła go ramionami.

– Boże. Boże. Keegan. Zaczekaj.

– Jesteś silna – wyszeptał. – Weź. Weź mnie.

Oszołomiona, otworzyła oczy, słysząc jego gardłowy chrapliwy pomruk. Wszedł w nią powoli, z początku niemal delikatnie. Światła zawirowały w pokoju, zobaczyła ich odbicie w jego oczach.

– Silna – powtórzył. – Delikatna. I, bogowie, gorąca.

Zaczął się poruszać i znowu szczytowała. Wygięta napięte z rozkoszy ciało i zacisnęła mocno rękę na jego ramieniu.

– Nie przestawaj. Nie kończ.

– Żadni bogowie mnie nie powstrzymają. Poruszaj się ze mną.

Odnalazła rytm, rozkoszując się wzrastającą szybkością ich ruchów. Światło pulsowało coraz szybciej i szybciej, łóżko wirowało wraz z nimi.

Falowały rozmyte kontury przedmiotów i tylko jego twarz, tuż przy jej twarzy, pozostawała wyraźna.

W jednej chwili wszystkie światła zlały się w jedno, rozjaśniły pokój, przepłynęły przez nią i przez niego.

Opadł na nią, zanurzył twarz w jej włosach. Ona rozczulona, miękka jak воск roztopiony na słońcu, leżała wsłuchana w bicie ich serc.

W ciszy, która wypełniła pokój, Keegan usłyszał potrzaskanie ognia, cichą muzykę wiatru i przeciągłe westchnienie Breen.

– Jestem ciężki – wymamrotał, choć nie miał zamiaru zmieniać pozycji. – Ale ty jesteś silna.

Gładziła go po włosach, przesunęła między palcami plemienny warkocz.

– Tego się po tobie nie spodziewałam.

– W takim razie nie zwracałaś uwagi. Powinnaś pozbyć się tej wady.

Ponownie westchnęła.

– Nie sądziłam, że mnie lubisz, skoro tak często mnie zabijasz, obrażasz, przeklinasz.

– Na polu nie lubię, bo tam trenujemy. Zabijam cię, obrażam i przeklinam, ponieważ tego potrzebujesz. – Uniósł głowę, popatrzył na jej twarz w burzy loków na poduszce. – Ale poza tym cię lubię.

– Myślę, że to uczciwe postawienie sprawy, bo kiedy wyżywasz się na mnie na polu, też ciebie nie lubię. Ale poza tym tak.

Zerknęła w stronę kominka, gdzie pies, zwinięty w kłębek, spał na legowisku.

– Fąfel to wszystko przespał.

– Mądry pies, to nie jego sprawa.

Uśmiechnęła się i spojrzała na Keegana.

– Nie przywykłam.

– Do czego?

– Na początek, do kochania się z mężczyzną, który przewodzi światu.

– Kochasz się z mężczyzną, który cię pragnie. Co więcej ma znaczenie?

– Powiem też, że nie nawykłam do nagości przy kimś tak... zbudowanym. Atletycznym – uściśliła. – Napakowanym.

Droczyła się z nim i jednocześnie go uwodziła. To połączenie wydało mu się równie wyjątkowe jak ona sama.

– Wybierałaś na kochanków anemicznych, mimozowatych facetów?

– Raczej. – Przycisnęła dłoń do jego torsu. Rzeczywiście, napakowany. – To był dziwny, a zarazem cudowny dzień. Zaznaczony na czerwono w kalendarzu.

– Wygląda na to, że odpowiada mi czerwień. – Bawił się puklem jej włosów, nawijając go na palec. – To co, ta pizza nadal aktualna?

Uściskała go roześmiana. Ten tak naturalny i zarazem serdeczny gest przyprawił go o szybsze bicie serca.

– Jasne, umieram z głodu.

Rozdział 25

Chociaż nie miał takiego zamiaru, został na noc. Wspólne spędzenie nocy po kochaniu się mogło sugerować przywiązanie, a to łączyło się z ryzykiem. A jednak, mimo wszystko, został.

Przed świtem znowu się kochali. A potem była poranna kawa – zwyczaj, który znał tylko z rzadkich wizyt po drugiej stronie.

Breen usmażyła jajecznicę i nałożyła ją na grzanki. Owszem, nawet mu to smakowało. Śniadanie zjedli przy stole na tarasie. Świeciło blade słońce, pies pluskał się w zatoce.

On bez żalu wrócił do swojego świata i obowiązków, a ona do popołudnia została w swoim.

Dalej nieustępliwie ją trenował; w końcu od tego mogło zależeć życie Breen. Przez dwie kolejne noce oparł się silnej chęci wylądowania w jej łóżku, tłumacząc sobie, że lepiej zachować dystans. Pretekstem była konieczność udziału w nocnym patrolu.

W trzecią noc rozpiął magiczny krąg. Użył zaklęć pozwalających widzieć przez portal, mimo blokad, które sam pomagał zakładać. Wywiadowcy Odrana i szpiegzy cały czas próbowali przecisnąć się przez szczeliny i niektórym, o ile wiedział, to się udało. Gdyby mógł przejrzeć na wskroś mury czarnego zamku, gdyby potrafił na tyle wnikać w umysł czarnego boga, żeby poznać jego podstępne plany, byłby

w stanie zapewnić lepszą obronę Talamh i bezpieczeństwo tym, co tam żyli.

Mimo że siła zaklęć była potężna, tak potężna, że krew zdawała się płonąć mu w żyłach, widział jedynie cienie poruszające się w mroku, słyszał zaledwie szepty i pomruki, poza jednym momentem, gdy uszy mu wypełnił potworny krzyk torturowanych i przeklętych. Ciężył mu ten krzyk, kiedy odczyniał zaklęcie i zamykał krąg.

Skoro nie mógł przeniknąć ciemności, jeżeli to było poza jego zasięgiem, musiał zaryzykować i wystać szpiegów na rekonesans.

Nie wszyscy powrócili.

Wezwał smoka. Lot nad wodą miał mu pomóc pozbyć się pozostałości zaklęcia i osiągnąć wewnętrzny spokój.

W końcu przeleciał przez portal i szybując nad wierzchołkami drzew, zamiast nad morze, skierował się do chaty Breen.

Wystarczy tej izolacji – zdecydował. – Wypali osad zaklęcia i świadomość porażki, kochając się z nią i wreszcie spokojnie zaśnie.

Kiedy wylądował, chata była ciemna, poza jednym oknem, tym pod sypialną Breen. W pierwszej chwili pomyślał, że w takim razie zostawi ją w spokoju, niech sobie śpi, lecz przeszedł pomiędzy wirującymi skrzatami i machnięciem dłoni otworzył zamek w drzwiach.

Na progu obejrzał się na Crogę.

– Leć, gdzie chcesz, odpocznij, *mo dhearthair*. Sam wrócę.

Gdy tylko zamknął drzwi, natychmiast ją poczuł.

Rzeczywiście spała, ale jej sen niósł strach i ból.

Z kulą światła przed sobą wbiegł po schodach. Leżała, dygocząc, oczy miała szeroko otwarte i szklane. Pies stał na łóżku i skomląc rozpaczliwie, lizał ją po twarzy.

– Jestem przy niej, przyjacielu. Już jestem z nią. Niech to szlag! Niestety, ona musi dośnić ten sen. Wizje nie przycho-
dzą bez powodu.

Uklęknął na łóżku obok niej, odgarnął jej włosy z twarzy.

– Nie jesteś teraz sama, *mo bandia*. – Wziął ją za rękę, aby poczuła ulgę, kiedy się wybudzi.

Udało mu się wnikać do jej wizji, teraz widział wszystko razem z nią.

Świat, jego świat, był spalony do gołej ziemi, nad niegdyś zielonymi wzgórzami i polami wisiał gęsty dym, zasnuwając niebo i słońce.

Jak okiem sięgnąć tylko szarość i unoszący się nad nią fetor śmierci.

Czarny jak smoła piorun przedarł się przez kopeć i uderzył w farmę powierzoną jemu i jego rodzinie. Zmienił zabudowania w tłocze się ruiny.

Pośród tumultu i huku wybuchów słyszał jęki umierających i rozpaczliwe zawołanie ich bliskich. Ciała mężczyzn, kobiet i dzieci oraz truchła zwierząt leżały w kałużach krwi, która powoli wsiąkała w spaloną ziemię.

Serce mu pękło. Ta rana już nigdy nie miała się zasklepić.

Wyszarpnął miecz, rozpacz i gniew przekuł w potężną moc. Żelazo w jego dłoni zapulsowało czerwienią. Przeciął wpół demonicznego psa uczującego na szczątkach młodej wróżki.

Parł przez dym. Ostrzem, ogniem i gniewem zabił dwunastu wrogów. Niestety, ciągle zastępowali ich nowi. Torował sobie mieczem drogę między nimi, aż dotarł do domu siostry. Na widok sterty poczerwieniałych kamieni zgasta w nim ostatnia iskra nadziei.

Z ust tego wodza z wielkim poczuciem służby wyrwał się krzyk nieopisanego gniewu i żalu, z których już nigdy się nie otrząsnął.

A jednak wyczuwał blade przebłyski światła, gdy inni walczyli resztką sił. Wezwał smoka, chociaż wiedział, że Croga nigdy więcej do niego nie przyleci.

Kolejna strata. Zerwana więź podsyciła jego wściekłość i pogłębiła rozpacz.

Nie było Crogi, farma obrócona w gruzy.

Bez konia czy smoka nigdy nie dotrze do Stolicy i matki, żeby na czas ściągnąć wsparcie. O ile Stolica nadal istniała. Wycofał się. Jeżeli Marg żyje, jeżeli uda mu się odnaleźć Breen, połączą siły i znajdą sposób, bo musi być jakiś sposób, żeby uratować to, co zostało.

O mało się nie potknął o skuloną w objęciach parę starych, fatalnie poranionych elfów. Najpierw spróbował ratować kobietę. Niestety, nie pomogło światło, które przez nią przesłoczył. Jej oczy zaszyły mgłą i po chwili umarła. Kiedy odwrócił się do drugiego elfa, ten pokręcił głową.

– Nie. Moja ukochana odeszła do bogów. Chcę być z nią. Oni zjawili się tutaj tak szybko, a wraz z nimi ciemność. Idź walczyć, *taoiseachu*. Ratuj nas.

Ruszył przed siebie, siekąc wrogów mieczem i miażdżąc mocą.

W rzedniejącym dymie zobaczył poczerniały ogród, lecz chata Mairghread stała nienaruszona. Zatliła się w nim iskra nadziei.

– Breen! – Puścił się biegiem do chaty.

Dziewczyna wyszła z niej chwiejnie w całunie dymu. Dłonie miała pokryte krwią, strużki krwi spływały jej po twarzy.

– Nie! – Rzuciła w niego słaby strumień mocy. – Widziałam, jak upadłeś, widziałam, jak zginąłeś. To kolejny podstęp. Ty, babcia, Morena, wszyscy jesteście martwi. Zabili Fąfla. Wszędzie śmierć.

– To nie pułapka. Jestem tutaj.

Kiedy biegł ku niej, Odran opadł na jej plecy. Owinął ją ramionami i uśmiechnął się do Keegana.

– Przegrałeś, chłopcze. Teraz świat należy do mnie. Ona jest moja.

– Nigdy nie będzie twoja. Talamh nigdy nie będzie należał do ciebie. Breen, odsuń się od niego. – Nie mógł dosięgnąć Odrana mocą ani rzucić się na niego z mieczem, bo ryzykował, że zrobi jej krzywdę.

– Nie udało mi się ich powstrzymać – poskarżyła się.

– Niewiele możesz – szeptał jej do ucha Odran. – Zawsze będziesz za słaba.

– Niewiele mogłam – wyrecytowała beznamiętnie. – Zawsze byłam za słaba.

– Kłamstwa – warknął Keegan. Teraz dotarło do niego, że to wszystko jest kłamstwem. Wizję narzuconą przez mrocznego boga. – Wracaj do piekła. Twoja ułuda została prze-rwana.

– Wkrótce zmieni się w rzeczywistość.

– Przebudź się – rozkazał Keegan i chociaż zjawa Odrana osmalila mu skórę, chwycił Breen za rękę. – Chodź ze mną, zbudź się.

Odran przyciągnął ją do siebie. Teraz ciągnął ich oboje.

– Wszyscy martwi, nikt nie przeżył – jęknęła.

– Nie, to oszustwo, iluzja. Przełam ją.

– Powalił cię na moich oczach. Twoja krew jest na moich rękach. Byłam za słaba, żeby go powstrzymać.

– To wszystko kłamstwa. Jestem tutaj. – Potrząsnął nią. – Zobacz!

Uniosła powieki, rozdygotana.

– To prawda? Ty jesteś prawdziwy?

– Jestem prawdziwy. Cała reszta była kłamstwem.

– Zjawili się znieczeka. I to tak wielu. Krzyki, ogień, dym. Nie umiałam ich powstrzymać. Okazałam się za słaba.

– Kolejne kłamstwo. Pozwoliłaś mu zobaczyć swoją słabość i wykorzystał to w wizji. Moją również – przyznał niechętnie. – Uwierzyłem we wszystko, kiedy do ciebie dołączyłem. Zobacz, wystraszyłaś psa.

– Fąfel. – Uniosta się zalana łzami i objęła psa. – On go zabił. Strzelił palcami i Fąfel spłonął. Nie mogłam go uratować. Nikogo nie uratowałam.

– Przestań. – Keegan przygarnął ją do siebie. – On chce, żebyś była słaba, przestraszona, pełna wątplenia. Dasz mu to, na czym tak bardzo mu zależy?

– To było takie realne. A jeśli to prorocza wizja?

Nie wiedział, nie mógł tego wiedzieć, ale musiał ją uspokoić.

– Nie, bo kiedy przejrzałaś jego kłamstwa, stracił moc. Musisz się otrząsnąć, nie wolno ci w tym tkwić. Wypij eliksir. Gdzie go trzymasz?

– Nie, najpierw muszę to sprawdzić.

Zsunęła się z łóżka, podbiegła do okna i szeroko je otworzyła.

– Widzisz? Masz księżyc, skrzaty, zarys wzgórz. Słyszysz szelest liści poruszanych nocnym wiatrem?

Kiwnęła głową, a kiedy podszedł do niej i odwrócił ją ku sobie, przywarła do niego.

– Zagroził, że wszystkich spotka śmierć, jeżeli z nim nie pójdę. Powiedział, że zrobi ze mnie królową i sama wybiorę świat, którym chcę rządzić.

– Kolejne kłamstwa. – Gładząc ją po włosach, zastanawiał się, jak to możliwe, że skrzaty nie przysłały ostrzeżenia.

– Znalazł sposób na zamknięcie przestrzeni. Nie wyczułem jego mroku, dopóki w nią nie wszedłem. A musimy znaleźć sposób, jak temu przeciwdziałać.

– Nie wzięłam ani amuletu, ani rozmarynu. Założyłam, że jeśli przydarzy mi się wizja czy jeden z tych moich snów, będę mogła się czegoś dowiedzieć.

Odważna – pomyślał Keegan. – Może niezbyt rozsądna, ale odważna.

– I dowiedziałaś się. I ja też przy okazji. On się ciebie boi.

To stwierdzenie powinno ją rozbawić, lecz wcale nie było jej do śmiechu.

– Nie tego się dowiedziałam.

– W takim razie, znowu nie jesteś skoncentrowana. Użył mocy, żeby ci wmówić, że jesteś słaba, i obudzić w tobie poczucie winy. Posuwa się do takich podstępów, bo wie, że jesteś silna, a jednocześnie nurtują cię wątpliwości. Twoja matka całe życie tak z tobą postępowała, bo budziłaś w niej lęk.

– Ja... co?

– Pomyśl. – Wpatrzona w niego, zobaczyła prawdę tak, jak on ją widział. – Obawiała się tego, kim jesteś i co posiadasz. Ten strach mógł wy pływać z obawy o ciebie – nie wiem, co podszeptywało jej serce. Wolała widzieć cię słabą, obniżała twoje poczucie wartości, być może liczyła, że zapomnisz o sile, której ona się boi, albo ukryjesz ją tak głęboko, że nie będziesz w stanie jej użyć. Odran też chce cię osłabić, pozbawić cię ducha.

Keegan wypuścił ją z objęć i żeby się uspokoić, krążył po sypialni.

– Jeżeli nie chcesz eliksiru, może napijesz się wina?

Pokręciła głową.

– A ja chętnie. – Wolą zobaczyć miejsce, gdzie trzyma butelkę i kieliszki, a ponieważ nie chciał zostawiać jej samej, ściągnął kieliszek wina do ręki.

– Napitabym się wody.

Popatrzył na nią spod uniesionych brwi. Użalanie się nad nią nic dobrego nie przyniesie.

– Zobacz wodę, użyj woli i ściągnij ją.

Westchnęła i zamknęła oczy. Nie ma sensu mu się skarżyć, że głowa jej pulsuje jak zepsuty ząb. Każe jej uśmierzyć ból.

Kiedy otworzyła oczy, w dłoni trzymała szklankę. Pustą.

– Udało mi się w połowie.

Zapewne musiała wyglądać tak samo fatalnie, jak się czuła, bo uniósł rękę i ruchem nadgarstka napełnił szklankę.

– Tylko woda? – upewniła się.

– Czysta woda.

Chodził po pokoju, popijając wino, a ona, siedząc, sęczyła wodę.

– Nie poprzez ochronę – mruczał pod nosem. – Nie poprzez skrzaty i amulety. Poprzez ciebie.

Przystanął i przyglądał jej się badawczo.

– A więc to zdarzyło się tutaj, w środku, bo ty tu byłaś. Tak tym razem wykombinował. Mówiłaś, że cię wyczuł, być może zobaczył, kiedy miałaś tamtą wizję z czarnym zamkiem. No jasne, ułożył to zakłęcie, on albo Yseult, i czekał, aż otworzysz się na tyle, ażeby go wpuścić.

– Jak to zatrzymać? Może amuletami zamykać dostęp snom i wizjom?

– Mogłabyś... jednak nie – zdecydował. Ta sytuacja wymagała przebiegłości i wyrachowania. – Kiedy zostaniesz tutaj sama, idąc spać, będziesz zostawiać otwarte okno. To nie powstrzyma wizji, ale dostaniemy ostrzeżenie. A co do reszty to mam pewien pomysł, jak zablokować Odranowi kontrolę złudzeń, ale muszę jeszcze nad tym popracować.

– Musimy nad tym popracować, jeśli pozwolisz.

– Zgoda. – Kiwnął głową. – Masz rację. A teraz wracaj do łóżka, bo padasz z nóg.

Nie oponowała. Głowa jej pulsowała, czuła się pusta w środku.

Kiedy odpiął miecz, o mało się nie popłakała. Z powodu ulgi.

– Zostajesz.

– Nie dla amatorów. Śpimy. – Zatrzymał się w pół kroku i obejrzał na nią. – Myślałaś, że zostawię cię samą po tym, co przeszłaś?

Darując sobie krótkie „tak”, które przyszło jej do głowy, położyła się do łóżka.

– Jestem za bardzo zmęczona, żeby myśleć.

– W takim razie czas spać. – Kiedy tylko jej głowa opadła na poduszkę, wprowadził ją w sen. – Tak dla dobrego wypoczynku – mruknął i zaczął wyciszać jej umysł. – Cholera, czemu słowem nie wspomniałaś, że boli cię głowa? – Uśmierzył ból głowy, usiadł i ściągnął buty.

– Ona jest dla mnie zagadką, chłopie – zwrócił się do psa, który czujnie go obserwował. – Kobiety zawsze stanowią

zagadkę dla mężczyzn, ale jak na mój rozum, ta jest najbardziej zagadkowa.

Wyciągnął się na łóżku w ubraniu i zapatrzonego w sufit, dumając, jak jej pomóc kontrolować wizję.

Fąfel psim zwyczajem wydeptał trzy kółka na legowisku przy kominku, po czym zwinął się w kłębek i natychmiast zapadł w sen.

W przeciwieństwie do Keegana, który długo nie mógł zasnąć.

*

Razem pracowali nad nocnym zaklęciem, które miało pomóc Breen bronić się przed iluzorycznymi snami. Dzień czy noc, niezależnie od pogody, trzymała otwarte okno.

Świadomość, że osiągnęła szczyt swoich możliwości w walce na miecze, nie wynikała z braku wiary w siebie. Uważała, że w większości sytuacji posługiwała się mieczem całkiem biegle, znacznie powyżej przeciętnej. Jednak czuła, że gdyby doszło do prawdziwej walki, pokonanie przeciwnika wymagałoby od niej nadludzkiego wysiłku.

Musiła przyznać, bez fałszywej skromności, że rzucanie zaklęć i wszelkie inne magiczne praktyki coraz lepiej jej wychodziły. W znacznym stopniu poprawiła też koncentrację i kontrolę.

Odkryła również, że seksualnie jest bardziej rozbudzona, niż podejrzewałby któryś z jej dwóch byłych kochanków. No cóż, obu daleko było do Keegana. Niewątpliwie wszystko zmieniał wybór odpowiedniego partnera.

Z coraz większą pewnością siebie i zawsze z taką samą radością zabierała się do pisania.

Po owocnie spędzonym przedpołudniu zamknęła laptop z zadowolonym sapnięciem. Co prawda czekało ją jeszcze wiele tygodni pracy, ale miała już w głowie gotowe zakończenie książki. Następna przygoda Fąfla też powoli nabierała kształtu.

Poszcęściło jej się – pomyślała. Mogła swobodnie przechodzić od jednej historii do drugiej, przemieszczać się pomiędzy dwoma światami. Właściwie prowadzić dwa różne życia.

Kiedy szykowała się do drogi do drugiego świata, w tablecie odezwał się brzęczyk sygnalizujący rozmowę na FaceTime. To nie była zwykła pora jej rozmów z Marco, ale przyjęła połączenie.

– Hej! Złapałeś mnie tuż przed wyjściem do... lasu na spacer.

– Miałem taką nadzieję. – Pośłał jej szeroki uśmiech. – Dziewczyno, świetnie wyglądasz!

– Czuję się świetnie. Wczesna pora jak na ciebie. – Taka wczesna, że był w T-shircie ze Spidermanem, w którym przeważnie sypiał. – Już wstałeś?

– Breen, wcześniej wyrzuciło mnie z łóżka. Chyba znalazłem dom.

– Dom?

– Chciałaś coś z kawałkiem ziemi, żeby założyć ogród, no i masz teraz psa. Rozglądałem się trochę, tak bez napinki, i nagle bum! Cztery sypialnie, więc w jednej miałybyś miej-

sce do pisania, a w drugiej moglibyśmy urządzić pokój muzyczny. Naprawdę fajna kuchnia i otwarty plan. Nie stoi w centrum tak jak nasza kamienica, ale posłuchaj, działka ma cztery tysiące metrów. Nadal chcesz mieć ogród, nie?

Musiła się pozbyć kluski w gardle.

– Tak – wyjąkała.

– Mogę dojeżdżać do roboty, nie ma problemu. To dobra dzielnica, żadna gejowska wioska, tylko jeden homo. Dostałem namiary od psiapsiółki kuzynki Derricka. Kobiłka siedzi w nieruchomościach. Dom na razie nie jest wystawiony na sprzedaż. Wcześniej jacyś klienci zrobili agencję w bambuko, więc zdjęła ogłoszenie, ale na dniach ma się ponownie pojawić. Wyślę ci link z warunkami i fotkami. Pooglądaj sobie, zastanów się i może pogadaj z tym facetem od kasy. Za tydzień wracasz, więc pomyślałem, w cholere, może akurat nadarza się okazja.

– Za tydzień. – Wiedziała, oczywiście, wiedziała, ale ani razu nie powiedziała tego głośno, bo zabrzmiałoby to zbyt realnie.

– Obejrzyj go, Breen. Może wychodzę przed szereg, ale myślę, że to strzał w dziesiątkę – zawiesił głos. – Nadal chcesz dom, tak?

– Tak. Tak, chcę.

Ale gdzie?

– Pewnie cię tym zaskoczyłem, ale naprawdę się podjarałem. Wiem, że cholernie dobrze tam się bawisz, ale bez ciebie, dziewczyno, jestem jak bez ręki.

– Mnie też ciebie brakuje. – W tym momencie mogła być szczerą. – Tęsknię za tobą, Marco. I za Sally, za Derrickiem, za wszystkimi z baru.

– Tylko się tam nie zakochaj.

Za późno – pomyślała. – Zakochała się w całym tym świecie.

– Ale korzystaj z gorącego celtyckiego seksu.

– Właściwie...

– Co? – Uniósł ręce i wycelował rozcapierzone palce w ekran. – Dawaj, opowiedz wszystko swojemu Marco.

– Po powrocie. – Niektóre rzeczy, takie jak gorący seks i sprzedanie książki, wymagały bezpośredniej rozmowy.

– Uchył rąbka tajemnicy. Znam cię, chodzi o tylko jednego faceta. Jest fantastyczny?

– Tak, nieziemski.

– Och, me serce i klejnoty! Wyślij mi zdjęcie.

– Nie mam.

– Jezu, dziewczyno, to zrób.

– Zobaczę. – Czas zakończyć tę rozmowę, bo powie za dużo. – Marco, muszę wyprowadzić psa.

– No to biegnij. Przyślę ci ten link. Siedem dni, moja cudowna dziewczyno.

– Siedem dni. Kocham cię, Marco.

– Ja ciebie też, do kwadratu. Czekam na esemesy.

Zakończyła rozmowę. Opadła na oparcie krzesła.

Siedem dni.

Pracowała ciężiej, uczyła się dłużej i obsesyjnie szkoliła. Keegan z Marg obmyśliła zaklęcie, które miało jej pomóc kontrolować wizje i sny. Ponieważ składało się z eliksiru, uroku i czarodziejskiej formuły, musiała przyswoić jego skomplikowaną recepturę.

– Walczysz z bogiem o przejęcie sterów, *mo stor* – uprzedziła ją babka. – Tu same umiejętności i moc nie wystarczą. Potrzebujesz wiary w światło i w siebie.

Akurat były same w pracowni Marg. Jak bardzo w Filadelfii będzie jej brakować tych spokojnych popołudni, kiedy pod okiem babki zajmowała się tym, co nazywała magią żywiołów.

Skupiona, mieszała składniki tynktury na wyciszenie nerwów, a Marg kończyła balsam na ból stawów. Powietrze pachniało ziołami i woskiem. Spokój – pomyślała. Jeżeli spokój ma aromat, to właśnie w tym miejscu go odkryła.

– Wierzę w światło. Tak wiele zobaczyłam i zrobiłam tego lata, że aż trudno mi w to wierzyć.

– A w siebie wierzysz?

– Bardziej niż kiedykolwiek. Znam powód i go rozumiem. Tylko nie mogę odżałować, że poznałam cię dopiero tego lata. Nie znałam siebie, Moreny, Talamh, tego wszystkiego i wszystkich. Nie wiedziałam, kim był mój ojciec, co robił i co zrobił dla mnie.

Marg uszczelniła wieczko pojemnika z balsamem i opatrzyła go naklejką.

– A teraz, kiedy wiesz?

– Dwa światy ciągną mnie w dwóch kierunkach.

Marg pokiwała głową i podniosła się od stołu. Postawiła balsam na półce i podeszła do kuchenki zaparzyć herbatę. Znak, że czas na przerwę w pracy i rozmowę.

– Należysz do obu i obu jesteś winna lojalność. To czyni cię wyjątkową. I budzi rozterki.

Dziś Marg miała na sobie długą, bladoniebieską suknię przepasaną białym fartuchem. Z koroną pięknych włosów okalających twarz wyglądała jak postać z ryciny w historycznej książce. Kobieta poza czasem.

To nie ona jest poza czasem – pomyślała Breen. – Tylko ja.

– No więc – zaczęła Marg – chcesz porozmawiać ze mną? W ostatnich dniach maskowałaś te rozterki pracą i treningami, ale mnie nie zwiedzisz. Jesteś moja – kontynuowała, podchodząc z herbatą do stołu. – I czuję, że ciężkie myśli nurtują twoje serce i umysł.

– Babciu. – Breen pokręciła głową, wpatrzona w herbatę

– Lato się kończy. Niedługo zmieni się światło, zaczną żniwa i obudzą zapachy jesieni. Czas płynie.

– Jakkolwiek postąpię, zranię ludzi, na których mi zależy.

– Ci, którym zależy na tobie, uszanują twój wybór.

– Muszę wrócić. – W głos Breen wkradł się dręczący ją od pewnego czasu niepokój, a w jej oczach zakręciły się łzy.

– Nie mogę zostawić tylu spraw niedokończonych. Jestem z dwóch światów i muszę znaleźć rozwiązanie dobre dla obu.

– A co jest dobre dla Breen?

Powinna zadać sobie to pytanie. O czym myślała, czego chciała.

Wygrałaby miłość.

– Jeszcze nie wiem. Muszę się zastanowić i jest tyle... Sprzedałam książkę. Tę o Fąflu.

– Och! – Marg się rozpromieniła i łzy radości rozbłysły jej w oczach. – *Mo chroi!* – Sięgnęła ponad stołem i zamknęła w uścisku dłonie Breen. – To wspaniała wiadomość. Jestem taka dumna.

– Masz w tym swój udział. Ty podrzuciłaś mi psa.

Marg zaśmiała się zadowolona.

– Rzeczywiście, podrzuciłam, ale reszta jest twoja. Włożyłaś w pisanie serce oraz talent i nie zabrakło ci odwagi. W odpowiednim czasie twoja książka trafi do wielkiej biblioteki w Stolicy. A jeden egzemplarz zatrzymam dla siebie. Twój Fąfel stanie się sławny w obu światach.

– Bardzo mi na tym zależy. Chcę pisać, być czytana, widzieć książki, moje książki – poprawiła się – w bibliotekach, domach i szkołach. Teraz bardziej tego pragnę, niż kiedy zaczynałam pisać. I dlatego muszę wrócić do tamtego świata. Babciu, tam, po drugiej stronie, są ludzie, których kocham, nie mogę tak po prostu wyciąć ich z życia. Muszę wrócić, pozamykać to, co pozostaje otwarte. I... nabrać pewności.

Ale obiecuję – dodała, mocniej ściskając dłonie Marg – daję ci słowo, że wrócę. Do ciebie, do moich przyjaciół tutaj, do Talamh. Wrócę z miłości i obowiązku.

– Twój ojciec to samo mi przysiągł. Nie wątpię, że jak on dotrzymasz słowa.

– Dotrzymam. Ale chcę cię prosić o dwie rzeczy.

– Proś o co chcesz, dziecko mojego dziecka.

– Zajmiesz się Fąflem do mojego powrotu? Nie chcę go stąd zabierać. Tutaj ma swobodę, jest szczęśliwy. Z wielu praktycznych powodów zabieranie go tam nie ma sensu.

– Oczywiście, że się nim zajmę. Będzie bardzo za tobą tęsknił, ale będzie mu u mnie dobrze.

Ciężar spadł jej z piersi.

– Dziękuję. Nie miałabym serca więzić go w mieszkaniu w środku miasta. Marco rozgląda się za domem... To jedna z tych niezatałwionych spraw. Możesz zatrzymać dla mnie chatę, żebym miała gdzie mieszkać po powrocie? Nie wiem dokładnie, kiedy to będzie, ale...

– Moje drogie dziecko, chata jest twoja. Wzniostałam ją dla ciebie. Zawsze będzie twoja. Twój pies, chata, całe Talamh będzie czekać, aż podejmiesz decyzję. I obiecuję, że nigdy nie stanę na drodze do twojego wyboru. – Ponownie podniosła się z krzesła. – Mam dla ciebie prezent.

– Już tyle mi ofiarowałaś. Zmieniłaś moje życie.

– To prezent także dla mnie.

Zaprowadziła Breen do lustra w srebrnej oprawie z umieszczonym centralnie kamieniem Smocze Serce.

– Widzące Zwierciadło twojej prababki. Kiedy będziesz mnie potrzebowała, zechcesz ze mną porozmawiać, zobaczyć się ze mną, wystarczy, że staniesz przed nim i mnie wezwiesz.

Magiczny FaceTime – podsumowała w myślach Breen.

– Jest piękne. Babciu, zawsze będę cię potrzebować. – Otoczyła Marg ramionami. – I nie zawiodę cię. Znajdę roz-

wiązanie.

– Teraz musisz pomyśleć, jak to, co usłyszałam od ciebie, powiedzieć tym wszystkim, którym na tobie zależy.

Breen ciężko westchnęła. Nie podejrzewała, że okażą się tak wyrozumiali jak babcia.

Liczyła na Aisling, jednak się pomyliła.

– Zrobisz, co zechcesz – podsumowała tamta, niosąc do kuchni wiadro wody ze studni. – Mój ojciec zginął, możesz więc robić, co ci się żywnie podoba.

– Aisling...

– Ojciec moich dzieci walczy i lata na zwiady, żeby zapewnić bezpieczeństwo Talamh. – Zakotłowała wiadrem i nalała wody do garnka. – A gdy ty będziesz sobie żyć po drugiej stronie, gdzie woda leci po odkręceniu kurka i jeździ się samochodami, które zasmradzają powietrze, być może pewnego dnia moje dzieci będą musiały stanąć do walki w obronie Talamh.

– Nie wracam ze względu na samochody czy wodę w kranie. Mam tam zobowiązania.

– Co, chodzi o wybór pomiędzy życiem i śmiercią? – prychnęła Aisling. – Światłem i ciemnością, zniewoleniem i wolnością?

– Nie, tam nie jestem nikim ważnym. Posłuchaj, ja wrócę. Przysięgam to babci i przysięgam tobie, ale muszę najpierw pozałatwiać swoje sprawy... – zamilkła na widok wchodzącego Harkena.

– Ona nas zostawia – rzuciła Aisling i zaczęła zawzięcie skrobać marchewkę.

– No, cóż. – Zdjął czapkę i stał bez ruchu, patrząc na Breen.

– Wróć. Przysięgam. Ale muszę... – Do diabła z tym – pomyślała i mocno ścisnęła jego rękę. – Wsłuchaj się w mój umysł i serce. Nie odchodzę, bo tak mi się podoba, po prostu chcę postąpić przyzwoicie. Wróć i postaram się zrobić to, co do mnie należy.

– Cierpisz. Jesteś rozdarta, bo miłość i obowiązek ciągną cię w dwie strony. Życzę ci szczęśliwej podróży, Breen Sio-bhan, i bezpiecznego powrotu do nas. – Dotknął ustami jej czoła. – Morena została na zewnątrz, rozmawia z dziećmi. Keegan w tej chwili robi przygotowania do dzisiejszego treningu. Musisz im obojgu powiedzieć.

– Wiem. I tak zrobię. – Obejrzała się na Aisling. – Wybacz.

– Ona zostawia za sobą spory kawałek serca – zauważył Harken po wyjściu Breen.

– Kawałek serca nie wystarczy do pokonania Odrana.

Podszedł do niej i otoczył ją ramionami. Zesztywniała w jego objęciach, chciała go odepchnąć, ale dała za wygraną.

– Harkenie, nie da się ani zamknąć, ani otworzyć drzwi, nie mając klucza.

– Zobaczysz, wróci silniejsza.

– O ile... – Spojrzała w okno. Breen akurat szła w kierunku Moreny. – O ile wróci.

Rozdział 26

Podejdź do tego jak do gorzkiego lekarstwa i miej to z głowy – powiedziała sobie Breen.

A jednak odczekała, aż Morena odpowiednio ułoży rękę Kavana, aby mógł przywołać jastrzębia na rękawicę.

Ileż on ma w sobie godności – myślała, obserwując Amisza, gdy z rozpostartymi skrzydłami sfrunął z wysokiego konaru na rękę chłopczyka i ze stoickim spokojem znosił jego radosne piski.

– Na pewno obaj wyrośnięcie na wspaniałych sokolników. Kiedy do was przyjdę następnym razem, znowu się pouczymy. A teraz Amisz ma ochotę zapolować.

– Tata mówi, że jeżeli będę robił postępy, może dostanę jastrzębia na urodziny.

Morena uśmiechnęła się do Finiana.

– Skoro tak się sprawy mają, chętnie pomogę ci go trenować. No, Kavanie, pozwól mu odlecieć.

– Pa! Pa! – Chłopczyk uniósł rękę, tak jak go nauczyła.

– Świetnie! Obaj doskonale sobie radzicie. – Pomogła im ściągnąć rękawice w dzieciennym rozmiarze, które sama dla nich uszyła. – A teraz odłóżcie je na miejsce.

Obaj ruszyli biegiem w stronę domu. Na widok Breen buzię Finiana opromienił uśmiech. Kavan jak zwykle wyciągnął do

niej ramiona. Poderwała go z ziemi i wtedy dotarło do niej, że bardzo jej będzie brakować tych malców.

– Morena zrobiła dla nas rękawice – pochwalił się Finian. – Ćwiczyliśmy z Amiszem. Na zmianę. Na urodziny dostanę jastrzębia.

– Kiedy masz urodziny?

– W Samhain. Mama mówi, że wybrałem ten dzień, żeby moja dusza spotykała się z duszą taty, bo wtedy zasłona między naszym światem i zaświatami jest najcieńsza. Chodź, Kavan, musimy odłożyć rękawice na miejsce.

– Pa! – zawołał, kiedy Breen postawiła go na ziemi. – Pa! Pa!

– Fajne dzieciaki – skomentowała Morena. – Wiem, że Aisling bardzo chciałaby dziewczynkę, ale oni z Mahonem płodzą udanych synów.

– To prawda. Masz dla nich dużo cierpliwości.

– To nie takie trudne. Dobra praktyka, zanim pozwolę Harkenowi zrobić mi dziecko.

– Och.

– Chyba wolę od razu dzidziusia bez tych korowodów z zarękowinami. Oczywiście, on będzie chciał i jedno, i drugie. Ale na razie nie ma o czym gadać. No jak tam, gotowa na trening z Keeganem?

– A mam wybór?

– Według niego nie. W ostatnim czasie ćwiczysz jak szalona, więc albo to polubiłaś, albo chcesz złożyć Keeganowi jego zgrabny tyłek.

– Hmm, nie, ani trochę nie polubiłam walki na miecze ani wręcz. Ja... możesz mnie odprowadzić? Muszę z tobą porozmawiać.

– Jasne i tak zamierzałam chwilę na was popatrzeć, rzucić paroma wyzwiskami w tego faceta. O czym chcesz rozmawiać?

– Jesteśmy ze sobą blisko. Byłaś moją pierwszą przyjaciółką i chociaż mnóstwo rzeczy z tamtych czasów nadal mi umyka, czuję, że tak było.

– Coś cię dręczy, widzę to nawet bez daru Harkena.

– Tam, po drugiej stronie, mam przyjaciół. Jeden z nich mi matkował. Otaczał mnie troską, rozumiał i wspierał, zapewnił mi to, czego moja matka nie potrafiła albo nie chciała dawać. Zawsze miałam przy sobie Marco.

– To jego poznała moja matka. Według jej słów przystojny, uroczy i dobrego serca.

– Wszystko się zgadza. Odkąd pamiętam, jest stałym elementem w moim życiu. Przyjacielem, bratem, ścianą płaczu i przewodnikiem. Ciężko mi, że nie mogę opowiedzieć mu o tym wszystkim. Boli mnie sama świadomość, że muszę zataić prawdę.

– Rozumiem. – Morena współczującym gestem objęła ją za ramiona. – Przez te wszystkie lata, ilekroć byłam po tamtej stronie, żałowałam, że nie mogę ciebie odwiedzić. Ale prawdziwa przyjaźń nie zawsze jest łatwa, prawda?

– Nie i nie traktuję jej lekko. Moreno, muszę tam wrócić.

– Wrócić? Wrócić do... Ale my ciebie potrzebujemy, jesteś tutaj szczęśliwa. Przebudziłaś się.

– Tak, tak, zgoda. Ale ja muszę tam wrócić z wielu powodów. Czekają na mnie niezakończona sprawa i odłożone decyzje. Nie mogę tak po prostu odwrócić się od ludzi, na których mi zależy i którym zależy na mnie.

Morena, blada na twarzy, cofnęła ramię.

– Ale tych tutaj możesz zawieść?

– Nie. I dlatego wrócę. Przede wszystkim potrzebuję czasu. Muszę wiele rzeczy przemyśleć. Teraz, kiedy poznałam Talamh i dowiedziałam się tego wszystkiego, muszę z dystansu spojrzeć na swoje życie.

– Większą jego część spędziłaś po tamtej stronie. Powinnaś wiedzieć, gdzie należysz.

– Potrzebuję czasu – powtórzyła. – Wrócę. Ze względu na przyjaźń, na babcię i z poczucia obowiązku.

– Kiedy? Kiedy się zbierasz?

– Za trzy dni. Dokładnie dwa – poprawiła się. – Nie licząc dzisiaj.

– A kiedy wrócisz?

– Nie umiem powiedzieć dokładnie. Ale wrócę.

– Ostatni raz powiedziałaś to samo ponad dwadzieścia lat temu.

– Tym razem tak nie będzie. Teraz ja dokonuję wyboru, nie jestem dzieckiem.

Morena obejrzała się na farmę i odwróciła z powrotem do Breen.

– Może ty jeszcze tego nie wiesz, ale ja tak. Tutaj jest twój prawdziwy dom. A więc wrócisz. Uważaj na siebie, Breen, i za

długo nie zwlekaj. Mówiłaś Marg?

– Tak. I Aisling, a potem Harkenowi, kiedy mnie u niej zastał.

Pokiwała głową.

– Znaczy Keegana zostawiłaś na koniec. Ponieważ jesteś moją przyjaciółką z całego serca życzę ci powodzenia. Ale teraz cię zostawiam, najlepiej sama to załatw.

– Jasne.

– Zajrzę do ciebie przed wyjazdem.

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo Morena już odwróciła się na pięcie i skręciła na ścieżkę do chaty Aisling.

Breen poczekała na hasającego Fąfla i poszła na pole, gdzie Keegan metodycznie polerował jeden z mieczy.

– Znowu się spóźniłaś i zabraknie czasu na trening. Znam kobiety w niejednym ze światów, którym się wydaje, że mężczyzna nie ma nic lepszego do roboty poza czekaniem na nie. Wszystkie pod tym względem się mylą.

– Wcale tak mi się nie wydaje i nigdy nie wydawało. Miałam pewne sprawy do załatwienia i nadal je mam.

Przysiadła na jednym ze stopni do wsiadania na konia, które Keegan porozstawiał na polu. Miały służyć do krótkich wypoczynków, a przy okazji stanowiły tor przeszkód, który niejednokrotnie musiała pokonywać w trakcie ich pojedynków.

– Musiałam porozmawiać z babcią i z... resztą. Nadal jest parę osób, z którymi powinnam pomówić. Między innymi z tobą.

Spojrzał jej prosto w twarz spod zmrużonych powiek.

– A więc wracasz.

– Tak, ale...

– To kwestia dni, dokładnie dwóch, czyli zaledwie godzin.

– Tak – przyznała, zaskoczona, że wiedział.

– Pojawiłaś się na określony czas, myślisz, że nie wiedziałbym, że on właśnie dobiega końca. A jednak słowem o tym nie wspomniałaś. Tak ci było wygodniej. Ja – my wszyscy – mieliśmy uwierzyć, że zamierzasz zostać.

– Nie, wcale nie wygodniej. Może przez jakiś wolałam w ogóle o tym nie myśleć. Więc nie myślałam. A potem milczałam, bo nie bardzo wiedziałam, jak to powiedzieć.

– Skoro już powiedziałaś – podniósł się ze stopnia – nie widzę powodu, żeby marnować czas na trening, bo przecież postanowiłaś tam wrócić.

– To nie w porządku. – Zerwała się na równe nogi. – Nie w porządku. Czemu wierzyłam, że zachowasz się fair i wystuchasz, co mam do powiedzenia?

– Już powiedziałaś, wyjeżdżasz. Teraz wszyscy w moim świecie będą oczekiwać, że stawię czoło Odranowi, oddalę groźącą nam wizję zniszczenia i śmierci. Podjąłem miecz z jeziora, tak jak mi kazałaś.

– Ja... co? Nigdy nie... przecież mnie tam nie było.

– Pojawiłaś się, gdy zobaczyłem go przez ścianę wody. Pomyślałem wtedy, nie, to nie dla mnie. Nie chcę. Nie chcę nikomu przewodzić. I wtedy ty się pojawiłaś i przemówiłaś do mnie tam, w wodzie. Więc go podniosłem oraz związane

z nim brzemień. A ty, która z urodzenia masz moc przewodzenia światom, odrzucasz ten ciężar.

– Wcale nie. Nieprawda. Ja wrócę. Nie wiesz, jaka byłam, zanim tu się pojawiłam. – Przeciągnęła palcami po włosach i odwróciła się. – Nie podobałabym ci się. Sama sobie się nie podobałam. Muszę tam wrócić taka, jak jestem teraz.

– Po co?

– Żeby udowodnić, że potrafię być inna. Że jestem taką osobą, jaką chcę być. Dokonywać wyborów, wiedząc o sobie to, co wiem. Do diabła, Keeganie, ty i inni z Talamh wyjeżdżacie na zewnątrz, zachęca się was do poznawania innych miejsc. A potem dokonujecie wyboru. A mnie tego nie wolno?

– Żyłas tam.

– Nie ja. – Odwróciła się do niego, uderzając się dłonią w pierś. – Tylko kobieta, która robiła wszystko, żeby nikt jej nie zauważał. Która postępowała zgodnie z narzuconymi regułami. Która uwierzyła, że jej ojciec nie kochał jej na tyle, aby z nią zostać. Teraz wraca tam całkiem inna osoba. Przez całe lato nie rozmawiałam z matką, ani razu nie próbowała się ze mną skontaktować. Ta kobieta, która tam wraca, ma zamiar odbyć z Jennifer cholernie poważną rozmowę.

– A więc udajesz się tam, żeby pokazać matce, jaka jesteś silna?

– Tak, między innymi. I co w tym złego? Czy nie tego uczyłeś mnie przez te wszystkie tygodnie? Nie taki był cel? – Obróciła się i chwyciła miecz. – Ona robiła wszystko, żebym była słaba. – Przecięła mieczem powietrze. Z gorącej klingi sypnęły czerwone iskry. – Udowodnię jej, że poniosła klęskę.

Mam tam bliskich mi ludzi, muszę się z nimi zobaczyć, wytłumaczyć im jakoś, że nie zostaję w Filadelfii. Powiem, że wracam do Irlandii dokończyć książkę, nad którą właśnie pracuję, i to nie będzie do końca kłamstwem. – Z westchnieniem odłożyła miecz. – Wiem, że będę rozczarowani. Razem z Marco, moim najbliższym przyjacielem, zamierzaliśmy kupić dom. Znalazł taki, jaki sobie wymarzyłam, zanim... zanim wszystko się zmieniło. Sprawię mu zawód, bo nie mogę tego zrobić...

– A więc myślisz o domu i dumie. Zapomniałaś wizje, nie pamiętasz już tamtych rozpaczliwych jęków i pożogi?

– Nigdy tego nie zapomnę – oznajmiła, podnosząc głowę i patrząc hardo na niego pociemniałymi oczami.

– Rozumiesz, że Odran wie o twoim przebudzeniu? Będzie próbował przedzierać się przez portale, przysyłać tu szpiegów i demony. Za wszelką cenę będzie chciał wnikać w twoje sny.

– Mam zakłęcie...

– Nikt ci nie pomoże, jeżeli ono zawiedzie.

– Zrobię wszystko, żeby nie zawiodło.

– A jeżeli ci się nie uda i on wykorzysta to, co masz, Talamh będzie zgubiony. Potem przyjdzie kolej na twój świat, bo ty jesteś mostem.

– Musi się udać – podchwyciła. – Zanim tu przyjechałam, wierzyła we mnie garstka ludzi, może nawet mniej. Ja sama w siebie nie wierzyłam.

Zabolęła ją świadomość, że on chyba też w nią nie wierzy.

– Jest mi trudniej wyjechać niż zostać. Ty tego nie zrozumiesz, ale już postanowiłam. Pojadę, zrobię, co należy, wrócę i oddam Fey to, co jestem wam winna.

– W takim razie szkoda mi czasu i śliny. Nie ma sensu dalej cię szkolić, lepiej zajmę się czymś pożytecznym.

– Mamy jeszcze dzisiaj, jutro i...

– Umiejętność władania mieczem raczej ci się nie przyda w tej twojej Filadelfii. – Zdecydowanym ruchem wsunął miecz do pochwy i podniósł z ziemi ten przeznaczony dla niej. – A więc jedź, Breen Siobhan, rób, co chcesz i musisz. Wygląda na to, że masz w sobie więcej z człowieka niż z ludu Fey.

Zostawił ją samą. Chwilę później zobaczyła, jak spod nieba zanurkował smok. Keegan dosiadł go, wzbił się w powietrze i zniknął w chmurach, nie zaszczycając jej nawet jednym spojrzeniem.

Nie pokazała się więcej na farmie; czuła, że nie będzie tam mile widziana. Większość czasu, jaki jeszcze pozostał, spędziła z babką i Sedrikiem. Odwiedziła Morenę i jej dziadków, przyglądała się podrostkom Fey hasającym na drogach i w lesie.

Wieczorem, w przeddzień wyjazdu, zostawiła Fąfla u Marg. Pies pożegnał ją żałosnym skomleniem. Przez całą drogę do chaty miała w uszach jego smętne popiskiwanie.

Zwlekała z przejściem na drugą stronę do zmierzchu, gdy światło zbladło do perłowej szarości, a wzgórza w oddali okryły się cieniem.

Wiedziała, że o tej porze Talamh cichnie. Wszyscy wrócili z pracy i zdążyli zjeść wieczorny posiłek. Dzieci już śpią,

a dorośli mają czas na czytanie i rozmowy. I na muzykowanie – dodała w myślach, słysząc słodkie i zarazem rzewne dźwięki skrzypiec, niesione wiatrem od strony farmy.

Przypominały płacz. Nic bardziej nie pasowało do jej nastroju.

W oknach chaty, gdzie urodził się jej ojciec, a później ona, paliły się światła. Minęła ją z ciężkim sercem, ścigana smętną melodią.

Morena siedziała na murku na tle Powitalnego Drzewa. Podniosła się na widok zbliżającej się Breen.

– Pomyślałam, że przyjdę się z tobą pożegnać.

Breen zarzuciła jej ramiona na szyję i milcząc, przez chwilę trzymała ją w objęciach.

– Wyjeżdżasz stąd z bólem serca. To widać, więc to, co cię tam ciągnie, musi być szalenie istotne.

– Jest. Nie umiem tego wytłumaczyć, ale uwierz mi, że tak jest.

– Mnie twoje wyjaśnienia wystarczą. – Morena uścisnęła ją serdecznie, odsunęła się i obejrzała na farmę. – Ale nie wszystkim.

– Harken gra jak anioł. Anioł smutku – zauważyła Breen.

– On dobrze gra, nawet bardzo dobrze, ale tym razem to Keegan.

– Keegan? Nie miałam pojęcia, że on w ogóle potrafi grać.

– Twój rodzony ojciec go nauczył, a także Harkena i Aisling. Pewnie ci o tym zapomniał powiedzieć, kiedy wylą-

dowaliście w łóżku.

Ona wie – pomyślała Breen. – Oczywiście. Pewnie wszyscy wiedzieli.

– Nie, nie powiedział. A teraz jest na mnie zły i w ogóle się nie odzywa.

– Los świata spoczywa na jego barkach, leży na sercu i w rękach.

– Ja to rozumiem. Naprawdę. I dlatego nie umiem złościć się na niego, chociaż byłoby mi z tym lżej.

– Naprawisz wszystko po powrocie.

– Na pewno wrócę, ale niekoniecznie cokolwiek naprawię. – Wzruszyła ramionami, siląc się na uśmiech. – Myślę, że jestem jedyną kobietą w historii, którą porzucono w dwóch światach.

– W zasadzie mężczyźni to bardzo kruche istoty.

– Czyżby? – zapytała rozzalona Breen.

– Uwierz mi na słowo. Ale dość o tym. Ty po przyjeździe dałaś mi prezent, a ja mam dla ciebie podarunek na pożegnanie.

Wręczyła Breen małą szkatułkę z magicznymi symbolami wyrzeźbionymi na wieczku.

– Piękna.

– Owszem, ładna, ale prawdziwy prezent jest w środku.

Breen otworzyła szkatułkę, a Morena zapaliła kilka magicznych światełek, żeby przyjaciółka mogła dokładnie zobaczyć, co trzyma w dłoni.

– Chata babci! Idealna miniatuurka chaty Marg z tymi zawsze otwartymi drzwiami i z ogrodem od frontu.

– Z początku myślałam, żeby zrobić taką chatę, w jakiej teraz mieszkasz po drugiej stronie.

– To twoje dzieło? Niesamowite.

– Miło mi. Myślałam też o farmie, bo sporo cię z tym miejscem łączy. Ale w końcu uznałam, że najlepiej, żebyś przez sentyment zabrała ze sobą w podróż chatę Marg.

– To naprawdę cudowny prezent, jesteś kochana, że wpadłaś na taki pomysł. Och, Moreno, będę za tobą tęsknić.

– Nie tęsknij za długo. Znajdziesz mnie tutaj, kiedy wrócisz.

Breen ostrożnie położyła miniaturkę na aksamitnej wyściółce.

– Zaglądaj do babci i Fqfla.

– Oczywiście.

– Czas na mnie.

– Wiem. Szczęśliwej drogi!

Przecięta pole, weszła na schodki i obejrzała się. Morena nie ruszyła się z miejsca.

Chyba jestem jedyną kobietą, która ma takich bliskich przyjaciół w dwóch światach – uznała Breen.

Ze szkatułką przyciśniętą do piersi przeszła na drugą stronę.

*

Cały dzień wyjazdu – pakowanie rzeczy do samochodu, sprawdzanie, czy nic nie zostało, jazda w mżawce wśród wil-

gotnej zieleni połyskującej jak szmaragdy – to wszystko przypominało sen.

Kiedy weszła na lotnisko, gwar, ciżba, zamieszanie o mało nie wprawiły jej w panikę. Doznała czegoś na kształt szoku kulturowego. Ale musiała się skupić, żeby przejść przez te zwykłe formalności i procedury. Gdy wreszcie usiadła w stonkowo cichej poczekalni, roztrzęsiona napiła się wody, drżącymi rękami podnosząc szklankę do ust.

W samolocie wróciło wspomnienie tamtego lotu na smoku. To naprawdę się działo. Odpisała na entuzjastyczny esemes Marco, żeby się odnaleźć w nowej rzeczywistości.

Kiedy samolot wznosił się w przestworza, nie spojrzała przez okno. Nie chciała widzieć, co zostawia za sobą. Nie miała ochoty ani na film, ani na książkę. Spróbowała skupić się na pisaniu.

Pomogło, trochę pomogło, a kiedy wątek zaczął się rwać, poszła do toalety, wypita eliksir, użyła zaklęcia i z talizmanem w kieszeni przespała resztę podróży.

Formalności i procedury – powtórzyła w myślach, gdy samolot dotknął płyty lotniska. Po przejściu wszystkich etapów wytoczyła wózek z bagażem na świat zamętu i zgiełku, od którego dzwoniło jej w uszach i żołądek podchodził do gardła.

Najchętniej zawróciłaby i poszukała jakiejs kryjówki, ale tam już czekał Marco i machał do niej obiema rękami. Marco, który z uśmiechem od ucha do ucha, pochwycił ją w objęcia i poderwał z ziemi.

– Jest nasza Breen!

– Jesteś – wymamrotała. Śmiejąc się i płacząc, wtuliła twarz w zagłębienie jego ramienia.

– Niech ci się przyjrzę, dziewczyno. – Odsunął ją na długość ramion i zamrugął z wrażenia. – Dziewczyno, zostawiłem cię w niezłej formie, ale, jasna dupa, jakie ty masz teraz mięśnie! Coś tam robiła?

– Co? Dużo ćwiczyłam.

Walkę na miecze, wręcz, jazdę konno, wędrówki – dopowiadała w myślach.

– Cholernie dobrze wyglądasz. A gdzie ten twój pies? Gdzie się go odbiera?

– Nie mogłam go tu przywieźć. – Rozpłakała się na dobre.
– Zostawiłam go u... Później ci opowiem.

– W porządku, dziecino, już dobrze. Gdzie pies w tym głupim mieszkaniu.

– Marco, proszę, zbierajmy się stąd.

– Jasne. Daj, będę pchać tę górę bagażu. – Stanął za wózkiem. Pożyczyłem minivan od kuzyna. Taki pojazd to hańba dla mojego gatunku, ale właśnie się przyda. Poczekaj na chodniku, za moment po ciebie podjadę.

– Dzięki.

– Musisz być wykończona.

– Oj, tak. Wszystko wydaje mi się takie dziwne. Poza tobą.
– Mocno trzymała się go za ramię, gdy wyprowadzał wózek na zewnątrz.

– Po powrocie przez wiele dni miałem rozregulowany zegar biologiczny. A jak z tobą?

– W porządku.

Nie – pomyślała, gdy się oddalił. – Nic nie jest w porządku. Powietrze ma nie taki zapach, niebo nie tak wygląda. Zbyt wielu ludzi mówi naraz. W ogóle wszędzie za dużo ludzi i samochodów. I ten łoskot startujących i lądujących samolotów.

Podjechał wiśniowym minivanem, wyskoczył i otworzył bagażnik.

– Wsiadaj, odetchnij. Ja przełożę bagaż.

– Nie, nic mi nie jest. Siedziałam tyle godzin, muszę się rozruszać.

Kiedy wsunęła się na fotel pasażera, głowa pękała jej z bólu.

– Pamiętasz jeszcze, że tutaj się jeździ po prawej stronie? – Odbił od krawężnika. – Mam wolną nockę, przygotuję ci wystawną kolację. Wiem, że jesteś z tych porządnickich, ale świat się nie zawali, jeżeli jutro się rozpakujesz. Dzisiaj wyluzuj.

– Może. Mam ci tyle do opowiadania.

– A ja chcę wszystko dokładnie usłyszeć. Szczególnie interesuje mnie ten irlandzki kochaś.

– To skończone.

– Hej, a może on przyleci do ciebie z wizytką?

Pokręciła głową.

– Ja musiałam wyjechać, on zostać.

– Nie zapominaj o Sandy i Dannym. Wakacyjna miłość potrafi być trwała. – Przewrócił oczami w odpowiedzi na jej pusty wzrok. – Breen, brakujące słowo to *grease*.

Rozśmieszył ją.

Kiedy wjechali do miasta, starała się odciąć wszystko poza nim. Przecież dobrze zna to miejsce, jest u siebie – myślała – a jednak wszystko wydawało się dziwnie obce jak tamte dwa księżyce.

Wtąszczyli walizki na górę do mieszkania.

– Muszę odprowadzić van. A ty odpoczywaj. Będę z powrotem za pół godziny. Luzik, Breen, słyszysz?

– Tak jest.

Uściskał ją serdecznie.

– Witaj w piekielnym domu.

Kiedy wyszedł, rozejrzała się wokół siebie. Tutaj też wszystko wydawało się znajome.

A jednak to już nie był jej dom. Nieważne, ile z niej tutaj zostało, ile w jej życie wnosił Marco, to już nigdy nie będzie jej dom.

Rozpakowała się, wcisnęła prezenty do swojej małej szafki. Ustawiła na komodzie szkatułkę, miniaturę chaty i Widzące Zwierciadło. Wiedziona poczuciem winy, poupychała w szufladach kryształ, eliksiry, różdżkę i księgę z zaklęciami.

Sztylet *athame* zostawiła u babci; lepiej takich rzeczy nie przewozić samolotem.

Kiedy usłyszała kroki Marco, wyszła ze swojego pokoju.

Na jej widok podparł się pięściami pod boki.

– I co, rozpakowałaś się?

– Musiałam.

– Dziewczyno. – Westchnął teatralnie. – Siadaj. Podam nam napój dla dorosłych i zanim zabiorę się do mojego słynnego kurczaka z ryżem, trochę mi poopowiadasz.

– Brakowało mi twojej kuchni.

– Z blogu jasno wynikało, że raczej rzadko gotowałaś.

– Jestem beznadziejną kucharką.

Nalał im wina i dosiadł się do niej.

– Na szczęście masz mnie. No, a teraz opowiadaj.

– Tyle się działo, nie wiem, od czego zacząć.

– Sama wybierz.

– Wiele spraw pominęłam w blogu, bo były zbyt osobiste. Z kolei rozmowy o nich z tobą przez telefon czy esemesy okazałyby się za mało osobiste. W takim razie zacznę od mojego ojca.

– Jezu, znalazłaś go?

– Marco, on nie żyje. Od wielu latu. Wróciłby do mnie, ale...

– Och, moja dziewczynka. – Zerwał się z krzesła, przykucnął przy niej i otoczył ją ramionami. – Przykro mi, Breen. Szkoda, że mnie tam nie było. Nie powinnaś takich rzeczy przeżywać samotnie.

– Nie czułam się samotna. Odnalazłam babcię. Matkę ojca.

Otworzył szeroko oczy i opuścił ręce.

– Gdzie, jak?

– Ja... któregoś dnia się zgubiłam i trafiłam na farmę, piękną farmę. Marco, ja tam się urodziłam.

– Co?

– Nie wiedziałam, zawsze myślałam, że urodziłam się tutaj. Okazało się, że oni na tej farmie znali mojego ojca, a kawałek dalej stoi chata mojej babki. Spędziłam z nią mnóstwo czasu. Spodobałaby ci się, Marco. Na pewno byś ją polubił.

– Breen, to jak zrządzenie losu, nie?

– No. – Jakie to proste – pomyślała. – Jak zrządzenie losu.

Opowiedziała mu, ile mogła, wpisując Talamh w Irlandię.

– To od babci dostałam psa, zostawiłam go u niej do...

– Twój tata ci o niej nie mówił?

– Myślę, że pojawiała się w tamtych historiach, które mi opowiadał. A moja matka, no cóż, oddzieliła przeszłość grubą kreską.

– To jest takie... – Złapał się za głowę i zagwizdał zachwycony. – To się nadaje na powieść.

– A właśnie. – Wypuściła oddech. – Znasz tę rzecz, którą napisałam o Fąflu?

– Znam. Przeczytałem ją z zachwytem.

– Jestem w trakcie pracy nad następną częścią i piszę powieść dla dorosłych. Mam agentkę.

– No co ty! Patrzcie państwo. Fantastycznie!

– Może być jeszcze lepiej. Ona sprzedała już pierwszą część przygód Fąfla, a umowa opiewa na kolejne dwie.

– Co takiego? – Zamrugał.

– Mam redaktorkę. Wydawcę. Latem w przyszłym roku historia Fąfla ukaze się drukiem.

Odstawił wino, wstał i krążył po pokoju.

– Wolałam ci nic mówić, dopóki nie mogłam powiedzieć
– paplała bez sensu, speszona jego reakcją. – Chciałam...

– Cicho. Nic nie mów.

Poderwał ją z krzesła i zakręcił z nią dwa szalone kółka.
A potem wtulił twarz w jej włosy.

– Jestem z ciebie dumny. Cieszę się. Jesteś wielka.

Kiedy cofnął głowę, żeby ją pocałować, starta mu łzy z policzków.

– To twoja zasługa – wyszeptała.

– Breen, twoja, wyłącznie twoja.

Wzięła go za rękę i delikatnie powiodła jego dłoń po tatuażu na nadgarstku.

– Ty mi pomogłeś odnaleźć odwagę. A jutro przyda mi się podczas spotkania z matką.

– Z początku nieśmiało korzystałaś z tej odwagi, a teraz idziesz jak burza. Mam ci towarzyszyć?

– Nie. – Oparła głowę na jego ramieniu i poczuła, że świat, który niedawno uważała za obcy, nadal jest jej domem. – Sama muszę to załatwić.

Rozdział 27

Wstała szarym świtem i skontaktowała się z Marg przez Widzące Zwierciadło. Rozmawiała krótko, półgłosem, pamiętając, że za cienką ścianą śpi Marco. Fąfel musiał ją usłyszeć, bo po trzech radosnych szczeknięciach pojawił się w lustrze, merdając ogonem.

Ożywiona i spięta, siadła do pisania, a ponieważ wątek, który tworzyła, przeniósł ją do Talamh, zanurzyła się w pracy z czystą przyjemnością.

Słońce wypełniło jej małą sypialnię, ale upłynęło sporo czasu, nim usłyszała ruch w sąsiednim pokoju.

Przerwała pisanie i poszła zaparzyć kawę.

– Rany, jak mi brakowało porannej kawy w twoim wykonaniu. – Z kubkiem w dłoni, objął ją wolnym ramieniem. – Już wrzuciłaś wpis do bloga. O wpół do czwartej rano.

– Różnica czasu.

– Zdrzemnij się, dziewczyno.

– Zobaczę. – Jednak spanie nie było jej w głowie.

– Prosto ze sklepu muzycznego idę do Sally. Może tam się spotkamy? Masz tyle do opowiadania i jeżeli zaraz nie podzielisz się z nimi wiadomościami, nie wytrzymam i sam to zrobię.

– Przyjdę. Chcę zobaczyć się z Sally, Derrickiem i całą resztą.

Będzie ich potrzebowała po konfrontacji z matką.

– Wybierasz się do matki?

– Czytasz w moich myślach.

Popukał ją palcem w skroń.

– Wiem, co tam się dzieje.

– Przed szóstą powinna być w domu, o ile nie wyjechała gdzieś w interesach. Po rozmowie z matką przyjdę do baru.

– Będę trzymał drink na podorędziu. Gdybyś mnie potrzebowała, po prostu przyślij esemes. Muszę się zbierać. Za mniej więcej kwadrans mam lekcję. Zdrzemnij się.

Ruszył do wyjścia. Zawsze robił wszystko na ostatnią chwilę.

Podeszła do okna.

Kochała tę dzielnicę i teraz stojąc w oknie, objęła wzrokiem to, co budziło tę miłość – stylowe sklepiki, etniczne restauracyjki i cudowną małą piekarnię. W każdą niedzielę objadali się z Marco orgazmicznie słodkimi bułeczkami oblepionymi lukrem.

Kochała tutejsze wybrukowane uliczki. A jeżeli się wysiliło wzrok, widać było stąd mały kawałek rzeki. Cieszyło ją, że w każdym okolicznym sklepie czy restauracji zwracano się do niej po imieniu.

Ludzie ją znali, mimo że starała się nie rzucać w oczy. Może właśnie na tym polega prawdziwe sąsiedztwo.

Zastanawiała się nad spacerem, jednak szybko się rozmyśliła, bo okolica nie wydawała się już taka pociągająca jak dawniej. Brakowało soczystych łąk przechodzących łagodnie w zielone wzgórza, zmiennego nieba przeglądającego się w wodach zatoki.

Nie było Fąfla, który wybiegał naprzód w pogoni za owcą czy wiewiórką.

Uznała, że po prostu jeszcze się nie oswoiła, nie przywykła.

Czeka ją tyle dylematów. Dopóki ich nie rozwiąże, będzie żyć w zawieszeniu pomiędzy światami, miłościami, zobowiązaniami.

Najlepiej jeśli teraz skupi się na pisaniu, ale najpierw jeszcze zadzwoni w kilka miejsc.

Po pracowitym dniu wsiadła do autobusu. Z przyzwyczajenia. Gdy poczuła gulę paniki rosnącą w gardle, wsunęła rękę do kieszeni i zacisnęła palce na woreczku z zaklęciem, które miało dodawać jej siły w osiągnięciu celów.

Wyobraziła sobie, że jedzie samochodem krętymi drogami Irlandii, galopuje na łagodnym wałachu przez pola i lasy Talamh.

Zatłoczony w godzinie szczytu autobus przestał budzić w niej lęk. Już prawie nie słyszała klaksonów oraz hip-hopowej muzyki w słuchawkach siedzącego przed nią pasażera.

Posykiwały pneumatyczne hamulce, drzwi otwierały się i zamykały z metalicznym szczękiem. Ludzie wysiadali i wsiadali.

Marco miał rację – stwierdziła, wysiadając. – Należało się zdrzemnąć.

Orzeźwił ją spacer. W dzielnicy matki nawet o tej porze panował spokój. Drzewa rzucały cień na wąskie, soczysto zielone trawniki przed domami. Może wszystko było przesadnie ułożone i wypieszczone jak na jej gust, ale przynajmniej nie brakowało tutaj kolorów.

Nie, absolutnie nie chciałyby mieszkać w takiej enklawie. Kiedyś – o ile nadejdzie taki czas – poszuka miejsca, które oferuje dużo przestrzeni, gwarantuje odosobnienie i prosty styl życia.

Skręciła na alejkę do domu matki. Przed wejściem wzięła jeszcze jeden głęboki oddech i nacisnęła dzwonek.

Kiedy Jennifer stanęła w drzwiach, na jej twarzy nie drgnął żaden mięsień, nie wyglądała na zaskoczoną, co odpowiedziało Breen, że matka, zanim jej otworzyła, sprawdziła obraz na wyświetlaczu domofonu.

– Breen. A więc wróciłaś.

– Tak. Mogę wejść?

– Oczywiście.

Matka na lato zapuściła włosy. Miała teraz swobodną fryzurę z jasnymi pasemkami. Była w spodniach nad kostkę i bluzce bez rękawów, czyli zdążyła się przebrać po pracy.

W dłoni trzymała zwyczajowy wieczorny drink – tym razem nie kieliszek wina, tylko gin z tonikiem, a to znaczyło, że miała w pracy stresujący dzień.

W takim razie wieczór w domu dołoży jej stresu.

– Siadaj. – Jennifer skinęła ręką w stronę salonu. – Napijesz się czegoś?

– Nie. Dziękuję.

Nic się tutaj nie zmieniło – odnotowała w myślach Breen. – Absolutna perfekcja.

– Pewnie dobrze się bawiłaś na przedłużonych wakacjach i zakładam, że jesteś gotowa wrócić do rzeczywistości. W tych okolicznościach będziesz musiała się zadowolić ofertami pracy na zastępstwach, dopóki...

– Nie wracam do szkoły.

Jennifer, sącząc gin, przyglądała się Breen z dezaprobatą, której siła powinna rozbić szklankę.

– Może w twoich oczach kilka milionów dolarów stanowi fortunę, ale tych pieniędzy nie wystarczy na długo, jeżeli będziesz je trwonić. Podróże do Europy, nowe ubrania i brak dochodów.

– Mam dochody. Z pisania.

Może to było małostkowe, ale lekceważące prychnięcie matki sprawiło Breen ogromną satysfakcję. Trudno będzie jej przełknąć to, co usłyszy.

– Sprzedałam swoją pierwszą książkę. I podpisałam umowę z wydawnictwem na dwie kolejne.

Jennifer odpowiedziała na tę wiadomość westchnieniem, jakim dorośli zazwyczaj kwitują fantazje dzieci.

– Breen, w internecie roi się od oszustów udających wydawców, którzy próbują naciągać takie osoby jak ty.

– Reprezentuje mnie agentka z Sylvan Agency, która działa na rynku od trzydziestu dwóch lat. A wydawcą jest McNeal Day Publishing. Może o nich słyszałaś – dodała z pewną dozą nonszalancji, wreszcie widząc nerwowy tik na niewzruszonej dotąd twarzy matki. – Jeśli nie, zajrzyj do netu.

W przyszłym tygodniu jadę do Nowego Jorku na spotkanie z moją agentką, wydawcą i redaktorką. Oni wierzą w mój talent. Uważają, że mam szansę zdobyć popularność. A więc nie, nie wracam do uczenia, bo nigdy tego nie lubiłam ani nie miałam do tego drygu.

– Niewielu pisarzy jest w stanie utrzymać się z twórczości.

– Czyż nie cudownie się składa, że mam zaplecze finansowe, kiedy próbuję swoich sił? Wiesz, to wygląda dziwnie. W normalnych relacjach między matką i córką to matka powinna się cieszyć. Może nawet być trochę dumna. Ale nasze relacje nigdy nie były normalne, prawda?

– Bzdura. Próbujesz mnie obrazić. Czuwałam nad tobą, kierowałam, całe życie pomagałam unikać kłopotów. Jeżeli uważasz przesadne rozpieszczanie za normalne, to świadczy o jakimś twoim psychicznym deficycie.

I tyle na ten temat – pomyślała Breen. – Matka nigdy jej nie zrozumie, a ona więcej nie będzie się tym przejmować.

Już nie.

– Czuwałaś, bo chciałaś mieć pewność, że nie wyjdę poza utarte schematy. Odciągałaś mnie od tego, co według ciebie było kłopotem, a dla mnie mogło stanowić wyzwanie czy powód do radości. No cóż, wyszłam poza schematy i bardzo mi to odpowiada. Już nigdy nie będę taka, jak byłam, czy raczej jaką kazałaś mi wierzyć, że jestem. Pozostaje ci to zaakceptować. Albo nie – dorzuciła.

– Tak czy owak, tamte czasy nie wrócą.

– Kiedy skończą się pieniądze...

– Wiesz, polubiłam swoje życie i wcale nie chodzi o pieniądze. Mam nadzieję, że uda mi się robić to, co kocham, i nie

będę od nikogo zależna finansowo. Jeśli nie, znajdę jakieś wyjście. Nauczyłam się, że w życiu najważniejsza jest miłość, obrona własnego zdania, liczenie się ze zdaniem innych, szczodrość i solidarność. Dostałam dobre podstawy, nie od ciebie, ale od Sally, Marco i Derricka.

– Czy dzięki nim miałaś jedzenie na stole i dach nad głową?

Czyżby poczuła się dotknięta – zastanawiała się Breen. – Chowala żal pod gniewem?

– Nie i za to jestem ci winna wdzięczność. Dlatego tu jestem. Trochę lepiej rozumiem, czemu zawsze osłabiałaś moją pewność siebie, zamiast ją podbudowywać. Wiedziałaś, na co mnie stać, i tego się bałaś.

– No wiesz, to niestychane. Sprzedałaś jedną książkę i już cię ponosi.

– Nie chodzi o książkę, to tylko skutek całości. Pewnie nigdy nie starczyłoby mi odwagi na zajęcie się pisaniem, gdyby nie pieniądze. I nie pojechałabym do Irlandii. A gdybym nie pojechała do Irlandii, nie odkryłabym Talamh.

Teraz reakcją już nie był tik ani uniesienie brwi. Jennifer, blada jak ściana, zeszywniała ze szklanką w wyraźnie drżącej dłoni.

– Muszę zająć się pracą. – Podniosła się z fotela.

– Wiesz, o czym mówię, o jakim miejscu. Poznałam babkę. Spędziłam z nią większą część lata, miałam okazję ją dobrze poznać, a także miejsce, gdzie przyszłam na świat, oraz prawa należne mi z urodzenia.

– Matka Eiana była i niewątpliwie nadal jest niestabilna umysłowo. Właśnie dlatego trzymałam ją od ciebie z daleka. Ale nie zabrakło jej przebiegłości, żeby wciągnąć cię w ten jej wyimaginowany świat. Musisz...

– Nie mów mi, co muszę. – Wzburzona, zerwała się z fotela. – Nie powiedziała o tobie złego słowa. Ani razu. A ty, ledwo o niej usłyszałaś, już nazwałaś ją niestabilną, oszustką. Osobę, której istnienie tak starannie ukrywałaś przede mną. Wyimaginowany świat? Cztery lata spędziłaś pośród ludu Fey.

– Masz urojenia. Chyba powinnaś już iść.

– Urojenia? – Breen machnęła ręką i na jej dłoni pojawiła się kula białego światła. – To nie urojenie ani fantazja. To moc. Moc, którą przez cały czas we mnie dławiałaś.

– Przestań. Nie życzę sobie tych aberracji w moim domu.

– Aberracji? – Breen przyszedł na myśl Ultan. Użył tego samego określenia w trakcie procesu. – To dla ciebie aberracja? W takim razie kim ja jestem?

– Dosyć. Nie chcę tego widzieć w moim domu. To jest nasz świat, tutaj żyjemy. Powiedziałam twojemu ojcu...

– On nie żyje.

Jennifer poszarzała na twarzy. Z policzków zniknęły rumieńce złości, a może strachu. Błyszczące gniewnie oczy straciły blask.

Szklanka wypadła jej z dłoni i roztrzaskała się o podłogę.

– Nie wiedziałaś. Naprawdę nie wiedziałaś. Może babcia miała rację. Kochałaś go. Kochaliście się nawzajem.

– Odszedł. Dawno temu. Muszę sprzątnąć ten bałagan, zanim alkohol wsiąknie w deski.

– Daj spokój. – Breen machnięciem ręki usunęła kawałki szkła i alkohol.

– Nie wnoś mi tego do domu, jeżeli chcesz być w nim mile widziana.

– Czy tak właśnie mu powiedziałaś? Postawiłaś ojcu ultimatum? On dla ciebie zostawił swój dom.

– I ciągle tam wracał.

– Miał zobowiązania. Był *taoiseachem*.

– Plemienne brednie! – zachnęła się Jennifer. – Byliśmy jego rodziną – dokończyła łamiącym się głosem.

– Tam też miał rodzinę. I świat, który musiał chronić.

– Ciebie nie ochronił, prawda? W środku nocy zostałaś porwana z łóżeczka.

– Uratował mnie. Walczył o mnie. Bezpiecznie wróciłam do domu.

– Bez przerwy przegrywałam. Z mieczem i buławą. Co za idiotyzm. Mógł je wrzucić z powrotem do tamtego przeklętego jeziora, ale tego nie zrobił. Mógł żyć tutaj ze mną, z tobą jak normalny mężczyzna, mąż i ojciec.

– Nie był normalnym mężczyzną w twoim rozumieniu tego słowa. Cholera, ty próbowałaś zgasić w nim światło, tak jak starałaś się zdusić je we mnie.

– Gdyby się udało, żyłby do dziś.

Żal? Tak, słyszała żal w głosie matki. Ale musiała pozostać twarda.

– I zapewne czułby się nieszczęśliwy tak jak ja przez większość życia. Zamknęłaś mnie w klatce tak samo jak Odran.

– Jak śmiesz! Zapewniłam ci bezpieczeństwo.

– Bezpieczeństwo na twoich zasadach. Zawsze na twoich zasadach. Chowalaś mnie pod kloszem. A gdy tamtego wieczoru zniknął i więcej nie wrócił – zginął wiele tygodni po moim uwolnieniu, broniąc nas, tamtego i tego świata – wmówiłaś mi, że odszedł, bo go nie obchodziłam.

– Nigdy nic takiego nie powiedziałam.

– Ale dawałaś do zrozumienia na tysiąc sposobów i dobrze o tym wiesz. Rozwiodłaś się, a jednak od czasu do czasu wracał. Ponieważ nas kochał. Już go nie ma, a my nie umiemy nawzajem się pocieszyć.

– Gdyby nas kochał, zrezygnowałby z całej reszty.

Czarno-białe myślenie – podsumowała matkę. – Jak smutno musi wyglądać takie życie w czarno-białych barwach.

– Szkoda, że tak uważasz. Szczerze mi ciebie żal. Przykro, że nie chcesz albo nie potrafisz dostrzec radości i piękna, których bronił. Bo ja je widzę i znam. Przebudziłam się. Jestem z Fey. Musisz się z tym pogodzić.

– Nie wnoś mi do domu niczego, co nienormalne.

– Zrozumiałam. Gdybyś chciała mnie widzieć, wiesz, jak mnie znaleźć.

– Zostajesz tutaj. Nie wrócisz tam.

– Oczywiście, że wrócę. Jestem córką mojego ojca – rzucała na odchodne.

Przeszła pieszo ponad dwa kilometry. Musiała ochłoniąć z gniewu i żalu.

Miała wezwać Ubera, ale nogi same zaniósły ją na przystanek autobusu. Ledwo przysiadła na ławce, gdy obok znalazł się Sedric.

– Co... co tutaj robisz?

– Marg powiedziała, że wieczorem wybierasz się na rozmowę z matką. Uznaliśmy, że może być ciężko i trzeba cię wesprzeć. Marg otworzyła tymczasowy portal, żeby nad tobą czuwać. A ja uznałem, że przyda ci się towarzystwo. Spory kawałek drogi przeszłaś pieszo. Mnie też dobrze robi długi spacer, gdy coś wyprowadzi mnie z równowagi.

– Ona... uważa, że ja, mój ojciec... że to, co mamy, jest nienormalne. Nazwała to aberracją. A z drugiej strony, widziałam, jak się zmieniła na twarzy, kiedy usłyszała o śmierci taty. Kochała go. Babcia miała rację. Kochała i jednocześnie miała pretensje, że nie opuścił Talamh na zawsze, nie udawał kogoś innego, pozostał sobą. Nie byłam dla niej miła.

Sedric objął Breen ramieniem. Zaskoczył ją tym czułym gestem. A jeszcze bardziej zaskoczyło ją własne zachowanie, bo położyła głowę na jego ramieniu.

– Usłyszała ode mnie dużo gorzkich słów. Powiedziałam wszystko, tak jak czułam. Musiałam to z siebie wyrzucić. Między innymi po to wróciłam.

– Teraz, kiedy już masz to za sobą, poczujesz się lżej.

Mdliło ją z nerwów, była przygnębiona.

– Myślisz? – Z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Na pewno. Kiedy człowiekowi leży coś na sercu, trudno o spokój i siłę.

– Nadal mi ciężko. Powiedziałam, że sprzedałam książkę. Podeszła do tej wiadomości z takim lekceważeniem, jakby to w ogóle nie miało znaczenia, a nawet okazało się czymś niestosownym.

Odwrócił ku niej twarz, musnął ustami jej włosy.

– Mniejsza z tym – mruknęła.

– Wcale nie. A jak Marco zareagował na tę wiadomość?

– Tak się ucieszył, że nawet uronił kilka łez.

– I to się liczy, prawda? Nadjeżdża twój autobus. Chcesz, żebym ci towarzyszył w drodze do domu?

– Jadę do Sally.

– Świetne miejsce. A jak tam się bawisz!

– Jedź ze mną.

Uśmiechnął się do niej, wyraźnie rozczulony.

– Może następnym razem, kiedy znajdę się w okolicy. A teraz wrócę do domu i uspokoję Marg, niech wie, że jesteś wśród przyjaciół.

– Dzięki, Sedricu. – Wstała z ławki i podeszła do drzwi autobusu. – Brakuje mi twoich cytrynowych herbatników.

– Znajdziesz je po powrocie.

Wsiadła i zajęła miejsce przy oknie. Chciała mu poma-chać na pożegnanie, ale on już zdążył zniknąć, co wcale jej nie zdziwiło.

Wchodząc do U Sally, spodziewała się, że sparaliżuje ją hałas i widok tłumu, a tymczasem natychmiast poczuła się tam jak w domu.

Było jeszcze za wcześnie na pierwszy formalny występ, goście dopiero zaczynali się schodzić, a na scenie Larue ucharakteryzowany na Judy Garland śpiewał balladę *Over The Rainbow*.

Ona tam była – pomyślała. – Była po drugiej stronie tęczy.

Rozejrzała się za Sally i Derrickiem, a ponieważ ich nie wypatrzyła, skierowała się prosto do baru.

Marco postawił przed nią kieliszek szampana.

– Szampan?

– Sally polecił otworzyć najlepszą butelkę, świętujemy twój sukces wydawniczy.

– Mój sukces wydawniczy? – powtórzyła, patrząc na niego nieobecny wzrokiem.

– Jestem słaby. – Zrobił średnio udaną zawstydzoną minę.
– Nie mogłem się oprzeć. Zamówiłem bogato napakowane nachos, bo dobrze wiem, że nic nie jadłaś. Za chwilę wjedzie na stół smakowity zestaw z mnóstwem protein.

– Odpuszczam ci, bo chętnie podjem.

Gdy wyciągała rękę po kieliszek, ktoś obrócił ją razem ze stołkiem, chwycił wpół i podniósł do góry.

W ramionach trzymał ją Sally w przebraniu Cher, złożonym z białego spodnium i peruki z długich czarnych włosów.

– Panie i panowie, oto ona, globtroterka, autorka bestsellera, królowa wszystkich imprez, Breen Siobhan Kelly!

Wyściskała go, roześmiana.

– Hej, książka jeszcze się nie ukazała!

– Jestem wróżbitą o stuprocentowej skuteczności i teraz zaśpiewam wyłącznie dla ciebie *Gypsies, Tramps and Thieves*.

– Brakowało mi ciebie i wszystkiego, co się z tobą wiąże.

– I wzajemnie.

– Hej, teraz moja kolej. – Derrick objął ją, wycisnął na policzku siarczystego całusa i wręczył bukiet z dwunastu białych róż.

– Piękne! Och, dziękuję. Czuję się jak księżniczka.

– Jesteś naszą księżniczką.

Sally usiadł na sąsiednim stołku, gestem Cher odrzucił do tyłu długie czarne włosy i porozumiewawczo mrugnął do Derricka.

– Skarbie, może wstawiłbyś te ślicznoty do wody, żeby mogły długo cieszyć oczy naszej księżniczki.

– Się robi.

– Marco, nalej mi kieliszek tego perlistego kordiatu i zmykaj. Potrzebujemy z Breen chwili na babskie pogaduchy.

Podniósł kieliszek.

– No, miejmy to z głowy. Jak ci poszło z matką?

– Mniej więcej tak, jak się spodziewałam.

– Aż tak źle?

– Chyba nawet gorzej. Ale – uniosła kieliszek w toaście – sprawa załatwiona. Poza tym teraz jestem z moją praw-

dziwą mamą.

– Dziecko, nie rozczulaj mnie, bo się popłaczę i spłynie mi ten wystrzałowy makijaż. Przykro mi z powodu twojego ojca. Byłaś przy mnie, gdy parę lat temu odszedł mój tata. Szkoda, że nas nie było przy tobie.

– W pewnym sensie miałam was przy sobie. Chociaż to wszystko było i jest bardzo smutne, teraz wiem, że on mnie kochał. Wróciłby. Zawsze mnie kochał.

– Poznałaś babcię?

– Jest cudowna, Sally, byłbyś nią zauroczony.

– Mam nadzieję kiedyś ją poznać.

Breen upiła łyk szampana, tłumiąc westchnienie.

– To byłoby coś.

– I zafundowałaś sobie słodkiego psa. Nie mogę się doczekać, kiedy go poznam. Nauczyłaś się jeździć konno, napisałaś tę cholerną książkę i jeszcze ją sprzedawałaś. Dobrze, że kiedy Marco nam to wszystko opowiadał, byłem bez makijażu. Ze szczęścia i dumy uroniłem kilka łez. Dziewczyno, bardzo intensywnie szukałaś tego, co kręci Breen.

– Lepiej nie można tego ująć.

– Obaj z Derrickiem zaczynaliśmy dzień od czytania twojego bloga. Siedzieliśmy w łóżku z kawą i tabletami, czytaliśmy i mieliśmy wrażenie, że tam jesteśmy i oglądamy to wszystko, co ty.

Sally pogroził jej palcem z karminowym paznokciem.

– Ale coś pominęłaś.

– Coś? – Bardzo wiele rzeczy.

- Pewnego celtyckiego boga.
- Ehm... Co? – Niepokój ścisnął ją za gardło. Sally wyczekująco uniósł brwi.
- Ach, chodzi ci o... To tylko... On był... – Tym razem nie opanowała westchnienia. – Nieziemski.
- Sally kiwnął palcem.
- Narysuj go.
- Spełniła prośbę.

*

Następnych kilka dni upłynęło jej w stałym rytmie. Rano pisanie i przerwa na gimnastykę. Później przy drzwiach zamkniętych na klucz i zaciągniętych roletach wywoływała widma, żeby nie wyjść z wprawy.

W następnym tygodniu pojechała pociągami do Nowego Jorku. Wykorzystała podróż na obserwację świata, który przesuwał się za oknami. Domy i firmy, pola i fabryki. Tylu ludzi, którzy tutaj mieszkali i pracowali. Naturalnie wcześniej też towarzyszyły jej podobne refleksje, ale uważała siebie za mały, nieistotny trybik w maszynie. Jej codzienne decyzje były bez znaczenia. Powrót pieszo czy autobusem, jajecznicą na kolację czy gotowa chińszczyzna, zakup nowych butów czy donoszenie starych.

Nic, co robiła, niczego nie zmieniało, na nic nie miało wpływu.

A teraz było inaczej; każda podjęta przez nią decyzja czy jej brak wiele znaczyły.

Musi więc mieć pewność, że dokonuje właściwego wyboru.

Jazda do Nowego Jorku, samotna podróż, była ważnym osobistym wyborem, którego zaledwie pół roku wcześniej zapewne by nie dokonała.

Gdyby zabrakło jej odwagi na sięgnięcie po to, na czym tak bardzo jej zależało, o czym marzyła, w co włożyła sporo pracy, jak miałaby znaleźć w sobie siłę na walkę w obronie świata, na wykorzystanie swojego tajemnego daru, na przeciwstawienie się mocom ciemności w imię światła?

Zaopatrzona w szczegółowe instrukcje agentki, przesiadła się na Penn Station do linii metra w kierunku centrum. Wszystko wydawało się ogromne, rozległe i niemożliwe do ogarnięcia.

Chociaż sam Marco zadbał o wybór garderoby na dwa dni spotkań; obawiała się, że będzie zbyt skromnie albo przesadnie ubrana, nieodpowiednio do sytuacji. A może zobaczę w niej zagubioną kobietę, którą na dobrą sprawę była.

Stała w zatłoczonym wagonie z podręczną torbą podróżną przyciśniętą do nóg i laptopem w eleganckim grafitowym etui w ręce – okolicznościowym prezentem od Sally i Derricka.

Kobieta w ślicznym turbanie trzymała niemowlę w chustce. Mężczyzna w garniturze skrzywił się, czytając jakiś tekst w komórce. Dziewczyna w czerwonym spodnim i trampkach do kostki siedziała ze znudzoną miną, trzymając na kolanach gigantyczną torbę na ramię.

Za każdym razem, gdy pociąg zatrzymywał się z piskiem, wsiadali nowi ludzie i gęstniał tłok. Torby z zakupami, teczki, telefony komórkowe, słuchawki. Zapach czyjejs za mocno palonej kawy, czyichś nieznośnie ciężkich perfum.

Starła się utrzymać nerwy na wodzy, toteż nie odrywała oczu od okna i wyglądała kolejnych przystanków.

Wysiadła na właściwym i wraz z tłumem ludzi przeszła tunelem. Zadowolona, że spakowała niewiele rzeczy, z dość lekkim bagażem pokonała schody i wyszła na atakującą nerwy nowojorską ulicę.

Nie liczyła, że Nowy Jork wzbudzi jej sympatię. A tymczasem była zafascynowana. Jaka energia. Czowała mrowienie skóry, patrząc na pulsujące kolorem sznury aut i mrowie spieszących się ludzi na chodnikach.

Ataowana kakofonią dźwięków – gniewnych, niecierpliwych klaksonów, gwarem rozmów w różnych językach i z różnym akcentem – szła ulicą zalaną jaskrawym, palącym słońcem.

Rozglądała się wokół siebie i z zadartą głową podziwiała niebotyczne budynki. Nie przejmowała się, że wygląda na turystkę, bo nikt nie zwracał na nią uwagi.

I właśnie to było wspaniałe. Nikt nie zwracał uwagi. Nikt jej nie znał, nie zauważał, nie patrzył na nią. Mogła spokojnie wmieszać się w tłum, a nie próbować wtopić się w niego i zniknąć, jak kiedyś robiła.

Pod wpływem impulsu zatrzymała się przy ulicznym straganie, kupiła bukiet lili i otoczona ich egzotycznym zapachem doszła do hotelu, który poleciła jej Carlee.

Zależało jej na jakimś niedużym, spokojnym miejscu i kiedy weszła do holu, od razu wiedziała, że dobrze trafiła. Hotel nie przytłaczał rozmachem i rozgardiaszem, był czarującym miejscem z wygodnymi kanapami i wyfroterowanymi do połysku marmurowymi posadzkami.

Jej doba hotelowa jeszcze się nie zaczęła, więc zdeponowała bagaż i przeszła spacerem do mieszczącej się trzy i pół kwartału dalej agencji.

Jej agencji.

Widziała zdjęcie biura w internecie, ale kiedy stanęła przed podwójną kamienicą z kremowej cegły i drzwiami z ciemnego drewna, bez skrępowania zrobiła pamiątkowe zdjęcie.

Z bukietem lili w zgięciu ramienia podeszła, jak ją pokierowano, do drzwi po lewej stronie i nacisnęła guzik dzwonka. Moment później drzwi odpowiedziały brzękiem i kliknęła blokada zamka.

Znalazła się w środku marzenia.

Czekała w nowocześnie urządzonej, przyjaznej recepcji, upewniając się, że to nie sen, że to naprawdę się dzieje. Po chwili wyszła do niej Carlee z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Miło mi cię poznać. – Wyciągnęła rękę na powitanie. – Jak podróż?

– Szybko minęła. A hotel jest dokładnie taki, jak chciałam. Dzięki, że mi go poleciłaś. W ogóle dziękuję za... wszystko.

Wręczyła jej kwiaty.

– Cudowne. Jak miło. Chodźmy do mojego biura. Dobrze się złożyło, że jesteś trochę wcześniej, mamy czas porozmawiać przed lunchem z Adrian.

Mówiła szybko i poruszała się szybko. Była w białej wykrochmalonej bluzce, czarnych obcisłych spodniach i czarnych pantoflach na niewielkim słupku.

Miała krótką fryzurkę z ciemniejszymi pasemkami. Na schodach na górę Breen zdążyła się dowiedzieć, że ma dwoje dzieci, jedno już na studiach, drugie w szkole średniej, a tymczasem energii tej kobiecie mogłaby pozazdrościć nastolatka.

Idąc korytarzem, zaglądała do obstawionych książkami gabinetów, na koniec wpadła do sali konferencyjnej i przedstawiła Breen pozostałym agentom, asystentom, gromadce kobiet i mężczyzn w różnym wieku, o różnych rysach i kolorze skóry.

Zanim doszły do jej biura na drugim piętrze, Breen pomieszały się wszystkie twarze i imiona.

– A to jest Lee, mój anioł stróż, asystentka i prawa ręka.

– Cieszę się, że mogę cię poznać. Jestem fanką twojego bloga.

– Miło mi.

Lee, drobna Azjatka, wyglądała na jakieś szesnaście lat.

– Lee drukuje dla mnie zrzuty ekranu z zapytaniami i propozycjami. Korespondencję od ciebie kładzie na wierzchu z dopiskiem *pilne*.

– Wielkie dzięki.

– Zakochałam się w Fqflu. Czego się napijesz? Wymień nazwę, a prawdopodobnie spełnię twoje życzenie.

– Och. Poproszę coca-colę.

– Już się robi. Carlee, mineralna gazowana?

– Znasz mnie. Mogłabyś wstawić te pięknoty do wazonu?

– Jasne. Cudowne – rzuciła jeszcze, znikając za drzwiami.

– Breen, proszę, siadaj. – Carlee podeszła do biurka, otworzyła szufladę, wyjęła kopertę, podała ją Breen i dopiero wtedy usiadła z podwiniętymi nogami.

– Honorarium za podpisaną umowę. Księgowość wystawiła odpowiednie dokumenty dziś rano. Cieszę się, że mogę ci osobiście je wręczyć.

– To się dzieje naprawdę – wymamrotała Breen.

– Bardzo cholernie naprawdę. Pogadamy przy lunchu, kiedy zobaczymy się z Adrian. Jak ci wspominałam, współpracujemy już kupę lat. Jest bystra, wnikliwa, zna się na robocie. Myślę, że to idealna redaktorka dla ciebie. Jutro w McNeal Day Publishing poznasz ludzi, którzy prowadzą twoją książkę.

Lee wróciła ze szklankami.

– Tak na wszelki wypadek, gdybyście straciły poczucie czasu, odpowiednio wcześniej dam znać, że trzeba się zbierać.

– Jak ona mnie zna – skomentowała Carlee, gdy Lee zniknęła za drzwiami. – A teraz schowaj swoje pierwsze honorarium do torebki i porozmawiajmy o przyszłości.

Rozdział 28

Po obfitującym w ekscytujące wydarzenia dniu Breen późnym wieczorem wśliznęła się do łóżka.

I właśnie tam, w nieswoim łóżku, w obcym mieście, przysniła jej się pierwsza wizja od czasu tamtej dzielonej z Keeganem.

Przeniosła się do zielonego lasu z zieloną rzeką i szerokim, burzliwym wodospadem.

Słyszała jego huk i świergot ptaków nad wodą. Widziała sarnę, która obserwowała ją z kryjówki zielonego cienia, i wiewiórkę wspinającą się po pniu obrosniętym mchem.

Ten widok pełen harmonii i cichego piękna gwarantował spokój i poczucie bezpieczeństwa.

Jednak ona nie dała się zwieść, wiedziała, że znalazła się po niewłaściwej stronie.

Po stronie Odrana.

Widziała, jak sarnie wyrosły kły, a łagodne oczy zrobiły się smolistoczarne. Krew zabarwiła mech, kiedy wiewiórka doskoczyła do niej z obnażonymi pazurami.

Odrzuciła ją szybkim ruchem nadgarstka.

– Nie boję się zjaw.

– A niby czemu miałabyś się bać?

Szedł ku niej Odran, poły czarnej szaty rozwiewały mgłę, która zaczęła snuć się nad ziemią.

– Jestem twoim dziadkiem. Łączy nas krew.

– Jesteś potworem. – Uniosła rękę i zatrzymała go strumieniem mocy zogniskowanym w dłoni. Strzepnął go, tak jak ona wcześniej wiewiórkę. Ale uśmiechał się, utrzymując niewielki dystans między nimi.

– Zabiłeś mojego ojca. Swojego syna.

– Nie pozostawił mi wyboru. Dałbym mu wszystkie światy, a on stanął przeciwko mnie. Zaatakował. Spłodziłem go dla władzy. Tak jak on ciebie.

– Jestem owocem miłości.

Roześmiał się zwodniczo urokliwym śmiechem.

– Tak myślisz? Jakie to słodkie! Zostawił cię, bo był zawieszony tym, co powstało ze związku z ziemianką.

Kontrola – przypomniała sobie. – Pozostanie opanowana i nie straci kontroli.

– Kłamstwa.

– Dziecko, czemu miałbym cię okłamywać?

Położył rękę na sercu, a potem wyciągnął do niej dłoń.

– Dlaczego wolisz wierzyć w kłamstwa tamtych po drugiej stronie? Uśmiechają się przymilnie, otwierają szeroko ramiona, a oni tylko chcą cię wykorzystać.

– Odślonili przede mną prawdę – zaprotestowała. – Oddali mi to, co do mnie należy.

– Czyżby? – Niby z ubolewaniem pokręcił głową. – Przebudzili cię, łudzili miłymi kłamstwami, mydlili oczy, żeby cię przy-

ciągnąć. Chcieli zniszczyć mnie, wykorzystując to, kim jesteś. A na koniec ciebie unicestwią. Nieważne, czy zwyciężysz, czy poniesiesz klęskę, spalą cię w rytualnym ogniu. Ciebie, moją krew. Bo czyż mogą narażać się na ryzyko, pozostawiając cię przy życiu? Znajdź swoją siłę?

– Oni nigdy mnie nie skrzywdzą. Nigdy nie zwrócą się przeciwko mnie.

– Czy już się tak nie stało? Oddałaś swoje ciało temu *tao-iseachowi*, ale on odwrócił się od ciebie, odszedł – jak twój ojciec – gdy nie okazałaś się taka, jak by sobie życzył. Oni jedynie pragną zachować to, co mają, i wykończą ciebie, kiedy już nie będziesz im do niczego potrzebna.

A ja? – Zbliżył się zaledwie o krok, a już dosięgła jej jego ciemna energia, śmiertelnie niebezpieczna, odurzająca. –

Ja mogę uczynić z ciebie boginię, którą w rzeczywistości jesteś, i pozwolę wybrać światy, którymi będziesz rządzić. Otoczę cię mocą jak czarnym jedwabiem. Proszę tylko, abyś połączyła swoją siłę z moją. Ofiarowała mi jej parę łyków.

Zbliżył się na wyciągnięcie ręki.

– Nie! – Powstrzymała go, unosząc dłonie w obronnym geście.

Wściekłość w mgnieniu oka pozbawiła jego twarz uroku.

– W takim razie wysączę twoją siłę do ostatniej kropli, zostawię cię bezwolną i szaloną. Będziesz słaba, zagubiona i samotna, jak zawsze byłaś. Więc albo dasz mi to, co chcę, albo sam wezmę. Wybieraj.

Zacisnęła pięści, zebrała siłę i otrząsnęła się ze snu. Czowała na policzku piekący ślad po dotyku jego palców.

Podniosła się, ciężko dysząc, i przesunęła dłoń po twarzy, przywołując na drugą dłoń świetlistą kulę.

Nie ma krwi – stwierdziła, ale pobiegła do lustra w łazience.

Nie było pręgi, śladu krwi czy zadrapania.

A jednak nadal czuła chłód, a wraz z nim wspomnienie bólu.

– Przywidzenie.

Wróciła do sypialni, chwyciła butelkę z nocnej szafki i duszkiem wypita połowę wody.

– Kontrolowałam wizję. Sterowałam nią.

Żałowała, że nie miała przy sobie Widzącego Zwierciadła, nie mogła skontaktować się z babką. Bo mimo wszystko złowieszcze słowa Odrana nadal dudniły jej w głowie.

*

Pierwszy raz od czasów przedszkola nie spędziła września w murach szkolnych. Dwukrotnie zdarzyło jej się przebudzić nad ranem i w północy pójść do łazienki, żeby wziąć prysznic.

Przytomniała przed lustrem nad umywalką, widząc tam twarz w oprawie ognistorudych włosów, zamiast tamtych mdłobrzozowych z okresu pracy w szkole.

Dwukrotnie odtańczyła w łazience krótki taniec radości.

Wolność dawała zastrzyk energii jak pierwszy łyk porannej kawy, upajała jak smak dobrego wina albo naprawdę udany seks.

Owszem, ciążyła na niej ogromna odpowiedzialność, czekały ją trudne decyzje, ale nie musiała chodzić do pracy,

która jej nie odpowiadała, a może do której po prostu się nie nadawała.

Uważała, że rezygnacja takiej nauczycielki przyniesie korzyść całemu pokoleniu gimnazjalistów.

Wolność dawała jej czas na pisanie, na spotkanie się z ludźmi, których kochała, czas na myślenie i snucie planów.

*

Czekała na Marco, liczyła, że wstrzeli się w lukę pomiędzy jego powrotem z pracy i randką z instruktorem fitness, z którym spotykał się od kilku tygodni.

Tymczasem on opadł na kanapę i strząsnął z nóg znośzone najki.

– Zamówmy pizzę.

– Myślałam, że jesteś umówiony z panem Ciacho. Kolacja, wernisaż.

Uniósł zaciśniętą dłoń z kciukiem uniesionym w górę i skierował go w dół.

– Och. Czemu?

– Okazałem się mało interesujący i rozrywkowy.

– Pierdoły! – Oburzona, podparła się pod boki. – Jesteś niesamowicie interesujący. Niemal do przesady.

– Ciągnę dwa etaty, upycham – to jego słowa – czas na własną muzykę, mogę imprezować raz, może dwa w tygodniu. Zresztą. – Wzruszył ramionami. – Wernisaż był moim pomysłem. On woli bieganie po klubach, a ja po pięciu czy sześciunockach U Sally mam klubów po kokardę.

– Cóż, facet jest płytki i głupi.

– No. – Przyznał z zadowolonym uśmiechem. – Czułem, że tak to się skończy. Przede wszystkim chodziło mi o ciało. Kurczę, widziałaś, jakie on ma ciało?

– Trudno przeoczyć. Bywało tutaj. Co prawda mojego nie chcesz, ale zabieram cię na kolację i wernisaż.

Popatrzył na nią i poklepał się po udzie. Posłusznie podszła, usiadła mu na kolanach i objęła go za szyję.

– Jesteś najlepsza – wymruczał. – Mój numer jeden. Zostańmy w domu, zjedzmy pizzę, ściągnijmy jakiś serial i oglądajmy go do upojenia.

– Tylko nic o zombie i wampirach.

– Tchórz.

– Prawda. Masz ochotę na piwo?

– Wiesz co, moglibyśmy się pobrać i uprawiać seks z innymi partnerami.

– Dobra, stoi, o ile za dwadzieścia lat żadne z nas nie będzie w jakimś stałym związku.

Przypieczętował umowę, splatając mały palec z jej palcem.

– Zgoda. A teraz przynieś mi piwo, kobieto.

Wróciła z piwem dla obojga i usiadła obok niego na zapadniętej kanapie.

– Chciałam z tobą pogadać i akurat mamy czas.

– Taa? A spodoba mi się to, co usłyszę?

– Raczej. Opowiem ci teraz o Nowojorskiej Wyprawie Breen.

– Następnym razem jadę z tobą i wybierzemy się na Broadway na jakieś przedstawienie.

– Masz jak w banku. Omawialiśmy mnóstwo spraw, a jak na razie zdałam ci relację tylko z części dotyczącej pisania. Marco, ja uwielbiam pisać.

– Dziewczyno, to widać.

– I naprawdę chcę się na tym skupić, ograniczyć wszystkie zajęcia, które mogą mnie rozpraszać, szczególnie na początku. Bo ja jestem początkująca, a tu wchodzi w grę promocja i takie tam różności. Przede wszystkim media społecznościowe. Poza blogiem, który lubię prowadzić, potrzebuję dobrej, nowoczesnej, łatwej w obsłudze strony internetowej. Muszę zaistnieć w sieci, na przykład, o Boże, na Twitterze. A wiesz, że wolalabym dać się pożreć rekinom niż pokazywać się na Twitterze. Oni wspominali też o Instagramie i może Facebooku.

Trącił butelką o jej butelkę.

– A nie mówiłem?

– Tak, tak, mówiłeś. Marco, ja nie mam do tego głowy, ale nie chcę też rezygnować z możliwości dotarcia do czytelników i budowania nazwiska.

– Pomogę ci.

I tu dochodzimy do sedna – pomyślała, wstrzymując oddech.

– Nie chcę, abyś mi pomagał, zależy mi, żebyś tym się zajął. Chcę cię zatrudnić jako managera od mediów społecznościowych, pijarowca czy specjalistę od łączności z internautami – jak tam wolisz się nazywać.

– Zajmę się tym, Breen. Ale nie będę od ciebie brał żadnych pieniędzy.

– Nie, poczekaj, wysłuchaj mnie.

– Nie ma mowy o pieniądzach – burknął.

– Słuchaj, przede wszystkim to regularna praca. Nie jakieś zapomóżki. Weźmiesz na siebie kontakty z wydawnictwem, żebym nie musiała się tym zajmować. Być może czasami będziesz musiał spotkać się w Nowym Jorku z jakimiś ludźmi od promocji. Zaprojektujesz moją stronę internetową i będziesz ją prowadził. I jeszcze te media społecznościowe. Będziesz pisał w moim imieniu i promował moją książkę.

Nie koniec na tym – dodała. – Porobiłam notatki, bo jest tego więcej. Mnóstwo rzeczy, których nie chcę robić z wielu powodów; przede wszystkim nie znam się na nich, nie umiem ich robić i szkoda mi czasu. Marco, jeżeli ty się nie zgodzisz, będę musiała kogoś zatrudnić. Kogoś, kogo nie znam i kto nie zna mnie.

– Breen, nie powiedziałem, że się tym nie zajmę, po prostu nie chcę, żebyś mi płaciła.

– Jeszcze nie skończyłam. – Poprawiła się na kanapie i poślą mu długie twarde spojrzenie. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. – Zatrudniłam księgowego.

– Ha! Skąd ten ekstrawagancki pomysł? Kiedy?

– Kilka dni temu. Widziałam się z panem Ellsworthem – kojarzysz tamtego brokera? Polecił mi dwie firmy, więc sprawdziłam obie. Marco, ja nie znoszę takich spotkań, ale muszę mieć wszystko dopięte na ostatni guzik.

– Pieprzona prymuska – podsumował, trącając się z nią butelką.

– Honorarium może nie jest zawrotne, niemniej to całkiem przyzwoita kwota. Znacznie większa, niż kiedykolwiek sądziłam, że da się zarobić na tym, co teraz robię. Za radą księgowego, a także brokera otworzyłam konto firmowe i obaj uznali, że ze względu na prowadzoną działalność i podatki, jeżeli sama nie chcę się tymi sprawami zajmować, powinnam zatrudnić kogoś, kto będzie robił to za mnie. Obaj zaoferowali pomoc w znalezieniu odpowiedniej osoby, ale ja powiedziałam, że już kogoś takiego mam. To wchodzi w koszty prowadzenia działalności. Wszystko, o czym dotąd mówiłam, ma ułatwić mi pracę.

Wypiła kilka łyków piwa. Ponieważ Marco siedział cicho, wiedziała, że przynajmniej się zastanawia.

– Ty też skorzystasz i nie chodzi tylko o pensję, którą ustalimy. Uwielbiasz pracować w U Sally i nic nie musi się zmienić. Ale nie przepadasz za pracą w sklepie muzycznym. Nie proszę cię, żebyś ciągnął trzy etaty, tylko pracował dla mnie zamiast w sklepie. Ten sklep miał być tymczasowym rozwiązaniem do opłacania rachunków. Lubisz uczyć i wcale nie musisz rezygnować z lekcji, możesz zapraszać studentów do domu albo do nich jeździć. Uczyć gry na gitarze, pianinie, skrzypcach tutaj czy gdzieś indziej. – Wzięła go za rękę. – Nie chcę zatrudnić kogoś, kogo nie znam, kto mnie nie rozumie i komu będę musiała wszystko tłumaczyć. A ty nie chcesz sprzedawać trąbek i partytur. Ledwo znajdujesz czas na pisanie swojej muzyki. Możemy sobie wzajemnie pomóc. Zróbmy to. Oboje na tym skorzystamy.

– To jakoś nie w porządku.

– Bo widzisz we mnie przyjaciółkę, a nie profesjonalistkę. Teraz występuję w obu rolach.

Wycelował w nią palec.

– Dobrze. Kiedyś nie potrafiłaś tak zmyślnie stawiać na swoim.

Podniósł się z kanapy i krążył po pokoju.

– Czy tym razem postawiłam na swoim?

– A co powiesz na to? Założę stronę, na próbę. Jeżeli ci się spodoba i spodoba się wydawnictwu, ruszymy z tym koksem.

Kiwnęła głową, poważna, skupiona. Odstawiła butelkę, wstała i dołączyła do niego.

– Powiem tylko jedno.

– Taak?

– Hura! – Chwyciła go w objęcia i wykręciła z nim piruet. – O Boże! Widmo mediów społecznościowych, internetu, wszystko znika! Nawet nie wiesz, jak mi ulżyło.

– Najpierw sprawdźmy, co z tego wyjdzie.

– Wyjdzie, musi wyjść. Marco, zobacz, oboje w tym samym roku rzucamy pracę, której nie lubimy. – Zaciśnęła powieki. – To jak przeznaczenie.

A przeznaczenie – pomyślała – to kolejna rzecz na jej liście problemów do rozwiązywania.

*

Keegan wypełniał swoje przeznaczenie, podążając z Mahonem do Stolicy. Byli w podróży dwa tygodnie. Przemierzyli Talamh wzdłuż i wszerz konno, na smokach i skrzydłach.

Sprawdzali bezpieczeństwo i na wszelki wypadek rozstawiali patrole, które miały czuwać nad ich krainą, a także pomagać przy żniwach, wykonywać różne naprawy i w ogóle wspierać lokalną ludność tam, gdzie okazałoby się to konieczne.

Na wzgórzach, w dolinach, nad morzem, we wsiach i na farmach, które wizytował, wszędzie panował dobrobyt i spokój. Ale Keegan wyczuwał też lekkie napięcie.

Chmury zbierały się nad Talamh, w powietrzu wisił niepokój.

Kiedy przejechał z Mahonem przez roгатki Stolicy, zobaczył tętniące życiem miasto z mnóstwem sklepów, w których ludzie wymieniali się najróżniejszymi dobrami i wyrobami rzemieślniczymi. Do Stolicy ciągnęli ci, którym odpowiadało życie w cieniu zamku na wzgórzu. Mieszkali tu zielarze, alchemicy, uzdrowiciele, tkacze, dostarczyciele wszelkich usług i przedsiębiorcy.

Z pubów sączyły się dźwięki muzyki. Keegan czuł unoszący się w powietrzu zapach mięs zapiekanych w cieście, z otwartych okien i drzwi domów krytych strzechą sączył się aromat drożdżowego piwa. Według Keegana te stojące tuż obok siebie domy nie zapewniały wygody, ale znał wielu, którym ta bliskość dawała poczucie bezpieczeństwa.

Teraz deszcze padały tylko na zachodzie, więc biegnąca prosto droga była sucha i twarda. Brak zwierzęcych odchodów podpowiadał Keeganowi, że służby miejskie odpowiedzialne za porządek dobrze się spisują.

Na jego widok strzecharz i jego pomocnik przerwali naprawianie dachu i pozdrowili go uchyleniem czapki. Kilka osób wyszło ze sklepów i postąpiło tak samo.

Przy jednej z pięciu studni zaopatrujących Stolicę w wodę zobaczył grupę ludzi z wiadrami i dzbanami. Chłopiec, na oko mniej więcej dziesięcioletni, odstawił wiadro i podbiegł do Keegana.

– *Taoiseachu*, przyprowadziłeś smoka?

Bran, dzieciak ma na imię Bran, to jeden z bratanków Moreny – przypomniał sobie Keegan i bez słowa wskazał palcem niebo.

Chłopiec rozpromienił się na widok Crogi sunącego nad ich głowami i żeby z bliska przyrzeć się smokowi, rozwinął skrzydła i wzbił się w górę.

Od głównej drogi w obie strony odchodziły kręte uliczki prowadzące do warsztatów stolarskich, kuźni, stajni, domów, gołębników i kurników, drugiej studni oraz dwóch szkół, jednej po prawej stronie, a drugiej po lewej. Dopiero w pewnej odległości za nimi droga zaczynała powoli piąć się w górę.

Na zielonych, z początku łagodnych zboczach ludzie uprawiali ogrody, pasły się owce i bydło, a wyżej kołysały się złote łany pszenicy, dojrzałej do żniw i przemiatu na mąkę.

Ze szczytu wzgórza wyrastał zamek z kamiennych bloków o setce odcieni szarości, od wieków poddawanych działaniu czasu, deszczu i słońca. Prężyły się blanki zwieńczające mury, wieże i wieżyczki strzelały w lazurowe niebo, pod którym leciał jego smok.

Na szczycie najwyższej z wież powiewała chorągiew z czerwonym smokiem na białym polu, z mieczem w pazurach jednej łapy i buławą drugiej.

Nie, ten zamek i smok nie górują nad miastem – pomyślał Keegan – a jedynie czuwają nad całym Talamh, strzegą

wszystkich, którzy żyją i pracują tam, w dole.

To było też jego zadanie.

Przejechali z Mahonem przez kolejną bramę z kratą – zabezpieczeniem, którego, jak miał nadzieję, nigdy nie będą musieli użyć i pokonali kamienny most nad wijącą się rzeką.

Dziedziniec zdobiła fontanna otoczona klombem. Za północną flanką dziedzińca ciągnął się bór, gdzie polowano, odprawiano magiczne rytuały, kochankowie umawiali się na schadzki i bawiły się dzieci.

Kierując się do stajni, okrążyli sokolarnię i przejechali wzdłuż murów wzniesionych na klifach wyrastających z morza.

Przed stajnią stał dobrze znany Keeganowi człowiek z czapką w ręce na znak szacunku.

– Doszły nas wieści o waszym przyjeździe. Zajmę się końmi.

– Wielkie dzięki, Devlinie, one niosły nas na grzbiecie od świtu. – Mahon zsiadł z konia. – Mój zadek dokładnie to czuje.

– Za to zaraz napijesz się piwa – pocieszył go Keegan i podał wodze stajennemu. – Jak się czuje twoja żona, Devlinie? Rozwiązanie chyba już blisko?

– Urodziła dokładnie tydzień temu, mamy córkę. Dzięki bogom, obie są w dobrym zdrowiu.

– Niech świetlistość czuwa nad żoną, córką i tobą. Jak daliście jej na imię?

– Cara, *taoiseachu*. Ona jest naszym skarbem.

– Piękne imię. Zaczekaj. – Sięgnął do sakwy przy siodle i wyjął beryl, który znalazł dzień wcześniej, wizytując trolli w kopalni. – Podarunek dla nowego życia, które sprowadziliście do Talamh.

– Dziękuję. Kiedyś doceni twój dar.

Keegan zarzucił sakwę na ramię.

– Kto by pomyślał w tamtych czasach, gdy hasaliśmy po łąkach i lasach, że kiedyś będziesz miał córkę, a ten tutaj dwóch synów i kolejne dziecko w drodze.

– Kto by pomyślał w tamtą godzinę – wtrącił swobodnie Mahon – kiedy my trzej z całą czeredą wskakiwaliśmy do jeziora, że ten tutaj zostanie *taoiseachem*.

– Wolę mieć żonę i dziecko – odparł Devlin, błyskając zębami w uśmiechu.

– Ja też – zawtórował mu Mahon.

Wziął sakwę i kiedy skręcili na ścieżkę do zamku, klepnął Keegana w ramię.

– Pewnie tak samo jak ja marzysz o piwie i kąpieli. A później ty wylądujesz w gościnnych ramionach Shany. Moja kobieta została na zachodzie, daleko stąd.

– Raczej nie, czeka mnie wiele spraw.

Mahon spojrzał na niego z ukosa.

– Ponieważ nie schodzi ci z myśli rudowłosa wiedźma?

– Ponieważ nie mam czasu na rozrywki.

– Hej, zbyt dobrze się znamy.

Keegan przystanął, kiedy byli już poza zasięgiem ciekawskich oczu i uszu.

– Chyba bagatelizowałem albo raczej udawałem, że nie rozumiem, że Shana spodziewa się po mnie więcej, niż mogę jej oferować. Jej ojciec jest porządnym człowiekiem, zasiada w Radzie. Być może ma co do mnie podobne oczekiwania. Czas, żeby ona rozejrzała się za kimś, kto zaspokoi jej pokusy.

– Ona, podobnie jak ty, z kim chce, dzieli łożę. Myślałem, że jesteście tylko kochankami.

– Dlatego łatwo było przymykać oczy. I nic w tym złego, Mahonie, ale muszę się skupić na wielu sprawach i nie chcę się rozpraszać. Jak powiedziałaś, Shana dzieli łożę, z kim chce. Jej noce nie będą samotne.

Keegan wybrał boczne wejście, żeby uniknąć licznych powitań. Znał wszystkie schody i korytarze, wiedział, jak ominąć wielką salę i wspólne przestrzenie, gdzie mogli się natknąć na kręcących się ludzi.

Jednak ledwo znalazł się w murach oferujących błogi chłód, matka wyszła mu na powitanie. Była w błękitnej sukni, w twarzowym bladym odcieniu. Miodowe blond włosy miała zaplecione w koronę, w uszach długie kolczyki. Suknię zdobił wisior z nieoprawionym kryształem, który, jak Keegan wiedział, dostała od ojca w dniu jego narodzin.

– Witajcie, wędrowcy – odezwała się, otwierając ramiona.

– Nie pocałuję cię. Przyszliśmy prosto z drogi i dużo jej mamy na sobie.

– Bzdura. – Podeszła, uściskała Mohana, a potem syna. – Co słychać u mojej córki? Jak się chowają wnuczeta?

– Wszyscy mają się doskonale – odparł Mahon. – Pytaj, kiedy do nas zawitasz.

– Mam nadzieję, że niedługo, tęsknię za nimi całym sercem. A jak się miewa twój brat? – zwróciła się do Keegana, pytająco unosząc brwi.

– U niego też wszystko dobrze.

– To się cieszę. Mahonie, w komnacie czeka na ciebie kufel piwa, a wanna właśnie jest napełniana gorącą wodą.

– Mam najwspanialszą z teściowych. – Ujął jej dłoń i złożył na niej pocałunek. – Z radością skorzystam i z piwa, i z kąpieli. Przez tego człowieka – ruchem głowy wskazał Keegana – mam zdartą skórę na tyłku.

– Z nim zawsze tak się cierpi. Zobaczymy się na wieczery, będzie uczta z tańcami na wasze powitanie. Liczę na opowieści o moich chłopaczkach.

– Mam ich bez liku.

Zniknął na kręconych schodach, do których wcześniej doprowadził go Keegan.

– Przejdźmy się. – Tarryn wzięła syna pod rękę. – Wolę porozmawiać z tobą bezpośrednio, zamiast kontaktować się przez sokoła czy szklaną kulę.

– Jakież kłopoty?

– Na razie nie, jednak pojawiają się pewne znaki.

Przeprowadziła go obok tak zwanej małej sali i jak się domyślił, musiała wcześniej wszystkich uprzedzić, żeby na razie dali mu spokój. Pozdrawiano go z daleka, nikt się nie zbliżył, kiedy skręcili na schody, a potem szli korytarzem z kamiennymi ścianami ozdobionymi arrasami i rzędem witrażowych okien.

Wspinali się w górę, aż dotarli do komnat w donżonie przeznaczonych dla *taoiseacha*.

– Chciałbym, żebyś z nich korzystała.

– Nie jestem *taoiseachem*.

Otworzyła drzwi i cofnęła się, żeby puścić go przodem.

W salonie żarzył się ogień w kominku. Na stole stała patera z owocami, serami i zimnym mięsiwem. Chleb leżał obok kufła i szklanej karafki z winem.

Znał upodobania matki, więc nalał jej wina.

– Zjesz coś?

Pokręciła głową, a on wziął kufel i krążył z nim po komnacie.

Coś go nurtuje – pomyślała.

Rano sama posprzątała w jego komnatach, przyniosła świeże kwiaty i zioła, zmieniła pościel. Z myślą o nim zrobiła nowe świece i poustawiała je na kominkach w salonie i sypialni.

Taoiseach czy nie, zawsze będzie jej synem, a ona musi ukoić jego nękany kłopotami umysł.

Jeszcze nie wiedziała jak, ale znajdzie sposób.

– Rano mamy zebranie Rady. Musisz w nim uczestniczyć.

– Wiem. Z tego powodu tu jestem. – Powiedzmy, że to jeden z powodów.

– Zasiądziesz później na Krześle Sprawiedliwego? Ludzie wiedzą, że jesteś. Będą tego oczekiwać.

– Tak.

– A wieczorem ruszysz w tany do muzyki na twoje powitanie?

– Z tobą, mamó. – Obejrzał się na nią z uśmiechem. – Zawsze.

– Tylko ze mną?

– Nie przyjechałem na tańce. Są znaki, sama powiedziałaś, niepokój czuje się w całym Talamh. – Usiadł, nachylił się ku niej z kufem między kolanami. – Świat jest w rozkwicie, to widać, mamó, a jednak wyczuwam nadchodzącą burzę. On nas spali na popiół.

– Powstrzymasz go. My go powstrzymamy. Wierzę zawsze w ciebie nie tylko dlatego, że jesteś moim synem i *taoise-achem*. Pokładam w tobie wiarę, bo znam mężczyznę, którego wychowałam. A co z córką Eiana?

Wyprostował się i wzruszył ramionami. Aha – pomyślała. Dobrze znała to zasępione spojrzenie.

– Wróciła do swojego świata.

– Ten świat też jest jej.

– Dokonała wyboru. Honorujemy wybory.

– Oczywiście, honorujemy wybory, jako że nikt nie ma prawa narzucać swojej woli. Ale dostaję wieści od moich pozostałych dzieci i od Marg. Przysięgła, że wróci.

Zapatrzył się w kominek, w czerwone serce żaru. Odkąd Breen wyjechała, niechętnie patrzył w żar.

– Przysięgi nie zawsze są dotrzymywane.

– W takim razie nie wierzysz jej? Nie ufasz? – Tarryn obserwowała syna, sącząc wino. – Podobno dzieliliście łóżę wię-

cej niż raz.

– To zupełnie inna sprawa.

– Czyżby? – Uśmiechnęła się, patrząc w kielich. Jednak ten uśmiech szybko przygasał. – Zeszłej nocy księżycy były krwawe.

– Widziałem.

– Keeganie, ona jest tutaj potrzebna.

– O czym dobrze wie. Co ja na to poradzę?

– Dobrze byś wiedział, gdybyś nie stroił fochów. Wystarczy jedno moje spojrzenie, żeby poznać, kiedy mój chłopiec się dąsa – dodała, zanim zdążył zaprotestować. – Sam wiesz, *taoiseachu*, że musisz tam pojechać, przypomnieć jej o przysiędze. I nie siłą swojej woli, lecz perswazją i dyplomacją ściągnąć ją tutaj.

– Ileż to razy słyszałem od ciebie, że dyplomacja nie jest moją mocną stroną?

– Wielokrotnie. Tym razem bardziej się postaraj. Może mógłbyś okazać odrobinę skruchy. Och – zachnęła się. – Co też mi przyszło do głowy! Chyba się starzeję i umysł mi słabnie.

– Ha! – Wychylił kilka sporych łyków piwa. – Mam tutaj obowiązki do spełnienia.

– Masz. Oczywiście, że masz. I dlatego porozmawiasz z nią po tamtej stronie, to twój obowiązek. Nigdy nie zawiodłeś.

Odstawiła pusty kielich, wstała i nachyliwszy się, pocałowała go w policzek.

– I nigdy nie zawiedziesz. A teraz cię zostawię, czas na kąpiel.

Rozdział 29

Shana miała wiele powodów, by przyjaźnić się z Kiarą. I chociaż jej radosna paplanina czasami nużyła Shanę, to nikt w całej Stolicy nie znał tylu pikantnych plotek. Na dodatek Kiara miała słodką naturę, była cierpliwą słuchaczką i... genialnie trefiła włosy.

W tej chwili, umilając czas rozmową, cierpliwie zaplatała długie, jasne włosy Shany w niezliczone warkoczki.

Obie nie miały głowy do nauki, a ich przyjaźń rozkwitła jeszcze w szkole. Kiara wносиła wkład w życie Talamh dzięki swojemu talentowi fryzjerskiemu, ogromnie podziwianemu i wielce pożądanemu, oraz miłości i niestychanej cierpliwości do dzieci.

Shana zajmowała się ogrodnictwem – uprawą kwiatów i ziół – ale także uważnie śledziła wydarzenia w Radzie, bo miała nadzieję, że w przyszłości zajmie miejsce ojca.

Gadatliwa Kiara stanowiła dla Shany źródło bardziej szczegółowych informacji od tych przekazywanych przez ojca.

Wprawdzie matka Shany była najbliższą przyjaciółką i powierniczką Tarryn, jednak dziewczyna mogła liczyć co najwyżej na mimochodem rzucane półsłówka dotyczące planów matki *taoiseacha*.

Ojciec Kiary poznał jej matkę, kiedy jako młody mężczyzna wybrał się w podróż do świata Largus. Według Shany romantyczną naturę przyjaciółki ukształtowały opowieści o tym, jak niemagiczna piękność z pustynnej prowincji Largusu i elf zakochali się w sobie, a potem Minga z miłości do Oga zamieniła krainę złotych piasków na zielone wyżyny Talamh.

Cała piątka ich dzieci odziedziczyła po Ogu elfią krew i talenty. Kiara, choć ustępowała urodą matce (niewiele kobiet mogło z nią się równać), miała jednak miodową skórę kobiet ze świata Mingi, jej kruczoczarne włosy i ciemnobrązowe oczy w kształcie migdałów.

Kontrastowa uroda Shany i Kiary dodatkowo podnosiła ich atrakcyjność, gdy przebywały razem.

Już jako podlotki zawarły pakt, że nigdy nie będą konkurować o względy, ani nie zakochają się w tym samym mężczyźnie. A ponieważ dotrzymały słowa, ich przyjaźń trwała.

– Dzisiaj nie zamierzam przepuścić ani jednego tańca – oświadczyła Kiara, zręcznymi palcami mocując miniaturowy dzwoneczek na końcu warkoczyka. – Aiden O’Brian wrócił z *taoiseachem* i czas, żeby przestał udawać, że mnie nie zauważa.

– Nieszczególnie mu to wychodzi.

– Mam nową suknię. Układałam włosy Daryn i jej siostrom oraz pilnowałam dwójki dzieci Mauve, kiedy była zajęta tkaniem, a Daryn w rewanżu uszyła mi suknię. Nie mogę się doczekać, kiedy mnie w niej zobaczysz!

– Ja wybrałam na dzisiejszy wieczór suknię w chłodnym odcieniu błękitu. Tylko mi nie mów, że też przyjdiesz ubrana

na niebiesko.

– Nie, na brązowo. Daryn twierdzi, że brąz dodaje mojej skórze blasku. Tobie do twarzy w niebieskim, zresztą ty cokolwiek na siebie włożysz, zawsze świetnie wyglądasz. Ta biedaczka Loren Mac Niadh cały wieczór przesiedzi nadąsana, bo *taoiseach* tylko z tobą będzie tańczył.

– Być może. – Shana nie była do końca przekonana do fryzury z dzwoneczkami, lecz w tej chwili co innego zajmowało jej myśli. – Wrócił wiele godzin temu, ale nie poświęcił mi ani chwili swojego cennego czasu.

– Och, wiesz, dopiero przyjechał, miał spotkania i takie tam. Słyszałam, że jego matka odbyła z nim jakąś rozmowę za zamkniętymi drzwiami.

– Ale znajduje czas, kiedy szuka drogi do mojego łóża, prawda?

– Ostatnie dwa lata albo i dłużej w Stolicy sypia wyłącznie z tobą. Wiedziałabym, gdyby było inaczej, i na pewno bym ci o tym doniosła.

Shana poszukała dłoni Kiary i serdecznie ją uścisnęła.

– Wiem, nawet narażając się na ryzyko, że za taką wiadomość mogę ci przyłożyć czymś w głowę.

Kiara parsknęła śmiechem i skończyła zaplatać kolejny warkoczek.

– Bałam się, że coś takiego mnie spotka, kiedy ci powtórzyłam pogłoski o Keeganie i wnuczce Marg.

– Ludzie zawsze znajdą temat do plotek. – Shana z trząskiem odstawiła na toaletkę butelkę perfum, którą się

bawiła. – Wspominałaś, że on ją ćwiczył jak swoich wojowników i na tych treningach ona często kończyła w błocie.

– Kojarzysz Ywaina? Brata Bridgit, tego, co mieszka na zachodzie? Bridgit twierdzi, że Ywain widział takie sceny na własne oczy. Tam na zachodzie powszechnie wiadomo, że oni spotykali się i na murawie, i w łóżku. – Zaczęła zaplatać ostatni warkoczyk. – Sama mówiłaś, że to bez znaczenia, z kim się zabawia na zachodzie, północy czy południu, tak długo, jak na wschodzie przychodzi do ciebie.

Jednak Kiara na tyle dobrze znała swoją przyjaciółkę, by wyczuć zmianę jej nastroju i dlatego próbowała ją pocieszyć.

– W każdym razie tamta wyjechała, mówiłam ci, nie? Wróciła do swojego świata. Ja myślę, że on z nią sypiał, bo chciał ją przekonać, żeby została. Wszyscy mówią, że jest tutaj potrzebna.

Zebrała warkoczyki z tyłu głowy i zaczęła je zwijać w wysoką fryzurę.

– Wspominałaś, że ona jest ruda.

– No, włosy ma płomiennorude, ale trudno ją nazwać piękną. Shano, może on myśli o niej ze względu na dobro Talamh. Potrzebuje jej do swoich celów. Zresztą powiedz mi, który mężczyzna myślałby o innej, gdyby miał ciebie?

Nie, jednak te warkoczyki z dzwoneczkami to udany pomysł – stwierdziła w duchu Shana. – Tworzyły coś w rodzaju korony i opadały kaskadą na plecy.

– Kiara, czas, żeby on się zadeklarował.

Przyjaciółka nachyliła się i przytuliła policzek do policzka Shany; miód do kremu, heban do srebra.

– Może to stanie się dziś wieczorem.

Shana w chłodnych błękitach, z warkoczykami i dzwoneczkami wyglądała olśniewająco. Mówiły o tym spojrzenia pełne podziwu i zazdrości. Nauczyła się, że uroda i seks były zarówno darem, jak i bronią. I w jej mniemaniu niezbędnymi atutami partnerki życiowej *taoiseacha*.

Miała zmysł do polityki, od dziecka poznawała arkana sztuki dyplomacji. I z całego serca wierzyła, że nie było lepszej od niej partii dla Keegana, a ich związek przysłużyłby się Talamh.

Jego matce dostatecznie długo przysługiwały honory i prawa wynikające z zajmowanej pozycji.

Niemniej przywitała się z Tarryn i z matką Kiary serdecznym pocałunkiem.

– Promieniejesz – skomplementowała ją Minga.

– Dzięki twojej córce. – Lekko potrząsnęła głową, żeby wprawić dzwoneczki w ruch. – Sądziłam, że przychodzę spóźniona. – Oczywiście specjalnie to zrobiła, dodała w myślach, zwracając się do Tarryn. – Ale zdaje się, Keegan jeszcze bardziej się spóźnia.

– Jak widzisz, nie będziemy na niego czekać. – Tarryn, olśniewając urodą w czerwonej szacie, z miodowymi lokami upiętymi w koronę, szerokim gestem objęła salę bankietową. Część gości już ucztowała i cały czas dołączali kolejni. – Keegan się spóźnia, ale pojawi się, kiedy będzie wolny.

Podszedł do nich Loren. Miał na sobie srebrzysty strój z niebieskim kaftanem, dokładnie w takim samym odcieniu co suknia Shany.

Wymógł na Daryn, żeby mu go uszyła.

Ten mag, wojownik, a od czasu do czasu kochanek Shany, ucałował jej dłoń i zaproponował wino. Wiedział, że wyglądają na idealną parę.

– Przy tobie gasną wszystkie światła w tej sali. Chodź, trzymamy dla ciebie miejsce.

– Idźcie, dołączcie do przyjaciół, siadajcie z młodymi – powiedziała Tarryn.

Jak dobrze do siebie pasują – pomyślała odprowadzając wzrokiem elfkę w bardzo chłodnym odcieniu błękitu i maga w srebrzystym stroju.

– Udana para – skomentowała. – Pod każdym względem. Pomyśli o nim poważnie, kiedy zrozumie, że Keegan nigdy jej nie wybierze. Gdyby nawet tak się stało, nie byłaby z nim w pełni szczęśliwa.

– A jednak ona jest zdecydowana.

– Decyzje można zmieniać. Mingo, chmury zbierają się nad Talamh. Tylko miecz i odwaga mogą je rozwiązać, a nie pobrzękiwanie dzwoneczków.

– Och, Tarryn, w końcu jesteśmy na biesiadzie.

– Masz rację, może trochę za ostro ją oceniam. Wiem, że ją lubisz, ja również darzę ją sympatią. Chodź, usiądźmy z twoją rodziną i cieszymy się chwilą.

Shana wiedziała, że zawojowała Lorena. Jadł jej z ręki i był gotów wskoczyć do łóżka na każde zawołanie. Uwo-

dziła go teraz, siedząc z Kiarą i resztą młodzieży przy długim stole odpowiednio blisko kominka, aby ogień podkreślał złoty odcień jej skóry.

Jadła niewiele, zajęta flirtowaniem i rozdawaniem uśmiechów, widziała uwielbienie w oczach Lorena.

Oczy miał zielone, lecz nie tak intensywnie jak Keegan. Nie zaplatał ciemnobrązowych włosów w warkocz wojownika, ale oczywiście umiał walczyć, korzystając z mocy, miecza i łuku.

Podobnie jak ona bił wszystkich na głowę w strzelaniu z łuku. Miał ładną budowę, choć był drobniejszy od Keegana. Ona bardzo dobrze знаła oba ciała.

Ponieważ najbardziej zajmowało go sporządzanie mikstur i alchemiczne eksperymenty, dłonie Lorena pozostały delikatne. Ich dotyk nie podniecał jej tak jak pieszczoty Keegana.

Kiedy Keegan stanął w drzwiach w czarnym, pozbawionym ozdób stroju, serce podskoczyło jej do gardła. Nie zauważyła, jak wzrok Lorena spochmurniał, a nawet gdyby, w ogóle by jej to nie obeszło.

Podniosła kielich do ust, odwróciła się do Lorena, przekonana, że Keegan zaraz do niej podejdzie.

Tymczasem on szedł między stołami, przystawał, zamieniał parę słów, witał się przyjacielskim klepnięciem w ramię lub pocałunkiem w policzek, wyraźnie zmierzając do stołu matki.

Przywitał się serdecznie z Mingą i Ogiem, trójką siedzących z nimi dzieci i resztą towarzystwa, po czym zajął miejsce przy stole.

Shana widziała rzucane ku niej spojrzenia, jak mogłaby ich nie zauważyć, słyszała też szepty za plecami. *Taoiseach* nie podszedł do niej, nie przywitał się z nią.

To było nie do zniesienia.

Tak więc kiedy zaczęły się tańce, wsunęła dłoń w rękę Lorena i dotoczyła z nim do korowodu.

Wykonywała efektowne figury, obroty, dobrze wiedząc, że zachwycą w tańcu. Tańczyła z ojcem, z hybrydem, o którym wiedziała, że jest w niej zakochany, z dziesiątką innych, zanim znalazła się twarzą w twarz z Keeganem.

– Piękna jak zawsze.

– Czyżby? – Dumnie odrzuciła głowę i poślata mu uwodzieleńskie spojrzenie spod rzęs, starannie oprószonych magicznym pyłkiem. – Zdawałeś się nadto zajęty, żeby to dostrzec.

– Jestem zajęty, ale nie na tyle, aby umknęło mi piękno.

– Mam nadzieję, że znajdziesz chwilę na zaczerpnięcie świeżego powietrza. Bardzo tu ciepło.

– Oczywiście.

Wyprowadził ją do ogrodu, gdzie chłodny powiew niósł zapach jesieni, a kwiaty kępały się w księżycowej poświacie.

Odwróciła się ku niemu. Wtuliła w niego.

– Och, jak ja za tobą tęskniłam. – Ujęła w dłonie jego twarz, otuliła wargami jego usta. – Chodź, chodź ze mną teraz. Zaprowadź mnie do swego łóża.

Nigdy nie dzielił z nią łóżnicy *taoiseacha* i oboje dobrze wiedzieli, że nie chodzi jej tylko o seks. Delikatnie odsunął ją od siebie.

– Czekają mnie tutaj obowiązki, Shano.

– Tańczyłeś, ale nie ze mną. Zdążyłeś porozmawiać niemal ze wszystkimi w sali, a ze mną dopiero teraz. Zanim wyciągnąłeś do mnie rękę, upłynęła dobra godzina. Ludzie śmieją się za moimi plecami.

– To absurdalne i głupie.

– Wcale nie – warknęła. Wzburzona, obróciła się gwałtownie, a spódnica z wielu warstw cienkiego materiału zawisła wokół nóg. – Powinieneś pokazać tym, co śmieją się ze mnie, kim dla ciebie jestem. Keeganie, czekałam prawie całe lato i mam tego dość.

Poszukał jej dłoni, liczył, że tym gestem ją uspokoi.

– Nigdy nie sądziłem, że obchodzi cię, co inni myślą, i przykro mi, że tak jest. Wybacz, jeżeli cię zraniłem.

– Więc wynagrodź mi to.

Złość w jej głosie szybko zastąpił uwodzicielski ton. Za szybko – pomyślał, dostrzegłszy wyrachowanie.

– Wino płynie – szeptała, gładząc go po policzku. – Gra muzyka. Nikt nie zauważy, że ciebie nie ma, jeżeli teraz udamy się po to, czego chcemy, czego nam potrzeba. A jeżeli ktoś to dostrzeże, co z tego? Jesteś *taoiseachem*.

– Jestem. – Wiedział, że ona utożsamia tę pozycję bardziej ze statusem niż z obowiązkami. – I dlatego mam obowiązek poświęcić czas tym, co podają wino i przygrywają do tańca, a także wszystkim, którzy tutaj przybyli, żeby spędzić ze mną chwilę, zamienić parę słów.

– Nie należę do Talamh? Chcę spędzić z tobą chwilę, usłyszeć słowa, których jeszcze mi nie powiedziałaś. Chcę

tego, co jesteś zobowiązany mi ofiarować.

Ujął jej obie dłonie i odsunął ją na odległość ramion.

– Jestem zobowiązany cię bronić i zapewnić sprawiedliwy sąd, bo w moich rękach są miecz i buława. Ofiaruję ci sympatię i przyjaźń bez zobowiązań.

– Sympatię? Przyjaźń? Przychodzisz do mojego łóża, kiedy chcesz.

– I byłem tam mile witany zarówno słowami, jak i gestami, bez deklaracji po obu stronach. Teraz widzę, że niewłaściwie odczytałem tamte słowa i gesty i że cię uraziłem. Nad czym ubolewam.

– Nie chcę twojego ubolewania. – Ponownie zaplotła mu ramiona na szyi. – Chodź ze mną, w takim razie niech to będzie moje łóżo. Załatw tutaj, co masz do załatwienia, i przyjdź do mojej komnaty.

Zamknął dłonie na jej nadgarstkach i rozplótł ramiona.

– Nie potrafię wyrazić, jak bardzo mi przykro. Darzyłem cię sympatią i nadal darzę. Nigdy z mojej strony nie będzie nic mniej ani więcej.

Nie odezwał się słowem, gdy wymierzyła mu policzek. Zasłużył na to, nawet na więcej, skoro nie widział, co dzieje się w jej głowie i sercu.

– Odrzucasz mnie, jakbym nic dla ciebie nie znaczyła. I to dla kogo? Dla tej w połowie talamhskiej wiedźmy, która wyjechała? Zostawiła cię, odwróciła się od ciebie. Tak samo jak w przeszłości jej ojciec. Będziesz jej tak samo ślepo oddany jak kiedyś jemu?

– On nigdy się nie odwrócił ani ode mnie, ani od mojej rodziny, ani od Talamh – mówił bardzo spokojnie, lecz każde słowo raniło jak uderzenie. I tak miało być. – Eian O’Ceallaigh oddał życie za ciebie, za mnie, moją rodzinę, za wszystko, co żyje w Talamh. I za swoje dziecko ukryte tam, po drugiej stronie. Nigdy nie próbuj dyskredytować imienia czy poświęcenia Eiana w mojej obecności.

– Eian nie żyje! Ona zniknęła! A ja jestem tutaj, gotowa stać przy tobie, leżeć przy tobie, wspierać cię i dać ci synów. Ja ciebie kocham.

– Nie mogę przyjąć tego, co mi ofiarujesz. Przykro mi, ale nie mogę ci dać tego, czego pragniesz.

– Ranisz mnie, poniżasz i mówisz, że ci przykro. W takim razie, *taoiseachu*, zapamiętaj moje słowa. Jeszcze będziesz żałował, że mnie odrzuciłeś. Nikt inny tego nie robi.

– Wiem.

– Myśl o mnie, kiedy będę z tym, którego wybiorę. I żałuj.

Puściła się biegiem do zamku, lecz po chwili przyszło opamiętanie. Przystanęła, żeby ochłonąć z gniewu i powstrzymać łzy wściekłości. Wróciła do sali i wsunęła się na miejsce obok Lorena. Przybliżyła usta do jego ucha.

– *Taoiseach* pragnął przyjść do mego łóża, ale powiedziałam, że mam kogoś innego na myśli – wyszeptała.

Skubnęła zębami płatek jego ucha i wzięła go za rękę. Chociaż jej nie uwierzył, ochoczo za nią podążył.

Muzyka i tańce trwały jeszcze, gdy Keegan, spełniwszy wszystkie obowiązki, dołączył do Mahona. Znużony, usiadł z kuflem piwa i zdał mu relację z konfrontacji z Shaną.

– W ogóle nie wydajesz się zaskoczony.

– Trochę jestem. Bo widzisz, Aisling po jednym spotkaniu z Shaną stwierdziła, że nie ma wątpliwości, do czego ta kobieta zmierza, a ja nigdy nie powinienem wątpić w jej intuicję. Poznały się zeszłej wiosny – wyjaśnił – gdy Shana przyjechała z rodzicami na zachód.

– Mogła mnie uprzedzić, co jej podszeptowała cholerna intuicja.

– Posłuchałbyś?

Zamyślony, zapatrzył się w ogień.

– Pewnie nie. – Wzruszył ramionami. – Shana była bardzo przekonująca, naprawdę. Chociaż... Nie do końca – poprawił się. – Kiedy zacząłem podejrzewać czy może raczej przeczuwać, do czego ona dąży, zamierzałem się wycofać. Ale pewnie należało inaczej działać.

– Sądzisz, że pomogłoby, gdybyś usłyszał od Aisling, że Shana darzy cię mocnym uczuciem, a jeszcze mocniejszym *taoiseacha*?

– Właśnie to zauważyłem czy może wyczułem. Jak to możliwe, że ona wychowana w Stolicy, mając ojca, który z takim zaangażowaniem pracuje w Radzie, nie widzi, z czym się wiąże przywództwo? Ach, mniejsza z tym, nie wątpię, że ona szybko znajdzie chętnego do zapełnienia wolnego miejsca.

– Żaden z tych chętnych nie zapewni jej takiego statusu – podsumował Mahon.

Keegan na moment zatrzymał na nim wzrok.

– Nigdy jej nie lubiłeś, co?

– Nieprawda. No, może nie do końca – uściślił. – Owszem, jest czarująca, a z tego, co widzę i słyszę, robi, co do niej należy, i jest dobrą córką. Ale takie jak ona bardziej interesuje wygląd i zdobywanie błyskotek niż poważne podejście do obowiązków i pracy. Dlatego nigdy nie będzie pasować do kogoś takiego jak ty. – Mahon podniósł się i przeciągnął. – Idę spać. Nie siedź tutaj za długo.

– Nie będę. Rano zjem śniadanie we wsi, bo muszę zajrzeć do paru sklepów i warsztatów, a po powrocie zasiądem na Krześle Sprawiedliwego.

– Przyda ci się towarzystwo w tej pierwszej części?

– Bogowie, jasne.

– W takim razie jadę z tobą. W Roześmianym Kocie serwują dobre śniadania.

– W takim razie zjemy tam nasze.

*

Przedpołudnie spędził we wsi, a przez resztę dnia rozstrzygał skargi i drobne spory, wysłuchiwał próśb o pomoc. To były mało istotne sprawy, za co dziękował losowi, a jednocześnie – jak doskonale rozumiał – ważne dla tych, którzy z nimi przychodzili.

Wysłuchał człowieka, który się skarżył, że pies sąsiada wył w nocy, a od właściciela psa usłyszał, że pochował swojego ukochanego, starego pupila dwa dni wcześniej, zanim tamten podobno usłyszał wycie.

Małżeństwo doniosło, że ktoś wypatroszył i spalił na węgiel owcę z ich stada.

Mógł – i tak zrobił – zastąpić tamtego psa szczeniakiem z nowego miotu, a małżeństwu dać owcę z przyzamtowego pastwiska. Może to były drobiazgi, jednak on widział w nich znaki.

Ciemność coraz bliżej się podkradała.

Czas, który spędził z wróżami, jedynie potwierdzał jego obawy. Wiedział, że nie wolno mu dłużej zwlekać.

Na skraju gęstego lasu, w czerni nocy rozproszonej światłem gwiazd, pocałował matkę na pożegnanie.

– Przekonam ją, żeby wróciła, jak przyrzekła.

– Powiedz swojemu smokowi, żeby skierował się na zachód.

– Dlaczego?

– Ona musi się najpierw oswoić. Tam ma znajome miejsca, ludzi, Marg. Nie przywoź jej prosto do Stolicy, Keeganie. I tak to będzie dla niej szok.

– Zgoda. Masz rację.

– Mahon weźmie twojego konia. Ja przyjadę na święto Samhain, a może wcześniej. Dawno nie widziałam mojej rodziny. Dobrze się tutaj spisałeś, mój drogi synu.

Wręczył jej butawę.

– Do mojego powrotu.

– Do twojego powrotu. Niech bogowie nad tobą czuwają, Keeganie.

– Zostań z bogami, mamó.

Kiedy Breen usłyszała, że Marco wchodzi do domu, zamknęła komputer. Omiotła wzrokiem sypialnię, zanim otworzyła drzwi, i wyszła mu na spotkanie.

– Jak poszło? – zapytała.

– Mój ostatni dzień w sklepie. Mam nadzieję, że na zawsze skończyłem z handlem.

– Bez żalu?

– Formalnie pracuję dla dwojga ludzi, na których zależy mi najbardziej na świecie. Dla ciebie i Sally. Dziwne uczucie. Przyjemnie dziwne. W ciągu dnia będę wyprowadzał moją szanowną osobę do kawiarni i tam pracował dla ciebie, żebyś mogła spokojnie pisać w mieszkaniu.

– Nie musisz. Możemy...

– Będzie lepiej dla nas obojga. – Podeszedł do okna. – Żaden problem.

– Marco, słyszę żal w twoim głosie. Wszystkim podobał się projekt strony. Wiem, że wniesli parę sugestii, ale...

– Słusznych. Nie mam nic przeciwko. To dla mnie poważny krok. Będzie mi tylko brakować łatwego dostępu do instrumentów. Wiesz, mam keyboard i gitarę, ale nie zagram na saksofonie czy banjo, żeby sprawdzić, jak zabrzmiałoby to, co skomponowałem. Kapujesz?

– Zaczekaj.

Pobiegła do sypialni i wyjęła z szafy futerał z harfą.

– Miałam ci to dać pod choinkę, ale... – Nie wiedziała, gdzie będzie w święta. A nawet gdyby została. – Nie mogłam się doczekać – mówiła dalej. – Myślę, że moment jest idealny.

– Co to?

– Usiądź, otwórz futerał i zobacz.

Oniemiał na widok harfy.

– Kiedy ją zobaczyłam, powiedziała mi: „Należę do Marco”. We wsi jest taki sklep. Prowadzi go rodzina. Ojciec wyrabia instrumenty... niektóre. Ta harfa to jego dzieło. Kiedyś zrobił akordeon dla mojego tatę.

Marco oderwał wzrok od harfy, oczy miał wilgotne od łez.

– Brakuje mi słów.

– Nie potrzebujesz ich. Wiem, że nie lubiłeś pracy w sklepie, ale to dla ciebie duża zmiana. I zdecydowałeś się na nią dla mnie.

Dotknął strun, odpowiedziały mu czyste dźwięki.

– Posłuchaj jej, co za brzmienie. Muszę się jeszcze wiele nauczyć. Breen, ty mnie zmobilizowałaś i widzę, że potrzebowałam impulsu. Ale ja nigdy nie zostanę gwiazdą rocka czy hip-hopu, żadną gwiazdą nie będę.

– Masz taki talent.

– Mnóstwo ludzi go ma. – Zbyt jej uwagę wzruszeniem ramion, a jednocześnie spod jego palców popłynęła muzyka. – Muszę zarabiać na życie. Ale to wcale nie znaczy, że zrezygnuję z grania i pisania piosenek. Tkwiałem bez sensu w tym sklepie, żeby mieć na czynsz. Teraz mogę robić coś, w czym jestem dobry, znajdę też czas na granie i spróbuję jeszcze dawać lekcje. Tutaj, tak jak mówiłaś.

Nie będzie z tym problemu – dodał, nie odrywając ciągle wilgotnych oczu od Breen. – Bo ty wracasz do Irlandii.

– Marco, ja...

– Dziewczyno, kto zna ciebie lepiej ode mnie?

– Nikt – mruknęła. – Absolutnie nikt.

– Myślisz o powrocie, odkąd przyleciałaś. Już nie wspominaś o kupnie domu. I to mi dało do myślenia. Zmieniłaś się. Nie w złym sensie. Jest w tobie jakiś... nowy rys i on pochodzi stamtąd. – Nie doczekał się odpowiedzi i otarł oczy wierzchem dłoni. – Czy się mylę?

– Nie, nie mylisz się. Przykro mi.

– Niech ci nie będzie przykro. Masz tam babcię. Kurde, masz tam psa. Irlandia cię pochłonęła, to było jasne już pierwszego dnia, kiedy tam przylecieliśmy. Nie ma powodu, żeby było ci przykro, nie wobec mnie.

– Muszę dokończyć to, co zaczęłam. – Cóż więcej mogła mu powiedzieć? – Co zaczęłam tam.

– Uhm. – Przesuwał palcami po strunach. – Kiedy chcesz wyjechać?

– Zanim przyszedłeś, sprawdzałam loty. Myślę o przyszłym tygodniu.

– W przyszłym tygodniu? – Jego palce znieruchomiały. – Przecież wróciłaś zaledwie kilka tygodni temu.

– To akurat będzie miesiąc, Marco. Powinnam cię wcześniej uprzedzić. Nie wiedziałam, jak to zrobić, na dodatek tyle spraw chciałam dopiąć i pozałatwiać przed wylotem. Nie wiem, ile czasu tam zostanę, na razie nie umiem powiedzieć. Może kilka tygodni, miesięcy, a może...

– Na zawsze?

– Nie rozważam niczego w kategorii „na zawsze”. Dokończę to, co rozpoczęłam, o tym w tej chwili myślę. A potem zobaczę.

– Nie mówię, żebyś nie jechała, ale chciałbym wiedzieć, ile wspólnego z twoją decyzją ma tamten facet, z którym się trzymałaś.

– To nie tak – zaprzeczyła szybko. – Absolutnie nie o to chodzi. Ta, powiedzmy, relacja zupełnie nie ma na to wpływu.

– No dobra, bo wiesz, seks, że tak powiem, wykrzywia percepcję. A jeżeli człowiekowi wydaje się, że to coś więcej niż tylko seks? Ma wtedy jeszcze bardziej rozmyty obraz. Ludzie głupieją z miłości.

– Nic nie jest rozmyte, daję ci słowo. Już wylatując stamtąd, wiedziałam, że wrócę, ale nic ci nie mówiłam. A powinnam.

– Ktoś jeszcze wie?

– Obiecałam babci, że wrócę. Wrócę i... A tutaj? Nie, nikomu na razie nic nie mówiłam.

– Wypada to załatwić. Muszę się przebrać i lecieć do Sally. Powinnaś się tam pojawić, powiedzieć jemu i całej reszcie.

– Dobrze.

Wstał, podciągnął ją z kanapy i uściskał.

– Ta harfa to najlepszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałam. A jeżeli powrót tam cię uszczęśliwi, to ja też będę czuł się szczęśliwy. Chociaż może mi to trochę zająć.

Keegan czekał do północy z rozpięciem magicznego kręgu w głębokiej czerni lasu. Do długiego i złożonego rytuału potrzebował mocy przełomu końca doby i początku nowego dnia.

Ponowne otwarcie tego samego portalu między światami nie wymagałoby takiego wysiłku, ale tak jak prosiła matka, w powrotnej drodze będzie musiał otworzyć inny portal, na zachodzie.

Musiał działać bardzo precyzyjnie, dobrze wyznaczyć miejsce. Nie sam kraj, nie tylko miasto, ale dokładnie jej mieszkanie. To było jak celowanie w sam środek tarczy, którą widział wyłącznie w swoim umyśle.

A potem mentalnie powinien przesunąć tę tarczę ileś mil na zachód od miejsca, w którym w tej chwili stał.

Zastanawiał się, czy nie poprosić Marg o pomoc przy rytuale, bo łączące ją z Breen więzy krwi ułatwiłyby sprawę.

W końcu uznał, że to na nim spoczywa odpowiedzialność. Jeżeli jego szorstka wypowiedź zniechęciła dziewczynę do powrotu, będzie musiał jakoś znaleźć łagodniejsze słowa, którymi ją przekona.

A więc utworzył krąg, rozproszył światłem czerń nocy. Przywołał bogów, aby błogostawili jego wysiłkom w imię jasności. Wysączył wino, resztę z pucharu wylał na ziemię, a kiedy ziemia piła, wolą wzniecił ogień i zaklęciami dzwoniącymi w ciszy nocy wzniosł go wysoko i szeroko rozprzestrzenił. Powoli, pedantycznie przyciągał powietrze i zwijał je, i sprężał, czując, jak z wysiłku i skupienia pot spływa mu po plecach.

Wreszcie ogień zapłonął czerwono, później niebiesko i na koniec biały i świetlisty uformował drzwi pomiędzy światami.

– Niech po moich słowach puszczą zamki i otworzą się drzwi. Niech tej nocy przejście zagwarantuje mi przysięga, że przeniosę światło między światami, aby zapewnić im wolność. Niech tak się stanie.

Ufnie wkroczył w kłębiące się światło i języki płomienia, po czym przetoczył się z jednego świata do drugiego.

Z błyskiem światła i podmuchem żaru portal zamknął się za jego plecami.

Znalazł się w ciemnym pokoju z odgłosami ulicy za oknem. Wewnątrz, jak szybko się zorientował, było zupełnie cicho.

Machnięciem palcami wywołał światło, z zaciekawieniem rozejrzał się wokół siebie. Dużo kolorów, porządek. I cisza. Podłoga zaskrzypiała pod jego butami, gdy podszedł do niewielkiego stolika. Wtedy po prawej stronie zobaczył kuchnię.

Widział ich wiele podczas podróży, a także w książkach, lecz ta była niezwykle mała i pachniała w miarę przyjemnie czymś, co udawało aromat cytryn.

Usłyszał trzaśnięcie drzwi i głosy gdzieś za ścianą.

W takim razie to było mieszkanie, ale czy na pewno to, do którego chciał trafić.

Wyszedł na wąski korytarz, zajrzał do pokoju po lewej stronie. Starannie zaścielone łóżko, więcej kolorów, gitara na stojaku, na ścianach fotografie ludzi grających na różnych

instrumentach. Ani wygląd, ani zapach nie kojarzyły mu się z Breen, skrzył więc do pokoju po prawej stronie.

Tak, ten należał do niej – czuł jej zapach, wyczuwał ślady jej obecności.

Na biurku stała tamta maszyna, której używała do pisania tych swoich historii, a obok zdjęcie Eiana i jego ojca w towarzystwie kilku mężczyzn. Takie samo zdjęcie Breen podarowała Marg i jego rodzinie.

Na podłodze leżała otwarta walizka z kilkoma rzeczami. Nie wiadomo, czy zamierzała je wyjąć, czy się pakowała.

Ale gdzie ona jest? Gdzie Breen?

– Cholera!

Poznał Widzące Zwierciadło. Wziął je do ręki. Normalnie nigdy nie dotknąłby cudzego magicznego narzędzia bez pozwolenia, ale okoliczności nie sprzyjały kurtuazyjnym zachowaniom.

– Pokaż.

Szkoło, zanim stało się przejrzyste, na moment pociemniało.

Zobaczył ją; siedziała przy barze z kieliszkiem wina w dłoni. Poruszała ustami, musiała rozmawiać z kimś, kogo nie widział. Sądząc z wyrazu jej twarzy, chyba płakała i Keegan poczuł się skrępowany.

A potem kogoś objęła, jakąś kobietę z jasnobłond włosami opadającymi na nagie ramiona.

Nie, zaraz, to nie kobieta – zorientował się, gdy przyjrzał się bliżej. – To mężczyzna w bardzo udanym przebraniu.

Sally – przypomniał sobie. – Często mówiła o nim i o tym miejscu.

Odstawił zwierciadło i wyjął z kieszeni magiczny kamień.

– Wskaż drogę.

W ostatniej chwili przypomniał sobie o mieczu. Wiedział, że w tym świecie ktoś paradujący z mieczem po ulicy nie byłby mile widziany, odpasał go więc i odłożył.

Z kamieniem w dłoni wyszedł z mieszkania i zbiegł po schodach. Drzwi otworzyły się i zamknęły, na zewnątrz uderzył go gwar głosów i owionął zapach jedzenia. Ktoś grał na jakimś dętym instrumencie, okrutnie fałszując.

Powietrze pochłodziło i było ciężkie od spalin. Ponownie zaskoczyła go mnogość barw. Nie tylko ubiorów i odcieni skóry, ale samego miasta.

Ono mieniło się jak tęcza.

Znowu doszły go dźwięki trąbki, tym razem melodia brzmiała pięknie i czysto. Latarnie rzucały kręgi światła na chodniki i jezdnie. Ludzie poruszali się bez pośpiechu. Dwóch mężczyzn z uśmiechem w oczach szło ku sobie z naprzeciwka, a kiedy ich mijali, pocałowali się na przywitanie.

Prowadzony przez kamień, skręcił za narożnik i stanął przed budynkiem z tęczowymi światłami i neonem U Sally z liter w tych samych kolorach.

Wszedł do środka. Gorąco, muzyka, mnóstwo kolorów i... pusty stółek przy barze, na którym widział Breen w zwierciadle.

Zirytowała go myśl, że będzie musiał ją ścigać po mieście, a jednocześnie poczuł fascynację tym miejscem. Na scenie

trzy kobiety – nie, to znowu mężczyźni – w kostiumach błyszczących jak gwiazdy, śpiewali idealnie zestrojonymi głosami.

I ta atmosfera w barze lekka i swobodna, jak ich piosenka.

Zostanie tu chwilę, musi zrozumieć, co Breen skłoniło do powrotu do tego miejsca, i znaleźć coś, co ją od niego odciągnie.

Rozdział 30

Marco, przyrządzając za barem klasyczne martini, zauważył tego mężczyznę, gdy on tylko przeszedł przez drzwi.

Według jego doświadczenia niektórzy faceci mieli tę szczególną moc przyciągania uwagi już od pierwszego wejścia. To było coś więcej niż sam wygląd, chociaż temu akurat można było go pozazdrościć. Liczyła się charyzma.

Charyzmy nie można udawać – albo ją się ma, albo nie.

Nie spuszczając oka z przybysza, wlał martini do schłodzonego kieliszka, wrzucił trzy oliwki.

Widział, że nieznajomemu podobała się muzyka, ale Trio Supreme jest niezawodne. I zdecydowanie on kogoś szukał.

Ma szczęście ten ktoś.

Wysoki i superzbudowany, ocenił, gdy mężczyzna skierował się do baru. Swobodny strój; grantowy sweter, brązowe spodnie i seksownie podniszczone wysokie buty. Rasowa twarz o ostrych rysach z cieniem zarostu.

Gęste czarne włosy, które aż prosiły, żeby zanurzyć w nich dłonie. I ten cienki warkoczek biegnący od lewej skroni.

Gdy Charyzmatyczny stanął przy barze, patrząc mu prosto w oczy, Marco coś jakby tknęło. Niestety, musiał bezwstydnie przyznać, że pożądanie na moment zaćmiło mu umysł.

– Witam u Sally, Wysoki, Ciemnowłosa i Piękny. Co podać?

– Szukam Breen Kelly. Znasz ją?

Natychmiast otrzeźwił go irlandzki akcent. Teraz był w domu.

– Irlandzkie bóstwo.

Zaskoczony Keegan uniósł brwi.

– Nie całkiem, nie. To rudowłosa... – zaczął.

– Mówię o tobie. Jestem Marco. Marco Olsen – przedstawił się, ochoczo wyciągając dłoń.

– Marco, tak? Dobrze o tobie mówiła, a więc miło cię poznać. Czy Breen jest gdzieś tutaj?

– Na chwilę wyszła na zaplecze. Zaraz wróci. – A ja wykorzystam ten czas na wyciągnięcie z ciebie paru informacji – pomyślał. – Czego się napijesz? Na koszt firmy – dodał – od jednego przyjaciela Breen dla drugiego.

– Miło z twojej strony. – I szczęśliwie się składa, bo nie pomyślał, żeby zaopatrzyć się w miejscową walutę. Zerknął na nalewaki. – W takim razie proszę guinnessa.

– Już się robi. A więc... – Marco podstawił kufel pod nalewak i zgodnie ze sztuką powoli nalewał piwo po ściance kufła, stopniowo go pionując, po czym odstawił piwo, żeby piana osiadła. – Mieszkasz w pobliżu babci Breen?

– Tak.

– Breen jest bardzo szczęśliwa, że udało się jej odnaleźć babkę. To dla niej wiele znaczy, szczególnie odkąd wie, że jej ojciec nie żyje. Znałeś go?

– Tak. I nie spotkałem drugiego tak szlachetnego człowieka, nie licząc mojego ojca.

Marco zajął się zamówieniami na cocktaile Moscow Mule i Cosmo oraz na kilka kieliszków firmowego czerwonego wina.

– Breen nie wspominała, że masz przyjechać.

– Nie wspominała, bo się nie zapowiedziałem.

– Niespodzianka! Jak długo jesteś w mieście?

– Raczej niedługo. Znasz się na rzeczy – skomentował, obserwując działania Marco. – Jesteś świetnym barmanem.

– Nauka przez praktykę. – Kiedy zrealizował zamówienia, dopełnił kufel guinnessem tak, aby piana wzniósła się ponad krawędź i postawił go przed Keeganem. – Breen to więcej niż moja przyjaciółka, ona jest jak siostra. Bardzo dużo dla mnie znaczy.

– A ty dla niej, sądząc z tego, jak o tobie mówiła.

– Nie wątpię, że spokojnie mógłbyś mi dołożyć i nawet się przy tym nie spocić, ale ostrzegam, dorwę cię, gdyby ci przyszło do głowy ją skrzywdzić.

Keegan posmakował guinnessa, nie odrywając oczu od Marco.

– Prawdziwy przyjaciel, który trwa przy tobie na dobre i złe, to skarb. Nie zamierzam jej skrzywdzić.

– Łatwo ją zranić. Tutaj. – Marco klepnął się w pierś na wysokości serca.

– Ja poznałem niezłomną kobietę z silnym charakterem i ogromną determinacją. Nie, nie zamierzam jej zranić i wolę

nie mieć do czynienia z jej przyjacielem.

– A kogóż my tu mamy? – Sally w mieniącej się cekinami, dopasowanej, czarnej mini, w kozakach za kolano i platynowoblonde peruce wśliznął się na stołek obok Keegana.

– To... przyjaciel Breen z Irlandii – wyjaśnił Marco. – Jakoś nigdy nie wspomniała, jak się nazywasz.

– Keegan Byrne.

– Ach, ten akcent zawsze mnie rozbraja. – Sally zalotnie powiodł palcem po jego ramieniu, jednocześnie bacznie mu się przyglądając. – Jednym słowem, zrobiłeś nam niespodziankę. Jestem Sally.

– Sally? Matka od serca Breen.

Oceniające spojrzenie złagodniało.

– Jak ładnie to ująłeś.

– To jasno wynika z tego, co o tobie mówiła. Bardzo mi się tutaj podoba. Goście wspaniale się bawią, a wykonawcy mają piękne głosy.

– Poczekaj, aż zobaczysz Sally w roli Lady Gagi – zapowiedział Marco, mieszając kolejnego drinka.

– Też występujesz?

– Skarbie, ja się urodziłem dla sceny, ale zanim wstrząsnę tą budą, mam jeszcze trochę czasu. Marco, mineralna bez gazu. Keeganie, zapraszam do stolika na pogawędkę.

Hettie przyniesie nasze drinki – dodał, biorąc Keegana pod rękę i prowadząc go do stolika w głębi baru.

– Czy ty też planujesz mnie dorwać? – spytał Keegan, wysuwając krzesło dla Sally, bo, mężczyzna czy nie, w końcu

był w stroju kobiety.

Sally zagryzł wargi rozbawiony tym szarmanckim gestem i usiadł.

– A powinienem?

– Dostałem ostrzeżenie od Marco i spodziewam się tego samego po tobie. W końcu stanowicie rodzinę. Dzięki – zwrócił się do kelnerki, kiedy postawiła przed nimi drinki. – Mój przyjaciel, bliski mi jak brat, romansował z moją siostrą. I mimo że ona jest o rok starsza ode mnie, a Mahon to wyjątkowo przyzwoity człowiek, mniej więcej to samo usłyszał ode mnie.

– I jak się sprawy potoczyły?

Keegan podniósł kufel do ust.

– No cóż, na szczęście nie doszło między nami do bitki, bo Aisling nam obu skopałaby tyłki. A teraz oni spodziewają się trzeciego dziecka.

– Za szczęśliwe zakończenia. – Sally uniósł szklankę z wodą.

– Dlatego szukasz Breen? Dla szczęśliwego zakończenia, dzieci?

– Co?

Na widok zszokowanej miny Keegana Sally ponownie zgryzł wargi.

– Dałem ci przykład tego, jak postrzegam rodzinę. Ja chcę tylko z nią porozmawiać, liczę, że zechce ze mną wrócić. Ona tam też ma rodzinę. I jest... potrzebna. Ma tam swoje miejsce.

– Mówisz w imieniu jej babki? Osoby, o której istnieniu nie wiedziała do tego lata?

Dyplomacja – Keegan upomniął siebie w myślach.

– Marg nie kontaktowała się z wnuczką przez szacunek dla jej matki i wierz mi, że bardzo dużo ją to kosztowało. A poza tym chciała dać czas Breen, żeby sama podjęła decyzję, gdy nadejdzie odpowiedni moment. Nie mnie opowiadać tę historię, powiem tylko, że kiedy Eian przywiózł tutaj Breen, bo tego żądała jej matka, robił wszystko, żeby ta rodzina bezpiecznie przetrwała, i tak samo postępował wobec rodziny, którą tam zostawił. Nie pozwolę, by ktokolwiek źle mówił o Eianie czy Mairghread w mojej obecności.

– W porządku. Chociaż przyznam, że lepiej byłoby dla Breen, gdyby babka wcześniej pojawiła się w jej życiu i ograniczyła wpływ, jaki miała na nią Jennifer.

– Wiem i rozumiem, co masz na myśli. Ale dokonuje się wyborów, kiedy nadchodzi na nie czas. Zresztą Breen miała was, prawda? Ciebie, Marco i to miejsce.

Obejrzał się na salę, akurat gdy ze sceny schodziło trio, żegnane rzędistymi brawami.

– Jak już wcześniej powiedziałem, to dobre miejsce. Oprócz rozrywki zapewnia miłość i schronienie.

Sally z głośnym sapnięciem opadł na oparcie.

– I jak ja mam cię przypiekać niczym rybę na grillu, skoro mówisz takie miłe rzeczy?

Keegan przyjął te słowa z uśmiechem.

– Mówię na podstawie tego, co widzę i czuję i co wynikało z opowiadań Breen o tobie, Marco, barze, o... Derricku, tak mu na imię, zgadza się?

– Tak. To miłość mojego życia.

– Musi być wspaniałym partnerem, skoro nie rozglądasz się za innymi.

– A niech cię! Charme, wygląd i ten akcent. – Sally odrzucił do tyłu platynowe loki. – Jak matka powinna postąpić?

– Pozwolić jej wrócić ze mną, o ile się zgodzi.

– Nie próbowałbym jej powstrzymać, ani stawać na drodze do tego, czego chce. Dotąd nikt nie zranił jej serca – w miłosnym sensie – uściślił. – Owszem, zawsze miała kruchą psychikę i nadwątłone poczucie własnej wartości, ale nie serce. – Przechylił się nad stolikiem. – Nie bądź pierwszy.

– Ja nie... Nie miłosne sprawy mnie tu przywiodły.

Sally dłonią z paznokciami w jaskraworóżowym kolorze poklepał Keegana po ręce.

– Mów, co chcesz, przystojniaku. A teraz moja rada: skup się na występie.

Mimo rosnącego zniecierpliwienia (kiedy, do cholery, ona się pojawi?) Keegan nie miał wyboru, musiał się skupić, gdy Sally wyszedł na scenę, entuzjastycznie witany gromkimi bra-
wami i okrzykami.

Keegan szczerze podziwiał artystów i szybko się przekonał, że Sally nie kłamał, mówiąc, iż urodził się dla sceny. Miał wszystko: prezencję, grację, pewność siebie. Śpiewał coś o toksycznej miłości i już po chwili cały bar nucił z nim.

Chociaż Keegan był zajęty występem, wyczuł moment, kiedy w sali pojawiła się Breen. Zaledwie tchnięcie siły w powietrzu. Zawsze go zdumiewało, że ludzie w tym świecie nie odbierają takich sygnałów.

Odwrócił głowę i ich spojrzenia się spotkały.

Podniósł się, kiedy ruszyła do stolika.

– Co tutaj robisz?

– Musimy porozmawiać. Może wrócimy do twojego domu.

– Możemy rozmawiać tutaj. – Usiadła na krześle.

– Wolałbym odbyć tę rozmowę na osobności.

– To miejsce również zapewnia prywatność.

Gdy się ku niej nachylał, wyrosła nad nimi kelnerka i postawiła kieliszek wina przed Breen.

– Marco powiedział, że chętnie się napijesz. Podać piwo?

– Dzięki, to mi wystarczy.

– Dajcie znać, gdybyście czegoś potrzebowali. – Hettie popatrzyła znacząco na Breen. – Czegokolwiek.

– Można pomyśleć, że będę wyciągał cię stąd za włosy – mruknął Keegan.

– Wszyscy tutaj wzajemnie czuwamy nad sobą.

– To tak jak my – przypomniał jej Keegan. – Mówiłaś, że wrócisz, a minął już ponad miesiąc.

– Nie ma jeszcze miesiąca – poprawiła go. – Prawie codziennie rozmawiam z babcią.

– A ona nie powie niczego, co mogłoby cię zaboлеć. W każdym razie ostatnie dni spędziłem w Stolicy. Musisz wrócić. Pojawia się coraz więcej znaków.

– Jakich znaków?

– Że ciemna moc rośnie w siłę. Dałaś słowo, że wrócisz, kiedy będziemy cię potrzebować. Jesteś potrzebna.

– Nie sądziłam, że według ciebie nie dotrzymuję słowa.

– Diabli, kobieto. Byłem wkurzony, tak? Tu nie chodzi o twoje czy moje uczucia, liczy się obowiązek.

Muzyka pulsowała. Sally śpiewał *Born this Way*. Goście wysypali się na parkiet. Światła błyskały.

Wszystko w tej chwili było takie znane, takie bezpieczne i normalne jak oddychanie.

– Powiedz prawdę. Jeżeli pojedę do Talamh, mogę tam zginąć.

– Wszystko, co mam, kim jestem, zostanie użyte do walki w twojej obronie.

Popatrzyła na niego i wyszczyła łyk wina.

– Wierzę. Ale mogę zginąć.

Zacisnął dłoń w pięść, lecz nie uderzył nią o stół.

– Tak samo jak wszyscy. A jeśli przegramy, prędzej czy później zagłada osiągnie i tego świata. Odran nie poprzestanie na Talamh.

– Widzę płonącą ziemię. Czuję zapach dymu i krwi. Słyszę przerażone jęki. – Odstawiła kieliszek.

Nakrył ręką jej dłoń.

– Nic nie zrobisz, pozwolisz na to?

– Nie. – Podniosła się, objęła wzrokiem scenę z Sally, obejrzała się na Marco stojącego za barem. I z dłonią przyciśniętą do serca ruszyła do drzwi.

– Mam lot zarezerwowany na przyszły tydzień – rzuciła, gdy Keegan się z nią zrównał. – Powiedziałam wszystkim ważnym dla mnie osobom, że wracam do... Irlandii. – Na zewnątrz przyspieszyła kroku. – Musiałam im powiedzieć,

pożegnać się. Skoro już to załatwiłam, mogę sprawdzić, czy uda mi się zmienić termin na wcześniejszy.

– A więc zamierzałaś wrócić.

Obejrzała się na niego.

– Przecież powiedziałam.

– Wybacz. – Chwycił ją za ramię, gdy odwracając się od niego, przyspieszyła kroku. – Przepraszam. Szczerze.

– Nieistotne.

– Przeciwnie. Podważyłem twoje słowo, obraziłem cię, zraniłem. Przepraszam. Trzykrotnie przepraszam, to powinno każdemu wystarczyć.

– Boję się – zaczęła, patrząc prosto przed siebie. – Tutaj jest wszystko, co znam, i mam coś, co zawsze chciałam – moje pisanie. Jakiś głos mi szepcze: „Breen, masz tutaj szansę być szczęśliwa, nareszcie odnalazłaś swoje miejsce”. Ale to nie jest moje miejsce albo raczej: nie jedyne – mówiła dalej. – Myślę o chacie w Irlandii, o powiewie świeżego powietrza na twarzy w Talamh. Widzę Morenę prostującą skrzydła, czuję zapachy z pracowni i kuchni babci. Pamiętam te jej zawsze otwarte drzwi. – Westchnęła, przymknęła powieki. – Brakuje mi tego jak tlenu. I tęsknię za swoim miejscem tam, za uczestniczeniem w czymś, czego tutaj nigdy nie doświadczę. Pragnę magii, chcę poczuć w sobie tamtą radość. A jednocześnie się boję.

– Tylko głupi by się nie bał.

Przystanęła przed wejściem do budynku.

– W takim razie, jak rozumiem, nie jestem głupia.

Weszła do korytarza i zaczęła się wspinać po schodach.

– Mam Marco, Sally, Derricka, przyjaciół z baru. Bardzo mi na nich zależy. A jednocześnie nie odnajduję się tutaj. I nie wiem, czy się odnajdę, gdy zechcę lub będę musiała tu wrócić. Chyba muszę godzić się z tym, co przyniesie życie. – Sięgnęła klucze, otworzyła drzwi. – Czy to oznacza rezygnację z tego, co kocham tutaj?

Pragnął ją dotknąć, pocieszyć. Ale nie odważył się ani na jedno, ani na drugie.

– Nie znam odpowiedzi.

– Ani ja. Zapraszam, usiądź. Spróbuję zarezerwować ci bilet na samolot. Na kiedy i jakie linie?

– Myślisz, że przyleciałem samolotem? Czemu miałbym coś takiego robić. Te maszyny to jakieś cholerne żelastwo. Otworzyłem portal, taki tymczasowy. Wszystko stanie się prostsze, jeżeli ponownie otworzę go z tego miejsca i do mnie dołączysz.

Mówiąc to, podniósł się i przypasał miecz.

– Jak ty go przemyciłeś... Tutaj? – Teraz ją tknęło. – Otworzyłeś portal z Talamh do mojego mieszkania?

– Tak wydawało się najrozsądniej.

– A gdyby Marco był w domu?

– Nie było go.

– A gdybym była z kimś albo zastałbyś mnie w środku pieprzonej orgii?

– Nie byłaś – odpowiedział po prostu. – A ponieważ twierdziłaś, że prowadzisz spokojne życie, ewentualna orgia nawet nie przyszła mi na myśl. Często tak się zabawiasz?

– Ludzie zanim wejdą do cudzego mieszkania, pukają do drzwi.

Chociaż bardzo chciał zachować spokój, czuł, że zaczyna tracić cierpliwość.

– Biorąc pod uwagę okoliczności, odłożyłem na bok maniery. Jak chcesz mnie strofować za brak wychowania, wstrzymaj się z tym do powrotu do domu. Pożegnałaś się z kim należało, więc znikajmy stąd.

– Muszę się spakować.

– Do diabła, w Talamh nie brakuje ubrań.

– Zamierzam się spakować. Nie ruszę się bez moich rzeczy. Zabieraj się stąd, skoro aż tak cholernie ci się spieszy, a ja przylecę samolotem, kiedy będę gotowa.

Pomaszerowała do sypialni i zaczęła od tego, co najważniejsze: laptopa, tabletu i brulionów z notatkami.

– Potrzebuję tych rzeczy do pracy – warknęła, kiedy wszedł za nią do sypialni. – Może to dla ciebie nieważne, ale dla mnie tak.

– Nigdy tego nie powiedziałem.

– Ale dałeś do zrozumienia. No dalej, Breen, pośpiesz się, nie marnuj mojego cennego czasu na swoje potrzeby.

Patrzył, jak owija w koszule zdjęcie ich ojców oraz Widzące Zwierciadło. Spakowała je do walizki, dołożyła księgę z zaklęciami, którą, jak poznał po piśmie, dostała od Marg.

Chaotycznie wyciągała rzeczy z szafy i szuflad. To nie złość wywołała nerwowość jej ruchów, w tej chwili to było coś poważniejszego.

Wczuł się w jej smutek, kiedy się na niego otworzył.

Nie potrafił zrozumieć, jak on, facet, który podobno nie gorzej od innych zna się na kobietach, fatalnymi gafami zraził do siebie dwie kobiety w ciągu tego samego tygodnia.

– Mam prawo chodzić we własnych cholernych ciuchach, nie będę nosić rzeczy po kimś. I jeżeli tak mi się spodoba, zabiorę kubek żabę, który Marco zrobił dla mnie na pracach ręcznych w szkole średniej.

Wrzuciła do walizki długopisy i ołówki, a potem pieczętówkę zawinęła coś, co wyglądało na uśmiechniętą żabę, i dołożyła do reszty.

– I zabieram moją szczoteczkę do zębów, jeżeli to ci nie sprawia różnicy – doszedł go z przedpokoju jej głos nabrzmiały płaczem, gdy w łazience zgarniała drobiazgi do podręcznej torby. – To moje rzeczy, nawet jeśli to są duperele. Bo chcę je mieć przy sobie najdłużej, jak się da. Nie mam pojęcia, kiedy tutaj wrócę i czy w ogóle wrócę. Nie wiem, czy jeszcze zobaczę Marco, Sally i wszystkich, którzy się dla mnie liczą. I, cholera, zrobię, co do mnie należy, kiedy się spakuję.

Ponownie skręciła do przedpokoju, lecz on zastąpił jej drogę.

– Przestań.

– Jeszcze nie skończyłam!

– Znajdę inny sposób. – Położył dłonie na jej ramionach. Czuł, jak drżały. – To nie jest dobre rozwiązanie i znajdę inny sposób, bo to mój obowiązek. Tak jest i było, nawet zanim przejąłem miecz i buławę. Wiem o tym całe życie, a ty zaledwie miałaś kilka tygodni. Do mnie należy rozsądzanie, co

jest dobre, a co złe, i szukanie właściwych i sprawiedliwych rozwiązań. A to nie jest ani właściwe, ani sprawiedliwe.

Na moment dotknął czołem jej czoła. Tak, odpowiedzialność za lud Fey spoczywa na jego barkach – pomyślał – zawsze tak było.

– Zostań w świecie, który znasz, świecie, gdzie jest twoje serce. Ja na pewno znajdę inny sposób na ocalenie Talamh.

Nogi ugięły się jej w kolanach, osunęła się na podłogę, rozsypując zawartość podręcznej torby.

Przykucnął przed nią, kiedy siedziała oparta plecami o ścianę.

– Mówisz, że nie muszę jechać. Z twoich ust nie padło słowo „wybór”.

– Cóż, masz wybór, ale nie zostawiliśmy ci czasu na decyzję, prawda? I nie wątpię, że jeśli ze mną wrócisz, będę traktował cię tak samo albo jeszcze bardziej bezwzględnie, bo tak musi być, bo ja tak mam. Ty jesteś inna, twój świat inaczej wygląda.

– Mój ojciec...

– Za to zginął. Kochałem go jak własnego ojca. Nie sądzę, aby był zadowolony, że narażam jego córkę na niebezpieczeństwo. To moja sprawa.

Wyprostował się i wyciągnął do niej rękę, pomagając jej wstać.

Dokładnie w tej chwili drzwi otwały się na oścież.

Marco zobaczył Breen na podłodze z policzkami mokrymi od łez i według niego z wiszącym nad nią Keeganem.

– Ty gnojku! Zostaw ją!

Rzucił się na niego z pięściami. Breen nie zdążyła otrząsnąć się z szoku, gdy usłyszała głośnie chrupnięcie knykci o kość.

Zerwała się na równe nogi.

– Przestań! – krzyknęła. – Nie waż się go dotknąć! – ostrzegła Keegana, zasłaniając sobą Marco.

– Breen, zejź mi z drogi. Nikt nie będzie cię tak traktował. Ty sukinsynu, myślisz, że wolno ci bić kobiety?

– On mi nic nie zrobił. – Mocniej przytrzymała Marco. – Nie uderzył mnie. Wręcz przeciwnie. Byłam bardzo zdenerwowana, próbował mnie uspokoić.

– Według mnie inaczej to wyglądało. Widziałem, w jakim stanie wyszłaś od Sally. Byłaś roztrzęsiona. Nadal jesteś. Dlatego wcześniej wróciłem do domu.

– Byłam zdenerwowana. I jestem. Ale nie przez Keegana. Daję słowo. Idź, proszę, zamknij drzwi wejściowe. Zanim sąsiedzi wezwą policję.

Marco, mijając Keegana, posłał mu groźne spojrzenie i z impetem trzasnął drzwiami.

– Chcę wiedzieć, co, do cholery, jest grane.

– Pakowałam się. – Kucnęła i żeby nie patrzeć mu w twarz, zaczęła zbierać z podłogi porozrzucone drobiazgi. – I się wzruszyłam. Keegan mówił różne rzeczy, takie miłe i wtedy zupełnie się rozkleiłam. On nie zrobił nic złego ani mi nie groził... nic takiego.

– Dobra. – Marco mimo wszystko pozostał czujny. – W takim razie przepraszam, że cię uderzyłem, skoro to nie

było to, na co wyglądało.

– Nie ma sprawy. Przyjaciele się wspierają. Dobrze wyprawdziłeś cios.

– No może. Jestem pewien, że twoja twarz pogruchotała mi knykcie. – Spojrzał na przykucniętą Breen. – Ale to nie jest cała historia. Powiedz, co, do diabła, tu się odbywa? I nie próbuj mi wciskać kitu. Znam cię, dziewczyno.

– Znasz mnie – mruknęła pod nosem, podnosząc się. – Wracam.

– Wiem. Rozmawialiśmy o tym.

– Właśnie się szykuję.

– Teraz? Mówiłaś, że lecisz w przyszłym tygodniu.

– Wiem. – Popatrzyła na torbę z rzeczami, które jeszcze chwilę temu wydawały jej się takie istotne.

Teraz stali się ważni ci dwaj mężczyźni w pokoju i dwa światy, do których należeli. Wstawiła torbę do sypialni.

– Nie stójmy w przedpokoju.

Poprowadziła ich do salonu i najpierw zwróciła się do Keegana.

– Nie wyjadę, dopóki się nie spakuję i nie powiem prawdy Marco.

W odpowiedzi jedynie potrząsnął głową i podszedł do okna.

– Zaraz? To miecz? Dlaczego on chodzi z mieczem?

– Zatrzymaj się przez chwilę. – Posadziła Marco w fotelu, a sama przysiadła na oparciu fotela naprzeciw. – Ja latem byłam nie tylko w Irlandii. Tam się wszystko zaczęło. Nie, wła-

ściwie już tutaj. W pewnym sensie tu był początek, gdy zobaczyłam Sedrica w autobusie. Tamtego mężczyznę ze srebrnymi włosami, pamiętasz?

– Breen...

– A w Irlandii to dziwne wrażenie się nasiliło. Morena... tamta kobieta z jastrzębiem? Bardzo szybko wydała mi się bliska. Później chata, wszystko jakby znajome. Poszłam za Fąflem do lasu, a on zaprowadził mnie do drzewa. Przeszłam przez nie za psem i znalazłam się w Talamh. To stamtąd pochodził mój ojciec. Tam pobrali się moi rodzice, tam się urodziłam. I wtedy poznałam babcię.

– Myślałam, że psa dostałaś od niej. Od babci.

– Tak, ale o tym nie wiedziałam, dopiero mi o tym powiedziała. Spędzałam z nią dużo czasu i wiele się nauczyłam. Zaczęłam dostrzegać, czuć, jak wszystko ze sobą się łączy. Że siła, która wiąże wszystko i wszystkich, ma dwa oblicza: mroczne i jasne.

– Coś jak Moc w *Gwiezdnych wojnach*?

– Nie, Marco, nie... Dobra, powiedzmy, coś w tym rodzaju – ucięła. – Wiem, że istnieją inne światy. Pamiętasz, jak chciałeś zostać astronomem? Jak mówiłeś, że niemożliwe, abyśmy byli sami we wszechświecie, bo jesteśmy za mali? Miałeś rację.

– Chcesz mi wmówić, że on jest z planety Tulip i przeniesiesz się przez kontinuum czasoprzestrzeni?

– Jak na pisarkę – wtrącił Keegan, nie odwracając się od okna – potwornie chrzanisz.

– Wiem. Pomyśl o wieloświecie. Światów jest więcej niż jeden. My jesteśmy jednym. Talamh innym. Niektóre z nich łączą portale, tak jak tamten w drzewie, przez który przechodzi się z tego świata do Talamh. Zaczekaj. Ja to wszystko spisałam.

Marco bez zapału dźwignął się z fotela, kiedy pobiegła do sypialni.

– Mieszasz jej w głowie. Co jej podrzuciłeś? – zwrócił się do Keegana.

– Poznała należne jej prawa. Odnalazła miejsce, gdzie się urodziła. Zna swoją historię i przeznaczenie. – Keegan zerknął na Breen, gdy wróciła z laptopem i pendrivem. – Powiedziałaś, że nie wyjedziesz, dopóki nie powiesz mu prawdy i dopiętaś swego. Niestety, zostanie jeszcze bardziej zdenerwowany i zagubiony

– Masz, przeczytaj to. – Wcisnęła Marco pendrive do ręki. – Robiłam notatki o tym, co się działo. Spisywałam swoje myśli, odczucia. Wszystko tu znajdziesz. Wszystko o Talamh, o ludziach Fey. O tym, jak przedkładają magię nad technologię.

– Dobra, świetnie, to kim on właściwie jest? Czarnoksiężnikiem? Harrrym pieprzonym Potterem z mieczem?

– Dość – uciął Keegan. – Jestem z Fey, tak samo jak ona. Należę do Widzących i ona też. Breen Siobhan O’Ceallaigh, ja, *taoiseach* Talamh, zwalnię cię z przysięgi powrotu. Wybór należy do ciebie. Decyduj!

– Wracam.

– Breen, ten facet to świr albo oszust, który próbuje wyłudzić od ciebie pieniądze. Dzwonię na policję.

– Uspokój się. – Wyrzuciła ręce w górę i zapłonęły wszystkie świece w pokoju. – Oto kim jestem – powiedziała, gdy Marco z wrażenia opadł na fotel. – Córka Fey, wiedźma, w której żyłach płynie krew Sidhe i przekleństwo ciemnego boga.

Strzeliła palcami i na jej dłoni wyrosła kula błękitnego światła. Machnięciem ręki wprowadziła w ruch powietrze w salonie.

– Właśnie to ukrywano przed mną całe życie. Tę moc, dar, moje przeznaczenie.

– Dobra, dobra, czy my wszyscy jesteśmy przyćpani?

– Wiesz, że nie. Teraz widzisz, kim jestem. Kim naprawdę jestem. I serce mi pęknie, jeżeli to cię ode mnie odstraszy.

Oddychał ciężko, jakby przebiegł kilka kwartałów, nogi mu drżały. Ale podniósł się z fotela, podszedł do niej i otoczył ją ramionami.

– Trochę przerażasz – wydusił. – Normalnie mnie ścięto, okej? Ale nadal jesteś Breen. Ciągłe jesteś moją najlepszą dziewczyną.

Zlikwidowała świetlną kulę i mocno go przytuliła.

– Bardzo cię kocham. A to wszystko mam po ojcu. – Odsunęła się. – Przeczytaj, co napisałam. Czas na mnie. Idę po rzeczy – rzuciła do Keegana.

– Wiem, co widziałem. – Marco zwrócił się do niego, kiedy Breen zniknęła w sypialni. – Nie rozumiem tego, ale widziałem, co widziałem, i niestety, nadal ci nie ufam.

– Rozumiem, chociaż nie masz powodu. Wiedz, że nie zamierzam jej skrzywdzić. Co więcej jestem gotów oddać

życie w jej obronie. Podobnie jak ty.

– Kochasz ją?

– Ona jest kluczem do zamka – padła odpowiedź Keegana. – Do zamka, który blokuje drzwi przed siłami ciemności. Tymi, które chętnie zniszczyłyby mój świat. I również twój.

– Może ty nie chcesz jej skrzywdzić. Załóżmy. Ale ktoś tak. Znam moją dziewczynę. Ona jest przestraszona. Chcę wiedzieć dlaczego.

– Przeczytaj ten plik – rzuciła Breen, ciągnąc spakowaną naprędce walizkę. – To wszystko. – Rozejrzała się po pokoju. – Na pewno o czymś zapomniałam. Wiem, że tak. Nie myślę logicznie.

– Dasz znać Sedricowi i dostarczy ci wszystko, czego potrzebujesz. Daj. – Zniecierpliwiony Keegan odebrał od niej walizkę, a torbę z laptopem przewiesił sobie przez ramię. – Jeżeli połączymy siły, szybciej i sprawniej otworzymy portal.

– Walić portale. Breen...

– Zadzwoń do ciebie z chaty najszybciej, jak mi się uda. Chata stoi po tej stronie. Wtedy pogadamy. – Ponownie go uściskała. – Odpowiem na wszystkie twoje pytania. Ale teraz muszę tym się zająć. – Odwróciła się do Keegana. – Nie wiem, jak się otwiera portale.

– Ja wiem. – Wziął ją za rękę. – Teraz razem.

Skoncentrowany, połączył jej moc ze swoją i zaczął otwierać to, co wcześniej wyczarował.

Marco zza ich pleców patrzył, jak mały świetlny punkt zmienia się w krąg i cały czas się rozrasta. Z głębi wyłoniła się

czerń poznaczona gwiazdami. Dwa księżyce rzuciły migotliwe światło na majaczące w mroku wzgórza.

– Ja pierniczę! – sapnął.

Breen obejrzała się za siebie.

– Kocham cię, Marco.

Zrobiła krok do przodu.

Marco pod wpływem impulsu dopadł do Breen, chwycił ją za rękę i razem z nią przewinął się przez światło i czerń.

– Boże, Marco. Keegan, stop, cofnij się!

Marco, oślepiiony światłem, miotany wiatrem pomiędzy światłami, jedynie zacieśnił uścisk na jej dłoni.

– Nie ma mowy, zostaję z tobą.

– Już za późno, nie dam rady. – Keegan, mimo ryzyka zboczenia z kursu, tchnął strumień mocy, liczył, że uda mu się zamortyzować upadek ziemianina. – Trzymaj się, bracie! – Obejrzał się na Marco.

Breen w jednej chwili znalazła się pomiędzy dwoma mężczyznami, z których każdy ciągnął ją za rękę do swojego świata.